

KristinHannah

Na
domowym froncie



*Dedykuję tę powieść
dzielnyim kobietom i mężczyznom służącym w siłach zbrojnych
oraz ich rodzinom; wszystkim, którzy poświęcają tak wiele,
aby ochraniać nasz styl życia*

*I jak zawsze dedykuję ją także moim własnym bohaterom
Benjaminowi i Tuckerowi*

CZEŚĆ PIERWSZA

Z perspektywy

Niektórych rzeczy najłatwiej uczymy się w spokojnym czasie, a
innych podczas życiowych zawirowań.

- *WILLA CATHER*

Prolog

1982

W jej wyobraźni niektóre rodziny jawiły się jako zadbane parki, z alejkami obsadzonymi złocistymi żonkilami, gdzie rozłożyste drzewa dają ochłodę podczas upałów. Inne, i taką właśnie знаła z doświadczenia, były jak ponure i krwawe pola bitewne, na których walają się szrapnele i strzępy ciał.

Jolene Larsen miała zaledwie siedemnaście lat, lecz zdążyła już bardzo dobrze poznać wojnę. Dorastała pomiędzy rodzicami, którzy zgotowali sobie małżeńskie piekło.

Najgorsze było w walentynki. W domu zawsze panowała napięta atmosfera, lecz gdy tego dnia w telewizji pokazywali reklamy kwiatów, bombonierek i czekoladowych serduszek w czerwonej folii, w nieostrożnych rękach rodziców miłość stawała się bronią. Oczywiście wszystko zaczynało się od picia. Nieodmiennie. Od kolejnych porcji burbona dolewanych do szklanek. To był wstęp. A potem następowały wyrzekania, wrzaski i ciskanie przedmiotami. Jolene przez lata pytała matkę, czemu go nie zostawia - znaczy ojca - czemu nie uciekną cichaczem w nocy. I zawsze słyszała tę samą odpowiedź: Nie mogę. Kocham go. Czasami tym słowom

towarzyszyły łzy, a niekiedy wręcz namacalnie wyczuwalna udręka, lecz obojętnie jak brzmiały, zawsze obnażały tragiczną prawdę o jednostronnej miłości.

Na dole ktoś wykrzykiwał coś płaczliwie.

To matka.

Rozległ się huk - jakiś ciężki przedmiot wylądował na ścianie. Trzasnęły drzwi. To ojciec.

Wyszedł z domu rozjuszony (czy kiedykolwiek było inaczej?), z całej siły trzaskając drzwiami. Wróci jutro albo pojutrze, kiedy skończą mu się pieniądze. Trzeźwy i skruszony, wśliźnie się do kuchni, zalutując wódką i papierosami. Matka z łkaniem podbiegnie do niego i zarzuci mu ramiona na szyję. Och Ralph... tak mnie wystraszyłeś... Wybacz... Daj mi jeszcze jedną szansę, przecież wiesz, jak bardzo cię kocham...

Jolene, garbiąc się, żeby nie uderzyć głową o belki na skośnym, niskim suficie, przeszła przez sypialnię. Całe pomieszczenie oświetlała jedna naga żarówka zwisająca z krokwi jak ostatni ząb w ustach starca, luźny i zawodny.

Uchyliła drzwi i nasłuchiwała. Czy już po wszystkim?

Ostrożnie zeszła wąskimi schodami, słysząc skrzypienie stopni pod swym ciężarem. Znalazła matkę w salonie. Zapadnięta w sobie, siedziała na kanapie z palącym się camelem przylepionym do kącika ust. Popiół osypywał się na kolana. Na podłodze wałały się pozostałości po awanturze: butelki, popielniczki i odłamki szkła.

Jeszcze kilka lat wcześniej Jolene starała się podnosić matkę na duchu. Lecz zbyt wiele nocy takich jak ta sprawiło, że się uodporniła i zhardziała. Teraz, znużona burzliwym małżeństwem rodziców, odczuwała jedy-

nie zniecierpliwienie. Wszystko zawsze wyglądało tak samo, a na nią nieodmiennie spadało sprzątanie całego bałaganu.

- Daj - powiedziała znużonym głosem, wyjmując matce papierosa z ust i gasząc go w popielniczce na podłodze przy kanapie.

Matka, z łzami toczącymi się po policzkach, popatrzyła na nią żałośnie.

- Jak ja będę żyć bez niego?

Jakby w odpowiedzi skrzyknęły tylne drzwi. Wraz z podmuchem zimnego, nocnego powietrza wionął do pokoju zapach sosen i wilgoci.

- Wrócił! - Matka odepchnęła ją i rzuciła się biegiem do kuchni.

- Kocham cię, skarbie. Przepraszam - dobiegł Jolene jej błagalny ton.

Podniosła się z kucek i powoli odwróciła. Rodzice stali spleceni w ciasnym, hollywoodzkim uścisku, w filmach zarezerwowanym dla spotkań kochanków po wojennej zawierusze. Matka tuliła się do ojca, uczepiona dłońmi wełnianej, kraciastej koszuli.

On stał chwiejnie i mogłoby się wydawać, że trzyma się na nogach wyłącznie dzięki niej, co było zupełnie niemożliwe, bo był postawnym mężczyzną; wysokim i barczystym, z dłońmi jak bochny chleba. Natomiast ona była drobna i blada. To po nim Jolene odziedziczyła wzrost.

- Nie możesz odejść - wychlipała matka.

Odwrócił głowę. Jolene przez ułamek sekundy widziała w jego oczach ból - a także, co gorsza, wstyd, zagubienie i żal.

- Muszę się napić - oznajmił głosem ochrypłym od palenia całymi latami papierosów bez filtra.

Wziął matkę za rękę i pociągnął za sobą przez kuch-

nię. Kryjąc zaskoczenie pod głupawym uśmiechem, podreptała za nim, nie bacząc, że jest bosa.

Dopiero gdy ojciec otworzył drzwi na dwór, do Jolene dotarło, co zamierza.

- Nie! - krzyknęła na cały głos, zrywając się na równe nogi i biegnąc za rodzicami.

Była ciemna, zimna lutowa noc. Deszcz siekł o dach i ściekał strugami z okapu. Wzięta w leasing ciężarówka do przewozu kłód, jedyna rzecz, o jaką ojciec dbał, stała na podjeździe podobna do gigantycznego owada. Jo-lene wybiegła na drewnianą werandę, potknęła się o piłę łańcuchową i czym prędzej się wyprostowała.

Matka przystanęła przy otwartych drzwiach po stronie pasażera i obejrzała się na nią. Mokre włosy oblepiały jej zapadnięte policzki, tusz spływał po twarzy. Uniosła bladą, drżącą rękę i pomachała.

- Karen, uciekaj z deszczu! - wrzasnął ojciec, a ona natychmiast go posłuchała. Sekundę później trzasnęły drzwi samochodu. Ciężarówka wycofała się z podjazdu, skręciła na drogę i odjechała.

Jolene kolejny raz została sama.

Cztery miesiące - pomyślała ponuro. Za cztery miesiące skończy szkołę średnią i będzie mogła wyjechać z domu.

Dom. Cokolwiek to znaczyło.

Tylko co ma ze sobą zrobić? Dokąd się udać? Pieniądzy na college nie było; wszystko, co udawało jej się zaoszczędzić, rodzice niezmiennie odnajdywali i „pożyczali”. Nie miała nawet na wynajęcie mieszkania, choćby na miesiąc.

Trudno powiedzieć, jak długo tam stała, zastanawiając się, martwiąc i patrząc, jak deszcz zmienia podjazd w błotną kałużę; wiedziała jedynie, że w pewnej chwili

przez ciemność nocy przebiło się niesamowite, nieziemskie migotanie.

Czerwień. Kolor krwi, ognia i straty.

Kiedy na podwórko wjechał policyjny radiowóz, nie była zaskoczona. Zaskoczyła ją natomiast reakcja na wiadomość, że rodzice nie żyją. Usłyszała własny rozpaczliwy płacz.

kwiecień 2005

W swoje czterdzieste pierwsze urodziny, tak samo jak każdego dnia, Jolene Zarkades wstała przed świtem. Ostrożnie, żeby nie obudzić męża, zsunęła się z łóżka, włożyła dresy, zebrała długie, jasne włosy w koński ogon i wyszła na dwór.

Wstawał piękny, wiosenny dzień z błękitnym niebem. Śliwy rosnące wzdłuż podjazdu stały obsypane kwiatami. Malutkie, różowe płatki fruwały ponad soczyście zielonym polem. Woda w zatoce Sound miała intensywnie niebieski kolor. Strome, pokryte śniegiem góry Olympic majestatycznie wznosiły się ku niebu.

Idealna widoczność.

Przebiegła drogą wzdłuż plaży dokładnie pięć i pół kilometra, po czym zawróciła i wpadła na podjazd zasapana i zarumieniona z wysiłku. Przecięła werandę, klucząc pomiędzy porozrzucanymi drewnianymi i wiklinowymi meblami ogrodowymi. W domu przywitał ją kuszący aromat mocno palonej kawy zmieszany ze śladowym zapachem gryzącego dymu żarzącego się drewna.

Zawsze najpierw włączała telewizor w kuchni; był nastawiony na CNN. Nalewając kawę, niecierpliwie czekała na wiadomości z Iraku.

Tego ranka stacja nie doniosła o żadnych ciężkich walkach. Nikt z żołnierzy ani znajomych tej nocy nie zginął.

- Dzięki Bogu - mruknęła.

Z kubkiem kawy ruszyła na górę i mijając po drodze sypialnie córek, skierowała się do własnej. Było jeszcze wczesnie. Może obudzi Michaela długim, niespiesznym pocałunkiem. Zaproszeniem.

Kiedy ostami raz kochali się rano? Kiedy w ogóle ostatnio się kochali? Nie potrafiła sobie przypomnieć. Urodziny wydawały się idealną okazją, żeby to zmienić. Otworzyła drzwi.

- Michael?

Ogromne łóżko było puste. Pościel rozrzucona. Czarny T-shirt Michaela - ten, w którym spał - leżał zmięty na podłodze. Podniosła go, złożyła na trzy równe części i położyła na łóżku.

- Michael? - powtórzyła, otwierając drzwi do sterylnej urządzonej łazienki. Kafelki, muszla, blaty szafek; wszystko było białe.

Mgiełka pary przesłoniła jej widok. Szklane drzwi pustej kabiny prysznicowej były rozsunięte. Wilgotny ręcznik kąpielowy wisiał niedbale przerzucony przez wannę. Kropelki wilgoci spływały po lustrze nad umywalką.

Pewnie już siedzi na dole, w gabinecie. A może planuje urodzinową niespodziankę. Tak kiedyś robił...

Wzięła szybki prysznic, rozczesała długie mokre włosy, zwinęła je w kok u nasady szyi i przez chwilę przyglądała się sobie w lustrze. Twarz o wysokich kościach policzkowych, podobnie jak cała sylwetka, była mocna i wyrazista; brązowe brwi podkreślały zieleń szeroko rozstawionych oczu, a usta wydawały się może ciut za duże. Większość kobiet w jej wieku nosiła staran-

ny makijaż i farbowała włosy, lecz ona nie miała na to czasu. Dobrze się czuła ze swymi popielatoblond włosami, z każdym rokiem ciemniejącymi o ton lub dwa, i z drobniutkimi zmarszczkami, które zaczęły się pojawiać w kącikach oczu.

Włożyła swój lotniczy kombinezon i poszła obudzić dziewczynki, lecz ich sypialnie też były puste.

Obie zeszły już do kuchni. Dwunastoletnia Betsy pomagała czteroletniej Lulu wdrapać się na stołek. Jolene cmoknęła młodszą pociechę w pulchny policzek.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, mamusiu! - wyskandowały chórem.

Miłość do córek gorącą falą zalała jej serce. Wiedziała, jak rzadko zdarzają się takie chwile. Trudno się w takich momentach nie wzruszać.

- Dzięki, dziewczynki. - Odwróciła się do nich z promiennym uśmiechem. - Piękny dzień na świętowanie czterdziestych pierwszych urodzin.

- To bardzo dużo - zauważyła Lulu. - Na pewno jesteś taka stara? Jolene ze śmiechem otworzyła lodówkę.

- Gdzie tata?

- Już wyszedł - powiedziała Betsy.

- Naprawdę? - Obejrzała się na córkę.

- Naprawdę - potwierdziła, przyglądając się matce z uwagą.

Jolene zmusiła się do uśmiechu.

- Pewnie planuje jakąś niespodziankę po pracy. Trudno. Po szkole zrobimy sobie imprezkę. Tylko my trzy. Z tortem. Co wy na to?

- Z tortem! - zapiszczała radośnie Lulu, klaszcząc w pulchne łapki.

Jolene miała prawo rozgniewać się na Michaela za taki brak pamięci, lecz co by jej to dało? Wiedziała, jak

pielęgnować uczucie szczęścia. Jeżeli odsuwa się przykre myśli, to one same znikają. Poza tym zaangażowanie Michaela w pracę było jedną z tych rzeczy, za które najbardziej go ceniła.

- Mamuś, mamuś, pobawmy się w koci, koci, łapci! -poprosiła Lulu, podrygując na stołku.

Jolene popatrzyła na młodszą latorośl.

- Kto zna rymowanekę? -Ja!

Jolene usiadła obok niej i wyciągnęła dłonie. Córka natychmiast ją po nich pacnęła.

-Koci, koci, łapci, pojedziem... - urwała recytację, patrząc, jak buzia córki się rozpromienia pod wpływem oczekiwania.

- Do babci! - dokończyła Lulu.

- Babcia da nam mleczka, dziadek cukiereczka. - Jolene po raz ostatni klepnęła córkę po rączkach i zabrała się do przygotowania śniadania. - Betsy, biegnij się ubrać. Mamy pół godziny do wyjścia.

Dokładnie pół godziny później Jolene zapakowała córki do samochodu. Podrzuciła Lulu do przedszkola, dając jej na pożegnanie buziaka, po czym podjechała pod gimnazjum usytuowane na szczycie sporego, trawiastego wzniesienia. Łagodnie hamując, wjechała na parking.

- Tylko przypadkiem nie wysiadaj - warknęła Betsy z tylnego siedzenia. - Jesteś w mundurze.

- Widzę, że nie dostanę przepustki w urodziny. - Jolene zerknęła we wsteczne lusterko. W ostatnich miesiącach jej słodki łobuziak przepoczwarzył się w humorzystą nastolatkę, dla której wszystko potencjalnie groziło ośmieszeniem, a szczególnie dotyczyło to matki, tak innej od innych mam. - Środa to dzień karier - przypomniała.

- Musisz przyjść? - Betsy jęknęła.

-Twoja nauczycielka mnie zaprosiła. Obiecuję, że nie będę się ślinić ani pluć.

- To wcale nie jest śmieszne. Żadna z fajnych dziewczyn nie ma mamy w wojsku. Nie przyjdiesz chyba w mundurze, co?

- Betsy, to moja praca. Myślę, że powinnaś...

- Nieważne. - Dziewczynka złapała za ciężki plecak; najwyraźniej nie taki, jak należy, bo wczoraj zażyczyła sobie nowy, wysiadła z samochodu i ruszyła prosto do dwóch dziewcząt stojących pod masztem do flagi. Teraz tylko one się dla niej liczyły: Sierra i Zoe. Betsy rozpaczliwie próbowała wkraść się w ich łaski. Zdaje się, że matka latająca śmigłowcem Gwardii Narodowej Stanów Zjednoczonych to żenada.

Kiedy znalazła się na wysokości koleżanek, obie jak na komendę odwróciły się do niej plecami niczym ławica ryb pryskająca przed zagrożeniem.

Jolene mocniej zacisnęła dłonie na kierownicy i zaklęła pod nosem.

Betsy sprawiała wrażenie przybitej i zawstydzonej. Ze zwieszonymi ramionami i *spuszczoną* głową szybkim krokiem przeszła obok, udając, że absolutnie nie miała zamiaru dołączyć do niedawnych przyjaciółek. Do szkoły weszła sama.

Jolene siedziała jeszcze przez chwilę, dopóki z zamyślenia nie wyrwał jej ponagląący dźwięk klaksonu. Doskonale rozumiała cierpienie córki, bo na własnej skórze poznała, czym jest odrzucenie. Czyż nie czekała bez końca na miłość rodziców? Musi nauczyć Betsy być silną, wybierać szczęście. Nikt cię nie zrani, jeżeli na to nie pozwolisz. Prawidłowy atak jest najlepszą obroną. W końcu odjechała. Chcąc uniknąć porannych korków, wybrała boczną drogę do Liberty Bay. Skręciła

na podjazd sąsiedniej posesji z małym, białym domem z prefabrykatów przytulonym do warsztatu samochodowego i dała znak klaksonem.

Tami Flynn, jej serdeczna przyjaciółka, wyszła na dwór już przebrana w lotniczy kombinezon, z długimi, czarnymi włosami zwiniętymi w ciasny koczek. Jolene była gotowa przysiąc, że na jej szerokiej twarzy w kolorze kawy nie uda się znaleźć choćby jednej zmarszczki. Tami uważała, że zawdzięcza gładką cerę swym indiańskim korzeniom.

Była dla Jolene niczym siostra, której ta nigdy nie miała. Poznały się jako nastolatki - dwie osiemnastoletnie dziewczyny, które zaciągnęły się do wojska, bo nie miały pojęcia, co zrobić z życiem. Obie w szkole średniej przeszły kurs pilotażu helikopterów.

Zbliżyła je miłość do latania, a podobne poglądy na życie scementowały przyjaźń. Przez dziesięć lat służyły w wojsku, a potem, kiedy małżeństwo i macierzyństwo nie dawały się pogodzić z czynną służbą, przeniosły się do Gwardii Narodowej. Cztery lata po przeprowadzce Jolene i Michaela do domu w Liberty Bay Tami z Carlem kupili działkę sąsiadującą z ich posesją.

Obie zaszły w ciążę w tym samym czasie, przeżywając wspólnie magiczne dziewięć miesięcy, i wzajemnie koły lęki. Ich mężów nic nie łączyło, lecz to nie miało dla Jolene większego znaczenia. Najważniejsze, że one w każdej chwili mogły na siebie liczyć. I zawsze tak było.

Masz mnie na szóstej - to sygnał, że drugi helikopter leci z tyłu w ułożeniu wskazówek zegara na godzinę szóstą. A tak naprawdę to znaczyło: jestem z tobą, wspieram cię. To właśnie Jolene znalazła w wojsku, w Gwardii i u Tami. Masz mnie na szóstej.

Gwardia oferowała im to, co najlepsze z obu sfer ży-

cia - mogły wychowywać dzieci, nadał służąc krajowi, no i pilotować śmigłowce. Latały razem przynajmniej dwa przedpołudnia w tygodniu, a także podczas tygodniowych ćwiczeń. To była najlepsza praca w niepełnym wymiarze godzin pod słońcem.

Tami wsunęła się na miejsce obok kierowcy i zatrzasnęła drzwi.

- Wszystkiego najlepszego z okazji urodzin, pilotko.

- Dzięki. - Jolene się uśmiechnęła. - Mój dzień, moja muzyka. - Podkręciła odtwarzacz CD i z głośników ryknął *Purple Rain* Prince'a.

W drodze do Tacomy zazwyczaj rozmawiały o wszystkim i o niczym, a kiedy nie plotkowały, śpiewały piosenki swojej młodości: Prince'a, Madonny, Michaela Jacksona. Minęły Camp Murray, siedzibę jednostki Gwardii, i skierowały się do bazy śmigłowców w Ford Lewis.

W szatni Jolene wyjęła z szafki ciężką lotniczą torbę ze sprzętem ratunkowym i zarzuciwszy ją na ramię, podążyła za Tami do biurka, potwierdziła uczestnictwo w dodatkowym szkoleniu lotniczym i podpisała listę płac, a potem skierowała się na płytę lotniska, wkładając po drodze hełm.

Mechanicy już byli na miejscu i szykowali blackhaw-ka do lotu. Na tle błękitu nieba śmigłowiec wyglądał jak duży drapieżny ptak. Jolene skinieniem głowy przywitała szefa ekipy technicznej, dokonała szybkiej inspekcji swojej maszyny, a po odprawie wspięła się do kokpitu, zajmując miejsce po lewej stronie. Tami usiadła w fotelu po prawej i włożyła hełm.

-Układ nawigacyjny i wyłączniki automatyczne, sprawdzam - powiedziała Jolene, uruchamiając silnik. Maszyna zawarczała, ogromne łopaty wirnika ruszyły i obracały się coraz szybciej z przenikliwym wyciem.

-Kontrola operacji, Raptor osiem-dziewięć, wylo-

gucie nas - powiedziała do mikrofonu i zmieniła częstotliwość. - Wieża, Raptor osiem-dziewięć gotowy do lotu.

Umiejętnie balansując, poderwała helikopter. Wznosił się teraz powoli. Z wprawą operowała sterami - jej stopy i dłonie były w ciągłym ruchu. Po chwili maszyna zanurzyła się w niebieskiej, bezchmurnej przestrzeni. Daleko w dole kwitnące drzewa tworzyły efektowną paletę barw. Jolene poczuła przyływ adrenaliny. Boże, jak kochała być tu, na górze.

- Podobno masz urodziny, pilotko - usłyszała w interkomie głos szefa załóg.

- Zgadza się - odpowiedziała ze śmiechem Tami. -A jak myślisz, dlaczego siedzisz dziś za sterami?

Jolene posłała jej radosny uśmiech. Och, jak ona uwielbiała to uczucie, potrzebowała go jak tlenu. Nieważne, że przybywało jej lat i zmarszczek na twarzy.

- Czterdzieste pierwsze urodziny. Czy można je lepiej świętować?

Miasteczko Poulsbo przycupnęło na brzegu zatoki Liberty Bay niczym urocza mała dziewczynka. Pierwsi osadnicy pochodzili ze Skandynawii, bo chłodne niebieskie wody, strzeliste góry i soczystozielone wzgórza przypominały im rodzinne strony. Wiele lat później potomkowie ojców założycieli zaczęli otwierać sklepy wzdłuż głównej ulicy Front Street, zdobiąc je skandynawskimi akcentami. Wszystkie dachy miały drewniane, rzeźbione gzymsy, wszystkie fronty ślimacznice.

Według rodzinnej legendy Zarkadesów te zdobienia natychmiast przypadły do serca matce Michaela. Jak twierdziła, już podczas pierwszej przechadzki po Front Street wiedziała, że tu właśnie chce zamieszkać.

Dziesiątki sklepików, w tym ten należący do niej, sprzedawały turystom ładne, ręcznie robione pamiątkowe drobiazgi.

Poulsbo leżało o rzut kamieniem od Seattle, lecz pokonanie tych paru kilometrów stanowiło prawdziwą udrękę. W ostatnich latach norweski urok miasteczka przyćmiła Michaelowi konieczność codziennej jazdy długą, krętą, zazwyczaj zakorkowaną drogą do przystani promowej na Bainbridge Island.

Z Poulsbo do Seattle można się było dostać na dwa sposoby - łądem lub wodą. Jazda zajmowała dwie godziny. Przeprowa promem z Bainbridge do terminalu na nabrzeżu Seattle - trzydzieści pięć minut.

Niestety, podróż promem łączyła się z czekaniem. Żeby się na niego dostać, należało odpowiednio wcześnie ustawić się w kolejce. Latem Michael jeździł do pracy rowerem; w deszczowe dni, takie jak dziś, a tych na północnym zachodzie nie brakowało, wybierał samochód. W tym roku zima szczególnie długo się ciągnęła, a wiosna była dżdżysta. Kiedy jeden szary dzień wstawał za kolejnym szarym dniem, siedząc w swoim lexusie na przystani, patrzył, jak świt mozolnie wypełza ponad pomarszczoną powierzchnię Sound. Potem wjeżdżał na prom, zostawiał samochód pod pokładem i wchodził na górę.

Dzisiaj Michael zajął mały stolik z laminowanym blatem przy bakburcie i przeglądał zeznania Woernera. Żółte sklerotki przyklejone do brzegu kartek przypominały klawisze; każda z nich zawierała zanotowane pisakiem uwagi podważające prawdomówność jego klienta.

Kłamstwa. Michael westchnął na myśl o mozolnym odkręcaniu tych zeznań. Jego idealizm, kiedyś taki niezłomny, osłabł po latach bronienia krętaczy.

Dawniej porozmawiałby o tym z ojcem, a on rozwiąłby jego rozterki, przypominając, jakie ich praca ma znaczenie.

Jesteśmy ostatnim bastionem, Michaelu, sam to wiesz - obrońcami wolności. Nie daj się złamać jakimś obwiesiom. Chronimy niewinnych, broniąc winnych. I tak to działa.

Chętnie widziałbym paru więcej niewinnych, tato.

Czyż wszyscy na to nie liczymy? Przecież każdy z nas czekana... taką sprawę. Taką, która da satysfakcję. Wiemy lepiej od innych, co się czuje, ratując komuś życie. Jakie wielkie to ma znaczenie. Tym się właśnie zajmujemy, Michaelu. Dlatego nie trać wiary.

Spojrzał na puste miejsce naprzeciw siebie.

Od jedenastu miesięcy musiał pracować sam. Ojciec jednego dnia, w pełni sił, rozmawiał z nim o prawie, które stanowiło jego życiową pasję, a drugiego niespodziewanie podupadł na zdrowiu i wkrótce zmarł.

Przez dwadzieścia lat wspólnie prowadzili kancelarię i śmierć ojca mocno nim wstrząsnęła. Żałował nie do końca wykorzystanego czasu, a przede wszystkim czuł się dziwnie samotny. Ta strata kazała mu przyjrzeć się również własnemu życiu i to, co zobaczył, budziło w nim rozgoryczenie. Do śmierci ojca czuł się szczęśliwy i zadowolony z losu; teraz - nie.

Pragnął o tym z kimś porozmawiać, podzielić się swoją stratą. Ale z kim? Nie mógł otworzyć się przed żoną. Nie przed Jolene, która wierzyła, że szczęście jest wyborem, a ściągnięte brwi odwróconym uśmiechem. Po doświadczeniach z okresu trudnego, ponurego dzieciństwa niecierpliwili ją ludzie, którzy nie potrafili być szczęśliwi. Ostatnio coraz bardziej drażniły go wypowiedane przez nią beztroskim tonem komunały w stylu: „czas leczy rany”. Uważała, że wie, czym jest żaloba, bo sama straciła rodziców, lecz nie miała poję-

cia, co się czuje, tonąc. Skąd miała to wiedzieć? Ona, twarda jak teflon.

Postukując piórem o blat stolika, wyrzął przez okno. Sound, dzisiaj ołowianoszara, wyglądała posępnie i tajemniczo. Mewa unoszona niewidzialnym prądem wydawała się wisieć w powietrzu.

Wtedy, przed laty, nie powinien ustąpić, kiedy Jolene nalegała, żeby kupili dom w Liberty Bay. Tłumaczył, że nie chce mieszkać tak daleko od miasta - ani tak blisko rodziców - lecz w końcu się poddał, zmiękczony jej przymilnymi prośbami i racjonalnymi argumentami, że przyda im się pomoc jego matki przy dzieciach. Gdyby *wtedy* nie *ustąpił*, gdyby nie uległ, nie siedziałby codziennie na promie, tęskniąc za człowiekiem, z którym tu się spotykał...

Prom zwalniał. Michael wstał, pozbierał papiery i włożył je do dyplomacki z jagnięcej skóry. Nawet nie zerknął na te zeznania. Włączając się w tłum, zszedł schodami na dolny pokład. Kilka minut później zjechał z promu i skierował się pod Smith Tower, kiedyś najwyższy budynek na zachód od Nowego Jorku, a teraz starzejący się gotycki symbol rozwijającego się miasta.

Na dziewiątym piętrze w kancelarii Zarkades, Antham i Zarkades *wszystko* było stare - podłogi, okna, które zdecydowanie wymagały wymiany, i nałożone jedna na drugą kolejne warstwy farby, lecz podobnie jak cały biurowiec kancelaria miała swoją historię i urodę. Widok z okien zajmujących całą ścianę wychodził na zatokę Elliott Bay z ogromnymi, pomarańczowymi żurawiami portowymi, przenoszącymi kontenery na tankowce. To tutaj, w tym miejscu, w ostatnich dwudziestu latach Theo Zarkades przygotowywał linię obrony w wielu najgłośniejszych i najpoważniejszych procesach kryminalnych. Na zebraniach palestry prawnicy nadal

wspominali z niejakim podziwem dar ojca do przeciągania łąwy przysięgłych na swoją stronę.

- Witaj, Michaelu. - Recepcjonistka podniosła głowę znad biurka.

Nie zatrzymując się, pozdrowił ją gestem dłoni i przeszedł obok pomieszczeń zajmowanych przez zaaferowanych aplikantów, zapracowane sekretarki i ambitnych młodszych partnerów. Wszyscy uśmiechali się do niego, a on im odpowiadał uśmiechem. Przed wejściem do narożnego gabinetu - wcześniej ojca, a teraz jego - zatrzymał się na rozmowę z osobistą asystentką.

- Dzień dobry, Ann.

- Dzień dobry, Michaelu. Bill Antham chciał się z tobą widzieć.

- Okey. Powiadom go, że już jestem.

- Dobrze.

Zniknął za drzwiami swojego biura, największego w całej kancelarii. Atutem tego pomieszczenia było ogromne okno z widokiem na Elliott Bay. Reszta wyglądała całkiem zwyczajnie: regały zastawione prawniczymi książkami, drewniana podłoga wytarta po wielu latach użytkowania, dwa wyściełane fotele i sofa obita czarnym zamszem. Jedynym prywatnym akcentem było rodzinne zdjęcie stojące obok monitora.

Rzucił dyplomatkę na biurko, podszedł do okna i zapatrzył się na miasto, które ojciec tak bardzo kochał. Zobaczył w szybie swoje odbicie - falujące czarne włosy, mocna, kwadratowa szczęka, ciemne oczy. Wypisz, wymaluj ojciec z czasów młodości. Ale on, będąc w wieku Michaela, na pewno nie czuł się taki znużony i bez chęci do życia.

Usłyszał pukanie i skrzypnięcie otwieranych drzwi. Do środka zajrzał Bill Antham, jedyny starszy partner

w firmie i najbliższy przyjaciel ojca. Po śmierci ojca Bill też się posunął. Może oni wszyscy się postarzeni.

- Witaj, Michaelu - przywitał go, kuśtykając w głąb gabinetu. Uświadomiło to Michaelowi, że Antham już dawno temu osiągnął wiek emerytalny. W zeszłym roku wymieniono mu oba stawy kolanowe.

- Siadaj, Billu. - Michael wskazał mu fotel najbliższej biurka.

- Dzięki. - Opadł na siedzenie. - Chcę cię prosić o przysługę.

- Jasne. - Michael wrócił za biurko. - Co mogę dla ciebie zrobić?

- Byłem wczoraj w sądzie i sędzia Runyon wyznaczył mnie do obrony z urzędu.

Michael z westchnieniem usiadł w fotelu. Wyznaczanie na obrońców z urzędu adwokatów specjalizujących się w sprawach karnych było częstą praktyką. Sędzia powołuje tego obrońcę, który akurat jest pod ręką, kiedy akt oskarżenia trafia na jego biurko.

- Co to za sprawa?

-Facet zabił żonę. Przynajmniej wszystko na to wskazuje. Zabarykadował się w domu i strzelił jej w głowę. Policjanci z jednostki SWAT wyciągnęli go stamtąd, zanim zdążył się zabić. Telewizja sfilmowała sporą część akcji.

Super. Oskarżony klient pokazany w telewizji.

- Chcesz, żebym wziął tę sprawę za ciebie?

- Nie prosiłbym... ale za dwa tygodnie wyjeżdżamy z Nancy do Meksyku.

- Jasne - zgodził się Michael. - Nie ma problemu. Bill powiódł wzrokiem po gabinecie.

- Ciągłe mi się wydaje, że go tu znajdę - wyznał cicho.

- Taa. - Michael pokiwał głową. Przez chwilę patrzy-

li na siebie, obaj mając w pamięci obraz człowieka, który wywarł tak duży wpływ na ich życie. Bill podniósł się z fotela, jeszcze raz podziękował i wyszedł.

Michael skupił się na pracy, pozwalając, aby całkowicie go pochłonęła. Przez wiele godzin studiował pisemne zeznania, raporty policyjne i odpisy z akt. Zawsze cechowała go wysoka etyka zawodowa i jeszcze silniejsze poczucie obowiązku. Teraz, kiedy tonął w żalu, praca stała się kołem ratunkowym.

O trzeciej skupienie przerwał brzęczyk interkomu.

- Michaelu? Mam Jolene na linii.

- Dziękuję, Ann.

- Pamiętałeś o jej urodzinach, prawda? Jasny gwint!

Odepchnął się z fotelem od biurka i złapał za słuchawkę.

- Cześć, Jo! Wszystkiego najlepszego!

- Dzięki.

Nie pokazała po sobie, że ma pretensje, bo zapomniał, chociaż wiedziała, że tak właśnie było. Jolene jak nikt potrafiła trzymać emocje na wodzy i nigdy, przenigdy się nie złościła. Czasami się zastanawiał, czy porządna awantura nie wpłynęłaby korzystnie na ich małżeństwo, lecz niestety, do kłótni trzeba dwojga.

- Jo, co powiesz na kolację w tamtym miejscu nad mariną? W tej nowo otwartej knajpce?

Zanim zdążyła zaproponować (zawsze tak się działo, jeżeli pomysł nie pochodził od niej), szybko dodał:

- Betsy jest już na tyle duża, żeby przez dwie godziny popilnować Lulu. To tylko półtora kilometra od domu.

Wytaczał ten argument od jakiegoś roku. Według mego dwunastolatka mogła popilnować młodszej sio-

stry, natomiast Jolene uważała inaczej. I jak w każdej sprawie w ich życiu liczyło się jej zdanie. Zdążył do tego przywyknąć... a jednocześnie miał tego dość.

- Wiem, jak cię absorbuje sprawa Woernera - powiedziała. - A może dam dziewczynkom kolację wcześniej i wyślę je na górę z jakimś filmem, a dla nas przygotuję coś smacznego? Albo, jeśli wolisz, wyskoczę do bistro po jedzenie na wynos. Tak lubimy ich dania.

- Na pewno tego chcesz?

- Najważniejsze, żebyśmy byli razem - odparła pogodnie.

- Dobrze - *ustąpił*. - Będę w domu o ósmej. Zanim odłożył słuchawkę, był już myślami gdzie indziej.

Wieczorem Jolene bardzo starannie wybrała ubranie. Od niepamiętnych czasów nie jedli kolacji tylko we dwoje i chciała, żeby ten wieczór wypadł idealnie. Żeby był romantyczny. Nakarmiła dziewczynki, wykąpała się w pianie, ogoliła nogi, spryskała się mgiełką o cytrusowym zapachu, włożyła džinsy i czarny sweter z łódkowym dekoltem.

Na dole znalazła Betsy z rozłożoną pracą domową na kawowym stoliku i Lulu na kanapie przed telewizorem. Siedziała owinięta w swój ukochany żółty kocyk i oglądała *Małą syrenkę*. Resztki naprędce zaaranżowanego urodzinowego przyjęcia nadal tkwiły na stole w jadalni; tort z dziurkami po świeczkach, różowy notes - prezent od Betsy - błyszcząca klamra do włosów od Lulu oraz pomięte papiery i poplątane wstążki.

- Ona nie będzie mi rozkazywać - zaprotestowała Lulu, kiedy Jolene weszła do pokoju.

- Mamo, powiedz jej, żeby się zamknęła. Usiłuję odrabiać lekcje - warknęła Betsy. - Ona za głośno śpiewa.

No i się zaczęło. Przekrzykiwały się jedna przez drugą.

- Ona nie będzie mi rozkazywać - powtórzyła Lulu, tym razem bardziej stanowczo. - Powiedz jej.

Betsy, przewracając oczami, demonstracyjnie wyszła z pokoju i głośno tupiąc na schodach, zniknęła na piętrze.

Jolene ogarnęło znużenie. Dotąd nie miała pojęcia, jak ciężki bywa los matki nastolatki. Jak często taka smarkula może stroić fochy? Gdyby Jolene na coś takiego się odważyła, ojciec tak by jej przyłożył, że zapewne wylądowałyby na ścianie.

Lulu podbiegła do pudła z zabawkami w kącie pokoju i zaczęła w nim gorączkowo przewracać. Wygrzebała opaskę z kocimi uszami, część jej kostiumu z ubiegłorocznego Halloween, nałożyła ją i odwróciła się do matki.

Jolene nie mogła powstrzymać uśmiechu. Jej czteroletnia córka stała przed nią podparta pod boki z podniszczonymi kocimi uszami na głowie. Z tymi spiczastymi, szarymi trójkątami przy buzi Lulu jeszcze bardziej niż zwykle przypominała chochlika. Mała nie wiadomo dlaczego ubzdurała sobie, że z tą opaską staje się niewidzialna. Miauknęła jak kot.

Jolene z teatralnie przestraszoną miną rozglądała się po pokoju.

- Och, nie... co się stało z moją Lucy Lou? Gdzie się podziała? - Krążąc po pokoju, zaglądała za telewizor, pod fotel, za drzwi.

- Tutaj jestem, mamusiu! - zachichotała Lulu, machając rękami.

- Aaa, tu jesteś! - Jolene westchnęła z udawaną ulgą. - Tak się martwiłam. - Wzięła córkę na ręce i zniosła na piętro. Mycie zębów i przebieranie w piżamkę trwało całe wieki, lecz czekała cierpliwie, wiedząc, jak bardzo jej młodsza latorośl potrafi być uparta i niezależna. Kiedy wreszcie była gotowa, Jolene położyła się na

łóżku i przytulona do niej, zaczęła czytać *Gdzie mieszkają dzikie stwory*. Zanim zdążyła dobrać do końca, Lulu już prawie spała.

- Dobranoc, kotku. - Pocałowała ją w policzek. - Dobranoc, mamus' - wymruczała sennie dziewczynka.

Jolene przecięła korytarz, zapukała do drzwi pokoju Betsy i weszła do środka.

Córka siedziała na łóżku z otwartym podręcznikiem do nauki o społeczeństwie na kolanach. Pszeniczno-blond loki opadały na jej nagie, chude ramiona. Kiedyś Betsy na pewno będzie dumna z porcelanowej cery, jasnych włosów i piwnych oczu, lecz nie teraz, gdy modne były proste włosy, a na jej twarzy pojawiały się trądzikowe wykwity.

Jolene usiadła na skraju łóżka.

- Mogłabyś być miłsza dla siostry.

- Ona jest nieznośna.

- Ty też. - Uśmiechnęła się na widok szeroko otwartych oczu córki. - I ja czasem miewam humory. Już tak to bywa w rodzinach. Poza tym wiem, co cię gryzie.

- Czyżby?

- Widziałam, jak cię potraktowały Sierra i Zoe. - Szpiegujesz mnie - obruszyła się córka nieco łamiącym się głosem.

- Patrzyłam, jak idziesz do szkoły. Trudno to nazwać szpiegowaniem. W zeszłym roku trzymałyście się razem. Co się stało?

- Nic! - ucięła buńczucznie dziewczynka i zacisnęła usta, ukrywając aparat na zębach.

- Może mogłabym ci jakoś pomóc. Też kiedyś miałam dwanaście lat.

Betsy rzuciła jej dobrze znane mniej więcej od roku spojrzenie, które znaczyło tyle co: „chyba cię pogięło”.

- Wątpię.

- Może jutro po lekcjach powinnaś zagadać do Setha. Pamiętasz, jak dobrze się razem bawiliście?

- Seth to świr. Wszyscy tak uważają. -Elizabeth Andreo, nie gadaj głupstw. Seth Flynn

nie jest świrem. To syn mojej serdecznej przyjaciółki. Co w *tym złego*, że nosi długie włosy i... jest nieśmiały? To twój kolega. Powinnaś o tym pamiętać. Któregoś dnia możesz go potrzebować.

- Jasne.

Jolene westchnęła. Słyszała tę zdartą płytę tysiąc razy. Obojętnie, o co *pytała*, odpowiedź Betsy zawsze była taka sama. „Jasne” zamykało temat.

-Jak uważasz. - Nachyliła się i pocałowała córkę w czoło. - Kocham cię do księżyca i z powrotem.

W to jedno zdanie, ich rodzinne powiedzonko, wlewali całą miłość. Bets, odpowiedz mi tak samo - poprosiła w duchu.

Odczekała dłużej, niż zamierzała, i zawiedziona rozzłościła się na siebie. Kolejny raz. Bycie matką nastolatki to pasmo rozczarowań.

- No dobrze - westchnęła, wstając.

-Dlaczego taty jeszcze nie ma? Przecież to twoje urodziny.

- Wróci lada moment. Wiesz, jaki jest zapracowany.

- Przyjdzie na górę powiedzieć mi dobranoc?

- Naturalnie.

Betsy skinęła głową i wróciła do czytania.

- Wszystkiego najlepszego, mamó - powiedziała, kiedy Jolene była przy drzwiach.

- Bets, dzięki. Sprawiałaś mi wielką radość tym notesem. Dokładnie taki chciałam.

Córka naprawdę odpowiedziała jej uśmiechem. Na dole skierowała się do kuchni i pozbierała naczy-

nia. Natarte przyprawami i czosnkiem żeberka duszone w winie bulgotały na kuchni, a ich zapach wypełniał cały dom. Dziewczynki za tym daniem nie przepadały, natomiast Michael je uwielbiał.

Otulona w miękkim, różowym pled wyszła na dwór ze szklanką wody mineralnej. Usiadła na jednym z wyplatanych wiklinowych foteli, oparła bosc stopy na sfatygowanym stoliku i zapatrzyła się na znajomy widok.

Dom.

Wszystko zaczęło się od poznania Michaela.

Pamiętała ze wszystkimi szczegółami tamten dzień.

Po śmierci rodziców przez jakiś czas liczyła, że ktoś przyjdzie jej z pomocą. Policja, pracownicy poradni rodzinnej, nauczyciele. Bardzo szybko dotarło do niej, że tak samo jak za ich życia jest zdana wyłącznie na siebie. W mroźny środowy poranek, nie bacząc na chłód, który przenikał do sypialni przez cienkie ściany, wstała wcześniej i włożyła swoje najlepsze rzeczy - wełnianą plisowaną spódnicę, szetlandzki sweterek, kolanówki i mokasyny z przeceny. Szeroką, niebieską opaską przytrzymała włosy opadające na oczy.

Wysupłała resztę pieniędzy zarobionych za pilnowanie dzieci i udała się do Seattle. W biurze pomocy prawnej spotkała Michaela.

Na widok tego śniadego, przystojnego i życzliwie uśmiechniętego mężczyzny dosłownie zapało jej dech w piersiach. Poszła za nim do odrapanego małego biura i wyłożyła swój problem.

- Za dwa miesiące skończę osiemnaście lat. W tym tygodniu straciłam rodziców. Zginęli w wypadku samochodowym. Odwiedził mnie pracownik socjalny i powiedział, że do pełnoletności muszę zamieszkać u rodziny zastępczej. Ale ja nikogo nie potrzebuję. A już na pewno nie jakiejś przyszywanej rodziny. Do czerw-

ca, kiedy dom przejmie bank, *zdążę* ukończyć szkołę średnią i wtedy mogę robić... cokolwiek. Czy może pan coś zrobić, żebym nie musiała iść do rodziny zastępczej?

Michael przyglądał jej się jakiś czas spod przymrużonych powiek.

- Będiesz sama.

- Jestem sama. Nie z wyboru.

- Pomogę ci, Jolene - oznajmił w końcu, a ona omal się nie rozpłakała.

W następnej godzinie przedstawiła mu wyretuszowaną wersję swojego życia. Wspomniał coś o tajemnicy obowiązującej adwokata, zapewniając, że może być z nim całkiem szczerą, lecz ona miała na ten temat własne zdanie. Dawno temu nauczyła się ukrywać prawdę. Gdyby ludzie wiedzieli, że rodzice są alkoholikami litowaliby się nad nią. Nie cierpiała tego, nie życzyła sobie, aby ktokolwiek się nad nią użalał.

Wypełnili niezbędne papiery.

- Jolene, zajrzyj do mnie za kilka lat. Zaproszę cię na obiad - powiedział na pożegnanie.

Do ich następnego spotkania upłynęło sześć lat. Była już wtedy pilotem w wojsku, a on prawnikiem w kancelarii ojca i właściwie nic ich nie łączyło. Jednak już tamtego pierwszego dnia duże wrażenie zrobił na niej jego idealizm i podobne poczucie moralności. Michael, tak jak ona, ciężko pracował i był bardzo obowiązkowy. Zgodnie z obietnicą zaprosił ją na obiad... i tak to się zaczęło.

Uśmiechnęła się do wspomnień.

Oddalone złote punkciki świateł wzdłuż linii wybrzeża sygnalizowały obecność domów. Przezrocyste chmury przesuwwały się po tarczy księżyca, łagodząc jego blask. Była czarna noc. Jolene spojrzała na zegarek. Wpół do dziewiątej.

Szybko stłumiła żal. Musiało mu wypaść coś ważnego. Życie już takie jest. Mało kiedy wszystko układa się idealnie. Przyjedzie.

Ale...

Ostatnio więcej wydawało się ich dzielić niż łączyć. Michael zawsze odnosił się z niechęcią do jej zaangażowania w pracę w wojsku. Ze względu na niego przeszła z czynnej służby do Gwardii Narodowej, lecz to go nie zadowoliło. Nie lubił słuchać o lataniu, o tygodniowych ćwiczeniach ani o przyjaciołach z jednostki. Zawsze był negatywnie nastawiony do wojska, lecz od czasu wojny w Iraku jego poglądy stały się jeszcze bardziej radykalne. Ich, kiedyś przyjazne, milczenie teraz cechowała pewna niezręczność. Zaczynało jej doskwierać poczucie osamotnienia, skoro nie mogła rozmawiać z mężem o sprawach, które się dla niej liczyły. Normalnie starałaby się to bagatelizować, lecz dziś wieczorem ta prawda rozsiadła się na pustym fotelu obok niej.

Wróciła do domu.

Za dziesięć dziewiąta.

Uniosła ciężką żółtą pokrywkę i zajrzała do rondla. Sos zdążył się wydusić, do ścianek naczynia przylgnęła ciemniejsza obwódka. Zabrzęczał dzwonek telefonu. Rzuciła się do aparatu.

-Halo?

- To ja, Jo. Przepraszam, że nie wróciłem na czas. -Michaelu, na czas nie wróciłeś godzinę temu. Co się stało?

- Przepraszam. Co jeszcze mam powiedzieć? Zająłem się pracą i zapomniałem.

-Zapomniałeś - powtórzyła, żałując, że to aż tak boli.

- Zrekompensuję ci to.

O mało nie zapytała: jak?, lecz co by jej to dało? Po co jeszcze bardziej zaognić sytuację? Nie uraził jej celowo.

- Dobrze.

- *Postaram się szybko wrócić, ale...*

Była zadowolona, że rozmawiają przez telefon; przynajmniej nie musiała się uśmiechać. Przeszło jej przez myśl, że Michael ostatnio się zmienił, że rodzina... i żona jakby niewiele go obchodzą. A jednak kochała go tak samo jak tamtego dnia przed wielu laty, kiedy po raz pierwszy ją pocałował.

Potrzeba czasu - pomyślała. Jeszcze tydzień, może miesiąc i wszystko się ułoży. Nadal jest pogrążony w żałobie po śmierci ojca. Po prostu musi być wyrozumiała.

- Wszystkiego najlepszego - powiedział.

-Dzięki. - Odłożyła słuchawkę i usiadła przy kuchennym stole. W ciemnym pomieszczeniu pełnym rodzinnych zdjęć i pamiątek, z meblami z wyprzedaży, które sama odnawiała, nagle poczuła się bardzo samotna. Starannie ubrana, siedziała w ciemnej kuchni. Sama jak palec.

Ktoś zapukał do drzwi. Zanim zdążyła podnieść się z krzesła, do kuchni wmaszerowała Tami z butelką szampana w ręce.

- Jesteś sama - zauważyła cicho.

- Coś zatrzymało go w pracy - wyjaśniła Jolene.

- Tego się obawiałam. - Oczy przyjaciółki posmutniały na moment, a Jolene poczuła złość na siebie za wrażenie, jakie na niej zrobiła.

- No cóż - zaczęła pogodnie Tami. - Kiepsko wchodzić w czterdziesty drugi rok życia bez publiczności. - Dopchnęła drzwi nogą. - Poza tym koniecznie muszę sprawdzić, czy przypadkiem łąda moment nie pokryjesz się zmarszczkami jak Gary Oldman w *Drakuli*.

- Nie zamierzam się pomarszczyć.

- Nigdy nie wiadomo.
- Szampan? - spytała Jolene, unosząc brew.
- Dla mnie. Nie mam rodziców alkoholików. Ty możesz jak zwykle żłopać mineralną.

Tami wprawdzie otworzyła butelkę, nalała sobie szampana, przeniosła się do pokoju dziennego, klapnęła na kanapę i uniosła kieliszek.

-Twoje zdrowie, moja gwałtownie starzejąca się przyjaciółko.

Jolene przeszła za nią do pokoju.

- Jesteś tylko kilka miesięcy młodsza ode mnie.
- My, rdzenni Amerykanie, nie starzejemy się. To naukowo dowiedziony fakt. Popatrz na moją mamę. Ciągłe ją proszą o dowód tożsamości.

Jolene usiadła na kanapie, podwijając pod siebie bosc stopy.

Przyjaciółki popatrzyły na siebie. Między nimi jak bąbelki szampana zawirowały wspomnienia wieczorów takich jak ten; kolacji, na które Michael się spóźnił, i okazji, które przepuścił przez nawał zajęć. Jolene często mówiła ludziom, a szczególnie Tami, jaka dumna jest ze swojego inteligentnego, odnoszącego sukcesy męża. I to wszystko była prawda, lecz Michael ostatnio nie wydawał się szczęśliwy. Śmierć ojca wywróciła jego świat do góry nogami. Wiedziała, że cierpi, lecz nie miała pojęcia, jak mu pomóc.

- To musi boleć - zauważyła Tami.
- Boli - przyznała cicho Jolene.
- Powinnaś z nim o tym porozmawiać, powiedzieć mu, co czujesz.
- Po co? Dlaczego mam go jeszcze bardziej dołować? Takie jest życie. Znasz podejście Michaela do pracy. To jedna z tych rzeczy, które u niego cenię. Nigdy nie uchyla się od odpowiedzialności.

- Chyba że chodzi o obowiązki względem rodziny -dowiedziała cicho Tami.

- Jest teraz bardzo zajęty. Od śmierci ojca...

- Wiem - przerwała jej przyjaciółka. -1 o tym też nie rozmawiacie. Ściśle mówiąc, ty nie rozmawiasz.

- Rozmawiamy.

Tami zmierzyła ją uważnym wzrokiem.

-Małżeństwa przechodzą trudne okresy. Czasami trzeba wziąć się w garść i zawalczyć o miłość. To jedyny sposób na kryzys.

Jolene wbrew woli przyszli na myśl rodzice; jak matka walczyła o miłość mężczyzny i nigdy jej nie zaznała.

- Posłuchaj, Tami. Między mną i Michaeliem dobrze się układa. Kochamy się. A teraz, błagam, czy mogłybyśmy zmienić temat?

Przyjaciółka uniosła opróżniony do połowy kieliszek.

- Twoje zdrowie. Świetnie wyglądasz jak na staruszkę.

- Świetnie wyglądam. Kropka.

Tami skwitowała to śmiechem i zaczęła opowiadać zabawną rodzinną historię.

Zanim się obejrzały, zrobiła się za dwadzieścia jedenasta. Tami odstawiała kieliszek.

- Czas na mnie. Obiecałam Carlowi, że wrócę na show Davida Lettermana.

Jolene wstała z kanapy.

- Dzięki, że przyszedłaś. Bardzo tego potrzebowałam. Tami uściskała ją serdecznie. Razem podeszły do tylnych drzwi.

Jolene patrzyła, jak przyjaciółka biegnie przez podjazd i znika na sąsiedniej posesji. Dopiero wtedy zamknęła drzwi.

W ciszy *została* jedynie ze swoimi myślami i wcale nie była zadowolona z ich towarzystwa.

o północy Michael wjechał do garażu i postawił samochód obok SUV-a Jolene. Na siedzeniu dla pasażera leżało dwanaście różowych róż owiniętych w celofan. Dopiero na promie w drodze do domu przypomniał sobie, że ona woli czerwone róże. Jasne. Wszystko, co delikatne i dziewczęce, nie jest w jej stylu, nigdy nie było. Nawet tamtego smutnego dnia, kiedy po raz pierwszy wkroczyła w jego życie.

Miała siedemnaście lat. Dzieciak w ciuchach z lum-peksu, z długimi, potarganymi włosami i cudownymi zielonymi oczami zapuchniętymi od płaczu. A mimo to weszła do jego biura pomocy prawnej wyprostowana, ściskając w dłoni zniszczoną plastikową torebkę. Odbywał wtedy staż po pierwszym roku studiów prawniczych.

Wydała mu się niesamowicie dzielna ta dziewczyna, która w najtrudniejszych chwilach życia nie chciała niczyjej pomocy. Z miejsca tak go zafrapowała, że poprosił, aby ponownie się spotkali, kiedy będzie starsza. Zaimponowała mu odwagą, którą nosiła z taką samą swobodą jak swój tandetny, akrylowy sweter.

Sześć lat później ponownie pojawiła się w jego życiu - tym razem jako pilot wojskowego śmigłowca. Był na tyle młody, żeby nadal wierzyć w miłość od pierwszego wejrzenia, i dość dojrzały, aby wiedzieć, że taka miłość nie zdarza się co dzień. Mówił sobie, że to nieistotne, iż poglądami bliżej mu do pacyfistów, a ona służy w wojsku i w gruncie rzeczy niewiele mają ze sobą wspólnego. Czuł się kochany i uwielbiany. No i seks z Jolene był niesamowity. W łóżku tak samo jak we wszystkim innym nie uznawała kompromisów.

Podniósł z fotela róże i małe pudełeczko z logo Tif-fany'ego, zastanawiając się, czy kosztowny prezent go rozgrzeszy. Ona się domyśli, że musiał kupić go wcześniej, że pamiętał o urodzinach, skoro kazał ten drobiazg wygrawerować. Ale czy to wystarczy? Nie stawił się na urodzinowej kolacji, zupełnie o niej zapomniał.

Już czuł znużenie na myśl o tym, co go czeka. Użyje całego swojego uroku, żeby przywołać uśmiech na jej twarz, będzie przeproszał, a ona mu wybaczy z wdziękiem i łatwością, bagatelizując całą sprawę, lecz w jej zielonych oczach pozostanie żal, a w uśmiechu zabraknie radości i będzie wiedział, że po raz kolejny ją rozczarował. Nie spisał się, co do tego nie ma wątpliwości, a ona będzie mu o tym przypominać na tysiąc różnych sposobów. Wreszcie, nie mogąc na nią patrzeć, odwrócony do niej w łóżku plecami i wpatrzony w ścianę, będzie wyobrażał sobie inne życie.

Wysiadł z samochodu i wszedł do domu. W ciemnej kuchni poszukał wazonu, wstawił róże i zaniósł je na piętro.

W sypialni paliła się jedynie mała, dekoracyjna lampa na biurku pod oknem. Postawił wazon na zabytkowej toaletce, przeszedł do łazienki, rozebrał się i przygotował do snu. Wsunął się do łóżka/ podciągnął kołdrę pod brodę i leżał nieruchomo z otwartymi oczami.

Kiedyś oddech żony działał na niego kojąco, teraz każdy odgłos wybijał go ze snu.

Zamknął oczy, z góry wiedząc, że nieprędko zapadnie w sen, a kiedy wreszcie to mu się uda, będą go prześladować sny o życiu nieprzeżyтым i o niedokonanych wyborach.

Obudził się wiele godzin później, czując się tak, jakby w ogóle nie zmrzył oka. W szarym świetle sączącym się przez okno ściany w kolorze szaławii miały od-

cień omszałego drewna. Rachityczne promienie słońca zdawały się wsiąkać w ciemne deski podłogi.

Uniósł się na łokciach, kołdra zsunęła się z piersi.

Jolene, blada, z jasnymi włosami rozsypanymi na poduszce, leżała z otwartymi oczami, odwrócona do niego półprofilem.

Już widział żal w jej oczach.

- Przepraszam. - Przechylił się, pocałował ją przelotnie i opadł na poduszkę. - Odbijemy to sobie.

- Wiem. To tylko urodziny. Może za dużo sobie po nich obiecywałam.

Przyniósł z toaletki pudełeczko od Tiffany'ego i podał je Jolene.

Przeszło mu przez myśl, że miała jakieś szczególne oczekiwania w związku z urodzinami. Nie chodziło o prezent; to nie Jo. To miało być... coś... Nie pamiętał co, lecz dostrzegł, jak lekko ściągnęła brwi na widok pudierka. Jednak szybko się opanowała.

- Och, Tiffany. - Uśmiechnęła się. Usiadła, podsunęła poduszkę pod plecy i uniosła wieczko. Na wyściółce z białej karbowanej skóry połyskiwał zegarek z platynowożłotą kopertą. Godzinę dwunastą wyznaczał brylancik.

- Piękny. - Odwróciła go i przeczytała wygrawerowany napis: „Jolene w 41. urodziny”. - Czterdzieści jeden lat - zadumała się. - Ha, czas szybko leci. Niedługo Betsy pójdzie do liceum.

Szkoda, że to powiedziała. Czas ostatnio nie był jego sprzymierzeńcem. Miał czterdzieści pięć lat i, jakkolwiek na to patrzeć, był już w średnim wieku. Zanim się obejrzy, stuknie mu pięćdziesiątka i przypadnie szansa na stworzenie nowej wersji samego siebie. Nadal nie miał pojęcia, jak ta wersja miałaby wyglądać, wiedział jedynie, że z obecnej spłynął kolor.

Przysiadł na łóżku obok Jolene. Gdy patrzył na żonę, nagle do niego dotarło, że jednak jej potrzebuje, że pragnie poczuć to, co kiedyś do niej czuł.

- Jak ty uporałaś się z... ich śmiercią - zapytał. - To znaczy... jak sobie poradziłaś? Przecież w jednej chwili wszystko się zmieniło.

Widział, jak drgnęła. To pytanie spadło na nią jak uderzenie, po którym zostaje siniec. Jednak kiedy spojrzała na niego, miała uśmiech na twarzy.

- Co cię nie zabije, to cię wzmocni. Chyba wybrałam szczęście.

Westchnął. Kolejny banał. Znowu ogarnęło go zniechęcenie.

- Podam ci śniadanie do łóżka, a potem może w czwórkę pojedziemy rowerami na wycieczkę.

Położyła zegarek, nadal w puzderku, na nocnym stoliku.

- Dzisiaj kapitan Lomand urządza u siebie w domu grilla z okazji moich urodzin. Mówiłeś, że może przyjdiesz.

Jasne; to o to go prosiła. Nic dziwnego, że zapomniał.

- Nic mnie nie łączy z tymi ludźmi, przecież wiesz. Wstał, podszedł do toaletki i otworzył górną szufladę.

- Ja jestem tymi ludźmi - przypomniała mu i znowu wkroczyli na teren najeżony niebezpieczeństwami. - To przyjęcie na moją cześć. Chociaż raz mógłbyś przyjść.

Obejrzał się na nią.

- Jutro wybierzemy się na kolację. Co ty na to? We czworo. Pójdziemy do twojej ulubionej włoskiej restauracji.

Westchnęła. Michael widział, że kombinuje, jak odbić piłeczkę ponad siatką tego tyle razy przerabianego tematu. Zależało jej, aby stał się częścią jej wojskowej ro-

dziny- Zawsze tego chciała, lecz on nie potrafił się przemóc, bo nie akceptował tego skostniałego świata, gdzie obowiązywała zasada: jeden za wszystkich, wszyscy za jednego.

- Trudno - ustąpiła w końcu. - Dzięki za zegarek, jest śliczny.

- Nie ma za co.

Patrzyli na siebie. Cisza gorzka jak zapach kawy gęstniała w powietrzu. Miał świadomość, że pewne rzeczy powinny zostać dopowiedziane, że pewne słowa nie powinny zalegać zbyt długo powstrzymywane, jednak kiedy one padną, gdy wyjawi, co naprawdę czuje, nie będzie odwrotu.

Po południu Tami z żaroodpornym naczyniem nakrytym folią stanęła w kuchni Jolene.

-1 co? - zapytała, domykając drzwi nogą.

Jolene obejrzała się na dzienny pokój, żeby sprawdzić, czy przypadkiem nie ma tam dzieci.

- Był skruszony - powiedziała. - Dał mi róże i piękny zegarek.

- To jemu przydałby się zegarek - palnęła Tami. Widząc minę przyjaciółki, wzruszyła ramionami. - Ja tylko tak...

- No. - Jolene pokiwała głową. - Prosiłam go, żeby przyszedł na grilla. Nie chce.

- Szkoda.

Jolene zmusiła się do uśmiechu. Trudno uwolnić się od porównań jej życia z życiem Tami. Carl był cywilem, ale bardzo ją wspierał. Przychodził na wszystkie uroczystości i często mówił, jaki jest z niej dumny. Zdjęcia zony w mundurze wisiały w domu razem ze szkolnymi fotografiami Seta i zdjęciami z różnych rodzinnych

okazji. Wszystkie zdjęcia Jolene w mundurze leżały poupychane po szufladach.

Odwróciła się, żeby nie widzieć rozczarowania w oczach przyjaciółki, i podeszła do schodów.

- Dziewczynki! - zawołała. - Schodźcie! Czas jechać. Lulu z uśmiechem na buzi, wystrojona w różową

sukienkę disnejowskiej księżniczki, z diademem na głowie, zeszła po schodach, ciągnąc za sobą swój kocyk. Betsy, splatając ramiona na piersi, stanęła na ich szczycie.

- Proooszę, pozwól mi zostać w domu - odezwała się błagalnie.

- Tik-tak, tik-tak.

- Tata nie musi tam jechać.

- Tata jest zajęty - przypomniała jej matka. - A ty nie. Betsy tupnęła i odwróciła się gwałtownie.

- Jasne - mruknęła i naburmuszona ruszyła do swojego pokoju.

- Pamiętam, jak bardzo chciałam mieć córkę - odezwała się Tami, stając obok Jolene. - Ostatnio nie jestem pewna.

- Cokolwiek powiem czy zrobię, wszystko nie tak. Uwierz mi, ona codziennie łamie mi kawałek serca. Przysięga, że ucieknie ze szkoły, jeżeli pojawię się na dniu karier. Jak widać, matka w wojsku to prawie taka sama żenada jak matka w więzieniu.

Tami objęła ją ramieniem.

-Ciebie wychowały wilki, nie wiesz więc, że to całkiem normalne. Moja mama przysięgała, że chciała mnie oddać Cyganom, kiedy miałam dwanaście lat. Nie znalazła chętnych.

- Seth będzie na imprezie?

-Oczywiście. To chłopiec. Oni są jak szczenięta, a dziewczynki jak koty. Chce mi sprawić przyjemność

i bierze ze sobą gierki komputerowe. W naszym domu na razie nie rozgrywają się dramaty. Chociaż przyznam, że brakuje mu Betsy.

Jolene podniosła oczy na podest.

- Mam nadzieję, że będzie dla niego miłsza. Tami pokiwała głową.

- Mój syn nie jest na fali. To mózgowiec, którego rajcuje odpowiadanie na pytania z biologii. Betsy chce się trzymać z popularnymi dziewczętami. Ja to rozumiem. Naprawdę. Pokazywanie się z Sethem jest towarzyskim samobójstwem, a to, że kiedyś byli przyjaciółmi, wcale jej nie pomaga. Niestety, on tego nie rozumie. Nie może się nadziwić, że ona nie ma już ochoty jeździć na deskorolce ani łapać krabów. W jego pokoju nadal wisi plakat, który zrobiła mu na urodziny.

Jolene nie bardzo wiedziała, co na to powiedzieć. Zanim cokolwiek przyszło jej do głowy, Lulu zeskoczyła z ostatniego stopnia i puściła się do niej biegiem. Złapała ją, posadziła sobie na biodrze i zanosła do terenówki. Kiedy zapięła ją w foteliku, wróciła do domu.

- Betsy, czekamy!

Dziewczynka zeszła ciężko po schodach z nadętą miną i słuchawkami iPoda w uszach. Przekaz był jasny: jadę, bo mnie zmusiłaś. Jolene, przymykając oko na ten bunt, ruszyła za córką do SUV-a.

- Gdzie Seth?! - ryknęła, otwierając drzwi samochodu.

Jolene siadła za kierownicą.

- Seth z ojcem spotkają się z nami na miejscu. Rano Pojechali na ryby. Bądź dla niego miła.

Betsy już nie słuchała. Zapięła pas i manipulowała Przy iPodzie.

- Jaka płytka? - Jolene zwróciła się do Tami.

- Dzisiaj królowa. Na twoją cześć.

- Czyli Madonna. - Wsunęła CD do odtwarzacza i ruszyła przy znajomych dźwiękach *Material Girl*.

Przyjaciółki rozmawiały i nuciły na zmianę. Lulu nie zamykała się buzia. Betsy milczała jak zaklęta.

Po chwili zajechały do Gig Harbor, na teren jednostki Ravenwood. Gwardziści zjechali się tu z całej tej części stanu - niektórym droga zajęła nawet kilka godzin.

Kapitan mieszkał na osiedlu identycznych, okolonych werandą domków w kolorze niebieskich zdobień na porcelanie Wedgwood. Dzieciaki, hałasując, biegały po terenie. Dom i jego otoczenie stanowiły odzwierciedlenie rodziny i człowieka, który tu mieszkał. Trawnik był zadbany, a rośliny starannie poprzycinane. Pięćdziesięcioletni kapitan Benjamin Lomand należał do najsympatyczniejszych ludzi, jakich Tolene znała.

Większość załóg śmigłowców wraz z rodzinami już zdążyła przyjechać; świadczył o tym wielokolorowy wąż samochodów zaparkowanych na kończącej się ślepo alejce. Co prawda Jolene z tego miejsca nie widziała podwórka za domem, lecz domyślała się, że jej współtowarzysze z Gwardii zgromadzili się wokół grilla z butelkami domowego piwa i puszkami coli, natomiast ich żony i mężowie rozmawiali zbici w gromadki, przy okazji mając oko na dzieci. I była pewna, że wszyscy są w dobrym humorze.

Zaparkowała terenówkę na skraju podjazdu. Carl z Sethem stali przed garażem. Machając do niej, szybko zbliżyli się do samochodu. Carl, w workowatych dżinsach, koszulce z logo Seahawks i bejsbolówce nasuniętej na czoło, żeby ukryć przerzedzone włosy, wyglądał jak jeden z tych, obecnie już nieco otyły, dobrze zbudowanych mężczyzn, którzy w szkole byli gwiazdami drużyny futbolowej, a teraz pracowali przy taśmie w Boeingu. Idealnie pasował do tego wizerunku, z tą tylko różnicą, że posiadał własny warsztat samochodowy.

Seth ani trochę nie przypominał ojca. Był chudym dwunastolatkiem o kanciastych ruchach, z cerą poznaczoną trądzikiem, oczami, które sprawiały wrażenie nieco za dużych w stosunku do pociągłej twarzy, i kruczoczarnymi włosami sięgającymi niemal do połowy pleców. Dzisiaj przyszedł ubrany w dopasowane lewisy (wszyscy wiedzieli, że na fali są bojówki) i w przy duży T-shirt z wizerunkiem zespołu Nine Inch Nails.

Tami wysiadła z samochodu, zabierając ze sobą owinięte folią żaroodporne naczynie.

- Oto i miłość mojego życia - przywitał ją Carl, otwierając przed nią ramiona. Śmiejąc się, podała mu szkło. Na pewno przygotowała swoją słynną siedmio-warstwową zapiekankę.

- Spóźnione, ale najszczęśliwsze - Carl zwrócił się do Jolene, kiedy wysiadła z samochodu.

- Dzięki. - Otworzyła tylne drzwi i odpięła pas Lulu. Zupełnie jakby uwolniła krakena. Mała zeskoczyła na ziemię i popiskując radośnie, ruszyła na poszukiwanie towarzyszy zabawy.

Betsy z ociąganiem wyłoniła się z auta, nadal ze słuchawkami w uszach. Na widok stroju Setha otworzyła szeroko oczy i zacięła usta. Jolene widziała, że się boi, iż ktoś może zobaczyć, jak rozmawia z przyjacielem z dzieciennych lat. Pchnęła lekko córkę w stronę chłopaka, a ona zatoczyła się i zapewne wpadłaby na niego, gdyby w porę nie wyciągnął ramion.

-Rany... - To krótkie słowo rozpadło się w jego ustach na dwie tonacje.

- Oby nikt tego nie widział - warknęła, odskakując jak oparzona i czym prędzej się oddalając.

Seth odprowadził ją wzrokiem i wzruszywszy ramionami, skierował się na trawnik. Usiadł po turecku i zajął się kieszonkową grą.

Jolene odnotowała w pamięci, żeby porozmawiać z Betsy o jej zachowaniu w stosunku do Setha. Naprawdę nie potrafiła pojąć, jak może go tak traktować.

Z zafoliowaną szklaną miską sałatki coleslaw ruszyła za Tami i Carlem na podwórko. Gdy skręcili za narożnik domu, miała całe towarzystwo jak na dłoni - swoich przyjaciół z załóg śmigłowców.

Często się spotykali, bo ta grupa od lat odbywała razem ćwiczenia. W „cywilnym” świecie należeli do różnych środowisk: byli wśród nich dentyści, drwale i mechanicy. Ale na jeden weekend w miesiącu i na dwa tygodnie w lecie stawali się żołnierzami. Ćwiczyli ramię w ramię, z dumą służąc ojczyźnie. I chociaż Michael przy słuchaniu jej opowieści przewracał oczami, Jolene uwielbiała tych ludzi. Byli podobni do niej; wstąpili do Gwardii, bo wierzyli w służbę krajowi, w patriotyzm, w konieczność obrony Ameryki. Oni wierzyli. Nie było wśród nich ani jednej osoby, która nie oddałaby życia za Jolene. Tak samo zresztą jak ona za nich.

Na jej widok wszyscy chórem odśpiewali *Happy Birthday*.

Śmiała się, czując przypływ ogromnej, szczerzej radości. Tylko jedno trochę psuło tę radość; żal, że nie ma Michaela. Mogłaby się teraz odwrócić do niego i szepnąć mu, jak wiele ta przyjaźń dla niej znaczy. Jak ważna jest dla niej ta chwila. Bóg świadkiem, że rodzice nigdy nie pamiętali o jej urodzinach.

Po odśpiewaniu piosenki jubilatka obeszła krąg, dziękując wszystkim po kolei i z każdym zamieniając parę słów. Kiedy wreszcie postawiła miskę z coleslawem na stole, który już się uginał pod ciężarem sałatek, zapiekane, deserów oraz najróżniejszych sosów i przypraw, Owen „Smitty” Smith podał jej szklanę z lemoniadą. Był z ich grona najmłodszy - piegowaty dwudziestolet-

ni dzieciak, który zaciągnął się do Gwardii, żeby opłacić studia.

- Dzięki, Smitty.

Uśmiechnął się, błyskając metalowym aparatem na zębach.

- Wszystkiego najlepszego, szefowo - powiedział. - pani ma tyle samo lat co moja mama.

- Piękne dzięki. - Zaśmiała się, a on zmył się szybko, żeby dołączyć do swojej nowej dziewczyny.

- Chorąży Zarkades - odezwał się Jamie Hix, wślizgując się za stół obok niej i przechylając w toaście butelkę z coroną. Był strzelcem pokładowym w jej załodze. Świeżo rozwiedziony dwudziestodziewięciolatek walczył z Giną, była żoną, o wspólne prawo do opieki nad ośmioletnim synem. Ich rozwód miał bardzo burzliwy przebieg. - Czterdzieści jeden lat, co?

Sięgnęła po surową marchewkę z tacy i nagarnęła nią ranch dressing.

- Sama nie mogę w to uwierzyć.

- Szkoda, że Michael nie zdołał przyjść.

Nie zaskoczył jej tym stwierdzeniem. Wiedziała, że większość obecnych tu przyjaciół niejednokrotnie się zastanawiała, dlaczego Michael tak rzadko pokazuje się na ich spotkaniach. Starali się ją chronić. Niewiele mieli przed sobą sekretów, bo zbyt długo razem ćwiczyli.

- Dużo pracuje i ma bardzo odpowiedzialną pracę. - Taak. Gina też rzadko się pokazywała.

To porównanie, chociaż w miarę delikatne, nieco ją ubodło. Już miała mu to powiedzieć, lecz współczujący wyraz oczu Jamiego sprawił, że nagle poczuła się samotna. Bąknęła coś, nie bardzo wiedząc co, wstała od stołu, ominęła grilla, przy którym wszyscy zdawali się świetnie bawić, i skierowała się do różanego ogrodu kapitana. Przyglądała się ciasno zwiniętym, intensywnie

różowym pąkom. Różowe. Ona lubiła czerwone róże. Kiedyś Michael o tym pamiętał.

- Wszystko w porządku? - spytała Tami, stając przy niej i żartobliwie szturchając ją biodrem.

- Jasne - odpowiedziała szybko.

- Jestem z tobą - powiedziała cicho przyjaciółka, jakby odgadując jej myśli. - Wszyscy jesteśmy.

- Wiem.

Powiodła spojrzeniem po twarzach ludzi, którzy tak wiele dla niej znaczyli. Wszyscy w odpowiedzi machali do niej albo się uśmiechali. Kochali ją, troszczyli się o nią; ci ludzie byli dla niej rodziną tak samo jak Michael i dziewczynki. Powiodło jej się w życiu.

Nic nie szkodzi, że nie ma Michaela; nie są nierozłącznymi bliźniętami, tylko małżeństwem. Nie muszą wszystkiego dzielić.

Gdy w środę rano Jolene wracała z przebieżki, natknęła się na werandzie na Betsy. Córka czekała na nią w szlafroku narzuconym na przyciasną piżamę i w różowych kozaczkach eskimoskach. Minę miała skrzywioną -dość typowy obrazek w ostatnich czasach.

Jolene przebiegła przez podjazd, sapiąc i wydmuchując kłęby pary.

- Co się stało?

- Dziś jest środa - przypomniała Betsy takim samym tonem, jakim wyszeptuje się informację: masz raka.

Aha. O to chodzi.

- Sio! - Jolene zagoniła córkę do ciepłego domu.

- Mamo, nie możesz się pokazać. Powiem, że jesteś chora.

- Nie opuszczę dnia karier - stwierdziła stanowczo Jolene, nastawiając kawę.

- Wspaniale. Zrujnujesz mi życie! - wytknęła jej piskliwie Betsy. Uciekła na górę, z hukiem zamykając drzwi swojego pokoju.

- O nie, tak być nie może - mruknęła Jolene, podążając za córką na piętro. Energicznie zapukała do drzwi.

-Odejdź!

Zapukała jeszcze raz.

- Dobra. Wchodź. I tak wejdiesz. Nie ma prywatności w tym głupim domu.

Jolene przełknęła to sympatyczne zaproszenie i nacisnęła klamkę.

Pokój Betsy stanowił odbicie gustu zarówno dwunastolatki, która obecnie go zajmowała, jak i tamtego urwisa sprzed zaledwie paru miesięcy. Ściany nadal były w bladożółtym kolorze, wybranym przez Jolene prawie dziesięć lat temu. Dawno wywędrowało stąd dziecinne łóżko, toaletka i oprawione w ramki ryciny z *Kubusia Puchatka*. Teraz stało tu duże łóżo z kolumnkami nakryte kapą z denimu i zabytkowa, żółta komódka z niebieskimi gałkami, a ryciny zastąpiły plakaty z kudłatymi chłopakami z ulubionych boys-bandów małaolat. Wszędzie widoczne były ślady wojny pomiędzy dzieciństwem a okresem dorastania. Na nocnym stoliku obok słoja z kamykami z plaży i agatami oraz ulubionej niegdyś siatki do łapania owadów -prezentu od Setha na ósme urodziny - walały się przybory do makijażu (wymalowana mogła chodzić wyłącznie po domu). Ubrania, które przymierzała, pomieszane z rzeczami zdjętymi wczoraj po szkole, walały się na podłodze.

Naburmuszona Betsy siedziała na łóżku z kolanami podciągniętymi pod brodę.

Jolene przysiadła na brzegu łóżka. Serce rwało się do córki, którą tak odmieniła szkoła średnia. Ten kiedyś zadziorny i ufny łobuziak pogubił się w morzu aroganckich dziewczyn i trudnych towarzyskich wyborów. Ostatnio brak pewności siebie sprawił, że nic nie przychodziło jej łatwo, a każda decyzja musiała zyskać aprobatę rówieśniczek. Liczyła się wyłącznie akceptacja grupy i chyba nie było z tym najlepiej.

- Dlaczego nie chcesz, żebym przyszła na dzień karier?
- Bo mi wstyd. Już ci mówiłam. Nikt, kto jest na topie, nie ma mamy żołnierza.

Jolene starała się nie odebrać tego osobiście i prawie jej się udało. Poczowała jedynie lekki żal, podobny do ukłucia igłą.

- Ty nie wiesz, co to wstyd - powiedziała cicho, przypominając sobie własną matkę, która pijana wtoczyła się na wywiadówkę. „To co ona naarobiła?” - wybełkotała.

- Sierra będzie się ze mnie nabijać.

- W takim razie kiepska z niej koleżanka, prawda? Bets, dlaczego mi o niczym nie mówisz? Przecież ty, Sierra i Zoe trzymałyście się razem.

-Bo ty mi wszystkiego zabraniasz. One mogą się malować do szkoły i chodzić do galerii, kiedy chcą, a nie tylko w weekendy.

Znowu te same pretensje.

- Jesteś za młoda na makijaż. Umówiliśmy się, że kiedy skończysz trzynaście lat, będziesz mogła się delikatnie malować i przekłuć uszy. Przecież pamiętasz.

-To ty się umówiłaś - wypomniała jej Betsy z goryczą.

- Jeśli nie lubią cię dlatego, że nie tuszujesz rzęs...

- Ty nic nie rozumiesz.

- Bets - zaczęła Jolene najserdeczniej, jak potrafiła. -Co się stało?

Czułość zrobiła swoje. Betsy zalała się łzami. Jolene przygarnęła córkę do siebie i trzymała w ramionach, pozwalając jej się wypłakać. Trwało to całe wieki. Betsy szlochała, jakby pękło jej serce, jakby umarł ktoś, kogo kochała. Jolene tuliła ją do siebie, gładząc po kręconych fosach.

- W zeszłym tygodniu Si-Si-erra przyniosła papierosy do szkoły - wychlipała. - Kie-kiedy powiedziałam, że to zabronione, nazwa-nazwała mnie ofiarą losu i namawiała, żebym zapaliła.

Jolene na wszelki wypadek nabrała powietrza. -I zapaliłaś?

- Nie, ale one teraz się do mnie nie odzywają. Wyzywają mnie od lizusów.

Jolene żałowała, że nie może trzymać córki w ramionach, dopóki nie miną zagrożenia, dopóki nie dorośnie na tyle, aby swobodnie i bez zahamowań radzić sobie z takimi sytuacjami. Pragnęła ją pocieszyć, doradzić coś po matczynemu, lecz nic nie przychodziło jej do głowy. Dopóki nie znalazła się w wojsku, gdzie obowiązywały proste i jasne zasady, nigdzie nie pasowała. Dzieciaki ze szkoły widziały, że jest inna - może z powodu starych ubrań, a może dlatego, że nie chodziła na imprezy ani nie zapraszała nikogo do domu. Kto wie? W pewnym sensie dzieci są jak Rycerze Jedi - wyczuwają najmniejsze zawirowania Mocy. Ale ona już jako dziecko znalazła wyjście - nauczyła się kontrolować i głęboko chować swoje uczucia.

Dlatego niewiele wiedziała o tak desperackim pragnieniu dopasowania się do grupy. W normalnych okolicznościach zapewne zrobiłaby Betsy wykład o sile charakteru i wierze we własne możliwości, może nawet podsunęłaby pomysł, jak się może odegrać na koleżankach. Ale wiadomość o papierosach w szkole obudziła jej niepokój. Jeżeli koleżanki Betsy, były koleżanki, popalają, musi stanowczo zareagować.

- Zadzwoń do mamy Sierry i...

- BOŻE, nie! Obiecaj, że tego nie zrobisz. Bo inaczej już nigdy nic ci nie powiem. - Przeraziła się nie na żarty. - Mamo, obiecaj. Proszę...

- Dobrze. - Jolene ustąpiła. - Na razie nic nie będę robić- Ale, skarbie, pamiętaj, że jeżeli Sierra i Zoe palą w szkole, nie musisz ich naśladować. Może poszukałabyś sobie nowych przyjaciół. Na przykład te dziewczęta z drużyny lekkoatletycznej. Wydają się sympatyczne.

- Tobie wszyscy wydają się sympatyczni. -A Seth?

Betsy przewróciła oczami.

- To lamus. Wczoraj przyniósł do szkoły gitarę i grał na niej na długiej przerwie. Ale siara.

- Kiedyś lubiłaś słuchać, jak gra.

-I co z tego? A teraz nie lubię. Wszyscy sobie z niego kpią- Jolene widziała, że córka jest załamana.

- Oj Betsy! - Westchnęła. - Jak możesz tak traktować Seta? Sama wiesz, jak ci przykro, kiedy Sierra i Zoe są dla ciebie niedobre.

- Jeżeli będę się z nim kolegować, wszyscy się ode mnie odwrócą.

- Bets, nie możesz być takim lemingiem.

- Co?! Chcesz powiedzieć, że jestem gryzoniem?

- Tak chciałabym ci pomóc. - Westchnęła. - Niestety, musisz sama sobie radzić. Bardziej się starać. Jeżeli ty będziesz dobra dla ludzi, oni odpłacą tym samym,

- Chcesz mi pomóc? Opuść dzień karier. I tak wróciły do początku rozmowy.

- Nie mogę. Dobrze wiesz. Zobowiązałam się. Kiedy się coś przyrzeka, trzeba dotrzymać słowa. Na tym polega honorowe postępowanie. A honor i miłość są w życiu najważniejsze.

- No, jasne.

- W przyszłym roku się nie zgłoszę. Co ty na to? Betsy popatrzyła na nią badawczo.

- Słowo?

-Słowo.

Nareszcie na jej twarzy pojawił się cień uśmiechu. Jolene wolała nie myśleć, że wywołała go obietnicą rezygnacji z uczestniczenia w życiu córki.

Tak jak myślała, dzień karier okazał się katastrofą. Betsy przeżywała męki. Jolene starała się zachowywać bardzo powściągliwie i uważnie kontrolowała głos, opowiadając, jak w wieku osiemnastu lat, ucząc się w szkole średniej, robiła jednocześnie kurs pilotażu. Uczniowie z otwartymi ustami słuchali opowieści o akcjach, w których uczestniczyła, chociażby takich, jak podjęcie turystów z góry Mount Rainer podczas zejścia lawiny w zeszłym roku. Zadawali pytania o gogle noktowizyjne, broń i ćwiczenia wojskowe. Jolene starała się umniejszać swoją rolę i nie mówiła nic o satysfakcji i dumie, jaką czerpała z pilotowania blackhawka. Nie umknęło jej jednak, że córka coraz niżej wsuwała się pod ławkę, jakby chciała zniknąć, a po prelekcji pierwsza znalazła się przy drzwiach. Sierra z Zoe z ironicznymi uśmiechami pokazywały ją palcami z drugiego końca sali gimnastycznej.

Od tamtego dnia zachowanie Betsy jeszcze się pogorszyło. Zrobiła się humorzasta; pokrzykiwała, popłakiwała i przewracała oczami. Nie chodziła normalnie, tylko tupiała. Wszędzie: na dole, na piętrze i na schodach. Zaczęła też trzaskać drzwiami. Pierwsza dopadała do telefonu i nieodmiennie odchodziła rozczarowana, bo nikt do niej dzwonił. Brak telefonów dla dwunastolatki stanowi katastrofę. Może Jolene przesadzała, lecz ta sytuacja naprawdę ją martwiła. W takim wieku niewiele czasem potrzeba, żeby wpaść w depresję.

- Dzisiaj są pierwsze zawody lekkoatletyczne. Wiesz,

co to oznacza. Ewentualne upokorzenie. Martwię się -podzieliła się rano swoimi obawami z Michaeliem. Leżał obok niej w łóżku i czytał gazetę.

Liczyła na jakąś reakcję, lecz szybko się okazało, że albo on nie ma nic do powiedzenia, albo jej nie słuchał.

- Michaelu?

- Co? Ach. Znowu to samo. Nic jej nie będzie. Przestań się nad nią trząść.

Odłożył gazetę, wstał i zniknął w łazience, zamykając za sobą drzwi.

Westchnęła ciężko. Jak zwykle zostawała sama z rodzinnymi problemami. Podniosła się z łóżka, włożyła dresy i udała się na przebieżkę.

Po powrocie wzięła prysznic, szybko się ubrała i zbierając mokre włosy w koński ogon, poszła obudzić dziewczynki. Na dole w kuchni naląła sobie filiżankę kawy i zasiadła do śniadania. Racuszki z borówkami.

- Hej! - dobiegł ją zza pleców głos Michaela. Obejrzała się.

Uśmiechał się blado, wymuszonym uśmiechem, niesięgającym ciemnych oczu. To nie był tamten jego uśmiech, którym kiedyś zdobył jej serce.

Uderzyło ją, jaki jest przystojny. Ciemne, faliste włosy, bez śladu siwizny w wieku czterdziestu pięciu lat. Należał do mężczyzn, których się dostrzega. Kiedy Michael Zarkades wchodził do pomieszczenia, wszystkie oczy kierowały się w jego stronę. A on, świadomy tego, bardzo to lubił.

- Zdążysz na zawody, tak? Wiem, że masz dużo pracy, i rozumiem, że o tej porze nigdy nie wracasz do domu, ale tym razem to bardzo ważne. Wiesz przecież, że Bets to córeczka tatusia.

Michael znieruchomiał z filiżanką przy ustach.

- Ile razy masz zamiar mi przypominać?

Uśmiechnęła się.

- Przynudzam? Też mi nowina. Po prostu zależy mi, żebyś się pojawił. Punktualnie. Ostatnio niewiele potrzeba, żeby ją zranić, i...

- Mamo! - Betsy z płaczliwym piskiem wpadła do kuchni. - Gdzie jest moja pomarańczowa bluza z kapturem? Muszę ją mieć!

Lulu z potarganymi po nocy włosami i żółtym kocykiem w objęciach przydreptała za nią.

- Z kapturem, z kapturem.

- Zamknij się! - wrzasnęła Betsy. Mała wygięła usta w podkówkę. Poczłapała do stołu

i usiadła na swoim krzeselku.

- Uprałam twoją szczęśliwą bluzę - uspokoiła ją Jolene. - Wiedziałam, że będziesz ją chciała włożyć.

- Och. - Z ust Betsy wyrwało się westchnienie ulgi.

- Przepraszam siostrę - odezwał się Michael ze swojego miejsca przy kuchennym blacie.

Betsy wymamrotała przeprosiny, a Jolene przyniosła z pralni bluzę - prezent od Michaela, który córka traktowała jak talizman. Oczywiście jego pochodzenie nie pozostawało bez znaczenia. Ich starsza córka potrzebowała uwagi ze strony ojca i często pozostawała jej tylko ta bluza.

Betsy wyrwała jej z rąk bluzę w kolorze pomarańczowego sorbetu i włożyła na siebie.

Jolene widziała, jaka jest blada i roztrzęsiona. Zerknęła przez ramię na Michaela, chcąc sprawdzić, czy też to dostrzega, lecz on już zdążył wsadzić nos w gazetę. Był z nimi, a jednocześnie jakby go nie było. Ile czasu to już tak trwa - zastanowiła się niespodziewanie.

Betsy usiadła przy stole.

Matka położyła jej dłoń na ramieniu.

-Pewnie bardzo przeżywasz dzisiejsze zawody. Rozmawiałam z trenerem i według niego...

- Rozmawiałaś z moim trenerem?

Zamilkła i cofnęła rękę. Widać znowu popełniła błąd.

- Powiedział, że robisz ogromne postępy na treningach.

- Nie do wiary. - Betsy pokręciła głową i wbiła wzrok w talerz, na którym leżały dwa racuszki z oczami z borówek i ustami z syropu klonowego.

- Ja chcę pana racuszka! - zawołała Lulu, zła, że nie jest w centrum uwagi.

- Bets, to normalne, że się denerwujesz - tłumaczyła Jolene. - Ale widziałam, jak biegasz. Jesteś najlepszą sprinterką w grupie juniorów.

- Wcale nie jestem najlepsza. - Spiorunowała ją wzrokiem. - Tak mówisz, bo jesteś moją mamą. To taka reguła.

- Obowiązuje mnie jedna reguła - kochać ciebie - odparła Jolene. - I bardzo cię kocham. I jestem z ciebie dumna. Bo masz odwagę podjąć ryzyko. Imponuje mi, że walczysz. Nam wszystkim to imponuje - podkreśliła, kierując te słowa do Michaela, który czytał gazetę rozłożoną na blacie szafki. Obok, przypięty do ściany, wisiał kalendarz, na którym Jolene zaznaczała, co i gdzie ma do załatwienia. Na dzisiejszej dacie widniała notatka z drukowanych, czerwonych liter: ZAWODY.

Betsy podążyła za jej spojrzeniem.

- Przyjdiesz, tato? Zaczynamy o wpół do czwartej. Cisza. Oczekiwanie. Ile to mogło trwać? Sekundę?

Minutę? Jolene modliła się, żeby podniósł głowę i złożył obietnicę z tym swoim czarującym uśmiechem.

- Michaelu - upomniała go. Wiedziała, że ma ważną Pracę, i szanowała jego zaangażowanie. Rzadko nalegała, aby przychodził na rodzinne okazje, lecz te pierwsze zawody miały szczególne znaczenie.

Podniósł głowę, zirytowany jej tonem.

-Co?

-Betsy przypominała ci o zawodach. Początek o wpół do czwartej.

- Tak, jasne. - Odłożył gazetę i posłał córce promienny uśmiech, który tyle kobiet, łącznie z Jolene, przyprawiał o szybsze bicie serca. - Jak mógłbym zapomnieć o wielkim dniu mojej księżniczki?

Drobna, blada buzia rozciągnęła się w rozanielonym uśmiechu i błysnął metalowy aparat na dużych, krzywych zębach.

Michael podszedł do stołu i pochylając się nad Betsy, cmoknął ją w czubek głowy, wzburzył czarną czuprynę Lulu i skierował się do drzwi, po drodze ściągając kurtkę z oparcia krzesła i dyplomatkę z blatu szafki.

-Wiedziałaś, że... - zaczęła Betsy, uszczęśliwiona jego uwagą.

Wyszedł, zatrzasnął za sobą drzwi i przełamując zdanie córki w pół.

Zwisała nad stołem; szmaciana lalka, z której wypruto trociny.

- Nie słyszał - usprawiedliwiała go Jolene. - Wiesz, jak jest, kiedy spieszy się na prom.

- Powinien sobie zbadać słuch - burknęła Betsy, z rozmachem odsuwając talerz.

Michael stał przy oknie w swoim gabinecie. W ten zimny szary dzień Seattle zdawało się wrzeć pod ciężką pokrywą chmur. Deszcz zasnuwał widok, wygładzając twarde, stalowe krawędzie wysokościowców. Daleko w dole posłańcy na rowerach niczym kolibry pomykali pomiędzy samochodami.

Odezwał się brzęczyk interkomu.

Podszedł do biurka i nacisnął guzik.

- Tak, Ann? O co chodzi?

- Dzwoni jakiś Edward Keller.

- Znam go?

- O ile wiem, nie. Ale twierdzi, że to pilne.

-Dobrze, połącz. - Stał za biurkiem. Pilne telefony od nieznajomych stanowiły stały element obrony w procesach karnych.

- Michael Zarkades. - Podniósł słuchawkę, gdy zaterkotał telefon.

- Mecenasiu, dziękuję, że zgodził się pan na rozmowę. - O ile wiem, ma pan bronić z urzędu mojego syna.

- Jak się nazywa pański syn?

- Keith Keller. Aresztowano go za zabójstwo żony. Sprawa, którą sędzia Rogers przydzielił Billowi.

- Tak, zgadza się, panie Keller. Właśnie miałem zapoznać się z aktem oskarżenia. - Przerzucał papiery na biurku w poszukiwaniu skoroszytu ze sprawą Kellera. - O, jest - powiedział, wyciągając teczkę ze sterty dokumentów. - Prawdę mówiąc, o drugiej mam się spotkać z pańskim synem.

O drugiej.

Cholera.

Zawody.

- Martwię się o niego, mecenasie. Nie zgadza się na widzenie. Chciałbym z panem porozmawiać, o ile to możliwe. Przekonać pana, że to naprawdę dobry dzieciak.

Niemniej jest oskarżony o zabójstwo.

- Na pewno wkrótce zaproszę pana na rozmowę - obiecał Michael. - Jednak najpierw muszę porozmawiać z klientem. Czy zostawił pan swój numer mojej asystentce?

-Tak.

- Dobrze.

-Mecenasie? To dobry dzieciak. Ja nie rozumiem, czemu on to zrobił. Michael wolałby, żeby to ostatnie zdanie nie padło.

- Panie Keller, będziemy w kontakcie. Dziękuję za telefon.

Odłożył słuchawkę i spojrzał na zegarek. Dwunasta dwadzieścia siedem. Zapomniał o tym spotkaniu z Kellerem. Powinien je przełożyć ze względu na zawody.

Nadal mógł to zrobić. Albo wcześniej podjechać do aresztu. Kalendarz Kellera raczej nie obfitował w terminy.

Jeszcze raz sprawdził godzinę. Jeżeli od razu wyjdzie, powinien dotrzeć do aresztu kwadrans przed pierwszą. W takim razie zdąży porozmawiać z klientem i złapać prom o drugiej zero pięć.

ponury pokój przesłuchań w areszcie King County zalatywał stęchlizną. Nie było tu weneckiego lustra jak w *Kryminalnych zagadkach Miami*. Całe umeblowanie stanowił podniszczony, przymocowany na stałe do betonowej podłogi stół, nad którym wisiała lampa w metalowej osłonce, oraz blaszany pojemnik na śmieci w kącie. Żaden przedmiot w tym pomieszczeniu nie mógł posłużyć do ataku.

Michael usiadł przy stole naprzeciwko swojego nowego klienta. Keith Keller miał krótko ostrzyżone, jasne włosy, ostro zarysowane kości policzkowe i budowę ciała wskazującą albo na używanie anaboliów, albo na obsesyjne ćwiczenia w siłowni. Musiał nerwowo przygryzać usta, bo miał spękane wargi.

Ścienny zegar odmierzał upływające w ciszy minuty.

Keith siedział nieruchomo jak głaz, patrząc przed siebie niepokojąco pozbawionymi wyrazu oczami.

Siedzieli tak jakieś trzydzieści minut z okładem. Keith nie odezwał się słowem i tylko słycać było jego głośny, chrapliwy, jakby zaflegmiony oddech.

Michael spojrział na zegar - pierwsza dwadzieścia jeden - i przeniósł wzrok na leżące przed nim na stole papiery. Jak dotąd dostał jedynie raport z aresztowania, o wiele za mało, żeby oprzeć na tym obronę. Według tego, co tam napisano, Keith biegał po ulicy z bronią, strzelając, do czego popadło, dopóki sąsiedzi nie wezwali policji. Kiedy przyjechał radiowóz, zabarykadował się na wiele godzin w domu. I wtedy właśnie miał strzelić żonie w głowę. Według raportu policjantów przed ujęciem groził, że popełni samobójstwo.

To wszystko nie trzymało się kupy. Keller miał dwa-

dzieścia cztery lata i czystą kartotekę. W przeciwieństwie do większości klientów Michaela nigdy nie był karany, nawet jako nastolatek za jakąś drobną kradzież w sklepie. Po szkole średniej wstąpił do piechoty morskiej i zakończył służbę z honorowym wyróżnieniem. Potem zaczął pracować. Nie było mowy o kontaktach z gangami czy używaniu narkotyków.

- Keith, muszę zrozumieć, co się właściwie stało. Mężczyzna wpatrywał się w ten sam punkt na ścianie,

który przyciągał jego uwagę trzy kwadranse wcześniej.

Nadal cisza zakłócana jedynie tym okropnym, świszczącym oddechem.

Michael z westchnieniem spojrzął na zegarek. Jeżeli ten dzieciak nie chce sobie pomóc, jego sprawa. On musi zaraz stąd wyjść, bo inaczej nie zdąży na prom i spóźni się na początek zawodów.

-Trudno, Keith. Zamierzam złożyć wniosek o badanie psychiatryczne. Nie możesz stanąć przed sądem, skoro nie jesteś w stanie uczestniczyć we własnej obronie. Wolisz wylądować w szpitalu psychiatrycznym zamiast w więzieniu? Twój wybór.

Brak odzewu.

Odczekał jeszcze chwilę, licząc na jakąś reakcję. Ponieważ się nie doczekał, wstał i zaczął składać papiery.

-Jestem po twojej stronie, Keith. Wbij to sobie do głowy.

Wsunął dokumenty do dyplomatki, zamknął ją i ruszył do drzwi. Już miał nacisnąć dzwonek przywołujący strażnika, gdy jego klient wreszcie przemówił.

- Po co te całe korowody? Jestem winny.

Michael zatrzymał się w pół kroku. Ze wszystkich rzeczy, jakie ten dzieciak mógł powiedzieć, ta akurat była najmniej pożądana. Adwokat w sprawach kryminalnych nie chce tego wiedzieć, bo taka wiedza ogranicza możli-

wości obrony. Odwrócił się powoli, spodziewając się, że Keith podniósł na niego wzrok, tymczasem on wpatrywał się w swoje palce, jakby w brudzie za paznokciami kryła się co najmniej tajemnica nieśmiertelności.

- Kiedy mówisz, że jesteś winny...

- Strzeliłem jej w głowę. - Po tych słowach załamał mu się głos. Podniósł głowę. Michael, mając często w swojej praktyce do czynienia z żalem, widział go teraz w oczach tego młodego człowieka. - Dlaczego pan ma być po mojej stronie?

Jasny gwint.

Teraz będzie musiał mu wytłumaczyć, na czym polega relacja klienta z adwokatem, jak działa amerykański system prawny i co oznacza domniemanie niewinności. Kolejny raz zerknął na zegarek. Pierwsza trzydzieści siedem. Nie ma mowy, aby zdążył na rozpoczęcie zawodów, ale przecież nic się nie stanie, jeśli przyjdzie w trakcie.

Wrócił do stołu, usiadł i wyciągnął z dyplomatki arkusz papieru.

- Musisz wiedzieć, jak to działa...

Dwadzieścia po drugiej Jolene zatrzymała samochód przed Green Thumb, ogrodniczym sklepem teściowej, i wprowadziła Lulu do środka.

Dzwonek nad drzwiami zadźwięczał wesoło. Ten mały, kiszgowaty sklep, wcześniej staromodna apteka (nawet z fontanną z wodą sodową), był ulubionym miejscem ogrodników hobbystów. Mila, matka Michaela, otworzyła go przed dziesięciu laty, właściwie dla rozrywki, lecz po śmierci Thea to miejsce stało się jej sanktuarium. Podobnie jak syn była osobą bardzo obowiązkową i spędzała tu wiele godzin.

- Yia Yia! - zawołała Lulu, wyrywając rączkę z dłoni Jolene. Ruszyła do przodu z typowym dla siebie entuzjazmem. - Gdzie jesteś?!

Teściowa wymotała się z kurtyny z połyskliwych koralików, oddzielającej zaplecze.

- Czy ja słyszę moją wnusię?

- Tu jestem, Yia Yia! - zapiszczała radośnie Lulu. Mila miała na sobie swoje zwykłe robocze ubranie:

T-shirt sięgający ud, zielony płócienny fartuch maskujący obfite kształty i dżinsy wpuszczone w pomarańczowe gumki. Mocny makijaż podkreślał jej południową urodę: czarne jak smoła łuki brwi, błyszczące piwne oczy i pełne, skore do uśmiechu usta. Wyglądała jak Greczynka, mówiła z akcentem i psuła wnuki tak samo, jak wcześniej rozpieszczała syna. Dla Jolene stała się matką, taką, o jakiej zawsze marzyła.

Jolene jeszcze jako młoda mama spędzała z teściową dużo czasu, grzebiąc z nią ramię w ramię w czarnej, żyznej ziemi. Z początku sądziła, że nauki starszej pani dotyczą chwastów, istoty mocnego systemu korzeniowego i odpowiedniego nasłonecznienia potrzebnego do wzrostu, dopiero później do niej dotarło, że tak naprawdę Mila mówiła o życiu, o miłości i o rodzinie. Gdy nadszedł czas podjęcia decyzji o zakupie domu dla ich rodziny, Jolene bez namysłu wybrała Poulsbo. To miasto stało się dla niej „domem” w chwili, kiedy teściowa po raz pierwszy ją wyściskała, szepcząc do ucha: „Jesteś dla niego stworzona, ale ty przecież o tym wiesz, prawda?”.

- Witaj, Lucy Louido. - Mila silnymi ramionami poderwała wnuczkę z ziemi i posadziła na ladzie obok kasy.

- Dzień dobry, Yia Yia - wyszczebiotała Lulu. - Pobawimy się w koci, koci, łapci?

- Nie teraz, *kar dla mou*.

Jolene stanęła za teściową i uściskała ją serdecznie. Do końca życia zapach perfum Shalimar będzie jej się kojarzyć z tą kobietą.

Mila przytuliła się do niej. Jej ufarbowane na czarno, natapirowane włosy połaskotały synową po policzku.

- Czas popatrzeć, jak moja duża wnuczka pędzi niczym wiatr - powiedziała, klasnąwszy w pulchne dłonie. - Jestem gotowa. - Dała jeszcze instrukcje starszemu panu, który pomagał jej w sklepie, i po chwili jechały już do szkoły, a słońce szczęśliwie nareszcie przedarło się przez chmury.

W szkole wrzało jak w ulu. Wokół nich uczniowie, nauczyciele i rodzice szykowali bieżnię i boisko futbolowe. Drużyna przeciwników zbiła się w gromadkę na drugim końcu terenu. Zespół Betsy w niebiesko-żółtych bluzach okupował miejsce przy bramce.

- Cześć, Yia Yia! - Betsy, machając do nich, przybiegła się przywitać.

Jolene uśmiechnęła się do córki, która przez jedną krótką chwilę sprawiała wrażenie zadowolonej, że rodzina przyszła pokibicować. To był ważny moment w jej życiu - pierwsze szkolne zawody lekkoatletyczne. Jolene ze wzruszenia ścisnęło w gardle. Pochyliła się i pocałowała starszą latorośl.

- Rany! - Betsy zrobiła wielkie oczy i czym prędzej się cofnęła.

- Och, przepraszam. - Jolene z trudem stłumiła śmiech. - Na szczęście nikt nie widział.

- Potworne! - Mila parsknęła śmiechem. - Przeróżające! Twój ojciec też nie znosił, kiedy go całowałam przy ludziach. A ja się tym nie przejmowałam. Kładłam mu w głowę, że kochająca matka to skarb.

- No. - Betsy, nerwowo przygryzając wargę, obejrzała się przez ramię na kolegów.

- Bets, dasz radę - szepnęła Jolene, przysuwając się bliżej.

Córka podniosła na nią wzrok i przez chwilę znowu wyglądała jak tamta mała dziewczynka, która uwielbiała stawiać babki z piasku i łapać gąsienice.

-Przegram. Zobaczysz. Mogę się nawet potknąć i przewrócić.

- Nie przewrócisz się. Życie jest jak jabłko. Musisz odgryzać wielkie kęsy, żeby poczuć jego smak.

- No - odmruknęła z ponurą miną. - Cokolwiek to znaczy.

- To znaczy: powodzenia - wytłumaczyła Mila.

- Chodźmy zająć miejsca na trybunie - zaproponowała Jolene.

- Gdzie tata? - spytała Betsy.

- Przyjdzie - uspokoiła ją matka. - Prom powinien właśnie dopływać. Powodzenia, skarbie.

Posadziła sobie Lulu na biodrze i wniosła ją na trybunę. Na ławkach siedziało około czterdziestu osób, głównie mam z dziećmi. One z Milą wybrały miejsca w środkowym rzędzie. Jakies pięć minut później dołączyła do nich zasapana i czerwona z wysiłku Ta mi.

- Coś mi umknęło? - spytała, wsuwając się na miejsce obok Jolene.

- Niiee.

Punktualnie o czwartej wystrzał z pistoletu obwieścił pierwszą konkurencję - bieg chłopców na milę.

Lulu pisnęła, słysząc strzał. Zerwała się z ławki i biegała tam i z powrotem po trybunie, wołając:

- Popatrz na mnie, mamusiu!

- Gdzie Michael? - zaniepokoiła się Mila. - Jeszcze wczoraj mu przypomniałam o zawodach.

- Na pewno jest już w drodze - odpowiedziała Jolene. - Lepiej, żeby był.

Tami rzuciła jej spojrzenie, które znaczyło: „denerwujesz się?”.

Odpowiedziała jej potakującym skinieniem głową.

Po biegu chłopców przysła kolej na dziewczęta na tym samym dystansie.

Jolene wyłowiła z torby komórkę i wybrała numer Michaela. Odezwała się poczta głosowa. Nerwowo za-tupała.

Michael, pospiesz się... obyś zdążył na czas... Dziesięć po czwartej wezwano zawodniczki do konkurencji Betsy - sprintu na sto metrów.

- Na miejsca...

Zabręczą komórka. Dzwonił Michael. Czym prędzej odebrała.

- Jeżeli jesteś na parkingu, to się pospiesz. Zaraz się zaczniesz.

- Jestem w areszcie - odpowiedział. - Mój klient...

- A więc odpuściłeś - stwierdziła ostrym tonem. Poniżej, na bieżni, Betsy podeszła do linii startu.

Pochyliła się, ułożyła dłonie na ziemi, wstawiła stopy w bloki.

- Do diabła, Jo... Rozległ się wystrzał.

- Muszę kończyć - warknęła Jolene i się rozłączyła. Podniosła się z ławki i dopingowała Betsy, która biegła ile sił w nogach, młóćąc ramionami powietrze. Jolene z dumy łzy zakręciły się w oczach.

- Betsy! Betsy! - dopingowała córkę.

Dobiegła do mety jako druga. Przez moment ciężko dyszała zgięta wpół, a potem podniosła wzrok na trybunę. Promieniała. Z triumfalnym uśmiechem patrzyła na swoją rodzinę.

Po chwili jednak jej uśmiech przygasł. Ojca nie było. Pobiegnęła dołączyć do drużyny.

Jolene powoli opadła na ławkę. Wiedziała, jak to boli, kiedy rodzice odmawiają dziecku upragnionej uwagi. Chciała, aby jej dzieci nigdy nie zaznały tego uczucia. Owszem, może przesadzała, to tylko zawody, ale jednak liczy się pierwszy raz. Jak długo Betsy będzie pamiętać ten dzień, ile czasu może żywić żal? I jak łatwo przyszło Michaelowi dokonać innego wyboru?

Odbył się kolejny bieg, tym razem na dwieście metrów. I tym razem Betsy dała z siebie wszystko, lecz zniknęło poczucie triumfu, a wraz z nim uśmiech na twarzy. Była na mecie czwarta. Zawody trwały dalej, Lulu biegała tam i z powrotem pomiędzy ławkami na trybunie, a trójka dorosłych nie ruszała się ze swoich miejsc.

- Nie rozumiem - odezwała się w końcu Mila. - Dwukrotnie mu przypominałam.

- Dwa razy się na niego natknęłam, co w sumie daje cztery przypomnienia - dorzuciła Tami. - Jedynym usprawiedliwieniem takiego zapominalstwa mógłby być guz mózgu. Proszę wybaczyć, ja tylko mówię...

- Pod tym względem nie różni się od swojego ojca - wyznała Mila. - Błagałam Thea, żeby przychodził do szkoły Michaela na różne uroczystości, ale on wiecznie był zajęty. Dla nich praca jest najważniejsza.

- Rodzina jest równie ważna - zauważyła cicho Jolene.

- Tak. - Teściowa westchnęła. - To samo mówiłam jego ojcu.

Lulu podbiegła do nich i klapnęła na ławkę. Jolene poznała po jej minie, że lada moment albo zacznie marudzić, albo zapadnie w sen.

Kiedy piętnaście po piątej zawody dobiegły końca, wzięła małą za rękę i podniosła się z ławki.

- No cóż, zbieramy się.

Zeszły po schodach na boisko, gdzie kręcili się wymieszani już teraz zawodnicy z obu szkół.

- Tam jest - powiedziała Lulu, wskazując palcem Betsy, która stała samotnie przy słupku bramki.

Jolene zamknęła swoją zawodniczkę w serdecznym uścisku.

- Jestem z ciebie taka dumna.

- Drugie miejsce, wielka mi rzecz - prychnęła, wywijając się z jej ramion.

Jolene widziała, jak Betsy, najpierw rozżalona, otacza się teraz murem gniewu. Tak właśnie ostatnio funkcjonowała - wszelkie silne emocje przechodziły w gniew.

- Nigdy jeszcze nie widziałam, żeby ktoś tak biegł, *kardia mou*. Pędziłaś jak wiatr.

- Dzięki, Yia Yia. - Nawet nie wysiliła się na uśmiech.

- A może pójdziemy na pizzę i lody? - zaproponowała Mila, składając dłonie.

- Dobra - zgodziła się ponuro Betsy.

Razem opuściły boisko. Dla Jolene, i dla Betsy pewnie też, oczywiste było, że wszystkie paplają jak najęte, żeby jakoś zatuszować brak Michaela. Przez następną sztucznie wesołą godzinę śmiały się przesadnie głośno ze średnio zabawnych dowcipów. Jolene nie umiałyby zliczyć pochwał, jakie Betsy w tym czasie usłyszała. Te komplementy rozbijały się o otaczający ją mur, nie wywołując nawet śladu uśmiechu. Każdą z nich drażnił widok pustego krzesła przy stole.

Zanim jeszcze wyszły z restauracji i dojechały do domu, Jolene po raz pierwszy w życiu kipiała ze złości na Michaela. Ze ją rozczarował - trudno - jest dorosła i jakoś to przeżyje. Ale nie wolno mu łamać serca dziecku.

W drodze powrotnej Mila jako jedyna usiłowała załagodzić sytuację.

- Twój tata bardzo chciał tu dzisiaj być - zapewniła jeszcze wnuczkę, odwracając się do niej, zanim zatrzymali się przed jej domem. - Ja to wiem.

- Nie ma sprawy - mruknęła Betsy.

Mila zawahała się, zapewne zastanawiając się nad jakąś odpowiedzią, lecz chyba nic nie przyszło jej do głowy, bo tylko uśmiechnęła się smutno, odpięła pas i wysiadła z samochodu.

Po powrocie do domu Jolene wprowadziła auto do garażu i wystawiła fotelik z Lulu.

- Gdzie tata? - zapytała sennie mała.

- Był zbyt zajęty, żeby przyjść - powiedziała ostrym głosem Betsy. - Ale mam to w nosie. - Trzasnęła drzwiami samochodu i wbiegła do domu.

Jolene wzięła Lulu na ręce i zaniósła na piętro. Posłała łóżko, przeczytała jej bajkę i otuliła kołdrą. Mała zasnęła, zanim zdążyła głową dotknąć poduszki.

Potem stanęła pod drzwiami pokoju starszej córki. Zapukała i weszła do środka.

Betsy leżała już w łóżku, pryszczatą buzię miała zaczerwienioną od tarcia. Złoto-niebieskie dresy leżały w nieładzie na podłodze. Czerwona szarfa, którą wygrała, znalazła miejsce na nocnym stoliku.

Jolene wsunęła się do łóżka i położyła obok niej.

- Co tym razem znajdzie na swoje usprawiedliwienie? Co miała na to powiedzieć? Ze etyka zawodowa jej

taty i poczucie obowiązku czasami są dla niego ważniejsze od rodziny? Trudno jej było go za to winić; oboje bardzo poważnie podchodzili do pracy, a on nauczył się tego od swojego ojca. Mężczyznom z klanu Zarkadesów zdarzało się rozczarować żony i dzieci, natomiast nigdy nie zawodzili klientów.

-Ach kochanie... czasami musimy wybaczać różne rzeczy ludziom, których kochamy. Tak to już jest w ży-

ciu. Sama wiesz, jaką tata ma odpowiedzialną pracę. Zależy od niej ludzkie życie.

- I tak mam to w nosie - powtórzyła Betsy z uporem, lecz w jej oczach pojawiły się łzy.

Jolene przytuliła ją do siebie.

- Nieprawda. Masz prawo być na niego zła. Ale on cię kocha, Bets.

- Jasne.

- Wiesz, że dzisiaj byłaś super?

Poczuła, jak dziewczynka trochę się rozluźnia.

- No, chyba nieźle mi poszło.

Leżały tak przez jakiś czas, rozmawiając o tym i owym, a potem Jolene pocałowała ją w czoło, życzyła kolorowych snów i zeszła na parter.

Przysiadła na zimnej, ceglanej podstawie kominka przed czarnym, pustym paleniskiem i zapatrzyła się na swoje dłonie. W myślach krzyczała na Michaela, wyrzucała mu, że zawiódł ich córkę.

Tym razem nie odpuści. Zmusi męża do poświęcenia jej uwagi i postara się, aby wreszcie do niego dotarło, że są w życiu takie chwile, których nie wolno przeoczyć. Zbyt wiele takich potknięć może zniszczyć związek.

Parę minut po dziewiątej szum opon na podjeździe. Chwilę później Michael, blady ze zmęczenia, wszedł do kuchni.

- Cześć, Jo. Przepraszam, że wracam tak późno, ale skoro nie zdążyłem na te zawody, uznałem, że nie ma sensu spieszyć się do domu.

Podniosła się z obramowania kominka.

- Ach tak. Rzeczywiście tak pomyślałaś?

- Musiałem...

- Musiałeś coś zrobić. Ale niespodzianka. I biorąc pod uwagę okoliczności, twoje potrzeby przeważały. Jestem zszokowana.

- Do diabła, Jo, nie zrobiłem tego umyślnie. Gdybyś wysłuchała...
- Zraniłeś jej uczucia - powiedziała, stając przed nim. Był wysokim mężczyzną, mierzył ponad metr osiemdziesiąt wzrostu, lecz Jolene w butach była od niego zaledwie o trzy centymetry niższa. - Michaelu, czy my się już dla ciebie nie liczymy?

Coś zmieniło się w wyrazie jego twarzy. Cofnął się o krok, patrząc jej prosto w oczy.

-Jo, nie zaczynaj tej rozmowy, bo później możesz żałować.

- Co to znaczy?

-Nie obchodzi cię, dlaczego tak wyszło. Nie wierzysz, że miałem powód. Ważny powód. Jestem znużony tym twoim dyrygowaniem naszym życiem. Mieszkamy tutaj, bo ty tak chciałaś. Ty ustanawiasz wszystkie zasady: decydujesz, gdzie mieszkamy, dokąd jedziemy na wakacje, jak spędzamy weekendy. Kiedy ostatni raz spytałaś, czego ja chcę?

- Jakim prawem mi to wytykasz? Razem wybraliśmy ten dom, Michaelu. Ty i ja, kiedy jeszcze wszystko robiliśmy razem. A kieruję rodziną, bo ktoś musi to robić. Ostatnio niewiele zdaje się ciebie obchodzić poza pracą.

- Nie słuchasz mnie. Staram się coś ci powiedzieć.

- Co możesz mi powiedzieć, Michaelu? Twoja córka cię dziś potrzebowała; ten jeden, jedyny raz. Powinieneś wszystko rzucić i przyjechać. Ale nie, znowu coś okazało się od nas ważniejsze.

Właściwie to „od nas” jej się wymknęło. Miała powiedzieć: „od niej”. Od naszej córki. Przecież nie chodziło: „o nich”.

- Jasny gwint, Jo, to nie ślub, tylko zawody sportowe. Mój tata nigdy na takie rzeczy nie chodził, a jednak wiedziałem, że mnie kocha.

- Takim ojcem chcesz być? Jak twój tato? Był taki zajęty, że nie pokazał się nawet na uroczystości rozdania świadectw na zakończenie szkoły średniej. - Od razu zdała sobie sprawę, że się zagalopowała; widziała, jak zeszywniał. - Przepraszam. To było niezamierzone. Wiem, jak bardzo ciebie kochał, ale...

- Dłużej nie wytrzymam - powiedział cicho, kręcąc głową.

Jolene ściągnęła brwi.

- Czego nie wytrzymasz?

- Nie chcę tak dłużej.

- Michaelu, o czym ty, do diabła, mówisz?! Nawaliłeś. Dlaczego nie...

- Jo, ja już ciebie nie kocham. -Co?!

- Już cię nie kocham, Jo.

-Ale... - Miała wrażenie, że coś w niej pęka, zupełnie jakby mięśnie odrywały się od kości. Przytrzymała się blatu szafki. Przez łomot w głowie przedarł się cichy odgłos własnego wciąganego oddechu. Odwróciła się bardzo powoli, myśląc: Boże, błagam, nie...

Betsy stała w pokoju z szarfą za zajęcie drugiego miejsca w ręku. W miarę jak docierało do niej znaczenie tego, co usłyszała, jej oczy robiły się coraz bardziej okrągłe. Nagle gwałtownie się odwróciła i pobiegła na górę.

Michael nie mógł uwierzyć, że to wyznanie padło z jego ust.

Już cię nie kocham, Jo.

Nie chciał tego powiedzieć; te słowa narodziły się w gniewie i wymknęły się bez ostrzeżenia. Ale jednak tkwiły gdzieś w nim i przyczajone czekały. Wypowiadał je w myślach więcej razy, niż chciał się przyznać przed samym sobą.

Mógł ją przeprosić, a ona by mu wybaczyła, może nie od razu, lecz na pewno po jakimś czasie. Ich rodzina, ta rodzina, była dla niej wszystkim, a poza tym ona go kochała. Wiedział o tym, od zawsze to wiedział; nawet dziś go kochała, chociaż tak bardzo ją zranił.

Chciał ją kochać. Ale to już nie było to samo i przestało mu wystarczać. Gdyby mógł cofnąć czas i powstrzymać tamte ostre słowa, powiedzieć coś innego, inaczej, niczego by to nie zmieniło. Dalej tkwiłby w tym swoim życiu, gdzie zbyt często tłamsiły go jej przepisy i zasady, gdzie jej siła osłabiała jego męskość.

Nie potrafił zadowolić Jolene. Jej nie wystarczało, że się stara, że kocha dzieci i że jest ustawiony zawodowo. Ona w ten swój szczególny, cichy sposób żądała czegoś

więcej. Miał zrekompensować jej brak miłości w dzieciństwie, a to, niestety, go przerastało.

Skończył z udawaniem, że jest mężczyzną, jakim chciała go widzieć. Nareszcie nadszedł czas, żeby się dowiedział, kim rzeczywiście chce być.

Ta decyzja przyniosła mu ulgę. Chciał jej to wszystko powiedzieć, wytłumaczyć, choćby po to, żeby poprawić sobie samopoczucie, lecz to nie był odpowiedni moment. Czuł, że musi wyjść z domu. Już sięgał po kluczyki, gdy usłyszał:

- Idź, porozmawiaj z Betsy.

Przez to wszystko zupełnie zapomniał. Spojrzał na nią po raz pierwszy od chwili, gdy padło: Już cię nie kocham.

-Ja?

Wyglądała jak jeden z tych marmurowych posągów w Luwrze. Już opanowana, ukryła uczucia głęboko, tam gdzie były bezpieczne.

- To twoja córka, Michaelu, i sprawiłeś jej przykrość. Ty jeden możesz poprawić jej nastrój. Może ona ci wybaczy.

Wychwycił nacisk na słowo „ona”.

- Jo, ja cię nie prosiłem o wybaczenie - powiedział. Widział, że bardzo ją tym zranił.

- Nie, nie proszę. Chcesz rozwodu?

- Nie wiem. Może.

- Może.

Zauważył, jak na niego spojrzała. Kiedy w grę wchodziła miłość, Jolene była jak alkoholiczka na odwyku, jak zelotka. Miłość albo istniała, gorąca jak żar, albo była martwa i zimna jak popiół. Nie było mowy o kompromisie, niepewność budziła u niej zniecierpliwienie. Pod jej spojrzeniem poczuł się skarłały i niemal ją za to zniecierpliwienie. Była zawsze taka cholernie mocna, nawet

teraz, kiedy wbił jej nóż w serce. Czyżby oczekiwał, że się złamie i powie, że go kocha? Zostawił ją i wszedł na piętro.

Zawahał się przed zamkniętymi drzwiami pokoju Betsy, zanim zapukał.

- Zostaw mnie, *mamo*. Uchylił drzwi.

- To ja.

Na jego widok uderzyła w płacz.

- N-ie chcę cie-bie tu-tu-taj. Idź ssobie.

Podszedł do łóżka i usiadł twarzą do niej. Jakoś nie mógł się przy niej wyprostować. Siedział ze zwieszonymi ramionami, jakby nagle zmiękł mu kręgosłup.

- Betsy - zaczął znużonym tonem.

Pociągając nosem, spojrzała na niego spod gęstych rzęs.

W jej załzawionych oczach ujrzał ciężar swojego uczynku, wagę tamtych słów. Jego miłość do Jolene stanowiła tylko część ich wspólnego życia - szkielet rodziny. Ale było też coś więcej. Ich dzieci to ścięgna i mięśnie. Serce. Jak można usunąć jedną miłość, nie rujnując wszystkiego?

- Przepraszam, że nie było mnie na zawodach.

- To było głupie. Nie wygrałam - zbagatelizowała, lecz w jej oczach widział żal.

- Liczy się to, że się ścigasz. W życiu czeka cię wiele zwycięstw i porażek. To wszystko człowieka kształtuje. Jestem z ciebie dumny.

Wytarła oczy i przyglądała mu się badawczo.

Wiedział, o czym myśli. Z westchnieniem przeczesał włosy palcami. Nie miał pojęcia, jak z nią rozmawiać. Odwrócił się nieco i zapatrzył w okno.

- Dorośli czasem się kłócą - zaczął, zbyt skrepowany,

aby na nią spojrzeć. Czy kłamał? Trudno powiedzieć. Dziesięć minut temu nie ulegało dla niego wątpliwości, że miłość do żony wygasła. Teraz widział, iż to był tylko taki moment, kropla wody, która wpadła do oceanu ich wspólnego życia.

- Ty i Lulu bez przerwy się kłócicie, a jednak nadal ją kochasz, prawda?

- Ale powiedziałeś...

- Zapomnij o tym, Betsy. Wcale tak nie myślałem. -To był błąd?

Wreszcie odważył się na nią spojrzeć.

- Błąd - powtórzył, a to słowo zabrzmiało w jego uszach jakoś niezrozumiale. - Przepraszam, że słyszałaś, jak się kłócimy, i przepraszam, że nie zdążyłem na zawody. Wybaczysz mi?

Długo się w niego wpatrywała. Już miał wrażenie, że powie: „nie”, gdy w końcu z powagą pokiwała głową.

Pochylił się i przygarnął ją do siebie. Poczul, że znowu wzbiera w niej płacz, więc trzymał ją w objęciach, dopóki się nie uspokoiła. Potem opuścił ją na poduszkę, podniósł się i stanął przy łóżku.

Spojrzała na niego.

- Mamę też kochasz, prawda?

Powiedział, że tak - to była właściwa odpowiedź -lecz smutek w jej oczach podpowiedział mu, że zwlekał z nią zbyt długo, że cisza okazała się bardziej wymowna od słów.

Schodząc na parter, przygotowywał się psychicznie do spotkania z Jolene, lecz nie znalazł jej w pokoju. Zdążyła poukładać rzeczy i pogasić światła.

Cała Jolene; sprzęta nawet wtedy, gdy jej świat walił się w gruzy.

* * *

Jolene dotarła do sypialni, nie rozsypując się po drodze, chociaż nie bardzo wiedziała, jak się tam znalazła. O dziwo, serce nadal biło, a mózg wysyłał najprostsze komendy: oddychaj, unieś nogę, zrób krok.

Cicho zamknęła za sobą drzwi, przez ułamek sekundy rozważając, czy nimi nie trzasnąć. Może taki łomot dobrze by jej zrobił.

Za szybą na tle czarnego nieba widniał przechylony Wielki Wóz. Chciała usiąść na łóżku, lecz trochę źle obliczyła odległość i osunęła się na podłogę.

Została tam z kolanami podciągniętymi pod brodę, zapatrzona w ciemności.

Już cię nie Kocham.

Aż dziw, że z bólu nie stanęło jej serce. Oparła się plecami o łóżko, które dzieliła z mężem. Nie chciała myśleć ani o tym, ani o nim, lecz... jak ona sobie teraz poradzi? Zmienił ją, dopełnił.

W wojsku się odnalazła; w powietrzu odkryła swoją pasję. Ale dopiero kiedy poznała Michaela, brakująca część powoli, ostrożnie wpasowała się na swoje miejsce.

To Tami ją namówiła do odszukania tamtego młodego prawnika, który jej pomógł, a dzięki szkole lotniczej znalazła w sobie odwagę na ten krok. Odszukanie kancelarii Zarkades, Antham i Zarkades nie stanowiło problemu.

„Wróciłaś” - powiedział, kiedy zobaczył ją w holu. To były jego pierwsze słowa. Wypowiedział je z uśmiechem, jakby sześć lat minęło w mgnieniu oka. Wiedziała, że on też, w pewnym sensie, czekał. „Wróciłam” - odpowiedziała, nawet niezaskoczona, kiedy wziął ją za rękę. I stało się; miłość była głębokim, lazurowym morzem, a oni się w nim zanurzyli. Wcześniej nie sądziła, że potrafi uwierzyć w miłość, lecz on po prostu po-

rwał ją za sobą. Z pierwszym pocałunkiem zapomniała o tamtej miłości, której nigdy nie zaznała, a która należała jej się z racji urodzenia, i zaczęła wierzyć w niego i w „na zawsze”.

Gdzieś po drodze zapomniała, że to uczucie ma też ciemne strony. Oślepiło ją zbyt wiele lat w pełnym słońcu. Oddała Michaelowi serce; opakowała je i złożyła nul w dłoniach, i nawet jej do głowy nie przyszło, że on mógłby się z nim źle obejść. Nawet kiedy w ostatnich latach oddalił się od niej i coraz dłużej przesiadywał w kancelarii, wierzyła w moc ich przysięgi i znajdowała dla niego usprawiedliwienia. Jak Pollyanna, zawsze ufna...

Usłyszała, jak na parterze stuknęły drzwi, a potem zawarczał silnik. Chwiejnie podeszła do okna i odprowadzając wzrokiem odjeżdżający samochód, zastanawiała się, czy Michael wróci.

Nie wrócił.

Reszta bezsennej nocy upłynęła jej na sprzątaniu i praniu. Wyciągnęła odkurzacz, pościerała kurze, wyczyściła srebra i wyszorowała łazienki - robiła wszystko, żeby odciągnąć myśli od „już cię nie kocham”.

Niestety, nic nie pomogło. Tamte słowa zmieniły jej postrzeganie życia, a może i samej siebie.

Nad ranem, wyczerpana, ledwo trzymała się na nogach, a jednocześnie ciągle wzburzona nie mogła się przemóc, żeby zaparzyć sobie kawę. Najchętniej uciekłaby z tego cichego jak grób domu, wsiadła do helikoptera i odleciała. Zamiast tego w świetle różowolawendowego świtu przebiegła swoje dwanaście kilometrów, i to nie pomogło.

Po powrocie do domu długo stała pod prysznicem,

potem ubrała się w stare dzinsy i popielatą wojskową bluzę i poszła obudzić Betsy. Zapukała do drzwi i weszła do pokoju.

- Betsy, pobudka! - zawołała, zmuszając się do uśmiechu. Powinna wczoraj z nią porozmawiać - tak postąpiłaby mądra, silna matka, lecz bała się, że nie zapanuje nad nerwami i rozpłacze się przy niej, tylko wzmagając jej lęk.

- Nic nie mów - uprzedziła ją ponuro Betsy.

- Wiem, tata z tobą rozmawiał. Pomyślałam...

- NIE chcę o tym rozmawiać.

Jolene zamilkła, nie bardzo wiedząc, jak się zachować. Jak się rozmawia z dzieckiem o sprawach dorosłych? Nigdy nie była do końca pewna, kiedy narzucić Betsy swoją wolę, a kiedy ustąpić. Zazwyczaj naciskała na nią wtedy, gdy należało się wycofać. To była jedna z wad Jolene; potrafiła narzucać, ustępowanie wychodziło jej o wiele gorzej.

Jedno nie ulegało wątpliwości; Betsy była przestraszona, zagubiona, no i zła, a ona w żaden sposób nie umiała jej pomóc. Jak ma mówić o czymś, czego sama nie rozumiała?

Podeszła do córki, podciągnęła ją z pościeli i objęła. Siłą woli powstrzymała się od dołożenia słów do tego uścisku.

Ciężkie westchnienie Betsy mówiło wyraźnie, co ona czuje. Widok kłócących się rodziców budzi przerażenie. Jolene wiedziała, że ostatni wieczór zapadnie jej w pamięć i że na pewno zauważy nieobecność Michaela.

Do sypialni weszła Lulu, ciągnąc za sobą swój ulubiony żółty kocyk.

- Mnie też ukochaj!

Jolene otworzyła ramiona i córeczka wbiegła w nie, przywierając drobnym ciałkiem do siostry. Stały tak

może przez sekundę, a potem Lulu się odsunęła. Podrapała się po główce, odgarniając z oczu splątane po śnie czarne loki.

- Mogę dostać płatki Cap'n Crunch?

- Nie dziś. Są na specjalne poranki - odparła automatycznie Jolene.

- Dzisiaj może być specjalny poranek - zaświergotała przymilnie Lulu.

- Dzisiejszy jest przeciwieństwem specjalnego - rzuciła z przekąsem Betsy.

- Czemu? - chciała wiedzieć Lulu. Jolene westchnęła.

- Chodźcie, dziewczynki. Zajmijmy się śniadaniem. Cały czas czuła na sobie spojrzenie Betsy. Na pewno

zauważyła lekkie drżenie jej rąk, kiedy sięgała po mąkę i jajka na racuszki, a także ciężkie westchnienia i nieobecny wzrok utkwiony we wnętrzu otwartej lodówki. W końcu, nie mogąc dłużej znieść tej obserwacji, wzięła się w garść i nasypała im do miseczek cheerio.

- Gdzie tata? - zapytała Lulu, w skupieniu nabierając na łyżkę odpowiednią liczbę kółeczek.

- W pracy - wyjaśniła Jolene, zastanawiając się, co im powie, jeżeli Michael nie pojawi się wieczorem.

-Już wyszedł? - Betsy podniosła głowę znad miseczki.

Jolene odwróciła się, żeby nalać sobie kawy.

- Wiesz, jaki on jest, kiedy musi złapać prom - skłamała, nie patrząc na córkę.

Ta chwila zdawała się ciągnąć w nieskończoność; podejrzliwy wzrok Betsy wwierał jej się w plecy.

- Pospieszcie się - ponagliła córki. - Mamy dwadzieścia minut do wyjścia.

Po śniadaniu zagoniła je na górę, żeby dokończyły przygotowania. Punktualnie wsiadły do samochodu

i Jolene piętnaście po dziewiątej była już z powrotem w domu.

Wstawiła samochód do garażu i przeszła na sąsiednią posesję. Pomachała do Carla, który dłużył przy ciężarówce Forda, i skierowała swoje kroki do frontowych drzwi.

- Cześć, Tam! - zawołała, wchodząc do środka. Tami w wysłużonym niebieskim szlafroku i papciach

z owczej wełny sączyła w salonie kawę z ogromnego termicznego kubka. Za nią, na boazerii, wisiała galeria rodzinnych zdjęć w białych ramkach. Centralne miejsce zajmowała jej fotografia w mundurze.

- Cześć, pilotko! - zawołała z uśmiechem, rozparta na krzyskiej niebieskiej kanapie, ze stopami opartymi na szklanym blacie stolika.

Jolene przez sekundę patrzyła na przyjaciółkę, nie mogąc wydusić z siebie słowa.

Tami, mrużąc oczy, odstawiła kubek.

- Jo, co jest grane?

- Michael powiedział, że już mnie nie kocha - wyznała cicho.

- Chyba nie mówisz...

- Nie każ mi tego powtarzać.

Przyjaciółka podeszła i ją objęła. Jolene przez minutę nie miała siły unieść rąk, żeby odwzajemnić uścisk, lecz kiedy wreszcie to zrobiła, najchętniej nie wypuściłaby jej z objęć. Gdyby mogła się rozplakać, może poczułaby ulgę, lecz oczy były suche.

- A ty co mu powiedziałaś?

- Co powiedziałam? - Jolene wysunęła się z objęć. - Co można powiedzieć na: „już cię nie kocham”?

- Jo. - Tami westchnęła. - Małżeństwa się kłócą. W gniewie mówi się różne rzeczy. Czasem ludzi ponosi, a potem się godzą. Jasne, Michael się zagalopował, ale

na pewno tak nie myślał. Postaraj się mu wybaczyć. To nie koniec świata.

Jolene nie umknęła smutna nuta w jej głosie, wiedziała, że przyjaciółka myśli o romansie Carla sprzed dziesięciu lat.

- Wiem coś na temat wybaczenia ludziom i kochania ich mimo wszystko, nawet jeśli cię zranili.

Jolene też wiedziała. Przez całe dzieciństwo wybaczwała rodzicom z nadzieją, że jutro, za tydzień, a może za miesiąc się zmienią. Niestety, nie zmienili się i nigdy jej nie kochali. Poczuli się lepiej, kiedy zaakceptowała tę prostą prawdę. Zyskała równowagę i stwardniała, nie potrzebując już ich miłości. Wiedziała, że Tami stara się powiedzieć: „diabła tam”. Jolene powiedziała by jej to samo, gdyby to ona znalazła się w tej sytuacji. Jedno zdanie nie może zniszczyć małżeństwa. Z drugiej strony nie mogła też trzymać się kurczowo nadziei. Czyż nie nauczyła się tego na przykładzie matki?

- On tak nie myślał. Michael cię kocha.

- Chcę w to wierzyć - odparła cicho Jolene zgodnie z prawdą; pragnęła wierzyć w Michaela i jego miłość, lecz jej wiara została zachwiana. Bała się teraz tak bezgranicznie mu ufać. Jeżeli rzeczywiście przestał ją kochać, jakie to wszystko miało znaczenie?

-Jestem pewna...

Dzwonek nie pozwolił Tami dokończyć myśli. Poszła do kuchni odebrać telefon.

- Halo? Tak jest. - Wychyliła się do Jolene i bezgłośnie wyszeptała: Ben Lomand. - Naprawdę? - powiedziała do słuchawki. - Rozumiem. Kiedy? Tak szybko? Och. Dobrze. My z Jolene zajmiemy się siatką kontaktów. Dziękuję. - Powoli odłożyła słuchawkę i odwróciła się do przyjaciółki.

- Wysyłają nas.

Jolene z Michaelem pierwszy raz zobaczyli dom na Liberty Bay w piękny, słoneczny lipcowy dzień. Po południu udali się na przejażdżkę we dwoje po grillu u jego rodziców. Wcale nie szukali miejsca do zamieszkania.

Na dom natrafili przypadkiem. Stał tuż za zakolem drogi i czekał na nich z tabliczką: „Na sprzedaż”, niedbale zatkniętą przy skrzynce do listów. Uroczy, utrzymany w wiejskim stylu domek spragniony miłości, opasany zapadającym się tarasem, stojący na trzech akrach zieleni kaskadowo schodzącej ku czarnej wstędze cichej, podmiejskiej drogi, oddzielonej wąskim pasem ziemi od szarego łuku rozległego nabrzeża.

To właśnie bliskość plaży ich skusiła. Zaczęli od budowy pomostu na piasku. Wznosili go z Michaelem własnymi rękami, śmiejąc się, rozmawiając i snując marzenia.

Czwartego lipca urządzimy tutaj grilla... pokażemy Betsy, jak się szuka jeżowców... będziemy jeść kolację na papierowych talerzach, kiedy słońce zacznie zapadać się w wodę..

Ich działka była wąskim pasem trawiastego terenu przy wijącej się wstędze asfaltu, lecz dla Jolene stanowiła kawałek jej raj. Zapach morza i szum fal działały na

nią kojąco. W tym miejscu z widokiem na plażę rozmyślała i „ładowała akumulatory”. Szczególnie w tamtym długim, trudnym okresie pomiędzy narodzinami Betsy i Lulu, kiedy tak rozpaczliwie pragnęła zajść w ciążę. To tam miesiąc w miesiąc chodziła się wyplakać, kiedy pojawiał się okres. I tam poszła podziękować Bogu, gdy jej modlitwy zostały wysłuchane.

Teraz siedziała na jednym z ogrodowych krzeseł ustawionych półkolem przy podrdzewiałym żelaznym grillu. Padało, lecz ona nie czuła, że moknie. Zapatrzona w szarą taflę wody znaczoną deszczem, myślała: Jak moje dzieci dadzą sobie radę? A ja? A Michael?

Jak bardzo świat może się zmienić w ciągu trzech godzin...

Zawsze istniała możliwość, że może zostać zmobilizowana. Po jedenastym wrześniu prawdopodobieństwo znacznie wzrosło, a jednak nigdy o tym nie rozmawiali. Bo jak mieli rozmawiać, skoro Michael nie chciał słuchać

O jej pracy w wojsku? Ilekroć wspominała o znajomych, którzy wyjechali na misje, wygłaszał tyradę o bezsensie wysyłania oddziałów do Iraku.

Wiedziała, co mąż ma na myśli; oburzała go ciemna strona wojska, błędy, stosunek wierzuszki do żołnierzy

i weteranów. Ale to była polityka. Coś odrębnego. Ona patrzyła na to inaczej. Dla niej Gwardia stanowiła rodzinę.

Honor. Obowiązek. Lojalność. Dla Jolene to więcej niż słowa; to część jej. Zawsze współistniały w niej dwie kobiety - matka i żołnierz - a mobilizacja przecięła ją na pół, pozostawiając otwartą, krwawiącą ranę.

Kto przeprowadzi Betsy przez trudny okres dojrzewania, podpowie, jak ma sobie radzić z bezczelnymi dziewczynami, postępować z chłopcami - i w ogóle z rówieśnikami. Kto będzie odwoził Lulu do przedszkola i tulił ją, gdy obudzi się z płaczem ze złego snu?

No i jeszcze pozostaje ryzyko. Jest pilotem śmigłowca. Wmówi Michaelowi i dziewczynkom, że nie będzie uczestniczyć w akcjach, że nic jej nie grozi, chociaż wie, że to nieprawda? Co chwila pojawiają się wiadomości o zestrzelonych helikopterach.

- Wrócimy do domu - oznajmiła z przekonaniem Tami. W odpowiedzi Jolene skwapliwie skinęła głową i uśmiechnęła się, chociaż wiedziała - obie wiedziały - że nie można składać takich deklaracji. W każdym razie w tej chwili to i tak nie miało znaczenia. Jutrzejszy dzień i najbliższa przyszłość są poza ich kontrolą. Mają robotę do wykonania, zadania, do których je wyszkolono. Cywile tego nie rozumieją, może nie są w stanie, lecz mężczyźni i kobiety-żołnierze stawiają się na rozkaz, kiedy zachodzi konieczność. Nawet jeśli się boją, nawet jeżeli są potrzebni dzieciom. Nadszedł czas, żeby spłaciła dług wobec wojska poprzez służbę swojemu krajowi.

Przycisnęła dłoń do piersi, czując pod nią spokojne, regularne uderzenia serca. Zamknęła oczy, słuchając, jak jego bicie zlewa się z szumem fal na kamienistej plaży i rytmem jej oddechu. Łzy zapiekły ją pod powiekami i stoczyły się po policzkach, mieszając się z kroplami deszczu. Wyobraziła sobie pożegnania, tęsknotę, poczucie straty. Oczami duszy widziała, jak dziewczynki płaczą i tęsknią za nią, nie rozumiejąc, dlaczego jej nie ma.

Jednak nie miała wyboru. Ta świadomość przyniosła coś w rodzaju spokoju i zaakceptowania sytuacji, bo wiedziała, kim jest. Złożyła przysięgę, że w razie mobilizacji stawi się na rozkaz.

Nienawidziła myśli, że musi opuścić dzieci, nienawidziła z taką siłą, że ta myśl była gotowa ją sparaliżować, gdyby jej się poddała. Nie ma wyboru. Pojedzie na rok do Iraku, będzie robić, co do niej należy, i wróci do domu, do rodziny.

Tak właśnie im powie to... w co sama wierzy.

Była przygotowana, zawsze gotowa na ten moment. Przez ponad dwadzieścia lat ją szkolono. Jakaś część jej istoty nawet chciała tam jechać, sprawdzić się. Chciała pojechać... tylko nie chciała ich zostawiać.

Odjęła dłoń od serca i opuściła ją na kolana. U jej stóp kilka wysuszonych, białych skorupek jeżowców ułożyło się w listek koniczyny; wspomnienie ostatniego lata. Schyliła się, otrzepała z piasku jedną z nich i powiodła kciukiem po porowatej powierzchni. Podniosła się z krzesła.

Jedzie na wojnę.

O pierwszej zadzwoniła do przedszkola z prośbą, żeby dłużej zatrzymali Lulu, a potem wybrała numer gabinetu Michaela. Długo nie odbierał i już pomyślała, że nie zamierza tego zrobić, kiedy wreszcie podniósł słuchawkę.

- Cześć, Jo. O co chodzi? - Sprawiał wrażenie bardzo zajętego.

- Przyjedź wieczorem do domu - powiedziała. Milczał przez chwilę; słyszała jego oddech.

- Mam mnóstwo pracy. Chyba dzisiaj przenocuję w kancelarii.

- Proszę, nie. - Była zła na siebie, że zabrzmiało to jak błaganie. - Wynikła pewna sprawa. Musimy porozmawiać.

-Uważam, że dobrze nam zrobi, jeśli pewien czas pobędziemy osobno.

- Michaelu, proszę. Koniecznie muszę z tobą dzisiaj porozmawiać.

- Dobrze. Wrócę promem o szóstej.

Przez następnych kilka godzin z marnym skutkiem starała się nie myśleć o przyszłości. Kiedy nadszedł czas

jechać po dzieci, opuściła ją odwaga. Świadomość, że za chwilę je zobaczy i będzie patrzeć na ich roześmiane buzie, wiedząc, jaki sprawi im ból, była nie do zniesienia. Kręciło jej się w głowie, potykała się o sprzęty. Kiedy w kuchni spojrzała na oprawione w ramki zdjęcie Betsy z podstawówki na tle żółtego szkolnego autobusu, musiała na chwilę przysiąść.

Boże, pomóż mi przez to przejść - wielokrotnie powtarzała w myślach.

Zaparkowała samochód przed przedszkolem i powoli weszła na jego teren. Z placu zabaw dobiegł ją gwar dziecięcych śmiechów.

- Mamuś! - Lulu z radosnym piskiem wyrzuciła ręce w powietrze i zrywając się z kucek, rzuciła się w objęcia Jolene.

- Masz coś w oczku, mamusiu? - zainteresowała się. - Bo jak mi po obiedzie wpadł piasek do oka, to potem leciały łzy.

- Nic nie mam - odpowiedziała Jolene, wdzięczna, że mała nie zauważyła jej zachrypniętego głosu.

Zaniosła Lulu do samochodu, zapięła w foteliku na tylnym siedzeniu i podjechała pod szkołę średnią. Betsy jak zwykle wyszła prawie na końcu. Trzymała się z daleka od rówieśników, jakby nie chciała być przez nich widziana. Podbiegła do terenówki, wdrapała się na tylne siedzenie i z trzaskiem zamknęła drzwi.

Jolene, przyglądając się córce we wstecznym lusterku, poczuła przyływ paniki. Jest teraz taka krucha...

- Masz zamiar sterczeć tu cały dzień? - spytała Betsy, splatając ramiona na piersi.

Jak ona da sobie radę w siódmej klasie bez mamy? A jeśli dostanie miesięczkę? Kto jej pomoże?

- Mamo! - warknęła Betsy. - Ogłuchłaś?!

Jolene włączyła się w sznur samochodów rodziców.

Chciała się odezwać, nawiązać jakąś rozmowę, lecz słowa nie przechodziły przez ściśnięte gardło. Gdy zajechała pod dom Mili, oczy piekły ją od łez, które nie chciały odrywać się od rzęs.

Teściowie mieszkali w bungalowu z końca lat siedemdziesiątych w kształcie litery L. W porównaniu z sąsiednimi, nowszymi domami wydawał się mały, ale za to górował nad nimi położeniem. Stał na działce z widokiem na spokojne wody zatoki Lemolo Bay. Cień w lecie zapewniało kilka potężnych zimozielonych drzew. Wokół ich chropowatych, brunatnych pni rosły kępy wielokolorowych kwiatów. Mila zmieniła swoją posesję w dzieło sztuki. Każdego roku podczas lokalnego obchodu domów i ogrodów stawiano ją za przykład architektury krajobrazu współgrającej z charakterem północnego zachodu. Przejrzysta woda w płytkiej zatoce, odpowiednio nagrzana w lecie, nadawała się do pływania.

- Czemu do babci? - spytała Betsy.

Jolene nie odpowiedziała. Zaparkowała samochód przed garażem i wypuściła dziewczynki. Zanim dotarły do frontowych drzwi, zza domu wyłoniła się Milla, machając do nich uradowana. Była w obszernej flanelowej koszuli w kratę i w dżinsach wpuszczonych w pomarańczowe gumki. Czarne, natapirowane włosy krył turban z kolorowego szala w stylu Liz Taylor, z uszu zwisały srebrne koła wielkości pięści. W lewej ręce niosła emaliowaną konewkę.

- Cześć, dziewczynki! - zawołała.

- Przepraszam, że wpadamy bez zapowiedzi - odezwała się Jolene, zatrzasnąwszy biodrem drzwi.

Milla otrzepała z piasku ogrodowe rękawice; drobinki kurzu osypały się na kalosze.

- Skarbie, od czego jest rodzina?

Lulu nałożyła opaskę z kocimi uszami i spragniona uwagi głośno zamiauczała.

- No nie, tylko nie to - jęknęła Betsy, przepychając się obok siostry. Mila postawiła konewkę i rozglądała się dookoła.

- Hmm. Jolene, gdzie moja wnuczka? Zostawiłaś ją w domu? W samochodzie?

Lulu zachichotała.

- Co to za hałas? - zapytała Jolene. Lulu ściągnęła opaskę.

- Tu jestem, Yia Yia! Mila wzięła ją na ręce.

Przez chwilę Jolene nie była w stanie wykrztusić słowa. Ledwo mogła oddychać, bo ciężar przyszłości przygniatał jej pierś.

- Jo, wszystko w porządku? - Teściowa przyglądała jej się z niepokojem.

- Tak. Muszę spokojnie porozmawiać z Michaeliem. Jeżeli nie masz nic przeciwko temu, jutro odbiorę dziewczynki.

Mila podeszła bliżej.

- Powiedz mojemu synowi, że musi się bardziej starać. Rodzina jest równie ważna jak praca. Usiłowałam to wytłumaczyć mojemu mężowi, ale... - Wzruszyła ramionami. - Tobie lepiej się powiedzie.

Jolene zdobyła się jedynie na skinięcie głową. Miała wrażenie, że od nieobecności Michaela na zawodach upłynęły całe wieki. Cisnęło jej się na usta: „Zmobilizowali mnie”. Bardzo chciała otworzyć się przed Milą, poczuć ciepło matczynych objęć, jednak jeszcze nie była gotowa na pocieszenie.

Wymamrotała coś na pożegnanie i wsiadła do samochodu. Już w drodze do domu chwyciły ją mdłości.

Mobilizacja wszystko zmienia. On sam to zobaczy.

Ich wszelkie problemy, obecne i przeszłe, schodzą na dalszy plan. Muszą się zjednoczyć dla dzieci, dla rodziny. Ona go będzie teraz potrzebować, naprawdę potrzebować. Miłość do męża będzie ją chronić i ogrzewać w nocy, a miłość dzieci sprowadzi ją z powrotem do domu.

Przypomniały jej się słowa Tami: „Małżeństwa się kłóć. W gniewie mówi się różne rzeczy. Potem się godzą”.

Chciała w to wierzyć, chociaż nigdy wcześniej czegoś takiego nie doświadczyła. Pragnęła przebaczyć Michaelowi i jakoś wymazać tamte słowa z pamięci, żeby mogli znowu być tacy jak dawniej.

Musiała jedynie dać mu szansę.

Jest w stanie to zrobić; będzie na tyle silna, żeby mu pokazać, iż nadal go kocha.

Czekała.

Wreszcie, o siódmej, wszedł do kuchni i natychmiast nalał sobie whisky.

- Cześć - powiedziała, podnosząc się z obudowy kominka.

Odwrócił się. W słabym świetle z okapu ponad kuchenką wyglądał na bardzo znużonego. Włosy miał w nieładzie i podkrążone oczy, jakby spał równie kiepsko jak ona.

- Jo - cicho wymówił jej imię. Zaskoczona i poruszona łagodnym tonem jego głosu w ułamku sekundy znalazła się w czasach, kiedy byli szczęśliwi.

Tak tego pragnęła, tak tego potrzebowała i... Michaela.

- Wysyłają mnie na misję. Znieruchomiał ze wstrzymanym oddechem.

- Żartujesz, tak? - powiedział w końcu.

- Wcale nie żartuję. Wojna to nie temat do żartów. -

Głos jej się załamał. Na ułamek sekundy opuściły ją siły. Poczowała, jak bardzo pragnęła, aby ją przytulił i zapewnił, że wszystko będzie dobrze. - Najpierw jedziemy do Fort Hood na ćwiczenia, a stamtąd do Iraku.

- Chryste Panie, przecież ty jesteś w Gwardii. Nie jesteś prawdziwym żołnierzem.

- Będę miła i puszczę mimo uszu to, co powiedziałeś - obruszyła się.

- Jo, nie pojedziesz na wojnę. Przestań. Masz czterdzieści jeden lat...

- Teraz pamiętasz. :

- Ludzie tam giną.

- Jestem tego świadoma, Michaelu.

- Powiedz im, że jesteś matką. Nie mogą oczekiwać, że zostawisz dzieci.

- Mężczyźni co chwila idą na wojnę i zostawiają dzieci.

- Wiem - odwarknął. - Ale ty jesteś matką.

- Wcześniej byłam żołnierzem.

- Jo, to nie jest jakaś cholerna zabawa. Nie pojedziesz na żadną wojnę. Powiedz im: dziękuję, ale nie.

Popatrzyła na niego z niedowierzaniem.

- Czekaliby mnie za to sąd wojenny. Poszłabym do więzienia.

- W takim razie zerwij kontrakt.

Chyba jej w ogóle nie znał, skoro to powiedział. Dla niego honor był tylko słowem, a prawnicy robili ze słów zabawę. Nie miał pojęcia, czym jest dyscyplinarne zwolnienie z wojska.

- Michaelu, złożyłam przysięgę.

- A czym było twoje: „tak”? - odpalił.

- Ty sukinsynu! - uniosła się. - Przez te wszystkie lata kochałam cię, podziwiałam. Wczoraj usłyszałam, że już mnie nie kochasz i że być może zechcesz się

rozwieść. A teraz ty, zapatrzony w siebie, egoistyczny kutas, mówisz mi, żebym odeszła z Gwardii, jakbyś w ogóle mnie nie znał.

- Jaka matka zostawia dzieci?

Aż ją zatkało. To zabolowało bardziej od policzka.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić? Akurat ty, najmniej zaangażowany w rodzinę. Serce mi krwawi na myśl, że je opuszczam, ale niestety, muszę. - Głos jej się załamał. -Niestety, muszę.

- W takim razie rozumiem, że jedziesz na wojnę.

- Michaelu, to zabrzmiało tak, jakbym miała wybór. Tutaj nie ma wyboru. Albo pójdę na wojnę, albo do więzienia. Nie rozumiesz tego? Zostałam zmobilizowana.

- A ty się dziwisz, że jestem wściekły. Przede wszystkim nigdy nie chciałem, żebyś służyła w tym głupim wojsku.

- Dzięki za bagatelizowanie tego, co robię.

- Wojny, a w szczególności ta wojna, to jeden wielki bezsens i nie trzeba być Colinem Powellem, aby wiedzieć, że helikoptery stanowią świetny cel i że się do nich strzela. Co mam powiedzieć? Doskonale, Jolene. Jedź do Iraku, tylko uważaj na siebie. Będziemy na ciebie czekać.

- Taak. - Westchnęła. Ta kłótnia ją wyczerpała. - Rzeczywiście dobrze byłoby to usłyszeć.

- W takim razie wyszłaś za niewłaściwego faceta. -Najwyraźniej. Michaelu, postaraj się znaleźć jasną stronę. Chciałeś, żebyśmy przez jakiś czas pobyli osobno.

- Wal się, Jo!

- Sam się wal!

Odwróciła się na pięcie i wyszła z kuchni. Nie wybiegła, chociaż najchętniej tak właśnie by zrobiła. Wyprostowana, z podniesioną głową, weszła po schodach na górę i skierowała się do sypialni.

Na parterze trzasnęły drzwi. Przypomniały jej się awantury z dzieciństwa. Nigdy nie sądziła, że będzie żoną nasłuchującą odjazdu męża. Pomimo bólu i żalostnej wymowy tej sceny pomyślała: Jedź sobie, uciekaj.

Należało mieć więcej rozumu i nie liczyć, że ktoś ją wesprze, stanie po jej stronie. Teraz już wiedziała, że jest sama i że musi wystarczyć jej sił do sprostania sytuacji, a jednak coś jakby w niej pękło. Usiadła na łóżku, bo nogi miała jak z waty.

Jakiś czas później na korytarzu zaskrzypiały deski podłogi i do sypialni wszedł Michael. Wydawał się jednocześnie zły i pokonany. Włosy miał zmierzwiłone, jakby co chwila przeciągał po nich palcami. I pewnie tak było, bo miał taki nerwowy nawyk. W opuszczonej dłoni trzymał na wpół opróżnioną szklanę (niewątpliwie z whisky). Jolene bezwiednie zatrzymała wzrok na tej dłoni; palce miał długie, niemal eleganckie. Często powtarzała, że mąż ma ręce pianisty albo malarza. Uwielbiała to, co te dłonie potrafiły robić z jej ciałem.

Gładkie, pozbawione odcisków, nieskalane fizyczną pracą. Dłonie intelektualisty, tak bardzo różniące się od jej rąk. Może stąd właśnie to wszystko. Być może powinna przewidzieć taki rozwój wypadków, gdy pierwszy raz wzięła go za rękę.

-Jedziesz - powiedział cichym głosem zabarwionym tłumionym gniewem, jakiego wcześniej u niego nie słyszała.

- Muszę.

- Czy to cię nie obchodzi, że jesteś nam tutaj potrzebna?

- Pewnie, że obchodzi.

Dokończył drinka i wszedł w głąb sypialni. Odstawił pustą szklanę na nocny stolik i usiadł obok Jolene na łóżku odpowiednio daleko, żeby przypadkiem jej nie

dotknąć. Z westchnieniem zwiesił głowę. Gęste, wijące się włosy opadły mu na czoło. Gdy patrzyła na jego ostry profil, na opuszczone z rezygnacją ramiona, stanął jej przed oczami tamten tydzień, kiedy umierał jego ojciec. Bardzo źle znosił widok Thea posiwiąłego, z twarzą zapadniętą z bólu, który trzymał się życia dzięki aparatom. Starał się czuwać przy łóżku ojca, lecz nigdy długo nie wytrzymał. Jolene najczęściej spotykała go przed salą, gdy zły na swoją słabość przemierzał korytarz. Podchodziła wtedy do niego, obejmowała i trzymała w ramionach, dopóki nie wyrównał mu się oddech. Dla niej dbanie o męża w cierpieniu było naturalnym odruchem. Teraz dostrzegła coś, czego wcześniej widzieć nie chciała; ta miłość okazała się jednostronna. To ona dawała, a on tylko brał.

- W takim razie trudno - powiedział po chwili. Poczwała ulgę, bo dopiero teraz się zorientowała, że

zdeenerwowana czekała na jego reakcję ze wstrzymanym oddechem.

- Jednak będziesz na mnie czekał.

- Ile czasu zostało do wyjazdu?

-Dwa tygodnie. Mniej niż zazwyczaj. Szczególne okoliczności.

-I nie będzie ciebie przez rok. Przytaknęła skinieniem głowy.

- Po sześciu miesiącach przysługuje mi urlop. Kolejne westchnienie.

- Jutro powiemy dziewczynkom. I mamie.

- Dobrze - przytaknęła prawie szeptem; tyle spraw należało omówić, tyle rzeczy zaplanować, tyle problemów rozwiązać, lecz żadne z nich więcej się już nie odezwało.

Siedzieli na łóżku, na którym kochali się tyle razy, 1 w ponurym milczeniu patrzyli przed siebie, dopóki nie nadszedł czas, aby zgasić światło.

Rano pojechali do Mili. Michael ustawił samochód na podjeździe i wyłączył silnik.

- Jesteś na to gotowa? - Spojrzał na nią po raz pierwszy tego dnia.

Dostrzegła w jego oczach tamten tłumiony gniew i nagle poczuła się pusta w środku i rozpaczliwie samotna. Zamiast odpowiedzieć, nacisnęła klamkę, otworzyła drzwi i wysiadła. Kiedy szli alejką, zauważyła, że cały czas trzymał się parę kroków od niej.

To Michael zapukał do drzwi. Prawie natychmiast usłyszeli kroki. Milla z rozwianymi czarnymi włosami, otulona w różowy, puszysty szlafrok, energicznie otworzyła na oścież drzwi. Za nią, w obramowaniu framugi, rozciągał się widok na pokój: bladozielone ściany, okna wychodzące na zatokę, ratanowe meble z lat siedemdziesiątych z tapicerką w kolorach przytłumionej zieleni, różu i bieli i podłoga z szerokich sosnowych desek.

- Och, wczesnie jesteście! - zauważyła, usuwając się na bok, aby ich wpuścić do salonu zagraconego zabawkami, książkami i płytkami DVD.

Lulu zerwała się z kosmatego kremowego dywanu. Na głowie miała opaskę z kocimi uszami.

- Ktoś jest niewidzialny - podpowiedziała szeptem Mila.

Jolene zrobiła skupioną minę i zaczęła się teatralnie rozglądać wokół siebie.

- Hmm... Milu, nie widziałas przypadkiem Lulu? Ciekawe, gdzie jest mój kołeczek? Czy ktoś widział moją Lucy Louidę?

Dziewczynka zachichotała.

- Co ty gadasz? - Michael się skrzywił. - Przecież... Lulu ze śmiechem zerwała opaskę z głowy.

- Tu jestem, mamusiu!

Jolene podbiegła i chwyciła ją w ramiona.

- Jesteś, jesteś!

Wtuliła nos w aksamitną szyjkę córeczki, próbując zakodować w pamięci rozkoszny dziecięcy zapach.

- Mamuś! - pisnęła Lulu, wierzgając. - Gilgoczesz mnie!

Jolene zwolniła uścisk, pozwalając jej zsunąć się na podłogę.

- Zjecie coś? - spytała Mila, podnosząc z podłogi pustą kasetę od DVD i rozglądając się za krążkiem.

- Musimy porozmawiać z tobą i z dziewczynkami -oznajmił Michael oficjalnym tonem.

- Och?! - Mila zatrzymała na nim wzrok. - Stało się coś?

Michael usunął się na bok.

- To działka Jolene, mamu. Ona chce się podzielić z wami pewną wiadomością.

- Jo? - Mila się strapiła.

- Gdzie Betsy? - zapytała cicho Jolene, jakby nagle opuściło ją zdecydowanie. Mogła pilotować śmigłowce,

strzelać z karabinów maszynowych, pokonywać piętnaście kilometrów z pełnym ekwipunkiem w plecaku, ale myśl o wypowiedzeniu tych paru słów do córek odbierała jej siły.

-Pójdę po nią - zaproponowała Lulu i pobiegła, krzycząc na cały głos:
- Betsy! Chodź tu!

Mila wodziła wzrokiem od Jolene po Michaela i z powrotem.

Betsy weszła do salonu za siostrą, trąc zaspane oczy. Miała na sobie ogromny T-shirt i białe kolanówki.

- Czemu mnie budzicie?

Jolene wzięła Lulu na ręce, zaniósła na kanapę i posadziła sobie na kolanach.

-Usiądź, Betsy. Musimy z wami porozmawiać. To ważne.

Betsy znieruchomiała w pół kroku.

- Rozwodzicie się?

- Elizabeth Andreo - interweniowała Mila. - Dlaczego mówisz takie...

-Siadaj, Betsy - powiedział Michael z westchnieniem.

Dziewczynka przysiadła przed nimi na piętach na kosmatym, kremowym dywanie.

- O co chodzi? - Splotła ramiona i zaczepnie zadarła podbródek.

Wszyscy skierowali wzrok na Jolene. Opuściła ją odwaga. Spojrzała na Michaela, licząc na jego wsparcie, lecz on tylko wzruszył ramionami.

Została z tym sama. Wielka nowina. Z westchnieniem spojrzała na Betsy, a potem na Lulu na swoich kolanach.

-Pamiętacie, jak wam opowiadałam, jak trafiłam do wojska? - zaczęła. - Miałam osiemnaście lat i żadnego pomysłu na życie. Moi rodzice akurat umarli. By-

łam zdana na siebie. Nawet sobie nie wyobrażacie, jak bardzo czułam się samotna. O was tylko marzyłam, bo oczywiście wtedy należałyście do przyszłości.

- No - mruknęła zniecierpliwiona Betsy. - Mogę już wrócić do łóżka?

- Kiepsko mi idzie. - Jolene westchnęła.

- Po prostu przejdź do rzeczy - odezwał się Michael.

- Do jakiej rzeczy? - zainteresowała się Lulu, podskakując na jej kolanach.

Jolene zaczerpnęła powietrza.

- Wysyłają mnie do Iraku, żeby pomóc...

- Co?! - przerwała jej Betsy, gramoląc się z podłogi.

- He? - zawtórowała jej Lulu.

- Och Jolene - szepnęła Mila, zakrywając usta dłonią i opadając na zielony fotel przy oknie.

- Nie ma mowy! - zaprotestowała Betsy. - Boże, nikt nie ma mamy na wojnie! Czy ludzie już wiedzą?

- To twoje największe zmartwienie? - uniósł się Michael.

Jolene traciła nad tym wszystkim kontrolę.

- Przecież jesteś mamą! - wykrzyczała Betsy. - Potrzebuję ciebie! A jeśli cię zabiją?!

Oczy Lulu wypełniły się łzami. -Co?

- Do tego nie dojdzie - powiedziała stanowczo Jolene, starając się, aby jej słowa zabrzmiały przekonująco. - Kobiet nie wysyła się na akcje. Będę głównie przewozić VIP-ów, zabezpieczać dostawy. Nic mi nie grozi.

- Tego nie wiesz. Nie możesz tego wiedzieć - zaproponowała Betsy. - Powiedz im, że nie pojedziesz. Proszę, mamó...

To wypowiedziane drżącym głosem „mamo” rozdarło jej serce. Zapragnęła przytulić Betsy, uspokoić ją, lecz jak mogła ją pocieszyć? Teraz musiała być silna.

- Muszę jechać. To moja praca - oświadczyła.

- Nigdy ci nie wybaczę, jeżeli to zrobisz - oznajmiła Betsy. - Przysięgam.

- Wcale tak nie myślisz - odparła Jolene.

- Kochasz wojsko bardziej niż nas - zarzuciła jej Betsy. Jolene usłyszała znaczące chrząknięcie Michaela. Zignorowała je.

- Nie, Bets - powiedziała cicho. - Ty i Lulu jesteście dla mnie powietrzem w płucach. Krwią w żyłach. Bez was stanęłoby mi serce. Muszę jechać. Wiele kobiet, które pracują, czasami musi zostawiać dzieci...

- Ha! - przerwała jej Betsy. - Nie jestem głupia. Czy do tych mam strzelają na wyjazdach służbowych?

- Wrócisz do domu, mamusiu, tak? - spytała Lulu, przygryzając dolną wargę.

- Oczywiście - zapewniła ją Jolene. - Przecież zawsze wracam. A w listopadzie spędzę z wami dwa tygodnie. Może nawet wybierzemy się do Disneylandu. Chciałabyś?

- Nie znoszę cię - wycedziła Betsy i wybiegła z pokoju, trzaskając drzwiami.

Mila powoli podniosła się z fotela. Ruszyła ku synowej, lecz zatrzymała się w pół drogi, jakby nogi nagle odmówiły jej posłuszeństwa.

- Jak długo cię nie będzie? - spytała, nie panując nad lekkim drzeniem głosu.

- Rok - odpowiedział Michael. , Lulu skrzywiła buzię.

- Ile to jest rok? Tyle co przyszedł tydzień? Jolene odwróciła się do męża.

- Może poszedłbyś porozmawiać z Betsy?

- Ja? A co niby mam jej powiedzieć?

To pytanie spadło na nią jak grom z jasnego nieba i przeraziło bardziej niż cała reszta. Jak on sobie poradzi

w roli samotnego ojca? Czy będzie oparciem dla dzieci, skoro ona już raczej nie mogła na niego liczyć?

Podniosła się z kanapy. Próbowwała postawić Lulu na podłodze, ale mała uczepliła się jej jak rzep. Nie odzywając się ani do Mili, ani do Michaela, opuściła salon z Lulu na rękach i przeszła przez hol do gościnnej sypialni. Może rozmowa z obiema córkami naraz to nie najlepszy pomysł, ale w tej sytuacji nie było idealnych rozwiązań.

Zapukała do drzwi.

- Odejdź! - wrzasnęła Betsy.

- Niedługo wyjadę - odparła Jolene. - I dlatego teraz musimy porozmawiać.

Odczekała chwilę, zebrała się w sobie i weszła do pokoju urządzonego w stylu lat siedemdziesiątych, z tapetą we wzory i z meblami z surowego drewna.

Betsy siedziała na podwójnym wiklinowym łożu z kolanami podciągniętym pod brodę.

Wyglądała na piekielnie wkurzoną.

- Mogę usiąść? - spytała Jolene.

Niechętnie skinęła głową, uciekając spojrzeniem w bok. Usiadły przy niej z Lulu. Jolene najchętniej od razu zaczęłaby tę rozmowę, lecz wiedziała, że musi dać Betsy czas. Czekala więc w milczeniu, gładząc młodszą córkę po głowie.

- Mamy nie powinny zostawiać dzieci. - Betsy odezwała się pierwsza.

- Nie - przyznała, czując, jak te słowa boleśnie ją ranią. - Nie powinny. Bardzo mi przykro, skarbie. Naprawdę.

- A gdybyś im powiedziała, że nie możesz jechać?

- Czekaliby mnie sąd wojenny i pobyt w więzieniu.

- Przynajmniej byłabyś żywa.

Jolene spojrzała na córkę z uwagą. A więc pod tą furią nastolatki krył się lęk.

-Jako matka muszę zapewnić wam bezpieczeństwo i czuwać nad wami, kiedy dorastacie.

- O to mi właśnie chodzi.

- Ale moim obowiązkiem jest także pokazać wam, na jakich ludzi macie wyrosnąć, dawać przykład. Czego bym was nauczyła, uchylając się od zobowiązań? Zachowując się tchórzliwie i niehonorowo? Należy dotrzymywać danego słowa, nawet jeżeli wiąże się to ze strachem czy smutkiem. Dawno temu złożyłam przysięgę i teraz muszę jej dotrzymać, chociaż z ciężkim sercem zostawiam ciebie i Lulu.

Walczyła z płaczem. Nawet wtedy, gdy Michael oświadczył, że już jej nie kocha, nie cierpiała tak bardzo jak w tej chwili. Nie mogła sobie pozwolić na łzy, musiała przekonać córki.

-Macie szczęśliwe dzieciństwo, jesteście kochane i chronione, nie wiecie, co to znaczy być naprawdę samotnym jak palec. Kiedy wstąpiłam do wojska, nie miałam dosłownie nic. Ani nikogo. Byłam zupełnie sama na świecie. A teraz moi nowi przyjaciele - Tami, Smitty, Jamie - mnie potrzebują. Wszyscy z Raptorów. Muszę być z nimi. I kraj mnie potrzebuje. Wiem, że jesteście za małe, żeby to zrozumieć, ale ja wierzę w konieczność obrony Ameryki. Naprawdę. Muszę dotrzymać słowa. Rozumiesz?

Betsy miała łzy w oczach. Dolna warga niebezpiecznie jej drżała.

- Ja ciebie potrzebuję - powiedziała cicho.

- Wiem - odparła Jolene. - Kochanie, ja też ciebie potrzebuję. Bardzo... - Kolejny raz zawiódł ją głos; musiała odchrząknąć, żeby mówić dalej. - Będziemy rozmawiać przez telefon i mejlować, może nawet pisać zwyczajne listy. Wrócę do domu, zanim się obejrzysz.

Lulu pociągnęła ją za rękaw.

- Będiesz w domu, kiedy pójde do zerówki? Jolene przymknęła powieki. Jak ma to wszystko znieść?

- Mamuś? - ponagliła ją młodsza córka drżącym głosem.

- Nie - wyznała. - Nie, jeszcze nie. Ale tatuś z wami będzie...

Lulu się rozplakała.

Michael, teraz sam, podniósł wzrok na matkę. Czytał w jej oczach troskę i niezwerbalizowane pytanie: dlaczego tkwił na kanapie, zamiast wesprzeć Jolene?

Przyglądała mu się *badawczo przez* dłuższą chwilę. Potem wyszła z salonu, aby wrócić po kilku minutach z filiżanką kawy w jednej ręce i z talerzykiem bakławy w drugiej. Jasne. Jedzenie. Jej odpowiedź na wszystko.

Postawiła filiżankę i talerzyk na stoliku przy kanapie i usiadła obok syna.

-Moje dzieciństwo... - zaczęła, kładąc mu dłoń na kolanie - ..przypadło na czas wojny... To był straszny okres dla Grecji. Mój ojciec, wujkowie i kuzyni... wszyscy poszli walczyć. Wielu nie wróciło. Ale *rodzina przetrwała*, trzymała nas razem silna wiara.

Pokiwał głową. Całe życie wysłuchiwał tych jej historii. Druga wojna światowa była dla niego czymś bardzo odległym, ledwo możliwym do ogarnięcia rozumem. Teraz przyszli mu na myśl krewni, którzy zginęli z ręki wroga. Dla niego byli zaledwie imionami z jakiejś dawno napisanej książki. Odruchowo sięgnął po kawałek bakławy i zaczął go żuć. Boże, jaka szkoda, że nie ma tu ojca.

- Przenieś się do was i zajmę dziewczynkami.

- Nie, mamo. Nie mamy gościnnej sypialni, a poza tym masz sklep. Zatrudnię pomoc.

- Wykluczone. Nikt obcy nie będzie się zajmować moimi wnuczkami. Znajdę kogoś do sklepu na pół etatu.

- Sklep na siebie nie zarobi.

- Nie, ale stać mnie na to. Codziennie będę u was po szkole. Tak żeby odebrać Lulu z przedszkola, zanim Betsy przyjedzie szkolnym autobusem. Damy radę. Możesz na mnie liczyć, a dziewczynki będą mieć wsparcie w tobie.

- Codziennie, mam? To dużo pracy. Uśmiechnęła się do niego.

- Jestem dużą kobietą, gdybyś przypadkiem nie zauważył. Chcę ci pomóc, Michaelu. Pozwól mi.

Nie wiedział, co odpowiedzieć. Nadal nie do końca do niego docierało, jak bardzo zmieni się jego życie.

- To tylko drobiazgi, a nie istota sprawy. - Mila z uwagą spojrzała na niego. - Powinieneś być teraz z Jolene, zapewnić dzieci, że wszystko będzie dobrze, że dadzą sobie radę.

- A dadzą?

- W tej chwili nie o nie powinieneś się martwić, na to dopiero przyjdzie czas.

- A Jo? - podchwycił. - Co będzie z nią?

- Nasza Jolene to prawdziwa lwica. Michaelowi pozostało jedynie skinąć głową.

- Już w tej chwili ją zawodzisz, Michaelu. Twój ojciec też taki był, niech mu ziemia lekka będzie. Egoista. Teraz, Michaelu, musisz patrzeć dalej niż na czubek własnego nosa. - Kostkami dłoni pogładziła go po policzku, tak jak to często robiła, kiedy był dzieckiem. - Będiesz z niej dumny.

Wiedział, że powinien przytaknąć i powiedzieć, że oczywiście jest dumny z żony, lecz nie potrafił się przemóc.

- Będę robić to, co należy - powiedział tylko, nie mając wątpliwości, że rozczarował matkę.

Ile jeszcze osób rozczaruje, zanim to wszystko się skończy?

Weekend upłynął Michaelowi na przyglądaniu się swojemu życiu jakby z dystansu. U Betsy wybuchy gniewu mieszały się z potrzebą czułości. Lulu, zupełnie zagubiona, co chwila bez powodu płakała. Michael z trudem znosił widok żalu w oczach dziewczynek, a Jolene, wojowniczką, pozostawała twarda jak stal. Widział, jak delikatnie i czule odnosi się do córek. I tylko wtedy, gdy nikt na nią nie patrzył, opadała z niej maska, a kiedy łzy napływały do zielonych oczu, odwracała się i szybko wycierała je wierzchem dłoni.

Godzinę temu poszła położyć córki spać. Niech mu Bóg wybaczy, że jej nie towarzyszy.

Stał teraz przed kominkiem w dziennym pokoju. Jaskrawo-pomarańczowe i niebieskie płomienie tańczyły w stożku z kłód, wysyłając ciepło, lecz jemu nadal było zimno. Potwornie zimno.

Spojrzał w stronę kuchni. W oknie nad zlewem poświata księżycy ślizgała się po zatoce.

- Śpią - odezwała się Jolene, wchodząc do pokoju. - Teraz możemy porozmawiać.

Miał ochotę zaprotestować: nie, nie chcę rozmawiać, nie o tym, jeszcze nie, w ogóle nie. Wiedział, że to egoistyczne i podłe z jego strony, ale wkurzało go, że ona zostawia go w roli faceta-matki. Naturalnie nie mógł o tym nikomu powiedzieć. Wyszedłby na dupka, przyznając się, że absolutnie nie ma ochoty podjąć się tego zadania, które tak niespodziewanie na niego spadło, i że w ogóle nie wie, jak to wszystko ogarnie. Jak

ma jednocześnie prowadzić kancelarię, która zatrudnia szesnaście osób, bronić klientów i dzień w dzień radzić sobie z wychowywaniem dwójki dzieci? Podwożenie do przedszkola i szkoły. Wyjazdy na wycieczki. Posiłki. Pranie. Odrabianie lekcji.

Już sama myśl o tym wszystkim go przytłaczała.

- Jak, do diabła, mam to wszystko unieść? - zwrócił się do Jolene. - W końcu mam jeszcze pracę.

- Będziesz miał wielkie oparcie w swojej mamie. Obiecała, że zatrudni kogoś w sklepie. To idealne rozwiązanie. Nie chcę, żeby dziećmi zajmowała się opiekunka; dziewczynki czułyby się zagubione i przestraszone, szczególnie Betsy. Ona jest ostatnio bardzo wrażliwa, a dzieciaki w szkole bywają okrutne. Będzie ciebie potrzebować, Michaelu. Obie będą cię potrzebować. Musisz naprawdę uczestniczyć w ich życiu. Chcę...

- Chcesz - przerwał zniecierpliwiony, bo to słowo podziałało na niego jak płachta na byka. - Cała ty. Wyjeżdżasz, ale najpierw musisz wydać dyrektywy, jak mam załatwiać sprawy pod twoją nieobecność.

- Nie mówimy o sprawach, Michaelu, tylko o moich dzieciach.

Słyszał jej łamiący się głos. Wiedział, jak bardzo ją dotknął. Jeszcze niedawno podszedłby, wziąłby ją w ramiona i przeprosił. Teraz stał ze zwieszoną głową, wpatrzony w podłogę u stóp. Echo słowa rozwód wisiało w powietrzu między nimi jak gęsty dym.

Wyraźnie liczyła na jakąś jego reakcję. Jej oddech, nierówny i chropawy, przypominał uderzenia fal o nadbrzeże. On z kolei czuł się osądzany.

Jolene, nie doczekawszy się żadnego gestu z jego strony, po chwili bez słowa wyszła z pokoju.

W poniedziałek rano Tami prosto ze szkoły zajechała przed dom i dała sygnał klaksonem.

Jolene zeszła na podjazd i wsiadła do dużej, białej ciężarówki przyjaciółki.

Popatrzyły na siebie, bez słów dzieląc się swoimi lękami, nadziejami i zmartwieniami.

Tami westchnęła.

- Jak ci poszło?

- Ciężko - przyznała Jolene. - A tobie?

-Ledwo to przeżyłam. - Wrzuciła wsteczny bieg i wycofała ciężarówkę na drogę. Po chwili pędziły już autostradą w kierunku Tacomy.

-Seth usiłował udawać twardziela - odezwała się Tami po nietypowym dla nich milczeniu, które ciągnęło się kilometrami. - Zapytał, co będzie, jeśli nie wrócę. On nie ma nawet trzynastu lat. Nie powinien zadawać mamie takich pytań.

- Betsy była wkurzona. Powiedziała, że mi nie wybaczy, jeżeli ją zostawię. No i że kocham wojsko bardziej niż ją.

- Carl się popłakał - wyznała cicho Tami po kolejnej długiej ciszy. - Nigdy dotąd nie widziałam u niego łez. To było takie... - Głos ją zawiódł. - Rany, to było trudne.

Jolene przełknęła dławiacą ją w gardle kluskę.

- Co jest gorsze? - spytała cicho. - Facet, który płacze, kiedy idziesz na wojnę, czy taki, który nie płacze?

Reszta drogi upłynęła im w milczeniu. Wkrótce dotarły do bazy i zatrzymały się przed dyżurką.

Pokazały identyfikatory, pozdrowiły wartownika skinieniem głowy i wjechały na teren.

W holu przed salą zarezerwowaną dla załóg black-hawków na krzesłach pod ścianą siedziało już kilka osób z ich jednostki. Wszyscy, z wyjątkiem paru zadziornych młodzieńców, byli milczący i przygaszeni. Smitty, młodziutki Smitty, z aparatem na zębach, trądzikiem i szczeniacką werwą, chodził rozentuzjzmowany między pilotami, pytał, jak jest na wojnie, i obiecywał skopać tam kilka tyłków. Jolene pomyślała, co w tej chwili może czuć jego matka...

Obie z Tami, oparte o betonową ścianę, czekały na swoją kolej.

Drzwi do sali otwały się i wyszedł stamtąd energicznym krokiem Jamie Hix. Regulaminowo obcięte ciemnoblonde włosy sterczały mu nad opalonym, szerokim czołem. Z kącików oczu rozchodziły się zmarszczki; świeże, powstałe po wiadomości o mobilizacji. Niewątpliwie martwił się o synka. Czy żona wykorzysta jego nieobecność, aby mu go odebrać?

- Twoja kolej, Jo.

Jolene skinęła głową i weszła do sali, gdzie za długim, pełnym dokumentów stołem siedział oficer w połowym mundurze.

- Starszy chorąży Zarkades? - Podniósł wzrok znad papierów. - Spocznij. Proszę siadać. Jestem kapitan Reynolds. Jeff.

Usiadła na krześle naprzeciw niego, sztywna jak struna, z rękami opartymi na kolanach. Przesunął w jej stronę plik dokumentów.

- Widzę, że jest zabezpieczenie rodzinne. Córki: Elizabeth Andrea Zarkades i Lucy Louida Zerkades zostają pod opieką męża Michaela Andreasa Zarkadesa. Zgadza się?

- Tak jest.

- Rozumiem, że teściowa też jest dyspozycyjna.

-Tak jest.

Prawnik spojrział w papiery i postukał długopisem w blat.

- Mobilizacja może okazać się trudnym czasem dla małżeństwa. Czy istnieją jakiegokolwiek powody do niepokoju, jeżeli chodzi o oparcie w rodzinie?

- Nie, panie kapitanie - odparła Jolene.

- Czy macie sporządzony testament? - Oficer podniósł na nią wzrok.

- Tak. Mój mąż jest prawnikiem.

- Dobrze. - Podsunął plik papierów. - Proszę postawić datę i podpisać oświadczenie o zabezpieczeniu rodziny oraz załącznik dotyczący organizacji pogrzebu. Jak rozumiem, w razie śmierci należy powiadomić Michaela Zarkadesa. Czy kogoś jeszcze?

-Nie.

- Okey. To wszystko. Możecie odejść. Podniosła się.

- Dziękuję.

- Aha, starszy chorąży, jeszcze jedno. Zalecamy napisanie listów... do bliskich.

Jolene pokiwała głową. Listy. Pożegnalne. Zalecali, aby napisała listy, w których pożegna tych, których kocha najbardziej na świecie. Usiłowała to sobie wyobrazić... Betsy któregoś dnia w jakiejś bliżej nieokreślonej przyszłości otwiera list, widzi pismo matki, czyta jej ostatnie słowa - jakie powinny być te słowa, napisane teraz, zanim wiedziała, co chciałyby jej powiedzieć, zanim zdążyły przeżyć razem kawałek życia? Lulu rozplakałaby się i krzyczałaby przez łzy: Co? Mama odeszła? Dokąd? Z wykrzywioną buzią i czarnymi oczami mokrymi od łez usiłowałaby dociec, co to w ogóle znaczy.

- Powodzenia, starszy chorąży. Niech Bóg ma was w opiece.

Następne dwa tygodnie minęły jej jak z bicza trzasnął. Sporządziła i skorygowała przynajmniej dziesięć list spraw do załatwienia i powpinała do segregatora wszystkie istotne informacje, jakie tylko przyszły jej w tym czasie do głowy. Zamknęła prenumeratę czasopism, których i tak nie przeczyta, załatwiła syna sąsiadów do strzyżenia trawnika w lecie i do konserwacji generatora w zimie, popłaciła wszelkie rachunki możliwe do zapłaty z góry. Tym wszystkim zajmowała się wieczorami i nocą, dni spędzała w jednostce, przygotowując się do wyjazdu na wojnę. Wraz ze swoją załogą wylatała tyle godzin, że nawet oddychać zaczęli w zgodnym rytmie. Przed pierwszym maja zarówno ona, jak i cała reszta oddziału zaczęła nerwowo przebierać nogami. Skoro muszą tam lecieć, najlepiej, żeby stało się to najprędzej. Tylko tak będą mogli zacząć odliczać czas do powrotu.

W domu życie było jednym pasmem wzruszeń i przeciągających się pożegnań. Każde spojrzenie, każdy uścisk, każdy całus były naznaczone smutkiem. Nie wiedziała, jak długo jeszcze da radę dźwigać ten ciężar. Za każdym razem, kiedy spoglądała na swoje maleństwa, czuła bolesny ucisk w gardle.

No i był jeszcze Michael.

W tym krótkim czasie jeszcze bardziej oddalili się od siebie, a on jeszcze dłużej przesiadywał w kancelarii. Rzadko spoglądał w jej stronę, a kiedy przypadkiem przechwyciła jego spojrzenie, nieodmiennie widziała w nim niechęć, zanim szybko odwrócił oczy. Kilkakrotnie usiłowała z nim porozmawiać o mobilizacji i o tym, co czuje, o jego niepokojach i o swoim strachu, lecz

wszelkie próby paliły na panewce i w końcu znużona dała sobie spokój.

Chyba jednak powiedział jej wtedy prawdę - już jej nie kocha.

Czasami, gdy leżała obok niego w bezsenną noc, bojąc się, żeby przypadkiem go nie dotknąć, i tęskniąc za jego dotykiem, zastanawiała się, czy nadal jej na nim zależy. Starła się go rozgrzeszać, tłumacząc ten chłód lękiem i obawą o przyszłość, ale po jakimś czasie opuścił ją wrodzony optymizm. Potrzebowała go teraz, może po raz pierwszy aż tak bardzo podczas ich wspólnego życia, a on ją zawiódł. Tak samo jak kiedyś jej rodzice.

Dziś wieczorem po długim dniu w bazie wprowadziła terenówkę do garażu i przez kilka minut siedziała w ciemnościach, zbierając siły. Kiedy wreszcie uznała, że jest sobą, wysiadła z samochodu i weszła do domu.

Wnętrze wypełniało złotawe światło i aromat jagnięciny natartej przyprawami i duszonej w pomidorach. Powietrze pachniało słodko cynamonową nutą. Skądś dochodziły przytłumione głosy dziewczynek, lecz Jolene nie potrafiła ich umiejscowić. Teraz nikt nie miał zbyt dużo do powiedzenia. Oszczędzali słowa na czas pożegnania. Szczególnie źle znosiła tę sytuację Betsy; zachowywała się demonstracyjnie, stawiała się, trzaskała drzwiami. Prawdopodobnie śmiano się w klasie, że jej mama będzie walczyć „na tej głupiej wojnie”, i dziewczyna była bliska załamania. Wręcz błagała matkę, żeby odeszła z wojska.

Jolene powiesiła płaszcz w przedsiionku i weszła do kuchni. Miła myła nad zlewem naczynia po kolacji. Michael jeszcze siedział w pracy, rzadko wracał do domu przed dziesiątą.

Dziesiąć po ósmej słońce zaczęło chylić się ku zachodowi; widok za kuchennym oknem z przenikającymi

się odcieniami brązu, złota i lawendy przypominał malarstwo Moneta.

Jolene stanęła za teściową. Wyczuła zapach różanego szamponu.

- Cześć, Milu. - Dotknęła jej ramienia. - Mussaka?

- Oczywiście. Twoja ulubiona.

To wystarczyło, aby Jolene ogarnęła melancholia. Serdecznie uścisnęła ramię teściowej.

- Dzięki, że do nas zajrzałaś.

- Twoja porcja jest w lodówce. Wstaw na trzy minuty do mikrofal - poradziła Mila, odstawiając ostatni wytarty talerz na blat. - Jak poszły dzisiaj ćwiczenia?

Jolene się cofnęła.

- Doskonale. Jestem w stu procentach gotowa do wyjazdu.

Mila, odwracając głowę, zmierzyła ją wzrokiem.

-Udawaj sobie przed Betsy i Lulu, nawet przed moim synem, jeśli musisz, ale nie przede mną, Jo. Nie potrzebuję twojej siły. To właśnie tobie bardziej przyda się moja.

- A więc mogę się przyznać, że trochę się boję?

- Nie zapominaj, że urodziłam się przed wojną. W Grecji. Żołnierze uratowali nas od zagłady. Jestem z ciebie dumna i dopilnuję, aby twoje córki też były z ciebie dumne.

Tych parę prostych słów bardzo dużo dla niej znaczyło.

- A twój syn? - zapytała po chwili.

- Jest mężczyzną i ma pietra. To kiepskie połączenie. Ale cię kocha. To wiem. A ty kochasz jego.

- Czy to wystarczy?

-Czy wystarczy? Miłość jest najważniejsza, *kardia mou*.

Miłość. Jolene powtórzyła w myślach to słowo, za-

stanawiając się, czy Mila ma rację - czy rzeczywiście miłość w takich okolicznościach wystarczy.

- Będziemy czekać, aż wrócisz do domu cała i zdrowa. A o nas się nie martw.

Jolene wiedziała, że nie ma wyboru. Musi zostawić ludzi, których kocha. Będzie jej brakować rodziny, lecz emocje - tęsknotę - trzeba będzie schować głęboko.

- Dam radę - wyszeptała. Całe życie szufladkowała uczucia. Wiedziała, jak strach i tęsknotę trzymać w specjalnej skrytce.

- Mój syn sprostą sytuację - zapewniła ją Mila. -Pod tym względem przypomina swojego ojca. Michael nigdy nie wymigiwał się od obowiązków. Nie zawiedzie cię.

- Skąd mogę mieć pewność?

- Ja to wiem - odparła teściowa z uśmiechem.

W pierwszym tygodniu maja Michael skupił się na sprawie Kellera. Złożył wniosek o zmianę kwalifikacji czynu z zabójstwa z premedytacją i zaczął wnikliwie badać okoliczności zdarzenia. Musiał poznać wszystkie szczegóły, a tymczasem jego klient uparcie milczał. Odkąd pierwszego dnia w areszcie Keith oznajmił: „Jestem winny”, jedyną reakcją na pytania Michaela był jego szklany wzrok. Od czasu do czasu mamrotał jedynie: „Zabiłem ją”. Kiepska pomoc dla obrońcy.

Tymczasem w domu Jolene wręczała mu kolejne listy spraw do załatwienia. Za każdym razem, gdy udało jej się przykuć jego uwagę, dodawała nowe wskazówki i przypomnienia: w listopadzie nie zapomnij ocieplić rur... pamiętaj o nawożeniu roślin... po sezonie wyczyść grilla. Tak wyglądały ich wspólne wieczory. Dni spędzała w bazie na przygotowaniach do wyjazdu na misję. Widział, że zaczyna się niecierpliwić. W poprzedni wieczór powiedziała mu, że wolałaby już jechać, zrobić, co ma do zrobienia, żeby jak najprędzej wrócić do domu.

Wkrótce jej życzenie się spełni.

Za dwa dni pożegna się z żoną, a potem będzie patrzył, jak idzie do wojskowego autobusu i odjeżdża.

Chciałby być opanowany, silny i szczerzy. Niestety, w ostatnim miesiącu dowiedział się czegoś o sobie - był egoistą. Cała ta sytuacja martwiła go, napawała lękiem i wkurzała. Szczerze mówiąc, najbardziej wkurzała. Był zły, że ona przedkładała wojsko nad rodzinę, zły, że przed laty nie zrezygnowała ze służby w Gwardii, zły, że na nic nie miał wpływu.

Za namową Jolene poszedł na tamto idiotyczne spotkanie grupy wsparcia rodzin. Porażka! Cały dzień kiepsko wyrabiał się z czasem i oczywiście na to spotkanie też się spóźnił. Wpadł do budynku zadyszany, chaotycznie szukając wśród papierów w aktówce nazwiska osoby, z którą miał się skontaktować.

Kobiety. To właśnie zobaczył. Co najmniej pięćdziesiąt kobiet w jednej sali; większość zmagająca się z krzyczącymi i popłakującymi dziećmi. Do tablicy na stojaku przypięty duży plakat z napisem: „Wspieraj swojego żołnierza”. Poniżej rozstrzelonym drukiem lista zagadnień. „Paczki żywnościowe. Rozmowy telefoniczne. Samotność. Seks. Pomoc socjalna”. Jakby miał omawiać z obcymi ludźmi problemy wynikające z mobilizacji żony.

Kiedy stanął w drzwiach, wzrok wszystkich kobiet zawisł na nim. W sali zrobiło się cicho.

- Przepraszam, pomyłka - wymamrotał, wycofując się.

Nie zamierzał tkwić tam z tymi kobietami i słuchać wywodów, jak być dobrą żoną, gdy mąż jest na misji.

Gdziekolwiek się pojawił, wiadomość o wyjeździe Jolene do Iraku zdawała się go wyprzedzać. Nie znosił tych znaczących spojrzeń posyłanych w jego stronę. Twoja żona jedzie na wojnę? Widział zatroskane miny, zapewne wyobrażano go sobie, jak w kuchennym fartuszkowi wyrabia mikserem ciasto w metalowej misie. Jego liberalni, intelektualni znajomi mieli na ten temat własne

zdanie. Szybko kierowali rozmowę na George'a W. Busha i polityczne cele tej misji, stwierdzając na koniec, że jego żona bez sensu naraża życie. I co, do diabła, miał im na to powiedzieć?

Wiedział, że powinien być po stronie walczących, nie wojny. Takie właśnie, honorowe stanowisko powinien zająć, lecz niestety, nie potrafił. Nie mógł się zmusić do wspierania Jolene w jej postanowieniu.

Ona była tego świadoma; widziała jego gniew i urazę. Zbyt dobrze się znali, aby skutecznie maskować takie jadowite emocje. Bez miłości, która mogłaby ich osłaniać, oboje byli jak ofiary poparzeń; każde dotknięcie sprawiało ból.

Tak więc nie patrzył na nią i w ogóle trzymał się od niej z daleka, uciekając w pracę. Tak właśnie przetrwał ostatnie dwa tygodnie. Nieobecność. Wyjeżdżał do pracy wcześniej rano i wracał późnym wieczorem. W nocy leżeli na swoich połowach łóżka, milczący i oddaleni od siebie. Oboje kiepsko sypiali i oboje udawali, że wstają wyspani. Jolene jeden, jedyny raz spróbowała wyciągnąć do niego rękę, mówiąc znaczącym szeptem: „Michaelu, niedługo wyjeżdżam”, lecz on odwrócił się, rozżłoszczony tym dążeniem do intymności. Nazajutrz widział ból i poniżenie w jej oczach i choć było mu wstyd, nie potrafił zmienić swojego nastawienia.

Zabrzączał interkom na biurku. To asystentka zawiadamiała go, że prokurator okręgowy King County przyszedł punktualnie na umówione spotkanie.

- Wprowadź - polecił, prostując się w fotelu.

Brad Hilderbrand, oskarżyciel publiczny, wkroczył do gabinetu. Michael dobrze go znał; pod układną maską polityka biło serce zeloty. Został mianowany na to stanowisko dzięki bezwzględnej postawie wobec przestępczości i jeszcze bardziej zajadłej wobec przestępców.

I wierny linii swojej partii skrupulatnie wywiązywał się z obowiązków.

- Michaelu. - Z uśmiechem wyciągnął rękę na przywitanie.

Uścisnęli sobie dłonie. Uśmiech na twarzy Hilderbranda nie wróżył nic dobrego.

- Chcę, abyś wiedział, że pojawił się świadek w sprawie Kellera - oznajmił na wstępie. - Dla pełnej jasności.

- I licząc na ugodę obrończą.

- Zależało nam, aby ta informacja jak najszybciej do ciebie dotarła. Keller się przyznał. I to właśnie jest cel mojej wizyty.

- Czyżby?

- Tu masz zeznanie Terry'ego Weinera - rzucił na biurko żółtą kopertę.

- Siedzi z Kellerem w jednej celi.

Więzienne kapowanie. Sztuczka chętnie wykorzystywana przez policję i prokuratorów.

- Gwoli jasności. Sugerujesz, że Keith Keller, który podczas kilkutygodniowego pobytu w areszcie nie chce rozmawiać ani z ojcem, ani ze swoim obrońcą, ani z psychiatrą wyznaczonym przez sąd, nagle otwiera się przed współaresztantem?

- Powiedział, cytuję: „Dziwka nie chciała się zamknąć, więc ją sprzątnąłem”.

- Krótkie, konkretne i łatwe do zapamiętania. Niech zgadnę. Ten tak zwany świadek wyszedł na wolność.

- Siedział za nielegalne posiadanie.

- Czyli narkoman. Świetnie. - Michael wziął z biurka kopertę, otworzył ją i przebiegł wzrokiem zeznanie. - Chcę dostać kopię raportu z odbywania kary przez świadka.

- Prześlę ci.

- Ta bajeczka to wszystko, co masz?

- To bardzo dużo, Michaelu. Obaj dobrze o tym wiemy. - Brad zrobił znaczącą przerwę i podniósł na niego oczy. - Doszły mnie słuchy o twojej żonie. Podobno jedzie na wojnę? Nie wiedziałem, że masz wojskowe tradycje w rodzinie.

- Hmm, wojskowe tradycje. Tak bym tego nie nazwał.

- Naprawdę? Dziwne. Jakkolwiek na to patrzeć, będziesz miał teraz dzieciaki na głowie.

Czy mu się zdawało, czy w głosie Brada pobrzmiwała ironia?

- Nie martw się o mnie. Odbiorę dzieci ze szkoły, zrobię obiad i jeszcze zdążę skopać ci tyłek na sali sądowej.

Po kolacji Jolene stała przy kuchennym zlewie z rękami po łokcie w gorących mydlinach, zapatrzona na ogródek za oknem. Tego wieczoru wyglądał szczególnie ładnie; wygwieżdżone niebo, fale srebrzone poświatą księżycy i płot, który zdawał się mienić. Wiedziała, że przymykając powieki, natychmiast wypełni tę przestrzeń tysiącem wspomnień, usłyszy śmiech córek, poczuje w dłoni dotyk pulchnej rączki.

Do widzenia. Tak wiele razy powtarzała w myślach te słowa w ostatnich dwóch tygodniach. Mówiła je widokom, wspomnieniom, chwilom, obrazom, ludziom. Całymi godzinami starała się wszystko utrwać w pamięci, aby przenieść mentalny album z życiem, które zostawiała... do życia, które ją czekało.

Wyjęła ręce z wody, wytarła i wyciągnęła zatyczkę ze zlewu. A potem powoli wyszła z pustej kuchni.

Pokój rodzinny tonął w świetle. Wszystkie lampy były pozapalane, ogień płonął w kominku, a w telewizji

leciał jakiś sitcom, którego nikt nie oglądał. Wyłączyła telewizor i natychmiast włączyła go z powrotem, zelektryzowana martwą ciszą. Wchodząc na piętro, słyszała skrzypienie stopni pod nogami. Betsy w swoim pokoju odrabiała lekcje. Lulu już spała. Przystanęła pod drzwiami starszej córki i powiodła opuszkami palców po dębowym skrzydle. Przez moment myślała o tym, żeby wejść, usiąść przy Betsy i porozmawiać z nią od serca o mobilizacji. Ale dziś miała coś innego do załatwienia, coś, co odkładała z dnia na dzień.

Weszła do sypialni, zapaliła światło i zamknęła drzwi. Gdy tak stała, patrząc na pokój, który dzieliła z mężem, powróciły wspomnienia. To łóżko, Michaelu, weźmy je... popatrz tylko, jakie solidne... można na nim począć dzieci... Komódkę dawno temu wypatrzyli na wyprzedazy garażowej, a orientalny dywan był ich pierwszym poważnym zakupem.

Z westchnieniem podeszła do komody i z szuflady ze skarpetkami wyjęła kamerę. Ustawiała ją na trójnogu, wycelowała obiektyw i nacisnęła *Record*. Z wymuszonym uśmiechem usiadła na łóżku i obłożyła się poduszkami, tak jak zwykle robiła, gdy zabierała się do czytania bajek.

- Cześć, Lulu... - Głos ją zawiódł. Głęboko odetchnęła i zaczęła jeszcze raz. - Nagrywam tę kasetę specjalnie dla ciebie. - Wzięła do ręki jej ulubioną bajkę o przygodach profesora Wormboga. Otworzyła ilustrowaną książkę i zaczęła czytać, zmieniając głos w zależności od postaci. Kiedy skończyła, zamknęła książkę i przez łyżę spojrzała w kamerę. - Lucy Louido, kocham cię do księżyca i z powrotem. Słodkich snów, moja maleńka. Wrócę do domu, zanim się obejrzysz.

Wstała z łóżka i wyłączyła kamerę. Zmieniła kasetę. Tym razem usiadła w nogach łóżka i spojrzała prosto w obiektyw.

- Betsy - zaczęła łagodnie. - Doprawdy nie mam pojęcia, co ci powiedzieć na pożegnanie. Wiem, jak bardzo mnie teraz potrzebujesz. Masz wiele problemów w szkole i chciałabym dać ci tyle rad, ile tylko możliwe, żeby łatwiej ci było w życiu, ale nie mamy na to czasu, prawda? - Westchnęła. - Wiem, że jesteś na mnie zła, i bardzo cię przepraszam. Mam jednak nadzieję, że kiedyś mnie zrozumiesz. Może nawet będziesz ze mnie dumna, tak jak ja jestem dumna z ciebie. Bardzo dumna. Jesteś silna, ładna, mądra i lojalna. Kiedy mnie nie będzie, czeka cię wiele wyzwań i zapewne nie będzie ci łatwo. Ale na pewno im sprostasz. - Jolene na moment przymknęła oczy, myśląc o tym, jak wiele jeszcze zostało do powiedzenia. Następných dziesięć minut poświęciła na problemy, które wydawały jej się najbardziej istotne. Poradziła Betsy, jak ma postępować z koleżankami i kolegami z klasy, uprzedziła, że niedługo może dostać pierwszy okres, i przypomniała, co myśli o malowaniu się do szkoły. Kiedy skończyła, czuła się wyczerpana. Tyle jeszcze spraw... i tak mało czasu. - Kocham cię, Betsy, do księżycy i z powrotem. I wiem, że ty mnie też kochasz. Ja to wiem - powtórzyła z uśmiechem.

Zrezygnowana, podniosła się z łóżka i jeszcze raz zmieniła kasetę. Ta była przeznaczona dla Michaela, lecz kiedy siadając na łóżku, spojrzała w czarne oko obiektywu, poczuła pustkę. Po tylu spędzonych wspólnie latach żadne słowa nie przychodziły jej na myśl, poza tym wcale nie była pewna, czy on zechciałby ich wysłuchać. Wstała i wyłączyła kamerę. Położyła obie kasety na komodzie; jedną podpisała: LULU, a drugą: BETSY.

A teraz...

Podeszła do biurka w rogu sypialni, wspominając tamten dzień, w którym je znalazła, i reakcję Michaela. To najbrzydszy grat, jaki w życiu widziałem - skwito-

wał ze śmiechem. Ile tam jest warstw farby? A ona wzięła go za rękę i podprowadziła bliżej. Skarbie, spróbuj zajrzeć pod te warstwy - powiedziała.

Usiadła teraz przy tym biurku i otworzyła dolną szufladę. Trzymała tam metalową kasetę, kupioną specjalnie na wyjazd. Postawiła ją na mahoniowym blacie, wyjęła ze środka papeterię, którą kupiła w tym tygodniu, i zabrała się do pisania listów. Oby nikt nigdy nie musiał ich czytać.

Do mojej ukochanej Elizabeth Andrei.

Napisanie tego listu jest dla mnie najtrudniejszą rzeczą w życiu. Nie chodzi o to, że nie wiem, co chcę powiedzieć (choć właściwie nie wiem), lecz po prostu nie mogę znieść myśli, że kiedy będziesz go czytać, mnie już nie będzie na świecie, a ty zostaniesz pólsierotą...

Pisała i pisała, ocierając łzy, aż w końcu zabrakło jej słów, choć nadal czuła niedosyt. Kiedy skończyła, drżały jej dłonie. Wcale nie było łatwiej ułożyć list do Lulu, bo myślała o dziecku, które będzie miało bardzo mgliste wspomnienie matki...

Michaelu - zaczęła trzeci, ostatni list i dłoń zawisła nad kartką. Łzy skapnęły na papier, tworząc szare plamki. Kochałam Cię od zawsze do samego końca. Dbaj o nasze maleństwa... dopilnuj, aby mnie pamiętały.

Złożyła listy, wsunęła do kopert i zamknęła w kasecie razem z portfelem i prawem jazdy.

Schowała kasetę do szuflady. Jeszcze przez chwilę siedziała przy biurku zapatrzona w noc, z uczuciem dojmującej pustki. Potem na miękkich nogach podniosła się chwiejnie, podeszła do szafy i wyjęła brezentowy zasobnik. Rzuciła go na łóżko i zaczęła się pakować.

Skupiona na gromadzeniu rzeczy z listy i składaniu

ubrać dokładnie na trzy części, nie usłyszała pukania. Nagle wyrosła przy niej Betsy. Stała zapatrzona na otwartą torbę, spakowane polowe mundury z pustynnym kamuflażem, buty w piaskowym kolorze i zielone wojskowe podkoszulki.

Jolene uśmiechnęła się do niej.

- Chodź tu.

Córka na sztywnych nogach zbliżyła się do łóżka ze wzrokiem utkwionym w splątane łańcuszkami identyfikatory, leżące obok zasobnika. Podniosła prostokątne blaszki i powiodła spojrzeniem po zawartych tam informacjach.

- Sierra powiedziała, że będziesz zabijać ludzi - wyznała cicho drżącym głosem. - A Todd ją wyśmiał i powiedział: „Nie, nie będzie, kobiety nie potrafią strzelać, przecież wszyscy to wiedzą”.

-Betsy...

-Widziałam na filmie, jak rozpoznali żołnierza po nieśmiertelnikach. Po to one są? Żeby cię zidentyfikować? - W oczach miała łzy.

- Betsy, nic takiego się nie stanie.

- Nie powinnaś tam jechać.

Jolene z trudem przełknęła ślinę. Najchętniej pochwyciłaby córkę w ramiona, mocno przytuliła i oznajmiła, że zostaje w domu.

- Też wolałabym nie jechać.

- Przyrzeknij, że wrócisz do domu cała i zdrowa. -Och dzieciaku... - Szukała odpowiednich słów,

w które mogłaby ubrać to niemożliwe do dotrzymania przyrzeczenie, bo wiedziała, że to, co teraz powie, na zawsze pozostanie w pamięci nastolatki. - Tak bardzo cię kocham...

Betsy, wyraźnie wstrząśnięta, wydała stłumiony jęk i wybuchnęła płaczem.

- To nie jest przyrzeczenie! - wytknęła przez łzy. Cis-

nęła identyfikatory na podłogę i wybiegła z sypialni, trzaskając drzwiami.

Jolene powoli pochyliła się po niej i z ciężkim westchnieniem nałożyła na szyję. Kiedy skończy się pakować, pójdzie do Betsy i spróbuje, raz jeszcze spróbuje znaleźć u niej zrozumienie.

Zbliżał się ich ostatni wspólny wieczór. Dzień spędziła z córkami. Pozwoliła Betsy opuścić lekcje. Poszły we trójkę do kina, potem na ślizgawkę, a na koniec zjadły lunch w Red Robinie.

Teraz słońce chyliło się ku zachodowi.

Miała plan na ten ich ostatni wieczór. Umyśliła, że wszyscy razem pojedą na kolację do Crab Potu. Potrzebowali, ona potrzebowała, ostatniego ciepłego wspomnienia, które nosiłaby jak amulet w czasie rozłąki.

Od lat Crab Pot był „ich” restauracją. W upalne, leniwe dni, typowe dla lata na północnym zachodzie, chodzili tam plażą podczas odpływu, często po drodze wymyślając różne konkursy. Ten, kto pierwszy znalazł agat, jeżowca czy idealnie gładki biały kamyczek, zgarniał nagrodę w postaci rożka z dwiema gałkami lodów.

W ubiegłych latach Michael też z nimi chodził. To jemu przypadało noszenie kolorowych, plastikowych wiader i łopatek, naręcza ręczników czy parawanu. Jednak po śmierci ojca bardzo się zmienił. Może gdyby choć na sekundę potrafił cofnąć się w czasie, podarowałby Jolene to, czego w ten wieczór najbardziej potrzebowała; dzielenia czasu z całą rodziną.

- No, moi drodzy, zbierajmy się - powiedziała. - Pojedziemy do Crab Potu na kolację.

Jedna Lulu okazała entuzjazm.

-Jest za zimno - stwierdziła Betsy, przebierając

utwory w iPodzie i poprawiając słuchawki. - Do Potu chodzi się dopiero w lecie. Teraz siedzą tam sami starzy ludzie.

Michael, który celując pilotem w telewizor, serfował po kanałach, jedynie wzruszył ramionami.

Potraktowała ten gest jako akceptację.

- Doskonale. W takim razie jedziemy. Tylko weźcie kurtki. Może być chłodno na dworze.

Następne dziesięć minut upłynęło jej na wyciąganiu kurtek, botków i pledów. Na wszelki wypadek włożyła do bagażnika swojego samochodu cztery składane krzeselka i po chwili jechali już wijącą się drogą wzdłuż wybrzeża.

Crab Pot był swojską, lokalną restauracją, zbudowaną przed pięćdziesięciu laty przez norweskiego rybaka. Nieduży dom z kamiennych ciosów stał idealnie usytuowany na skrawku ziemi pomiędzy drogą i plażą. Na opasającym go tarasie z poszarzałych przez lata desek stały piknikowe stoliki, a barierę zdobiły udrapowane rybackie sieci i świąteczne lampki. W lecie stoły przykrywano ceratą w biało-czerwoną kratkę, poza sezonem, gdy zaglądali tu jedynie miejscowi, jadano na gołych deskach.

Posadzkę w środku pokrywała pofałdowana warstwa piasku, podobno z dzikiej plaży z okolic Kalaloch. Drewniane ściany ginęły pod mnóstwem poprzypinanych do nich wielokolorowych pamiątek: zdjęć, wygasłych licencji rybackich, jednodolarówek. Każdy mógł dołożyć tutaj, co mu dyktowała fantazja. Pomędzy papierowymi memorabiliami wisiało nawet parę biustonoszy i damskich fig.

Lulu natychmiast obrała właściwy kierunek. Weszła do restauracji jak do własnego domu, kierując się prosto do okna przy kasie.

- To my - oznajmiła wszystkim, którzy chcieliby słuchać, pokazując palcem na ścianę. W tej chwili było tu zaledwie kilku gości i żaden z nich nie spojrzał w jej stronę.

- Oczywiście, Lulu, to ty - odezwała się do niej siwowłosa kelnerka Inga, która pracowała tu od niepamiętnych czasów. - Ja też bardzo lubię to twoje zdjęcie.

Lulu promieniała.

Inga zaprowadziła ich do stolika przy drzwiach.

- To co zwykle? - spytała, wyciągając ołówek z fryzury. To był tylko taki jej żart; nikt nie widział, żeby Inga kiedykolwiek zapisywała zamówienie.

- Jasne - przytaknęła Jolene, siląc się na radosny ton. -Dwa kraby, cztery porcje klarowanego masła i dwie chleba czosnkowego.

Zajęli miejsca na dwóch przeciwległych ławkach; Michael z Betsy usiedli naprzeciwko Jolene i Lulu. Przez cały posiłek Jolene starała się podtrzymywać rozmowę, lecz kiedy zdjęli chroniące ubranie plastikowe serwetki, ogarnęło ją zniechęcenie. Tak naprawdę tylko ona i Lulu cały czas coś mówiły. Michael i Betsy odpowiadali przeważnie pomrukami i wzruszaniem ramion. Oboje czuli się nieszczęśliwi i chcieli, żeby Jolene o tym wiedziała. Przynajmniej tak sobie tłumaczyła ich zachowanie. Kiedy Michael regulował rachunek, do restauracji weszli Flynnowie.

- No, świetnie - mruknęła Betsy, kuląc się na ławie i pozwalając włosom opaść na twarz.

- Tami! - Jolene zerwała się z miejsca i okrążyła stolik, żeby wyściskać przyjaciółkę. Powinna przewidzieć, że Flynnowie zjawią się tu w komplecie.

-Czas na zdjęcia! - zawołała, wypuszczając Tami z objęć.

Flynnowie natychmiast ustawili się razem i spleceni ramionami, uśmiechnęli się do aparatu. Jolene zrobiła

im zdjęcie starym, prymitywnym polaroidem, który w Crab Pocie trzymano na użytek gości. Do tradycji należało umieszczanie na ścianie fotografii rodzin, które odwiedziły restaurację.

-Wyszło - oznajmiła Jolene, a oni, zaglądając jej przez ramię, patrzyli, jak wywołuje się zdjęcie. Kiedy nabrało ostrości i okazało się całkiem udane, Carl przypiął je do ściany przy wejściu.

- Teraz wy - zdecydowała Tami, przejmując aparat. Jolene zebrała swoją rodzinę; objęła Betsy (chuda

jak patyk ta jej córka) i Lulu (mały skarbek). Michael stanął za nimi. Na komendę *cheese* rozciągnęli usta w uśmiechu. Pstryk.

Betsy i Michael natychmiast się odłączyli i wyszli na dwór. Jolene odprowadziła ich wzrokiem. Tami poszukała jej ręki.

- Hej, wyluzuj - szepnęła, ściskając jej dłoń. Jolene pokręciła głową, zmuszając się do uśmiechu.

Wyszły na taras, cały czas trzymając się za ręce. Zapadł już zmrok. Księżyc w pełni wysrebrzał poszarpane, pokryte śniegiem grzbiety gór i rzucał serpentyńskie światła w poprzek fal.

Na drugim końcu tarasu Carl przystanął przy Michaelu. Nawet z tej odległości było widać, jak niezręcznie czują się w swoim towarzystwie ci dwaj mężczyźni, których nie łączyło nic poza przyjaźnią ich żon. Michael z rękami wciśniętymi głęboko w kieszenie kiwał się lekko na piętach. Chłodny, wieczorny wiatr burzył mu czarną czuprynę.

Seth zszedł na plażę z Lulu. Oboje, kucając przy brzegu, przyglądali się czemuś w wodzie. Jolene widziała, że Betsy ma ochotę do nich dołączyć, ale nie pozwalała jej na to ambicja.

- Idź, Betsy - zachęciła ją cicho.

Dziewczynka z wahaniem zeszła po schodach z tarasu na piasek. Seth na jej widok uśmiechnął się nieśmiało.

- Jak oni sobie bez nas poradzą? - zadumała się Jolene.

- Jak my poradzimy sobie bez nich? - odpowiedziała pytaniem Tami.

Zeszły z tarasu, dopiero gdy ostre powietrze zaczęło szczypać w nos, bryza zmieniła się w wiatr, a Carl i Michael przestali udawać, że klei im się rozmowa. Flynnowie wrócili do restauracji, a Zarkadesowie pojechali do domu.

Kiedy wprowadzili samochód do garażu i przekroczyli próg ciepłego, złotego domu, atmosfera nabrała powagi. Nawet Lulu udzielił się ten nastrój.

- Mamusiu - zaczęła, gdy wchodzili do dziennego pokoju. - Wrócisz na moje urodziny, tak?

Betsy przewróciła oczami.

- Nie, Lulu, nie zdążę na twoje urodziny, ale tatuś urządzi ci ładne przyjęcie.

-Och. - Mała zastanawiała się nad czymś intensywnie. - A jak wypadnie mi ząbek, to już będziesz, prawda?

Michael usiadł i włączył telewizor.

Betsy z ciężkim westchnieniem wyszła z pokoju. Odgłos jej kroków na schodach odbił się echem po całym domu.

- Lulu, skarbie, poskładaj zabawki. Zaraz do ciebie wrócę.

Roztrzęsiona, podążyła za córką na piętro i zapukała do jej pokoju.

- Odejdź! - wrzasnęła Betsy.

-Wcale tego nie chcesz - odparła Jolene. - Nie dzisiaj.

- Dobrze, wejdź - usłyszała po długiej przerwie. Wsunęła się do sypialni i stanęła nad łóżkiem. Betsy nie zrobiła jej miejsca, lecz i tak usiadła. Objęła

córkę i przyciągnęła do siebie.

- Staram się, mamó - wyszeptała dziewczynka po chwili.

- Wiem.

- W wiadomościach...

- Nie oglądaj wiadomości, to nie pomaga.

- A co pomoże? Jolene westchnęła.

- Wiesz co, zsynchronizujmy alarmy w naszych zegarkach, tak żeby równo dzwoniły, i wtedy pomyślimy o sobie dokładnie w tej samej chwili.

- Dobrze.

W ciszy uregulowały zegarki.

- Nie powinnam mówić tego o identyfikatorach... -odezwała się Betsy niepewnym głosem.

- Nic się nie stało.

- Będę za tobą tęsknić - wyznała po mniej więcej minucie. - Nie wiem, dlaczego jestem dla ciebie taka niedobra...

- Rozumiem, kochanie. Też kiedyś miałam dwanaście lat. Masz teraz tyle swoich problemów. - Pocałowała córkę w policzek.

Siedziały objęte przez dłuższy czas. W tej ciszy Jolene czuła, że opuszcza ją determinacja. Jak poradzi sobie z wyjazdem? Jak wytrzyma pożegnanie z dziećmi?

Pragnęła wyczuć Betsy na wszystkie sytuacje, jakie mogą spotkać ją w życiu - tak na wszelki wypadek. Porozmawiać o seksie, o chłopcach, o narkotykach i o makijażu, o polityce społecznej, przyjęciu na studia, no i o złych wyborach. Ale było na to za wcześnie... i za późno.

Pocałowała córkę w policzek.

- Gotowa na zejście na dół?

- Nie mam ochoty oglądać telewizji. Wolę poczytać. Jolene trudno było mieć do niej pretensje. Ona też nie miała chęci tam wracać.

Zeszła na parter i znalazła Michaela z Lulu na kanapie. On oglądał telewizję, a ona uparcie wypytywała go, jak długo nie będzie mamy.

- Chodź, Lucy Lou - powiedziała Jolene, biorąc ją na rękę. - Czas na kąpiel.

Zaniosiła ją na górę, pozwoliła pobawić się w wannie, a na koniec ubrała w piżamkę i położyła do łóżka.

Kiedy rozglądała się za książeczką, którą czytały wczoraj, zobaczyła, jak Lulu wyskakuje z łóżka, nakłada opaskę z kocimi uszami i kładzie się z powrotem na łóżku.

Uhm, Lulu chce się jeszcze pobawić. Odwracając się do niej, znieruchomiła w pół kroku.

- No nie! Lulu, gdzie jesteś? Może porwały cię elfy? Mała pisnęła i przycisnęła rączkę do ust.

- A może to był wiatr? - spekulowała Jolene, podchodząc do okna. Otworzyła je i zawołała: - Lulu, jesteś tam?!

Dziewczynka ściągnęła kocie uszy i zaczęła płakać. -Chcę być niewidzialna, dopóki nie wrócisz do domu.

- Oj, skarbie! - Jolene westchnęła, siadając na wąskim łóżeczku i biorąc swoje maleństwo w ramiona.

- Kto mnie będzie szukać, kiedy ciebie nie będzie? Jeszcze mocniej przytuliła małą do siebie, myśląc o tym, ile rzeczy jej umknie.

Lulu pójdzie do zerówki, zacznie jeździć szkolnym autobusem, zawrze nowe przyjaźnie, a jej przy tym nie będzie.

- Kocham cię, Lucy Louido. Pamiętaj o tym, dobrze?

- Dobrze.

Lulu wsunęła się pod kołdrę i zamknęła oczy. Chwilę później już spała.

Jolene pocałowała ją w policzek i wyszła z sypialni. Po drodze wzięła z blatu komódki jedną z żółtych spinek do włosów młodszej córeczki i wsunęła ją do kieszeni.

Zaskoczyła ją cisza panująca na parterze.

- Michael?!

Brak odpowiedzi. Zajrzała do wszystkich pomieszczeń, lecz nigdzie go nie znalazła. Jego samochód stał w garażu. Coś zamajaczyło jej za kuchennym oknem. Przystanęła, przysuwając twarz do szyby. W świetle księżycy zobaczyła na pomoście skuloną sylwetkę.

Wsunęła stopy w gumiaki, które zawsze stały w wiatrołapie. Podciągając zamek bluzy, wyszła na dwór. Minęła płot, przeszła przez jezdnię i wspięła się po drewnianych stopniach na pomost. Poświata księżycy oświetlała jej drogę. Nadepnęła na coś, co z głośnym trzaskiem pękło pod butem.

Michael odwrócił głowę.

- Widzę, że mnie znalazłaś - odezwał się, podnosząc butelkę do ust.

Usiadła na krześle obok niego. W metalowym grillu żarzyły się węgle i w jej stronę popłynęło trochę ciepła.

- Na pewno powiesz, że upijanie się nie jest dobrym pomysłem.

Westchnęła. Jak to się stało, że zabrnęli w to miejsce, i czy kiedykolwiek odnajdą drogę powrotną? Pewnie nie. Wyciągnęła rękę.

- Mogę? - Wzięła od niego butelkę i pociągnęła łyk szkockiej. Whisky spłynęła przez przełyk, paląc w żołądku.

- Musisz być zdenerwowana - zauważył.

Skinęła potakująco głową. Zazwyczaj unikała alkoholu zarówno z powodu rodzinnej historii, jak i ze względu na swój zawód. Alkohol we krwi mógłby ją kosztować licencję pilota, a nie wyobrażała sobie życia bez latania.

-Jestem tylko człowiekiem, Michaelu. Właściwie w tej chwili znieczulenie wydaje się dobrym pomysłem.

-Boję się, Jo - wyznał cicho. - Nie wiem, czy to udźwignę.

Czekała, że powie coś jeszcze, a może ją przytuli. Nic takiego jednak się nie wydarzyło.

Spojrzała na niego. Z profilem wyostrzonym przez światło księżycy wydawał się odległy i zimny. Widziała zacięte z dezaprobatą usta, jakby się bał, że rozluźniając je, okazałby słabość. Niedobrze, że musiała go zostawić akurat w chwili, gdy ich małżeństwo przechodziło kryzys. Pragnęła wierzyć, że nadal ją kocha albo że jeszcze ją pokocha.

- Popatrz na mnie - poprosiła. Pociągnął długi łyk i odwrócił się do niej.

Ich twarze znalazły się tak blisko, że mogliby się pocałować; wystarczyło przechylić się odrobinę, lecz żadne z nich tego nie uczyniło.

- Uważaj tam na siebie, Jo - powiedział, patrząc prosto na nią.

Usłyszała w tych słowach troskę, na którą już nie liczyła. To napełniło ją czułością i nadzieją. Może jeszcze uda im się wszystko naprawić. Może nastąpi taka chwila, że odnajdą siebie na nowo. Tak bardzo go teraz potrzebowała; tak bardzo pragnęła zabrać ze sobą jego miłość.

Powoli objęła go za szyję i pocałowała, lecz nawet kiedy jej serce przyspieszyło i budziło się w niej pożąda-

nie, on zdawał się wzbraniać. Zupełnie jakby całowała obcego mężczyznę.

Odsunęła się zażenowana.

- Dbaj o moje maleństwa - wyszeptała.

On z butelką przytkniętą do ust patrzył na toczące się fale.

- Ładnie o mnie myślisz, skoro, mówisz coś takiego. Podniosła się z krzesła i wróciła do domu.

Michael obudził się w pustym łóżku. Gdzieś przed świtem słyszał, jak Jolene wstała. Nie zapalając światła, ubrała się w polowy mundur, wzięła zasobnik i wyszła z sypialni, po cichu zamykając za sobą drzwi. Udał, że śpi. Potem odezwał się klakson; to podjechała Tami.

Leżał z otwartymi oczami, przekonany, że już nie uda mu się zasnąć, a jednak zasnął i kilka godzin później obudził go terkot budzika.

A więc nadszedł ten Dzień. Obudził dziewczynki, potem stał długo pod lodowatym prysznicem.

Nie miał pojęcia, jak należy się ubrać na ceremonię pożegnalną, na wszelki więc wypadek wybrał bezpieczny zestaw: czarne spodnie i kaszmirowy sweter z wycięciem w serek. Jednak kiedy stanął przed lustrem, zobaczył obcą osobę. Ciemne oczy o udręczonym wyrazie, a pod nimi cienie świadczące o kłopotach ze snem.

- Tato?

Betsy weszła do sypialni w białych legginsach do kolan, w długim różowym swetrze ciasno ściągniętym w talii srebrnym paskiem i w eskimoskach. Długie blond włosy skręcone w loki opadały do połowy pleców.

Wyglądała, jakby się wybierała na eliminacje konkursu piosenki dla nastolatków.

- Tak chcesz iść? - spytał.

- Nie możesz mi mówić, co mam nosić.

- Czemu? Jestem twoim ojcem. Przewróciła oczami.

- Przyszłam ci powiedzieć, że Lulu z nami nie jedzie.

- Co to znaczy?! Ona ma cztery lata!

- Wiem, ile ma lat, tato. Powiedziała tylko, że nie jedzie. Nałożyła tę swoją opaskę na głowę.

Michael nie rozumiał, jakie to ma znaczenie.

- No i co z tego? - Westchnął. Już odczuwał znużenie, a było dopiero parę minut po jedenastej. - Chodźmy! - Skinął na Betsy i wyszedł do przedpokoju.

Pokój Lulu wyglądał jak po przejściu tajfunu. Wszędzie walały się zabawki i ubrania, pościel ściągnięta z łóżka leżała skłębiona na podłodze.

Lulu, z chudymi nóżkami przyciągniętymi do piersi, siedziała skulona w kącie w złachanej opasce z uszami kota. Oczy miała mokre i zaczerwienione od płaczu, a na policzkach czerwone plamy.

Michael spojrzał na zegarek. Robiło się późno.

- Wstawaj, Lulu. Nie mamy na to czasu. Musimy pożegnać się z mamusią.

- Nie widzisz mnie! - krzyknęła rozpaczliwie, kiedy schylił się po nią. Zdębiał.

Betsy przytrzymała go za nadgarstek.

- Lulu z opaską na głowie jest niewidzialna.

- Och, na Boga...

- Lulu! - zawołała śpiewnie Betsy. - Gdzie jesteś? Musimy jechać.

Lulu nie odpowiedziała.

Jolene nie *zdążyła* nawet wyjechać, a on już się czuł kompletnie bezradny.

- Wiem, jak bardzo Lulu boi się pożegnać z mamą, ale ona potrzebuje naszych buziaków, żeby bezpiecznie wrócić do domu - odezwała się Betsy.

Lulu się rozpląkała. Zrywając opaskę z głowy, wstała z podłogi.

- Nie chcę, żeby jechała. Wróci na kolację? Betsy wzięła siostrę za rękę.

- Nie.

- Na moje urodziny? - zapytała Lulu z nadzieją, zaciskając w rączce opaskę z wyliniałymi uszami. Co najmniej po raz piętnasty zadała to pytanie.

- Chodź, Lulu - zaczął Michael z rezygnacją. - Musisz się przebrać.

- Nie! - krzyknęła, wymykając się. - Chcę tak zostać.

- Tato, na twoim miejscu bym jej ustąpiła. Naprawdę - poradziła Betsy.

- Niech będzie - westchnął. Wziął Lulu na ręce i cała trójka ruszyła do samochodu.

Jechali w ciężkiej, niezręcznej ciszy.

Po drodze zabrali Milę. Usiłowała wypełnić tę ciszę pogodną paplaniną, ale jej udawany optymizm szybko wyparował. Michael włączył radio. Głos Clinta Blacka wypełnił ciszę.

Zatrzymali się przed wartownią. Michael podał swoje i matki prawo jazdy bardzo poważnie wyglądającemu młodemu mężczyźnie w mundurze.

- Proszę jechać - odezwał się wartownik po dłuższej chwili, oddając mu dokumenty.

W bazie panował ogromny ruch. Krążyły samochody i ciężarówki oraz krzątało się mnóstwo ludzi w wojskowych mundurach. Betsy wyczytała z instrukcji, jak

dojechać na parking, gdzie ich poinformowano, że uroczyste pożegnanie odbędzie się w hangarze.

Cała czwórka w milczeniu przeszła do hangaru -konstrukcji o ruchomych ścianach, przypominającej gigantyczną wiatę. Stały tam helikoptery, samoloty transportowe i mniejsze, wielozadaniowe. W jednej części, wolnej od maszyn, ustawiono rzędy metalowych krzeseł. Pod ścianą wzniesiono drewniane podium. Na lewo od podestu znajdował się ogromny ekran telewizyjny, a z krokwi zwisał duży baner z napisem: „Powodzenia Raptorzy”.

Na środku hangaru stały dwa blackhawki. Kręciło się przy nich sporo rodziców z dziećmi. Przed śmigłowcami, na długim, niskim stole, leżały ulotki z informacjami na najróżniejsze tematy, poczynając od leczenia zespołu stresu pourazowego po zapobieganie samobójstwom i organizację letnich obozów dla dzieci.

Zarkadesowie zajęli miejsca w pierwszym rzędzie. Lulu skulona na kolanach Michaela ssła palec - już nawet nie udawała, że skończyła z tym nawykiem. W ciągu pół godziny wszystkie miejsca zostały wypełnione przez gości - głównie przez kobiety z dziećmi i starszych mężczyzn, którzy trzymali plakaty i kwiaty. Przy helikopterach ustawiała się ekipa telewizyjna. Ładna reporterka w niebieskim kostiumie mówiła coś do mikrofonu.

W pewnej chwili otworzyły się boczne drzwi i zgromadzeni zamilkli. Zabrzmiała muzyka; do hangaru wmaszerował pięcioosobowy oddział żołnierzy w polowych mundurach, ze spodniami wsuniętymi w sznurowane buty piaskowego koloru i w nałożonych na bakier bere-tach. Gdy muzyka ucichła, uformowali szereg pod ścianą. Wysocy i wyprostowani, o szerokich barach, stali na baczność z wysoko uniesionymi podbródkami przed rzędem flag.

Do mikrofonu na podium podszedł mężczyzna w mundurze i powitał zebranych, nazywając ten dzień podniosłym. Potem odwrócił się i wydał rozkaz, a wtedy olbrzymie drzwi hangaru zaczęły się powoli rozsuwać. Zgrzyt i pisk przesuwających się rolek wypełniły pomieszczenie. W otwartych drzwiach ukazało się siedemdziesięciu sześciu żołnierzy w mundurach, wszyscy z lotniczego oddziału Raptor.

Stali na zewnątrz z kamiennymi twarzami, gotowi do drogi. Jego żona, taka wysoka i silna, stała w pierwszym rzędzie wśród swojej drugiej rodziny. Starszy chorąży trzeciego stopnia Jolene Zarkades. Michael nie znał jej takiej. Tu była dowódcą odpowiedzialnym za śmigłowiec wart czterdzieści milionów dolarów i za niezliczoną liczbę ludzkich istnień.

Żołnierz stojący na czele odwrócił się do oddziału i powiedział coś, co kończyło się komendą: „Prezentuj broń!”. Raptorzy oddali honory wojskowe i wmaszero-wali do hangaru.

- Do hymnu! - padła kolejna komenda.

Michael miał wrażenie, że obserwuje to wszystko z bardzo dużej odległości. Po odśpiewaniu hymnu Raptorzy, nie łamiąc szyku, stanęli na rozstawionych nogach z rękami za plecami, a dowódca bazy przedstawił mówcę. Dwóch żołnierzy dokonało ceremonii składania flagi, która zawiśnie ponownie dopiero po powrocie oddziału z wojny.

Na podium wszedł gubernator stanu Waszyngton. W hangarze zapanowała cisza, zakłócana jedynie popłakiwaniem niemowląt na rękach matek.

-Wszyscy znacie te dzielne kobiety i odważnych mężczyzn, stojących przed wami - zaczął. - To wasi bracia, siostry i sąsiedzi, wasi rodzice, dzieci i przyjaciele. To nasi bohaterowie. Nie ma słów, które byłyby

w stanie wyrazić wdzięczność tym żołnierzom oraz ich rodzinom i wszystkim, którzy ich wspierają. My, którzy zostajemy bezpiecznie w domach, doceniamy ich odwagę i poświęcenie. - Gubernator spojrzał w notatki i pochylił się do mikrofonu. - Stoją przede mną członkowie kompanii Charlie, którzy dziś zostają zmobilizowani. Wszyscy jesteśmy dumni z ich gotowości do służby naszemu wielkiemu krajowi i czerpiemy nadzieję z pewności, że każdy z tych żołnierzy jest gotowy i dobrze wyszkolony, aby z powodzeniem wypełniać swoje zadania. Ale my, zgromadzeni w tym hangarze, wiemy, że od tych żołnierzy i od was, ich rodzin, wymaga się więcej niż tylko odwagi. Miałem zaszczyt prywatnie rozmawiać z wieloma dzielnymi żołnierzami z naszego stanu i zawsze zadawałem im to samo pytanie: „Co was najbardziej niepokoi w związku z mobilizacją?”. Zapewne wcale was nie zdziwi, że żaden z nich nie wspomniał o własnym bezpieczeństwie. Wszyscy wyrażali niepokój o was, najbliższych. Rozstanie z rodziną jest najtrudniejszą rzeczą dla każdego żołnierza. - Gubernator zawiesił głos. - Jedyne słowo, które my, wdzięczny naród, możemy ofiarować kompanii Charlie, to: „Dziękujemy”. - Przeniósł wzrok na oddział. - Wasza gotowość do narażania życia dla obrony nas tu, w kraju, uczy nas wszystkich pokory. Dziękujemy wam i modlimy się o wasze bezpieczeństwo. Niech Bóg błogosławi ten oddział i Amerykę.

- Spocznij i rozejść się! - padła komenda.

Resztę słów zagłuszył aplauz. Wszyscy zerwali się z miejsc, po czym klaszcząc i popłakując, ruszyli hurmem w stronę oddziału.

Michael nie mógł się zmusić do wstania. Patrzył na żołnierzy, którzy mijali go, rozglądając się za swoimi ro-

dżinami; żaden z nich nie wydawał się przestraszony. Sprawiali wrażenie dumnych, silnych i pewnych siebie.

Dostrzegł Jolene i Tami. Zaczepiła je ekipa wiadomości. Kiedy się zbliżył, doszły go słowa reporterki:

- Dwie przyjaciółki, kobiety pilotujące blackhawki. To niezwykła historia...

- Nie ma w tym nic niezwykłego - usłyszał głos żony. - Pani wybacz. - Jolene usunęła się poza zasięg kamery i ruszyła na spotkanie Mili, która przeciskała się do niej przez tłum.

Gdziekolwiek spojrzał, smutek mieszał się z odwagą. Widział mężczyznę w mundurze z niemowlęciem na rękach, które miało może miesiąc, nie więcej. Żołnierz wilgotnymi ze wzruszenia oczami wpatrywał się w dziecko, jakby chciał w wyobraźni zobaczyć zmiany, jakie zajdą na małej buzi, kiedy go nie będzie. Tuż obok kobieta w ciąży, tuląc się do męża, zapewniała go ze szlochaniem, że na pewno da sobie sama radę.

A Jolene... Ścisnęła Milę tak mocno, że wyglądały jak sklezione ze sobą.

Lulu zacisnęła rączkę na jego szyi.

- Pospiesz się, tatusiu, bo jeszcze nam mama zniknie. Podszedł do żony. Nie spodziewał się takich scen.

Jak to możliwe? Uważał się za człowieka inteligentnego, a tymczasem okazał się zaślepiony przez egoizm, politykę i intelektualne dywagacje. Od lat oglądał dokumenty o globalnej wojnie z terroryzmem i zdjęcia żołnierzy na pustyni, myśląc o politycznych celach tej konfrontacji, o broni masowego rażenia, o George'u W. Bushu i o głupocie, jaką było uzbrajanie i wysyłanie oddziałów na misje. Dyskutował o tym z kolegami, siedząc w cieple, bezpieczny i chroniony w swoim kraju. Dyskutował o realnych kosztach wojny.

Guzik wiedział. Koszty wojny były tu, w tym hangarze. Rozdzielone rodziny, dzieci rodzące się pod nieobecność ojca i te, którym twarz matki zaciera się w pamięci. To oni, żołnierze; niektórzy w jego wieku, a inni tak młodzi, że mogliby być jego synami, powrócą do domu ranni... albo nie wrócą wcale.

Jego żona jedzie na wojnę. Jak to możliwe, że umknęło mu to najważniejsze? Ona może zginąć.

- Oddychaj - poradziła mu łagodnie Jolene. Wpatrywał się w nią oczami mokrymi od łez, które

za wszelką cenę starał się powstrzymać.

- Skąd masz na to siłę? Wy wszyscy...

Lulu wychyliła się z jego ramion i wyciągnęła ręce do Jolene.

- Mamusiu, nie zostawiaj mnie. Będę grzeczna. Nigdy więcej nie będę niewidzialna.

Jolene odebrała ją od Michaela i mocno przytuliła do siebie.

- Lucy Lou, jesteś najgrzeczniejszą dziewczynką na świecie... - Przypięła jej do kostiumu złotą odznakę z parą skrzydeł. - Kiedy popatrzysz na te skrzydełka, będziesz wiedzieć, że o tobie myślę. Zgoda, kotku?

Michael wziął Jolene za rękę. Powinien to zrobić dawno temu, zapewnić ją, że będzie tu na nią czekał. Mocno, wręcz kurczowo zacisnęła dłoń na jego rękę. Pragnął objąć je obie: żonę i córkę, lecz zabrakło mu odwagi. Gdyby teraz znalazł się tak blisko Jolene, aby ją pocałować, mógłby nie zapanować nad sobą i wtedy byłby jedynym płaczącym facetem w tym miejscu. Jego dzieci nie powinny oglądać takich scen.

Betsy trzymała się z tyłu; stała ze splecionymi ramionami, wypiętym biodrem i zaciśniętymi ustami.

- Będę wysyłać wideo i mejle i w miarę możliwości często dzwonić - obiecała Jolene im wszystkim.

- Nie martw się o nas - powiedziała Mila, ściskając ją i odbierając Lulu. - Damy sobie radę.

Jolene podeszła do starszej córki i pogładziła ją po policzku, zmuszając, aby na nią spojrzała.

- Mam nastawiony zegarek. A ty?

- Punkt siódma - odparła Betsy zdecydowanym tonem, odwracając wzrok.

Jolene nachyliła się i spojrzała jej w oczy.

- Kocham cię do księżycy i z powrotem - wyszeptała, nieruchomiejąc w tej pozycji.

Michael wiedział, że żona czeka. Bets, powiedz jej to samo - prosił córkę w myślach, lecz ona milczała jak zaklęta. Jolene wyprostowała się, zasmucona.

Głos z megafonu wezwał żołnierzy na zbiórkę przy autobusach. Fala ludzi ruszyła do wyjścia, zbijając się w ciasny tłum przy drzwiach.

Znaleźli się na zewnątrz; grupa wyprostowanych żołnierzy z brezentowymi zasobnikami i ich szlochające rodziny z dziećmi wyciągającymi ręce. Rząd autokarów czekał na płycie lotniska.

- Będę grzeczna! - załkała Lulu, zanosząc się głośnym płaczem.

Jolene wyściskała i wycalowała córki i... wypuściła je z objęć.

Michael widział, jak zbliża się do niego. Przez ułamek sekundy w jego umyśle nie było nikogo poza nimi - żadnych dzieci, żołnierzy i płaczących maluchów. Od świata odizolowała go kakofonia dźwięków i furia.

Nie miał pojęcia, co robić czy mówić. Jeden pocałunek czy przelotny uścisk nie naprawi zepsutego małżeństwa. Było mu wstyd, że przez jego zachowanie zabrnęli w ślepy zaułek i zrobiło się za późno na szukanie wyjścia.

- Michaelu - odezwała się, a jemu łzy napłynęły do oczu. - Uważaj na siebie.

To mizerne pożegnanie; raczej dowód na istnienie mielizny, na której utknęli.

- To ty uważaj na siebie. Wróc do domu, do...

- Do nich?

- Po prostu wróc.

Wreszcie wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Dopiero kiedy się oddaliła, tknęło go, że nie oddała uścisku.

Ostatnie rozpaczliwe spojrzenie za siebie i Jolene zniknęła w gromadzie żołnierzy wsiadających do autokaru.

-Mamuś! - krzyknęła Betsy, wybiegając na płytę. Szła wzdłuż autokaru równo z przesuwającą się w środku Jolene. Jej wołanie zagłuszył gwar.

Michael wziął na ręce zanoszącą się płaczem Lulu i bezskutecznie próbował ją uciszyć.

Jolene przez opuszczoną szybę patrzyła na swoją rodzinę. Uśmiech zniknął z jej twarzy, kiedy już nie mogli jej widzieć.

Odjechała.

- Nie powiedziałam mamie, że ją kocham - wyjąkała Betsy przez łzy.

W miesiącach poprzedzających wyjazd żony Michael spał na „swojej” połowie łóżka. Skłębioną białą pościel pomiędzy nimi postrzegał jako ziemię niczyją, zawłaszczoną przez wypaloną namiętność. Tego ranka, kiedy obudził się naprawdę sam, zrozumiał, jak bardzo był w błędzie. W tamte wszystkie noce miał przy sobie żonę, partnerkę, z którą dzielił życie. Samotnie zdecydowanie różni się od osobno. Ostatniej nocy często wyciągał do niej rękę i trafiał w próżnię.

Jego pierwsza myśl po przebudzeniu: nie ma jej.

Usiadł na łóżku. Obok, na nocnym stoliku, leżała jej „biblia”, duży segregator z niekończącą się listą jego nowych obowiązków. Wpięła tam wszystko, co według niej mogło okazać się przydatne: gwarancje różnych urządzeń domowych, przepisy, namiary na fachowców, sprzątaczkę i opiekunki do dzieci. Zdjął segregator ze stolika i otworzył na części zatytułowanej: *Rozkład dnia*.

Zrób śniadanie (na każdy dzień tygodnia przypadał inny zestaw).

Obudź dziewczynki i każ im się ubrać. Dopilnuj, żeby umyły zęby.

Odprawdź Betsy do szkolnego autobusu. Przyjazd: 8.17.

Odwieź Lulu do przedszkola na 8.30. Na wszelki wypadek napisała adres, co go podwójnie wkurzyło, bo po pierwsze, założyła, że go nie zna, a po drugie, rzeczywiście go nie znał.

Odrzucił kołdrę, wstał z łóżka i nieco chwiejnie ruszył do łazienki. Po długim, gorącym prysznicu czuł się wreszcie gotowy do rozpoczęcia dnia. Włożył granatowe wełniane spodnie i białą koszulę od Armaniego, po czym wyszedł z sypialni.

Pokonując ciemny korytarz, po drodze zapukał do drzwi dziewczynek i kazał im wstawać.

W kuchni nastawił kawę, zbyt późno łapiąc się na tym, że odruchowo zrobił ją dla dwóch osób. Stał przy ekspresie i niecierpliwie czekał, aż się zaparzy. Kiedy była gotowa, wyciągnął szklany dzbanek i napełnił filiżankę.

Niestety, kawa nadal ciurkała, rozchlapując się i przypalając na metalowej płytce. Wsunął z powrotem dzbanek, nie zważając na skwierczenie pary. Rzucił okiem na listę.

To był dzień racuszków kłownów.

Ha.

Przeszukał szafki, znalazł jakieś płatki i rzucił opakowanie na stół. Ustawił miseczki, dołożył łyżki, przyniósł z werandy gazetę i zajął się czytaniem.

Kiedy ponownie spojrzął na zegarek, była 8.07.

- Cholera! - Cisnął gazetę, wbiegł na piętro i otworzył drzwi pokoju Betsy.

Córka spała jak zabita.

- Kurczę! Betsy, wstawaj!

Usiadła półprzytomna, spojrzała sennie na zegar przy łóżku i jęknęła.

- Nie obudziłeś mnie na czas! - W innej sytuacji jej przerażenie może i byłoby zabawne. Wiedział jednak, jaka bywa drobiazgowa. Wypisz, wymaluj jej matka.

- Zapukałem do drzwi i krzyknąłem, że masz wstać -wyjaśnił. - No dalej, zbieraj się! - Zaklaskał w dłonie.

-Jest strasznie późno! - Betsy wyskoczyła z łóżka i spojrzała w lustro.

- Moje włosy - zapiszczała.

- Za pięć minut masz zejść na śniadanie.

- A prysznic? - Znowu ta przerażona mina. - Chyba nie mówisz poważnie.

- Śmiertelnie poważnie. Masz dwanaście lat. Gdzie •się miałaś wybrudzić? No, ruszaj się!

Popatrzyła na niego wściekła.

- Szybko! - Energicznym krokiem przeszedł do pokoju Lulu. Jego młodsza latorośl jak zwykle spała rozciągnięta na kołdrze pośród pluszaków. Odrzucił zabawki i pocałował ją w policzek, odgarniając z buzi splątane loki.

- Lulu, skarbie, czas wstać.

- Nie chcę - zaprotestowała, odłączając się pod ścianę.

- Musimy jechać do przedszkola.

- Nie chcę.

Zapalił światło i podszedł do komody. Wyjął z gór-

nej szuflady majteczki w różowe kwiatki, żółte sztruksowe spodnie z gumką w pasie i zielony sweterek.

- Chodź, Lulu, będziemy się ubierać.

- Tatusiu, to rzeczy na lato. I nie pasują do siebie. Daj żółty sweterek.

- Dzisiaj tak pójdziesz ubrana.

- Nie.

- Tak.

- Mamusia pozwala mi wybierać...

- Lucy, chodź tu! - polecił surowym tonem.

Z buzią wykrzywioną w podkówkę wyszła z łóżka i przy dreptała do niego. Kiedy ją ubierał, ani na chwilę nie przestawała marudzić.

- Gotowe - oznajmił. - Jak z obrazka.

- Brzydko wyglądam. - Nieprawda.

Zdjęła z komody odznakę ze skrzydłami. - Tatusiu, przypnij mi to. Bo wtedy mama o mnie myśli. Auu! Ukłułeś mnie!

- Przepraszam - mruknął. Wziął Lulu na ręce i zniósł ze schodów do kuchni. Posadził ją na jej krzeselku i wsypał płatki do miseczki.

- Dzisiaj jest dzień pana kłowna - poinformowała go z wyższością, zerkając na skrzydełka. - Sprawdź w kalendarzu.

- Dzisiaj ma swój dzień Captain Crunch.

- On jest na specjalne okazje. Czy mamusia wróci do domu?

- Nie dzisiaj. - Zalał płatki mlekiem. Betsy z impetem wpadła do kuchni.

- Nie mogę tak pójść do szkoły! - zawołała, machając rękami. - Popatrz tylko na moje włosy.

Rzeczywiście wyglądała, jakby ktoś podłączył ją do prądu.

- Zepnij je jakoś.

Już na samą myśl zrobiła ogromne oczy i zbladła.

- Chcesz mi zrujnować życie.

Z dworu doszedł go pisk hamulców i klekotanie starego silnika. Wyjrzał przez kuchenne okno i zobaczył, jak żółty szkolny autobus zatrzymuje się przed ich podjazdem.

-Już jestem spóźniona! - wrzasnęła Betsy. - Widzisz?!

Michael wybiegł na dwór przez kuchenne wyjście.

- Poczekajcie!... - krzyknął. Za późno. Autobus odjeżdżał. Wrócił do kuchni, trzaskając drzwiami.

- O której zaczynasz lekcje? Tego nie było na cholernej liście. Betsy wytrzeszczyła na niego oczy.

- Nie wiesz?

- Jedz. I umyj zęby. Za dwie minuty wychodzimy. -Nie wejdę do klasy przed przerwą - oznajmiła

Betsy. - Uuuch, nie ma mowy. Jak Zoe i Sierra zobaczą moje włosy...

- Idziesz do szkoły. Muszę złapać prom.

Spojrzał na ścienny zegar i skrzywił się. Nie zdąży na prom, a to oznacza, że spóźni się na pierwsze umówione spotkanie.

- Rozpoczynam strajk głodowy. - Betsy splotła ramiona na piersi.

- Proszę bardzo - warknął. - Niech ci кишки marsza grają.

Pozbierał naczynia i wstawił je do zlewu z resztkami płatków i mleka. Poszukał w wiatrołapie różowych kaloszy Lulu i przyniósł je do kuchni.

Naburmuszona Betsy nadal tkwiła przy stole.

- Nie wejdę spóźniona. Wszyscy się będą na mnie

gapić - stwierdziła z uporem, zadzierając podbródek i mrużąc oczy.
- A kto ty jesteś? Madonna? Zła fryzura nie zwalnia ze szkoły. Łap za plecak.

-Nie.

Spojrzał na nią.

- Betsy, weź plecak i idziemy, bo inaczej wprowadzę cię do klasy za rękę.

Przerażona otworzyła usta i zaraz je zamknęła.

- Dobra. Już idę.

Wyjrzał z kuchni do pokoju dziennego. Lulu leżała zwinięta na kanapie ze swoim kocykiem oraz pluszową orką i oglądała wideo, na którym Jolene czytała jej bajkę.

- Lulu, chodź, włożymy kalosze. Lulu. Proszę do mnie.

- Ma opaskę - rzuciła Betsy półgębkiem.

Michael wmaszerował do pokoju i podniósł Lulu z kanapy. W tej samej chwili opaska zjechała jej z głowy.

- Jestem niewidzialna! - zapiszczała.

Zaniósł wierzgającą córeczkę do samochodu i zapiął pasem w foteliku. Betsy, milcząca i najeżona, usiadła obok siostry.

Lulu wybuchnęła płaczem.

- Chcę moją mamę!

- Taak - westchnął Michael, uruchamiając silnik. -A kto nie chce?

Pierwszy tydzień bez Jolene omal go nie wykończył. Nie miał pojęcia, że przy dzieciach i w domu jest aż tyle roboty. Na szczęście matka miała mnóstwo energii. Inaczej musiałby zatrudnić całodzienną pomoc. Bez Mili na pewno by zginął. Jolene zapisała Lulu na dodatkowe zajęcia w przedszkolu, które kończyły się o czwartej.

Dzięki temu matka mogła zostawać w sklepie prawie do czwartej. Potem odbierała Lulu i przyjeżdżała do nich przed powrotem Betsy ze szkoły, tak aby dwunastolatka nigdy nie była w domu sama - to jedna z żelaznych zasad Jolene. Gdy Michael o szóstej wracał z kancelarii, Mila zazwyczaj miała już prawie gotową kolację i nastawione pranie. Wzięła na siebie sporą część obowiązków.

Mimo to kiepsko sobie radził. Betsy była jak wirujący derwisz. Nigdy nie wiedział, jakiej reakcji ma się spodziewać w najprostszych sytuacjach. Potrafiła bez powodu wybuchnąć płaczem, a pięć sekund później chodzić wściekła jak osa. Z Lulu też nie było łatwo. Prawie nie rozstawała się z kocimi uszami. Uparła się, że będzie niewidzialna aż do powrotu mamy, a kiedy Michael ignorował tę zabawę i „niewidzialną” brał na ręce, wyła jak potępieniec, wykrzykując, że chce do mamusi.

Do tego wszystkiego dochodziła jeszcze sprawa Kellera. Widoki były raczej marne. Chłopak nadal nie chciał z nikim rozmawiać, nawet z wyznaczonym przez sąd psychiatrą. Michael w imieniu swojego klienta zrezygnował z prawa do szybkiego procesu, bo w stanie, w jakim był w tej chwili, nie mógł stanąć przed sądem.

W interkomie odezwał się głos asystentki:

- Michaelu? Przyszedł pan Keller.

- Poproś go. - Zamknął akta i położył przed sobą blok papieru.

Edward Keller, wyraźnie zdenerwowany, wszedł z wahaniem do gabinetu. Był postawnym mężczyzną z krótko obciętych czarnymi włosami i z krzaczastymi czarnymi wąsami w stylu Toma Sellecka. Przyszedł w dżinsach i w koszuli w kratę, przy której jego lekko spocona twarz wydawała się bardzo blada.

Michael podniósł się od biurka i wyciągnął rękę na powitanie.

-Dzień dobry, Ed. Jestem Michael. Cieszę się, że wreszcie możemy porozmawiać. Ed uściśnął mu dłoń.

-Moja żona nie przyjdzie. Chciała... ale jeszcze nie może o tym mówić. Emily była dla nas jak rodzona córka. Ciężko jest...

- Rozumiem - przerwał mu Michael i rzeczywiście go rozumiał. Obracał się w świecie przestępstw i ofiar. Wielokrotnie był świadkiem rozpacz, jaką rodzi świadomość, że ktoś bliski mógł dopuścić się ohydnej zbrodni. W tego rodzaju sprawach ludzie pokroju Eda i jego żony stają się przypadkowymi ofiarami.

- Nie odzywa się do mnie - poskarżył się Ed. - Tylko siedzi i patrzy w ścianę.

- Ed, powiem ci bez ogródek, to w tej chwili nasz bardzo poważny problem. Jediną osobą, której nie zamykają się usta, jest prokurator, a to, co mówi, wcale mi się nie podoba. Chce oskarżyć twojego syna o zabójstwo z premedytacją i podobno ma świadka, który zezna, że Keith się przyznał.

Ed wyglądał na zrozpaczonego. Zgarbił się w fotelu.

-To był taki dobry dzieciak. Miał przyjaciół, ludzie go lubili. Był z tych, co to pomogą zanieść zakupy i pierwsi mówią „dzień dobry” sąsiadom. W szkole spotykał się z mnóstwem dziewczyn, takich ładnych jak cheerleaderki, ale kiedy poznał Emily, od razu wiedział, że to ta.

- Kiedy się zaczęło źle dziać?

- Co się zaczęło źle dziać?

- No, w ich małżeństwie.

- Nigdy.

- Ed - zaczął spokojnie Michael.

- Coś się musiało stać.

Keller opuścił wzrok na dłonie.

-Zadawaliśmy sobie te pytania milion razy. Czy wydawał się przygnębiony? Czy kiedykolwiek słyszeliśmy, żeby się kłócili? Czy chociaż raz powiedział, że czuje się nieszczęśliwy? Nasza rodzina analizowała to, co się stało, na wszelkie możliwe sposoby. Byli udanym małżeństwem; tak przynajmniej uważamy. Emily nie mogła się doczekać jego powrotu z Iraku. Codziennie do niego pisała.

Michael gwałtownie podniósł głowę.

-Z Iraku?!

W aktach nie ma słowa o tym, że służył w Iraku. Jest tylko mowa o honorowym zwolnieniu ze służby w marines.

- Odsłużył tam dwie tury. Z drugiej wrócił jakby nie ten sam.

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Wszyscy widzieliśmy, że się zmienił. Jeżeli go zaskoczyłeś zniemacka, odwracał się błyskawicznie, aż człowieka brał strach. Wiem, że słabo sypiał. Emily mi powiedziała, że trzyma przy łóżku naładowaną broń. A ja, niech mi Bóg wybaczy, zbagatelizowałem to, mówiąc, że mężczyzna musi chronić swoją rodzinę.

Michael odnotował na kartce: zespół stresu pourazowego i podkreślił domniemaną diagnozę.

- Czy według twojej wiedzy uderzył kiedykolwiek Emily?

- W ostatnich dniach przed... no wiesz. Sam się nad tym zastanawiałem. Keith był drażliwy i podminowany. Na rodzinnym obiedzie bez powodu naskoczył na brata. I wszystkich nas przerażał wyraz jego oczu. To nie był ten sam człowiek. Kiedy próbowałem z nim o tym rozmawiać, stwierdził, że pije za dużo kawy, lecz ja mu nie uwierzyłem. Myślę, że w Iraku musiało się wydarzyć coś takiego, co doprowadziło do zabójstwa Emily.

Michael dopisał do notatek: Co zaszło w Iraku? Możliwa ograniczona poczytalność?

- Czy szukał pomocy?

- Próbował. Odprawili go z centrum medycznego dla weteranów z receptą na prozac.

Michael w zamyśleniu stukał ołówkiem o blat biurka. A więc jego klient starał się o pomoc, a władze wojskowe jej nie udzieliły. Punkt na jego korzyść. Dlaczego go to nie dziwi?

- Okey, Ed. Poszperam trochę w związku z tym, co mi powiedziałeś, ale muszę porozmawiać z Keithem, a on z kolei musi otworzyć się przed psychiatrą. I to jak najprędzej.

- On nie...

- Jeżeli tak się nie stanie, Keith skończy w więzieniu. Prawdopodobnie dostanie dożywocie.

Zgodnie z intencją Michaela Ed wydawał się zdruzgotany.

- Słuchaj, ja nie chcę cię straszyć - westchnął Michael, przerywając ciszę - lecz zrozum, nie mogę pomóc twojemu synowi, jeżeli on nie odpowiada na moje pytania. Ta historia ma dwie strony. Ja muszę poznać jego wersję.

- Spróbuję go namówić - obiecał Keller. Michael popatrzył na niego z powagą.

- Zrób to, Ed, i to szybko.

Pierwszy tydzień w Fort Hood upłynął im na wykładach, ćwiczeniach i wypełnianiu mnóstwa papierów. Jolene odeszła z czynnej służby wiele lat temu i zdążyła zapomnieć, jak bardzo zbiurokratyzowaną instytucją jest wojsko i ile czasu zabiera „czekanie na działanie”. Ostatnie siedem dni spędziła głównie w kolejkach, przynajmniej takie miała wrażenie. Stali po sorty mundurowe, czekali na wykłady i na dokumenty do podpisu. Musiała też przejść całą procedurę przygotowawczą, na którą składały się dodatkowe testy medyczne, badania i szczepienia oraz uzupełnianie danych osobowych i wypełnianie druków finansowych.

W Fort Hood dzień zaczynał się wcześnie; o wpół do piątej śniadanie i zaraz po nim szkolenia o wszystkim, co mogło ewentualnie przydać się w Iraku. Przestrzegano ich przed pajakami i skorpionami, przed IED - improwizowanymi ładunkami wybuchowymi, mówiono o molestowaniu seksualnym i o broni chemicznej. Lista problemów zdawała się nie mieć końca. Najgorzej dłużył się czas w kolejkach do telefonów. Jolene poradzono, aby zostawiła komórkę w domu, bo i tak z Iraku nie będzie zasięgu. Posłuchała i to był błąd. Jak się okazało,

większość wolnego czasu spędzała w ogonku do telefonu. Kiedy wreszcie nadeszła jej kolej, bardzo często o tej porze w Seattle dziewczynki już spały, a sporadyczne kontakty z Michaeliem były lakoniczne i sztywne. Żadne z nich przy odkładaniu słuchawki nie powiedziało: „kocham cię”. Po takich telefonach czuła się jeszcze bardziej samotna.

Teraz kompania Charlie w pełnym rynsztunku ćwiczyła w Teksasie, na bitej drodze koloru zakrzepłej krwi. Przewodził Jamie. Nad ich głowami kołował zaciekawiony samotny jastrząb, zapewne nie mogąc się nadziwić, po co ci dorośli ludzie w mundurach i w hełmach, uzbrojeni w karabinki automatyczne M-16 i pistolety dziewiątki biegają tu w takim skwarze. A oni, trzymając się skraju drogi, szukali na niej wyimaginowanych improwizowanych ładunków wybuchowych.

Jolene oczywiście wiedziała, że to ważne ćwiczenia, które mogą ocalić życie, lecz przecież byli oddziałem lotniczym, który miał jedynie stanowić wsparcie dla bojowych jednostek powietrznych. Gdyby przypadkiem na drodze w Sadr City czy w Bagdadzie popsuł się terenowy hunwee, miny pułapki stanowiłyby zaledwie jedno z zagrożeń.

Upał dawał się im wszystkim we znaki. Kiedy skończyli ćwiczenia i dotarli na strzelnicę, strużki potu spływające spod hełmu zalewały Jolene oczy.

- Zarkades, piorunem na stanowisko!

- Tak jest!

Rzuciła się na ziemię i uniosła karabin. Wycelowwała i nacisnęła spust.

- Dobry strzał, chorąży. Jeszcze dziesięć takich i zaczniesz strzelanie ostrą amunicją.

Przez następne cztery godziny Jolene wypełniała rozkazy; wstawiała, siadała, czołgała się, strzelała i bie-

gała. Po ćwiczeniach przeszły z Tami przez teren bazy, licząc, że o tej porze kolejka do telefonów okaże się trochę krótsza.

Pomyliły się. Przynajmniej z czterdziestu żołnierzy już czekało w ogonku pod palącym słońcem, czytając, rozmawiając lub słuchając muzyki.

Jolene zwolniła kroku.

- Cholera! - Już miała zawrócić, gdy zobaczyła, że macha do niej Smitty. Był czwarty. Pomimo warstwy potu i kurzu na twarzy wyglądał tak młodo, że z powodzeniem mógłby być jej synem.

- Hej Smitty! - zawołała, ruszając w jego stronę.

- Cześć, chorąży! - odpowiedział, błyskając w uśmiechu aparatem na zębach.

- Dzwonisz do mamy czy jakaś dziewczyna wypłakuje za tobą oczy? - spytała Tami, zrównując się z Jolene.

- Trzymam to miejsce dla was - odparł. - Przypomniało mi się, że moja dziewczyna jest jeszcze w pracy - wyjaśnił, widząc ich zdumione spojrzenia. - Mogę do niej dzwonić dopiero za godzinę. A poza tym.

-Uśmiechnął się do nich obu nieśmiało. - Wiem, że wasze dzieciaki chciałyby usłyszeć, co się dzieje u mamy.

Smitty wycofał się, ustępując im miejsce.

- Na pewno nie chcesz do nikogo zadzwonić? - zapytała Jolene. - A rodzice?

- Nie. Oni dzisiaj pojechali z wizytą do babci. Jolene spojrzała na przyjaciółkę, a ona odpowiedziała jej szerokim uśmiechem.

- Fajny z ciebie gość, Smitty - pochwaliła go Tami. Zajęły miejsce w ogonku, a on oddalił się, pogwizdując.

Kiedy nadeszła ich kolej, Tami pierwsza stanęła przy aparacie. Jolene, słuchając melodyjnego głosu przyjaciółki, przytupywała niecierpliwie i mięła w palcach

szorstki materiał nogawki spodni. Gdy Tami skończyła, rzuciła się do aparatu, chwyciła staromodną, gorącą od dotyku wielu rąk słuchawkę i wykręciła numer do domu.

- Halo? - odebrała Betsy i natychmiast zawołała na cały głos: - To mama!

Jolene oparła się o nagrzaną słońcem ścianę budynku, starając się zapomnieć o kolejce za plecami, lecz to było niemożliwe, bo chcąc nie chcąc, słyszała szuranie nogami, rozmowy i śmiechy.

- Cześć, Bets. Jak ci minął tydzień? Niestety, nie udało mi się wczoraj zadzwonić. Ganiali nas całą dobę.

Betsy na jednym oddechu wyrzuciła z siebie historię o przykrościach w szkole. Nauczyciel wychowania fizycznego wybrał ją do drużyny siatkówki, a rozzłoszczone z tego powodu Sierra i Zoe zaczęły się z niej wyśmiewać i wytykać palcami, dopóki nie naskoczyła na nie, każąc im się zamknąć, i wtedy nauczyciel czasowo wycofał ją z drużyny za nieodpowiednie zachowanie.

- Mnie! To była ich wina a ja zostałam ukarana. Możesz przedzwonić do nauczyciela od wufu, żeby cofnął karę?

Jolene przysługiwało dziesięć minut na rozmowę, a Betsy już wyczerpała sześć.

- Skarbie, nie mogę, ale jeżeli...

- Jasne. Jesteś zbyt zajęta. Nie przejmuj się mną, mamó. Lulu! Twoja kolej!

- Betsy, nie mów tak - poprosiła, dręczona poczuciem winy. - Mamy tak mało czasu na rozmowę.

- Oczywiście.

- Wyślę ci mejla, jak tylko znajdę wolną chwilę, dobrze?

- Mamó, już powiedziałam, nie przejmuj się. Poradzę sobie. Jest już Lulu.

- Betsy, kocham cię.

Usłyszała w słuchawce jedynie oddech; a potem Lulu opowiadała o czymś jak nakręcona. Zrozumiała jedynie, że zrobiła coś dla niej z makaronu i sznurka.

- Chcę, żebyś mi dzisiaj przeczytała bajeczkę -oświadczyła na koniec.

- Nie mogę, kochanie. Mała wybuchnęła płaczem.

- Tato, mama jeszcze nie wraca do domu...

- Cześć, Jo - sekundę później odezwał się Michael. Słyszając jego zniechęcony głos, nagle poczuła się strasznie znużona.

-Lulu nie powiedziała mi „do widzenia” ani „kocham cię”.

- Jo, ona jest rozdrażniona. Ale powoli jej przejdzie. A co u ciebie? Jolene rozmawiała już jedenaście minut. Żołnierze za nią zaczęli się niecierpliwić.

- Czy znowu miewa złe sny? Jeżeli tak, dawaj jej do łóżeczka żółty kocyk i różową wstążkę.

-Jo, odpuść. Myślisz, że to całe pożegnanie i twój wyjazd na wojnę spłynę po dziewczynkach jak woda po kacze?

- Niech się pani pospieszy. Wszyscy mamy rodziny! - ponaglił ją ktoś z kolejki.

Tyle jeszcze chciała powiedzieć, lecz nie było czasu. Milczenie Michaela działało jej na nerwy.

-Wieczorem napiszę mejla do Betsy. Dopilnujesz, żeby go przeczytała przed pójściem do szkoły?

- Jasne. Skończył ci się czas, tak? -Tak.

- Fajnie nam się rozmawiało, Jo - mruknął jeszcze pod nosem.

- Do usłyszenia - wyszeptała i rozłączyła się. Kolejny żołnierz stanął przy aparacie i zdjął słuchawkę z widełek.

Jolene się wycofała, a Tami stanęła przy niej i razem ruszyły do koszar.

- Betsy przez dziesięć minut opowiadała mi o swoim dniu i zapytała, czy zadzwonię do nauczyciela wuefu, żeby anulował jej karę - odezwała się Jolene.

Tami zaśmiała się cicho.

- A więc idziemy na wojnę, a żądania dzieci wobec nas pozostają mniej więcej takie same. A jak tam Michael?

- Zapytał mnie, jak mogę sądzić, że dziewczynki nie będą przeżywać wyjazdu na wojnę.

- My na tę wojnę nawet jeszcze nie dotarliśmy. Jolene westchnęła.

- Co mówił Seth?

- Że mnie kocha, że tęskni i że jest ze mnie dumny. Przynajmniej tak mówi. Wiem od Carla, że kiepsko sypia. Podobno odłączył xboxa i skończył z grami, bo nie chce patrzeć, jak wirtualne ludziki wylatują w powietrze. Kiedy pomyślę, ile razy go prosiłam, żeby zostawił te idiotyczne strzelanki...

- Jak my przez to wszystko przebrniemy? - zapytała półgłosem Jolene.

Tami nie miała na to odpowiedzi. W koszarach złapały przyborniki z zestawem toaletowym i poszły pod prysznic. Stamtąd skierowały się do kantyny i usiadły przy stole wraz z paroma innymi żołnierzami z kompanii Charlie. Byli tam też Jamie i Smitty. Pachniało sosem, który zbyt długo stał na ogniu, i rozgotowaną na breję kukurydzą. Szmer rozmów przypominał buczenie odrzutowego silnika.

Smitty w zawrotnym tempie ładował kukurydzę do ust i jednocześnie rozprawiał o zajęciach na strzelnicy. Jamie z nieobecny wzrokiem wbitym w talerz rozgrzebywał klopsa widelcem. Myślami wydawał się daleko stąd. Jolene doskonale to rozumiała.

- Jo, musimy się skupić na tym, co tu i teraz - odezwała się Tami. - W tej chwili jesteśmy przede wszystkim żołnierzami. Tak musi być, bo inaczej...

-Możemy zginać - dopowiedziała cicho Jolene. Wiedziała, że Tami ma rację. Sama kilkakrotnie o tym myślała. Była gotowa się założyć, że to właśnie zajmuje myśli Jamiego. Ostatecznym celem wojennych gier jest sama wojna. Uczucia dla rodziny musi odłożyć do specjalnej przegródki i dobrze ją zamknąć.

- Nie wiem, jak mam przestać za nimi tęsknić. Cały czas prześladuje mnie poczucie winy. Mam wrażenie, że gdybym w trakcie rozmowy z nimi przez telefon znajdowała właściwe słowa, wszystko by się ułożyło.

- Rozmawialiśmy o tym z Carlem przed wyjazdem. Powiedział, że muszę przestać być częścią jego i zacząć być częścią tego. Stwierdził, że wie, iż go kocham, ale teraz moim obowiązkiem jest skupić uwagę na sobie, na kobietach i mężczyznach wokół mnie. - Podniosła wzrok na przyjaciółkę. - Jo, jeszcze dwa tygodnie i będziemy w Iraku. Musisz oderwać się od Poulsbo. Zaufać, że Michael wszystko ogarnie.

- Zaufać Michaelowi - powtórzyła Jolene bezbarwnym głosem.

- Nie masz wyboru.

Wiedziała, że Tami ma rację, ale łatwiej powiedzieć niż zrobić. Znała z własnego dzieciństwa uczucie porzucenia i chociaż ta sytuacja była inna, diametralnie inna, wcale nie miała pewności, czy dzieci naprawdę rozumieją, dlaczego je zostawiła.

-Jak mężczyźni radzili sobie przez wieki, idąc na wojny i zostawiając dzieci?

- Mieli żony - odpowiedziała po prostu Tami.

W nocy, gdy Tami już zasnęła, otworzyła laptop. Powieki opadały jej ze zmęczenia, lecz musiała napisać tego mejla do córki.

Droga Betsy,

Tak mi przykro, że nie mogę Ci pomóc w związku z tym zawieszeniem. A Ty, oczywiście, nie chcesz wiedzieć, co o tym myślę. Problem polega na tym, że złamałaś zasady. Każdy czyn pociąga za sobą konsekwencje. Lepiej, żebyś wcześniej się tego nauczyła. Oczywiście Sierra i Zoe Cię sprowokowały, bo zachowały się paskudnie, wyśmiewając się z Ciebie. Jednak to, jak reagujesz, świadczy o tym, kim jesteś.

O tak wielu rzeczach chciałabym Ci powiedzieć i strasznie mnie boli, że nie jesteśmy razem. Matki i córki powinny, siedząc przytulone do siebie na kanapie, rozmawiać o wszystkim i o niczym. I tak jeszcze będzie. Zobaczysz. Bardzo mi żal, że nie mogę Ci podpowiadać, jak zachować się w trudnych sytuacjach w szkole. Wiem, jak złośliwe potrafią być dziewczęta.

Kiedy byłam w Twoim wieku, nikt mnie nie lubił. Zawsze byłam tą dziewczyną w zniszczonym ubraniu, bez pieniędzy na drugie śniadanie. Wstydziłam się zapraszać rówieśników do domu i dlatego nie miałam koleżanek. To było okropne. Czulałam się taka samotna. Nie chcę, żebyś miała podobne doświadczenia.

Wiem, jak to jest, kiedy ludzie Cię ignorują lub wyszydzają. Ja też ignorowałam tamte dziewczyny, chociaż nie było mi z tym dobrze.

Wiesz, co mi pomogło? Służba w wojsku. I nie dlatego, że nauczyłam się tam latać (choć po części pewnie też), lecz dlatego, że tam poznałam Tami.

Z początku bałam się do niej odezwać. Była taka pewna siebie. Miałam wrażenie, iż wcale jej nie przeszkadza, że jesteśmy jedynymi kobietami w szkole lotniczej. Przez pierwszy tydzień ignorowałam ją, bo sądziłam, że mnie nie polubi. A wiesz, jak było naprawdę?

Ona czekała, żebym się do niej odezwała.

Wtedy zrozumiałam, jak wiele może sprawić jeden uśmiech. Pokaż ludziom, że jesteś otwarta na ich przyjaźń, a jeśli dadzą Ci szansę, nie bój się z niej skorzystać. W przypadku Parni musiałam jedynie zdobyć się na odwagę, żeby powiedzieć jej: „cześć” i usiąść przy niej w kantynie. Nigdy nie wiadomo, kiedy nadarza się ta dobra chwila, która może odmienić życie.

Szkoda, że nie mogę Ci powiedzieć, jaka jesteś ładna, mądra i utalentowana, na razie muszą wystarczyć te słowa na niebieskim ekranie. Betsy, musisz być silna. Uwierz w siebie, a wszystko się ułoży.

Kocham Cię do księżyca i z powrotem.

To za mało. O wiele za mało. Ale powiedziała mniej więcej tyle, ile mogła na odległość.

Jutro napisze do Lulu. Ziewnęła i kliknęła: „Wyślij”.

W ostatni czwartek maja Michael wstał wcześniej i przygotował śniadanie. Pomyślał, że jeżeli złapie rytm dnia i opanuje rozkład zajęć dziewczynek, to wreszcie wyjdzie na prostą. Od wyjazdu Jolene z niczym się nie wyrabiał - spóźniał się na zebrania, na prom, na kolację. Zawsze coś poszło nie tak. Postanowił, że dzisiejszy poranek upłynie w spokojnej, miłej atmosferze.

Już wiedział, że ucieka mu czas, kiedy Betsy weszła do kuchni z makijażem tancerki rewiowej z Las Vegas.

- Chyba żartujesz - zachnął się, odkładając gazetę.

- O co ci chodzi? - Odwracając się do niego plecami, otworzyła lodówkę.

- Nie pójdziesz tak wymalowana do szkoły.

- Jak wymalowana? - Obejrzała się na niego.

- Betsy, mam na nosie okulary do czytania. Nie jestem ślepy. Idź umyć twarz.

- Bo co?

- Bo... - Zmrużył oczy. - Bo się zgłoszę do poprowadzenia zajęć z nauk społecznych. Czy przypadkiem nie przerabiacie teraz konstytucji?

- Nie zrobisz tego.

- Chcesz sprawdzić?

Wpatrywała się w niego przez dłuższą chwilę, po czym, tupiąc głośno, wymaszerowała z kuchni. Wróciła nadęta i mrucząc coś pod nosem, zaczęła trzaskać drzwiami szafek. Przy śniadaniu wyładowywała złość na Lulu, która popłakując prawie przez cały czas, w kółko pytała, kiedy wróci mama.

W pracy dzień upłynął mu na nadrabianiu zaległości z ostatnich kilku tygodni. Sporo się tego nagromadziło. Prowadził kancelarię i bronił klientów. Był przepracowany, to jasne jak słońce. Teraz dyktował podanie o prawo wglądu do przebiegu służby wojskowej Keitha Kellera. Było to coś, czym powinien się zająć znacznie wcześniej.

- Ann? - zwrócił się przez interkom do asystentki. -Pojawiło się coś nowego w sprawie Keitha Kellera?

- Nie, Michaelu.

- Dzięki.

Prześliznął się wzrokiem po papierach rozłożonych na biurku. Kiedy wziął do ręki pióro, zabrzęczała komórka.

- Cześć, Michaelu. - To była matka. - Przepraszam, że dzwonię do pracy, ale właśnie złapałam gumę. Je-

stem przy Tacoma Mall na wystawie akcesoriów ogrodowych. Nie ma mowy, abym zdążyła odebrać Lulu i dotrzeć do domu przed powrotem Betsy ze szkoły.

- Nic ci się nie stało?

- Nie, nie, wszystko w porządku. Czekam na pomoc drogową. Dzisiaj Sarah Wheller rozwozi dzieci - podrzuci Betsy po treningu. Około piątej. A Lulu trzeba odebrać przed wpół do piątej.

Spojrzał na zegarek. Trzecia trzydzieści trzy. Najbliższy prom odchodzi za dwanaście minut. Jeżeli go nie złapie, Betsy wróci do pustego domu, co było absolutnie wykluczone według listy żelaznych zasad Jolene. Chociaż, szczerze mówiąc, nie bardzo rozumiał, dlaczego ktoś musiał witać dwunastolatkę w domu.

- Dobra, mamó. Dzięki.

- Przykro mi, że zrzucam to na ciebie. Oj, a niech to, mój telefon pika. Czy to znaczy, że bateria jest słaba? Michaelu? Słyszysz mnie?

- Tak, tak, mamó. Nie ma problemu. Pa! - Rozłączył się, zgarnął te papiery, nad którymi będzie mógł popracować w domu, i wyszedł z gabinetu.

- Zostawiłem dyktafon z tekstem do przepisania -zwrócił się do Ann, mijając jej biurko. - I skontaktuj się jeszcze raz z ojcem Kellera. Przypomnij mu, że naprawdę muszę porozmawiać z jego synem. Gdyby co, jestem pod komórką.

-A spotkanie o czwartej piętnaście...

- Odwołaj. Muszę natychmiast wyjść - rzucił przez ramię, nie przystając na moment.

Na dworze z nisko wiszących chmur siąpił drobny deszcz. Światła samochodów w rozpylonych kroplach wyglądały jak niekończący się strumień kosmatych żółtych kul balansujących nad jezdnią. W miarę jak oddalał się od centrum, coraz więcej zamglonych neonów nad

sklepami z bronią, księgarniami z pornografią i podejrzanymi barami zdawało się potwierdzać awanturniczą przeszłość miasta. Jechał w sznurze co chwila hamujących samochodów, nerwowo spoglądając na zegarek i przeklinając na wszystkich czerwonych światłach.

Kiedy zobaczył kolejkę do promu, wiedział, że szanse są nikłe. W tej samej chwili tknęło go, że ten czwartek to przecież początek weekendu przed Dniem Pamięci Narodowej. Tłumy turystów zmierzały na Bainbridge Island i na urokliwy półwysep Olympic Peninsula. Bębniąc palcami po obciążonej skórą kierownicy, posuwał się centymetr po centymetrze do kasy.

-Na którą sprzedajecie? - zapytał przez ściśnięte gardło, kiedy wreszcie znalazł się przy okienku.

- Na szóstą trzydzieści.

- Cholera!

Wyliczył szybko w myślach, że jeśli poczeka na ten prom, dotrze do domu najwcześniej dwadzieścia po siódmej.

Przecież może wybrać inną drogę. Co prawda podróż promem z Seattle na Kitsap Peninsula zajmowała tylko trzydzieści pięć minut, lecz równie dobrze może dojechać do Poulsbo lądem, przez Tacomę. Dotarłby do domu w niecałe dwie godziny. Była dopiero za piętnaście czwarta. Zdąży przejechać przez Tacomę przed szczytem.

- Dzięki. - Wycofał się z kolejki i zawrócił do miasta. Jakies dziesięć minut później pędził już autostradą 1-5 South. Otworzył klapkę komórki i wybrał numer matki. Nie odebrała. Prawdopodobnie padła jej bateria. Potem zadzwonił do przedszkola i uprzedził, że spóźni się po Lulu.

Czwarta.

Oczywiście nie zdąży do domu przed Betsy.

Wiedział, co powiedziałyby Jolene, widział to jej rozczarowane spojrzenie, ale przecież spóźni się tylko kilka minut - piętnaście, no góra dwadzieścia. Rany boskie, Betsy ma dwanaście lat, chyba może pobyć w domu przez kwadrans sama. W najgorszym wypadku przez pół godziny. Podkręcił odtwarzacz z koncertową płytą U2 i skupił się na jeździe w siekającej teraz ulewie. Aż do Narrows Bridge miał dobry czas. Wysokie zielone filary wiszącego mostu wyglądały w deszczu jak gigantyczne drabiny.

I nagle ruch zamarł. Daleko przed sobą dojrzał pulsujące czerwone światła ambulansu.

-Jasny gwint! - zaklął, otwierając telefon. Wybrał numer do domu i nagrał wiadomość dla Betsy.

- Utknąłem w korku. Nie ruszaj się z domu. Przyjadę najszybciej, jak mogę. Pewnie około szóstej. Jeżeli chcesz, możesz do mnie zadzwonić. Jestem pod komórką.

Siedział... i czekał zablokowany w kolumnie samochodów, z deszczem zalewającym przednią szybę. Czuł, jak rośnie mu ciśnienie, ale nic nie mógł zrobić. Za dwadzieścia szósta ponownie zadzwonił do domu.

- Cholera, Betsy, odbierz!

Nie odbierała. Zatrzasnął klapy i zaraz zadzwonił na domowy do matki. Cisza. Dla niej także zostawił wiadomość.

Było prawie dwadzieścia po szóstej, kiedy wreszcie ruszyli. Docisnął gaz i popędził w stronę domu. Wjechał na parking przed przedszkolem z pulsującym bólem głowy. W małym, schludnym domku czekała na niego wychowawczyni.

-Przepraszam - powiedział, odgarniając włosy z czoła. - Na Narrows był wypadek. Paskudny. Przyjechałem najszybciej, jak się dało.

Pokiwała głową.

- Rozumiem, zdarza się. Ale Lulu jest bardzo zdenerwowana. -
Usunęła się na bok.

Przez otwarte drzwi zobaczył córkę siedzącą samotnie pośród lalek i pluszaków w pomalowanym kolorowo pokoju zabaw.

- Spóźniłeś się - powiedziała, patrząc na niego z wyrzutem. -
Wszystkie mamy już były.

- Wiem. Przepraszam.

Pomógł jej włożyć płaszczyk, pożegnał się z wychowawczynią i zaniósł Lulu do samochodu.

Nie odzywała się do niego przez całą drogę, lecz, na Boga, miał ostatnio większe problemy niż wkurzona czterolatka.

W domu klepnął ją po pupie, prosząc, żeby się grzecznie zachowywała.

-Betsy! Już jestem! - zawołał, zamykając za sobą drzwi. - Wiem, że jesteś zła, ale zjedź na dół pogadać!

Rzucił teczkę na kuchenny stół i poluzował krawat.

- Betsy?! - zawołał jeszcze raz.

- Nie ma jej - oznajmiła Lulu, wchodząc do kuchni.

- Co? - Michael obejrzał się na nią. - Co ty mówisz? Lulu stała ze skosmaconym, żółtym kocykiem w objęciach.

- Betsy nie ma w domu.

- Co?! - wrzasnął tak głośno, że przestraszona dziewczynka wygięła buzię w podkówkę. Ominął ją, wbiegł po schodach na górę i pchnął drzwi do pokoju starszej córki.

Pusty.

Biegał po domu, nawołując ją, dopóki nie dotarło do niego, że jej rzeczywiście nie ma. Na dole znalazł Lulu we łzach.

- Zniknęła. Oj... ktoś ją ukradł.

- Nikt jej nie ukradł - mruknął gniewnie, podchodząc do telefonu. Zadzwoił do matki.

- Dlaczego nie odsłuchujesz wiadomości?! - naskoczył na nią, kiedy odebrała. - Jest u ciebie Betsy?!

- Co?! Przed chwilą weszłam do domu! Co się dzieje?!

- Wróciłem później - wyznał, klnąc w duchu. - Nie ma jej. - Rozłączył się, zanim matka zdążyła otworzyć usta.

- Zadzwoię do jej koleżanek - postanowił, łapiąc ponownie za telefon. - Lulu, przestań histeryzować. Z kim Betsy się przyjaźni?

- Nie wiem - wyszlochała. - Nie ma Betsy. Zadzwoił do szkoły i wysłuchał nagranych komunikatów pozalekcyjnych.

Mnąc w ustach przekleństwo, odłożył słuchawkę.

- Może ona uciekła - wychlipała Lulu.

Wyszedł na werandę. Deszcz przeszedł w ulewę, grube krople odbijały się od trawnika i zlewały w błotniste kałuże na podjeździe. Przyszła mu na myśl zatoka; głęboka ciemna woda nęcąca dzieci.

- Betsy! Gdzie jesteś?!

Nawoływanie wzmagalo tylko płacz Lulu, przy okazji potęgując jego strach. Jak mógł być taki bezmyślny? Dlaczego nie zostawił samochodu w centrum? Przecież mógł pójść pieszo na przystań promową i w Poulsbo złapać taksówkę. Mógł zadzwonić do Carla. Czemu na to nie wpadł? Cholera. A jeżeli jakiś facet widział, jak Betsy wysiada z samochodu, poszedł za nią do pustego domu i...?

Kolejny raz wykrzykując jej imię, chwycił Lulu w pól i niosąc ją pod pachą jak pakunek, pobiegł na sąsiednią posesję. W niecałą minutę znalazł się przed domem Flynnów. Mocno zapukał do drzwi.

Otworzył Carl.

- Michael? Co się stało?

- Betsy nie ma w domu, a powinna być - wyjaśnił, ocierając krople deszczu z oczu. - Pomyślałem, że może jest u was.

Carl zaprzeczył powolnym ruchem głowy, a Michaelowi żołądek podszedł do gardła. Bał się, że chwycą go torsje.

Do salonu wszedł Seth z lizakiem za policzkiem. Był w dopasowanych džinsach, trampkach i w powyciąganym T-shircie z postaciami z *Gears of War*. Pod pachą trzymał wystrzępiony egzemplarz *Obcego w obcym kraju*. Czarne włosy zebrał w coś w rodzaju samurajskiego wężła, przez co jego pociągła twarz wydawała się jeszcze szczuplejsza.

- Co jest?

- Betsy nie ma w domu - wyjaśnił Carl. - A jej tata się martwi.

- Chyba wiem, gdzie może być - oznajmił Seth.

- Poważnie? - ucieszył się Michael. - Gdzie? Seth rzucił książkę na kanapę.

- Zaczekajcie tu. - Wyminął Michaela i wybiegł na dwór.

Michael z Lulu ruszyli za nim podjazdem. Przy skrzynce na listy dogonił ich Carl z parasolem. Seth przystanął na skraju drogi, rozejrzał się, czy nie nadjeżdża jakiś samochód, przebiegł na drugą stronę i zszedł na plażę.

Me powinna sama zbliżyć się do wody. Deszcz bębnił o czaszę parasola, zagłuszając ich oddechy.

Po kilku minutach, które zdawały się godzinami, Seth z Betsy weszli w pole widzenia. Brnęli po piachu w kierunku drogi, oboje przemoczeni do suchej nitki.

Na Michaela spłynęła ulga. Omal nie padł na kolana.

- Betsy, dzięki Bogu!

Z bliska poznał po jej minie, że jest zła i obrażona.

-Jak mogłeś?

- Betsy, przepraszam. Odgarnęła mokre kosmyki z twarzy.

- Powinieneś być, kiedy wracam ze szkoły.

- Wiem, wiem.

- Nigdy nie powinnam wracać do pustego domu. -Przykro mi. Ale chyba jesteś na tyle duża, żeby przez chwilę pobyc sama.

- Eech! - Przeszła obok niego z wysoko uniesioną głową i zniknęła w domu, z hukiem zamykając za sobą drzwi.

Michael z wdzięcznością popatrzył na Setha.

- Dzięki, Seth.

- Przy doku Harrisona rośnie takie duże drzewo. Zawsze tam chodzi, kiedy jest zła.

- Och, dobrze wiedzieć. Dzięki.

Wstyd mu było, że ten dzieciak zna jego córkę lepiej od niego. Zawrócił do domu. Owinął Lulu dużym ręcznikiem, posadził przed telewizorem i dopiero wtedy poszedł do pokoju Betsy.

Stała przy oknie odwrócona do niego plecami. Woda, spływając z włosów, tworzyła ciemne smugi na koszulce.

- Bets, przepraszam. Gdybyś odsłuchała... Odwróciła się gwałtownie do niego.

- Nie rozumiesz? Myślałam, że coś ci się stało. Że nie żyjesz.

- Och.

Dlaczego o tym nie pomyślał? Jolene przewidziała by jej obawy i potrafiłaby im zaradzić. Pewnie, że Betsy miała prawo się bać, że straci jedyne rodzica.

- Wybacz. Nawaliłem. Więcej to się nie powtórzy. W porządku?

W oczach Betsy zakręciły się łzy. Otarła je niecierpliwym gestem.

- Zawsze znajdziesz mnie w domu.

- Ha.

Na parterze zadzwonił telefon.

- To mamusia! - zapiszczała Lulu moment później. Betsy przecisnęła się obok Michaela i zbiegła na dół. Niechętnie ruszył za nią. Fatalny czas na rozmowę.

- Mamo - zaczęła, przykładając słuchawkę do ucha z wściekłą miną. - Taty nie było w domu, kiedy wróciłam ze szkoły. Zapomniał o mnie. Gdybyś tu była, nic takiego by się nie zdarzyło.

Lulu czepiała się jej rąk.

- Oddaj! Ja z mamą rozmawiałam...

Betsy ją odepchnęła. Mała klapnęła na pupę i się rozplakała.

- Chcę rozmawiać z mamą!

- Betsy - upomniął ją Michael. - Pozwól Lulu też porozmawiać.

Skrzywiła się, ale pozwoliła siostrze dojść do telefonu. Usiadły przy stole i jedna przez drugą mówiły do słuchawki.

Michael z westchnieniem wyszedł do kuchni i nalał sobie drinka. Po dziesięciu minutach Betsy podała mu telefon.

- Tato, mama chce z tobą rozmawiać. Nie ma dla nas dużo czasu. Jak zwykle.

Wziął słuchawkę, przeniósł się do dziennego pokoju i usiadł na kanapie.

- Cześć, Jo.

- Naprawdę, Michaelu? Zapomniałeś o niej?

- Jolene, jeżeli masz zamiar prawić mi kazania, odpuść sobie. Już i tak jestem dostatecznie zdołowany.

Chwila ciszy, a po niej:

- Wystraszyłeś ją.
- Jakbym tego nie wiedział. Kolejne milczenie.
- Jutro wylatujemy. Do Iraku.
- To już minął miesiąc?
- Tak, Michaelu.

W zamęcie ostatnich czterech tygodni wyleciała mu ta data z głowy, niemal zapomniał, że ona jedzie na wojnę. Oczywiście tak naprawdę nie zapomniał, po prostu ten fakt przyćmiło gorączkowe tempo mijających dni. Do tej pory nie groziło jej żadne niebezpieczeństwo, mógł więc bez wyrzutów sumienia skupić się na swoich sprawach.

- Nie wiem, jak będzie z komunikacją w Baladzie i jak długo tam zostaniemy. - Zawahała się. - Michaelu, bardzo bym chciała, żeby dziewczynki przysyłały mi listy albo mejle, o ile będziemy mieć dostęp do internetu.

Pomyślał o jej dniach tam, w bazie, o pustce, jaką musi odczuwać bez swoich córeczek. Ale chyba czuje się trochę niezręcznie, że musi go o to prosić. Dobrze wiedział, jak bardzo nie lubi zwracać się z prośbami do niego czy do kogokolwiek.

- Będę tego pilnował - obiecał.
- Dzięki. Hmm. Muszę kończyć. Kolejka zaczyna się niecierpliwieć.
- Jo? -Taak?
- Uważaj na siebie. Westchnęła.
- Do usłyszenia, Michaelu.
- Do usłyszenia.

Marzył jedynie o tym, żeby wrócić do kuchni po szklankę i dokończyć drinka. Miał nawet ochotę się upić.

Należało jednak pomyśleć o kolacji. Zadzwoił do lokalnej pizzerii, zamówił jedzenie i wszedł na piętro.

Drzwi pokoju Betsy były uchylone. Zajrzał do środka - pusto. Przeszedł korytarzem do łazienki.

Stała przed lustrem i wyciskała coś na twarzy.

- Chyba nie powinnaś tego ruszać - zauważył.

- Wyjdz! - wrzasnęła, odwracając się i zatrzasnąjąc mu drzwi przed nosem.

Stał przez dłuższy czas, licząc, że się zreflektuje i przeprosi. Niestety.

Wreszcie zszedł na dół i znalazł Lulu przed pożegnalnym wideo Jolene. Jęknął zrezygnowany.

Przyjechała pizza. Zapłacił dostawcy i rzucił pudełko na kuchenny stół.

- Kolacja! - krzyknął na cały głos.

-Tatusiu, pizza jest na urodziny, a nie na kolację - pouczyła go Lulu z westchnieniem. Ominęła ojca i wdrapała się na swoje krzeselko. W tej samej chwili do domu weszła poirytowana Mila.

-Młody człowieku, nigdy więcej nie waż się odkładać słuchawki, kiedy ze mną rozmawiasz. Z Betsy wszystko w porządku?

-Jest w domu - oznajmił. - Ale nie wiem, na ile wszystko jest w porządku.

- Dzięki Bogu. Od tej chwili...

- Mamo, proszę cię. Jutro na mnie nakrzyczysz. Miałem piekielny dzień.

Popatrzyła na niego czujnie.

- Synu, musisz bardziej się starać - powiedziała spokojnie.

- Taak. Wiem.

Zanim zdążyła coś dodać, czym zapewne by go do-

biła, wyszedł z kuchni i ukrył się w gabinecie, gdzie na szczęście nikt od niego nic nie chciał.

Zamknął za sobą drzwi i opadł na fotel przy biurku.

Nie miał pojęcia, jak sobie z tym poradzi. „Tym” było zajmowanie się dziećmi.

Do diabła, co z nim nie tak? Odnosi sukcesy na sali sądowej i z powodzeniem prowadzi kancelarię, a tymczasem totalnie zawodzi w domu.

Westchnął ciężko. Nie minął nawet miesiąc od wyjazdu Jolene, a on już czuł się znużony serią domowych porażek.

Rano Betsy nadal się do niego nie odzywała. Wstał wcześnie, zrobił śniadanie i odwiózł dziewczynki do szkoły na czas. Kiedy, nieco spóźniony, usiadł wreszcie za biurkiem, już odczuwał zmęczenie. Ale tu przynajmniej był w swoim żywiole.

O jedenastej dostał wyczekiwany telefon.

Keith prosił o rozmowę. W końcu...

Zgarnął notatki i wyszedł z kancelarii. Piętnaście minut później siedział już w obskurnej rozmównicy aresztu King County.

Keith wszedł do pomieszczenia w pomarańczowym więziennym kombinezonie. Ręce miał spięte kajdankami przed sobą, łańcuch skutych nóg szurał i podzwaniał o betonową posadzkę.

- Proszę nas zostawić samych - polecił Michael strażnikowi. -1 niech pan rozkuje osadzonego.

- Mecenasię...

- Proszę zdjąć kajdanki - powtórzył. - Znam ryzyko. Strażnik z niechętną miną spełnił polecenie, opuścił rozmównicę i stanął na straży za drzwiami.

Keith, sztywno wyprostowany, usiadł przy stole naprzeciwko niego. W mdłym świetle lampy pod sufitem

jego twarz wyglądała zaskakująco młodo i świezo. Obcięte na jeża włosy zdążyły odrosnąć i sterczały nad głową jak postrzępiona blond korona.

- Mój ojciec mówi, że muszę z panem porozmawiać. -Próbuję uchronić cię przed więzieniem. Prawdę mówiąc, nie ułatwiasz mi zadania.

- Czy nigdy pan nie pomyślał, że nie zasługuję na to, aby mnie uchronić przed karą?

- Nie - powiedział spokojnie Michael. - Nie pomyślałem. Podobnie jak twój ojciec. I twoja matka, która płacze po nocach.

- To cios poniżej pasa.

Michael otworzył notatnik i zdjął nasadkę z pióra.

- Keith, wiesz, dlaczego tu jestem. Przyrzekłeś ojcu, że powiesz mi, co się wydarzyło tamtego dnia. Podobno wy, wojskowi, zawsze dotrzymujecie słowa.

- Zabiłem miłość mojego życia - wyznał Keith i nareszcie jego oczy straciły obojętny wyraz. - Chyba zabiłem.

- Co? Co to znaczy: „chyba zabiłem”?

- To jakiś obłąd - powiedział cicho Keith. - Coś się ze mną dzieje. Nie pamiętam, żebym zastrzelił żonę. Czy to normalne?

Michael uważnie przyglądał się swojemu klientowi. Szczerze mówiąc, to była pierwsza dobra wiadomość w tej sprawie. Niechętnie przyznawał się przed sobą, że słysząc to bolesne wyznanie, w duchu zacierał ręce, lecz jego praca polegała na wyłuskiwaniu z rozpaczony racjonalnych wyjaśnień. Prawo to skodyfikowane reguły i normy, lecz sprawiedliwość nie jest już tak jednoznaczna. Na sali sądowej zawsze znajdzie się miejsce na wątpliwości, na emocje i na współczucie.

- Opowiedz mi, co działo się tamtego dnia. Minuta po minucie.

Keith wpatrywał się tępo w ścianę. Znowu pojawiło się u niego tamto puste spojrzenie.

- Chciała pójść na rynek Pike Place. Czułem, że to zły pomysł, ale nie wiedziałem dlaczego. Nie potrafię tego wyjaśnić. No, bo wie pan, ja kocham... kochałem Emily i robiliśmy to, co ona chciała, szczególnie po tym moim powrocie z Iraku.

- Czemu szczególnie wtedy?

- Trudno było ze mną wytrzymać. Ciągle się o coś czepiałem. W każdym razie poszliśmy na ten rynek. -Zamilkł na dłuższą chwilę i Michael już miał go ponaglić, gdy podjął przerwany wątek. - To był słoneczny dzień. Mnóstwo ludzi tam się kręciło. Grajkowie, żonglerzy, iluzjoniści, ci goście, co rzucają rybami, i różni włóczędzy. Nie dało się normalnie chodzić, bo ciągle ktoś na nas wpadał albo zastępował drogę, próbując coś wcisnąć.

Wbił wzrok w drżące ręce.

-Zrobiłem się spięty i zaczęło mnie to wszystko wkurzać. Wstąpiłem więc na kieliszek tequili do Athenian, ale nie pomogło. Dalej byłem zdenerwowany. Ostatnio łatwo się denerwuję. Tamtego dnia każdy ruch budził we mnie niepokój i przyprawiał o łomotanie serca. A tam wszystko wirowało. Ciągle mi się wydawało, że ktoś depcze mi po piętach. I kiedy Emily wybierała kwiaty, wskoczyłem ponownie do Athenian na kilka szybkich.

-Ile?

- Dużo - westchnął. - Wiem, że picie nie pomaga. O to właśnie kłóciliśmy się z Emily. Według niej za dużo piłem i robiłem się agresywny. Tamtego dnia czułem, że coś się ze mną dzieje.

- Dużo piłeś przed wyjazdem do Iraku? Wzruszył ramionami.

- Raczej nie.
 - A potem?
 - Bardzo dużo. Czasami alkohol pomagał mi uciszyć... ten łomot w głowie. Ale tamtego dnia nie pomógł.
 - Jeszcze bardziej się nasilił? Keith pokiwał głową.
 - Wychodziliśmy z rynku, byłem zły i już bardzo pijany, i wtedy ten bezdomny do mnie doskoczył. Emily twierdziła, że on po prostu nas mijał, ale ja to widziałem inaczej. Może on rzeczywiście tylko szybko szedł. To był taki obdartus z długimi, czarnymi włosami i chrystusową bródką. Walnąłem go, a on upadł na ziemię. Zobaczyłem, jak krew puściła mu się z nosa. Emily zaczęła krzyczeć, że takiego mnie nie zna... i wtedy dopadła mnie ta drżączka... ledwo się trzymałem na nogach. A potem pamiętam już tylko Emily leżącą na podłodze w naszym salonie. - Zaciskał pięści i otwierał je, trzymając na kolanach. - Zupełnie jakbym ocknął się w cudzym koszmarze. Wszędzie krew: na ścianach, na mnie, na Emi. Połowy głowy... nie było. Ukląknę i zacząłem jej robić sztuczne oddychanie i masaż serca. Cały czas płakałem i krzyczałem. Dopiero kiedy zobaczyłem pistolet, mój pistolet, dotarło do mnie, co zrobiłem.
 - **1** to wszystko, co pamiętasz?
 - Tak.
 - No dobrze. Keith, chcę cię umówić z psychiatrą. Zgodzisz się?
 - Jasne. Ale to nic nie da. Bez doktorków wiem, że jestem szurnięty.
- Michael patrzył w zamyśleniu na swojego klienta. Ten dzieciak potrzebuje mojej pomocy - pomyślał. Wie-

dział, że fakty przemawiały przeciwko nim, a jednak po raz pierwszy od długiego czasu budziła się w nim nadzieja. To może być proces o dużym znaczeniu. Szkoda, że nie mógł o sprawie Keitha porozmawiać z ojcem. - Załatwię konsultację.

Kochana Mamo,

Nie uwierzysz. Tata kupił mi komórkę! Mam pierwszy własny telefon. Wczoraj w stołówce położyłam go na stoliku. Powinnaś zobaczyć minę Sierry. Omal jej nie pokręciło. Tylko uczniowie liceum mają komórki. Powiedziałam jej, że jeśli chce, może zadzwonić, i ona zadzwoniła, a potem weszła ze mną do klasy. Napisałaś, że czasem jeden uśmiech wiele zmienia - może i masz rację. Może Sierra znowu będzie chciała się ze mną przyjaźnić. Brakuje mi jej. Och, muszę lecieć. Tata się na mnie wydziera, jak zwykle. On jest strasznie spięty. Wczoraj zapomniał wystawić śmieci. Wszyscy za Tobą bardzo tęsknimy.

Całusy, Betsy

Kochana Betsy,

Cieszę się, że masz komórkę. Może się przydać w jakichś awaryjnych sytuacjach. Dbaj o nią i mądrze używaj. Nie byłabym sobą, gdybym nie powiedziała, że ktoś, kogo trzeba przekupywać, nie jest prawdziwym przyjacielem, ale więcej porozmawiamy o tym kiedy indziej. Dzisiaj w końcu wylatujemy do Iraku. Odezwę się znowu, gdy będziemy na miejscu. Kocham Cię do księżycy i z powrotem.

Mama

PS Mam nadzieję, że pomagasz tacie w domu.

* * *

Jolene, wysiadając z transportowego samolotu na piaszczystą równinę w Baladzie, miała wrażenie, że wchodzi do piekarnika. Drobinki piasku, unoszone gorącym wiatrem, wciskały się w oczy, w uszy, w nos, we włosy i w usta. Miała ochotę osłonić twarz dłonią, lecz stała wyprostowana, wymrużując łzy.

Znowu to niekończące się oczekiwanie: na dostawy, na transport. Ich podróż zdawała się trwać całe wieki. Z Teksasu polecili do Niemiec, stamtąd do Kuwejtu, a potem na lotnisko wojskowe w Ta lii 1, skąd przetrzucili ich do Al-Kut, by wreszcie przetransportować do bazy lotniczej Balad.

Wiatr, gorący jak żar z pieca, hulał po bazie. Jolene zlewała się potem. Po długim oczekiwaniu przydzielono jej i Tami niewielki kontener wyłożony wewnątrz boazerią poznaczoną śladami po pinezkach i gwoździach powbijanych przez poprzednich użytkowników. Całe umeblowanie stanowiły dwie zapadnięte prycze i dwie odrapane metalowe szafki.

Jolene rzuciła ciężki brezentowy zasobnik na podłogę, wzbijając chmurę kurzu. Wszechobecny pył, jak już zdążyła się przekonać, był nieodłącznym elementem jej nowego życia. Usiadła na wąskiej pryczy ze świeżo przydzieloną, szorstką pościelą, przyciskając do siebie zabraną z domu poduszkę. Sprężyny skrzypnęły pod jej ciężarem.

- Musimy tu sobie powiesić jakieś obrazki albo plakaty - stwierdziła Tami, pokaszując i siadając na swojej pryczy. - Może Keanu Reevesa albo Johnny'ego Deppa.

Jolene z westchnieniem popatrzyła na przyjaciółkę. Kontener wypełniał zapach rozgrzanego kurzu i poprzednich mieszkańców. Wiatr łomotał o ściany, okna i drzwi, próbując się wedrzeć do środka.

Nagle zawyła syrena.

Jolene pierwsza znalazła się przy drzwiach. Otworzyła je dla Tami, chwyciła przyjaciółkę za nadgarstek i wyciągnęła ją na zewnątrz.

-Do schronów! - padała raz po raz zagłuszająca wszelkie inne odgłosy komenda z głośników wiszących na słupie tuż za ich kontenerem.

Bazę otaczało mnóstwo betonowych bunkrów. Tami z Jolene wbiegły do najbliższego.

Były same. Siedziały w ciemnościach na ziemi, a dookoła spadały pociski z moździerzy. Kawałki betonu odrywały się z sufitu. Gdzieś bardzo blisko uderzyła rakietą i eksplodowała z hukiem. Gryzący zapach dymu wniknął do środka przez szczeliny w drzwiach.

A potem wszystko ucichło.

Jolene podniosła się z ziemi, wcale niezdziwiona lekkim drżeniem nóg.

-Zauważyłaś, że oprócz nas nikogo tu nie ma? -odezwała się Tami. - Gdzie się wszyscy podziali?

Jolene otworzyła drzwi. Natychmiast oślepiło je jaskrawe słońce. Wiszący w powietrzu czarny dym szczypał w oczy. Gdziekolwiek spojrzęły, widziały żołnierzy zachowujących się tak, jakby nic się nie wydarzyło. Jeździli na rowerach pomiędzy kontenerami, stali w kolejce do toj-tojek, grali w piłkę.

Jolene odwróciła się do Tami.

- Słyszałam, że nazywają Balad moździerzkurortem. Teraz wiemy dlaczego.

Ponownie zawył alarm. Po ich lewej stronie pociski z moździerzy rozbiły betonowy mur. Popłynęła ku nim chmura dymu.

-Trochę czasu upłynie, zanim przywykniemy -mruknęła Tami, kiedy ponownie zrobiło się cicho.

Jolene zerknęła na przyjaciółkę i wiedziała, że obie

myślą o tym samym. Przez następny rok mogą w każdej chwili zginąć; siedząc w kontenerze, grając w karty czy biorąc prysznic. Jak żyć ze świadomością, że mogą zostać zabite, okaleczone lub rozerwane na kawałki? Jeszcze gorszy był strach o dzieci. Po raz pierwszy poważnie pomyślała: A jeżeli nie wrócę do domu? Co będzie z dziećmi, jeśli mnie zabraknie?

O jedenastej w nocy, po długim dniu spędzonym na wypełnianiu najróżniejszych formularzy, spotkaniach ze współtowarzyszami, z którymi miała teraz służyć, i mnóstwie szkoleń, poczynając od ostrzeżeń przed skorpionami, a kończąc na obsłudze lokalizatora CSEL, Jolene mogła wreszcie pójść pod prysznic. Ponieważ kobiet w bazie było niewiele, nie czekała długo w kolejce. Po zmroku kobiety nie chodziły po terenie pojedynczo. Co prawda wojsko poczyniło spore postępy, nadal jednak nie ze wszystkim radzono sobie do końca. Zalecano kobietom poruszanie się z osobą asystującą, tak zwaną *Battle buddy*.

Po prysznicu wróciły z Tami w milczeniu do kontenera. Przyjaciółka od razu padła na pryczę i natychmiast zasnęła.

Jolene, mimo zmęczenia, nadal była kłębkiem nerwów i o zaśnięciu mogła tylko pomarzyć. Wobec tego wyjęła laptop i zaczęła pisać list do domu. Na razie nie miała dostępu do internetu i pewnie jeszcze przez jakiś czas nie będzie go mieć, ale mogła dzisiaj wystukać list i spróbować go jutro wysłać na przykład z centrum dowodzenia. Czuła ogromną potrzebę połączenia się z rodziną, a list był jedyną formą dostępną w tej chwili.

Przywołała w wyobraźni ich widok; całej rodziny, swojej rodziny. Siedzieli wszyscy razem na kanapie, skupieni nad listem. Betsy czytała go na głos.

Dopiero zdążyliśmy przylecieć, a już czterokrotnie zbombardowano bazę.

Wyobraziła sobie ich reakcję... i już wiedziała, jak powinny wyglądać listy do domu.

Moi kochani - zaczęła i potworna tęsknota za nimi na chwilę wyssała z niej całą energię. Głęboko odetchnęła.

To była długa podróż i powiem Wam, że czuję się zmęczona. Betsy, nie uwierzysz, jak tu jest strasznie płasko. W dodatku wszystko ma ten sam kolor - mniej więcej przywiędłej pszenicy. A upał jest niesamowity. Chyba zdążyłam się spocić, zanim wysiadłam z samolotu.

Mieszkamy z Tami w małym kontenerze. Tak zapewne musi wyglądać pokój w akademiku. Dlatego przydałyby się nam jakieś zdjęcia czy plakaty, żeby choć trochę to miejsce udomowić. Możesz nam w tym pomóc? Przyślę fotki, jak tylko nadarzy się okazja...

Pisała o wszystkim, co jej przyszło do głowy. Kiedy wyczerpały się pomysły, zamknęła laptop i schowała go do szafki. Właśnie wtedy wpadł jej w ręce różowy notes, który dostała od Betsy na urodziny. Otworzyła go na kolanach. Wcześniej zamierzała po powrocie do domu oddać Betsy notes z swoimi zapiskami, lecz teraz, po niecałej dobie w Iraku, wiedziała, że tego nie zrobi. Potrzebowała miejsca, gdzie mogła być do końca szczerą, bo od dziś była starszym chorążym Zarkades i nie miała prawa okazywać ani strachu, ani wahania, tak samo jak nie mogła mówić prawdy rodzinie. Otworzyła notes na pierwszej stronie i zaczęła pisać.

MAJ 2005

Ten dziennik miał być dla Ciebie, Betsy. Planowałam zapisywać w nim wszystkie moje odczucia i przemyślenia, tak żeby po

powrocie do domu oddać go Tobie ze słowami: tu masz wszystko, o czym myślałam, kiedy nie byliśmy razem. Chciałam też notować różne rady dla Ciebie, służyć Ci moją wiedzą. Taka idealna matka, nawet na końcu świata.

Niestety, w tej chwili świadomość, że jestem matką, łamie mi serce. Muszę jakoś znaleźć w sobie siłę, żeby nie myśleć o miłości do Ciebie i Lulu. Jeżeli mi się nie uda, nic dobrego z tego nie wyniknie.

Tu, w tym notesie, prezencie od Ciebie, będę mówić szczerze. Mam nadzieję, że pisząc o moich lękach, nabiorę do nich dystansu. Może w przyszłości dam Ci to wszystko do przeczytania; kiedy będziesz na tyle dojrzała, by nie osądzać mnie zbyt surowo.

Dzisiaj czterokrotnie zbombardowano bazę. Kiedy odezwał się alarm za czwartym razem, tylko popatrzyłyśmy z Tami na siebie, wzruszyłyśmy ramionami i zostałyśmy w kontenerze. Nawet nie przerwałam układania rzeczy w szafce. Słuchając gwizdu pocisków i huku wybuchów, myślałam tylko o jednym: czy będzie mi dane pożegnać się z córkami. A potem nagle było po wszystkim.

Po wszystkim.

Te dwa słowa zdają się coraz częściej pojawiać w moim życiu.

Po wszystkim, jak po moim małżeństwie.

Czuję się tu taka samotna bez Michaela. Czasami udaję przed sobą, że on na mnie czeka tam, w domu. Że nadal mnie kocha.

Z takich marzeń wyrывa mnie łoskot spadających pocisków. Jestem tu jeden dzień i oto, co myślę: ja stąd nie wrócę.

Czemu wcześniej nie miałam takich myśli?

W południe Michael wyszedł z kancelarii i pojechał na północ miasta. Zatrzymał samochód przy krawężniku i jeszcze raz sprawdził podane namiary. Wyteżając wzrok, odczytał numer na domu. Tak, to tu.

Adres psychiatry nie budził zaufania. Gabinet mie-

ścił się w zaniedbanej kamienicy z połowy ubiegłego wieku w nieciekawej części Aurora Avenue. Ciągnęły tędy sznury samochodów, nadużywając klaksonów.

Zaparkował pomiędzy porzewiałą ciężarówką a lśniącym zielonym samochodem elektrycznym. Doszedł do wejścia popękany chodnikiem z chwastami wyrastającymi spomiędzy płyt i zapukał do drzwi.

Niemal natychmiast otworzył mu starszy, tyczkowaty mężczyzna o pociągłej, pomarszczonej twarzy i siwych włosach sięgających ramion. W niebieskim garniturze w kratkę, pamiętającym co najmniej dwie dekady, i w koszuli w kolorze limonki wyglądał jak skrzyżowanie Ichaboda Crane'a z poślednim brytyjskim rockmanem. Mógł mieć jakieś siedemdziesiąt lat, ale było w nim coś zadziwiająco młodzieńczego.

Michael po cichu liczył, że to nie on jest tym lekarzem. Ława przysięgłych lubi, kiedy eksperci wyglądają na ekspertów.

- Zapewne Michael Zarkades - odezwał się mężczyzna, wyciągając dłoń na powitanie. - Christian Cornflower. Większość moich pacjentów mówi na mnie Doktor C. Zapraszam.

Usunął się na bok. We frontowym pomieszczeniu, przy zabytkowym biurku z surowego drewna, siedziała młoda kobieta z fioletowymi włosami i srebrnym kółeczkiem w skrzydełku nosa. Stukała w klawiaturę komputera i jednocześnie rozmawiała przez telefon. Lekarz, przechodząc obok, skinął jej głową i przeprowadził Michaela przez gabinet z wygodnymi fotelami i staroświeckimi dębowymi stolikami. Oklejone tapetą w różyczki ściany dodatkowo zdobiły haftowane makatki z sentencjami w rodzaju „Dzisiaj jest pierwszy dzień reszty twojego życia”.

W końcu doszli do pomieszczenia, które wyglądało

na sypialnię pana domu. Duże okno stanowiło obramowanie dla rozrośniętej starej jabłoni z bujną zielenią poznaczoną zawiązkami owoców. Na ścianach z modną w latach siedemdziesiątych boazerią wisiały kolejne makatki oraz oprawione dyplomy z uniwersytetów Harvarda, Johnsa Hopkinsa i Berkeley.

Lekarz usiadł za zabytkowym mahoniowym biurkiem i wskazał gościowi wygodny fotel obity czerwonym pluszem.

- Doktorze, wyznam, że bardzo mi pana polecano. Bronię młodego człowieka...

- Keitha Kellera. Michael ściągnął brwi.

- Nie wymieniłem nazwiska klienta przez telefon. Cornflower wymownie wzruszył ramionami.

- Może wyglądam jak ktoś, kto był w Woodstock, a przyznam szczerze, że bardzo mi żal, iż mnie to ominęło, lecz niech cię nie zmyli mój wygląd. Jestem bystrym obserwatorem, mecenasie. Podjąłeś się z pozoru karkołomnej obrony Keitha Kellera, który strzelił żonie w głowę i zabarykadował się na wiele godzin w domu, grożąc, że się zabije. Na Boga, to wszystko było w telewizji. Policjanci z jednostki antyterrorystycznej przy włączonych kamerach wyciągnęli go na zewnątrz umazanego krwią. Nikt nie ma wątpliwości, że on to zrobił. Wiedziałem, że jeżeli jesteś inteligentny, a miałem nadzieję, że się nie mylę, to prędzej czy później zapukasz do moich drzwi.

- A to dlaczego?

- Bo specjalizuję się w PTSD - zespole stresu pourazowego. Jak tylko usłyszałem, że Keith Keller to były komandos, przyjrzałem się jego sprawie. Służył na dwóch zmianach w Iraku. - Pokręcił głową z ubolewaniem. - Departament do spraw Weteranów skandalicz-

nie zaniebujecie pomoc dla żołnierzy wracających z misji. Zanim ta cholerna wojna się skończy, będziemy mieli setki tysięcy ciężko uszkodzonych psychicznie wojskowych, próbujących poukładać sobie życie. Przykro mówić, ale będzie coraz więcej takich historii jak ta Kellera, o ile nie otoczymy odpowiednią opieką tych młodych kobiet i mężczyzn.

Michael wyjął notatnik.

- Proszę mówić dalej.

-Byłem w Wietnamie. W tysiąc dziewięćset sześćdziesiątym siódmym. Na własne oczy widziałem, jak wojna potrafi demoralizować porządnych ludzi. Ale tam przynajmniej były miejsca, gdzie mogli odreagować stres. W Iraku nigdzie nie jest bezpiecznie. Kobieta, która z uśmiechem prosi o pomoc, może wysadzić się w powietrze wraz z żołnierzem, gdy ten przeprowadza ją przez jezdnię. Takie wypadki należały do rzadkości w Wietnamie, w Iraku to chleb powszedni. Drogi są naszpikowane improwizowanymi ładunkami wybuchowymi. Bomby bywają ukryte w kupach śmieci, w rowach, na zwierzętach, na ludziach. Cały czas wszędzie grozi niebezpieczeństwo. Nasi żołnierze wracają stamtąd z ostrymi objawami zespołu stresu pourazowego.

- Czy PTSD może ograniczyć zdolność racjonalnego myślenia?

-Jak najbardziej. To właśnie podstawowe pytanie, jakie należy zadać w tej sprawie. To nie jest jakiś bandyta, który zabija żonę, a potem twierdzi, że jest wariatem. Keith Keller służył swojemu krajowi i to, że wrócił do domu bez fizycznych obrażeń, wcale nie zamyka dyskusji. Jednak aby postawić prawidłową diagnozę, będę musiał go zbadać.

- Mógłbyś mi nieco więcej powiedzieć o PTSD? Co się z takim człowiekiem dzieje?

- Całkiem możliwe, że Keller nawet nie wiedział, że strzelił do żony. Zdezorientowany, nie miał świadomości, gdzie się znajduje i co robi. Oczywiście nie jestem w stanie tego stwierdzić, dopóki z nim nie porozmawiam. Ale z całą odpowiedzialnością mogę powiedzieć, że wielu naszych żołnierzy wraca z tak zaawansowanym PTSD, że ten stan może doprowadzić do tragedii.

Michael w zamyśleniu stuknął piórem o notatnik. Cornflower właśnie podsunął mu linię obrony podważającą morderstwo z premedytacją. Ale szanse nadal były niewielkie. Ławnicy sceptycznie podchodzili do problemu ograniczonej poczytalności. Poza tym ludzie z chorobami psychicznymi budzili ich niechęć.

Psychiatra złożył razem koniuszki palców obu dłoni.

- PTSD jest uznaną jednostką chorobową, zdiagnozowaną kilka dekad temu. U chorego może dojść do trwałych zmian osobowości. To, co się dzieje na tych misjach... hmm, sam powinieneś najlepiej wiedzieć.

Michael zmarszczył czoło.

- Jak mam to rozumieć?

- O ile wiem, masz wojskowych w rodzinie. Twoja żona jest pilotem śmigłowca i w tej chwili służy w Iraku, zgadza się?

- Widzę, że odrobiłeś lekcje.

- Lubię wiedzieć, z kim mam do czynienia. Czy żona dużo opowiada?

Michaelowi nie podobał się sposób, w jaki Cornflower mu się przyglądał. Skrępowany, poprawił się w fotelu.

- Dopiero tam pojechała. Poza tym kobiety nie biorą udziału w walkach. Głównie będzie przewozić VIP-ów.

- No tak - mruknął psychiatra, nie spuszczając oczu z Michaela. Uśmiechnął się. - Jest matką. Instynkt nakazuje jej chronić najbliższych. To jasne.

- Co jest jasne? - podchwycił Michael.

- Musisz wiedzieć, że niektóre oklepane frazesy są prawdziwe. Wojna to rzeczywiście piekło. Cały czas się boisz, a jeżeli nie odczuwasz strachu, to znaczy, że masz taki poziom adrenaliny, który w każdej chwili grozi wybuchem. Na twoich oczach bliscy ci ludzie wylatują w powietrze rozczłonkowani. Widzisz nogę leżącą w rowie; podnosisz ją i wkładasz do plastikowego worka, bo nie można tak zostawić żadnego człowieka, części człowieka, twojego kolegi. To czarna noc dla duszy, Michaelu. Tam nie ma linii frontu. Wojna toczy się wokół nich, dzień w dzień, gdziekolwiek są. Jedni znoszą to lepiej, inni gorzej. Chociaż nie potrafimy tego wyjaśnić, wiemy, że masakra, ciągła niepewność i strach odciskają stałe piętno na ludzkim umyśle. Nikt nie wraca z wojny taki sam.

-Zobaczysz się z Keithem, ocenisz jego stan? Potrzebna mi diagnoza, jeżeli mam oprzeć obronę na PTSD.

- Naturalnie - odparł Cornflower. - Będę zaszczycony, mogąc służyć pomocą temu młodemu człowiekowi.

Zaszczycony. Tego słowa Michael jeszcze nigdy nie słyszał w stosunku do któregoś ze swoich klientów. Niektórzy z nich mieli sporo na sumieniu. Był dumny, że stanowi ogniwo systemu sprawiedliwości - istotne ogniwo - lecz rzadko czuł dumę, broniąc konkretnych klientów.

Przyszła mu na myśl Jolene, dla której honor był taki ważny. Cieszyłoby ją, że wziął tę sprawę.

- Dziękuję - powiedział, podnosząc się z fotela i ściskając na pożegnanie dłoń doktora.

Przez całą drogę do domu Keith i nowa linia obrony nie opuszczały jego myśli. Co się stało w Iraku z tym wcześniej porządnym i poukładanym młodemu człowiekiem?

Co tam przeżył?

A potem naszała go inna myśl: Jolene, co się z tobą dzieje?

Jak zwykle wrócił spóźniony do domu i po minie Betsy poznał, że sumuje minuty, punktując go. Myśl o czekającej go kolejnej gniewnej tyradzie nastolatki, na którą zresztą sobie zasłużył, była nie do zniesienia.

Do kuchni weszła Mila.

- W razie potrzeby spokojnie mogę zostawać godzinę dłużej. Nie przejmuj się.

- Dzięki, mamó. Zadzwoił telefon.

- Odbiorę! - Gdzieś z głębi domu doszedł go okrzyk Betsy i tupot nóg na schodach.

Michael uśmiechnął się smętnie, odprowadzając matkę do tylnych drzwi.

- Jeszcze raz dzięki. Cmoknęła go w policzek.

- Aha, przyszedł mejl od Jolene. Lulu nie może się doczekać, ale przypomniałam jej, że ustaliliśmy, iż nie ma czytania, dopóki nie wrócisz do domu. Ona jest... hmm... trochę podekscytowana.

Ucałował matkę i stojąc w drzwiach, odprowadził ją wzrokiem do samochodu. Pomyślał, zresztą nie po raz pierwszy, że bez niej nie dałby rady. Kiedy odjechała, wycofał się do domu i zrobił sobie drinka.

Do kuchni wmaszerowała Lulu.

- Jest mejl od mamusi. Możemy go teraz przeczytać?

- Mogę najpierw wypić drinka i się przebrać?

- Nie, tatusiu. Czekam CAŁE WIEKI.

Michael zerknął na kalendarz Jolene. Na dziś przypadał pieczony kurczak z ryżem. Pomyślał, że chętnie zjadłby zupę grzybową z puszki.

- No dobrze, idź po siostrę. Spotkamy się w gabinecie przy komputerze.

Lulu pobiegła na górę. Chwilę później była już z powrotem. Buzię miała skrzywioną, policzki czerwone.

- Ona rozmawia przez telefon.

- Powiedz jej, żeby skończyła.

- Nie chce.

- No to poczekamy...

- NIE NIE NIE! - zaprotestowała ze łzami w oczach.

Michael wiedział, kto tu rządzi, lecz szczerze mówiąc, w tej chwili wojowanie z Lulu było ponad jego siły. Z westchnieniem wszedł na piętro i znalazł Betsy w jej pokoju z telefonem przy uchu.

- Skarbie, możesz powiedzieć, że oddzwonisz za jakiś czas? Musimy przeczytać list od mamy, zanim twoja siostra zacznie lewitować.

Betsy, nie przerywając rozmowy, odwróciła się do niego plecami.

- Betsy - wycedził ostrzegawczym tonem.

- Tato, wyjdź. Ja ROZMAWIAM. Wyjął jej z ręki telefon.

- Ona oddzwoni za dziesięć minut - powiedział do słuchawki i przerwał połączenie.

Można by pomyśleć, że nacisnął czerwony guzik zwalniający głowicę nuklearną.

- To była Sierra! - wrzasnęła Betsy, niemal go ogłuszając.

- Czytamy list. Chodź na dół. - Zostawił ją stojącą na środku pokoju, tak wściekłą, że zdawała się emitować dym.

Zszedł do gabinetu. Posadził Lulu na krześle przy biurku, a sam usiadł na sofie, żeby poczekać na Betsy. Długo to nie trwało. Z tupotem zbiegła po schodach

i wparowała do pokoju niczym krwawa Czerwona Królowa z *Alicji w Krainie Czarów*.

Mruczając pod nosem: - Dobra, gdzie jest ten głupi list? - zepchnęła siostrę z krzesła i usiadła przed monitorem.

- Czytaj, Betsy - poprosiła Lulu, wdrapując się jej na kolana.

Ekran wypełniło zdjęcie. Jolene z Tami splecione ramionami stały przed straganem na jakimś rynku. Wszystko było lekko zamazane, jakby deszcz czy wiatr rozmywał kontury. Natomiast zdecydowanie rzucały się w oczy ich radosne uśmiechy.

- Mama - powiedziała Lulu, wskazując palcem Jolene. Betsy przewinęła ekran i zaczęła czytać na głos. To była długa podróż...

...i powiem Wam, że czuję się zmęczona. Betsy, nie uwierzysz, jak tu jest strasznie płasko. W dodatku wszystko ma ten sam kolor - mniej więcej przywiędłej pszenicy. A upał jest niesamowity. Chyba zdążyłam się spocić, zanim wysiadłam z samolotu.

Mieszkamy z Tami w małym kontenerze. Tak zapewne musi wyglądać pokój w akademiku. Dlatego przydałyby się nam jakieś zdjęcia czy plakaty, żeby choć trochę to miejsce udomowić. Możesz nam w tym pomóc? Przyślę fotki, jak tylko nadarzy się okazja...

Dziś zjadłyśmy kolację w DPAC, to znaczy w kantynie. Wiesz, Lulu, był Twój ulubiony placek brzoskwiniowy. Yia Yia Mila piecze o niebo lepszy, ale i tak przeniosłam się myślami do domu.

Stanowimy uzupełnienie (w wojskowym żargonie to słowo oznacza coś w rodzaju substytutu) 131. pułku. Wszyscy ludzie, których tu spotykani, są wspaniali. Na pewno z wieloma się zaprzyjaźnię.

No, kochani, lepiej już położyć się spać. Myślę o Was bez przerwy i kocham Was do księżycy i z powrotem. Buziaczki, Mama

PS Betsy, powodzenia na klasówce z matmy. Wiem, że dasz radę. Jestem z Ciebie bardzo dumna! ©

- Przeczytaj jeszcze raz - poprosiła Lulu. - To, co jest do mnie. Tato - zapiszczała - każ jej czytać!

-Dobra. Czytam. Wielkie mi rzeczy. Jest gorąco -powiedziała Betsy. Odwróciła się do Michaela. - Mogę wrócić na górę i zadzwonić do Sierry?

- Idź - powiedział z roztargnieniem. Kiedy go mijała, podniósł się z kanapy i podszedł do komputera.

Wpatrywał się w zdjęcie dwóch kobiet w mundurach śmiejących się do obiektywu.

- Chyba się cieszy - zauważyła Lulu.

Michael myślał o tym, co dziś usłyszał. To zdjęcie absolutnie do tego nie pasowało. W uszach zadźwięczały mu słowa o wojnie, o zmasakrowanych ciałach, o minach pułapkach i deszczu szrapneli.

Dwie kobiety, serdeczne przyjaciółki, uśmiechające się do aparatu.

Teraz zrozumiał, co Cornflower miał na myśli. „Jest matką. Instynkt nakazuje jej chronić najbliższych”.

To zdjęcie było kłamstwem, podobnie jak wszystko, co mówiła o mobilizacji. „Tam nie ma linii frontu” - powiedział Cornflower. A więc nigdzie nie jest bezpiecznie.

Jolene - zawsze bohaterka, zawsze matka - osładzała obraz życia, żeby się o nią nie martwili. Wcześniej ich przygotowała. „Kobiety nie biorą udziału w walkach. Będę głównie przewozić VIP-ów, nic mi nie grozi”.

Kupił to, bo tak mu pasowało. Przyjął do wiadomości. A nie powinien. Przecież wiedział, że to jest wojna, mimo iż przedstawiano interwencję w Iraku jako polityczną reakcję na pogłoski o istnieniu broni masowego rażenia czy próbę nastraszenia Saddama Husajna. Nie wiadomo, dlaczego wyobrażał sobie tę „misję pokojową” jako mało groźną, która szybko się skończy, nie powodując ofiar wśród Amerykanów.

Widział w wiadomościach żołnierzy spacerujących z irackimi dziećmi, rozdzielających wodę, pozujących do zdjęć, ale czytał też o zamachowcach samobójcach, jakoś nie łącząc tych spraw ze sobą. Wolał uwierzyć w zapewnienia Jolene, że będzie daleko od działań wojennych.

Za jakiego idiotę musi go uważać.

Był tak skupiony na sobie i wkurzony rewolucją we własnym życiu spowodowaną jej decyzją, że niewiele poświęcał myśli temu, gdzie ona jest i co robi. .

Czerwiec minął jak z bicia strzelił; dni niczym deszcz wsiąkały w ziemię. W domu myślał o pracy; w pracy o domu. Wiecznie był w biegu i ciągle z czymś nie nadążał. „Przepraszam” stało się najczęściej używanym przez niego słowem. W ostatnich tygodniach wypowiedział je więcej razy niż w ciągu kilku lat.

Pod koniec roku szkolnego musiał zmienić swój grafik. Matka nadal bardzo dużo mu pomagała, lecz w lecie ruch w Green Thumb się nasilał i nie mogła spędzać w ich domu tyle czasu co wcześniej. Tak więc skrócił swój tydzień pracy do czterech dni. Od piątku do niedzieli przebywał w domu, starając się łączyć obowiązki ojca z pracą zawodową. W przerwach pomiędzy zakupami, gotowaniem i zmywaniem robił odpisy

z akt i przygotowywał materiały do rozpraw. Wysyłał dziewczynki na różne biwaki, a jednak nadal robiły się zaległości. Rozwożenie ich w różne miejsca lub szukanie kogoś, kto by go w tym zastąpił, pochłaniało sporo czasu. W zeszłym tygodniu wreszcie przyznał się przed sobą, że nie ogarnia wszystkiego, i przekazał większość pomniejszych spraw swoim partnerom.

To mu pozwoliło bardziej się skupić na obronie Kellera.

Dziś zamierzał dokładniej się przyjrzeć zeznaniom policjantów, którzy aresztowali zabójcę, oraz tamtego informatora z celi.

Wstał wcześniej i zszedł do kuchni zrobić śniadanie. Umówił się z matką, że na dziesiątą podrzuci dziewczynki do Green Thumb i odbierze je o drugiej. Miały jej „pomagać” w sklepie. Niezbyt dużo czasu na pracę, ale lepsze tyle niż nic.

Najpierw Lulu zasypała go gradem pytań.

- Tatusiu, jest słoneczko. Pójdziemy na plażę? Mama zawsze zabiera nas na plażę, jak świeci słońce. Zrobiłabym zamek z piasku. Wiesz, jak się buduje zamki z piasku, tatusiu ?

Trajkotała jak najęta, a on coś tam wymamrotał i poszedł włączyć telewizor.

Błąd. CNN podało, że zamachowiec samobójca zabił sześć osób na rynku w Bagdadzie.

Zadzwoił telefon.

- Ja odbiorę! - wrzasnęła Lulu na całe gardło, zapewne płosząc wszystkie psy sąsiadów.

Zobaczył, jak pędzi do telefonu i łapie za słuchawkę.

- Mamusia? - Uśmiech zniknął jej z buzi, ramiona obwisały. Odłożyła słuchawkę, podreptała z powrotem do kuchni i wdrapała się na swoje krzeselko. - To Sierra -oznajmiła ponuro. - Betsy z nią rozmawia.

Kwadrans później Betsy z tupotem zbiegła po schodach.

- Jadę z Sierrą do galerii na film.

Michael, nachylając się, wycelował pilotem w telewizor.

- Czy mogłabyś to zmienić na pytanie?

- Jasne. Dasz mi jakieś pieniądze?

Odwrócił się, żeby ją zmusić, aby poprosiła: „Tato, mogę pojechać do galerii?”, lecz kiedy ją zobaczył, opadła mu szczęka.

Z taką warstwą makijażu mogłaby spokojnie statystować w *Rocky Horror Picture Show*. Strój złożony z różowych botków, kusej dżinsowej minispódniczki i białej koszulki obciętej powyżej pępka był absolutnie nie do przyjęcia.

- Co ty, do diabła, masz na sobie?! Spiorunowała go wzrokiem.

- No, ubranie.

- Twoja mama nie wypuściłaby cię z domu w takim stroju.

-Ale jej nie ma.

- A to na twarzy... co to jest? -Nic.

- Masz tapetę.

- Wcale nie.

Nie mógł uwierzyć, że stoi przed nim i kłamie w żywe oczy.

- Nie? Wyglądasz jak Tootsie na zbliżeniu.

- Nie wiem, co to znaczy.

-To znaczy, moja panno, że tak nie wyjdiesz z domu.

- Ależ wyjdę. Brat Sierry przyjeżdża po mnie za pół godziny.

- Brat Sierry? A ile on ma lat? -Jest pełnoletni.
- Żaden osiemnastoletni smarkacz nie będzie cię wioził do galerii.
- Rujnujesz mi życie.
- Wiem. Już to mówiłaś. Daj mi numer Sierry, zadzwonię do jej mamy. Jeżeli ubierzesz się jak człowiek, podwiozę cię i koleżankę.
- Prędzej umrę.
- Tak? Mam podobne odczucia co do pobytu w galerii. A więc decyduj, moja droga.

Wzruszył ramionami i włączył telewizor, zmieniając kanał. Ekran wypełniła reklama *Wojny światów*, nowego filmu Spielberga.

Wojna. Wszędzie wojna.

Betsy stała, przytupując. Nie przejął się. W ostatnich tygodniach może nie nauczył się wszystkiego, co mogło się przydać przy wychowywaniu nastolatki, lecz kilka rzeczy już wiedział. Po pierwsze, nie ustępuj; po drugie, przyjmij do wiadomości, że liczy się wyłącznie zdanie rówieśników; a po trzecie, nie daj się wyprowadzić z równowagi. Zderzenie dwóch narwańców nie wróży nic dobrego.

- Dobra. Pójdę zmyć makijaż, którego nie mam. -**1** przebierz się.
- Uuuch! - zawyła, biegnąc po schodach. Słyszał, jak tupiąc, chodzi po pokoju.

Pokręcił głową. Co za dramaty.

Wrócił do kuchni. Lulu klęczała przy stole na podłożonej na krześle poduszce nad otwartą książeczką do kolorowania *Moja mama walczy o wolność* i czerwoną świecową kredką zamasyście zamalowywała czerwone paski na amerykańskiej fladze.

- Tatusiu, dlaczego my nie mamy flagi? - spytała. - Mamusi nie ma.

Michael przystanął w pół kroku. Jak to możliwe, że dotąd o tym nie pomyślał? W uszach zadźwięczały mu słowa Cornflowera, przed oczami stanął Keller.

Są wojskową rodziną.

Słyszał to od ludzi cały czas, ale się od tego odcinał, myśląc: nie, gdzie tam; moja żona jest tylko w Gwardii. To wszystko nie wydawało mu się poważne, a poza tym nigdy nie był zachwycony jej zaangażowaniem ani go nie popierał.

Niemniej jednak byli wojskową rodziną, a żona brała udział w wojnie. Czterolatka odkryła przed nim tę prawdę.

Wzburzył czuprynkę Lulu, przyglądając się, jak koloruje obrazek, na którym mała dziewczynka macha na pożegnanie mamie w mundurze.

- Powiesimy flagę - obiecał cicho.

Betsy, tupiąc głośno, weszła do pokoju i stanęła za nim.

- Teraz wyglądam dostatecznie ohydnie. Mogę iść? Obejrzał się.

Miała na sobie obcięte džinsy, za krótkie, jak na jego gust, ale nie na tyle skąpe, żeby warto było o to kruszyć kopie, T-shirt z napisem „Ups! Znowu dałam plamę”, a na nogach chodaki. Zmyła makijaż, zostawiając jednak niebieską maskarę i róż na policzkach.

Czy ona uważa go za ślepcę?

- I co? - spytała łamiącym się głosem. Widział, jakie to dla niej ważne, i czuł się zagubiony. Te rozgrywki pomiędzy nastoletnimi smarkulami wydawały mu się idiotyczne. Betsy po jakiejś rzuconej mimochodem uwadze byłej przyjaciółki potrafiła się zmienić z miłej

dziewczynki w potwora. A już nie daj Boże, gdyby ktoś spróbował rzucić jakiś żart na temat jej włosów.

- No, tato. Tu chodzi o Sierrę. Tak długo czekałam, aż do mnie zadzwoni. Muszę iść. Proszę.

Niech go mają za tchórza, ale nie potrafił jej odmówić. Wyglądała na taką zdesperowaną i opuszczoną. Wiedział, ile dla niej znaczy ten zwrot w kontaktach z Sierrą.

- Wyglądasz w porządku, Betsy. I możesz pojechać do galerii. Muszę tylko skontaktować się z mamą Sierry.

- Już do niej dzwoniłam. To żenada, że mój tata nie pozwala mi pojechać z Todem.

- Potworność - zgodził się z nią.

- W każdym razie pani Phillips będzie tu za dziesięć minut. Dasz mi pieniądze?

-Ile?

-Pięćdziesiąt.

- Dolarów?!

- Dobra. - Westchnęła dramatycznie. - Dwadzieścia pięć.

Michael wyjął portfel z kieszeni.

- Już są! - pisnęła Betsy, kiedy przeliczał banknoty. -Tato, daj te pieniądze. Szybko! Bo jeszcze odjadą!

- Odprowadzę cię do samochodu. -Nie! Posłał jej znaczący uśmiech. Skrzywiła się.

- Niech ci będzie.

Wyszli z domu razem. Na podjeździe czekał niebieski minivan.

Za kierownicą siedziała kobieta.

- Masz, Betsy.

Podał jej trzydzieści dolarów. Chwyciła banknoty jak

drapieżnik zdobycz i wymamrotała coś, co prawdopodobnie znaczyło: do zobaczenia.

- Dzień dobry - odezwała się kobieta, opuszczając szybę. - Jestem Stephanie. Betsy zdaje się zrozumiała, że Tod je zawiezie. - Uśmiechnęła się. - Wykluczone.

Michael odwzajemnił uśmiech.

- Miło to słyszeć. Też kiedyś miałem osiemnaście lat. Koncentracja za kierownicą nie należała do moich mocnych stron.

- Mój mąż mówi to samo. - Stephanie obejrzała się za siebie i wychyliła głowę z okna. - Dobrze znowu widzieć je razem. Co u Jolene?

- W porządku.

Ludzie ciągle go o to pytali. Nie bardzo wiedział, jak odpowiadać.

- Proszę pozdrowić ją ode mnie.

- Dziękuję, pozdrowię. - Cofnął się, patrząc, jak samochód wyjeżdża z podjazdu i skręca na drogę.

Wrócił do domu. Przystanął na chwilę na werandzie. Słońce sączyło się przez szpary pomiędzy białymi listwami, ożywiając kolory wyblakłych poduszek na krzesłach. Trawa przed domem była soczystozielona, letnie upały nie zdążyły jej jeszcze wysuszyć. Na plaży za drogą jakaś rodzina przygotowywała ognisko i rozstawiała leżaki. Jolene też już by tam była z przenośną lodówką i z krzeselkami.

Wszedł do domu.

- Lulu! - zawołał, zamykając za sobą drzwi. - Pomożesz mi poszukać naszej flagi?

Kochana Mamo,

Miałam najlepszy weekend na świecie. Nie uwierzysz. Ale zacznę od początku. Już wiesz, że mam telefon. Sierra powiedziała, że jest czadowy, i usiadła ze mną w ławce. Na wuefie też się razem trzymałyśmy. Ona pokłóciła się z Zoe, bo nakłamała, że Jimmy mówił o niej takie różne rzeczy. Sierra jest znowu moją przyjaciółką! W zeszłym tygodniu pojechaliśmy razem do galerii na Wojnę światów. Superfilm!

Wiesz co? Zoe też tam była, ale nawet z nią nie porozmawiałyśmy.

Tata mówi, że mogę z Sierrą pojechać w lipcu na obóz kajakowy. Fajnie, nie?

I to mniej więcej tyle. Tutaj wszystko dobrze.

Lulu już nie jest niewidzialna przez cały czas. Namówiliśmy tatę, żeby powiesił flagę.

Oj, muszę lecieć. Tata znowu zamówił pizzę na obiad, muszę dopilnować, żeby moja była z ananasem. Uważaj na siebie, Mamo.

Buziaczki, B.

PS Sierra jest ciekawa, czy już kogoś zastrzeliłaś.

Kochana Betsy,

Ale dużo wiadomości! Cieszę się, że zbliżyłyście się na nowo ze Sierrą. Przecież tyle czasu się przyjaźniłyście, a przyjaźń w życiu jest bardzo ważna. Jednak bądź ostrożna. Pamiętam tamtą historię z papierosami i wiem, że Sierrę stać na różne wysokości. Po prostu bądź czujna.

Przypomnij sobie też, jak się czułaś, kiedy Sierra z Zoe odwróciły się od Ciebie. Nie traktuj tak koleżanki, raniąc jej uczucia dla zabawy. Bądź miła dla Zoe. Bądź taką fajną dziewczynką, jaką wiem, że potrafisz być.

Dobrze, że już masz wakacje. Chciałabym być już z Wami, bo bardzo mi Was brakuje.

A o mnie się nie martw. Wiem, że widziałaś reportaż w CNN, ale nic złego mi się nie stało. Owszem, tu jest niebezpiecznie, lecz my z Tami przeważnie latamy daleko od zagrożonych terenów. Wozimy VIP-ów i dostawy. Nie musisz się o mnie bać. Naprawdę.

Kocham Cię do księżycy i z powrotem,

Mama

PS Powiedz tacie, żeby skończył z kupowaniem pizzy. I nie, nikogo nie zastrzeliłam. Sierra naprawdę Cię o to spytała?

LIPIEC 2005

Kiedyś w jednej z książek Stephena Kinga znalazłam skrót TSSID. Ten Sam Szajs, Inny Dzień. Tak właśnie wygląda ostatni miesiąc w Iraku. Dzień w dzień wstaję bladym świtem, dostaję rozkaz, sprawdzam śmigłowiec i wylatuję.

Dzisiaj byłam na służbie w sumie ponad czternaście godzin. Obie z Tami wieczorem jesteśmy tak zmordowane, że prawie nie rozmawiamy przed snem. Upał i unoszący się w powietrzu kurz są nie do wytrzymania. W większość dni temperatura nie schodzi poniżej pięćdziesięciu stopni Celsjusza, a ja mam na sobie

hełm, rękawice i kamizelkę z kevlaru. Muszę nieźle capić po powrocie z akcji.

Dużo latamy nocą i tak jest lepiej, bo upał mniej dokucza. Czasami wspieramy chłopaków z ewakuacji medycznej i przyznam, że to nie jest łatwa praca. Ciągle mam przed oczami widok poszarpanych ciał i zakrwawionych żołnierzy wołających o pomoc.

Właśnie wczoraj siedziałam przy młodym chłopaku przed szpitalnym namiotem. Mógł mieć, góra, dwadzieścia pięć lat. Wiedziałam, że nie przeżyje. Na to nie trzeba być lekarzem. Nawet nie potrafię opisać jego ran - tak były potworne. Trzymałam go za rękę i słuchałam, co mówi. Właściwie powtarzał wciąż to samo: „Powiedz mojej żonie, że ją kocham”. Obiecałam, że powiem, i mam zamiar napisać do niej list, bo co więcej mogę zrobić? Gdy umarł, odeszłam od niego i stałam tam pośród odgłosów wojny, krzyków lekarzy oraz warkotu śmigłowca, lądującego gdzieś w pobliżu, i zastanawiałam się, co ja powiem, kiedy na mnie przyjdzie koniec. Oczywiście będę myśleć o moich dzieciach, które kocham najbardziej na świecie, lecz co z Michaeliem? Wiem, że już mnie nie kocha. Nawet gdybym wybaczyła mu tamte słowa, brak listów od niego jest najlepszym dowodem. A czyja go nadal kocham?

Prawda wygląda tak, że w ostatniej chwili w myślach wyciągnę do niego rękę. Wiem, że tak będzie. Będę wyciągać rękę, a jego nie będzie.

Tak jak kiedyś mojej matki.

Pod koniec lipca Michael i dziewczynki prowadzili w miarę harmonijny tryb życia. W tym tygodniu Betsy na obozie na wyspie Orcas ćwiczyła pływanie kajakiem; Lulu spędzała weekend u Mili i jak zdążyła mu donieść, robiły z babcią różne rzeczy z suchego makaronu.

Bez nich w domu było cicho. Może nawet za cicho.

Zrobiło się późno, na dworze zdążyło ściemnieć.

Wrócił do domu po długim dniu w pracy, zjadł miseczkę raisin bran i zabrał się z powrotem do pracy. Wreszcie dotarła do niego kopia przebiegu służby wojskowej Keitha Kellera. Rozłożył dokument na stole wraz z transkryptami przesłuchań. W tygodniu spotkał się z Edem Kellerem i jego żoną, odbył też jeszcze jedną rozmowę z doktorem Cornflowerem. Miał już gotową listę ewentualnych świadków: zarówno cywilów, jak i wojskowych.

Przed wyjazdem na wojnę Keith był ze wszech miar zwykłym chłopakiem z małego miasteczka. Uzyskał lokalne stypendium, grał w bejsbol, ukończył szkołę średnią. Zakochał się w dziewczynie niemal dosłownie z sąsiedztwa. Wesele odbyło się w country clubie. Był disc jockey i bar z drinkami, za które płacili goście. Młodzi spędzili miesiąc miodowy w Honolulu.

A potem był jedenasty września.

Dzień, który zmienił bieg życia Keitha. W samolocie linii United Airlines lot 93 zginął jego kolega z klasy, który leciał na wschód zapisać się do college'u. Kiedy Keith usłyszał o katastrofie i nagłym, niespodziewanym zagrożeniu terroryzmem na amerykańskiej ziemi, zaciągnął się do piechoty morskiej.

„Już taki miał charakter - powiedział o nim Ed, kręcąc głową z żalem.
- Chciał mieć udział w ratowaniu kraju”.

I tak Keith pojechał najpierw na obóz szkoleniowy dla rekrutów, a potem na wojnę. Był w Iraku na dwóch zmianach i za każdym razem po powrocie ojciec coraz mniej widział w nim tamtego chłopca, którego wychował.

Michael przeglądał informacje na temat Keitha zebrane przez swoich asystentów. Chłopak służył na terenie trójkąta sunnickiego, obszarze o największym nasileniu działań wojennych. „Moja brygada natrafiała na miny pułapki przynajmniej dwa razy dziennie, dzień

w dzień, przez cały rok - powiedział Keith. - Mnóstwo tego cholerstwa wybuchało wokół ciebie. Dużo kolegów ginęło... Po powrocie do domu najgorsze były hałasy. Padałem na ziemię przy każdym trzaśnięciu zamykanych drzwi czy wyrzucie spalin z rury wydechowej. Nagły błysk światła wprawiał mnie w panikę".

Michael odchylił się na oparcie fotela. Jak to możliwe, że nie wiedział o tym wszystkim: o zgonach i psychicznym spustoszeniu, o żołnierzach cierpiących z powodu odniesionych ran? Na litość boską, mieli dwa tysiące piąty rok! Wojna toczyła się już od jakiegoś czasu. Prawda powinna być bardziej widoczna. W wieczornych wiadomościach powinni pokazywać nakryte flagą trumny wnoszone do samolotów transportowych, zwłoki bohaterów wracających do domu w skrzynkach.

Podniósł się od stołu. Coraz bardziej przejmował się sprawą Kellera, tym razem z całkiem innych powodów niż zwykle. Im więcej dowiadywał się o swoim kliencie, tym bardziej martwił się o Jolene.

Sięgnął po coronę z lodówki, zdjął kapsel i wyszedł na werandę. Powiódł dłonią po oparciu wysłużonego, białego, wyplatanego fotela. „Po co kupować nowe meble ogrodowe? - zapytała Jolene, kiedy znalazła ten fotelik porzucony przy drodze. To się działo w czasach, kiedy miłości było u nich więcej niż pieniędzy, a on na wszystko się zgadzał, nawet na obecność tego badziewiastego fotela. Chcę mieć krzesło z własną historią".

Wieczorną ciszę zakłócił skowyt kojota; smętny, żalobny odgłos.

Z drogi poniżej na podjazd Flynnów skręcił rower -to był Seth. Michael przypomniał sobie, jak przed laty Betsy z Sethem bez przerwy jeździli na rowerach, a Jolene bardzo się o nich bała...

Pomachał do Seta.

Chłopak zobaczył go i odbił na ich podjazd.

- Cześć, młody! - odezwał się, kiedy rower wjechał w plamę światła z lamp nad garażem. Seth jak zwykle wydał mu się niemiłosiernie chudy. Szczupłość policzków podkreślały dodatkowo jego proste czarne włosy.

Zsiadł z roweru, trzymając go za kierownicę.

- Dobry wieczór, panie Zarkades.

- Co u ciebie słyhać, Seth? Chłopak wzruszył ramionami.

- W porządku. Jest u nas babcia. Wypożyczyła DVD na wieczór. Pewnie jakąś kreskówkę. Tata pojechał do Ellensburga po części. Betsy jeszcze na obozie kajakarskim?

Michael kiwnął głową.

- Do niedzieli. -Aha.

- Masz ochotę na colę?

- Super! - Błysnął w uśmiechu aparatem na zębach. Michael potraktował to jako przytaknięcie i poszedł

do lodówki. Kiedy wrócił, Seth stał oparty o balustradę, a rower leżał na żwirowym podejździe.

Michael usiadł w wiklinowym fotelu. Powinien dobrze znać tego chłopaka; kręcił się w pobliżu, odkąd sięgał pamięcią. Kiedyś on i Betsy byli nierozłączni, lecz szczerze mówiąc, on przez te wszystkie lata zamienił z Sethem może z dziesięć słów. Tak samo z Carlem. Niewiele go z nimi łączyło. Aż do teraz.

- Seth, powiedz mi, jak jest z tobą i Betsy? Kiedyś byliście jak papużki nierozłączki, a teraz w ogóle cię u nas nie widać.

- Ona trzyma z dziewczynami. Nazywam je wydrami. To Sierra i Zoe. Uważają mnie za nieudacznika. Betsy też tak chyba o mnie myśli.

Michael ściągnął brwi.

- Nie sędzę.

- To niech pan jeszcze raz pomyśli - wymamrotał Seth. - Nie należę do najbardziej lubianych w szkole.

- Ja też do nich nie należałem - wyznał Michael. - A tak na marginesie, powiem ci, że rozgrywający w naszej drużynie futbolowej Jerry Lundberg siedzi teraz w kiciu. Chyba czasy jego wielkiej popularności skończyły się na szkole średniej.

Seth napił się coli.

- Wczoraj - zaczął - było bombardowanie. Widziałem na CNN. Zestrzelili helikopter. Wie pan, że jak zginie któryś z naszych żołnierzy, odcinają łączność z bazą, dopóki oficjalnie nie powiadomią rodziny? Dosłownie bałem się, że lada moment zadzwoni telefon. Na szczęście nic się nie stało.

Michael cały dzień spędził w sądzie. Po powrocie do domu nie oglądał wiadomości.

- Nie wiedziałem - wyznał przez ściśnięte gardło.

- Mama przysłała mi swoje zdjęcia z Jo. Wyglądają jak na wakacjach, jakby się tam świetnie bawiły. Ona myśli, że jestem głupi.

- Nie - zaprzeczył cicho Michael. - To nie dlatego. Chłopak spojrzał mu w twarz.

- Tata mówi, że musimy wierzyć, że nic się mamie nie stanie, i wtedy tak będzie.

- Taak. - Michael westchnął, patrząc na wpół opróżnioną butelkę.

- Boję się, że ją zapomnę.

Michael zapatrzył się w przestrzeń przed sobą. Wiedział, jak może coś takiego się stać, jak można kogoś zapomnieć. Czy on pamiętał o Jolene, kiedy była tuż obok?

Nie miał pojęcia, jak długo milczał. To Seth chrząknięciem przerwał ciszę.

-Dzięki za colę, panie Zarkades. Lepiej już pójde. Babcia jest gotowa zawiadomić Gwardię Narodową, jeżeli nie wrócę na czas. W naszej rodzinie to wcale nie żart. Zadzwoń do Bena Lomanda i dostanę burę.

- Fajnie się z tobą rozmawiało. - Michael się uśmiechnął. - Pozdrów ode mnie tatę. Mógłbyś czasem zajrzeć do Betsy - rzucił jeszcze za oddalającym się Sethem.

Chłopak odwrócił się.

- Chciałbym.

Michaela zaskoczył smutny wyraz jego ciemnych oczu.

Michael nie miał wątpliwości, że gdyby Dante żył współcześnie, wizytę z dziewczynkami w centrum handlowym uznałby za pobyt w jednym z kręgów piekła. Szczególnie jeżeli celem wyprawy jest wybranie prezentu urodzinowego dla ponownie najlepszej przyjaciółki dwunastoletniej córki. Krążyli tu ponad godzinę i nadal nic nie znaleźli. Był tak znużony oglądaniem błyszczących opasek na włosy, T-shirtów z wystrzępionym dekoltem i plakatów boysbandów, że miał ochotę krzyczeć.

Snuli się po dziale kosmetycznym Wal-Martu. Lulu przypominała pitbulla na smyczy. Rwała do przodu, ciągnąc Michaela za rękę od półki do półki z jakimiś tandetnymi błyskotkami.

- O, mam - ucieszyła się Betsy, wskazując małą, jaskraworóżową kasetkę z cieniami do powiek. - To się jej spodoba.

- Sierrze wolno się malować? Zmiażdżyła go spojrzeniem.

- Tylko ja jedna nie mogę.

Popatrzył na rozmazany tusz pod oczami i smugi rózu na policzkach podobne do wojennych barw.

-Nie możesz. Trudno. Dobra, bierz to i znikamy stąd.

- No, ale to dużo kosztuje.

- Bierz. - Był gotów oddać wszystkie pieniądze, byle wreszcie stąd wyjść.

- Ja też coś chcę, tatusiu - oświadczyła Lulu, szarpiąc go za rękę.

- Potrzebuję jeszcze ozdobny papier i wizytówkę -stwierdziła Betsy.

Michael był pewien, że wydał z siebie głośny jęk. Niemniej potulnie ruszył za nią przez dział kosmetyczny w stronę stoiska, gdzie pakowano prezenty, przy akompaniamencie dramatycznych okrzyków Lulu:

- Tato, stój! Chcę to i to, i tamto!

Przed punktem pakowania prezentów Betsy gwałtownie przystanąła, a Michael wpadł jej na plecy.

- Rany! - pisnęła Lulu.

- Muszę do toalety - oznajmiła Betsy.

-Nie, moja droga, tyle wytrzymasz, niedługo będziemy w...

- Teraz - sprzeciwiła się.

Zaskoczył go jej zdecydowany ton. Wzdychając po raz nie wiadomo który, podążył za nią w stronę toalet, czym ją wyraźnie wkurzył, bo wyszczała, że on nie ma za nią iść. Ale co miał zrobić? Ostatnio prześladował go irracjonalny lęk, że zgubi któreś z dzieci. Kilkakrotnie mu się śniło, jak tłumaczy się przed Jo: nie wiem, tylko na moment się odwróciłem.

Usiadł na jednym z tych niewygodnych krzesełek i czekał.

-Tatusiu, zagrajmy w łapki - zażądała Lulu, unosząc ręce jak mim.

- Hmm?

Zanim Lulu zdążyła zacząć marudzić, Betsy wyszła z toalety przestraszona i blada. Poruszała się jakoś dziwnie, jakby nie zginając nóg w kolanach.

Zerwał się z krzesła, zaniepokojony.

-Betsy, co jest?!

Rozejrzała się wokół siebie.

- Cśśś - uciszyła go, chowając głowę w ramionach, kiedy ponownie, tym razem głośniej, zapytał.

Podszedł do niej.

- Skarbie, co się dzieje?

Zadarła głowę. Usta jej drżały, oczy miała szeroko otwarte.

- Dostałam okres.

Żołądek dosłownie podskoczył mu do gardła. -Och!

- Co to jest okres? - spytała Lulu na cały głos. Betsy przycisnęła siostrze dłoń do ust, budząc tym gestem jej piskliwe protesty.

- Przestań, Lulu! - wysyczał Michael. - Co teraz? -zwrócił się do starszej córki.

- Potrzebuję... coś.

- Coś. No tak. - Potrzebna jej była obecność kobiety, lecz tego jej nie mógł zapewnić. Wziął ją za rękę i wprowadził z powrotem do sklepu. Szła sztywno, zasłaniając rękami tył spodni.

Artykuły higieniczne.

Tak, to musi być tu. Wodził wzrokiem po rzędach kolorowych opakowań, usiłując odgadnąć, co okaże się najbardziej przydatne. Skrzydełka! Klejące paski! Wysoka chłonność!

Betsy wyglądała tak, jakby miała za chwilę zwymiotować.

- Pospiesz się, tato. Wybierz któreś.

Chłopie, weź się w garść. Wykaż się. Ona cię teraz potrzebuje.

- Dobrze - powiedział stanowczo, podchodząc bliżej półki i czytając nadruki na opakowaniach.

- Tato - syknęła Betsy, kiwając się na piętach. - Szybciej.

Nie miał pojęcia, na czym polega przewaga jednych podpasek nad innymi, wybrał więc te najdroższe i podał paczkę córce.

- Ja z tym nie pójdę do kasy - jęknęła Betsy. - A jeżeli w kolejce będzie ktoś znajomy? O Boże!

- W porządku. - Skinął głową. - Spotkamy się przy toaletach.

Betsy zarumieniła się z wdzięczności i natychmiast odeszła. Michael wziął na ręce broniącą się, rozkapryszoną Lulu. W kolejce przez cały czas śpiewała na cały głos: „okres okres okres”. Uśmiechnął się z zakłopotaniem do kasjerki i z małą reklamówką w dłoni bezzwłocznie ruszył w kierunku toalet.

Betsy, przyklejona do ściany, nerwowo przytupywała nogą.

- Wiesz... uhm... co z tym robić? - wydusił.

- Tato, to nie jest broń rakietowa.

Widział, że sili się na sarkazm, ale w jej głosie brakowało pewności. Odebrała od niego reklamówkę i zniknęła w toalecie.

Po dobrym kwadransie powoli wyłoniła się stamtąd, nie spuszczać oczu z Michaela. O ironio, wyglądała tak dziecinnie, a przecież właśnie wchodziła w kobiecość...

- Widać coś? - Odwróciła się z wahaniem.

- Nie - uspokoił ją cicho. - Spodnie w porządku.

-Uff.

- Możemy już iść? - pisnęła Lulu.

Wziął ją na rękę i wrócili do punktu pakowania prezentów. Zanim wybrali papier i kartkę, kupili taśmę klejącą i wstążkę, Lulu na dobre się rozkaprysiła. Ale, szczerze mówiąc, łatwiej znosił jej marudzenie i coraz to nowe żądania niż zawzięte milczenie Betsy.

Michael był z nią całym sercem. Wiedział, że przeżywała właśnie jedną z takich chwil, które na zawsze pozostają w pamięci. W dodatku matki nie było, a ojciec ją zawiódł.

Chciał podarować jej coś, co rozjaśniłoby nieco wspomnienie tego dnia, kiedy będzie do niego wracać myślami. Wpadł na ten pomysł, kiedy przechodzili obok działu z biżuterią.

- Słuchaj, Betsy - zwrócił się do niej - a może chcesz przekłuć sobie uszy? Dzisiaj mają promocję.

Zachłysnęła się z wrażenia, a potem szeroko uśmiechnęła, pokazując czerwone, białe i niebieskie gumowe nakładki aparatu na zębach.

-Mama mówiła, że dopiero jak skończę trzynaście lat.

- Dużo ci nie brakuje. No i jakby... jesteś teraz kobietą - wymamrotał, czując się bardzo niekomfortowo. -Poza tym nie musimy mówić o tym mamie.

Betsy zarzuciła mu ramiona na szyję i mocno go uściskała.

- Dzięki, tato.

-Co?! Ja też chcę! - wrzasnęła Lulu prosto mu w ucho.

Skrzywił się, ogłuszony. Musiał przyznać, że jeżeli chodzi o wysokość wydawanych tonów, z jego młodszą latoroślą przegrałby nawet jakiś prehistoryczny ptak złapany w pułapkę.

- Proszę, tatusiu, proszę proszę proszę! - Rozejrzał się wokół, pewien, że wszyscy na nich patrzą.

*Kochana Mamo,
Tata kazał mi do Ciebie napisać, więc piszę. Dzisiaj dostałam okres.
W Wal-Marcie. Byłam z tatą.
Kupił mi podpaski grube jak podwójny materac. Mama Sierry mówi,
że tak się zawsze dzieje, kiedy angażuje się faceta do załatwiania
babskich spraw.
Dzięki, że Cię nie ma tutaj, kiedy Ciebie potrzebuję.*

SIERPIEŃ

Boże, co za upał. Zaczynam przywykać do zapachu własnego potu. Nawet już go nie czuję. Śni mi się lód. Oczywiście po nocach.

Wczoraj wieczorem dowódca zwołał naradę. Powiedział nam to, co wszyscy już dobrze wiemy. Misja staje się coraz bardziej niebezpieczna. Cały czas jesteśmy ostrzeliwani i lądujemy pod kulami. Mamy zwiększyć liczbę ataków z powietrza. Urocza perspektywa.

Betsy miała pierwszą miesiączkę, a mnie przy niej nie było. Szczerze mówiąc, nawet pisać mi o tym trudno, bo fatalnie się z tym czuję. Omijają mnie ważne sprawy w jej życiu.

W połowie sierpnia doktor Cornflower przesłał diagnozę stanu psychicznego Keitha. Stwierdził ostry zespół stresu pourazowego. Ponadto orzekł, że Keller jest zdolny do stanięcia przed sądem i rozumie procedurę postępowania karnego.

A to oznaczało, że niedługo zostanie wyznaczony termin pierwszej rozprawy.

Michael powiódł wzrokiem po przejętych twarzach ambitnych młodych ludzi. Siedzieli przy stole konferencyjnym. Każde z trójki młodszych partnerów oddelegowanych do zespołu, który zajmował się sprawą Kellera,

ukończyło studia z wyróżnieniem i pracowało co najmniej sześćdziesiąt godzin w tygodniu. Dobry adwokat broniący w sprawach karnych musi być głodny sukcesu, a oni właśnie tacy byli.

- A więc jako punkt wyjścia mamy PTSD, co jak wiecie, umożliwia nam zbudowanie obrony na ograniczonej poczytalności, czyli podważeniu zamiaru popełnienia przestępstwa. Udowodnimy, że nasz klient nie dopuścił się zabójstwa z premedytacją. Nie muszę wam mówić, że każda inna klasyfikacja czynu w sprawie oznacza zwycięstwo. Jednak przysięgli sceptycznie odnoszą się do problemu ograniczonej poczytalności, a jeszcze bardziej niechętnie traktują pełną niepoczytalność, i dlatego potrzebujemy biegłych psychiatrów, świadków oraz danych statystycznych. - Rozdzielił zadania; część zespołu miała się zająć analizą wyroków, część zebraniem informacji istotnych dla przysięgłych, a część precedensami na terenie stanu Waszyngton i poza nim. Pozostałym przypadła praca nad sporządzeniem wniosku przedprocesowego. - Chcę mieć przegląd wszystkich postępowań, gdzie z powodu PTSD, szczególnie w odniesieniu do Iraku, zapadł wyrok uniewinniający, oraz takich spraw, gdzie oskarżyciel wniósł apelację. Do poniedziałku muszę mieć na biurku zarys taktyki obrony. Ty się tym zajmiesz, Hilary. Masz wszystkie niezbędne raporty i informacje biegłych. Tylko zwróć uwagę na kruczki proceduralne. Są jakieś pytania?

Cisza.

- Dobrze.

Wstał od stołu, a po nim podniosła się reszta zebranych. Kiedy współpracownicy opuścili salę konferencyjną, zebrał dokumenty do dyplomacji i wrócił do gabinetu. Przez kilka następnych godzin ślęczał przed

monitorem, wyszukując w internecie procesy, w których oparto obronę na PTSD.

Na promie nadal zaprzętała go sprawa Kellera. Ponownie przeczytał sprawozdanie Cornflowera, tym razem koncentrując się na wypowiedziach Keitha.

W Ramadi zakładaliśmy się, w który namiot tym razem trafi pocisk z mózdzierza... poszedłem się wysikać, kiedy jeden rąbnął w nasz pojazd opancerzony... gównu mogliśmy zrobić... spłonęli żywcem, potwornie krzycząc... Potem było pakowanie... zbieraliśmy fragmenty ciała... nogi, ręce... wkładaliśmy je do worków i znosiliśmy do bazy. To dziwne wrażenie nieść ramię kolegi.

Michael schował sprawozdanie. Co się dzieje u Jolene? jakie sceny ogląda? Odkąd to pytanie zakiełkowało w jego głowie, nie potrafił się od niego uwolnić. Myśląc o żonie, po raz pierwszy wyobrażał sobie najgorsze...

Zapadał lawendowy zmierzch, kiedy zajechał przed Green Thumb.

Matka powitała go w drzwiach wyraźnie przygaszona.

- Przepraszam, wiem, że jest późno...

Zbyła jego przeprosiny niecierpliwym machnięciem dłoni.

- Betsy jest bardzo zdenerwowana. Ta jej koleżanka, Sierra, zadzwoniła godzinę temu i powiedziała, że dziś zestrzelono helikopter pilotowany przez kobietę. Próbowałam ją uspokoić, ale...

Michael wychylił się poza matkę i zajrzał do wnętrza sklepu. Lulu w kącie przy ogrodowym stole poila lalkę z papierowego kubka.

- Gdzie ona jest?

- Na dworze, przy dużej skale.

Michael skinął głową.

- Jedziemy na kolację do Crab Potu. Zabierzesz się z nami?

- Bardzo bym chciała, ale nie mogę. Wieczorem zmieniamy z Helen wystawę. Niedługo Dzień Pracy i zaczyna się jesienna wyprzedaż.

Nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Dzięki, mamó.

Z westchnieniem przeszedł przez sklep, mijając półki zastawione bibelotami, donicami i ogrodowymi narzędziami. Przy tylnych drzwiach przystanął na moment, zbierając się na odwagę, a potem wyszedł na parking pomiędzy Front Street i mariną. Ogromny szary głaz stał na skrawku trawnika na wysokości doku. Odkąd pamiętał, dzieciaki wdrapywały się na niego albo ganiały dookoła. Teraz siedziała tam jego córka, z jasnymi włosami unoszonymi łagodną letnią bryzą i wzrokiem skierowanym na morze. Setki łódek kołysały się na spokojnej, gładkiej wodzie.

Stanął przy skale.

- Hej, tam na górze! - zawołał, zadzierając głowę. Spojrzała na niego. Błądą, pryszczatą twarz miała mokrą od łez. Jej oczy były niepokojąco pozbawione wyrazu.

- Cześć, tato. Spóźniłeś się.

- Przepraszam.

Kiedy tak stał, na próżno szukając w głowie jakichś mądrych słów, odezwał się alarm w zegarku Betsy. Zerwała go z nadgarstka i rzuciła na ziemię.

Pochylił się i podniósł zegarek, wsłuchany w sygnał, który jego żona słyszy dokładnie w tej samej chwili na drugim końcu świata. Przez moment wyobrażał sobie, jak Jolene patrzy na tarczę zegarka, pewnie bardzo tęskniąc za domem.

- Mamie nic się nie stało - odezwał się po chwili. Naprawdę lepiej to wszystko znosił, zanim zajął się sprawą Kellera, kiedy jeszcze wierzył we wszystko, co Jolene pisała w swoich pełnych optymizmu listach, i w jej zapewnienia, że tam jest bezpiecznie. Teraz wiedział lepiej. Jak miał pocieszać córkę, skoro sam podzielał jej jak najbardziej uzasadniony lęk? - Betsy, to nie była ona.

- Ale mogła być. - Ześliznęła się z kamienia.

- Ale nie była - powiedział cicho.

Usta jej drżały, oczy miała załzawione. Widziały że z trudem panuje nad płaczem.

- Tym razem.

- Tym razem - powtórzył.

- Zapominam ją - wyznała Betsy, wyciągając z kieszeni najnowsze zdjęcie przysłane przez Jolene. - To... to nie mama - powiedziała, pokazując je ojcu. - To jakiś żołnierz.

Co miał odpowiedzieć, żeby nie skłamać? - Pojedźmy do Crab Potu i popatrzmy na zdjęcie mamy - zaproponował. - To ci pomoże ją lepiej pamiętać. Skinęła głową na zgodę.

Wyciągnął rękę do córki. Czasami pozostawało tylko czekać.

Po kolacji zawiózł dziewczynki do domu. Natychmiast pobiegły na górę. A jego ogarnęło znużenie. Powinien przewidzieć, jak na nie wpłynie kolacja w Crab Pocie. Wszędzie wyczuwało się obecność Jolene. Obie dziewczynki dobrą minutę stały wpatrzony w polaroidowe zdjęcie matki przypięte pinezką do ściany. Lulu nie chciała nic jeść - tylko splakana ścisnęła w rączce odznakę ze złotymi skrzydłami.

Nalał sobie drinka i stał przy oknie zapatrzony w zatokę okrytą szczelnym całunem zmroku. Słyszał, jak Lulu podchodzi do niego. Wspięła się po nim jak małpka, przywierając do biodra.

- Betsy płacze, tatusiu - poinformowała go piskliwie. Z westchnieniem pocałował ją w czółko.

- Coś się stało mamie. - Uderzyła w płacz. - Zgubiła się albo skaleczyła, tak?

Przytulił ją mocniej do siebie.

- Nie, skarbie. Mamie nic się nie stało.

- Tęsknię za mamusią.

Kołysał ją w ramionach, dopóki nie obeschły łzy. Kiedy się uspokoiła, posadził ją na kanapie i włączył płytę z *Małą syrenką*. To ją zajmie na jakiś czas. Oczywiście o tej porze powinna być już w łóżku. Zrobiło się późno. Ale w tej chwili jego myśli zajmowała wyłącznie Jo i to, co mogło się z nią stać.

Właściwie to nie była świadoma decyzja, po prostu w pewnej chwili skierował się do gabinetu. Wszedł do środka, zamykając za sobą drzwi. Ręce mu się trzęsły; lód grzechotał o szklankę.

To mogła być ona.

Opadł ciężko na kanapę i zwiesił głowę. Betsy się niepokoi, że zapomina matkę. A czy on już dawno nie zapomniał Jolene? Mieszkali razem, sypiał z nią w jednym łóżku, lecz w pewnym sensie kobieta, z którą się ożenił, zatarła się w jego pamięci. Spojrzał w lewo i zatrzymał wzrok na ich zdjęciu z Jolene sprzed wielu lat. Z arboretum w Seattle. Byli wtedy *młodzi i zakochani*. „Michaelu, popatrz na te kaczki. To my w przyszłości. Drepcząc przez życie, będziemy wodzić nasze małe...”. To zdjęcie i radosny uśmiech Jolene pomogły mu przywołać wspomnienia.

Nieco chwiejnie podniósł się z kanapy. Wyjął z bi-

blioteczki album oprawiony w skórę i starą kasetę VHS. Wziął to wszystko pod pachę, zgarnął Lulu sprzed telewizora i wszedł z nią na górę. Zapukał do drzwi Betsy.

- Możemy wejść? -No.

Wziął Lulu na rękę, wniósł ją do pokoju, usiadł na łóżku przy Betsy i posadził młodszą córeczkę obok siebie. Otworzył album.

Na środku pierwszej strony pod lśniąca przezroczystą folią było wklejone jedno z niewielu zdjęć jego żony jako młodej dziewczyny. Stała na wzniesieniu w wyblakłych džinsach i tandetnym sweterku z wycięciem w serek. Odwrócona półprofilem, patrzyła gdzieś w dal, *a wiatr szczywał jej z twarzy potargane pasma jasnych włosów*. Po lewej stronie w kadrze znalazł się jeszcze fragment sylwetki mężczyzny. Widać było jedynie postrzępiony dół džinsów i czarny ciężki but ze zdeptanym obcasem.

Jolene często powtarzała, że to zdjęcie ma dla niej symboliczną wymowę; matki nie było, a ojciec zostawił ją samą. Widział tę fotografię wielokrotnie, lecz dopiero teraz uderzyło go, jaka jego przyszła żona była mizerna, jaka chuda. Włosy w strąkach, jakby nie czesała ich od wielu dni, w oczach łamiąca serce rozpacz. Patrzyła za odchodzącym mężczyzną. Dlaczego wcześniej nie zwrócił na to uwagi?

- Mama ma tutaj jakieś piętnaście lat. Jest niewiele starsza od ciebie, Bets.

- Wydaje się smutna - zauważyła dziewczynka.

- To dlatego, że my się jeszcze nie urodziłyśmy -wyjaśniła Lulu, powtarzając komentarz Jolene do tego zdjęcia.

Michael powoli przekładał strony, oprowadzając

dziewczynki po życiu Jolene. Były tam jej zdjęcia w mundurze, w kokpicie helikoptera i na dworze podczas gry we frisbee. Na każdym kolejnym wydawała się wyższa, silniejsza i pewniejsza siebie. Ale dopiero na ślubnej fotografii zobaczył ją, kobietę, w której się zakochał. Na zmianę uśmiechała się i pochlipywała w trakcie ceremonii, szepcząc, że to najszczęśliwszy dzień w jej życiu.

- W naszym życiu - poprawił ją i pocałował. - Jo, zawsze będziemy tacy zakochani jak dziś.

- No pewnie - przytaknęła ze śmiechem i wierzyli w to przez wiele lat, aż... przestali. Nie, to on przestał.

- Tu ładnie wygląda - oceniła Lulu.

Wiedział, czego brakowało w życiu Jolene, wiedział o wszystkim, co ją ominęło, i o wszystkich przeciwnościach losu, które musiała pokonywać, a jednak na tych wszystkich zdjęciach sprawiała wrażenie niezmiernie szczęśliwej. To dzięki niemu tak się czuła; to było coś, co zawsze wiedział. Zapomniał natomiast, jak bardzo szczęśliwy sam się czuł dzięki niej.

- Kiedy mama wraca do domu? - spytała Lulu. - Jutro?

- W listopadzie. - Betsy westchnęła. - Na dwa tygodnie.

- Och! - pisnęła żałośnie Lulu. - Będę już wtedy mieć pięć lat?

- Tak - potwierdziła Betsy. - Ale nie będzie jej na twoich urodzinach.

Zanim Lulu zdążyła się rozplakać, Michael wsunął kasetę do odtwarzacza. Od wyjazdu Jolene dziewczynki obsesyjnie wręcz oglądały „filmiki pożegnalne”, jak je nazywał. Były to taśmy, które Jolene dla nich nagrała. Ale tej kasety dawno nie widziały.

Przyciskiem „Start” uruchomił kasetę. Jolene z zamglonymi oczami trzyma w ramionach niemowlę nie

większe od dwulitrowego pojemnika na mleko. „Przywitaj się ze swoim fanklubem, Elizabeth. A może lepiej Betsy? Michaelu, czy według ciebie ona wygląda na Betsy ?...”.

Trochę dalej starsza córka stawia pierwsze, chwiejne kroki i klapiąc na pupę, zanosi się śmiechem... Jolene klaszcze w dłonie i mówi przez łyż: „Patrz, Michaelu, nie możesz tego przeoczyć...”.

Dwanaście lat jego życia przesuwa się na czterdziestopięciominutowej taśmie.

Zatrzymuje obraz.

Jest, jego Jo. Śliczna twarz zniekształcona przez rozrzedzone piksele zatrzymanego obrazu, ale mimo grubego ziarna i przytłumionych kolorów nie umyka mu moc jej uśmiechu.

W jej oczach widzi całe swe życie, wszystkie marzenia, nadzieje i obawy.

„Już cię nie Kocham”.

Jak mógł coś takiego powiedzieć? jak mógł tak nonszalancko potraktować ich życie i zobowiązania, których się podjęli?

Pragnął ją przeprosić, lecz dzieliły ich teraz czas i odległość. Cokolwiek chce powiedzieć, musi z tym zaczekać do listopada. Tylko czy ona zechce jeszcze słuchać?

- Pójdźmy jutro na zakupy i wyślijmy mamie paczkę - zaproponowała Betsy.

- Dobra! - Lulu zaklaskała w dłonie.

Michael jedynie przytaknął skinieniem głowy z nadzieją, że nie dostrzegły łez w jego oczach.

Jolene przypięta pasami do fotela i przygnieciona czternastokilogramową powłoką kevlaru leciała blackhawkiem w kierunku Bagdadu. Pot zbierał się pod hełmem,

sklejał włosy i spływał po karku. Twarz płonęła, z trudem oddychała. Wilgotne dłonie ślizgały się w rękawicach. Nawet z rozsuniętymi drzwiami helikopter przypominał wnętrze cholernego pieca. Woda w butelce mogła mieć jakieś pięćdziesiąt stopni Celsjusza - kiepsko gasiła pragnienie. Tami siedziała w fotelu po prawej stronie.

Trzy potężne śmigłowce sunęły w szyku bojowym pod ciemniejącym niebem. Poniżej zarysy chaotycznej zabudowy Bagdadu rozciągały się we wszystkich kierunkach.

-Niebieski deszcz... niebieski deszcz... - w radiu zabrzmiał głos jednego z pilotów.

To oznaczało, że przelatują przez niebezpieczną strefę. Wszystko się mogło przytrafić: ogień z moździerza, rakiet, pocisk z granatnika przeciwpancernego czy jakaś strzelanina.

- Raptor osiem-dziewięć, skręcam na wschód. Przewidywany przylot do Zielonej Strefy: cztery minuty -zameldowała Jolene do mikrofonu.

Przesunęła drążek sterowniczy; helikopter posłusznie obniżył dziób i nabierając prędkości, śmignął przed siebie.

Grad kul załomotał o kadłub. Odgłos był tak przeraźliwy, że Jolene pomimo hełmu i słuchawek skuliła się w fotelu.

- Dostałyśmy! - orzekła szorstko Tami. -Spokojnie - rzuciła Jolene, gwałtownie skręcając w lewo.

Słyszała odgłos kul. Najpierw jedna, a potem cała seria podobna do bębnienia deszczu o blachę. Kokpit wypełnił dym.

- Tam - wskazała Tami. - Na trzeciej.

Z dachu strzelała do nich grupka rebeliantów. Ka-

rabin maszynowy ustawiony na trójnogu płuł żółtym ogniem.

Jolene jeszcze raz odbiła w lewo. Podczas tego manewru eksplodował helikopter po prawej stronie. Kawałki płonącego metalu uderzyły w jej maszynę. Fala gorącego powietrza wdarła się do wnętrza, podmuch zakołysał kadłubem.

- Knife zero-cztery, słyszycie nas? - powiedziała Tami do mikrofonu.
- Tu Raptor osiem-dziewięć.

Trafiony helikopter opadał spiralnym ślizgiem. Przy uderzeniu o ziemię wzbila się w górę chmura czarnego dymu. Przez ułamek sekundy Jolene nie była w stanie oderwać oczu od tego widoku.

Tami podała do bazy współrzędne katastrofy.

Jolene wykonała serię gwałtownych zwrotów, zmieniając prędkość i wysokość. W górę i w dół, w lewo, w prawo.

Kiedy znalazły się poza zasięgiem broni rebeliantów, odwróciła głowę w stronę kabiny transportowej.

- Wszyscy cali? - rzuciła do załogi, słysząc w odpowiedzi potakujące pomruki.

Podążyła za drugim blackhawkiem do Washington Heliport, lądując chwilę po nim. Przy rozpinaniu kuloodpornej kamizelki i uwalnianiu się z pasa cała się trzęsła.

Wydobyła się z fotela i zeszła na płytę. Niebo miało kolor ołowiu. Pomimo mroku widziała dym wiszący nad miejscem, gdzie spadł helikopter. Zamknęła oczy i pomodliła się za załogę, chociaż w głębi serca czuła, że nikt nie przeżył eksplozji. Kilka sekund później powietrze wypełnił ryk odrzutowców, czerwone błyski znaczyły miejsca zrzutu bomb. Wiedziała, że gdy tylko to będzie możliwe, bezzwłocznie wystartuje helikopter z zespołem ewakuacji medycznej, żeby odszukać ocalałych i ofiary.

Nie mogła odpędzić od siebie myśli, że dla kogoś, kto przeżył katastrofę i ranny tkwi na terytorium wroga przy rozbitym śmigłowcu, to musi być najdłuższe oczekiwanie w życiu.

Czy mogła zrobić coś inaczej? Czy gdyby podjęła inną decyzję, nie doszłoby do tragedii? Lecieli w szyku umożliwiającym wzajemną ochronę, lecz ona zawiodła partnerską załogę. Wkrótce, gdzieś na drugim końcu świata, pracownicy z zespołu wsparcia psychologicznego przekażą rodzinie najgorszą z możliwych wiadomość.

Zbliżyli się do niej Tami z Jamiem. Teraz we trójkę stali przed swoim helikopterem poznaczonym wgnieceniami po kulach. Milczeli. Każde z nich wiedziało, że wystarczyłaby jedna lepiej wycelowana kula, jeden pocisk z granatnika i to oni mogliby znaleźć się na miejscu tamtego śmigłowca płonącego na pustyni.

- Kto jest głodny? - spytał Jamie, zdejmując hełm.

- Mnie tam zawsze chce się jeść - odezwał się Smitty, walcząc z atakiem kaszlu. Posłał im wszystkim swój charakterystyczny uśmiech, który tym razem nie sięgał oczu. Tego wieczoru Smitty po raz pierwszy wyglądał znacznie starzej.

- Oczami duszy widzę puszkę zimnego mountain dew - spróbował rozluźnić atmosferę.

Gdy przechodzili przez Zieloną Strefę, Jamie, jak zwykle, podtrzymywał rozmowę. Wszystko, co mówił, miało ich rozbawić, bo każde z nich tak bardzo chciałoby się uśmiechnąć. Gdy mechanicy z obsługi technicznej łatali ich helikopter, zjedli w kantine przygotowaną na miejscu chińszczyznę i popijając mleczne koktajle, rozmawiali o wszystkim, poza tym, co nie opuszczało ich myśli.

Przed północą znaleźli się na powrót nad Bagdadem,

okrażając najbardziej niebezpieczną część miasta. Tu i ówdzie słyhać było wystrzały - to najbardziej zażarci rebelianci na odgłos silnika helikoptera strzelali w niebo na oślep. Do Baladu dotarli bez przygód.

Jolene wyłączyła silnik. Łopaty wirnika zwalniały z każdym obrotem, wydając coraz bardziej przeciągły zgrzyt.

Odchyliła się na oparcie fotela. Wreszcie mogła się rozluźnić. Noktowizyjne gogle zniekształcały obraz świata. Przed nią na czarnej płycie poruszały się zielone sylwetki.

Naszło ją absurdatne skojarzenie z duszami wychodzącymi z ciał. Wróciła myślami do zestrzelonej załogi.

- Mój syn ma wietrzną ospę - odezwał się siedzący za nią Jamie. - Mówiłem ci?

Tego właśnie potrzebowała - wspomnienia domu.

- Dzieci szybko z tego wychodzą. Za rok już nie będzie o niczym pamiętał. Betsy zamiast posiłków domagała się lizaków z mrożonej wody z sokiem truskawkowym.

- A będzie pamiętał, że mnie przy nim nie było?

Na to pytanie nie miała prostej odpowiedzi.

Zdjęła gogle z hełmu, odpięła pas fotela. Kiedy wyszła na płytę, ogarnęło ją potworne znużenie; nie zwykłe fizyczne zmęczenie, lecz sięgająca kości drętwota, coś w rodzaju śmiertelnego stężenia.

Chciała wiedzieć, czy zrobiła dziś wszystko, co w jej mocy, czy w tym, co się stało, nie było jej winy, lecz nie miała nikogo zaufanego, kogo mogłaby o to zapytać. Ta myśl pogłębiła jedynie wrażenie izolacji, uświadomiła, jaka jest tutaj samotna. Żałowała, że nie może zadzwonić do Michaela, opowiedzieć mu o tym dniu, licząc, że jego głos ukołby roztrzęsione nerwy. Tak wielu żołnierzy w bazie utrzymywało stały kontakt ze współmałżonkami. Tak jak Tami i Carl.

Nie było tutaj miejsca na prywatność. Ponieważ zwykle razem z Tami stały w kolejce do telefonu, siłą rzeczy słyszały swoje rozmowy. Słyszała, jak przyjaciółka szepcze do słuchawki: „Tak bardzo cię kocham. Już sam dźwięk twojego głosu dodaje mi sił”.

Pamiętała czasy, kiedy ona i Michael też tacy byli; stanowili dwie połowy całości.

-Hej, doszłaś do siebie? - Tami podeszła do niej i szturchnęła ją biodrem.

- Nie. A ty?

- Nie. Zadzwońmy do domu. Muszę usłyszeć głos Carla - wyznała przyjaciółka.

Przeszły przez bazę do stanowiska telefonów. O dziwo, tym razem kolejka była krótka. Tylko kilku żołnierzy stało przed nimi.

Jolene puściła Tami przodem. Słyszała, jak przyjaciółka mówi:

- Carl? Kochanie? Tak bardzo za tobą tęsknię...

Starła się nie słuchać. W tej chwili bardzo potrzebowała Michaela, potrzebowała usłyszeć, że ją kocha i czeka, i że wcale nie jest taka samotna, jak jej się wydaje, bo tam, w domu, jest jej życie.

Kiedy wreszcie nadeszła jej kolej, wybrała numer do domu, licząc, że ktoś tam jest. W Stanach było sobotnie popołudnie, kwadrans po drugiej.

-Halo?

- Cześć, Michaelu.

Zamknęła oczy, wyobrażając sobie jego uśmiech. Tyle chciałaby mu powiedzieć, podzielić się swoimi uczuciami, tylko po co? Nie zrozumiałby jej. Różnił się od Carla; nie był dumny z tego, co ona tu robi. Nie zdołałby pojąć, jak bardzo obchodzi ją los żołnierzy, z którymi służy. Ta świadomość jeszcze bardziej pogłębiała uczucie osamotnienia i separacji.

Słyszała, jak tam, na drugim końcu świata, skrzypnęło krzesło, kiedy usiadł. Ten zwykły odgłos boleśnie przypominał jej, że tam są ludzie, których zostawiła, że toczy się tam ich życie i powstają wspomnienia, w których jej nie ma.

- Jo, co u ciebie?

Poczuła, że drżą jej usta. Zwrócił się do niej takim czułym tonem. Musiała sobie przypomnieć, że tak naprawdę wcale nie chciał tego wiedzieć. Czy kiedykolwiek był ciekaw tego, co ona robi? Nie mogła mu powiedzieć, że dziś wieczorem zginęli jej przyjaciele i być może stało się to z jej winy, przynajmniej częściowo. Usłyszałaby w odpowiedzi, że to idiotyczna wojna i że żołnierze giną bez sensu. Wyprostowała się i odchrząknęła.

- Co u moich dziewczynek? Czy Lulu już żyje urodzinami?

- Tęsknią. Betsy słyszała o zestrzelonym helikopterze. Bardzo się przejęła.

- Powiedz jej, że jestem daleko od linii frontu. -A jesteś?

Pomyślała o dzisiejszym wieczorze i zacisnęła powieki.

- Naturalnie, że jestem bezpieczna. - To właśnie chciał usłyszeć. - Mogę porozmawiać z dziewczynkami?

- Mama wzięła je do kina.

- Ach tak.

-Będą rozczarowane. Bardzo za tobą tęsknią, Jo. Lulu bez przerwy pyta, czy przyjedziesz do domu na jej przyjęcie urodzinowe.

One tęsknią.

- Muszę kończyć.

- Poczekaj. Chcę powiedzieć...

Zawsze to, co on chce. Ta myśl ją obezwładniła. Byłaby głupia, tęskniąc za nim.

- Michaelu, muszę kończyć. Kolejka czeka do aparatu.

- Uważaj na siebie - powiedział po chwili milczenia.

- Staram się. - Głos jej się załamał. Odłożyła słuchawkę i odwróciła się.

Tami słyszała każde słowo.

- Co powiesz na gorący prysznic? - zapytała, obejmując ją.

Skinęła głową. Poszły do swojego kontenera, wzięły przybory toaletowe i skierowały się do łaźni. Jolene szukała w myślach jakiegoś banalnego tematu, który mogłaby poruszyć z Tami, aby rozładować przygniatające ją emocje, ale nic nie przychodziło jej do głowy.

Nawet o tak późnej porze w bazie panował ruch. Żyło tu trzydzieści tysięcy kobiet i mężczyzn, nie licząc ludzi na krótkich kontraktach, którzy pojawiali się i znikali.

Weszła w japonkach pod prysznic i odkręciła wodę. Zimna.

Starając się nie myśleć o prysznicu - i o gorącej wodzie w domu - szybko się umyła, ścierając z ciała warstwę pyłu i potu. Osuszyła się ręcznikiem i ubrała z powrotem w zakurzony, brudny mundur.

- Zimna woda to nie dokładnie to, czego mi potrzeba - mruknęła Tami z rezygnacją.

- Taak.

Wyszły z łaźni.

Jamie i Smitty czekali na nie, siedząc na przewróconych skrzynkach przed drzwiami swojego kontenera dokładnie naprzeciwko ich kwatery. Przy Smittym stała mała, biało-niebieska, przenośna lodówka pełna gazowanych napojów.

- Ma ktoś ochotę na drinka? - zapytał.

Jolene widziała, ile wysiłku sprawia mu uśmiech. Mógł sobie być świetnym strzelcem pokładowym i odważnym żołnierzem, lecz miał tylko dwadzieścia lat i właśnie przeżył potworny wstrząs. Prawdopodobnie dzisiaj nie zaśnie; żadne z nich nie będzie spać.

Przysiadły się do kolegów. Tami przycupnęła na stopniach przed drzwiami, a Jolene na skrzynce obok Smitty'ego. Z rozgrzanych za dnia metalowych kontenerów nadal bił żar, chociaż na dworze znacznie się ochłodziło. Po obu stronach drzwi piętrzyły się rzędy worków z piaskiem, które dawały jako taką ochronę przed częstym ostrzałem z moździerzy.

- Bill Diehler leciał w Knife zero-cztery - odezwała się Tami.

Jolene stanął przed oczami ten żołnierz. Pogodna, czerstwa twarz. „Stara szkoła”. Pilot z Gwardii z Fort Worth. W zeszłym tygodniu pokazał jej zdjęcie córki czekającej na jego powrót, żeby poprowadził ją do ołtarza.

Zamknęła oczy i natychmiast tego pożałowała. Zobaczyła tamte ostatnie sekundy; snajpera na dachu, strzały. Ona skręciła w lewo i odbiła od Knife zero-cztery.

- Wally Toddan dowodził załogą - dodał Jamie. -Jego żona właśnie się dowiedziała, że jest w ciąży. Wczoraj poszedł na bazarek Haji Mart i kupił dzieciakowi piłkę do nogi. Nawet nie zdążył jej wysłać.

Jolene wołała nie myśleć o dziecku, które nigdy nie pozna ojca.

- To byli bohaterowie - powiedział uroczystym tonem Jamie.

-Bohaterowie - powtórzyła Jolene, zastanawiając się nad znaczeniem tego słowa.

Tręcili się puszkami w milczącym toaście za zestrze-

lonych kolegów. Przez dłuższy czas żadne z nich się nie odzywało. Tami pierwsza przerwała ciszę.

- Idę spać. Nie zostało za dużo czasu do wpół do piątej. A ty, Jo?

- Chłopaki, możemy was zostawić? - Jolene zwróciła się do Smitty'ego i Jamiego.

- Nas? - Jamie się uśmiechnął. - Jasne. Będę pilnował młodego, żeby nie wpadł w kłopoty.

- Bo sam jesteś za stary na wpadanie w kłopoty -zrewanżował się Smitty ze śmiechem.

Kobiety podniosły się z miejsc i idąc ścieżką na skróty, weszły do ciemnego, cuchnącego kontenera. Tami zapaliła światło i popatrzyła z uwagą na Jolene.

- Słuchaj, zrobiłaś wszystko, co mogłaś. W tym, co się stało, nie ma twojej winy.

Nigdy przyjaciółka nie była jej bliższa niż w tej chwili. W odpowiedzi jedynie skinęła głową, bojąc się, że zawiedzie ją głos.

- Boję się o ciebie - wyznała Tami, siadając na łóżku i nie spuszczać oczu z Jolene. - Kurczę, boję się o nas obie. Chcę wrócić do domu.

Jolene usiadła na swojej pryczy. Widziała strach w ciemnych oczach przyjaciółki i ten widok sprawił, że puściło w niej to, co do tej pory było zaciśnięte.

- Ja też - przyznała cicho. -Jeżeli nie...

Do dziś Jolene starałaby się powstrzymać Tami, nie pozwoliłaby jej dokończyć, lecz teraz w milczeniu czekała na dalszy ciąg.

- Jeżeli nie przeżyję - mówiła cicho Tami - liczę na ciebie. Dopilnujesz, aby Seth wiedział, kim byłam.

Jolene z powagą pokiwała głową.

- A ty się zajmiesz moimi dziewczynkami. Tami przytaknęła skinieniem głowy.

- Ale my wrócimy - powiedziała z mocą Jolene.

- Oczywiście, że wrócimy.

Uśmiechnęły się do siebie. Jolene nie widziała wyrazu swojej twarzy, lecz w oczach Tami nadal czaił się lęk. Żadna z nich nie miała już tamtej pewności co wcześniej.

SIERPIEŃ

Jak pisać o śmierci kolegów? Jakich użyć słów, aby uwolnić się od strachu i niepewności, które we mnie wzbierają? Nie wiem. Nie chcę o tym pisać. Nie chcę pamiętać zapachu dymu ani tamtego potwornego huku rozrywanego metalu, ani grzechotu kul z karabinu maszynowego o kadłub. Nie chcę myśleć o Wallym Toddanie i młodej wdowie ani o dziecku, które nigdy nie zobaczy uśmiecha' ojca. Ani o narzeczonej, która sama pójdzie do ołtarza.

Spoczywaj w pokoju, załogo Knife zero-cztery, tyle tylko powiem. Bo co więcej zostaje? Byliście bohaterami i będzie nam was brakować.

Jolene była wyczerpana. Prawie cały dzień załoga spędziła w śmigłowcu, rozwożąc w nieznośnym upale cywilów oraz irackich żołnierzy do Bagdadu i w jego okolice. Pod ich nieobecność Balad stał się ponownie celem ataku i tym razem szkody były poważne. Zdumiewające, jakich zniszczeń potrafią dokonać szrapnele - budynki i pojazdy Hunwee wyglądały jak poszatowane.

Jolene z Tami i Jamiem wracali z lądowiska. Żadne z nich się nie odzywało.

- Muszę zajrzeć do centrum dowodzenia - przerwała ciszę Tami. - Sprawdzę, co z tym internetem. Jeżeli nie porozmawiam z rodziną, zacznę świrować.

Zboczyli na ciemną, pyłącą się ścieżkę pomiędzy kontenerami.

Minęła północ, a w bazie nadal panował ruch.

-Zaczekajcie na mnie - poprosiła Tami, wchodząc do centrum. Po chwili wyszła stamtąd zdeglustowana. -Cholera, nadal nie działa.

Jolene westchnęła. Ruszyli przez bazę. Jamie odbił do kantyny, a kobiety wróciły do siebie.

Zbyt zmęczone, aby rozmawiać, klapnęły na prycze

i otworzyły laptopy. Dziś napiszą listy, które, daj Boże, uda im się jutro wysłać.

Moi kochani - zaczęła Jolene.

Dziękuję za paczkę. Nie macie pojęcia, ile dla mnie znaczą wiadomości z domu. Założę się, że szampon wybrała Betsy (super jest ten truskawkowy zapach), a Lulu błyszczącą klamrę. Bardzo ładnie wygląda na włosach.

Ostatnio bardzo dużo latamy. Zazwyczaj opuszczam kontener o czwartej trzydzieści rano, jadę rowerem do DFAC (kantyny), a potem idę do helikoptera. Mamy szczęście, jeżeli wracamy do bazy przed dziewiątą wieczorem. Padamy wtedy z nóg. Ale i tak cały czas o Was myślę. Szczególnie wtedy, kiedy odzywa się alarm w moim zegarku. Betsy, mam nadzieję, że Ty też wtedy o mnie myślisz. ©

Wczoraj chciałam zadzwonić do domu, ale telefony nie działały, więc na razie muszę ratować się mejleml Kupiłam wam prezenty na Haji Marcie - to coś w rodzaju bazarku na terenie bazy. Pewnie się dziwicie, że my z Tami potrafimy w tym wszystkim znaleźć czas na zakupy. Kobitki wszędzie pozostają kobitkami. ©

Jutro urządzą nam party przy płonącej beczce. Podobno będą hot dogi i duszona fasolka, zupełnie jak w domu na spotkaniach przy grillu na plaży!

Wiem, że dzielą nas tysiące kilometrów, ale będę udawać, że jestem z Wami na urodzinowym przyjęciu Lulu. Mam nadzieję, że prezenty przylecą na czas! Moja malutka, pomyśl o mamie, gdy będziesz zdmuchiwać świece. © Kocham Cię!

Och, ledwo trzymam się na nogach, chyba lepiej się położę, bo niewiele czasu zostało do czwartej trzydzieści.

Betsy, pamiętaj, żeby przypomnieć tacie o wizycie u ortodonta. Wypada w przyszłym tygodniu. Lulu, przyślesz mi zdjęcia z urodzin? Te, które dostałam ostatnio, wiszą u mnie na ścianie nad łóżkiem.

Jej palce zawisły nad klawiaturą. Chciała napisać coś do Michaela, ale co? Jak dotąd nie przysłał ani jednego listu. Wyciągając do niego rękę, czułaby się jak jej matka, która kurczowo trzymała się mężczyzny, gdy ten jej już nie kochał.

Myślę o Was każdego dnia i kocham Was do księżyca i z powrotem.

Pamiętajcie; jeszcze tylko dziewięćdziesiąt jeden dni i znowu się zobaczymy. Może Disneyland???

Buziaczki Mama

Jolene nigdy nie wyobrażała sobie takiego upału, jaki panuje latem w Iraku. I wszędzie ten wiszący w powietrzu pył; wciskał się we włosy, w oczy, w nos i lepił się do spoconego ciała. Nawet prysznic niewiele pomagał, bo po chwili skóra znowu była wilgotna.

Od pierwszego dnia pobytu tutaj żyła ze świadomością, że każdy oddech może być ostatni. Noce też nie były lepsze. Śniły jej się bombardowania, ataki mózdzierzowe i dzieci, które nie pamiętają twarzy matek.

Jeszcze bardziej przerażały ją rany. Ciała zmasakrowane przez improwizowane ładunki wybuchowe i pociski z granatników raketowych. Nogi i ramiona wylatujące w powietrze i szczątki porzucane na piachu.

Nigdy nie czuła większego strachu niż w takie dni jak ten.

Jej załogę wyznaczono do *hero mission* - honorowego transportu zwłok. Musiała polecieć na pustynię po ciała zabitych żołnierzy.

Ostatnio zbyt często przypadała jej ta rola. Za każ-

dym razem, gdy przyglądała się ceremonii, oczami wyobraźni widziała siebie albo kogoś ze swojej załogi w prowizorycznym szpitalu - okaleczonego, z woskową twarzą wykrzywioną z bólu.

Załogi uczestniczące w misji zgromadziły się w pobliżu polowego szpitala. Mimo palącego słońca wszyscy stali wyprostowani. Jolene i Tami jako pilotki miały prawo zostać przy maszynie, lecz uważały takie zachowanie za niestosowne. A więc z poczucia obowiązku i przez szacunek były tu teraz razem ze swoją załogą.

W położonym na uboczu polowym szpitalu panowała południowa spiekota. Składał się on z rzędu namiotów z przybrudzonego białego brezentu, połączonych siecią drewnianych podestów. Na cementowych posadzkach wyraźnie widoczne były ciemne ślady krwi. Jolene czekała na zewnątrz. Procedury dotyczące *hero mission* były ściśle określone.

Poza tym doskonale wiedziała, co zobaczyłaby w środku. Ciasno zestawione prycze, a na nich ranni i konający. Współczesna medycyna radziła sobie z potwornymi ranami. Wojskowi chirurdzy przypominali cudotwórców.

Wśród pacjentów oprócz żołnierzy byli również iraccy cywile, nierzadko dzieci i kobiety, którzy mieli pecha natrafić na improwizowane ładunki wybuchowe lub znaleźć się pod ostrzałem z moździerzy. W namiotach panował okropny zaduch, dodatkowo potęgowany przez upał.

Z namiotu wyszedł lekarz i przytrzymał klapę. Sześciu żołnierzy wyprowadziło cztery szpitalne wózki. Na każdym leżał czarny pokrowiec.

Jolene i Tami natychmiast stanęły na baczność i zasalutowały. Wymieniły spojrzenia, które odzwierciedlały ich poważny nastrój; obie w tej samej chwili pomyślały,

co czułyby, gdyby w pokrowcu leżały zwłoki przyjaciółki. Gdzieś w pobliżu pocisk z granatnika roztrzaskał beton. Nikt nawet nie drgnął.

- Dziękujemy - powiedział po prostu lekarz, kładąc dłoń po kolei na każdym z ciał w pokrowcach. Jego twarz wyrażała taką samą rezygnację, jaką odczuwała Jolene.

Ze wzruszenia dusiło ją w gardle. Patrzyła na nosze, wiedząc, że każdemu z poległych żołnierzy od nich wszystkich należy się ten ostatni gest szacunku. Jeden pokrowiec był płaski, niepokojąco płaski. Zły znak - brakowało fragmentów ciała. Prawdopodobnie żołnierza rozerwała mina lub pocisk z granatnika. Do wszystkich zwłok doczepiono przezroczyste woreczki z osobistymi drobiazgami. W jednym z nich, poznaczonym krwawymi odciskami palców, dostrzegła zegarek, identyfikatory i ślubną obrączkę.

Jolene przyszła na myśl Betsy, która bawiąc się jej nieśmiertelnikami, pytała, czy to po nich ją zidentyfikują...

Przedłużającą się ciszę przerwało wołanie dochodzące z namiotu:

- Kapitanie Craig! - Lekarz natychmiast wszedł do środka.

Załogi dwóch blackhawków podążyły za noszami i ich milczącymi strażnikami do czekających helikopterów. Transport ciał również odbywał się w sposób dokładnie określony w regulaminie.

Jamie i Smitty, którzy czekali przy maszynie, również zaszalutowali zwłokom. Potem z pietyzmem zaczęli je układać w przedziale transportowym.

Zewsząd ściągali żołnierze, niektórzy w mundurach, inni po cywilnemu. Stając w dwuszeregu przy otwartych drzwiach helikoptera, pożegnali kolegów, salutując im po raz ostatni.

Jolene zastanawiała się, kim byli ci zmarli. Mężami? Ojcami? Matkami? Czy rodziny już wiedzą, że ich świat na zawsze się zmienił?

Jolene i Tami porozumiały się skinieniem głowy i wsiadły do helikoptera. Tym razem Tami zajęła lewy fotel. Przechylając się do przodu, zatknęła za szybę białą tabliczkę z napisem: „Hero Mission”.

Jolene zapięła pas i zaczęła przegląd przedstartowy. Drzwi helikoptera zostały zasunięte. Po chwili wystartowały, wzbijając w powietrze wirujący tuman kurzu.

Pod nimi zgromadzeni na lądowisku żołnierze powoli się rozchodzili.

Przez całą drogę do Bagdadu, jak zawsze podczas *hero mission*, załoga milczała. Myśli wszystkich krążyły wokół śmierci. Działania wojenne w ostatnich miesiącach się nasiliły. Rany i zgony były na porządku dziennym. Jolene zdarzało się słyszeć we śnie serie z karabinu maszynowego i wtedy budziła się z krzykiem. W zeszłym tygodniu kula przebiła przednią szybę tuż obok jej głowy i odbiła się od hełmu. Poczula pacnięcie i leciała dalej. Dopiero później to wydarzenie powróciło w koszmarach; wyobraźnia podsuwała jej obraz zmiażdżonej głowy i ciała krótszego o trzydzieści centymetrów, które wracało do domu w pokrowcu.

Po przelocie do Bagdadu i z powrotem do Baladu była potwornie znużona. Od tygodni źle sypiała i brak snu zaczynał odbijać się na kondycji. Nie pamiętała nocy bez ataku mózdzierzowego. Ostrzał przesyiała, lecz budziły ją wyjące alarmy.

Po wylądowaniu mechanicy zajęli się helikopterem, a załoga Jolene rozeszła się do kwater. W taki ponury wieczór jak ten nikt nie miał ochoty na towarzyskie spotkania, nikt nie rzucił hasła: „Chodźmy na ciasto do kantyny”. Każde z nich, tak jak Jolene, było świadome,

jak niewiele brakowało, aby podzielili los tamtych zabitych żołnierzy, których transportowali.

- Trzymasz się jakoś? - Jolene zwróciła się do przyjaciółki, kiedy dotarły do kontenera.

Tami przystanęła na moment.

- Nie, nie za bardzo - wyznała.

Weszły do środka. Tami pstryknęła kontakt; małe wnętrze załało jarzeniowe światło. Wszędzie wisiały rodzinne zdjęcia i jeden plakat z Johnnym Deppem z *Piratów z Karaibów*.

Tami usiadła na pryczy. Materac zapadł się na środku, kurz wzbił się z zielonej, wojskowej pościeli. Zawyla syrena. Ktoś przebiegł obok ich kontenera. Jolene usiadła naprzeciw przyjaciółki.

Gdzieś coś wybuchło; światło przygasło i rozjarzyło się na nowo.

Kiedy odwołano alarm i świat na nowo ucichł, Tami jak gdyby nigdy nic kontynuowała przerwany temat:

-Wiem od Carla, że dzieciaki w szkole dokuczają Sethowi. Śmieją się z niego z naszego powodu. Chętnie skopałabym któryś z tych nastoletnich tyłków.

-Michael twierdzi, że dziewczynki dobrze sobie radzą.

Tami podniosła na nią wzrok.

- Ty też nie mówisz mu całej prawdy.

- Niewiele rozmawiamy. Nie dostałam od niego nawet jednego mejla.

- Jolene nachyliła się i zaczęła rozsznurowywać buty.

-Co tydzień przychodzi do ciebie paczka. Kto to wszystko kupuje? Kto wysyła?

- A jak myślisz? Miła. I dziewczynki.

- Napisałaś do niego? Jolene westchnęła.

- Wiesz, że nie. Co mam mu powiedzieć?

- Może on myśli tak samo.
- To nie ja chciałam separacji.
- Naprawdę zamierzasz bawić się w próbę sił na odległość, ryzykując rozpad małżeństwa?
- Nie ja zaczęłam.
- Czy to ważne? Pomyśl o tym, co było dzisiaj. - pstryknęła palcami. - To się dzieje tak szybko, Jo. Jesteś i cię nie ma. - Pstryknęła jeszcze raz. - Trup. To nie czas na gierki, pewne sprawy muszą zostać dopowiedziane. Boisz się, bo twoi rodzice wszystko schrzaniłi. Rozumiem cię, naprawdę. Ale musisz się przemóc i porozmawiać z Michael'em, bo inaczej wszystko możecie stracić.
- Łatwo ci mówić. Twój mąż cię kocha.
- To nie takie proste. Nic nie jest proste w życiu i dobrze o tym wiesz. Michael też cię kocha - powiedziała z przekonaniem. - Ja to wiem.
- Nie. Nie sądzę.
- A jak jest z tobą?
- Padło pytanie, którego od miesięcy unikała. Tami, rzucając je, jakby mimochodem trafiła w dziesiątkę.
- Nie wiem, jak przestać go kochać - odparła cicho zaskoczona tym wyznaniem. - Mam tę miłość we krwi. Ale...
- Co: ale? Czy to nie wystarcza za odpowiedź?
- Nie. - Jolene westchnęła. Naprawdę nie miała ochoty o tym myśleć ani tym bardziej rozmawiać. - Miłość to tylko część tego wszystkiego, inną sprawą jest wybaczenie. Nawet jeśli potrafiłabym mu wybaczyć, jak mogę zapomnieć? Patrząc mi prosto w oczy, oświadczył, że już mnie nie kocha. Jak mam mu zaufać? Jak uwierzyć w nasze małżeństwo, w to, że będziemy do końca razem, skoro miłość się wypaliła?
- Nie odpuszczaj. Tyle tylko ci powiem. Napisz do niego. Pierwsza.

Jolene wiedziała, że to dobra rada. Wierzyła, że czasem trzeba zawalczyć o miłość; ona przynajmniej raz tak zrobiła. Ostatnio trochę się pogubiła; nie pamiętała, w co kiedyś wierzyła i kim była.

- Boję się - wyznała po przedłużającym się milczeniu.

Tami ze zrozumieniem pokiwała głową.

- Złamał ci serce.

Jolene popatrzyła na przyjaciółkę siedzącą na sąsiedniej pryczy w ponurym, cuchnącym kontenerze i pomyślała, jakie to szczęście, że znalazły się tu razem.

- Tami, nie masz pojęcia, jak bardzo mi pomaga twoja obecność. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła.

- Ze mną jest tak samo, Jo. - Tami się uśmiechnęła.

- Sytuacja awaryjna, konieczne szybkie działanie - powiedział kapitan. - Musimy odszukać i podjąć dwóch żołnierzy z sił specjalnych w bardzo niebezpiecznej okolicy. Prognoza pogody niekorzystna. Za niecały kwadrans dwa śmigłowce powinny znaleźć się w powietrzu. -Odwrócił się i wskazał punkt na mapie. - To tu dostali się pod ostrzał.

-Będziemy gotowi za dziesięć minut - zapewniła Jolene kapitana. Spojrzała na Tami, która przytaknęła energicznym skinieniem głowy, i obie w całkowitym milczeniu skierowały się na pas startowy.

Kiedy szły przez bazę, ziarenka piasku wznoszone podmuchami wiatru wbijały się w skórę i kłuły w oczy. Wiatr wściekle szarpał flagą na maszcie. Po szybkiej inspekcji śmigłowca Jolene usiadła za sterami.

Pierwsza znalazła się w kokpicie, lecz już po chwili cała załoga była w komplecie. Po przeglądzie przedstartowym Jolene poprosiła wieżę o zgodę na start i poderwała maszynę.

Helikopter wznosił się powoli. Z każdym pokonanym kilometrem nasilała się burza piaskowa. Wiatr siekł o przednią szybę.

-Widoczność słabnie - stwierdziła Jolene. Pochyliła się, przesunęła przełącznik dwustabilny i sprawdziła odczyty urządzeń pokładowych. Podmuchy wiatru spychały maszynę z kursu. W pewnej chwili wirniki trafiły na powietrzną dziurę i helikopter zanurkował siedemdziesiąt metrów w jednej mrożącej krew w żyłach sekundzie. - Trzymajcie się! - rzuciła do mikrofonu i wbita w fotel, operowała drążkami sterowniczymi, stabilizując hawka.

Nad obszarem objętym poszukiwaniem Jolene musiała użyć całej siły mięśni, aby łagodnie zejść przez powietrzne prądy. Teren pod nimi był poszarpany i skalisty.

- Tu nie ma gdzie lądować! - zawołał Jamie.

- Przyjęłam - zameldowała Jolene. Naciskając pedały kierunkowe, utrzymywała kruchą równowagę pomiędzy obrotami wirnika głównego i ogonowego.

- Są! - krzyknął Smitty. - Na godzinie pierwszej. Zawisła nad ziemią, a każda sekunda w tej pozycji

oznaczała zmagania z wiatrem tarposzącym kadłub. Na pofalowanej piaszczystej płaszczyźnie dostrzegła dwie sylwetki. Żołnierze byli ostrzeliwani. Kule dzwoniły o helikopter.

Jamie odsunął drzwi i osłaniał ich seriami z karabinu.

- Czysto - zameldował po paru sekundach. - Można lądować.

Podmuch wiatru z tumanem piasku zakołysał haw-kiem.

- Schodzę - powiedziała Jolene do mikrofonu. Powoli tracąc wysokość, posadziła maszynę. Drugi, osłaniający ich helikopter pozostał w powietrzu.

Jolene nie spuszczała wzroku z przyrządów pomiarowych, kiedy załoga wciągała żołnierzy na pokład. Gdy już bezpieczni znaleźli się w przedziale transpor-

towym, wreszcie mogła odetchnąć. Parę sekund później byli w powrotnej drodze do bazy.

A tam usłyszeli o kolejnym śmigłowcu zestrzelonym w pobliżu Bagdadu. Nikt z załogi nie przeżył.

Tej nocy nie mogła zasnąć. Za każdym razem, kiedy przymknęła powieki, widziała helikopter uderzający

o ziemię i słyszała rozpaczliwe krzyki ludzi. Widziała dzieci ubrane na czarno przy trumnie okrytej flagą... żołnierza w wyjściowym mundurze przed drzwiami jej domu. W końcu się poddała. Zapaliła małą lampkę i sięgnęła po dziennik.

SIERPIEŃ

Uwielbiam latać i czuję dumę, że jestem tutaj i robiąc, co do mnie należy, służę krajowi. Ale ostatnio odczuwam strach; jest we mnie i trzepocze się jak ptak, który próbuje wyrwać się z klatki. Mam złe przeczucia.

To, co tu widziałam, pozostaje. Nawet we śnie nie mogę odpędzić tych widoków - porozrzucanych rąk i nóg, umierających żołnierzy, miejscowych dzieci przycupniętych przy kontenerach w kurzu i upale. Każdy start budzi tę samą myśl: czy tym razem...? Wyobrażam sobie, jak moja rodzina dostaje najgorszą wiadomość.

Tami namawia mnie, żebym pierwsza wyciągnęła rękę do Michaela. Twierdzi, że rozmowy z Carlem pomagają jej przetrwać to, z czym mamy tu do czynienia. Uważa, że jestem uparta i niepotrzebnie wystawiam na ryzyko nasze małżeństwo. Ale jak mogę jej posłuchać? Jak mam rozmawiać z Michaelem... z mężczyzną, którego kocham od pierwszego pocałunku... z człowiekiem, który jest moją najbliższą rodziną. Albo był, do chwili, kiedy powiedział, że już mnie nie kocha. Przez całe lata patrzyłam, jak moja matka walczy o mężczyznę, który przestał ją kochać. To ją zniszczyło. Nigdy nie sądziłam, że mogę być podobna do niej. Czy jestem?

Czy się pogubiłam w tym wszystkim, czy rzeczywiście on mi obojętnie? A może to wpływ wojny? Wiem, że nie wolno mi myśleć za dużo o tych, którzy zostali w domu. Teraz najbliżsi mi są koledzy. To ich mam na godzinie szóstej. Oni mnie osłaniają i w razie czego mogą uratować.

Jednak czasem to nie wystarcza. Czasami potrzebuję... Michaela.

Potrzebuję go wbrew woli. Nie wierzę, że będzie na mnie czekał, kiedy wrócę. Już nie.

Nic dziwnego, że czuję się taka samotna. A teraz odezwał się alarm w cholernym zegarku, przypominając mi... !-

Sierpniowe, rozleniwiająco upalne dni szybko mijały. Betsy i Lulu prawie cały czas były zajęte; chodziły na półkolonie albo towarzyszyły Mili w Green Thumb. Piąte urodziny Lulu przeszły bez problemów, chociaż przyjęcie było zdecydowanie cichszą wersją wcześniejszych dziecięcych balów.

W czwartkowy poranek słońce ostro świeciło na błękitnym, bezchmurnym niebie. Zapowiadał się piękny letni dzień. O wpół do dziesiątej Michael wstał od komputera i wszedł na górę. Zapukał po kolei do pokoi dziewczynek.

- Wstawać, śpiochy! Za pół godziny przyjeżdża po was Yia Yia.

Potem zszedł do kuchni i przygotował śniadanie. Francuskie grzanki ze świeżymi jeżynami.

- Pospieszcie się! - zawołał.

Popijając kawę, włączył telewizor w dziennym pokoju.

- ...w ciężkich walkach pod Bagdadem. Helikopter Blackhawk pilotowany przez Sandrę Paterson z Oklahoma City został trafiony pociskiem z granatnika raketowego i spadł na ziemię. Nikt z załogi nie ocalał...

Na ekranie pojawiły się zdjęcia uśmiechniętych żołnierzy w mundurach...

- Myślałam, że kobiet nie dopuszczają do walki -odezwała się cicho Betsy za plecami Michaela.

Boże, dopomóż - przemknęło mu przez myśl. Nie dość, że sam musiał uporać się z tą wiadomością, to jeszcze przyjdzie mu pocieszać córkę. Jak ją uspokoić, skoro dla nich obojga prawda jest oczywista?

Co zrobiłaby na jego miejscu Jolene? Co chciałyby, żeby on zrobił?

Odwrócił się powoli. Betsy miała łzy w oczach. Wydawała się taka krucha i roztrzęsiona. W tej chwili on też tak się czuł.

- Okłamuje nas - mówiła. - Te wszystkie listy i zdjęcia to jedno wielkie oszustwo.

Wziął Betsy za rękę i podprowadził do kanapy. Usiedli razem.

- Mama nie chce, żebyśmy się martwili.

- A martwisz się?

Patrzył na nią, widział jej przerażone oczy i nie wątpił, że ona zapamięta to, co teraz powie. Ma skłamać? Wiedział, jak naginać prawdę, lecz chociaż raz musiał się zdobyć na więcej.

- Martwię się - przyznał w końcu, sadzając ją sobie na kolanach.

- Ja też.

Betsy objęła go za szyję, przytulając policzek do jego twarzy. Drżenie jej szczupłych ramion i wilgoć na jego skórze podpowiadały mu, że córka płacze.

Kiedy wreszcie się od niego oderwała, drżąca, z bladą twarzą ze śladami łez, poczuł przyływ miłości o nieznanym mu dotąd sile.

- Kocham cię, Betsy, i wszystko będzie dobrze. Musimy w to wierzyć. Mama do nas wróci.

Pokiwała powoli głową, przygryzając dolną wargę.

- Ej! - zawołała Lulu, wchodząc do pokoju. - Ja też się chcę przytulić.

Michael wyciągnął rękę i Lulu wdrapała się na kanapę obok siostry.

- Myślę sobie - odezwał się po chwili - że chyba zabiorę moje dziewczynki nad wodę.

Lulu odsunęła się od niego, robiąc wielkie oczy.

- Ty, tato?

- Ale to przecież zwykły dzień - powiedziała Betsy.

- Dość się ostatnio napracowałem - oznajmił. To dotąd nieznane mu stwierdzenie dodało mu wigoru i chęci do życia. Sięgnął po słuchawkę ze stolika przy kanapie.

- Cześć, mam, zostaję w domu z dziewczynkami. Wybieramy się na plażę. Przyjedziesz?

Roześmiała się.

- Mam kilka rzeczy do zrobienia w sklepie. Później do was dołączę.

- Świetnie. - Odłożył słuchawkę. - No i co tak siedzicie? - zwrócił się do córek ku ich ogromnemu zdziwieniu. - Chyba idziemy na plażę.

- Hura! - zawołała Lulu, zeskakując mu z kolan i pędząc po rzeczy na górę.

W garażu znalazł wszystko, co Jolene zapobiegliwie przygotowała: składane plażowe krzesła, patyczki do opiekania pianek cukrowych, podpałkę w płynie do grilla i turystyczną lodówkę. Zdążył spakować jedzenie, zanim Betsy z Lulu zeszły z piętra w opalaczach i z ręcznikami kąpielowymi pod pachą.

- Pomogłam Lulu się przebrać - oznajmiła z dumą Betsy.

Po śniadaniu Michael wziął lodówkę, dziewczynkom kazał zabrać łopatki oraz wiaderka i ruszyli na pla-

zę. Jezdnię, pustą o tej porze, przeszli, trzymając się za ręce, i rozlokowali się na swoim małym pomoście.

Spędzili na plaży cały dzień. Budowali zamki z piasku, szukali muszelek, brodzili w chłodnej, niebieskiej wodzie. W południe Michael ustawił na pomoście przenośnego grilla i już po chwili piekli parówki na węglu drzewnym.

Okolo pierwszej dołączyła do nich Mila. Betsy po raz pierwszy od wielu miesięcy nie pozowała na zbuntowaną nastolatkę i zachowywała się jak dziecko. A kiedy zapadł lawendowy zmierzch i na niebo wypłynął zamglony księżyc, ciekawie spoglądając, kto też buszuje o tej porze na plaży, owinięci kocami rozsiedli się kołem na ciasno zestawionych krzesłach.

- Tatusiu. - Lulu pociągnęła Michaela za wystające spod koca ramię. - Ja się boję szkoły. Kiedy jest następny tydzień? Czy mama będzie wtedy w domu?

Serce ścisnęło mu się ze wzruszenia.

-Wiem, że mama bardzo by chciała odprowadzać cię do szkoły, ale niestety, nie może. Ale ja to będę robił. Może być?

- Będziesz mnie trzymał za rękę?

- Naturalnie.

-Dlaczego muszę tam zostawać na cały dzień? Mama mówiła, że tylko do lunchu.

- To się zmieniło, skarbie. Jesteś zapisana do świetlicy. -Bo nie ma mamusi? - zapytała sennie, dotykając metalowych skrzydełek przypiętych do opalaczy.

- Tak.

- A jeżeli się będę bała?

- Zawsze pierwszy dzień jest straszny - powiedziała cicho Betsy. - Ale wszyscy cię tam polubią, Lulu. I masz fajną wychowawczynię, panią MacDonald. Uwielbiałam ją.

- Och! - Lulu westchnęła, raczej nieprzekonana. Michael się uśmiechnął.

- Opowiem ci, jak tam jest...

Kiedy opisywał młodszej córce zajęcia w zerówce, opowiadał o nauczycielach, o klasach i o tym, co się dzieje na przerwach, stał się jakby innym człowiekiem, z innego życia. Przez lata starał się naprawiać świat, harował jak wół, realizując swoje dążenia, a teraz on, po prostu ojciec, siedział na pomoście ze swoimi dziećmi, jak nigdy dotąd przekonany, że jego słowa nie są bez znaczenia.

To właśnie usiłowała mu tłumaczyć Jolene za każdym razem, gdy opuszczał ważne wydarzenia w życiu ich dzieci. „To nie jest bez znaczenia” - mówiła.

- No, dobrze, tato - ustąpiła w końcu Lulu. - Chyba dam radę, bo jestem dużą dziewczynką. Pod warunkiem że będziesz trzymał mnie za rękę. I zabiorę ze sobą różową wstążkę.

- Och Lulu, za żadne skarby nie przepuściłbym takiej okazji.

Znacznie później, gdy dziewczynki przysnęły w fotelikach, a fale z pluskiem obmywały kamienistą plażę i świeciły gwiazdy, Mila popatrzyła na niego z uznaniem.

- Jolene byłaby dzisiaj z ciebie dumna - powiedziała cicho.

Spojrzał na matkę ponad ciemną główką Lulu.

- Zawiodłem ją - wyznał.

Mila ze smutnym uśmiechem pokiwała głową, jakby od dawna to wiedziała.

Wrzesień okazał się szczególnie krwawym miesiącem. Nie było dnia, by któryś z helikopterów nie wrócił uszkodzony do bazy. Co chwila dochodziło do samo-

bójczych zamachów i często latali na *hero mission*. Jolene przestała chodzić na bazarek Haji Mart; nie mogła pozbyć się myśli, że ten miły chłopak, który sprzedaje tam kasety wideo, może któregoś dnia mieć bombę przymocowaną do piersi. W ostatnich dniach padały deszcze i cała baza zmieniła się w jedną błotnistą kałużę. Cementową posadzkę w kontenerze pokrywała warstwa brudu. Rdzawego, lepkiego błota w żaden sposób nie dawało się usunąć z protektorów butów.

Dziś wieczorem czarne, czyste niebo było usiane gwiazdami. Jolene uderzyła myśl, że zaledwie kilka miesięcy temu widok takiego nieba przywoływał wspomnienie rodziny śpiącej spokojnie pod tymi samymi gwiazdami. Obecnie takie refleksje jej nie nachodziły. Była zbyt zajęta i wyczerpana. Praktycznie nie opuszczała helikoptera. Transportowała żołnierzy do wyznaczonych miejsc i robotników do pracy, latała z irakijskimi wojskowymi oraz z cywilnymi i wojskowymi VIP-ami. Coraz częściej też wyznaczano ją do misji bojowych polegających na przetrzucaniu żołnierzy do zapalnych stref.

Szła teraz z Tami do centrum dowodzenia kompanii Charlie. Obie milczały, zbyt zmęczone, aby zdobyć się na dodatkowy wysiłek, jakim byłaby rozmowa. Dochodziła dziesiąta wieczorem i miały za sobą dwie akcje. Wczoraj było jeszcze gorzej.

Jolene weszła po zabłoconych drewnianych schodkach do kontenera. Na ścianach wisały przypinane kartki - grafiki, raporty, ulotki i kalendarze. To w tym miejscu wyznaczano trasę każdego lotu. Na wszystkich biurkach stały monitory. To tu przechowywano karabiny maszynowe, amunicję oraz wyposażenie pilotów.

Kiedy weszła w głąb kontenera, zgasło światło i wszystko zalały ciemności.

- Cholera! Znowu?! - zaklął ktoś.

Co prawda wiedziała, że lada moment włączy się generator, lecz za pięć minut musiała znaleźć się przy helikopterze.

- Melduje się chorąży Zarkades - rzuciła w ciemność. - Po plan misji dla Raptora osiem-dziewięć.

Szelest papierów, a potem skrzypienie podłogi ze sklejk pod stopami.

- Wsparcie z powietrza, dowódco. Wy i Raptor cztery dwa lecicie do Al-Anbar. Oddział marines wpadł w zasadzkę. Są pod ciężkim ostrzałem.

Uruchomił się generator i rozbłysło światło. Kapitan Will „Cowboy” Rossen stał przed nią z papierami w wyciągniętej ręce.

- Tak jest.

Odpowiedział skinieniem głowy.

- Powodzenia.

Obie z Tami weszły po swoje rzeczy do pakamery przy centrum. Jolene włożyła ciężką kamizelkę z kev-laru i chwyciła lotniczą torbę. Kiedy szły błotnistymi ścieżkami, znowu zaczęło padać. Spojrzała na niebo. Ciężkie, jasnoszare chmury zakrywały gwiazdy.

- Cholera. Psuje się widoczność - burknęła. Przyspieszyły kroku, buty zasysały błoto. Zrównał

się z nimi Jamie, lecz żadne z nich nie odezwało się słowem w drodze do helikoptera. Na końcu zjawił się Smitty, zapinając w biegu hełm.

- Teraz ty po lewej? - upewniła się Tami, kiedy maszyna po przeglądzie była gotowa do startu.

Jolene skinęła głową, wdrapała się na swoje miejsce i zapięła pas. Zamocowała na hełmie noktowizyjne gogle i nasunęła je na oczy.

Niecałe dwie minuty później byli już w powietrzu, wznosząc się tuż pod pułap chmur.

Do tej misji wyznaczono dwa helikoptery. Leciały razem w stałym kontakcie nad czarnym bezkresem pustyni, nad Bagdadem, do prowincji AI-Anbar tuż za Faludżą.

Kiedy od północy weszły w przestrzeń powietrzną Faludży, odezwała się pierwsza seria z karabinu maszynowego. Grzechot kul o kadłub świadczył o małym kalibrze.

- Raptor osiem-dziewięć, ostrzał na siódmej, dwieście metrów - zameldowała Jolene do mikrofonu.

- Raptor cztery-dwa, ostrzał na siódmej, odbijamy w lewo - przyszła natychmiastowa odpowiedź.

Przelatywali nad małą wioską. Strzelano do nich z karabinu maszynowego ustawionego na dachu.

Jolene uważnie obserwowała okolicę. W pewnej chwili dostrzegła w ciemnościach dziesiątki ruchomych, zielonkawo-białych punktów. Marines czy szukający ich rebelianci? Nachyliła się, żeby przekręcić przełącznik dwustabilny, i wtedy rozległ się huk eksplozji.

Pocisk z granatnika uderzył w kadłub z taką siłą, że rzuciło nią na boki, a prawa stopa wylądowała na tablicy rozdzielczej.

Kabinę wypełnił dym. Przedział transportowy stanął w ogniu. Czuła żar na plecach. Krzyknęła do załogi, lecz nikt nie odpowiedział. Ściskając kurczowo drążek, usiłowała utrzymać śmigłowiec w powietrzu. Niestety, spadali, lecieli prosto w dół z prędkością dwustu pięćdziesięciu kilometrów na godzinę.

Drugi silnik szalał, tablica rozdzielcza zgasła. Nic. Nawet odczytu temperatury silnika.

Jeszcze raz krzyknęła do załogi, żeby przygotować ją na uderzenie, a potem jeszcze usiłowała podać pozycję, lecz dławił ją gęsty dym. Zdażyła szepnąć: *Mayday* i runęli na ziemię.

* * *

Po długim dniu spędzonym na zbieraniu zeznań policjantów, którzy przesłuchiwali Keitha Kellera, Michael wrócił do domu wykończony. Na kolację zrobił dziewczynkom kurczaka z ryżem według przepisu Jolene, który znalazł w jej segregatorze. Kiedy obie już spały, przeszedł do dziennego pokoju i stojąc tam, kontemplował panującą w domu ciszę.

Ogarnęło go dziwne uczucie, tak niezwykle, że przez chwilę nie potrafił go zdefiniować. Samotność.

Przez długi czas burzył się w duchu, że przypadła mu rola matki. Opiekując się dziećmi, gotując i robiąc zakupy, czuł się pozbawiony męskości. Miał pretensje do Jolene, że zrzuciła mu na głowę obowiązki, na które nie miał ochoty i z którymi kiepsko sobie radził. Ale w ostatnich tygodniach to się zmieniło. On się zmienił. Odkrył w sobie cechy, których wcześniej nie dostrzegał. Uwielbiał czytać Lulu przed snem, słuchać jej zaskakujących pytań, patrzeć, jak wodzi paluszkami po obrazkach. Cieszyło go, że wieczorem razem z Betsy zasiadali przed telewizorem, a ona opowiadała mu, co się działo w szkole. Polubił wspólne zakupy, zajęcia domowe i grę w Candyland, przy której wszyscy troje świetnie się bawili.

Brakowało mu Jolene. Jak to możliwe, że wcześniej nie zastanawiał się nad tym, jak bez niej będzie wyglądać jego życie?

Była tak daleko; codziennie do nich strzelano, codziennie groziło im niebezpieczeństwo. Jaki to mogło mieć na nią wpływ? A co od niego dostała na drogę? „Już cię nie kocham”.

Wyłączył telewizor. Najnowsza kasetka od Jolene

tkwiła w odtwarzaczu; dziewczynki wszystkie nagrania oglądały na okrągło. Wcisnął guzik „Play”.

Jolene w mundurze uśmiechała się do kamery, wskazując różne miejsca w Baladzie: „O, tam kupujemy to smaczne ciasto...”.

Jego żona.

Kaseta się skończyła, na ekranie zastygł ostatni kadr. Jolene i Tami, obie w mundurach, stoją splecione ramionami. Jolene uśmiecha się radośnie, lecz on czyta prawdę w jej oczach. Jest przerażona i równie samotna jak on.

Smutek wypełnił mu serce. Tak bardzo chciałby z nią porozmawiać. Jednak nie miał możliwości do niej zadzwonić. Mógł jedynie napisać list.

Coś, czego dotąd nie zrobił. W ostatnich tygodniach kilkakrotnie próbował i zawsze w końcu kasował to, co napisał. Tak bardzo się wstydził swojego postępowania. Czy wystarczy wysłać list i już można udawać, że nic się nie stało?

Przeszedł do gabinetu, usiadł przy biurku i włączył komputer.

Jolene - wystukał, zamyślił się i wykasował początek. Moja Jo, Pamiętaj, kiedy po raz pierwszy tak Cię nazwałem ? Pływaliśmy wypożyczoną łódką w arboretum i przyglądaliśmy się kaczuszkom pluskającym się w trzcinach. Powiedziałaś: „Ciekawe, jak one odnajdą swoją mamę”, i wtedy zrozumiałem, jakie ślady pozostawiło po sobie Twoje dzieciństwo. Długo nie chciałaś o tym opowiadać, a kiedy wreszcie się otworzyłaś... to był znak dla mnie, że mnie kochasz. W tamtym czasie patrzyłem Ci w oczy i widziałem w nich swoje marzenia. Teraz zastanawiam się, kiedy ostatnio tak naprawdę przyjrzelśmy się sobie. Ale wracając do kaczek; odpowiedzia-

*łem: „One po prostu to wiedzą. Tak jak ja wiem, że jesteś moją Jo”.
„Chcę być twoja” - odparłaś.*

Kochałem Cię tak bardzo, że aż bolało. Czasami, gdy leżałem w łóżku, nachodziła mnie myśl, że tracę Ciebie w jakichś tragicznych okolicznościach. To chore, prawda? Ale tak było. Kochałem Cię tak bardzo, że byłem gotów oddać za Ciebie życie.

Czy Ty mnie tak samo kochałaś?

Wierzę, że tak.

Co więc takiego się stało? Kiedy z kochanków zmieniliśmy się w rodziców dwóch córek, a potem we współlokatorów? Kiedy zacząłem Cię obwiniać o własne błędy? Myślę, że przełomowym momentem była dla mnie śmierć ojca. Nikogo wcześniej nie straciłem - nie wiedziałem, co znaczy czuć się rozdartym, i nie potrafiłem się odnaleźć w nowej sytuacji. Chyba zacząłem obwiniać Ciebie o wszystko, co nie udało mi się w życiu.

Czy jest za późno, żeby to naprawić?

Mam nadzieję, że nie.

Wydawało mi się, że nasze życie biegnie utartym torem, lecz teraz widzę, jak bardzo się myliłem i jak bardzo Ciebie krzywdziłem. I czuję się z tym podle.

Jest mi przykro. Teraz to wiem. Przykro z powodu wielu moich zachowań. Myślę, że wojna zmienia nie tylko tych, którzy biorą w niej udział. My, którzy zostajemy na domowym froncie, też przeżywamy swoje.

Tęsknię za Tobą.

Zapatrzył się na mejla. Taki lakoniczny. Co znaczy moje „przykro mi” przy tym, co ona tam przeżywa?

Czy mu wybaczy? Jest tylko jeden sposób, żeby się tego dowiedzieć. Naprowadził kursor na „Wyślij”.

Jolene ocknęła się, dławiąc się i krztusząc. Oczy jej łzawiły", w ustach miała smak krwi. Jeszcze raz zawołała załogę, lecz nikt nie odpowiedział. Nieprzytomna Tami zwisała bezwładnie głową do przodu, trzymana w fotelu przez pas.

Jolene usiłowała go odpiąć. Przy trzeciej próbie zrozumiała, dlaczego nie daje rady. Jej prawe ramię było jedną krwawiącą raną. Mogła odrobinę poruszać dłonią, lecz palce się nie zginały. Przechylając się nad osmaloną i gorącą tablicą rozdzielczą, lewą ręką uruchomiła system blokujący.

-*Mayday* - wychrypiała, z trudem zbierając myśli. Radio nie działało. Ponownie zemdląca. Kiedy się ocknęła, podała swoje współrzędne w nadziei, że radio zaskoczyło. Potrzebowała lokalizatora CSEL. Gdzie może być? Skup się.

- Tami! - zawołała, bezskutecznie usiłując dosięgnąć przyjaciółki. Nie mogła się poruszyć. Spróbowała rozpiąć swój pas; coś było z nią nie tak. Ciało jej nie słuchało. I stopa, prawa stopa, coś się z nią stało.

Tap-tap-tap.

Strzelają do nich. Słyszała dochodzącą z oddali gardłową rozmowę mężczyzn i tupot nóg.

Muszę się stąd wydostać. Ustalić położenie...

Tap-tap-tap.

Ciągle do nas strzelają.

Chciała wyjąć broń z kabury, lecz prawa ręka pozostawała bezwładna. W końcu udało jej się oswobodzić z pasa i w potwornym bólu przeczołgać przez kokpit. Objęła Tami, wypięła ją z pasa i mocno szarpnęła. Przy-

jaciółka z zamglonymi oczami i otwartymi ustami osunęła się na bok. Gdy po zmaganiach z hełmem udało się w końcu go zdjąć, zobaczyła na jej głowie dużą krwawiącą ranę.

- Tami, trzymaj się...

Obejrzała się na kabinę. Z prawej strony kadłuba pozostały jedynie osmalone kawałki nadtopionego metalu. Parciane pasy i siatkę lizały płomienie. Smitty siedział przechylony na bok z czarną, jeszcze dymiącą dziurą w piersi. Patrzył przed siebie zmatowiałymi, nieruchomymi oczami. Nie żył. Jamie leżał zwinięty w kącie.

- Jamie! Jamie!

Musi ich wszystkich stąd wyciągnąć!

Usiłowała się przesunąć. Potworny ból w stopie wywołał mdłości. Zwymiotowała i spróbowała jeszcze raz. Lewą ręką wyciągnęła broń z kabury i podnosząc ją w trzęsącej się dłoni, wysiliła wzrok, chcąc zobaczyć, co się kryje za kłębam dymu.

- Tami, zabiorę cię stąd. Musimy podać położenie. Jamie, potrzebujemy lokalizatora. Jamie, ocknij się! Wynieś Smitty'ego. Pomóż mi.

Podciągnęła się na zdrowym ramieniu. Kanonada przybierała na sile. Szarpnęła Tami, zarzuciła bezwładną na plecy, mozolnie przeczołgała się przez kokpit i spadła z impetem na ziemię. Sparaliżował ją potworny ból w biodrze.

- Chorąży...

To głos Jamiego. A może ma omamy?

-Jamie - wychrypiała. Dyszała ciężko, przygwożdżona bezwładną Tami. - Tami, błagam, ocknij się...

Zabrzęczał alarm w zegarku. To nie może być prawda. Wiedziała, że nie. Nie usłyszałyby go w tym hałasie -wśród krzyków i huku wystrzałów.

-Wybacz, Tami - jęknęła, wlokąc przyjaciółkę po

piachu. Obraz rozmywał się przed oczami, krew pulsowała w skroniach.

Za jej plecami rozległ się huk. To eksplodował helikopter. Dźwignęła się resztką sił i nakryła sobą Tami. podmuch wybuchu odrzucił ją na bok... leżała w kurzu i oniemiała patrzyła na nocne niebo. Płonące kawałki metalu strzelały w ciemności jak race i opadały wokół niej.

Ponownie usłyszała alarm w zegarku... a może to coś innego? Jęk? Świst przelatującego obok pocisku? Okrzyk? Betsy Lulu Michael - zdążyła pomyśleć, zanim odpłynęła w nicość.

Michael stanął przy kuchennym oknie i zapatrzył się na zapadający zmierzch. Była połowa października, na dworze się ochłodziło i wiatr cesał korony rozłożystych cedrów rosnących wzdłuż krawędzi wysokich traw. Kończyły się spacery po plaży, nadciągała jesień z zimnymi dniami, porannymi przymrozkami i niekończącym się deszczem. Nie musiał sprawdzać, aby wiedzieć, że śliwy zaczęły gubić liście.

W lawendowym świetle biały płot wyznaczał granice ich posesji. „To nasz kawałek świata - powiedziała Jolene dawno temu, gdy pomagała mu przybijać sztachety. - Rodziny Zarkadesów. Ktokolwiek zobaczy ten płot, będzie wiedzieć, że to miejsce należy do nas”.

Zza zakrętu drogi wyłonił się samochód. W promieniach zachodzącego słońca przednie reflektory wyglądały jak dwa rozjarzone punkty. Michael prowadził wzrokiem zbliżający się kanciasty, oficjalnie wyglądający wóz. Za zakrętem samochód zwolnił... a potem, tocząc się, skręcił na ich podjazd i stanął. Michael kurczowo zacisnął palce na gładkim, chłodnym blacie z białych kafelków. Zawróć, odjedź... pomyliłeś adres...

Z wozu wysiadł mężczyzna w mundurze, trzasnął drzwiami i skierował się w stronę domu.

O Boże!

Michael zamknął oczy. Płytki oddech wywołał zawroty głowy.

W ciszę wdarł się przykry, zgrzytliwy dźwięk dzwonka.

Na drewnianych nogach podszedł do drzwi i otworzył-

- Nie żyje?

-Jestem kapitan Lomand...

- Jolene nie żyje?

-Żyje.

Michael uchwycił się futryny w obawie, że nogi odmówią mu posłuszeństwa.

- Przepraszam, że tak się zjawiam. Wiem, jak to musiało wyglądać, kiedy tutaj szedłem, ale nie chciałem, żeby zaskoczył pana telefon od obcych ludzi w tej... sytuacji. Mogę wejść?

Michael drętwo skinął głową i usunął się na bok. Przecież jesteś obcy - pomyślał. Mężczyzna przestąpił próg i skierował się prosto do dziennego pokoju, tak jakby zaglądał do nich już wcześniej, i zapewne tak było, lecz Michael nie miał pojęcia, kim on jest.

Kapitan przystanął przy kanapie i zdjął czapkę. Spojrzał na Michaela ze współczuciem.

- Blackhawk Jolene został zestrzelony przed paroma godzinami.

Michael powoli osunął się na ceglaną obudowę kominka. Rozżarzone polana znalazły się niebezpiecznie blisko jego pleców, lecz on tego nie czuł.

- W tej chwili transportują ją śmigłowcem do Landstuhl w Niemczech. To największy szpital wojskowy w Europie. Jest w dobrych rękach.

- W dobrych rękach - powtórzył Michael, starając się zmusić mózg do pracy. - Ale co z nią?

- Nie znam szczegółów, proszę pana.
- Czy Tami była z nią w tym helikopterze?
- Tak - potwierdził Lomand. - Jednak w tej chwili nie mam żadnych informacji o jej stanie. Poza tym, że żyje.

- Co mam robić? Jak mogę pomóc?
- Módl się, Michaelu. Na razie nic więcej nie możemy dla niej zrobić. Jak tylko poznamy szczegóły, skontaktuje się z tobą przedstawiciel Czerwonego Krzyża.

Michael opuścił wzrok na dłonie i zobaczył, że drżą. Miał głupie, idiotyczne wręcz wrażenie, że słyszy bicie swojego serca i oddech oraz potrzaskiwanie belki gdzieś w domu.

- Później zajrzą tu ludzie. Żeby pomóc - odezwał się Lomand.

Michael nie miał pojęcia, w czym niby ci obcy ludzie mogliby mu pomóc, ale się nie zapytał. Nagle słowa wydały mu się niebezpieczne; o zbyt wielu rzeczach nie chciał słyszeć ani myśleć. Wolałby, żeby ten człowiek już sobie poszedł.

- Muszę ją zobaczyć. - To jedno wiedział na pewno.

- Naturalnie.

Lomand stał jeszcze przez chwilę z twarzą ściągniętą bólem.

- Jest prawdziwym wojownikiem.

- Taak. - Michael nie mógł tego słuchać ani chwili dłużej. - Dziękuję... - Chciał zwrócić się do mężczyzny po nazwisku, ale wyleciało mu z głowy.

Wstał, wyszedł na korytarz i otworzył drzwi. Słyszał, że kapitan podąża za nim, słyszał odgłos ciężkich kroków na drewnianej podłodze. Milczeli obaj i dopiero w drzwiach Lomand powiedział:

- Wszyscy się za nią modlimy.

Michael pokiwał głową. Nie miał siły na rozmowę,

nie mógł nawet wykrztusić: „dziękuję”. Stał w otwartych drzwiach i patrzył, jak kapitan zmierza do samochodu. Szedł wyprostowany, z rękoma sztywno opuszczonymi wzdłuż boków i z przepisowo nałożoną czapką.

Michael stracił poczucie czasu. W jednej chwili stał tam, patrząc, jak oficer wsiada do samochodu, a w drugiej ocknął się, przeniknięty chłodem, sam w otwartych drzwiach, zapatrzony bezmyślnie na podwórze, które okrywał zmrok.

Wielokrotnie na sali sądowej słyszał, jak oskarżeni czy ofiary mówią: „Nie pamiętam, co robiłem... mam lukę w pamięci... totalną pustkę w głowie”.

Teraz rozumiał, co to znaczy, wiedział już, że umysł potrafi się wyłączyć, przestać funkcjonować.

Zamknął powoli drzwi i wrócił do ciepłej kuchni. Słyszał jedynie własny oddech, dudnienie serca i tamto dźwięczące uparcie w uszach słowo: „zestrzelony”.

Może ona umiera teraz... całkiem sama...

Przymknął powieki i przez moment wyobrażał sobie, że ją stracił. Pogrzeb, słowa, uczucia. Bolało, lecz nie potrafił odpędzić tej wizji. Chciał, żeby bolało; należało mu się. Jak przeżyć najgorsze, skoro nie był na to gotowy?

Nie wyobrażał sobie najgorszego, nie potrafił tego zdefiniować. Co to może być? Wyjawienie prawdy dzieciom, opiekowanie się nimi bez niej, wychowawcze zmagania i klęski. A może to... jak stoi przed grupką ich przyjaciół - on, wdowiec, który pozwolił żonie pojechać na wojnę na fali złych słów i złamanych przyrzeczeń. On, wracający do pustego domu i uczący się spać samotnie.

Tęsknota za nią.

Tak, najgorsza będzie tęsknota. Jak to możliwe, że nie przeszło mu do głowy przez myśl, kiedy tak idiotycznie wypalił: „Już cię nie Kocham”? Wtedy sądził, że najgorsze jest

to, kim się stali. Ona wydawała mu się taka mocna i miała zarazem - irytująca podpora jego egzystencji. Ta jej siła i niezależność działały mu na nerwy. Chciał, żeby to ona miała w nim wsparcie, chociaż wiedział, że nie można na nim polegać. Uważał, że przez nią czuje się nieszczęśliwy, chociaż to on zawodził w istotnych sprawach.

A teraz być może przyjdzie mu żyć bez niej. Obezwładniła go ta myśl. Podszedł chwiejnie do kuchennej szafki i podniósł telefon bezprzewodowy. Dopiero przy trzeciej próbie udało mu się wybrać numer do matki - drżące palce nie trafiały na właściwe przyciski. Kiedy usłyszał jej radosny głos, bo ucieszyła się, że dzwoni, nie mógł wydusić słowa przez ściśnięte z rozpaczy gardło.

- Cześć, Michaelu - powiedziała, lekko zasapana. -Dobrze, że zadzwoniłeś. Akurat rozpakowywałam kartony w sklepie. Czy spotykamy się tak...

- Jolene - powiedział, czując piekący ból w oczach.

- Michaelu? - zapytała powoli. - Co jest?

Pochylił się, opierając czołem o ścianę (z żółtą tapetą; kuchnia powinna być słoneczna, prawda, Michaelu? Przecież to serce domu). Nic nie widział przez łzy.

- Jo została zestrzelona. Żyje, jest w drodze do szpitala w Niemczech. Usłyszała, jak matka wstrzymuje oddech.

- O mój Boże. Co...

- Nic więcej nie wiem, mamo.

- Och, *kardia mou*, to straszne...

Ciche słowa pociechy zupełnie go rozkleiły. Wciągnął spazmatycznie oddech i się rozsłochał. Nigdy tak nie płakał, nawet po śmierci ojca. Miał przed oczami Jolene, pogodną i roześmianą. Widział, jak porywa dzieci w silne ramiona i kręci z nimi piruety, jak go przytula i śpi z nim w objęciach.

Płakał, dopóki starczyło mu łez, a potem pusty i wydrażony w środku wyprostował się powoli i otarł oczy. Matka ciągle mówiła, słyszał jej czuły głos, lecz nie wyławiał słów, nie miał ochoty. Nic nie było go w stanie pocieszyć.

-Daj mi trochę czasu, mamó. Parę godzin, żebym mógł przygotować dziewczynki - poprosił i rozłączył się.

Pochylił się nad zlewem, bo przez moment myślał, że zwymiotuje. Raz już tak było - kiedy dowiedział się o przerzutach u ojca. Przetykając ślinę, siłą woli starał się uciszyć łomot serca. Mogła zginąć. Srebrzysty otwór zlewu rozmył się przed oczami, piekące łzy ponownie popłynęły po policzkach i kapały na białą porcelanę.

Jak długo stał zgięty, płacząc nad zlewem?

Kiedy wreszcie wyrównał mu się oddech, wytarł twarz i wyprostował się. Powoli przeszedł przez dom, kierując się ku schodom. Pokonanie każdego stopnia było triumfem porównywalnym z jazdą rowerem po Górach Skalistych. Dotarł do pokoju Betsy spocony i zadyszany.

Przystanął przed drzwiami. Oddałby wszystko, żeby im tego nie mówić... Wszedł do środka, o ułamek sekundy za późno przypominając sobie, że powinien zapukać, że nastolatki domagają się prawa do prywatności.

Siedziały razem na łóżku i oglądały kasetę z bajką na dobranoc nagrąną przez Jolene.

Miał ochotę zatrzymać się na progu, odwrócić się i odejść. Kiedy usłyszą tę wiadomość, nie będą już tymi samymi dziećmi. Od tej chwili będą wiedzieć, że złe rzeczy się zdarzają, spadają na ludzi, kiedy ci niczego się nie spodziewają. Matki mogą zostać ranne... albo jeszcze gorzej.

Potknął się, przestępując próg.

- Tatusiu, chcesz popatrzeć, jak mama mi czyta? - spytała Lulu.
Przez chwilę stał na chwiejnych nogach, przytrzymując się framugi.
Potem rzucił się do przodu i wyłączył telewizor.

- Co jest? - Betsy się skrzywiła.

W ciszy, jaka nastąpiła po tym pytaniu, twarz dziewczynki zrobiła się blada.

- Mama?

- Mama jest w domu? - ucieszyła się Lulu. - Hura! Gdzie?

Nadzieja - pomyślał Michael. Muszę opanować własne lęki i dać im nadzieję.

A jeżeli okaże się fałszywa? Nie wiedział, w jakim stanie jest Jolene i czy w ogóle ma szansę przeżyć.

Zestrzelona.

Przełknął ślinę i potarł oczy, zanim zdążyły napłynąć łzy.

- Powiedz mi - zażądała ponuro Betsy.

Serce ścisnęło mu się z bólu, widząc, jak bardzo się ona boi, a jednocześnie usiłuje zachowywać się jak dorosła. Przesząpił stertę ubrań rzuconych na podłogę i usiadł na łóżku. Lulu niespodziewanie wpakowała mu się na kolana.

- Tatusiu, gdzie mama? - spytała, podskakując. Wyprostował się, wyciągając przed siebie nogi.

- Chodź, Betsy - poprosił cicho.

Przeszła na czworakach po łóżku, nie spuszczając z niego wzroku. Usta jej drżały, chociaż widział, że stara się opanować.

- Mama miała wypadek - powiedział, kiedy przygarnął do siebie obie córki. - Jest teraz w drodze do bardzo dobrego szpitala. I... - uratują ją. Te słowa nie chciały mu przejść przez usta.

Lulu wywinęła się z objęć, usiadła mu na kolanach i patrzyła na niego z napięciem.

- Mama się skaleczyła?

- Wyjdzie z tego? - spytała cicho Betsy.

Nigdy dotąd Michael nie czuł się tak beznadziejnie bezradny.

-Musimy wierzyć, że tak. Będziemy się za nią modlić.

Betsy wpatrywała się w niego szklanymi oczami. Łzy płynęły jej po policzkach, trzęsła się na całym ciele. Lulu się rozszłochała. Tulił je obie, walcząc z łzami.

Płakały tak bardzo długo. Wreszcie Lulu pierwsza się odsunęła. Wilgotne czarne loki oblepiały jej różowe policzki.

-Czy mama dostanie lody? Betsy, pamiętasz, że mama dała mi lody, kiedy spadłam ze schodów?

- Truskawkowe - potwierdziła starsza siostra.

- Z posypką - dodała Lulu.

Betsy wytarła oczy i pociągnęła nosem.

-A pamiętasz, Lulu, jak mama zwichnęła nogę na plaży? Kostka spuchła, zrobiła się sina i brzydka, a ona mówiła, że wcale nie boli. Tylko jeden dzień nie biegała.

- A jak pies ugryzł ją w sklepie? Poleciała krew, ale jej to nic a nic nie bolało. Pamiętasz? Bo jest żołnierzem, tak powiedziała. Żołnierze są silni, prawda, tatusiu?

Zdobył się jedynie na skinienie głową. Te wspomnienia je pocieszały, sprowadzały Jolene do domu, gdzie było jej miejsce, lecz jemu wyobraźnia podsuwała obraz spadających helikopterów, wybuchów, płonących szczątków maszyn na pustyni i śmiertelnych ran. Myślał

o listach, których nie wysłał, o rzeczach, których nie powiedział, i o tym, co powiedział - „Już cię nie kocham” -

I czuł się z tym fatalnie.

Ulgę przyniósł mu widok matki, gdy zjawiała się u nich dwie godziny później.

- Yia Yia, mama się skaleczyła - poinformowała ją Lulu, ponownie uderzając w płacz.

Mila natychmiast przejęła inicjatywę.

- Twoja mama jest bardzo dzielna, Lucy Louido, i zawsze o tym pamiętaj. Teraz potrzebuje naszych dobrych myśli. Dziewczynki, wskoczcie w piżamki, a ja wam poczytam. Co wy na to?

Michael uwolnił córki z objęć i podniósł się z łóżka. Na drżących nogach podszedł do matki.

- Och Michaelu! - Westchnęła ze łzami w oczach.

- Nie. - Pokręcił głową, usuwając się z wyciągniętych ramion. Nie chciał, żeby rozczułała się nad nim na oczach dzieci. W jej objęciach mógłby się rozkleić. Ominął ją i wyszedł do holu.

Zszedł na parter. Przez jakiś czas - nie miał pojęcia, jak długo - snuł się po domu, wodząc oczami po różnych przedmiotach. Po zdjęciu ślubnym w biblioteczkę, stoliku kawowym, który razem odnawiali, talerzu z napisem: „Jesteś wyjątkowy”, wiszącym na ścianie w kuchni.

Zadzwoił telefon. Rzucił się po słuchawkę.

- Michael Zarkades.

- Halo. Mówi Maxine Soli z Czerwonego Krzyża. Zacisnął palce na słuchawce, modląc się w duchu:

Boże, błagam, pozwól jej przeżyć.

- Co z moją żoną?

- Zeszłej nocy jej helikopter został zestrzelony w prowincji Al-Anbar. Akcję ratowniczą utrudniały ciężkie walki. Nie mogę podać szczegółów, nie mam też informacji na temat reszty załogi. Wiem natomiast na pewno, że pani Zarkades żyje, a jej stan jest stabilny. Została opatrzona w Baladzie i w tej chwili jest transportowana do szpitala w Landstuhl w Niemczech.

Spłynęła na niego tak ogromna ulga, że dosłownie osunął się na kolana na kuchenną podłogę.

- Dzięki Bogu - wyszeptał. Pracownica Czerwonego Krzyża mówiła jeszcze coś o szpitalu, lecz on ledwo jej słuchał.

Odłożył słuchawkę i wyszedł na dwór. Owionął go nocny chłód. Jo, wrócisz do domu... wszystko będzie dobrze...

Zatopiony w myślach, nie od razu dostrzegł mężczyznę na pomoście po drugiej stronie ulicy. W świetle odległej latarni widział jedynie zarys sylwetki, lecz wiedział, kto to jest.

Zamknął drzwi i ruszył podjazdem, słysząc chrzęst gresu pod stopami. W nocnym powietrzu unosił się lekko siarkowy zapach odpływu.

- Carl? - odezwał się, podchodząc bliżej. - Lomand był i u ciebie?

Mężczyzna skinął głową.

-Musiałem wyjść z domu. Seth jest... Cholerny świat, nie wiem, co mu powiedzieć. Jest z nim teraz matka Tami.

- Taa. Moja matka też jest przy dziewczynkach. Co z Tami?

- Pieprzona armia i Czerwony Krzyż guzik mi powiedzieli. Żyje. Stan krytyczny. To wszystko. A Jo?

- Żyje, stan stabilny. Więcej nie wiem. I nic o reszcie załogi.

-Znalazłem dziś w poczcie mejla od Tami. Musiała go wysłać przed akcją. Był taki... - zawiesił głos na moment. - Po tym wszystkim przeczytałem go jeszcze raz i pomyślałem, czy to przypadkiem nie są jej ostatnie słowa.

Michael milczał, nie wiedząc, co mu odpowiedzieć. Ale cisza też była nie do zniesienia.

- Jutro lecisz? - spytał po chwili.

- Taa. A ty?

- Też. - Michael, zapatrzony w czarną wodę, słuchał plusku fal uderzających o brzeg. Im dłużej tu stał, tym gorzej się czuł. Teraz połączył go z Carlem wspólny los, lecz to ich wcale do siebie nie zbliżyło. - Lepiej wróć do dziewczynek. Jutro się zobaczymy.

- Tak. - Carl z wahaniem odwrócił się do niego. -Dzięki, że tu zszedłeś.

Michael kiwnął głową i skierował się do domu, lecz kiedy znalazł się w środku, niemal żałował, że jednak nie został z Carlem. Gdziekolwiek spojrzał, widział Jo.

„Znalazłem mejla...”.

Wszedł do gabinetu, włączył komputer i otworzył skrzynkę. Zobaczył w poczcie wojskowy adres mejlowy Jolene z pogrubionych wielkich liter.

Kiedy to napisała? Wczoraj przed lotem?

Otworzył list.

Kochani,

Wielkie dzięki za paczkę, którą przysłaliście w tym tygodniu. Czuję się jak królowa bazy. Poważnie! Wszyscy chcieli skosztować tych pyszności, a bakława była niesamowita. Odgryzłam kawałeczek i natychmiast znalazłam się myślami przy Was. Niech Yia Yia Wam opowie, jak mnie uczyła ją robić. Założę się, że nie byłam najbystrzejszą uczennicą. Betsy okazała się o wiele lepsza ode mnie. ©

Wiecie, co jeszcze sprowadza tu myśli o domu? Pogoda, jest wrzesień i pada, nawet na pustyni. Baza zmieniła się iv jedną wielką kałużę. Lulu, byłabyś zachwycona. Chlup! Chlup!

Teraz wszystkie dni wyglądają mniej więcej tak samo. Dużo latam. Niedawno poleciliśmy w miejsce zwane Zieloną Strefą i dostaliśmy tam koktajle robione na zamówienie. Pycha!

Tu, daleko, moim domem stał się blackhawk. Mam tutaj tyle sprzętu, cały świat jest w zasięgu moich rąk. Za każdym razem, gdy spoglądam na GPS, myślę o Was, o domu i liczę dni do powrotu.

Wiem, jak bardzo za mną tęsknicie, i wierzcie mi, że ja tęsknię za Wami równie mocno. Jesteście moją pierwszą myślą po przebudzeniu i ostatnią przed snem.

Lulu, nie mogę się doczekać wiadomości o Twoim pierwszym dniu w szkole. Wiem, że ciągle troszkę się boisz, ale pomyśl, że wszystkie dzieci czują to samo. Masz już nowe koleżanki? Jaka jest Twoja pani? Musisz mi o wszystkim opowiedzieć.

Betsy, wiem, jak bardzo samotna czasem się czujesz. Nikomu nie jest łatwo w gimnazjum, a już szczególnie dziewczynce, która martwi się o mamę i ma problemy z koleżankami. Życie jest skomplikowane - szczególnie obecnie - i będzie Ci łatwiej, jeśli to zaakceptujesz. Śmiało rozmawiaj o swoich lękach z Sierrą. I z Sethem. A także z Tatą. Nigdy nie wiadomo, kto akurat powie Ci to, co chciałabyś usłyszeć. I pamiętaj, że przyjaciółka może pomóc przetrwać najgorsze chwile. Wiem, że tak jest, bo Tami codziennie podtrzymuje mnie na duchu.

Jedną rzecz widzę bardzo wyraźnie z tej odległości; to wielkie szczęście, że mamy siebie.

Kocham Was obie do księżyca i z powrotem. Mama

Odchylił się w fotelu. *Kocham Was... obie.*

Zasłużył na to, oczywiście, niemniej... zabolalo. Moze inaczej to by wygladalo, gdyby dotarl do niej jego list. Ale z drugiej strony slaba nadzieja, zeby jeden spozniony mejl naprawil krzywde, jaka jej wyrzadzil.

- Michaelu? - odezwala sie matka, wchodzacy do gabinetu.

Odwrócił się powoli. Fotel zaskrzypiał.

- Jest mejl od Jo. Dziewczynki na pewno zechcą go rano przeczytać.

- Chodź, porozmawiamy - poprosiła.

Poszedł za nią do dziennego pokoju. Usiadła na fotelu przy oknie, a on zapadł się w przepaścistą kanapę. Pomiędzy nimi stał zabytkowy stolik kawowy - pierwszy nietrafiony „konserwatorski” projekt Jolene - pomalowała go na jasny błękit. Walał się na nim ołówek, stały dwie fotografie w ramkach z drogerii, kiepsko wypalona gliniana miseczka ulepiona przez którąś z dziewczynek i leżało nieprzeczytane czasopismo. Gdyby Jolene tu była, zrobiłaby porządek.

- Musisz być podporą dla dziewczynek - odezwała się Mila. - Dla nich wszystkich.

-Krótco przed wyjazdem... - zaczął, wiedząc, że nie powinien tego mówić, bo matka będzie się za niego wstydzić, lecz nie potrafił się powstrzymać. - Przed wyjazdem powiedziałem jej, że nie chcę już z nią być.

- Z tym wyjechała? - Twarz Mili zwiotczała. -Tak.

- Oj Michaelu. - Westchnęła ciężko. - Trochę mnie dziwiło, że jej listy...

- Są do dziewczynek. Taak.

- Co mogę powiedzieć? Oczywiście postąpiłeś jak głupiec. Wszyscy jesteśmy głupcami, gdy w grę wchodzi miłość. Nie myśl sobie, że my z ojcem nie mieliśmy problemów. Raz nawet się wyprowadził - na pół roku. Byliśmy młodzi. Usprawiedliwiałam go. Czekałam. To długa historia, w tej chwili już bez znaczenia, poza jednym: on wrócił, a ja go przyjąłam. Udało nam się na nowo odnaleźć szczęście. I tak samo będzie z wami. -Podniosła się z fotela, obeszła stolik i usiadła przy synu.

Objęła go i przytuliła, kojąc tym gestem jego napięte nerwy, tak jak jedynie potrafi matka. - Zajmę się dziewczynkami. Ty musisz być teraz przy niej.

Siedzieli tak przez dłuższy czas. Kiedy matka zasnęła, wstał z kanapy, okrył ją jednym z pledów zrobionych przez nią na drutach i zaczął krążyć po ciemnym domu. Co jakiś czas zaglądał do dziewczynek, stawał na progu i sprawdzał, czy śpią, z niechęcią myśląc o tym, że obudzą się w nowej rzeczywistości. Nie chciało mu się spać. O piątej nad ranem zaparzył kawę, bo chociaż nie był senny, znużenie dawało o sobie znać i chodząc, zawadzał o sprzęty lub potraçał jakieś drobiazgi. Co jakiś czas uśmiechnięta twarz Jolene stawała mu przed oczami i wtedy jak ślepiec wpadał na taborety lub przewracał rodzinne zdjęcia.

Obudził go dzwonek do drzwi. Zerwał się na równe nogi. Teraz dopiero zdał sobie sprawę, że jednak przysnął na twardym kuchennym krześle. Półprzytomny otworzył drzwi.

Zobaczył trzech mężczyzn. Przedstawili się jako koledzy Jolene z Gwardii i zaoferowali wszelką możliwą pomoc. Dostrzegł samochód skręcający z drogi na podjazd Carla. Zapewne przywiózł kolejnych trzech żołnierzy gotowych nieść pomoc.

Michael najchętniej pozbyłby się intruzów, lecz nie wypadało mu tego zrobić i w końcu wprowadził ich do pokoju dziennego, gdzie stając rzędem pod ścianą, zapewnili go, że zajmą się wszystkim, co tylko potrzeba - mogą wozić dzieci do szkoły, robić zakupy, kosić trawnik.

- Mamo - powiedział cicho, pochylając się nad Milą.
- Taak? - Popatrzyła na niego nieprzytomnie.
- Przyszło kilku...

Dzwonek do drzwi nie pozwolił mu dokończyć.

Tym razem na werandzie zobaczył cztery kobiety; każda z nich trzymała nakryte folią żaroodporne naczynie i torbę z zakupami. Przywitały go smutnym, współczującym uśmiechem i uściskały, po czym zaczęły rozkładać w kuchni przyniesione wiktuały. Po chwili dom wypełnił zapach podsmażanego bekonu. Panie szykowały śniadanie dla dzieci.

Przed dziewiątą dziewczynki zeszły na parter cichego, pełnego ludzi domu. Lulu na widok obcych natychmiast wdrapała się babci na kolana. Betsy ze słuchawkami na uszach, iPodem i grą elektroniczną ulokowała się w kącie.

Michael szedł z nią porozmawiać, lecz zawrócił go kolejny dzwonek do drzwi.

Niechętnie myśląc o wizycie kolejnej grupy pomocników, poszedł otworzyć.

Przytępione zmysły potrzebowały chwili na rejestrację tego, co zobaczył. Na werandzie stała jakby znajoma skądś kobieta z postrzępioną fryzurą i grubą warstwą makijażu. Trzymała mikrofon.

- Dianna Vigan z KOMO TV. Pan Michael Zarkades?

Skinął obojętnie głową. Zauważył ludzi układających bukiety wzdłuż płotu. Ktoś na słupku od skrzynki do listów zawiązał żółtą kokardę.

- Pana żona poleciała na teren walk z przyjaciółką, drugim pilotem, chorążym Tamarą Flynn? Podobno jako nastolatki poznały się w szkole lotniczej. Musi być pan dumny z żony. Jak...

- Bez komentarza. - Zatrzasnął drzwi i wycofał się w głąb domu. Wzburzony, dopiero po jakiejś minucie zauważył ciszę panującą w pokoju. Gwardziści, kobiety i rodzina wpatrywali się w niego. To jasne, że w ja-

kimś sensie ich wszystkich zawiódł. Co chcieli, żeby powiedział? Że jest dumny z Jolene? Dumny, że ją zestrzelono?

Jakim prawem mogli tego oczekiwać? Jak to słowo miało przejść mu przez usta teraz, gdy jego świat walił się w gruzy?

To był jeden z tych mglistych dni w Seattle, kiedy zamiast nieba widać jedynie grubą warstwę szarości. Gdzieś w oddali zahuczała syrena promu. To był tylko szmer podobny do plusku wody, przez który przedarło się skrzeczenie mewy.

Betsy uwielbia karmić mewy. Ile razy przeszywane podmuchami lodowatego wiatru stały razem na pokładzie i rzucały jedzenie tym ptakom z oczami jak koraliki, które tak swobodnie kołysały się na wodzie?

Zatrąbił samochód.

Zagubiona, próbowała się skupić.

Dźwięk klaksonu zmienił się w natarczywe pikanie.

Nagle pojęła, że ma zamknięte oczy. Suchość w ustach utrudniała przetykanie. Nie. Chyba coś w nich tkwiło.

Budziła się powoli, z trudem unosząc powieki.

Nad sobą zamiast nieba miała biały sufit z rzędami jaskrawych świateł. Zmrużyła oczy. Otaczały ją jakieś aparaty z monitorami, podobne do klaskających i pikających żałobników o bladych obliczach.

To coś w ustach to rurka. Kolejna biegła od piersi do urządzenia po jej prawej stronie.

Głośny ssący odgłos rytmicznie opadał i się wznosił.
Usłyszała kroki, a potem szczęknięcie otwieranych i zamykanych drzwi.

Musi się skupić. Gdzie jest? Co się stało?

Wyrósł przy niej wysoki mężczyzna w białym fartuchu. W różowych rękawiczkach i maseczce na twarzy osłaniającej nos i usta. Odciągnął zasłony wyznaczające półkole prywatności.

Łóżko. Tak. To łóżko. Leży na łóżku.

- Obudziła się pani - odezwał się mężczyzna. Chciała odpowiedzieć, lecz rurka dławiała ją w gardle. Ból. Potworny ból. Nagle go poczuła. Czy był cały

czas? Monitor przy łóżku zaczął szybciej pikać.

- Proszę się uspokoić - powiedział nieznajomy przez maskę. - Miała pani potworny wypadek. Czy coś pani pamięta? Wasz helikopter został zestrzelony.

Do świadomości przedarło się słowo „wypadek”. Sylaby zdawały się rozciągać.

Dym. Płonące kawałki metalu. Tami.

Gwałtowny przypływ adrenaliny jeszcze spotęgował ból. Skąd promieniował? Nie potrafiła go umiejscowić.

Chciała zapytać o Tami, o całą załogę, lecz ciało pozostawało bezwolne. Wpatrywała się w nieznajomego błagalnym wzrokiem.

Wyobraziła sobie, że wyciąga rękę, łapie go za ramię i żąda informacji o swojej załodze, lecz nie była w stanie się poruszyć. Pomyślała o Tami, teraz pamiętała, jak trzymając ją, zapewniała, że wszystko będzie dobrze.

Krew na jej twarzy... wszędzie krew.

Mężczyzna manipulował przez chwilę przy woreczku wiszącym nad jej głową i mgła powróciła, otaczając ją i rozmywając wizję, aż znalazła się daleko od tego miejsca. Siedziała na własnej werandzie ze stopami wspartymi na barierce i słuchała radosnych popiskiwań

Lulu biegającej na podwórku oraz kojącego szumu fal w oddali.
Zbudził ją ból.

Otworzyła oczy i rozpaczliwie walczyła o łyk powietrza. Rurki nie było w ustach. Jak długo tutaj leży, tracąc i odzyskując świadomość?

Nie miała poczucia czasu. Budziła się oszołomiona i nie do końca obecna. Kilkakrotnie pielęgniarki zjawiały się przy jej łóżku, lecz na jej pytania odpowiadały jedynie współczującym spojrzeniem i obietnicą, że przyprowadzą kapitana. Jeśli nawet tu zajrzał, ona pewnie spała.

Teraz znowu się ocknęła. Łóżko miało nieco podniesiony zagłówek, niektóre z aparatów zniknęły. Światła nad nią razily w oczy. W niewielkim oknie po prawej stronie dostrzegła krople deszczu. Przez ułamek sekundy wydawało jej się, że jest w domu...

Wodziła oczami po pokoju - metalowe krzesła ustawione pod oknem, telewizor w rogu, wysoko pod sufitem, i bladoszare ściany. Powoli spojrzała w dół. Prawa ręka od łokcia po nadgarstek była w gipsie. Ale nie na niej skupiła uwagę.

Prawa noga oparta na wałku ze śnieżnobiałej pościeli, lekko zgięta w kolanie, ledwo przypominała nogę. Aż po udo była spuchniętą, purpurową, ropiejącą masą, którą w całości utrzymywały cztery spore śruby. Na białym tle wyglądała jak przegotowana parówka. Wąż łączył ją z jakimś aparatem, który wysysał płyn z rany, zbierając go w plastikowym worku. Na wysokości kostki sterczały odłamki odsłoniętej kości. I ten okropny zapach - spalenizny i gnijącego mięsa.

Ten widok przyprawił ją o mdłości. Zakryła dłonią usta, żółć zapiekła w gardle.

- O Boże...- wyszeptała.

Skrzypnęły drzwi i do środka wszedł mężczyzna w białym kitlu.

- Nie śpi pani - powiedział, nasuwając na twarz maseczkę.

Stanął nad łóżkiem.

- Jestem kapitan Sands. -Co z załogą?

- Proszę zachować spokój, pani chorąży.

Próbowała się unieść, lecz górna połowa ciała pozostała bezwolna. Ten minimalny wysiłek pozbawił ją oddechu. Na twarz wystąpiły kropelki potu.

- Moja załoga... i Tami - powiedziała cicho, patrząc na kapitana. - Chorąży Flynn?

- Jest piętro wyżej.

- Żyje - wyszeptała Jolene, opadając na poduszkę. -Dzięki Bogu. Mogę z nią porozmawiać?

- Nie w tej chwili. Ma poważne obrażenia głowy. Jest cały czas monitorowana.

-Hix?

-Sierżant Hix też tu jest. Miał kilka odłamków w udzie, ale rany ładnie się goją. Drugi strzelec Owen Smith nie przeżył. Bardzo mi przykro.

- Boże. - Smitty. Przypomniał jej się jego radosny uśmiech... i ziejąca rana na piersi. „Szefowo, trzymam dla ciebie miejsce. Chciałem porozmawiać z mamą”.

- Pani chorąży, możemy teraz pomówić o pani? - zapytał łagodnie lekarz.

Spojrzała na niego przez łyżę, z niechęcią odnotowując współczucie w jego oczach.

- Umieram. To chce mi pan powiedzieć?

-Jolene, nie ukrywam, odniosłaś poważne obrażenia. W przypadku ran powybuchowych takich jak twoje największe zagrożenie stanowi infekcja. Dostają się do

nich odłamki szkła, metalu i wszelkie zanieczyszczenia. Boimy się o nogę. Istnieje niebezpieczeństwo zgorzeli. Codziennie oczyszczamy ranę. Straciłaś też dużo krwi. Może dojść do uszkodzenia wątroby i dysfunkcji nerek. Na dziś jesteś *wyznaczona do* operacji prawej ręki. Odłamek uszkodził nerw w nadgarstku. Mamy nadzieję, że uda nam się częściowo usprawnić dłoń. Usprawnić częściowo.

-Twarz powinna dobrze się goić, ale też uważnie śledzimy postęp. To także są rany powybuchowe.

Przemogła chęć dotknięcia policzków. Moja twarz.

Przymknęła powieki, żeby nie widział, jak bardzo jest przerażona. Z ciemności strachu wyłoniły się jej dzieci. Stojąc razem, zapłakane, błagały, by wróciła do domu.

- Proszę - wyszeptała, zła na siebie za drżący głos. Na litość boską, przecież była żołnierzem, a brakowało jej odwagi, żeby spojrzeć temu człowiekowi w oczy. -Nie mogę umrzeć. Kapitanie, ja mam dzieci. Proszę.

Pogładził ją po lewej dłoni. Poczowała dotyk lateksu na skórze. Odczłowieczony kontakt, ale co za różnica? Co jej przyjdzie z dotyku obcego człowieka, kiedy jej życie wisi na włosku?

Teraz potrzebowała Michaela. On się nią zajmie.

Michaela, który już raz ją uratował. Gdzieś z tyłu głowy pojawiła się myśl, że miała z nim jakieś problemy, że coś poszło nie tak, lecz morfina ją wyciszyła i znowu była z mężem; szła plażą, trzymając się za rękę z ukochanym człowiekiem...

W wiadomościach o drugiej stacja CNN doniosła na cały świat o zestrzeleniu helikoptera Jolene. W tym czasie Michael i Carl wsiadali już do samolotu lecącego do Niemiec.

Wylądowali we Frankfurcie w zimną, pochmurną noc. Pasy startowe i szeregi betonowych budynków zasnuwała mżawka.

Kiedy wreszcie przeszli przez odprawę i odebrali bagaże, Michael rozejrzał się po sali przylotów.

- Podobno ktoś miał nas odebrać - powiedział do Carla.

Chwilę później podszedł do nich młody człowiek w mundurze.

- Pan Zarkades? Pan Flynn?

- Tak - odezwał się Carl. - Flynn to ja.

Żołnierz wręczył Michaelowi foliowy woreczek. W środku była obrączka, identyfikatory i stary zegarek Jolene ze zmiażdżonym szkiełkiem. Wpatrywał się w zawartość. Przez dwanaście lat ani razu nie widział Jolene bez obrączki. To się dzieje naprawdę - pomyślał. Jedzie zobaczyć się z żoną, która została ranna na wojnie.

- Dziękuję - powiedział ochrypłym głosem.

Żołnierz przeprowadził ich przez lotnisko do czekającego samochodu. Po krótkiej jeździe zatrzymali się przed Regionalnym Centrum Medycznym Landstuhl.

Strugi deszczu przesłaniały wejście. W jaskrawo oświetlonym holu natychmiast trafili w oko cyklonu wojskowego protokołu. Lekarze, pielęgniarki, kapelani i oficerowie łącznikowi wyszli im na powitanie. Wszyscy stali sztywno wyprostowani, z poważnymi minami. I wszyscy w różowych lateksowych rękawiczkach. Michael kilkakrotnie prosił, żeby zaprowadzono go do żony, lecz za każdym razem pojawiał się jakiś powód do zwłoki.

Zdenerwowany zaczął krążyć po holu.

- Cholerne wojsko - mrucał pod nosem, chodząc tam i z powrotem po pełnym ludzi korytarzu. Kiedy neurochirurg przyszedł po Carla, miał tego dość.

Energicznie zawrócił do dyżurki.

- Jestem Michael Zarkades. Pół świata przeleciałem, żeby zobaczyć się z żoną Jolene Zarkades. Jest chorążym, o ile to ma jakieś znaczenie. Mam dość czekania. Proszę mi po prostu powiedzieć, w której sali leży.

Pielęgniarka podniosła wzrok znad kartoteki.

- Kapitan Sands prosił, aby pan zaczekał. Chce najpierw z panem porozmawiać. Przykro mi...

Zamieszanie za plecami kazało mu się odwrócić. Zobaczył żołnierzy wwożonych na wózkach. W holu zaroilo się od lekarzy i pielęgniarek. Zjawił się ksiądz. Wziął jednego z leżących żołnierzy za rękę i uczynił nad nim znak krzyża.

Michael przechylił się nad kontuarem, sprawdził w kartotece numer sali Jolene i ruszył w kierunku wind.

- *Mayday!* - krzyknęła Jolene, budząc się z koszmaru. Chciała się dźwignąć, lecz ból w prawej stronie ciała przygwoździł ją do łóżka. Dysząc ciężko, opuściła głowę na poduszkę.

Pierwszą rzeczą, na którą natrafiał jej wzrok za każdym razem, gdy otwierała oczy, była zmasakrowana noga. Szum pracującego ssaka zagłuszał wszelkie inne odgłosy, nawet bicie serca. Paraliżował ją potworny ból.

Ale mimo bólu nie opuszczały jej myśli o Tami. O Tami, Smittym i Jamiem.

Całe życie była optymistką, czasem nawet wbrew sobie. Teraz nadzieja ją opuściła. A jeśli Tami nie przeżyje?

I co, na miłość boską, ma powiedzieć matce Smitty'ego? Pokazywał mi pani zdjęcie przynajmniej z dziesięć razy... to, na którym gracie w tenisa...

To jej wina. Jak będzie z tym żyć? Czy w ogóle chce?

Sięgnęła do regulacji na wężyku kroplówki z morfiną. Może uda jej się przespać ten horror.

I wtedy w szczelinie pomiędzy zasłonami wokół łóżka go zobaczyła. Michaela.

Michael przegrał spór z pielęgniarką,

- Powinien pan poczekać na doktora Sandsa. I absolutnie nie wejdzie pan tam bez maseczki i rękawiczek -oznajmiła stanowczo.

- Niech będzie.

Chwycił maseczkę oraz rękawice i odszedł. Naciągając je na dłonie, przystanął na moment przed salą żony, głęboko odetchnął i wszedł do środka.

Nagle opuściła go odwaga. Może jednak należało wysłuchać, co ma do powiedzenia lekarz, i nie wchodzić bez uprzedzenia...

Łóżko stało za zasłoną; nie widział jej.

-Jolene?

Zamknął za sobą drzwi. Od razu uderzył go zapach. Gnilny odór wiszący w powietrzu. Zemdliło go, żółć zapiekła w gardle.

Nerwowo oblizał usta, podszedł bliżej i odciągnął zasłonę.

Ledwo ją poznał. Prawą połowę twarzy pokrywały rany, lewa była sina i spuchnięta. Szwy ściągały głębokie rozcięcie na podbródku. Matowe, przerzedzone włosy leżały rozsypane na poduszce.

Najbardziej jednak przeraziła go noga, jeżeli w ogóle można to było nazwać nogą. Poczerniała, z łuszczącą się skórą, przygięta, połamana, spuchnięta jak bania i spojona sporymi śrubami na wysokości kolana oraz kostki.

Biaława kość sterczała z sino-czarnej tkanki. I ten zaduch...

Przez potworną, ponizającą sekundę walczył z torsjami.

Oddychał płytko przez zakryte maseczką usta, lecz nadal otaczał go ten odór. Wiedział, że musi być silny, myśleć o niej, ale czuł się tak, jakby tonął. Nie mógł złapać powietrza, kręciło mu się w głowie.

- Jo - wychrypiał cicho, szybko oddychając. - Tak mi strasznie przykro. - Wreszcie zebrał się na odwagę, aby na nią spojrzeć. Wiedział, że ona widzi w jego oczach przerażenie i litość, lecz nic nie mógł na to poradzić. Nie powinien tu wchodzić nieprzygotowany. Potrzebowała, aby był silny i zdecydowany, tymczasem okazał słabość. - Nie rozmawiałem jeszcze z lekarzem... nie wiedziałem... powinienem zaczekać... - Chciał dotknąć jej ręki, ale cofnął dłoń na widok obrażeń. - Nie chcę sprawić ci bólu.

- Za późno na to - wyszeptała przez łzy.

- Jolene...

Odwróciła od niego zmasakrowaną, opuchniętą twarz.

- Tami się myliła - powiedziała cicho bardziej do siebie niż do niego.

- Co? Co, Tami?

- Michaelu, dla nas jest już za późno. Miałeś rację. Głos jej się załamał, a on poczuł się jeszcze podlej.

Wyciągnęła rękę, zwolniła zaworek kroplówki z morfiną i momentalnie zapadła w sen.

Zawiódł ją, kolejny raz. Spanikował na widok nogi, po prostu spanikował. Dlaczego nikt go nie uprzedził? Gdyby wiedział, może lepiej ukryłby szok.

Może. Szczerze mówiąc, wątpił. Jej obrażenia go przerosły. Jak niby mógł jej pomóc?

- Pan Zarkades?

Odwrócił się. Do sali wszedł wysoki, siwowłosy mężczyzna w białym fartuchu. Szare oczy patrzyły z powagą ponad chirurgiczną maseczką.

- Przepraszam za zwłokę. Tu co chwila coś się dzieje. Jestem kapitan Sands. Jim. Chciałem z panem porozmawiać, zanim ją pan zobaczy.

Michaela ogarnął wstyd, a potem gniew - na siebie, na wojsko, na tego człowieka, który nie zjawił się w porę, na Boga.

- Szkoda.

- Proszę ze mną - powiedział Sands, wyprowadzając Michaela na korytarz z krzątającym się personelem. Pielęgniarki cały czas kursowały pomiędzy salami.

- Jak pan widzi - zaczął Sands, gdy zamknął za sobą drzwi sali Jolene - stan pańskiej żony jest bardzo poważny. Mamy mnóstwo problemów, lecz najgorsza jest

infekcja. Rany powybuchowe, takie jak u niej, są szczególnie niebezpieczne. Nie wyobraża pan sobie, co potrafi się do nich dostać. Bakterie dosłownie szaleją. Codziennie oczyszczamy nogę, wozimy żonę do gabinetu zabiegowego i usuwamy tkankę martwiczą, lecz uczciwie mówiąc, rokowania są słabe.

- Co to znaczy?

- Zachodzi prawdopodobieństwo amputacji nogi. Jeszcze nie wiemy, co będzie z prawą ręką, czy odzyska w niej władzę.

- Jak mogę jej pomóc?

-Robimy, co możemy. Rany na twarzy szybko się zagoją.

Michael podziękował lekarzowi i wrócił do Jolene. Licząc, że się obudzi, siedział przy niej przez kilka godzin, dręczony potrzebą przeprosin za tamtą reakcję. Pragnął się zrehabilitować. Przecież zmienił się pod jej nieobecność, dojrzał, a kiedy pojawiła się okazja, żeby to udowodnić, zawiódł. Kompletnie zawiódł.

W końcu, wykończony, opuścił salę. Chciał wyjść ze szpitala. Jednak w drodze do wind pomyślał o Carlu i Tami. Zapytał pielęgniarkę o OIOM i wjechał windą piętro wyżej.

Przez szybę zobaczył Carla przy łóżku żony. Stał z pochyloną głową, a po policzkach spływały mu łzy. Chciał się wycofać, lecz Carl podniósł głowę i gdy go zauważył, wyprostował się, otarł oczy, podszedł i uchylił drzwi.

- Co z nią? - spytał Michael.

- Traumatyczny uraz mózgu. - Wzruszył ramionami. - To znaczy, że może odzyskać przytomność albo nie. Może z tego wyjść albo nie. Wycięli jej fragment czaszki, bo ma obrzęk mózgu. Jak Jo?

Michaelowi zakręciły się łzy w oczach. Nawet nie starał się ich obetrzeć.

- Może stracić nogę, a prawa ręka jest niesprawna. Patrzyli na siebie. Wspólne nieszczęście powinno ich

zbliżyć, a jednak tak się nie stało. Michael nie miał ochoty dłużej stać z tym człowiekiem, którego ledwie znał, i dzielić się z nim swoimi lękami.

- Idę do Landstuhl House - powiedział.

Dom ufundował amerykański filantrop z myślą o rodzinach rannych żołnierzy.

- Ja będę spał tutaj. Załatwiłem dostawkę.

On też powinien o tym pomyśleć. Wymamrotał do Carla coś o spotkaniu się jutro i wyszedł ze szpitala. Niecałe pół godziny później rozpakował się w małym, schludnym pokoju z łazienką i z podwójnym łóżkiem w Landstuhl House.

Usiadł na niewygodnym łóżku i patrząc na jakiś niewidoczny punkt na ścianie, rozpamiętywał, co się zdarzyło w ciągu dnia. Zastanawiał się, jak ma się zrehabilitować po dzisiejszym zachowaniu. Jak przekonać Jolene, że się zmienił, skoro postąpił dokładnie tak, jak zapewne się po nim spodziewała?

O umówionej porze zadzwonił do domu. Telefon odebrała Betsy.

-Co z mamą? - przerwała mu w połowie jego: „Halo”.

Ile jej powiedzieć? Cała prawda zapewne sprowadziłaby na nią koszmarnie sny, lecz z drugiej strony czy nie powinna być przygotowana na najgorsze? Możliwe, że lepiej by sobie z tym poradził, gdyby został odpowiednio poinstruowany.

- Mówi, że czuje się już trochę lepiej i nie może się doczekać, żeby z wami porozmawiać - powiedział, opierając się o chwiejny zagłówek taniego łóżka.

- Ale co jej jest?

Zawahał się. Musiał powiedzieć coś więcej, coś, co

wyciszy lęki córki i da jej nadzieję. Zastanawiał się, czy wybrać prawdę, czy kłamstwo, i zdecydował się na półprawdę.

- Prawa ręka i noga są... uszkodzone. Ale lekarze pracują nad ich usprawnieniem.

- Dobrze, że mama jest leworęczna - zauważyła Betsy.

- Taak - odparł ochryple.

- Tato? Co przede mną ukrywasz? Odchrząknął.

- Niczego nie ukrywam, Betsy. Po prostu jeszcze nie wszystko wiadomo. Ciągłe robią jej różne badania. Jestem pewien, że wkrótce...

- Masz mnie za dziecko? Lulu! - zawołała. - Tata dzwoni. Chce ci powiedzieć, że mama została zestrzelona, ale nic jej się nie stało.

-Betsy...

- Tatuś? - zapiszczała radośnie Lulu. - Mama lepiej się czuje, tak? Dali jej lody?

Z westchnieniem przeczesał włosy palcami. Rozmawiał z Lulu kilka minut, lecz szczerze mówiąc, nie miał pojęcia, co każde z nich mówiło. Potem słuchawkę przejęła Mila.

- Michaelu, jak ona?

- Zawiodłem ją, mamó - przyznał się cicho, bardziej przed sobą niż przed nią. Wiedział, że to błąd, że nie powinien mówić tego matce, lecz pilnie potrzebował jej rady, a dobre rady wymagają rzetelnych informacji.

- Michaelu, ona ci powie, czego potrzebuje. Musisz tylko uważnie słuchać.

Rozmawiali jeszcze przez chwilę. Kiedy się rozłączyli, przymknął powieki, przekonany, że czeka go bezsenna noc, lecz zanim się obejrzał, słońce zalało pokój, a on ocknął się, szeroko otwierając oczy.

Zegarek na nocnym stoliku wskazywał siódmą piętnaście.

Wstał zeszywniały i znużony. Kiedy wziął prysznic i przebrał się w świeże rzeczy, poczuł się trochę lepiej. Przynajmniej do chwili, kiedy znalazł się przy łóżku Jolene, bo tam powróciły strach, poczucie winy i gniew. Bał się, że żona straci prawą nogę, nie odzyska władzy w ręce i wtedy stanie się kimś innym. Nie wyobrażał sobie, co czuje ktoś tak okaleczony, ktoś, kto tak wiele stracił. Jak taki ktoś może na powrót stać się osobą, jaką był kiedyś?

Dręczyło go poczucie winy, że martwi się o nogę, gdy jej życie wisi na włosku, a jednocześnie brała go złość, że naraziła się na ryzyko, a teraz jest ranna i wszystko w ich życiu się zmieni.

Nienawidził się za własną słabość, czuł się złapany w pułapkę swoich najgorszych cech. Walczyło w nim dwóch ludzi: ten, jakim chciał być - przyzwoity - pragnął jedynie, aby ona przeżyła, nieważne, w jakim stanie; a drugi nie wyobrażał sobie, że będzie umiał patrzeć na nią tak jak dawniej, jeżeli amputują jej nogę i nie usprawnią ręki.

Podszedł bliżej, uważając, aby nie zahaczyć o któryś z podłączonych wężyków.

Jej twarz płonęła; skóra pod żółto-fioletowymi sińcami miała czerwony odcień. Pociła się i płytko oddychała. Strąki brudnych, tłustych włosów okalały zmasakrowane policzki. Spękane, łuszczące się wargi były pozbawione koloru. Zaczął żałować, że nie ma przy sobie pomadki wazelinowej do ust. Tego dnia zapach był jeszcze gorszy; tak cuchnie pełny śmietnik w upalny dzień.

Spojrzał na koc. Odsłonięta prawa noga nadal spuchnięta i zdeformowana. Stopa ułożona w nienaturalnej

pozycji. Ssak syczał i gulgotał, ściągając z rany mętny, żółtawy płyn. Poznał po przyspieszonym oddechu, że się budzi.

-Mi...chael - odezwała się, przetaczając głowę po poduszce. - jesteś...
To dobrze.

- Byłem tu już, pamiętasz? Ściągnęła brwi, zwilżyła usta językiem.
-Byłeś?

-Jo...

Tyle chciał jej powiedzieć, lecz od czego zacząć? I bez tego wszystkiego niełatwo przyjdzie naprawić krzywdy, jakie jej wyrządził. Odgarnął jej kosmyk włosów z twarzy i dotknął czoła.

Było gorące.

- Poczekaj - powiedziała, przeciągając słowa. - Ty mniee kochaasz...

Michael nacisnął guzik przywołujący pielęgniarkę.

- Żona gorączkuje - poinformował ją, kiedy przyszła.

Pielęgniarka odsunęła go energicznie. Niemal się zatoczył. W sali zaroilo się od personelu. Mierzono Jolene temperaturę, ściągano z niej prześcieradła. Pielęgniarka zdjęła gazowy opatrunek z nogi. Potworny zapach wypełnił mu nozdrza. Omal nie zwymiotował.

- Wieźcie na salę operacyjną! Natychmiast! - zarządził doktor Sands.
Kiedy się tu zjawiał?

- Chwilę - rzucił Michael, przedzierając się do przodu i pochylając nad łóżkiem. - Kocham cię, Jolene... Uwierz.

Za późno. Straciła przytomność. Stał nad pustym łóżkiem, kiedy ją wywozili.

* * *

Czołga się przez gęste, lepkie błoto, wlokąc przyjaciółkę. Trzymaj się, Tami... nie umieraj... wydostanę nas stąd. Ale dokąd, gdzie zabiera Tami?

Gdzieś blisko wybucha bomba. Niebo płonie, spadają pociski i rozżarzone kawałki metalu. Helikopter uderza w ziemię i staje w ogniu. Nakrywa sobą Tami, a kiedy wreszcie wszystko cichnie, zsuwa się z niej i widzi, że ona drży na całym ciele, a z jej nosa... ust... oczu sączy się krew. Wszędzie dym i krew.

- Niiieeee! - krzyczy.

Obudził ją własny krzyk. Przez chwilę nie kojarzyła, gdzie jest. To szpital. W Niemczech.

Poprawiła się ostrożnie, dźwigając głowę nad poduszkę. Była zamroczona, pokój zdawał się wirować i trochę ją mdliło. Przez szparki powiek widziała ustawione przy łóżku aparaty. Syk i gulgot ustały. Znikł też tamten odór gnijących ryb. Zastąpił go zapach środków dezynfekujących i plastiku.

Spróbowała podciągnąć się na łokciu, lecz ten wysiłek ją przerósł. Dysząc ciężko i walcząc z zawrotami głowy, wpatrywała się w swoje nogi.

W nogę.

Mniej więcej od kolan w dół pościel po prawej stronie układała się płasko. Zamajaczyło wspomnienie przebudzenia w otoczeniu lekarzy i pielęgniarek.

Amputowali nogę. Ucięli na wysokości kolana.

Wpiła palce w poduszkę, przycisnęła do ust i wydała z siebie zwierzęcy jęk żalu i bólu. Krzyczała, dopóki nie zaschło jej w gardle, nie zabrakło łez, a szloch nie pozbawił tchu. Widziała swoje nowe życie; niepełnosprawna nigdy więcej nie będzie latać blackhawkiem, biegać po plaży ani brać dzieci na ręce i kręcić z nimi piruetów w słoneczne, letnie dni.

Gdy wreszcie wyczerpana opadła na poduszkę i zamknęła oczy, miejsce żalu zajęła czarna rozpacz.

Leży w szpitalu z uciętą nogą, daleko od domu, sama. Nie może wyzalić się przyjaciółce. Nie przytula jej mąż. Michael.

Na myśl o nim ciężko westchnęła.

Teraz z nią zostanie, ponieważ Michael Zarkades ma silne poczucie obowiązku. Zobaczy, że jest kaleką, i zostanie z nią, bo tak należy postąpić. Wróci do niej z litości i pozostanie z obowiązku. Sumienny mąż opiekujący się niepełnosprawną żoną.

Ktoś delikatnie pogładził ją po policzku. Powoli uniosła powieki, zmusiła się do skupienia wzroku. Ciągle jeszcze działała narkoza.

Michael patrzył na nią ze znużonym uśmiechem. Golf drogiego swetra dziwacznie odstawał mu od szyi, jakby na siłę go rozciągnął. Jasne, dotknął ją tak ostrożnie, bo przecież jest kaleką. W ogóle będzie się bał ją dotykać, żeby przypadkiem nie rozleciała się do końca.

- Hej śpiochu - szepnął. - Witaj z powrotem.

- Michaelu - zaczęła przygnębiona. - Czemu tu jesteś? - Zamroczona, musiała mocno się koncentrować, formując słowa.

- Jesteś moją żoną.

Przełknęła ślinę; gardło miała obolałe. Myśli uciekały.

- Chciałeś się rozwieść.

- Jo, odkąd tu jestem, usiłuję ci to powiedzieć. Kocham cię. Byłem głupi. Wybacz mi.

Na te słowa czekała od miesięcy; tam, na pustyni, marzyła o nich prawie każdej nocy, pragnęła ich aż do bólu, a teraz... zubożniała. Te zapewnienia były bez znaczenia. Uruchomiła pompę morfinową, modląc się, żeby środek jak najszybciej podziałał.

- Jo, daj nam szansę. Potrzebujesz mnie teraz.

- Nigdy nikogo nie potrzebowałam. - Westchnęła. -I Bogu dzięki za to.

- No, proszę...

- Chcesz mi pomóc, Michaelu? W takim razie jedź do domu. Wróć i przygotuj go na powrót kaleki. Uprzedź dziewczynki. Nie będzie im łatwo teraz patrzeć na mnie. Trzeba je przygotować.

Zamknęła oczy, czując pod powiekami bezsensowne łzy. Na szczęście pod wpływem morfiny zaczęła powoli odpływać w sen.

Michael nachylił się i pocałował ją w policzek. Niewiele brakowało, aby rozkleiła się pod delikatnym, dobrze znanym dotykiem jego ust na skórze. Jeszcze chwila i wyciągając do niego rękę, wyznałaby, że się boi i że bardzo go potrzebuje.

-Odejdź - poprosiła ostatnim wysiłkiem woli. Niczego od niego nie chciała.

Jakby z oddali doszły ją jego kroki, a potem skrzypnięcie i trzask zamykanych drzwi. W tej ostatniej sekundzie poprosiła w myślach: wróć. Za późno. On wyszedł, a ją morzył sen.

Ostatnia świadoma myśl skupiła się na tym wszystkim, co straciła: bieganie, latanie, wygląd i... kobiecość. Siła. Zabawy z dziećmi.

Michael.

Dobę po amputacji kazali jej wstać z łóżka. Z początku walczyła z pielęgniarkami, które przyszły przesadzić ją na wózek, lecz po chwili ustąpiła, widząc w tym pewną korzyść. Będzie mogła zobaczyć się z Tami.

- Wygodnie pani? - spytała młoda pielęgniarka, pomagając jej się usadowić.

Ile czasu minęło od tamtego dnia, kiedy siadła za sterami blackhawka? A teraz potrzebuje pomocy, żeby usiąść na wózku. Przed nią sterczał owinięty bandażami kikut.

- Tak, jest dobrze. Dziękuję. Chcę się zobaczyć z chorącym Tami Flynn. Leży na intensywnej terapii.

- Zawiozę panią.

Nawet na to nie było jej stać przez cholerną prawą rękę. Pielęgniarka zajęła miejsce za wózkiem i wytoczyła go z sali.

Oddział ortopedyczny był pełen pacjentów podobnych do niej - z pomiażdżonymi, połamanymi kończynami lub po amputacjach. Przeważali mężczyźni, często bardzo młodzi. Właściwie jeszcze chłopcy, niektórzy z aparatami korygującymi na zębach.

Przyszedł jej na myśl Smitty.

Zawsze pogodny, o kanciastych ruchach, z głośnym, rżącym śmiechem. Smitty, który popijając mountain elew, przechwalał się, że dziewczyny marzą o przespaniu się z nim. Smitty, który tak bardzo chciał jechać do Iraku.

„Szefowo, skopiemy im tyłki, nie?”

Za młody, żeby pić piwo, lecz dostatecznie dorosły, aby umrzeć za kraj.

W windzie, chcąc nie chcąc, musiała patrzeć w dół -na sterczący kawałek nogi, owinięty białym bandażem, bezużyteczny.

Kikut.

Szybko odwróciła głowę, bo żołądek niebezpiecznie podszedł jej do gardła. Zrobiło jej się wstyd. Jak żyć, skoro się nie ma odwagi spojrzeć na własne ciało? Na lekarzach i pielęgniarkach jej tchórzostwo nie robiło wrażenia. Cierpliwie powtarzali, że to całkiem normalne, że ten widok przeraża ją i brzydzi. Ze to normalna reakcja po amputacji. Zapewniali ją, że wkrótce dojdzie do siebie.

Kłamcy.

Na drugim piętrze wysiadły z windy i ruszyły korytarzem. Tutaj, tak samo jak piętro niżej, cały czas krzątał się personel.

Pielęgniarka zatrzymała się przed zamkniętymi drzwiami. Do metalowego skrzydła ktoś przymocował kawałkiem plastra kartkę z żołnierskim credo. Nie ktoś, Carl. Zrobił to dla żony, bo dobrze ją rozumiał. Wiedział, że chciałyby, aby każdy, wchodząc do sali, widział, że w tym łóżku leży żołnierz.

Jolene od lat nie czytała tych słów.

Jestem amerykańskim żołnierzem. Jestem częścią drużyny.

Służę amerykańskiemu narodowi i żyję zgodnie z wojskowymi zasadami. Na pierwszym miejscu zawsze stawiam zadanie. Nigdy nie pogodzę się z porażką. Nigdy się nie wycofam. Nigdy nie zostawię poległego towarzysza broni, jestem zdyscyplinowany, odporny fizycznie i psychicznie i wyszkolony w żołnierskim rzemiośle. Zawsze dbam o broń, sprzęt i o schludny wygląd. W każdej chwili jestem gotów stanąć do walki i zniszczyć wrogów Stanów Zjednoczonych Ameryki. Moim zadaniem jest bronić wolności i wartości wyznawanych przez mój naród. Jestem amerykańskim żołnierzem.

Jolene wzruszenie ścisnęło za gardło.

Pielęgniarka otworzyła drzwi i wwiozła ją do małej, obstawionej aparatami sali. Carl siedział przy łóżku z dłońmi opartymi na kolanach.

- Jolene - przywitał ją, wstając. Po sposobie, w jaki się poruszał, poznała, że długo nie zmieniał pozycji. -Zajmę się nią - zwrócił się do pielęgniarki, a ta opiekuńczym gestem położyła dłoń na ramieniu Jolene i przytrzymała ją tam przez chwilę, po czym wyszła, zostawiając ich samych.

Carl nachylił się nad Jolene i delikatnie pocałował ją w zasiniony policzek. Wyciągnęła do niego zdrową rękę i uścisnęła mu dłoń.

- Carl, jak Tami? Wzruszył ramionami.

-Trudno cokolwiek wyrokować w przypadku uszkodzeń mózgu. Jest w śpiączce. Dowiemy się więcej, kiedy się obudzi.

Przysunął Jolene bliżej łóżka. Poczowała się jak dziecko,

bo musiała zadrzeć głowę, żeby zobaczyć przyjaciółkę. Już zdążyła się zorientować, jak inny jest świat oglądany z wózka. Widziała profil Tami. Jej twarz była sinoczarna i zdeformowana. Jak po dwunastu rundach z Mikiem Tysonem. Górna warga z ciętą raną była opuchnięta. Bandaż na głowie znaczyły ciemne plamy sączącej się krwi.

- Pomóż mi wstać - poprosiła cicho Carla. Dźwignął ją z wózka i podtrzymał.

- Cześć, pilotko - wyszeptwała. Chciała dotknąć dłoni Tami, lecz całą uwagę i siłę musiała skupić na utrzymaniu się w pionie. Kurczowo zacisnęła palce na ramie łóżka. - Wybacz mi.

- Wściekłyby się, gdyby to usłyszała - zauważył cicho Carl.

Jolene pokiwała głową. To prawda. Tami na pewno byłaby zła, słysząc, że się obwinia, lecz jak miała nie czuć się winna?

- Ciekawe, czy wie, że tu jesteśmy? - Wie.

Pragnęła w to wierzyć. Nagle ogarnęło ją przygnębienie, przytłoczyło poczucie straty. Ich przyjaźń trwała ponad dwadzieścia lat. Tami była jej tak samo bliska jak Michael i dziewczynki. Myśl, że mogłaby...

Nie. Nie wolno dopuszczać takich myśli.

- Wrócisz do nas, Tam. Wiem, że tak będzie. Pewnie to robisz, żeby skupić na sobie uwagę.

Opowiedziała przyjaciółce o swoich ranach, o Smittym i o Jamiem, który leżał piętro niżej i codziennie o nią pytał. Wspominała dom, plażę i tamto lato, kiedy zbierały jeżowce i puszczały latawce.

- Zobaczysz, jeszcze obie pobiegniemy plażą. - Rozrzewniła się, słysząc własne słowa. Łzy zapiekły pod powiekami i stoczyły się po policzkach. Teraz mogła już tylko błagać przyjaciółkę: - Wracaj, Tami.

-A jeżeli...

- Nie - przerwała cicho Carlowi. - Ona nie umrze. Słyszysz mnie, pilotko? Umieranie zabronione. Będziesz mi potrzebna, skoro muszę żyć z jedną ręką i nogą.

Mówiąc to, zdała sobie sprawę z powagi sytuacji, prawdopodobieństwa utraty przyjaciółki, i zaciskając powieki, błagała w myślach: wróć.

Trzymała się kurczowo metalowej, śliskiej ramy łóżka. Noga cierpła, lecz ona stała nieporuszona. Najchętniej pozostałaby w tej pozycji, dopóki Tami się nie obudzi.

Patrzyła na przyjaciółkę i w jednej sekundzie całe ich życie przesunęło się jej przed oczami - zobaczyła ambitne młode dziewczyny, w mundurach, w kokpicie... i kobiety, jakimi się stały, kryzysy, które przetrwały, i zabawne sytuacje, jakie stały się ich udziałem. Od zawsze razem, ramię w ramię, słuchały tej samej muzyki od Madonny po Tima McGrawa i wzajemnie się wspierały.

-Niedługo odeślą mnie do domu - zwierzyła się Carlowi.

- To wspaniała wiadomość.

Podniosła na niego wzrok. Myśl o powrocie do domu i opuszczeniu Tami była nie do zniesienia.

- Jak mogę ją zostawić?

- Musisz - powiedział łagodnie. - Ona by tego chciała. Jedź do domu, do dzieci, Jolene.

Ile czasu spędziła z Carlem przy Tami? Minuty, godziny? Nie miała pojęcia. Czas się nie liczył. Zapomniała nawet o bólu w nodze. Szukała w głowie słów, które mogłyby Carlowi dać nadzieję, lecz w końcu skapitulowała. Po prostu takich nie było. Siedzieli przez jakiś czas w bolesnej ciszy, aż do chwili gdy wezwała pielęgniarkę i poprosiła, aby odwiozła ją na oddział.

Leżała w łóżku z zamkniętymi oczami, starając się odpędzać najbardziej bolesne myśli - o tym, że Tami może się nie wybudzić, no i o Smittym, który nigdy nie Wróci do domu.

Pielęgniarki zaglądały do sali, dozowały kroplówki, zmieniały opatrunek na kikucie, dezynfekowały ranę i zakładały świeży bandaż. Mijały godziny. A ona, nie otwierając oczu, uparcie ignorowała wszystko, co się wokół niej działo.

-Jo?

To głos Michaela. Ogarnęło ją znużenie.

- Zdaje się, że prosiłam, abys pojechał do domu.

- Nie mówiłaś serio. Chcę, byś uwierzyła, że cię kocham, Jo, i że jest mi potwornie przykro.

Nie zależało jej. Już nie. Co komu po takiej niepewnej miłości? Powoli odwróciła głowę i spojrzała mu w oczy.

- Michaelu, jedź do domu i zajmij się dziećmi. Proszę cię. - Głos jej się załamał. - One cię potrzebują. Ja, nie.

- Jolene...

Łzy zakręciły się jej w oczach.

- Jedź, Michaelu. Za parę dni wrócę do domu. Niedługo mnie wypiszą. Przecież wiesz. I tak nie możemy lecieć jednym samolotem. Zajmij się dziećmi. Tak najlepiej możesz mi pomóc.

- No, dobrze - powiedział z wahaniem, jakby czuł, że nie powinien ustąpić, a z drugiej strony był szczęśliwy, że go odsyła. - Pojadę. I będę czekał na ciebie w domu.

- Szczęściara ze mnie - mruknęła, zamykając oczy.

Podczas długiego lotu do domu wmawiał sobie, że postępuje zgodnie z prośbą Jolene, i chwilami nawet w to wierzył. Ale miał świadomość, że prawda wygląda inaczej - on uciekał, tak samo jak uciekł wtedy, gdy umie-

rał ojciec. Fatalna słabość. Źle znosił widok cierpienia bliskich.

Bardziej od wstydu dręczyło go poczucie winy. Prześladowała go myśl, że to wszystko wydarzyło się przez niego. Łamiąc serce Jolene okrutnymi słowami, popchnął ją do wyjazdu na tę wojnę i jeszcze się wściekał, że podjęła tę ryzykowną decyzję.

Wiele by oddał za możliwość wymazania z ich życia tamtego dnia, kiedy wszystko zniszczył. Czy gdyby wyjechała, czując się kochana, wróciłaby do domu cała i zdrowa? Czy byłaby silniejsza? Może o ułamek sekundy wcześniej wykonałaby manewr helikopterem?

Wiedział, że odpowiedź brzmi: nie. Jolene była świetnym pilotem, a z tragicznego dzieciństwa jako jedyną pozytywną rzecz wyniosła umiejętność konsekwentnego działania mimo największego nawet cierpienia.

Został mu ostatni odcinek drogi do domu. Prom dobił do przystani na Bainbridge Island. Przejechał przez Agatę Pass Bridge, minął stoiska z fajerwerkami, nieczynne teraz aż do Bożego Narodzenia, gdy będą tam również sprzedawać choinki, i wjechał do malowniczego Poulsbo.

Pierwszy napis zobaczył na markizie księgarni: „JOLENE ZARKADES I TAMI FLYNN, MODLIMY SIĘ ZA WAS, WRACAJCIE BEZPIECZNIE DO DOMU”.

Napisy podobnej treści widniały w wielu miejscach. Na słupach telefonicznych, na barierkach tarasów i na płotach wisiały żółte rozety.

Za miastem do słupków skrzynek na listy, pni bezlistnych już jabłoni i wejściowych drzwi również były przymocowane żółte kokardy.

Zbliżając się do domu, zobaczył, że na ich płocie też są te wstążki. Flaga na ganku zwisała smętnie w bezwietrzny wieczór. Na ziemi przy jednym ze słupków,

niczym na grobie, leżała wiązanka przywiędłych, zbrązowiałych kwiatów.

Wprowadził samochód do garażu i siedział tam przez chwilę w ciemnościach. Potem z westchnieniem wszedł do domu .

Matka siedziała na gzymsie kominka, przed płonącym żywo ogniem. Podniosła na niego wzrok znad okularów do czytania ozdobionych cyrkoniami. Kupowała je w sześciopakach w hurtowym Costco. Odłożyła książkę, wstała i wyciągnęła do niego ramiona.

Wszedł w jej objęcia, dotąd nie zdając sobie sprawy, jak bardzo tego potrzebował.

- No, opowiadaj - poprosiła, prowadząc go do kanapy.
- Powinienem poczekać na lekarza, ale wiesz, jaki jestem niecierpliwy
- zaczął i zdał jej relację, kończąc słowami: - Kazała mi jechać i przygotować dom... dziewczynki na jej powrót.
- Nie powinieneś jej zostawić - stwierdziła sucho.
- Mówiłaś, że mam jej słuchać, że sama mi powie, czego chce.
- Michaelu. - Pokręciła głową z ubolewaniem.
- Wiem. - Z westchnieniem przeciągnął ręką po włosach. - Właściwie ona mnie wyrzuciła.

Matka zacmokała w dobrze mu znany sposób.

-Mężczyźni to głupcy. Przykro mi, ale to prawda. „Proszę, odejdz” wcale nie musi znaczyć, że naprawdę tego chciała.

- Nie potrafię czytać w myślach. -Najwyraźniej.
- Nie ciągnijmy dłużej tej rozmowy. I bez tego czuję się fatalnie. Nie pogarszaj sprawy.

Popatrzyła na niego z uwagą.

- Twoja żona leży w szpitalu w Niemczech obolała

i przestraszona, przeżywa śmierć tego chłopaka z załogi, martwi się o przyjaciółkę, a ty ją zostawiłeś. Gorzej już być nie może.

- Mamo, nie wiem, co robić. Kiepsko sobie radzę w takich sytuacjach.

- W takim razie powiem ci, co masz zrobić. Pójdiesz teraz na górę i opowiesz córkom o matce. Utulisz je, kiedy będą płakać, a potem przygotujesz rodzinę i ten dom na przyjazd żony. Następnym razem, kiedy będziesz patrzył na Jolene, na całą Jolene, Michaelu, nawet na to, czego nie ma, powiesz jej, że ją kochasz. Bo kochasz ją, prawda?

- Tak. Ale ona mi nie uwierzy. Nie teraz.

- A cóż w tym dziwnego? Postąpiłeś fatalnie. Musisz schować dumę do kieszeni i przekonać ją... i być może siebie. Nie będzie łatwo. Nie może być. - Poklepała go po udzie. - No, biegnij na górę i powiedz córkom, że ich mama wraca do domu z wojny.

- Leżą już w łóżkach?

- Czekają na ciebie.

Westchnął, przygnieciony ciężarem nowego obowiązku, w którym nikt go nie mógł wyręczyć. Przechylił się, pocałował matkę w policzek i skierował się ku schodom.

Przystanął przed pokojem Betsy, zbierając w sobie odwagę. Zapukał i wszedł. Dziewczynki siedziały na podłodze i grały w jakąś planszową grę.

Przykucnął przy nich. Lulu natychmiast wdrapała mu się na kolana i oplatając mu szyję ramionami, odgięła się do tyłu jak tancerka na lodzie podczas kręcenia piruetu.

- Cześć, tatku!

- Jak mama? - spytała czujnie Betsy. Lulu podskakiwała mu na kolanach.

- Tatusiu, chcesz zagrać z nami w Candyland?

- Tato? - Nie ustępowała Betsy. - Co z mamą? Głęboko odetchnął.
- Straciła nogę. Lulu znieruchomiała.
- Straciła? Jak?
- Głupia. Ucięli ją - wyjaśniła Betsy, podnosząc się z podłogi.
- Coo?! - pisnęła Lulu.
- Betsy! - skarcił córkę Michael. - Nie strasz siostry! Lulu, mamusia wyzdrowieje, po prostu straciła kawałek nogi. Ale nauczy się chodzić i wszystko dobrze się skończy. Jednak przez jakiś czas będzie potrzebować naszej pomocy. Za trzy dni wraca do domu.
- Mama nie ma nogi, Tami jest w śpiączce, ale wszystko będzie dobrze. Jak dawniej. - Betsy załamał się głos. Podbiegła do drzwi i szarpnęła za klamkę. - Oboje z mamą jesteście kłamcami - wytknęła Michaelowi, ocierając łzy. I wymaszerowała z pokoju, zamykając z trzaskiem drzwi.
- Gdzie jest noga mamy, tatusiu? - spytała Lulu i się rozplakała.
- Jo?
Usłyszała głos Jamiego i otworzyła oczy. Stał w drzwiach ubrany w połowy mundur.
- Cześć.
Uśmiechnęła się do niego, nadrabiając miną. Ostatnio opuściła ją odwaga i wyparowała gdzieś siła woli. Cieszyło ją, że już wstał i chodzi, nawet jeśli utykał. Wczoraj też do niej zajrzał.
Zamknął za sobą drzwi i podszedł do łóżka. Była bliska płaczu, widząc jego współczujący wzrok. Wiedział, co ona czuje.

- To nie twoja wina, Jo - powiedział.

- Smitty nie żyje, Tami jest w śpiączce. A ja pilotowałam helikopter - przypomniała mu.

- Ty ją wyniosłaś z maszyny, Jo - powiedział z naciskiem. - Ty. - Przeniósł spojrzenie na kikut. - Mimo tego. Wyciągnęłaś przyjaciółkę. Widziałem was, jak się czołgałem do Smitty'ego. Udało mi się go wyciągnąć, lecz już było za późno.

Domyślała się, że to go dręczy.

- Jamie, ja go widziałam. Już nie żył. Patrzył na nią z napięciem.

- Nie poddawaj się - poprosił głosem ochryłym ze wzruszenia.

- Nie wiem, jak mam dalej być kobietą. - Machnięciem ręki wskazała poranione ciało.

- Jesteś żołnierzem. Masz to zakodowane.

- Czyżby?

- Dostałem rozkaz powrotu do Iraku - wyznał. Pokiwała głową, w gardle stanęła kluska. Uderzyła ją myśl, że z tym człowiekiem rozmawiała szczerzej niż z mężem.

- Uważaj na siebie, Jamie. Patrzył na nią przez dłuższy czas.

- Jesteś moją bohaterką - powiedział. - Chcę, żebyś o tym wiedziała. I będzie mi cię brakować tam, w górze.

Wyszedł, a ona znowu została sama.

WRZESIEN

Podobno mam się cieszyć, że piszę lewą ręką. Co chwila to słyszę. Ale jak może mnie cokolwiek cieszyć?

Jutro wracam do domu. Tami nadal w śpiączce. Carl mówi, że lekarze zaczynają kręcić głową i „przygotowują” go na jej śmierć. Jak możemy się przygotować na utratę Tami?

Tami, która fałszuje, śpiewając, uwielbia drinki mai tai i nigdy

nie wie, kiedy odpuścić. Moja serdeczna przyjaciółka. Teraz nie odpuści. To pewne.

Rano Carl przyszedł pożegnać się ze mną i na widok cierpienia w jego oczach serce ścisnęło mi się z żalu. Powiedział: „Dziś zatrzymała się akcja serca, reanimowali ją, ale...”. I oboje się popłakaliśmy. Carl nie wie, co ona myśli o „rozpaczliwych działaniach”. Powiedziałam mu na to, że Tami jest bohaterką, a tacy nigdy nie rezygnują. Nigdy.

Obudziła się gwałtownie. Przez jedną cudowną sekundę nie wiedziała, gdzie jest. A potem prawda powróciła. Tami leży na intensywnej terapii, Michael wyjechał, a ona szykuje się do powrotu do domu.

Dom.

Otworzyła oczy i zobaczyła kobietę w wyjściowym mundurze. Siedziała w nogach łóżka i czytała najświeższy numer „Stars and Stripes”.

Jolene nacisnęła guzik na pilocie łóżka i wraz z zagłówkiem powoli uniosła się do pozycji, z której mogła patrzeć na nieznajomą.

- Cześć, pilotko - odezwała się kobieta, odkładając gazetę na koc blisko miejsca, gdzie powinna być noga Jolene.

- Znam cię?

-Nie. Jestem Leah Sykes. Z Karoliny Północnej -przedstawiła się, melodyjnie przeciągając słowa. -Uhm.

- Pierwszy raz od dziewięciu miesięcy odważyłam się przyjechać z powrotem do Landstuhl. Potrzeba czasu, żeby się pogodzić z niektórymi sprawami.

- Jesteś oficerem wychowawczym?

- W życiu! - Zaśmiała się. - Mój mąż na pewno by ci powiedział, że raczej nie należy stawiać mnie za wzór. A ty? Podobno jesteś pilotem helikoptera.

Jolene popatrzyła na miejsce, gdzie powinna być noga.

- Leah, nie chciałabym być niegrzeczna, ale czuję się zmęczona...

- Słyszałaś o programie Lioness? Jolene westchnęła.

- Nie.

- Powstał jakiś czas temu, chyba przed kilku laty. Nie jestem historykiem. Chodziło o to, że marines przy przeszukiwaniu cywilów spotkali się ze zdecydowanym sprzeciwem irackich kobiet, które absolutnie się nie zgadzały, aby rewidowali je mężczyźni. Zaczęto więc szukać ochotniczek. Zgłosiło się nas kilka znudzonych pracą w kwatermistrzostwie. Ja byłam jedną z pierwszych.

Jolene uważniej przyjrzała się rozmówczyni. Z tlenionymi włosami splecionymi we francuski warkocz i z tuszem na rzęsach wyglądała jak członkini żeńskiego stowarzyszenia uniwersyteckiego.

- Przydzielono nas do jednostki marines i wysłano do Iraku. Przeszliśmy specjalne szkolenie... niewiele tego było, chyba z tydzień... ale poleciałyśmy. Podobało mi się. Znaczący, na wojnie. Kto by pomyślał? Na pewno nie moja trenerka cheerleaderek. No i wiesz...

Leah odsunęła się od łóżka. Dziwnie się poruszała. Jakby podrygując, a przy każdym kroku na jej ładnej twarzy pojawiał się grymas.

I wtedy Jolene zobaczyła jej nogi; dwa stalowe pręty zakończone turystycznymi butami.

Zrobiło jej się wstyd, że śmie narzekać. Ona przynajmniej ma jedną nogę.

- Straciłaś obie nogi?

- Improwizowany ładunek wybuchowy. Nie będę cię okłamywać, madame. Czeka cię długa, ciężka droga.

Byłam potworem. Nie wiem, jak mój mąż to przetrzymał.

- Będę kiedyś latać?

Smutne spojrzenie Leah wystarczyło za odpowiedź.

- Tego nie wiem. Ale z czasem na powrót staniesz się sobą.

Postawa tej kobiety w obliczu takiego nieszczęścia powinna coś dla niej znaczyć. I kiedyś, w dawnych czasach, zapewne by tak było. A teraz pragnęła jedynie, żeby zostawiono ją w spokoju. Chciała zanurzyć się z powrotem w ciepłych, ciemnych wodach żalu nad samą sobą. I tak zrobiła - zamknęła oczy.

Ilekcroć się budziła, widziała stojącą przy łóżku Leah.

CZEŚĆ DRUGA

Żołnierski hart

Mądrość nie jest nam dana;
sami musimy ją odkrywać w podróży,
w której nikt nas nie zastąpi ani nam jej nie oszczędzi.

- MARCEL *PROUST*

Michael spędził z córkami cały dzień w centrum handlowym. Biegali od stoiska do stoiska i jak psy tropiące niezmordowanie wyszukiwali rzeczy ze sporządzonej wcześniej listy. Nowe łóżko, nowy materac, pościel i mnóstwo poduszek. Farba akrylowa, rolka papieru woskowanego, komplet grubych markerów ze ściętymi końcówkami.

Gdy po lunchu w Red Robinie wsiedli wreszcie do samochodu, bagażnik był wypakowany po brzegi. Podekscytowanej Lulu nie zamykały się usta. Paplała tak dużo i szybko, że trudno było za nią nadążyć. W końcu Michael zrezygnował z odpowiadania na jej pytania, z których każde zaczynało się od:

- A kiedy mama wróci do domu...
- ...zaśpiewamy jej ulubioną piosenkę. Betsy, jaką piosenkę najbardziej lubi?
- ...krzykniemy: niespodzianka!
- ...będziemy tańczyć. Mama uwielbia tańczyć. Oj, przecież nie ma nogi. Co wymyślimy zamiast tańca?
- ...damy jej lody.

Betsy też już za siostrą nie nadążała.

W Poulsbo zajechali po Milę do Green Thumb. Wy-

szła ze sklepu z naręczem róż, orchidei i słonecznie złotych chryzantem. Zamierzała udekorować kwiatami pokój Jolene.

- Yia Yia, już wszystko kupiliśmy! - zaświergotała Lulu, kiedy babcia wsunęła się na fotel obok kierowcy i zatrzasnęła drzwi. - Mamusia będzie taakaa szczęśliwa!

- Będzie szczęśliwa, jak zobaczy swoje dziewczynki. -Mila się uśmiechnęła.

Lulu znowu nie zamykała się buzia - teraz opowiadała o malowaniu. Michael przejechał przez miasto, ciche o tej porze roku, i skręcił na drogę przy zatoce. Było późne popołudnie, słońce wyłączało wody Sound.

W domu rzucili się w wir przygotowań. Betsy rozwinęła rolkę papieru woskowanego w kuchni na podłodze i klęcząc nad arkuszem oraz pedantycznie rozłożonymi akrylowymi farbami, zabrała się do malowania plakatu z napisem: „WITAJ W DOMU, MAMUSIU”. Naturalnie nie obyło się bez sporów: Lulu chciała, żeby u góry znalazło się wielkie słońce i różowe serduszka; Betsy upierała się przy tęczy i amerykańskiej fladze. Kiedy dzieło zostało ukończone, trudno tam było znaleźć choćby skrawek wolnego miejsca.

- Tato, co o tym myślisz? - Betsy, siedząc na piętach, krytycznie przyglądała się plakatowi. - Spodoba się mamie?

Całość stanowiła eksplozję barw, emocji i miłości. Najbardziej wzruszał obrazek w rogu; cztery postaci w obrysie sporego różowego serca: kobieta i mężczyzna trzymają się za ręce, a po bokach stoją dwie patykowate dziewczynki z mnóstwem loków na głowie.

Czy znowu taka właśnie będziesz, Jo? - pomyślał Michael.

Idealnie - pochwalił, siląc się na uśmiech.

- A teraz zabieramy się do ciasta - zadysponowała Betsy. -
Najbardziej lubi cytrynowe.

- Ja pomogę! - zawołała Lulu.

Betsy posłała Michaelowi poirytowane spojrzenie.

- Tato, cała jej pomoc to lizanie łyżki i dłubanie w lukrze.

- Dziewczynki, pracujcie razem - poprosił. - To wielki dzień. Bardzo ważny. Wasza mama wraca do domu z wojny i musimy jej pokazać, że jest dla nas najważniejszą osobą na świecie.

Betsy podniosła się z podłogi i podeszła do ojca.

- Tato, czy ona się cieszy, że do nas wraca? Zaskoczyło go, że córka zwerbalizowała jego obawy.

- Skąd to pytanie, skarbie?

- Czasami nie byłam zbyt miła. Znam to uczucie - pomyślał.

- Zrozumie. Wie, jakie to było dla ciebie trudne.

- Ostatnio rzadziej do nas pisała.

- Nie miała czasu. We wrześniu walki się nasiliły.

- Myślisz, że to dlatego?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

Betsy zmierzyła go surowym, oceniającym spojrzeniem.

- A może to przez tamtą kłótnię. Kiedy powiedziałeś, że już jej nie kochasz.

Wzdrygnął się. A więc pamięta. Może tamta sytuacja pozostanie jej w pamięci na zawsze, obojętnie, jak ich życie będzie dalej wyglądało. Czy gryzła się tym przez cały czas? Co ma jej powiedzieć?

- Dorośli czasem się kłócą; przecież ci tłumaczyłem.

- Ani razu do mamy nie napisałeś. Ona do ciebie też nie. Nie jestem głupia, tato.

- Oczywiście, że nie, ale...

- A jeżeli mama się zmieniła?

Tego też się obawiał. Uśmiechnął się do córki, mając nadzieję, że ten uśmiech wygląda na bardziej szczerzy, niż w istocie był.

- Betsy, mama bardzo chce wrócić do domu. Nie zamartwiaj się. Musimy jej tylko pokazać, jak bardzo za nią tęskniliśmy.

- Ja naprawdę za nią tęsknię. Nie mogę się doczekać, kiedy ją uściskam, a ona powie, że mnie kocha do księżycy i z powrotem.

Przytulił córkę do siebie.

- Zobaczysz, jeszcze będziemy szczęśliwi - powiedział z największym przekonaniem, na jakie potrafił się zdobyć. - Od jutra.

Jeszcze dziewięć dni temu szła przez bazę z przyjaciółką, narzekając na pogodę. „Jak ciężko się chodzi po tym błocie” - wzdychała. Potem chwyciła się drzwi kokpitu blackhawka, zwinnie wspięła się do środka i oparła stopy na pedałach. Zdecydowanie wiedziała, kim jest.

Teraz znowu była w powietrzu, lecz wszystko wokół niej się zmieniło. Leciała do domu transportowcem wraz z sześcioma innymi rannymi żołnierzami, z personelem medycznym i z kilkoma cywilami. Pacjentów umieszczono w przedniej części kadłuba na łózkach przymocowanych do ściany za cienką, jasną zasłoną oddzielającą ich od reszty pasażerów. Dawniej Jolene mimo bólu i poczucia zagubienia pokazywałaby światu uśmiechniętą twarz, starałaby się, aby otaczający ją ludzie czuli się dobrze. Ale te czasy minęły. Leżała na łóżku i zaciskając zęby, zmagiła się z fantomicznym bólem w brakującej stopie.

- Pani chorąży - zagadnęła ją czuwająca przy łóżku pielęgniarka. - Kiedy wylądujemy w Seattle, będzie pani o rzut beretem od domu. Musi się pani cieszyć.

Jolene odwróciła głowę i nic nie powiedziała. Ta dziewczyna miała rację. Powinna się cieszyć. Od miesięcy marzyła o chwili, kiedy znowu zobaczy córki. Naturalnie wyobrażała sobie, że wejdzie przez frontowe drzwi i za progiem przykucnie, rozpościerając ramiona do niemających końca uścisków. -

Co się z nią dzieje?

Powinna być zadowolona, że w ogóle wraca do domu. Ile dałby Smitty, żeby móc się z nią zamienić miejscami? A Tami? Na tę myśl zrobiło jej się wstyd. Jednak nie miała władzy nad emocjami. Rządziły nią, jątrzące i wymykające się spod kontroli.

Nie potrafiła się zdobyć na inne spojrzenie ani wykrzesać w sobie optymizmu. Nieznane dotąd uczucie odrętwienia było bardzo niepokojące. Może bała się zbyt wiele odczuwać, uwolnić emocje, bo prawdopodobnie przeszłyby w niekończący się krzyk.

Samolot wylądował i kołował po asfalcie.

- Pani chorąży, jesteśmy na Boeing Field - odezwała się pielęgniarka.
- Na płycie czeka ambulans, który zawiezie panią do centrum rehabilitacyjnego.

Jolene chciała podziękować, lecz łomot serca przyprawił ją o zawroty głowy. Nie była na to gotowa. Naprawdę bała się spotkania z dziećmi. Co, do diabła, z nią się dzieje?

Nad łóżkiem stanął major w galowym mundurze i przypiął jej medal do podkoszulka. Mówił coś, lecz ona ledwo go słuchała. Nie powinno się dawać odznaczenia kobiecie, która pozwoliła, by zestrzelono jej maszynę i zabito młodego człowieka.

Nie kwapiła się z odpowiedzią. Nie wysiliła się nawet na: dziękuję, majorze.

Na szpitalnym wózku zwieźli ją po trapie na Boeing Field, gdzie czekał rząd ambulansów, aby rozwiązać pa-

cientów do różnych szpitali i jednostek rehabilitacyjnych. Patrzyła na niskie, szare niebo, a krople deszczu spadały jej na twarz - dowód na to, że jest z powrotem na północnym zachodzie. W ambulansie poważny młody sanitariusz podziękował jej za służbę dla ojczyzny.

Musiała zasnąć w drodze na północ, bo ocknęła się dopiero, kiedy karetka zahamowała. Sanitariusz wziął ją na ręce jak dziecko i przeniósł na wózek. Posadził ostrożnie i starannie otulił pledem.

Rodzina zbита w gromadkę czekała przed wejściem do centrum rehabilitacyjnego. Michael i Mila przynieśli wiązanki. Z daleka widziała, jak rozradowana Lulu podskakuje niecierpliwie. Dziewczynki trzymały arkusz papieru z rozmytym niebieskim napisem „TEŃSKNIMY” i z namalowaną nad nim brokatowymi farbami wielobarwną tęczę.

Kochała córki całym sercem; wiedziała, że tak jest, wiedziała, a jednak jakoś tego nie czuła, i ta świadomość przeraziła ją bardziej niż cokolwiek do tej pory.

- Mamuś! - Lulu z piskiem rzuciła się do przodu, otwierając pochód, a starsza siostra biegła tuż za nią.

Betsy niechcący wpadła na wózek. Kikut przeszył ból.

- Cholera, Betsy, mogłabyś uważać! - wyrwało się Jolene, zanim zdążyła pomyśleć.

Córka cofnęła się o krok z oczami mokrymi od łez. Jolene, oddychając płytko, z zaciśniętymi zębami czekała, aż ból zelżeje.

- Wybacz, Betsy - powiedziała, bezskutecznie usiłując się uśmiechnąć.

- Przepraszam - wymamrotała dziewczynka, wyraźnie rozzalona i zła. Lulu była bliska płaczu.

- Mamuś?

Jolene ogarnęło znużenie. Nie miała pojęcia, jak zrekompensować tę ostatnią minutę i zacząć powitanie od nowa, jak stać się na nowo tamtą uśmiechniętą mamą. W dodatku noga cały czas pulsowała.

Michael przejął wózek od sanitariusza.

- Mamo, zaprowadź dziewczynki do pokoju Jolene, a my w tym czasie załatwimy formalności. Za chwilę do Was dołączymy.

Mila wzięła zdezorientowane wnuczki za ręce i skierowała się z nimi do budynku.

- Dzięki - mruknęła Jolene.

- Są bardzo podniecone twoim przyjazdem. Pokiwała głową.

Michael wwiózł ją do jasno oświetlonego holu i zatrzymał się przy recepcji. Przedstawił Jolene, a ona uśmiechnęła się obojętnie. Następnie złożył podpis na jakichś papierach i ruszyli holem do małego pokoju z wielkim transparentem „WITAJ W DOMU, MAMUSIU” na ścianie. Bukietów wystarczyłoby na zaopatrzenie kwiaciarni. Każdy wolny kawałek miejsca zajmowały rodzinne zdjęcia. Mila i córki stały przy oknie i uśmiechały się niepewnie.

Jolene chciała podnieść je na duchu, lecz na widok łóżka z czymś w rodzaju zwisającego nad nim trapezu pomyślała: To jest teraz moja rzeczywistość. Potrzebuję pomocy, żeby usiąść - i z powrotem popadła w odrętwienie.

No dalej, uśmiechnij się, udawaj, że jesteś tą samą, dawną Jo... w końcu uśmiech jest tylko odwróconym grymasem. Dasz radę, kobieto.

Michael podjechał wózkiem do samego łóżka i zahamował tak gwałtownie, że rzuciło nią do przodu.

- Dasz radę przesiąść się na łóżko? - Spojrzał na kikut zakryty pledem.

Zanim zdążyła odpowiedzieć, ktoś zapukał do otwartych drzwi. Obejrzała się i zobaczyła potężnego czarnego mężczyznę z siwymi dreadami. Miał na sobie różowy kombinezon, jaki noszą chirurdzy. Z uśmiechem człowieka, który zgarnął pulę na loterii, ominął Michaela i bardzo delikatnie przeniósł Jolene z wózka na łóżko. Zdjął jej papeć, odstawił go i okrył ją jasnofioletowym pledem.

- Po prostu skup się na oddechu, Jolene - powiedział cicho, pochylając się nad nią. - Będzie dobrze, zobaczysz. Podobno jesteś twardzielką.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- A ty kim jesteś?

- Twoim fizykoterapeutą. - Uśmiechnął się. - Mam na imię Conny. Tak dla twojej wiadomości, zobaczymy się jeszcze dziś o szóstej.

- Conny jakoś mi do ciebie nie pasuje.

- Skarbie, całe życie to słyszę.

Nadal się uśmiechając, przedstawił się rodzinie, uścisnął dłoń Michaela i wyszedł. Została sama z najbliższymi.

Powiodła po nich spojrzeniem. Chciała, rozpaczliwie wręcz, poczuć radość, lecz niestety, nic nie czuła. To ją przerażało i przygnębiało.

Lulu oderwała się od grupki i podeszła do łóżka. Patrzyła na miejsce, gdzie pod pledem powinna odznaczać się noga Jolene. Pochyliła się i ze skupioną miną je poklepała.

- Tak, tu nie ma. A gdzie jest?

- W ogóle nie ma, Lulu. Bardzo mnie bolała i lekarze to naprawili. Teraz już jest dobrze. - Jej głos nie zabrzmiał przekonująco.

Lulu wspięła się na palce i zerknęła na rękę Jolene z gipsowym opatrunkiem, spod którego wystawały blade, spuchnięte, nieczynne palce.

- Ale ręce masz dwie - zauważyła i odwracając się do siostry, zawołała: - Bets, mama ma dwie ręce! Nadal możemy grać w łapki!

Starsza siostra się nie odezwała. Patrzyła na Jolene z żalem szeroko otwartymi oczami. Był w nich również strach. Dlaczego miałyby się nie bać? Jej matka wróciła do domu niepełnosprawna. Niezbyt różowe widoki na przyszłość. A pierwsze słowa, jakie od niej usłyszała, padły w gniewie.

Jolene była świadoma, że powinna zatrzeć tamto pierwsze wrażenie; powiedzieć coś w rodzaju: hej, fakt, nie mam jednej nogi, ale po co komu dwie? Sprawić, aby wszyscy poczuli się lepiej, lecz nie potrafiła się zmusić. Po prostu nie potrafiła. Nie miała nawet odwagi spojrzeć na kikut. Jak więc mogła udawać, że to nie ma dla niej znaczenia?

Mila stanęła za Betsy i kładąc jej dłoń na ramieniu, popchnęła ją lekko do przodu.

- One nie mogły się ciebie doczekać. W nocy prawie nie zmrużyły oka.

W tonie głosu teściowej wyłowiła wahanie i wyrzut, że jednak inaczej powinna się zachować.

- Pozbierasz się - dodała Mila po chwili niezręcznej ciszy, podczas której Betsy ze wzrokiem wbitym w podłogę ogryzała paznokiec na kciuku.

Jolene pokiwała głową. Pragnęła w to wierzyć.

- Oczywiście, że tak. Po prostu lot był długi i boli mnie noga.

- Potrzeba czasu.

Zacisnęła zęby. Miała nadzieję, że to wygląda na uśmiech.

- No cóż. - Mila westchnęła. - Musimy się zbierać do domu i pozwolić waszej mamie odpocząć.

- Tak - skwapliwie podchwyciła Betsy.

- Mamusiu, daj mi buzi - poprosiła Lulu, wyciągając do niej ramiona. Michael podniósł małą, a ona zarzuciła jej ręce na szyję, tuląc się do niej jak mały króliczek. - Kocham cię, mamuś.

Właśnie. Miłość. Wypełniała serce Jolene aż po brzegi. Łzy same popłynęły jej z oczu. Objęła córkę tak mocno, że obie nie mogły złapać tchu.

- Ja też cię kocham, kotku. Milu, Betsy, was też kocham. Przepraszam, jestem taka zmęczona. To był długi lot.

- My to rozumiemy, prawda, dziewczynki? - Mila poklepała starszą wnuczkę po ramieniu.

- Betsy? - odezwała się Jolene. - Pocałujesz mnie na do widzenia?

- Nie chciałabym sprawić ci bólu - odparła nadą-sana.

- Betsy - upomniała ją Mila.

Podeszła sztywno do łóżka, pochyliła się, przelotnie cmoknęła matkę w policzek i szybko się cofnęła.

Jolene odprowadziła je wzrokiem, machając na pożegnanie sprawną lewą ręką. Betsy jako jedyna nie przystanęła przy drzwiach, nie odwróciła się ani nie uśmiechnęła.

Michael zwlekał z wyjściem.

- Dom jest prawie gotowy - odezwał się. - Twój przyjaciele z Gwardii pomogli mi zbudować rampę. Gabinet przemeblowaliśmy na sypialnię. Żadnych schodów.

- Chciałeś separacji.

-Jo, daj spokój. Proszę. Staram się.

No tak, znowu ty na pierwszym planie. Westchnęła, nagle zbyt zmęczona, żeby się spierać, udawać, cokolwiek czuć. Ten dzień źle się zaczął, a kończył się jeszcze gorzej i nie było widać końca. Sądziła, że najgorsza była amputacja, tymczasem pojawiło się coś jeszcze - ta

dziwna emocjonalna drętwota. Chciałaby jeszcze raz przejść przez całe powitanie i okazać się lepszą matką.

- Do widzenia, Michaelu. - Ciągłe mnie wyganiaasz.

Roześmiała się gorzko. Śmiech przeszedł w szloch. Odrzuciła pled i pokazała mu nogę - opuchniętą, odciętą nieco powyżej kolana, owiniętą gazą i elastycznym bandażem.

- Popatrz na to, Michaelu. Popatrz na mnie. Współczucie i żal w jego oczach odbierały jej siłę. -Jo...

- Idź już, Michaelu. Proszę. Jestem zmęczona.

- Matka ciosała mi kolki na głowie za to, że cię zostawiłem w Niemczech. Podobno u kobiet „odejść” znaczy „zostań”.

-Nie w przypadku tej kobiety. Odejść znaczy odejść.

Chciała spleść ramiona na piersi i westchnąć dramatycznie, lecz niestety, miała tylko jedną zdrową rękę. Podciągnęła nią pled i przymknęła powieki.

Słyszała, jak podchodzi do niej. Poczowała jego oddech na policzku, kiedy się pochylił i pocałował ją w skroń. Po tym ciepłym geście łzy zakręciły jej się pod powiekami. Przełknęła głośno ślinę, lecz się nie odezwała.

Michael wyszedł, a ona nareszcie została sama.

Długo nie mogła zasnąć.

Jo, nie zostawiaj mnie...

Tami krzyczy, płacze... krew sączy się jej z nosa, z ust... z oczu. Jolene próbuje się do niej dostać, pochwycić ją i wtedy gdzieś w pobliżu wybucha bomba. Czarna noc, błyski pocisków, grad szrapneli. Nie może znaleźć Tami. Słyszy krzyk Smitty'ego. Coś go przygniotło. Jolene nawołuje ich, krztuszając się dymem, czołga się po piasku, szuka...

Obudziła się, dysząc z bólu. Miała wrażenie, że ktoś wykręca jej stopę, a kości z trzaskiem stawiają opór.

Zdrową ręką uchwyciła się drążka nad łóżkiem i podciągnęła do siadu. Sapiąc z wysiłku, wpatrywała się w płaskie miejsce pod pledem.

- Ciebie nie ma! - krzyknęła. - Nie masz prawa boleć!

Z zaciśniętymi zębami opadła na poduszkę, wbijając wzrok w nakrapiany dźwiękochłonny sufit. Łzy szczypały w oczy. Może gdyby wypłakała się raz, a dobrze, przestałyby wreszcie płynąć. Ale co jej przyjdzie z tego płaczu? Prędzej czy później wytarłaby oczy i znowu patrzyła na puste miejsce po nodze.

- Wiesz, to się często zdarza.

Z westchnieniem odwróciła głowę w stronę głosu. Ponad poduszką zobaczyła czarnego mężczyznę w drzwiach i wiedziała, po co przyszedł. Żeby jej pomóc.

- Odejdź, Conny - poprosiła. Nie posłuchał i wszedł do pokoju.

Po drodze wyjął coś z kieszeni, chyba recepturkę, i ściągnął siwe dredy w kucyk. Brylantowe kolczyki zamigotały w ciemnych muszelkach uszu.

- Nie wszyscy faceci chodzą w różowych kombinezonach - zauważyła drwiąco.

- Nie wszystkie kobiety pilotują helikoptery. - Stanął nad łóżkiem. - Mogę?

- Co: możesz?

- Pomóc ci usiąść - wyjaśnił łagodnie. Przełknęła ślinę i spojrzała mu w twarz. Współczucie

malujące się w jego czarnych oczach bolało tak samo jak nieistniejąca noga.

- Odejdź - wychrypiała.

- Masz zamiar tak leżeć i uzalać się nad sobą?

- Taak.

Dokładnie tego chciała i jeszcze żeby wszyscy zostawili ją w spokoju. Całe życie była Pollyanną, wierzyła w moc pozytywnego myślenia i co jej z tego przyszło? Tami leżała nieprzytomna, jej małżeństwo się sypało, a ona nie mogła o własnych siłach nawet wstać z łóżka.

Conny otoczył ją ramieniem, podciągnął do siedzącej pozycji i wygodnie podparł poduszkami.

Tylko z początku się opierała, bo przygnębienie zubożyło ją na wszystko, co się wokół niej działo.

Conny odsunął się na tyle, aby okazać uprzejmość, lecz nadal okupował jej prywatną przestrzeń.

- Jak powiedziałem, to się często zdarza.

Nie miała ochoty na rozmowę, lecz była przekonana, że w przypadku tego człowieka uparte milczenie na nic się nie zda.

- No dobra. Co się często zdarza?

-Ból amputowanej nogi. Podobno bardzo dziwne uczucie. Umiejscawia się w stopie. Przyciągnął jej uwagę.

- Taak. Jak mam zapomnieć o nodze, skoro nadal mnie boli?

- Nie sądzę, abyś szybko o niej zapomniała, prawda? -Nie.

- To przecięte nerwy. Są tak samo zagubione jak ty. Nic im nie pasuje. Szukają stopy.

- Ja też.

- Mogę ci pomóc radzić sobie z tym bólem, dopóki nerwy kompletnie się nie zagoją. Nauczyć cię podstawowych technik relaksacyjnych. Ćwiczenia i gorąca kąpiel też dobrze robią.

- Dobrze robiła morfina. Zaśmiał się.

- Żołnierko, nie będziemy cię tu faszzerować morfiną. Tego nie da się przespać.

- Pewnie masz lepszy pomysł.
- Jasne. Jaką fizykoterapię zaczęli z tobą z Niemczech?
Uniosła rękę w gipsie.
- A jak myślisz? Czym mam trzymać kule? Ściągnął brwi, udając, że się zastanawia.
- No. Od tego chyba nie zaczniemy.
- Posłuchaj, Conny, fajnie mi się z tobą rozmawia, ale mam już dość. Źle spałam w nocy i jestem wyczerpana. Może przyszedłbyś kiedy indziej?
- Teraz tu jestem.
- Proszę cię, żebyś wyszedł. Właściwie żądam.
- Chwileczkę. Czy coś ci się nie pomyliło, żołnierko? Myślisz, że jesteśmy w jakimś cholernym helikopterze, a ja należę do załogi?
- Posłuchaj, Co...
- Nie, to ty posłuchaj. Jak mówi moja wnuczka, nie będziesz mi rozkazywać. Tutaj ja rządę. Twoja rodzina płaci kupę kasy za to, żeby cię usprawnić, i dokładnie tak właśnie się stanie.
- Nie mogę się ruszać. Dociera to do ciebie?
- Wiem. - Uśmiechnął się. - Mam twoją kartę. Poza tym widzę puste miejsce pod pledem i rękę w gipsie. Nie każę ci się ruszać. Jeszcze nie.
- No to czego chcesz?
- Na razie tylko zacząć. Myślałem, że chcesz jeszcze latać helikopterem.
- Zamierzasz wyhodować mi nogę, jak się w dzieciństwie hodowało roślinkę z fasolki na szklance z wodą przykrytej gazą?
Roześmiał się, rozbawiony.
- A podobno miałaś być sympatyczna.
- No jasne. Straciłam część siebie. To, co sympatyczne, znikło razem z tą częścią.

- Powiem ci, co zrobimy. Zaczniemy od *najłatwiejszej rzeczy*, od tego, co dasz radę zrobić.

- Od gry w klasy?

- Pokażę ci, jak bandażować nogę. Odpowiedni ucisk łagodzi ból. To trochę przypomina opatulanie niemowlaka.

Usiłowała odsunąć się od niego, lecz nie miała dokąd.

- Nie. Odejdź.

Oparł rękę na zagłówek i pochylił się nad nią. Krzywo związany kucyk opadł mu na ramię.

- To normalne, że nie chcesz na to patrzeć, ale to część ciebie, Jolene. Twoje ciało. Musisz się nauczyć, jak o nie dbać. Zaczniemy powoli.

- Nie chcę tego widzieć. Idź już sobie - poprosiła, tym razem cicho. Oddychała płytko, ogarnięta paniką.

Conny odepchnął się od zagłówka i przesuwał się ku nogom, rolował pled.

Usiłowała przytrzymać nakrycie za brzeg, lecz nie ustąpił.

Teraz widziała spodnie od pizamy. Jedna nogawka kończyła się normalnie wyglądającą, bladą stopą; spod drugiej, rozciętej, wystawał potwornie opuchnięty, zaokrąglony na końcu, obandażowany walek.

- Oddychaj głęboko - poradził Conny. - Nie... mogę.

- Jolene, spójrz na mnie - polecił.

Bezwiednie zacisnęła palce zdrowej dłoni. Nie mogła złapać powietrza.

- Patrz na mnie.

Stanął nad tym, co pozostało z jej nogi - nad „dolną prawą kończyną po częściowej amputacji”, jak określano to coś w medycznym żargonie, unikając odrażającego słowa „kikut”.

Możesz - wmawiała sobie zrozpaczona. Dasz radę, tylko nie odwracaj oczu. Najgorszy jest pierwszy raz. Ale to mówiła tamta dawna Jo, cichym głosem, który łatwo było zignorować.

Conny powoli odwijał elastyczny bandaż. Wiedziała, że nie spieszy się celowo, dając jej czas na przełamanie się.

Bała się, że zwymiotuje. Opanuj się, Jo. Wytrzymaj. Wbiła paznokcie w zaciśniętą dłoń. Czuła, że się poci.

Conny zdjął bandaż i odłożył zwinięty na prześcieradło obok zdrowej nogi. Teraz pozostał już tylko lekki opatrunek. Widziała przez gazę opuchniętą, zasinioną skórę z purpurowymi wybroczynami. Zaciśnęła powieki.

-Jo?

- Nie patrzę - wyszeptała. - Nie mogę.

- Oddychaj. I tylko słuchaj, co mówię. Zrobię ci masaż, dobrze? To pobudza krążenie. Kiedy będziesz gotowa, pokażę ci, jak sama możesz go robić.

Wzdrygnęła się z obrzydzenia, kiedy jej dotknął. Z zaciśniętych ust wydobył się dźwięk podobny do szlochu.

- Oddychaj, żołnierko.

Westchnęła spazmatycznie. Coraz wyraźniej czuła, jak pod naciskiem jego palców rozluźniają się napięte mięśnie. To było jak magia. Ramiona jej opadły, pięść się rozwarła, a głowa lekko zwiśla na poduszce.

- No wystarczy - powiedział. Jeszcze chwila, a pewnie by zasnęła.

- Jolene, możesz już otworzyć oczy.

- Jest zakryta?

- Tak. Jesteś zakryta - poprawił ją z naciskiem. Uniosła powoli głowę i otworzyła oczy. Elastyczny bandaż, teraz ciaśniej owinięty, przytrzymały dwie

metalowe zapinki, przypominające ułożeniem oficerskie naszywki.
- Dzięki - powiedziała. - Zdecydowanie mniej boli.
- Uwierz mi, Jolene. Będzie coraz lepiej.
- Wcześniej nie byłam taką jędzą.
- Ne jesteś jędzą - powiedział, stając nad nią. - Po prostu się boisz.
Moja żona... ta dopiero potrafi napsuć krwi. - Uśmiechnął się. - Ale kocham ją jak wariat.

- Kiedyś też nie czułam strachu.

- Okłamujesz sama siebie. Wszyscy się czasem boimy.

Nie znalazła odpowiedzi. Przez całe lata okłamywała siebie w różnych sytuacjach albo przymykała oczy na pewne sprawy. Według niej to był jedyny sposób, aby przeżyć. I dobrze - bo nie potrafiła zmierzyć się z własnymi lękami. Obnażały jej prawdziwe życie, podobnie jak Conny, odwijając ranę, odsłonił ból i brzydotę.

Zakończenia nerwowe; powiedział, że to przez nie ten ból. Sprawy, które zostały odcięte lub zakończyły się niespodziewanie - małżeństwo, śmierć rodziców - nigdy nie przestaną boleć.

Wiedziała, że Conny oczekuje od niej, iż okaże się silna, będzie się bardziej starać, odzyska sprawność. Ale ona nie chciała niczego odzyskiwać. Chciała być dawną Jolene i żyć tak jak kiedyś, a niestety, jedno i drugie należało do przeszłości, odcięte jak amputowana noga.

- Tylko się postaraj. O nic więcej nie proszę. Postaraj się. Znaczy to samo co „uwierz”. Raz na zawsze z tym skończyła.

- Conny, idź już - westchnęła, zamykając oczy.

PAŹDZIERNIK

Za oknem deszcz. Gdziekolwiek spojrzę, łzy. Dzieje się ze mną coś niedobrego i nie mówię tu o amputacji.

Jestem słaba psychicznie, rozczulam się nad sobą i chociaż mi wstyd, nie potrafię wziąć się w garść. Conny przychodzi do mnie zawsze z tym swoim szerokim uśmiechem i mówi, że muszę się jedynie zmobilizować. Pokazuje mi zdjęcia kobiet na protezach grających w tenisa. Wiem, co chce dać mi do zrozumienia, naprawdę wiem, ale mnie to nie rusza. Jakim prawem mam chodzić, kiedy Tami walczy o życie, a Smitty leży ileś metrów pod ziemią i nigdy więcej się nie uśmiechnie ani nie powie: „Hej szefowo, może zagramy w karty?”.

Jestem tu od ośmiu dni, Michael odwiedza mnie prawie codziennie. Kiedy przychodzi, udaję, że śpię. Leżę z zamkniętymi oczami i słucham jego oddechu. Tchórz ze mnie. Wcześniej taka nie byłam. Nigdy nie przyprowadza dziewczynek. Wiem dlaczego. One się boją. Spojrzą na mnie i poznają, że się zmieniłam. Będą się zastanawiać, czy ich życie wróci jeszcze do normy. Nawrzeszczałam na Betsy, kiedy niechcący szturchnęła mnie w nogę. Nie chciałam, ale jakoś tak wyszło i jak mogę teraz to zmienić? Wiem, że powinnam podtrzymywać je na duchu, a jednak nie potrafię. To jest poza mną. Za każdym razem, kiedy o nich myślę, zbiera mi się na płacz.

Może wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym lepiej sypiała. Po nocach dręczą mnie koszmary. Słyszę głosy mojej załogi. Widzę, jak Tami wyciąga do mnie ręce. Jest tak fatalnie, że boję się zmrużyć powieki.

Michael siedział w skórzanym fotelu i przez okno gabinetu patrzył na ponury październikowy dzień. Była dziesiąta czterdzieści dwie rano. Dziewiąty dzień od powrotu Jolene.

O tej porze ma rehabilitację; uczy się rzeczy, które kiedyś były dla niej oczywiste.

-Michaelu - W interkombie odezwał się głos asystentki. - Przyszedł doktor Cornflower.

- Poproś - polecił, podnosząc się od biurka. Lekarz wszedł do kancelarii.

- Cześć! - Michael starał się skupić myśli na sprawach zawodowych. - Dzięki, że przyszedłeś.

Chris wetknął niesforny kosmyk włosów w niedbale zebrany kucyk. Dzisiaj miał na sobie czarny T-shirt, zamszową kamizelkę z frędzlami i obszerne spodnie bojówki, a na nogach czarne plastikowe chodaki. Zdjął przewieszoną przez ramię drogą skórzaną listonoszkę, wyciągnął ze środka zielony folder i położył go na biurku.

- Nie ma najmniejszych wątpliwości, że Keith Keller cierpi na ostry przypadek zespołu stresu pourazowego i prawdopodobnie w chwili zabójstwa żony był w stanie dysocjacyjnym.

-1 zeznasz to w sądzie?

Chris usiadł, zakładając nogę na nogę.

- Jasne.

- W garniturze? -Uśmiechnął się.

- Nie uwierzysz, jak godnie się w nim prezentuję.

- Świetnie. A teraz powiedz mi, co powinienem wiedzieć - poprosił Michael, wracając za biurko.

-Przygotowałem dla ciebie szczegółowe sprawozdanie, skupię się więc na najistotniejszych sprawach. Przede wszystkim musisz wiedzieć, jak dochodzimy do diagnozy. Zaczynamy od pytań, które mają na celu ustalenie, czy pacjent był świadkiem lub uczestnikiem zdarzenia, w którym doszło do poważnych obrażeń lub śmierci. Najczęściej w grę wchodzić mogą improwizowane ładunki wybuchowe, ostry ostrzał z broni raketowej lub moździerzy, postrzelenie, poczucie winy za śmierć cywila lub przeciwnika, widok poranionych kolegów lub ich szczątków. Oczywiście z największą traumą mamy

do czynienia w przypadku żołnierzy, na których oczach ich przyjaciele zostali poważnie ranni lub ponieśli śmierć. Jak wiesz, jednostka Keitha brała udział w jednych z najcięższych walk tej wojny. Rebelianci strzelali do nich niemal non stop. W pierwszym roku na misji zginęło sześćdziesięciu czterech żołnierzy z jego brygady. Natomiast zapewne nie wiesz, że Keitha często wyznaczano do sekcji zajmującej się zbieraniem fragmentów ciał. Ciał jego kolegów.

- Jezu! - Michael westchnął.

- Myślę, że przyczyną nieszczęścia był ten wypadek na rynek. Tłum, zamieszanie obudziły w nim agresję. Liczył, że alkohol pomoże mu się uspokoić, jednak tak się nie stało. Kiedy podszedł do niego tamten bezdomny, zareagował tak, jak go wyszkolono. Zaatakował. Keith nie pamięta, co stało się w domu, lecz zakładam, że musiał pojawić się jakiś bodziec - nie wiem - może nagły hałas czy błysk, który wywołał wrażenie wojny. W stanie dysocjacyjnym pojawiła się wytrenowana reakcja - bronił się i zabił żonę.

- Czy osoba cierpiąca na tego rodzaju zaburzenia dysocjacyjne może w ogóle myśleć racjonalnie?

- Jeżeli pytasz mnie, czy taka osoba działa z premedytacją, moja odpowiedź brzmi: nie. Twierdzę stanowczo, że Keith Keller absolutnie nie miał zamiaru zabić żony.

Zamyślony Michael odchylił się na oparcie.

- To dobry człowiek, Michaelu. Po prostu jego umysł nie jest w stanie poradzić sobie z tym, co widział i przeżył. Skazanie go na dożywocie byłoby wielką tragedią zarówno dla niego, jak i dla rodziny. On wymaga leczenia w szpitalu psychiatrycznym.

Michael otworzył akta.

- Wiesz, że według specjalistów z Departamentu do spraw Weteranów Keith cierpiał na lekką nerwicę lęko-

wą? Nie zdiagnozowano u niego zespołu stresu pourazowego.

- Departament do spraw Weteranów. - Chris z ubolewaniem pokręcił głową. - Lepiej nie mówić o zaniedbaniach władz wobec naszych żołnierzy. W kręgach wojskowych PTSD utożsamia się ze słabością lub tchórzostwem. W końcu jednak decydenci będą musieli przejrzeć na oczy, tym bardziej że nasze oddziały służą czasami na kilku zmianach z rządu. Należy zmusić władze, aby wreszcie zajęły się potrzebami żołnierzy tu, w kraju. Musimy sprawę Keitha przedstawić we właściwym świetle i zdjąć z niego piętno przestępcy. To bardzo ważny proces, Michaelu. Niewykluczone, że pomożesz innym rozstrojonym psychicznie żołnierzom i ocalisz komuś życie.

- Jak dotąd nie natrafiliśmy na sprawę, gdzie PTSD stanowiło podstawę do uniewinnienia.

- W takim razie ta będzie precedensowa. - Chris się uśmiechnął.

Michael pokiwał głową, zapatrzony w okno, za którym deszcz, rozpylony jak mgła, rozmywał zarysy wysokościowców. Zupełnie jak łązy - pomyślał.

Nagle zrozumiał, jakie ta sprawa ma dla niego znaczenie, dlaczego jest tak istotna.

- Moja żona - zaczął powoli - straciła tam nogę. Jeden z członków załogi zginął. Jej serdeczna przyjaciółka leży w śpiączce. W każdym razie Jolene wróciła nie ta sama. Zrobiła się niecierpliwa w stosunku do dzieci, a przecież wiem, że kocha je ponad wszystko. Chcę jej pomóc, lecz nie mam pojęcia jak.

W kancelarii zapadła cisza. Michael czuł, że Chris przygląda mu się badawczo.

-Była pilotem wojskowego helikoptera, tak? - Lekarz pierwszy przerwał milczenie.

- Tak - potwierdził Michael, odwracając się do niego. - Czy to ma jakieś szczególne znaczenie?

- Z ciebie jest stuprocentowy cywil. - Chris uśmiechnął się pobłażliwie. - To znaczy, że twoja żona jest twarda. To silna kobieta, która przez całe życie wyrywa systemowi to, co on nie bardzo chce jej dać.

- Cała Jo.

- Takie kobiety niechętnie proszą o pomoc.

- Cały czas mnie odpycha.

- Oczywiście. To zachowanie typowe dla wojskowych. Już taką mają mentalność; bądź nieugięty, nie zdawaj się na innych, doprowadź zadanie do końca. Nie odpuszczaj, Michaelu. Ona cię teraz potrzebuje, nawet jeśli sobie tego nie uświadamia. I obserwuj, czy nie ma u niej objawów PTSD, takich jak nocne koszmary, bezsenność, nadpobudliwość, nagłe napady gniewu czy popadanie w odrętwienie.

- Dziękuję, Chris.

Tym razem pierwszy podniósł się lekarz. Uścisnęli sobie dłonie na pożegnanie.

Psychiatra podszedł do drzwi, otworzył je i odwrócił się jeszcze, przystając na progu.

- A tak przy okazji, poliester czy sztruks? -Co?

- No, ten garnitur.

- Nie rozumiem...

- W takim razie Hugo Boss. - Wyszczrzył zęby W uśmiechu i zamknął za sobą drzwi.

Następnego dnia Michael przebudził się wcześniej po którejś z rzędu kiepsko przespanej nocy. Wstał półprzytomny, a gorący prysznic, zamiast go orzeźwić, jedynie pogłębił uczucie zmęczenia. Nałożył te same rzeczy, które miał na sobie wczoraj, bo prościej było zdjąć je z oparcia krzesła niż szukać świeżego zestawu w szafie. Ostatnio jego ubrania wały się po całej sypialni: zwisały z krzeseł, tworzyły sterty na podłodze i leżały przerzucone przez kufer w nogach łóżka. Po drodze zapukał do sypialni Betsy.

- Ubieraj się, śniadanie za dziesięć minut - oznajmił, uchylając drzwi. Potem poszedł obudzić Lulu. Jej pokój wyglądał tak, jakby wybuchła w nim bomba złożona z ubrań i zabawek. Powinien ją uczyć sprzątanía, lecz szczerze mówiąc, szybciej szło, gdy robił to sam. Każdego ranka miał takie postanowienie, a wieczorem brakowało mu konsekwencji. Na szczęście raz w tygodniu przychodziła pomoc domowa, bo inaczej dom zmieniłby się w chlew.

- Lulu, czas wstawać!

Nachylił się i pocałował córkę w policzek, po czym

wyjął ją z łóżka i zaniósł do łazienki, czekając całą wieczność, aż umyje zęby.

- Jestem już dużą dziewczynką - oznajmiła z dumą, kiedy wreszcie skończyła.

- Co dziś wkładasz do szkoły? - zapytał.

Ostatnie miesiące nauczyły go, że mówienie dziewczynie, w co ma się ubrać, nawet jeśli ta dziewczyna nie jest większa od kija do golfa, to kiepski pomysł, bo może się skończyć melodramatem.

Lulu stanęła na środku pokoju i wsparta pod boki rozglądała się w skupieniu po bałaganie.

Michael po cichu liczył do dziesięciu.

W końcu wybór padł na różowe spodnie w stokrotki i niebieski T-shirt z aplikacją z *Toy Story*. Zielone skarpetki w paski dodane do tego zestawu budziły skojarzenia ze strojem clowna, ale wolał zatrzymać ten komentarz dla siebie. Zeszli razem na parter. W kuchni sprawdził rozpiskę posiłków przygotowaną przez Jolene - kolejna rzecz, która jak się okazało, ułatwiała mu życie. Kiedy zajął się przygotowywaniem francuskich tostów, Lulu nakrywała do stołu. Pracowali w zgodnej ciszy, zakłócanej jedynie pobrzękiwaniem rozkładanych sztućców.

Nalewał sobie drugą filiżankę kawy, gdy Betsy weszła do kuchni.

- Jakaś dziennikarka znowu mówi o mamie i Tami - poinformowała go.

Nie był zaskoczony. W ostatnim tygodniu w lokalnych wiadomościach na okrągło wałkowano temat dwóch przyjaciółek pilotek, których helikopter został zestrzelony.

- Siadaj do stołu - powiedział jedynie.

Kiedy dziewczynki jadły tosty, on, sącząc kawę, układał w myślach plan dnia. Mieli już wystarczająco

bogaty materiał w sprawie Kellera i w tej chwili powinien się skupić na opracowaniu strategii procesu. Tymczasem to Jolene nie schodziła mu z myśli. Czuł, że ją zawodzi. Może oni wszyscy sprawiali jej zawód. Betsy chodziła naburmuszona i milcząca, przekonana, że obrażenia matki odbiły się na niej w nieodwracalny sposób, który na zawsze zmieni ich życie. Co gorsza, była na nią zła. Zła, że pojechała na wojnę, zła, że została ranna i że wróciła do domu odmieniona.

O ósmej dwadzieścia dziewczynki siedziały już w szkolnym autobusie, a Michael zjeżdżając z promu, skierował się na północne obrzeża Seattle.

Piętnaście minut później zaparkował przed centrum rehabilitacyjnym. Pospiesznie sięgnął po płaszcz z tylnego siedzenia i przerzucając go przez ramię, wszedł do środka.

- Pan Zarkades?

To fizykoterapeuta wyszedł mu na spotkanie. Jak zawsze miał na sobie luźny różowy kombinezon, a siwe dredy podskakujące w rytm kroków upodabniały go do humanoida z *Predatora*.

- Cześć, Conny! - przywitał go. - Jak Jolene? Założę się, że nie daje ci wypocząć.

- Niestety, nie. -Jak to?

- Odmawia wstawania z wyjątkiem wyjść do toalety. Ogranicza je do minimum, bo potrzebuje przy tym pomocy. Nie chce się nauczyć dbania o nogę. Nawet na nią nie spojrzy. Naturalnie takie zachowanie mieści się w normie. Akceptacja siebie może potrwać lata. Ale ona nawet nie próbuje.

- Jolene nie próbuje? - Zasepił się.

- Ona cierpi - wyjaśnił Conny. -1 nie z powodu nogi. Ja to rozumiem, lecz minęło już dziesięć dni i powinniśmy rozpocząć rehabilitację.

Michael pokiwał głową i ruszył jasnym, długim korytarzem do pokoju Jolene. Zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

Siedziała na łóżku, bezmyślnie patrząc na ekran telewizora. Nieuczesane, długie, jasne włosy, ciemniejsze u nasady, opadały bezładnie na ramiona. Widział, jaka jest blada, jak bardzo schudła. Kości policzkowe sterczały pod skórą niczym ostrza noża, usta, pozbawione koloru, były spękane. Ciemne cienie pod oczami świadczyły o bezsennych nocach. Nawet nie zwrócił uwagi na puste miejsce pod kocem. Patrzył na nią, na swoją żonę.

Była wystraszona; teraz to widział. I zrezygnowana.

- Conny mówi, że odmawiasz rehabilitacji - odezwał się, zamykając za sobą drzwi i podchodząc do łóżka.

- Wyjdź, Michaelu.

- Jo, nie poddawaj się.

Odrzuciła pled, pokazując obandażowany kikut. Nadal był spuchnięty.

- Teraz się poddałam.

Serce ścisnęło mu się z bólu, kiedy usłyszał drzenie w jej głosie. Pragnął to powiedzieć, przekonać ją, że rozumie jej cierpienie, lecz przecież tak bardzo się od siebie oddalili. Nie zechciałaby tego słuchać.

- Czemu przychodzisz? - spytała.

- Bo cię kocham, Jolene.

- Myślisz, że nie widzę w twoich oczach litości? Sądzisz, że nie wiem, że przychodzisz tu, bo musisz? Stałam się dla ciebie obowiązkiem.

Przełknął głośno ślinę. Trudno, zasłużył na jej gniew i musi się z tym pogodzić. Teraz są ważniejsze sprawy od kryzysu w ich małżeństwie.

Nie odpuszczaj - zabrzmiały mu w uszach słowa Cornflowera.

Miał rację. Jeżeli chce odzyskać żonę, a chce, musi o nią walczyć. A nie będzie łatwo.

- Dość - powiedział ostro. - Nie mówimy tu o tobie. W grę wchodzi życie nas wszystkich. Postępujesz egoistycznie.

- Jak śmiesz tak do mnie mówić?

- Nie możesz leżeć bez końca, pogrążona w żalu po tym, co straciłaś.

- Masz na myśli: po tym, co mi odcięto. No, powiedz to. Przyjrzyj się, Michaelu.

- To ty chciałaś latać. Ty, Jo. Chciałaś walczyć, jechać na wojnę, pokazać, co potrafisz. I pokazałaś. A teraz jest tak, jak jest.

Pobladła.

- Zamknij się!

- Pamiętam te wszystkie opowieści o obozach szkoleniowych i historie ze szkoły lotniczej o tym, jak to mężczyźni wchodzili do twojego blackhawka i na widok końskiego ogona twierdzili, że nie mają zamiaru latać z kobietą. Mówiłaś, że potem musieli odszczekiwać te komentarze. Że byłaś twardzielką.

Chwyciła z szafki przy łóżku plastikowy dzbanek i cisnęła nim w Michaela. Przeleciał tuż obok jego głowy i odbił się od ściany, ochlapując go wodą.

- Wynoś się z mojego pokoju! Jesteś ostatnią osobą, która może mi pomóc!

- Jo... - Wyjdź!

- Dlaczego? Żebyś znowu mogła bez przeszkód uważać się nad sobą?

- Ty nie masz pojęcia, co czuję.

- Jo, chcę cię odzyskać. A jeśli to nie ma dla ciebie znaczenia, pomyśl o dziewczynkach. One ciebie potrzebują.

Na wspomnienie córek zapadła się w sobie. Chciał jeszcze coś dodać, mocniej nacisnąć, ale widząc ją taką przegraną, powstrzymał się od tego.

Z ciężkim westchnieniem wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Conny czekał na niego na korytarzu. Stał oparty o ścianę ze splecionymi na piersi muskularnymi, ciemnymi ramionami.

- W gorącej wodzie kąpana ta nasza żołnierka - zauważył. - Jak poszło?

- Nie chce mnie widzieć.

- Czy Jolene decyduje o tym, kto wchodzi do pokoju? - rzucił zamyślony. - Rozumiesz, kobitka nie może wstać z łóżka, Trzeba ją jakoś zmotywować, nie?

Michael popatrzył z uwagą na rehabilitanta.

- W dzieci by chyba niczym nie rzucała, co?

Conny błysnął zębami w uśmiechu.

-Niee. Nie sądzę.

W sobotę Jolene ze swojego łóżka obserwowała przez otwarte drzwi procesję rodzin ciągnącą korytarzem z balonikami i z kwiatami. Odwiedzający rozmawiali z ożywieniem z pacjentami.

Wcześniej zdążyła wyrzucić Connyego z pokoju i próbowała czytać książkę. Ale nie potrafiła skupić się na treści. W końcu poddała się i przymknęła oczy.

W ułamku sekundy znalazła się z powrotem w pikującym blackhawku.

„Dostaliśmy. Tami...”.

Otworzyła oczy. Boże, była już tym znużona. Znużona bólem, znużona koszmarami... po prostu znużona.

- Cześć, Jolene.

Odwróciła nieco głowę i w drzwiach zobaczyła Con-

ny'ego. Zanim zdążyła mu powiedzieć, żeby spadał, wysunął się z za niego Michael z dziewczynkami. Weszli razem, on opiekuńczym gestem trzymał dłonie na ich ramionach. Lulu była w połowym mundurku, który dla niej uszyła w zeszłym roku, a do kołnierzyka miała przypiętą odznakę ze skrzydłami. Czarne włosy skręcone w pierścionki okalały drobną buzię. Uwagę przyciągały fatalnie dobrane skarpetki.

- Cześć, mamuś! - Lulu z promiennym uśmiechem ruszyła prosto do łóżka i zatrzęsała nim, chwytając za szczebelki. - Tata powiedział, że musimy być małymi, dobrymi żołnierzami, żeby ci pomóc wyzdrowieć. Ja jestem gotowa. Widzisz? - Okręciła się wokół własnej osi, prezentując strój.

Michael poklepał Betsy po ramieniu i lekko wypchnął do przodu. Przesunęła się z ociąganiem.

- Cześć, mamó.

Nie patrzyła na Jolene. Stała z pochyloną głową, włosy zasłaniały twarz.

Jolene popatrzyła w jej pełne żalu i gniewu oczy.

- Przepraszam, że wtedy na ciebie nakrzyczałam - powiedziała cicho.

Betsy wzruszyła ramionami, uciekając spojrzeniem w bok. Wyraźnie nie wiedziała, gdzie patrzeć; czy na ciągle jeszcze opuchniętą i zasinioną twarz matki, czy na miejsce, gdzie powinna być noga.

- Nie szkodzi - mruknęła.

Jolene nie miała pojęcia, jakie słowa mogłyby zatrzeć tamto złe wspomnienie. Niezręczną ciszę przerwał Michael.

-Conny stwierdził, że potrzebujesz motywacji, aby rozpocząć rehabilitację. Pomyślałem, że nie zrobisz zawodu dziewczynkom. One wiedzą, że to będzie dla ciebie ciężka praca, czasem ponad siły, i bardzo chcą ci pomóc.

- Chcemy pomóc! - gorliwie zawtórowała Lulu, aby dowieść, że rozumie, na czym polega plan. - Tak jak nam pomagasz, kiedy śni się nam coś złego.

Jolene domyśliła się, jak musiał wyglądać poprzedni wieczór w domu. Michael zawołał dziewczynki i powiedział im, że mama cierpi, jest przestraszona i potrzebuje ich pomocy.

Ból, jaki czuła, patrząc na córki, utrudniał oddychanie. Wiedziała, na co liczy Michael; ma nadzieję, że znowu będzie taką kobietą, jaką była, zanim to wszystko się wydarzyło. Ale, niestety, tamtej kobiety już nie ma. Zestrzelona, umarła na pustyni.

Lulu zdjęła plecaczek z Królem Lwem. Grzebała w nim przez chwilę, po czym wyciągnęła ze środka żółty kocyk - bardzo ważny, który gładziła, jeszcze ssąc kciuk.

- Weź, mamusiu - powiedziała uroczystym tonem, podchodząc do łóżka. - Daję ci go.

Serce Jolene jakby się otworzyło. Tak, teraz czuła. Przez moment czuła tamtą miłość, która kiedyś ją przepełniała. Wzięła smętny, zmechacony kocyk, pamiętając, jak ślicznie się prezentował w łóżeczku Lulu. Obudziło się w niej pragnienie, aby to wszystko odzyskać: swoje życie, zdolność kochania, macierzyńską czułość.

- Dziękuję, Lucy. Będę bardzo na niego uważać.

- Ale oddasz mi go z powrotem, jak wyzdrowiejesz, tak?

- Oczywiście.

Cała trójka patrzyła na nią wyczekująco. No, Jo, postaraj się. Potrafisz udawać. Wreszcie zmusiła się do uśmiechu. Nie zawiedzie dzieci.

- No dobra, Conny. To co mam robić?

- Znasz odpowiedź, Jolene. Zacznieś od nauki bandażowania nogi. Skinęła głową, walcząc z przykrymi sensacjami w żołądku.

- Niech będzie. Ale dzieci nie muszą przy tym być. -Czemu nie? - podchwycił Michael, stając przy łóżku.

- Nie powinny tego oglądać - powiedziała, patrząc na niego błagalnie. Widziała, że on też się boi.

- Tego? Chcesz powiedzieć: ciebie, Jo? Rozmawialiśmy o rym- ~ Ruchem głowy wskazał córki. - To też ty, a my cię kochamy i wiemy, że cierpisz. I nie boimy się. Bardziej przeraża nas to, czego nie widać.

-Jak złe sny i potwory w szafie - dopowiedziała Lulu. - Zapalasz światło i puf, już ich nie ma i jesteś bezpieczna.

Jolene, nie odrywając oczu od Michaela, bezgłośnie powiedziała: proszę.

Zostajemy - wyczytała z ruchu jego warg.

Conny zajął miejsce przy środkowej części łóżka, naprzeciwko rodziny, i odrzucił pled. Jolene zauważyła, że Betsy wzdrygnęła się i ukradkiem zaczęła wycofywać się ku drzwiom.

Jolene zaciskała zęby, gdy ciemne palce powoli odwijają elastyczny bandaż.

- Widzisz, jak wzór układa się w ósemki? W ten sam sposób musisz potem zawinąć nogę. W miarę ciasno, wtedy będzie mniej puchła.

Spod bandaża wyłonił się biały gazowy opatrunek.

Mięła nerwowo kocyk. Michael nakrył ręką jej dłoń.

Zemdliło ją na widok nogi. Pierwszy raz widziała ją odsłoniętą. Była ogromna, spuchnięta. Ohydna. Z trudem powstrzymała łzy cisnące się do oczu.

- Muszę do łazienki - oznajmiła lub raczej wyrzęziła Betsy i uciekła z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

- Wygląda jak piłka - skomentowała Lulu, oglądając kikut z zaciekawieniem.

Michael nie spuszczał wzroku z żony; w jego oczach odbijały się jej własne emocje: strach, poczucie straty, smutek i żal.

- Jolene, zaczynamy - odezwał się Conny. Wstrzymała rwący się oddech i *powoli*, z wahaniem

pochyliła się, biorąc do ręki gazowy opatrunek podsunęty przez rehabilitanta.

- Ostrożnie - instruował ją, prowadząc jej rękę i pokazując, jak zawijać bandaż.

Skóra była napięta i wrażliwa; jakby nie jej. Żółć zapiekła ją w gardle, przełknęła ślinę, walcząc z obrzydzeniem.

Dla Betsy i Lulu - powtarzała w myślach. Udawaj, że to nic takiego, że nie boli i że nie bierze cię na wymioty. Bądź z powrotem ich mamą.

Zawinęła ciasno nogę, zamocowała bandaż metalowymi zapinkami i szarpnięciem podciągając pled, wyprostowała się z oczami piekącymi od łez.

- Świetna robota - pochwalił Conny. - Super. - Popatrzył na Lulu. - Ty i twoja mama jesteście bardzo dzielne.

- Jesteśmy żołnierzami - odparła z dumą. - Ale ja... tylko na niby.

- No, to wszystko wyjaśnia. - Uśmiechnął się. - A teraz, młoda damo, potrzebuję paru rzeczy, które pomogą twojej mamie w ćwiczeniach. Pomożesz mi?

- Tatusiu, mogę? - odwróciła się do ojca.

- Jasne.

Kiedy wyszli, znużona Jolene opadła na poduszki. Jak się czujesz? - zapytał, nachylając się nad nią.

W tej chwili nie miała ani siły, ani ochoty z nim dyskutować. Czuła się słaba i bezbronna, a kiedy ich oczy na ułamek sekundy się spotkały, wyobraziła sobie, że jednak go kocha. Nic nie było w stanie jej bardziej przerazić. Dawno temu oddała mu serce na tak wiele lat, a on je złamał. Teraz, ze zmasakrowanym ciałem, nie mogła sobie pozwolić na dodatkowy ból.

- Michaelu, czemu tu jesteś? Przecież wiesz, że między nami koniec.

- Wcale nie.

Dźwignęła się z trudem, denerwując się, że taka prosta czynność wymaga aż tyle wysiłku. Odrzuciła pled.

- Chcesz mnie taką? -Tak.

Westchnęła ciężko.

- Nie kłam.

-Nie kłamię. Jolene, ja wiele się nauczyłem pod twoją nieobecność. O tobie... o sobie... o nas. Palnąłem głupstwo, mówiąc, że cię nie Kocham. Jak mógłbym cię nie kochać?

Tak bardzo pragnęła, aby to była prawda. Ale teraz jest kaleką, a Michael zawsze kierował się poczuciem obowiązku. To była jedna z ich wspólnych cech. Nie zostawi żony inwalidki, obojętnie, jak bardzo by tego chciał.

- Jesteśmy, mamuś - zameldowała Lulu, wchodząc do pokoju z rehabilitantem. - Conny powiedział, że będziemy się bawić w łapanie piłki.

Jolene westchnęła zniechęcona. Cisnęło jej się na usta: Taak? Chyba raczej będziecie mi ją wkładać do ręki, jednak ugryzła się w język. Milczenie w tej sytuacji uznała za swój mały triumf.

- Dobrze, Lulu. - Zdobyła się na słaby uśmiech. -Uwielbiam grać w piłkę. W takim razie zaczynajmy.

* * *

Michael stał nad łóżkiem Jolene.

Po ćwiczeniach rehabilitacyjnych prawie natychmiast zapadła w sen. Nic dziwnego. Musi być wyczerpana. Dzisiaj wreszcie ujrzał w niej tamtą kobietę pilotującą helikopter. Wojowniczkę.

Patrzył na pokrytą strupami, posiniaczoną twarz. Zawsze, chyba od chwili, gdy weszła do jego biura, uważał ją za osobę tryskającą energią i niesamowicie odporną na przeciwności losu.

Teraz sprawiała wrażenie zagubionej i bezbronnej. Może po raz pierwszy w życiu tak naprawdę go potrzebowała. Zaskoczyło go, ile to dla niego znaczy, jak bardzo chce być dla niej podporą.

Delikatnie dotknął jej policzka.

- Jo, czy ja ciebie straciłem? - wyszeptał.

Z korytarza doszedł go podekscytowany głos Lulu. Spojrzał na drzwi, zbyt późno sobie uświadamiając, że ma wilgotne oczy.

- Tatusiu, popatrz, dostałyśmy lody! - zawołała. Otarł łzy, uśmiechnął się z wysiłkiem i odwrócił się

z powrotem do żony. Pocałował ją w policzek i jeszcze przez moment stał nad nią pochylony. Potem wyprostował się i wszyscy razem wyszli z pokoju.

Podczas całej podróży do domu, wydłużonej oczekiwaniem na prom, Lulu nie zamykała się buzia. Chciała dostać własny wózek inwalidzki.

Kiedy skręcili w boczną drogę nad zatokę, Lulu zaczęła śpiewać rymowaną i klaskać w dłonie, udając, że gra z mamą w łapki.

-Betsy, trzymaj ręce tak jak mama. Koci, koci, łapci...

- Mama ma tylko jedną sprawną rękę - odburknęła Betsy. - Jak niby ma grać z tobą w łapki?

- Tatusiu, to prawda? - spytała Lulu, wstrzymując oddech. - Powiedz jej, żeby się zamknęła. Zdejmą mamie gips i będzie zdrowa.

Michael wprowadził samochód do garażu i ustawił go obok terenówki Jolene.

- Przestańcie się kłócić. Lulu chlipała.

Betsy wyskoczyła z auta i wybiegła z garażu, trzaskając drzwiami.

-Cudownie - westchnął Michael, odpinając Lulu z fotelika i biorąc ją na ręce.

W domu natychmiast wywinęła mu się z ramion i popędziła na piętro, zapewne kontynuować sprzeczkę z siostrą.

Michael wszedł do kuchni, zrobił sobie drinka i oparty o blat szafki sączył go powoli, zbierając siły na to, co go czeka. Gdy odstawił pustą szklankę, skierował się na górę.

- Betsy, to ja. - Zapukał do drzwi. - Mogę wejść?

- Niech ci będzie - usłyszał po dłuższej chwili. Odpowiedź, która nieodmiennie podnosiła mu ciśnienie.

Betsy, odwrócona twarzą do okna, spowolnionymi ruchami przestawiała plastikowe koniki na parapecie. Nie potrzebował Cornflowera, by odgadnąć, że rozpaczliwie próbuje odnaleźć porządek w chaosie.

- Betsy, mama cierpi - powiedział. Znieruchomiała. Dłoń zawisała nad biało-czarnym

pinto, palce zadrżały.

- Zmieniła się.

Podszedł do córki, wziął ją za rękę, podprowadził do łóżka i posadził obok siebie.

- To normalne, że się boisz.
- Ale to wszystko jej wina. Wybrała wojsko...
- Betsy, skarbie...
- Tata Sierry mówi, że sama jest sobie winna i że kobiety absolutnie nie powinny pilotować helikopterów na wojnie. Gdyby nie to, nie doszłoby do tragedii. Powiedziałam Sierrze, że nigdy jej tego nie wybaczę...

Michael westchnął.

- Tata Sierry jest głupim dupkiem i guzik wie. Jak chcesz, możesz mu to ode mnie powtórzyć.

- Boję się, tato.

- Taak. - Pokiwał głową, otaczając ją ramieniem. -Ja też.

W otwartych z impetem drzwiach stanęła Lulu z groźną miną.

- Aha, tu jesteście. Chowacie się przede mną?

- Przykro mi, Lulu, że byłam taka niedobra - odezwała się Betsy, pociągając nosem.

Lulu rozpromieniła się, pokazując w uśmiechu drobne zęby i różowe dziąsła.

- Wiem, głuptasko - skwitowała. - A teraz zagrasz ze mną w łapki?

Jolene w życiu tak się nie namordowała jak wczoraj -ćwiczyła niczym żołnierz z elitarnej formacji rangersów - i po co ten cały wysiłek? Żeby nauczyć się siadać na krześle, prostować kawałek nogi i trzymać piłkę w palcach, które nie chciały jej słuchać.

Teraz leżała taka zmęczona i przygnębiona, że nawet nie miała ochoty sięgnąć do trapezu i podciągnąć się do pozycji siedzącej. Jakie to wszystko żalosne! Próbowwała zadzwonić do Carla, do Niemiec, ale nie odbierał, więc tylko zostawiła wiadomość.

Tami, dziewczyno, czemu razem nie przechodzimy przez to całe szambo?

Ktoś zapukał do drzwi. Któż inny, jak nie ten oprawca z dreadami, Conny. Nie otworzyła oczu.

- Wiem, że nie śpisz - stwierdził, wchodząc do środka. Odwróciła się od niego. Z jedną nogą nawet to sprawiało trudności. Ruchy były żałośnie niezdarne.

- Idź sobie. Stał nad łóżkiem.

- Nie ukryjesz się przed tym, żołnierko.

- Przewróciłam się na bok. Dlaczego wt nagrodę nie dasz mi dziś spokoju?

Roześmiał się. Jego niski, głęboki, wręcz aksamitny śmiech targnął jej nadszarpniętymi nerwami.

- Mogę cię podnieść i wyjąć twój chudy tyłek z łóżka.

- Tylko spróbuj.

- Co się stało z tamtą kobietą, która przetrwała obóz szkoleniowy dla rekrutów i ukończyła szkołę lotniczą?

- Zostawiła w Niemczech nogę i bardzo jej tej nogi brak.

- Nie dostanie jej z powrotem. Rzuciła mu wściekłe spojrzenie.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Jo, chcesz się mnie pozbyć?

- Tak - niemal krzyknęła.

- W takim razie wstań z łóżka i zacznij ze mną współpracować.

Pozwól sobie pomóc.

Popatrzyła na niego, przekonana, że musi widzieć w jej oczach lęk.

- Conny, to mnie wykańcza.

Odgarnął jej włosy z twarzy. Tym troskliwym gestem wycisnął jej z oczu łzy.

- Wiem, żołnierko. Ja też tam byłem. -Jak to?

- Cierpienie jest cierpieniem. Nieźle dostałem od życia. Chyba więcej, niż mi się należało. Straciłem syna. Miał na imię Elijah. Kochany chłopak. A uśmiech miał taki, że robiło się jasno w pokoju. Kiedyś ci o nim opowiem. Kiedy zmarł, przepełniał mnie gniew. Ciemność. Piłem i złorzeczyłem. Chyba więcej nie muszę ci mówić. Dużo czasu minęło, zanim się pozbierałem... a żona przy mnie przeżyła piekło. Znam ból, który przenika człowieka aż do kości. I wiem, co to rezygnacja. Nie tędy droga.

- Kiedyś nigdy się nie poddawałam. -I znowu możesz taka być.

Odwróciła się, nie chcąc oglądać współczucia i zrozumienia w jego oczach.

- Chodź, Jolene - poprosił, wyciągając do niej ramiona. Nie cofnęła się, pozwalając, aby ją podniósł i przesadził na wózek.

Sala do ćwiczeń rehabilitacyjnych była sporym, jasnym pomieszczeniem z dużymi oknami i z czterema szerokimi łózkami z winylowymi materacami pod przeciwległą ścianą. Do podłogi pokrytej linoleum były przytwierdzone dwa komplety metalowych, równolegle biegnących barierok. Część przestrzeni zajmowały przyrządy do ćwiczeń: stopnie różnej wysokości, z poręczami lub bez, maty do jogi, piłki w różnych rozmiarach i kolorach oraz stopy hantli i lateksowych taśm Thera-Band. W narożniku stały kule i chodziki.

Conny zaczął od rozgrzewki. Poleciał Jolene ułożyć się na boku na jednej z jaskrawoniebieskich mat do jogi i rozciągać się najmocniej, jak może, wyobrażając sobie przy tym, że nadal ma stopę i usiłuje dosięgnąć nią do krawędzi maty.

Przy każdej próbie korygował jej ruchy i zachęcał do większego wysiłku.

- Nie sądzę, aby to było możliwe - wysapała.

- Oj, jest. Bardziej się wyciągaj.

Próbowała i zaciskając zęby, wyciągała kikuta do chwili, kiedy była gotowa krzyknąć z bólu. Pot zalewał jej oczy i spływał po twarzy, a mata zrobiła się śliska.

- Jeszcze parę centymetrów - nie ustępował Conny.

- Nienawidzę cię - wysyczała, starając się spełnić jego żądanie.

- Inaczej nie byłbym dobry w swojej robocie - odparł ze śmiechem. - No, wystarczy. - Poklepał ją po ramieniu. - A teraz chcę zobaczyć, jak robisz brzuszki.

- Jesteś gorszy od sierżanta od musztry. Wiesz o tym?

- Miło mi to słyszeć. - Kiedy robiła skłony, poszedł po wózek i podtoczył go do niej. - Dobra. Dość. Nauczysz się na to siadać.

Popatrzyła z niechęcią na wózek. Kropelki potu kapały jej z włosów. Wytarła dłonie o T-shirt, zostawiając na nim wilgotne ślady.

Conny wziął ją na ręce, posadził na ławeczce do ćwiczeń, a potem poszedł po wózek.

- Pokażę ci, jak wsiadać. Zaczynasz od sprawdzenia, czy hamulec jest zaciągnięty. Wytrzymaj dłonie, żeby się nie ślizgały, i pamiętaj, aby nie nadwierać prawej ręki. Używaj jej tylko do zachowania równowagi. Pomogę ci...

Oblizła nerwowo usta.

- Kto by pomyślał, że siadanie wiąże się z takim wysiłkiem. Kiedyś biegałam w maratonach. Mówiłam ci? Raz nawet...

- Jolene, grasz na zwłokę.

Zawzięła się i zaczęła przesuwać się z ławki na wózek. Stękając z wysiłku, dźwignęła się i stanęła na zdrowej nodze. Bała się, zresztą nie po raz pierwszy, że może runąć.

Kiedyś bez trudu utrzymywała równowagę, stając na jednej nodze. Teraz jej równowaga była tak samo chwiejna jak poczucie własnej wartości.

Z przesadną ostrożnością odwróciła się na zdrowej stopie i usiadła. Obandażowany kikut sterczał do przodu niczym bukszpryt.

-Udało się - podsumował Conny z promiennym uśmiechem.

Dał jej dziesięć sekund na nacieszenie się sukcesem, po czym z powrotem wskazał matę. Pomógł jej się zsunąć, bo mięśnie w zdrowej nodze drżały ze zmęczenia.

-Kolejne brzuszki - poleciał, kiedy była gotowa. -Dwieście.

- Dwieście?! Zwariowałaś?!

- Mówiłem, że mnie znienawidzisz. Przestań marudzić i bierz się do roboty.

Ułożyła się, wyciągnęła ramiona przed siebie i zaczęła ćwiczyć. - Raz... dwa... trzy...

Dotąd nie zwracała uwagi, jak mocno stopy opierają się o podłogę przy siadaniu. Teraz zarzucało ją i musiała uważać, żeby nie przewrócić się na bok.

- Dwieście, Jolene - przypomniał Conny. -1 trzymaj tempo.

- Wal się! - wysapała pomiędzy oddechami. Miała ochotę się poddać, ale za każdym razem, gdy była bliska rezygnacji, myśl o dzieciach, o rodzinie i o powrocie do dawnego ja kazała jej zмагаć się ze słabością.

Kiedy skończyła, Conny odwiózł ją do pokoju.

- Przyślę pielęgniarkę, żeby pomogła ci pod prysznicem - powiedział, ustawiając wózek przy oknie.

- Conny? - Podniosła na niego oczy. -Taak?

- Przykro mi z powodu twojego syna.

Powoli rozciągnął usta w smutnym uśmiechu.

- A mi przykro z powodu twojej nogi, żołnierko.

W następnym tygodniu w nocy dręczyły ją wspomnienia, a w dzień udawała, że jest z nią lepiej. Co wieczór dzwoniła do córek i zdawała im relację z dnia; w nocy dzwoniła do Niemiec, do Carla, i rozmawiała o Tami. I cały czas ciężko pracowała. Nieodmiennie po przebudzeniu, w tym ułamku sekundy, kiedy rzeczywistość pozostaje jeszcze zamglona przez sen, pytała się w myślach: Ciekawe, czy dziś nie jest za zimno na przebieżkę?

Zanim zdążyła otworzyć oczy, to pytanie zniknęło, rzucone na stertę straconych możliwości.

W pokoju panował półmrok, drzwi były zamknięte. Odwróciła głowę tak, aby widzieć niewielkie okno. Za szybą na nagich gałęziach, tu i ówdzie pokrytych mchem, wisiały pojedyncze kolorowe liście.

Chwyciła się trapezu i podciągnęła. Zasapała się przy siadaniu. Znowu zmęczona. Nie do wiary, jak szybko wiotczeją mięśnie.

Dzisiaj czekała ją przymiarka tymczasowej protezy. Jej nowej nogi. Powinna być podekscytowana, a tymczasem czuła jedynie strach. Dzięki tej nodze będzie mogła się poruszać, wrócić do domu, do swojego zrujnowanego małżeństwa, do wystraszonych dzieci i do życia bez fundamentów. Już nie była pilotem, nie była żołnierzem i właściwie nie była żoną. Kim więc była?

Chciała porozmawiać z kimś o swoich obawach, lecz wynurzenia nie leżały w jej naturze i Bóg wie, że nie licowała z godnością żołnierza. Sama powinna się uporać z nowymi strachami, z poszarpanymi nerwami i ze wspomnieniami, które przywiozła z Iraku. Poza tym już w dzieciństwie nauczyła się nie wierzyć w sprawczą moc słów. Michaelowi, nawet w ich najlepszych czasach, też nie wszystko do końca mówiła, bojąc się, że zobaczy, iż jej siła to tylko pozory. Wcześniej nauczyła się sztuki maskowania w domu pełnym alkoholików. Milczenie jest złotem.

Tylko z Tami była zawsze do końca szczerą.

Opadła na poduszkę i zamknęła oczy. Tami, co z tobą, pilotko? Czy brakuje ci mnie tak samo jak mi ciebie? Mówiłaś, że jestem nieźle porąbana... szkoda, że teraz mnie nie widzisz. Tracę zmysły, nie umiem uwolnić się od koszmarnych snów... Boże, jak bardzo ciebie potrzebuję... obudź się...

Westchnęła. Leżała, nasłuchując odgłosów budzącego się szpitala, i czuła strach, a także (przyznaj się, Jo)

użalała się nad sobą. Lada moment wejdzie tu pielęgniarka ze śniadaniem i druga, która pomoże jej dotrzeć do łazienki i umyć się pod prysznicem.

O dziewiątej zjawił się Michael. Bez pukania wszedł do pokoju.

- Myślałam, że masz dzisiaj rozprawę - powiedziała, nie mając odwagi podnieść na niego oczu. Czowała się taka bezbronna.

- Nie chciałem, żebyś została z tym sama.

Te słowa, które tak naturalnie padły z jego ust, ukłuły ją w serce. Zupełnie jakby powróciły czasy dawnej Jolene i tamtego Michaela. Nie wierz w to - skarciła się w myślach.

- Dzięki. - Na więcej nie potrafiła się zdobyć. Conny energicznie zapukał do drzwi i wszedł, nie

czekając na odpowiedź. Nawet jeśli nie umknęła mu niezręczna cisza, nie dał tego po sobie poznać.

- Dobrze, że jesteś, Michaelu. Zbieramy się. Jolene krępowała się przesiadać na wózek przy

mężu, gdyż robiła to strasznie niezdarnie, lecz nie miała wyboru, bo szybko stało się jasne, że Conny nie zamierza jej pomóc. Podniosła się, przytrzymując się poręczy lewą ręką, przesunęła na skraj łóżka i spuściła nogi.

Lądowanie na podłodze jedną stopą nadal stanowiło dla niej szok, lecz tym razem całą uwagę skupiła na utrzymaniu równowagi. Michael chciał podtoczyć wózek do samego łóżka, lecz powstrzymała go potrząśnięciem głowy. Pokonując podskokiem jeden krok i przytrzymując się powlekanych gumą podłokietników, z westchnieniem opadła na siedzenie. Policzki płonęły jej z wysiłku i znowu się zasapała, lecz miała satysfakcję, że poradziła sobie sama.

Conny, uśmiechając się do niej, stanął za wózkiem. Cała trójka ruszyła korytarzem. Pierwszy raz Jolene

miała okazję zobaczyć, jak rozległe jest centrum. W końcu dotarli do drzwi z tabliczką: „Protetyka”.

Pomieszczenie budziło skojarzenia z laboratorium Frankenstein. Z sufitu i ze ścian sterczały sztuczne dłonie, stopy, ramiona i nogi różnej wielkości, o różnych odcieniach i kształtach.

Z pokoju na zapleczu wyłoniła się drobna kobieta o azjatyckich rysach, w ogromnych okularach na nosie.

- Zapewne pani Zarkades - odezwała się.

- Jolene. A to mój mąż Michael. Energicznie skinęła głową.

- W takim razie zaczynamy.

Przez następną godzinę pracowała w pełnej skupienia ciszy. Obmierzyła kikut i zrobiła gipsowy odlew.

- Dlaczego nie można od razu zrobić właściwej protezy? - spytał Michael, kiedy czekali, aż gips wyschnie.

Azjatka, mrużąc oczy, spojrzała na niego spod okularów wielkości spodków.

- Kikut będzie się obkurczać, a to pociągałoby konieczność częstej wymiany modułu. Tymczasowa proteza pozwala zaoszczędzić czas i pieniądze, no i umożliwia pacjentce poruszanie się w trakcie obkurczania się kikut. Ucisk rany po amputacji przyspiesza proces gojenia, a także wspomaga odczulanie.

Protetyczka starannie zdjęła gipsową formę, której widok przyprawiał Jolene o ciarki, i wyniosła ją na zaplecze.

- Lada chwila zaczniesz chodzić - zauważył Conny, kiedy po powrocie do pokoju ustawił wózek przy łóżku.

Przemieściła się na materac i siedząc, narzuciła na nogi pled.

- W południe przyjdę cię zabrać na rehabilitację - przypomniał jej Conny.

- Bardzo się cieszę.

Tubalny śmiech cichł w miarę, jak Conny oddalał się korytarzem. Jolene i Michael zostali sami.

- No cóż. - Westchnęła. - Muszę się zdrzemnąć, zanim ten Dżyngis-chan rzuci mnie znowu na matę i każe zrobić dwieście brzuszków.

- Co to dla ciebie - powiedział Michael. - Jak poprosi, zrobisz i więcej.

Popatrzyła na niego, pamiętając, ile kiedyś znaczyło dla niej jego wsparcie. Miała ochotę wyznać mu, że się boi powrotu do domu, że bardzo brakuje jej pewności siebie i że nie może uwolnić się od koszmarnych snów.

- Dzięki, że przyszedłeś. Nie musiałeś.

- Tyle razy zawiodłem cię w przeszłości.

- Taak - przyznała cicho.

- Pozwól mi to zrekompensować.

Zastanowiło ją, czy może się przed nim otworzyć i liczyć na niego, lecz ta nadzieja wydała jej się przerażająca. Raz już złamał jej serce. Jak może mu ponownie zaufać? Szczególnie w tej sytuacji.

Milczała.

Czekał dłuższy czas, nie spuszczać z niej oczu. Potem z cichym westchnieniem wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Jolene liczyła dni, czekając na tymczasową protezę. Któregoś przedpołudnia Conny wmaszerował do pokoju z radosnym uśmiechem na twarzy.

- No jak, żołnierko, gotowa na kolejny krok?

- Tak jest - odpowiedziała.

Podtoczył wózek do łóżka, a ona przesiadła się o wiele sprawniej niż jeszcze niedawno.

W drodze do sali rehabilitacyjnej starała się przygotować psychicznie zarówno na triumf, jak i na klęskę, żeby w razie niepowodzenia nie popaść w przygnębienie.

Conny ustawił wózek przy poręczach. Dopiero teraz widok tego urządzenia wzbudził w niej lęk. Kiedy wpatrywała się w dwie błyszczące metalowe podpory, pojawiła się asystentka technika z protezą.

Ta rzecz wyglądała jak pień drzewa zakończony stopą.

- No dobrze. - Conny przykucnął przed siedzącą na wózku Jolene. - Dzisiaj nie mówimy o chodzeniu. Jeszcze nie możesz opierać ciężaru ciała na prawej ręce.

- Może nigdy nie będę mogła.

- Nie wszystko naraz. Skupmy się na jednym problemie. - Rozwinął coś w rodzaju dużej skarpety i naciągnął na kikut. Potem z powagą popatrzył swojej pacjentce w twarz. - Dzisiaj nauczysz się stać.

- Łatwo ci mówić.

Uśmiechnął się i pomógł jej podnieść się z wózka. Trzymając się go, podskokami przesunęła się pomiędzy poręcze.

Teraz asystentka technika przyklękła przed nią i nałożyła protezę. Plastikowy lej przypominający wyglądem czaszę filiżanki idealnie, wręcz ciasno, objął kikut.

- Gotowe - oznajmiła kobieta, wycofując się.

-1 jak? - zapytał Conny, mocniej ją podtrzymując. -Za chwilę cię puszcze. Postaraj się utrzymać w pionie.

Jolene uchwyciła się lewej barierki. Dla równowagi palce prawej, niesprawnej dłoni oparła na drugiej poręczy.

Głęboko odetchnęła, chcąc uciszyć nerwy. Zaraz się okaże. Jeżeli uda jej się stanąć, to równie dobrze może chodzić. A jeśli będzie chodzić, będzie także biegać. Kto

wie, może nawet nauczy się latać. Jo, weź się w garść. Stań.

-Jolene?

Serce biło jej tak głośno, że głos Conny'ego nie od razu do niej dotarł. Stał uśmiechnięty przy końcu poręczy. Puścił ją. Kiedy? Powoli spojrzała w dół. Stała. Ona stała.

Ledwo mogła w to uwierzyć. Podniosła głowę i popatrzyła na rehabilitanta przez łyzy.

- Wiem, żołnierko.

Przez chwilę łapała równowagę. Potem spróbowała oderwać lewą rękę od poręczy. Noga uwieczona w protezie odpowiedziała bólem, lecz jej to nie zniechęciło.

Ponownie złapała się poręczy i przesunęła prawą nogę krok do przodu.

- Jo, nie przesadzaj. Daj...

Nie słuchała go. Jak dobrze samej decydować. Przewycięzać granicę możliwości. Spróbowała dostawić nogę z protezą. Była ciężka i nieruchawa, ale w końcu się udało. Ona idzie.

Zrobiła kolejny krok. Proteza, wpijając się w kikut, zdawała się szarpać tkankę. Mrużyła oczy za każdym razem, gdy przerzucała na nią ciężar ciała. Zanim dotarła do połowy długości poręczy, spływała potem, a dłonie ślizgały się na metalu.

- Potrzebuję rękawiczek - wysapała pomiędzy oddechami.

- Wystarczy na dziś, Jo.

Ignorując jego uwagę, uchwyciła się mocniej barierki i stojąc na zdrowej nodze, zrobiła jeszcze jeden niezdarny krok. Zachwiała się z bólu.

Skoncentruj się - skarciła się w myślach.

Powoli odejmując dłoń od poręczy, przeniosła ciężar ciała na protezę i nie zwracając uwagi na ból, który przeszył udo niczym gorące ostrze noża i zagnieździł się w biodrze, przesunęła się krok do przodu. Nie umiała określić, ile czasu *zajęło jej samodzielne* dojście do końca poręczy. Kiedy spocona i zadyszana, z twarzą czerwoną z wysiłku podniosła wzrok na Conny'go, zobaczyła, że on się do niej uśmiecha.

- Wiesz, co to oznacza, żołnierko?

- Co? - wysapała, ocierając pot z oczu.

- Że niedługo będziesz w domu - usłyszała głos Michaela.

Obejrzała się. Stał pod ścianą uśmiechnięty. To wystarczyło - ten nieznaczny ruch głową pozbawił ją równowagi. Zatoczyła się. Ból eksplodował w prawej połowie ciała.

Conny znalazł się przy niej, zanim zdążyła runąć na podłogę. Z wrażeń przygryzła język, czuła w ustach smak krwi.

- Zmęczyłam się. Mogę wrócić do siebie?

- Jasne. - Conny odwrócił się po wózek.

- Na nogach - oznajmiła stanowczo.

- Nie wiem, Jolene. To...

- Dojdzie - poparł ją Michael. Zbliżył się, nie odrywając wzroku od jej twarzy. - Może się wesprzeć na mnie.

Posłał jej przy tym jeden z tych dawnych uśmiechów, a ją zaskoczyło, że tak bardzo ją tym poruszył. Nagle dotarło do niej, jak bardzo za tym tęskniła, jak bardzo tęskniła za nim.

Michael stanął obok i objął ją w pasie, opierając dłoń na biodrze. Czuła ciepło jego oddechu na ustach i na policzku.

- Nie pozwól mi upaść - wyszeptała.

- Nie pozwolę.

Skinęła głową i zaczerpnęła powietrza. Wpatrzona w otwarte drzwi, z zaciśniętymi zębami ruszyła przed siebie. Stawiała kroki jak Quasimodo, utykając i dociągając protezę. Powoli przeszła przez cały korytarz. Gdy znalazła się w pokoju, potworny ból zdawał się rozrywać jej nogę.

Skrajnie wyczerpana pozwoliła, aby Michael pomógł jej położyć się na łóżku. Żadne z nich nie wiedziało, jak zdjąć protezę, więc tylko nakryli ją pledem. Jolene była pewna, że na obtartych miejscach tworzą się teraz pęcherze, ale nie miała odwagi tam zajrzeć.

- Wróciłaś - odezwał się Michael.

Zajęta myślami o obtarciach, pęcherzach i otwartych ranach, niemal zapomniała, że on ciągle jeszcze tu jest. -Co?

-Tam, w sali rehabilitacyjnej, zobaczyłem kobietę, która biega w maratonach na protezach hi-tech.

- Tamtej kobiety już nie ma - ucięła.

Smutek w jego oczach wymownie świadczył, że myśli o tym, kim kiedyś byli i co się z nimi stało.

- Powinienem powiedzieć tamtej kobiecie, że ją kocham, zanim pojechała na wojnę.

-Tak - przyznała schrypniętym głosem. - Nie zaszkodziłoby.

Zerwała się ze snu z krzykiem, zlane potem i roztrzęsiona. Opadając z powrotem na poduszkę, starała się wyrównać oddech. Te nocne koszmary ją wykańczały. Starła się czuwać, lecz prędzej czy później sen nadchodził, a wraz z nim przyczajone koszmary. Rano budziła się zmęczona i pozbawiona energii. I nieodmiennie pierwsza myśl dotyczyła Tami.

Odwróciła głowę w stronę małego okna; to był teraz cały jej świat, skurczony do jednego pokoju z szybą o wymiarach metr na metr, za którą widziała gałęzie bezlistnego o tej porze drzewa.

Świat oglądany z kokpitu zdawał się w zasięgu ręki... a teraz potrzebowała pomocy, żeby dojść do łazienki.

To uwłaczające. I chociaż naprawdę starała się myśleć pozytywnie, widok wchodzącej pielęgniarki ją zirytował.

- Słyszałam, że to twój wielki dzień - powiedziała Gloria, wprowadzając wózek do pokoju.

- Taak - mruknęła. - Mają mi zdjąć gips.

- A ja myślałam, że wracasz do domu.

- Ach, to też - odparła bez entuzjazmu.

Co jest ze mną? - pomyślała.

Pielęgniarka pomogła jej przesiąść się na wózek i cały czas o czymś opowiadając (Jolene nie potrafiła skupić się na słowach), zawiozła ją do łazienki, zsunęła jej spodnie od piżamy i posadziła na sedesie.

- Pomóc ci się podetrzeć? - rzuciła takim samym radosnym i żwawym tonem, jakby pytała: „Podać frytki do hamburgera?”.

-Nie. Jestem leworęczna. Dzięki. Może odrobina prywatności?

- Jasne. - Gloria wyszła z łazienki, zostawiając uchylone drzwi.

Długo nie mogła się wysuszyć - nic nie działało teraz jak należy. Kiedy wreszcie opróżniła pęcherz, poczuła się znużona. A jeszcze czekało ją mycie, czesanie i ubieranie.

- Skończyłyśmy? - spytała Gloria.

- Skończyłam - poprawiła ją Jolene, starając się panować nad głosem. Była spięta. I nie potrzeba Freuda, żeby wyjaśnić dlaczego.

Bała się zdjęcia gipsu.

Dopóki go miała, była nadzieja. Patrzyła na gips i wyobrażała sobie, że nerwy się goją i wzmacniają. Dzisiaj się okaże, czy ma obie sprawne ręce, czy zostaje z jedną.

Chociaż to było poniżające, pozwoliła Glorii przesadzić się na wózek.

- Conny przyjdzie za kilka minut, żeby zabrać cię do gipsowni. Chcesz na ten czas wrócić do łóżka?

-Mogłabyś podwieźć mnie do okna? Chciałabym popatrzeć na świat.

- Pewnie. - Gloria ustawiła wózek przy oknie. - Zapowiada się piękny dzień jak na jesień. - Poklepała Jolene po ramieniu i skierowała się do wyjścia. - Ach, by-

łabym zapomniała. - Przystanęła w drzwiach. - Maudeen Wachsmith z księgowości pyta, co mamy zrobić z twoją pocztą.

- Jest jakaś poczta do mnie?

- Najwyraźniej.

- No to przynieś mi ją. - Odwróciła się do okna.

Po jesiennym szarozielonym niebie płynęły pierzaste obłoki. Ogromne cedry rosnące wzdłuż parkingu zasłaniały to, co znajdowało się za nimi. Tuż za szybą resztki poczerniałych liści trzymały się kurczowo gałęzi wiekowej wiśni. Akurat jeden się oderwał i poszybował w dół.

- Tu jesteś, żołnierko. Miło, że szukasz innych rozrywek poza wylegiwaniem się w łóżku.

-Zastanawiałam się, czy nie spróbować zrobić gwiazdy.

- Jolene, jesteś niemożliwa. - Conny się zaśmiał. Zajął miejsce za wózkiem i ruszył z nią labiryntem

korytarzy. Przez całą drogę nie zamykały mu się usta. Opowiadał o nowej fryzurze żony, o awansie córki, opisał dokładnie ból w plecach, z którym obudził się rano.

- Jesteśmy na miejscu.

Rejestratorka podała Jolene kartę i wwiozła ją do pokoju zabiegowego. Chwilę później usłyszała pukanie do drzwi i do środka wszedł chudy jak patyk mężczyzna w białym fartuchu, z bezładną szopą przyprószonych siwizną włosów i z nosem jak przejrzała pieczarka. Od razu wiedziała, że sympatyczne podejście do pacjenta nie należy do jego mocnych stron.

Podszedł bliżej, przedstawił się bełkotliwie i rzucił okiem na jej kartę.

- Założę się, że chciałaby pani wiedzieć, jak funkcjonuje ręka - zwrócił się do Jolene, odkładając kartę.

Pokiwała głową, nie mogąc wykrztusić słowa.

Lekarz ustawił krzesło przed wózkiem. Bardzo sprawnie rozciął gips i rozłamał go na kawałki.

Zszokowana, patrzyła na chude i blade przedramię. Po zewnętrznej stronie ręki biegła gruba, czerwona blizna.

Lekarz lekko dotknął wnętrza dłoni. -Czuje pani? Skinęła głową.

- Proszę zacisnąć pięść.

Wpatrywała się w rękę, myśląc: no, dalej, postaraj się, proszę. Powoli, bardzo powoli palce zwinęły się w półotwartą pięść.

Wydała z siebie westchnienie ulgi.

Lekarz się uśmiechnął.

- Doskonale - pochwalił. - Może pani unieść ramię? Mogła.

Naprawdę mogła.

Resztę testów odbyła z uśmiechem na twarzy. Po konsultacji sama wyjechała z gabinetu. Co prawda zmuszenie prawej dłoni do pracy wymagało sporo wysiłku, ale poradziła sobie.

- Wyglądasz na zadowoloną, żołnierko - skomentował Conny, podnosząc się z krzesła w poczekalni.

Odwiózł ją do pokoju i ustawił wózek z powrotem przy oknie.

- Rehabilitacja za godzinę. Musimy popracować nad usprawnieniem ręki. No i zaczniesz chodzić o kulach.

- Conny, chyba jeszcze się nie nadaję na powrót do domu. Powinniśmy poczekać, aż...

-Aż?

Przejrzał ją. Było jej wstyd, że widzi ją taką słabą.

- Aż będę gotowa - dokończyła niepewnie.

- Dzisiaj - powiedział cicho.

Kiedy wyszedł, zapatrzona na pogodny dzień za

oknem, ścisnęła w dłoni piłkę, którą jej zostawił. Dałam radę, Tami. Tak, pilotko.

Była gotowa przysiąc, że naprawdę usłyszała odpowiedź, ale przecież była w pokoju sama. Popatrzyła w okno. To ty, Tami? Pragnęła w to wierzyć, chciała wierzyć, że przyjaciółka znalazła sposób, aby się z nią komunikować pomimo dzielącej je odległości. Może to znak, że ona się wybudziła...

- Pani Zarkades?

Obejrzała się. W drzwiach stał sanitariusz z kopertami obwiązanymi recepturką.

- Przyniosłem listy.

- Dobrze, dzięki.

Wszedł do pokoju i na stoliku obok niej położył dwa listy. Patrzyła na nie zaskoczona. W końcu wyciągnęła spod recepturki pierwszy z wierzchu. Napisał go ktoś z Kansas.

Szanowna Pani,

Przeczytałam Pani historię w „Topeka Gazette”. Nie mogę uwierzyć, że ja, obca osoba, piszę do Pani, ale moje serce nie pozwala mi milczeć.

Zamykam oczy i myślę o Pani, bo wiem, co Pani czuje.

Miałam czternaście lat, kiedy amputowano mi nogę. Byłam zwykłym podlotkiem z małego miasteczka, który przejmuje się pryszczami i wynikami sprawdzianów i zastanawia się, czy już czas kupić pierwszy biustonosz.

I wtedy usłyszałam diagnozę: nowotwór.

Moja mama płakała więcej niż ja. Mnie bardziej martwiło, że będę inna. Wiem, Pani jest silna, służy w wojsku i w ogóle, ale chcę się upewnić, czy ktoś Pani poradził, aby nie traktować siebie zbyt surowo. Szkoda, że ja tego wtedy nie wiedziałam. Dużo czasu upłynęło, zanim to zrozumiałam. Pani na pewno

myśli, że nic już nie będzie wyglądać tak samo, lecz to nieprawda. Nawet Pani nie zauważy, kiedy życie wróci do normy i córki znowu zaczną się z Panią sprzeczać o podział obowiązków i o różne inne sprawy. I wcale nie będzie im przeszkadzać brak nogi!

Niech Bóg ma Panią w opiece. Zapaliłam świeczkę w naszym kościele za Panią i jej rodzinę. Modlimy się za Panią. Z poważaniem, Mavis Sue Cochran Popęka, Kansas

Jolene otarła łzy i schowała list z powrotem do koperty. Potem sięgnęła po drugi.

Pani Chorąży,

jestem szeregową Sarah Merrin. Obecnie przebywam w klinice wojskowej Walter Reed. Mam za sobą półroczną służbę na misji.

Właściwie nie wiem, co chcę powiedzieć ani dlaczego piszę. Być może dlatego, że tu jest tak cicho. No i obie jesteśmy kobietami.

W zeszłym tygodniu amputowano mi nogę. W tej chwili zachodzi obawa, że mogę też stracić drugą. W rany powstałe w wyniku wybuchów łatwo wdaje się infekcja, ale Pani na pewno o tym wie. Czeka mnie długi pobyt w szpitalu.

Jak Pani sobie z tym wszystkim radzi? Chyba właśnie o to chciałam zapytać. Mówią mi, że będę chodzić, może nawet biegać, lecz ja nie bardzo w to wierzę, kiedy patrzę na to, co ze mnie zostało. Przykry widok. Bardzo źle znoszę obecność męża, kiedy nie jestem ubrana.

Będę wdzięczna za każdą mądrą radę.

Z wyrazami szacunku, Sarah Merrin

Jolene wsunęła kartkę do koperty i przez chwilę siedziała wpatrzona w list. Wiedziała, co czuje Sarah, gdy leżąc w szpitalnym łóżku, daleko od domu, zastanawia się, jaką część siebie odzyska, a co utraciła na zawsze.

Mądre rady? Jolene nic nie przychodziło do głowy. Będzie musiała dodać tę kobietę do listy ludzi, którym nie potrafiła pomóc; ludzi, których zawiodła.

Wieczorem po wyczerpującym dniu w pracy Michael prosto z kancelarii pojechał do centrum rehabilitacyjnego. Wlokąc się w wolno sunącym korku w godzinach szczytu, myślał o dzisiejszym spotkaniu z konsultantem do spraw doboru członków ławy przysięgłych. Rozpoczęli już procedurę *voir dire* - sprawdzanie kompetencji kandydatów na ławników do procesu Kellera. Każdy adwokat karnista dobrze wiedział, że czasami sprawę można wygrać lub przegrać jeszcze przed rozpoczęciem procesu. Michael potrzebował racjonalnie myślących ławników o wysokim stopniu empatii, którzy wierzą, że wojna potrafi złamać psychikę nawet najbardziej prawych ludzi. Prokurator najchętniej widziałby w składzie ławy przysięgłych zwolenników twardej linii, według których przestępcy zasłaniają się chorobami umysłowymi, aby uniknąć odpowiedzialności za swoje czyny.

Michael dotarł do szpitala o zmroku. Zaparkował samochód blisko wejścia i wszedł do środka. W jasno oświetlonym holu myśli o Jolene wyparły spekulacje na temat procesu.

Dziś wieczorem wraca do domu. Nareszcie.

Liczył, że teraz zaczną się między nimi układać. Wczorajszy wieczór cała czwórka - on, dziewczynki i matka - szykowała dom na jej powitanie. Na każdym wolnym kawałku miejsca stały kwiaty, lodówka była za-

ładowana jej ulubionymi potrawami. Mila z wnuczkami w ciągu dnia przygotowały bakławę i mussakę. Upiekły też tort cytrynowy i przybrały go żywymi storczykami. Nad werandą zawiesiły transparent z napisem: „Witaj w domu, nasza bohaterko”, a ten ze słowami: „Witaj w domu, mamusiu” przenieśli do kuchni.

Betsy przez wiele godzin dekorowała nową sypialnię Jolene na parterze. Stało tam teraz nowe łóżko, z kołdrą obleczonej w nową, kolorową powłokę i z mnóstwem poduszek, żeby mogła na nich opierać nogę.

Wszystko zostało dopięte na ostatni guzik.

Michael przeszedł jasno oświetlonym korytarzem do pokoju żony. Znalazł ją na wózku, zapatrzoną w okno.

Z profilu wyglądała tak ładnie jak dawniej. Sińce i zadrapania zdążyły się zagoić. Pozostała jedynie niewielka różowa szrama na podbródku.

Siedziała zamyślona, skubiąc zębami paznokiec kciuka.

- Wyglądasz na zdenerwowaną - odezwał się, wchodząc do środka.

Odwróciła się, teraz dopiero świadoma jego obecności.

- Bo jestem - oznajmiła bez śladu uśmiechu.

Ta odpowiedź go zaskoczyła. Nigdy dotąd nie okazywała napięcia czy strachu. Ani wtedy, gdy straciła rodziców, ani podczas porodów. Nawet jadąc na tę wojnę, wydawała się spokojna. W jej przypadku stoicyzm i odwaga były takimi samymi charakterystycznymi cechami jak zielony kolor oczu.

Nie miała ochoty wracać do domu. Wyczytał to z jej twarzy. Przebiegła mu przez głowę niepokojąca myśl, czyżby na zawsze ją utracił.

Chciał powiedzieć coś zwykłego, rozładować atmosferę, lecz zabrakło mu odwagi, bo wydawała się taka

odległa, jakby ten chłód miał jej pomóc zachować resztki kontroli.

- Czas jechać do domu.

- Do domu - powtórzyła, a w jej ustach te słowa zabrzmiały obco i trochę przerażająco. - Moje rzeczy są w tej torbie.

Podniósł duży wojskowy worek z zielonego brezentu, zaniósł go do samochodu i niezwłocznie wrócił po nią. Wywiózł wózek na parking przed centrum, otworzył drzwi samochodu i odwrócił się do niej.

Pusta nogawka piżamy zwisała jak flaga w bezwietrzny dzień. Patrzył na żonę, zastanawiając się, jak ma ją przesadzić. Conny mu tego nie pokazał. Czy jeśli dotknie kikuta, sprawi jej ból?

Jolene godzinami wyobrażała sobie powrót do domu. W myślach wszystko układało się idealnie - dziewczynki się śmieją, ona pochlipuje, a Mila w kuchni szykuje dla nich jedzenie. Ostatnią godzinę spędziła na wózku w pogrążonym w półmroku pokoju, wmawiając sobie, że da radę wrócić do domu i stać taką kobietą i matką, jaką była kiedyś.

A potem przy lexusie zobaczyła wahanie Michaela. Skoro nie mógł patrzeć na jej nogę, jak miałby jej dotknąć?

Zacisnęła dłonie na metalowych kołach i przejechała obok niego, zdecydowana samodzielnie przesiąść się na fotel obok kierowcy.

- Jolene, zaczekaj... - próbował ją powstrzymać. Głucha na jego prośbę, ustawiła wózek przy drzwiach

i zaciągnęła hamulec. Czego powinna się chwycić? Co najlepiej zapewni równowagę? Tego z Connym nie przećwiczyła.

- Jak widzę, żołnierka wszystko próbuje robić sama. Zdaje się, że o tym rozmawialiśmy. - Conny szedł ku nim przez parking. Dredy podskakiwały w rytm szybkich kroków. Nie zatrzymując się, ściągnął je w kucyk.

- Hej! - przywitała go Jolene, kiedy stanął przy niej.

- Wymykasz się cichaczem? Specjalnie zostałem dłużej, żeby się pożegnać.

- Nie żegnamy się.

Podniosła na niego wzrok, nagle przestraszona, że musi go opuścić i wrócić do domu, gdzie jej niesprawność stanie się jeszcze bardziej oczywista. Conny wyciskał z niej siódme poty. W domu wyzwania staną się jeszcze większe.

- Tak - potwierdził. - Będziemy się widywać trzy razy w tygodniu.

Skinęła potakująco głową, zadzierając dumnie podbródek. Wiedział, jak bardzo pragnie na powrót stać się kobietą i matką, jaką kiedyś była, i jak bardzo się boi, że temu nie sprosta. Wielokrotnie o tym rozmawiali. A dokładniej - on mówił, a ona słuchała.

Przykucnął przy niej. Stawy strzeliły mu w kolanach w proteście na ten nagły ruch.

- Wszyscy się boją powrotu do domu - powiedział cicho, nie chcąc, żeby usłyszał to Michael. - Tutaj czują się bezpiecznie.

Zamknął jej rękę w śniadej dłoni podobnej do bejsbolowej rękawicy.

- Tylko mi nie mów, żołnierko, że jesteś za słaba na to, co cię czeka, bo ja wiem lepiej. To nowy początek, nic więcej.

To prawda. Ona była twarda. Nauczyła się polegać na sobie od chwili, kiedy zrozumiała, że nie może liczyć na rodziców. Jeżeli przeżyła ich wypadek, utratę miłości Michaela, amputację i śmierć Smitty'ego, nie załamie

jej powrót do domu... Będzie mogła znowu zajmować się swoimi maleństwami i nauczy się akceptować nową wersję samej siebie.

Przełknęła głośno ślinę.

- Za tydzień o tej porze będę już grała w lacrosse.

- Tak jest, to moja dziewczyna. - Z uśmiechem poklepał ją po dłoni i podniósł się z kucek.

- Jutro o dziesiątej rano. I nie spóźnij się.

- Będziemy na czas - zapewnił go Michael.

- Popatrz. - Rehabilitant zwrócił się teraz do niego. - Pokażę ci, jak możesz pomóc swojej dziewczynie wsiadać do samochodu.

Pomógł jej się podnieść i podtrzymał, gdy skacząc na zdrowej nodze, odwróciła się plecami do fotela. Gdy na niego opadła, jej spojrzenie zatrzymało się na sterującym do przodu kikucie.

Conny na pożegnanie poklepał ją po ramieniu i zatrzasnął drzwi.

Teraz została sama z Michaelem w ciasnym samochodzie. Chciała zapomnieć wyraz jego twarzy tam, na parkingu, kiedy musiał jej dotknąć, lecz jak mogła o tym nie myśleć?

On przez całą drogę opowiadał o wszystkim i o niczym, ona, zapatrzona w okno, kiwała głową, od czasu do czasu wydając pomruki, które miały świadczyć o tym, że słucha.

Coraz bardziej wciągało ją oglądanie znajomych krajobrazów, przypominając o życiu, jakie wiedli w cieniu tych monumentalnych gór, a kiedy skręcili na podjazd i światła reflektorów omiotły biały płot, na ułamek sekundy poczuła się szczerze i oszałamiająco szczęśliwa. Na moment zapomniała o nodze, mężu, martwym koledze z załogi i przyjaciółce w śpiączce. Myślała jedynie o tym, jak dobrze było znaleźć się tu z powrotem. Nadal

miała to, co było dla niej najważniejsze w życiu - córki. Znowu będzie ich mamusią.

Za płotem po sąsiedzku stoi dom Tami. Powinnaś tu teraz być - pomyślała ze smutkiem.

Kiedy podjechali pod garaż, uruchomiła się czujka. Oślepiło ją ostre światło...

Znowu znalazła się w helikopterze. Odwróciła się, żeby spojrzeć na Smitty'ego. Widziała jedynie osmaloną ziejącą dziurę w jego piersi i śmiertelnie zmatowiały wzrok...

-Jo? Jo?

Trzęsąc się na całym ciele, wróciła do rzeczywistości. Z trudem przełykając ślinę, zacisnęła dłonie, chcąc zapanować nad ich drżeniem. Nad frontowym wejściem wisiał transparent: „Witaj w domu, nasza bohaterko”.

Bohaterka. Bohaterowie sprowadzają swoich ludzi do domu.

Wiedziała już, że dzieje się z nią coś złego. -Jo?

- Wszystko w porządku (- zapewniła go bezbarwnych głosem. - Wspaniały ten transparent.

- Bardzo się przy nim napracowały.

Gdy Michael wprowadził wóz do garażu, pod sufitem zapaliła się lampa. Podszedł do bagażnika, wyciągnął wózek, rozłożył go, podtoczył do boku samochodu i dopiero wtedy otworzył drzwi.

Popatrzył na Jolene z niepokojem.

- Na pewno dobrze się czujesz?

Nie - chciała powiedzieć, ale nie wiedziała, jak to wytłumaczyć, a poza tym nigdy w życiu by się mu do tego nie przyznała.

Uchwyciła się słupka i odwróciła na pupie, wysuwając nogi na zewnątrz. Michael zbliżył się, niezdarnie podsunął pod nią ramię i podpierając ją, pomógł prze-

siąść się na wózek. Kiedy ją asekurował, na moment straciła równowagę, lecz natychmiast wzięła się w garść.

- Przyjechała! - Lulu z radosnym piskiem zbiegła ze schodów. Mila z Betsy pojawiły się tuż za nią.

- Jesteś, nareszcie! - wołała Lulu, wirując wokół wózka. - Widziałas, co dla ciebie zrobiliśmy? Betsy? Pokażmy mamusi, co dla niej zrobiliśmy. Jesteś głodna, mamus?

Jolene, zaciskając dłonie na obciążonych gumą podłokietnikach, próbowała uciszyć rozszalałe serce. Co z nią? Chciała tu być, pragnęła tego całym swoim jestestwem, jednak...

- Co z mamą? - mruknęła Betsy, splatając ramiona na piersi. - Jest jakaś dziwna.

Lulu podeszła do wózka.

- Prawda, mamus, że chcesz zobaczyć, co dla ciebie przygotowaliśmy? - spytała, zadzierając głowę.

Jolene zmusiła się do uśmiechu.

- No pewnie, Lulu. Nie mogę się doczekać, żeby to wszystko zobaczyć.

Rozejrzała się wokół, ogarniając spojrzeniem ślady swojego dawnego życia, te wszystkie rzeczy, które kiedyś miały dla niej ogromne znaczenie, a teraz, mimo wysiłku, w ogóle jej nie obchodziły. Odrętwiała i nieobecna, czuła się tak, jakby patrzyła na wszystko przez gazową zasłonę; duch poruszający się między żywymi.

Podeszła Mila i pochylając się nad nią tak, że ich oczy znalazły się na tym samym poziomie, serdecznie uścisnęła jej rękę.

- Jesteś w domu - powiedziała po prostu. Jolene łzy zakręciły się w oczach.

- Cieszę się, że wróciłam - wyznała przez ściśnięte gardło.

- Pamiętajcie, że mama łatwo się męczy - ostrzegł córki Michael, stając u jej boku.

- Po dziesięciu minutach? - wyrwało się Betsy.

Jolene czuła, że córki inaczej wyobrażały sobie jej powrót. Wbrew własnej woli już na początku je rozczarowała. Skup się, Jo. Bądź taką mamą, jakiej oczekiwały. Jak ona wtedy się zachowywała?

- Betsy, Lulu, a może obwiozłybyście mnie po domu? Pokażcie, co zrobiłyście.

- Czemu nie chodzisz na sztucznej nodze? - spytała Betsy.

-Conny uważa, że lepiej z tym trochę poczekać. Podłogi mogą być nierówne. Muszę się oswoić. -Aha.

Ta odpowiedź wyraźnie ją rozczarowała. Zapewne zależało jej, żeby matka przynajmniej normalnie wyglądała. Zajęła teraz miejsce za wózkiem, a Lulu przyłgnęła do jego boku. Przez godzinę obwoziły Jolene po domu, pokazując, co specjalnie dla niej zrobiły. Podwiozły ją do lodówki wyładowanej jedzeniem, pokazały tort stojący na blacie i baner zawieszony na ścianie. A potem zajrzały do jej nowej sypialni przerobionej z gabinetu Michaela. Podczas kolacji Lulu nawet na chwilę nie zamykały się usta.

O ósmej Jolene zaczęły opadać powieki. Głowa pulsowała, a potworny ból w nodze utrudniał koncentrację. Wcześniej Betsy dwukrotnie niechcący najechała wózkiem na framugę.

- Mamuś, nie śpij - zażądała Lulu. - Pokazuję ci twoją nową nocną koszulkę. Widzisz?

-No, akurat to ważne - mruknęła Betsy. - Mama wcale nie jest ciekawa. Jolene podniosła głowę.

- Przepraszam, jestem bardzo ciekawa. Tylko trochę chce mi się spać.

Mila podniosła się z kanapy.

- Dziewczęta, biegnijcie na górę. Czas się szykować do snu.

- Chodź, mamuś - odezwała się Lulu. - Pokażę ci, jak ładnie myję ząbki.

- Dziewczynki - upomniał je Michael. - To był dla mamy długi dzień. Dajcie jej buzi na dobranoc i uciekajcie do siebie.

Lulu zrobiła taką minę, jakby się miała rozpłakać.

- Mama nie przyjdzie nam poczytać? Betsy przewróciła oczami.

- Lulu, wózek. -Och!

- Mnie się to wcale nie podoba - nadała się Lulu.

Jolene otworzyła ramiona.

- Chodź do mnie, Lucy Lou.

Mała wdrapała się jej na kolana. Ból w nodze jeszcze się nasilił. Jolene zacisnęła zęby, mając nadzieję, że wezmą jej grymas za uśmiech.

- Niedługo postaram się wejść na górę. Ale jeszcze nie teraz. Zgoda?

- Zgo-da. - Lulu, przeciągając słowo, dała wyraz niezadowoleniu.

Betsy mruknęła „dobranoc” i wyszła z pokoju. Mila wzięła młodszą dziewczynkę na ręce i zaniósła ją na górę.

Jolene odetchnęła z ulgą. Przez otwarte drzwi patrzyła na swoją nową sypialnię. Z poprzedniego umeblowania pozostało jedynie stare biurko Michaela z komputerem, teraz wepchnięte pod okno. Drzwi do przylegającej łazienki zostały poszerzone i prowizorycznie obramowane tymczasową framugą z surowego drewna.

Środek pokoju zajmowało ogromne, zabytkowe łóżko. Na pościeli w hawajskie, różowo-żółte wzory (niewąt-

pliwie wybranej przez córki podczas wyprawy do galerii) leżały porozrzucane poduszki, a w nogach zwinięty biały, puchaty pled.

Widziała, ile pracy wszyscy włożyli w przygotowanie domu na jej powrót, i powinna być tym wzruszona, a tymczasem, szczerze mówiąc, nie czuła nic poza znużeniem. Minęło zaledwie parę godzin, a ona zdążyła już ich rozczarować.

- Nie powinienem pozwolić dziewczynkom zawracać ci głowy - powiedział Michael, stając przy niej. - One tak bardzo przeżywały twój przyjazd.

- Nic się nie stało.

Na więcej się nie zdobyła. Marzyła jedynie o tym, żeby wreszcie zostać sama. Dziś ich zawiodła. I to na całej linii.

- Kazałem wyposażyć łazienkę w kilka usprawnień. Są relingi i uchwyty.

- Świetnie. Dzięki.

Spojrzał na kikut sterczący poza wózek, zakończony zwisającą nogawką, i szybko odwrócił wzrok.

- Jeżeli potrzebujesz pomocy...

- Nie przejmuj się, Michaelu. Twoje obowiązki kończą się w drzwiach sypialni. Poradzę sobie - oznajmiła oschle.

- Jo, to nie w porządku.

- Nie w porządku? - To ją wkurzyło. - Nic nie jest w porządku, Michaelu. - Chwyciła za koła i wtoczyła wózek w głąb sypialni. Dojeżdżała do drzwi łazienki, gdy usłyszała, że ją woła. Zatrzymała się i obejrzała za siebie.

- Chcesz, żebym z tobą spał? Na wszelki wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała?

Na wszelki wypadek, gdybyś czegoś potrzebowała. Jakie to romantyczne.

- Nie, wolę zostać sama.
- Może nie tak to ująłem. Może...
- Dobranoc, Michaelu - powiedziała stanowczo i wjechała do łazienki, zamykając za sobą drzwi.

Zaciągając hamulec, powiedziała sobie, że wcale nie jest rozczarowana, i podniosła się z wózka, przytrzymując się blatu szafki.

Mycie zębów i twarzy zajęło jej całe wieki. Zmęczenie osłabiało koncentrację i poczucie równowagi. Raz omal nie runęła na podłogę. Rzut oka na muszlę wprowadził ją w krańcowe znużenie. Z zaciśniętymi zębami, podskakując na zdrowej nodze, dotarła do niej, wdzięczna Michaelowi za zamocowane poręcze. Przytrzymując się sprawną ręką, opadła na deskę, zbyt późno uświadamiając sobie, że nie ściągnęła spodni. Siedziała przez minutę, zbierając siły, po czym mozolnie się podniosła. Rozpięcie zamka i zdjęcie spodni z jednoczesnym utrzymaniem równowagi okazało się trudniejsze, niż sądziła, lecz w końcu się udało.

Kto by pomyślał, że obsłużenie się w łazience wymaga tyle wysiłku. Witaj w domu, Jo.

Siedząc na sedesie, zdjęła bluzkę oraz biustonosz i włożyła długą flanelową koszulę kupioną przez córki. Potem ostrożnie się podniosła i stanęła.

Na nodze. Gdy przesuwiała się chwiejnie, przytrzymując się szafki, kątem oka uchwyciła swoje odbicie w lustrze nad urny walką. Odwróciła się ostrożnie i obejrzała się w lustrze.

Niepokojąco zapadnięta twarz, wyostrome rysy i mocno wystające kości policzkowe. Zasinienia i strupy zniknęły. Jedynym śladem po wypadku była mała różowa blizna na podbródku.

Po wypadku.

Czy będzie o nim myśleć przy każdym spojrzeniu

w lustro? A właściwie czemu nie? Odwróciła się z westchnieniem. Nie знаła tamtej kobiety, której twarz przed chwilą patrzyła na nią z lustra.

Wydostanie się z łazienki też zdawało się trwać całe wieki, a kiedy wreszcie wjechała do sypialni, zobaczyła Michaela. Stał w drzwiach wyraźnie zaniepokojony.

Zanim zdążyła zrobić najmniejszy ruch, znalazł się przy niej i przesadził ją na łóżko. Kiedy na nie opadła, wyparowały z niej resztki energii. Z westchnieniem wyciągnęła się w miękkiej pościeli. Michael obłożył kikut poduszkami.

- Tabletki nasenne i wodę masz pod ręką, na nocnym stoliku. Jest też kanapka, gdybyś zgłodniała.

Odgarnął jej kosmyk włosów z oczu.

Rozzłościła ją reakcja własnego ciała na jego dotyk. Pod tym względem od samego początku nic się nie zmieniło. Nawet teraz, taka zmęczona, poczuła, jak bardzo on ją pociąga.

To niebezpieczne, Jo.

- Wiesz, jutro porozmawiamy o nas - powiedział po chwili.

- Nie ma o czym, Michaelu. Powiedziałeś już wszystko przed moim wyjazdem. A teraz daj mi spać. Jestem wykończona.

Patrzył na nią przez dłuższy czas. Miała wrażenie, że chce powiedzieć coś jeszcze. Ale w końcu wyszedł z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Mimo potwornego zmęczenia sen nie nadchodził. Zupełnie jakby wypić dzbanek espresso. Mięśnie miała sztywne, a nerwy napięte. Tak tu cicho; za cicho. Nic nie wybucha, nie wyją alarmy, nie startują helikoptery, nikt nie rozmawia. Ta cisza budziła lęk. A nie powinna. Przecież jest w domu. Czas wyzbyć się na zawsze myśli o Iraku.

Leżała w nowym łóżku, w nowej pościeli, w nowym pokoju, a czuła się boleśnie i przerażająco wyrwana z kontekstu. Każdy odgłos w domu naruszał jej kruchą równowagę. Podrywał ją każdy najmniejszy hałas i nasłuchiwała wtedy z bijącym sercem.

Kiedy ostatni raz spojrzała na zegar, było wpół do czwartej, a gdy wreszcie zasnęła, pojawiły się koszmary.

Tami! Musimy ustalić położenie... Smitty... Jamie, pomóż Smitty'emu...

Obudziła się wilgotna od potu, z sercem w gardle. Półprzytomna spojrzała na zegar. Wpół do szóstej. Odrzuciła kołdrę, chciała wstać.

I wtedy sobie przypomniała: nie ma nogi. Patrzyła na to, co z niej zostało; nadal spuchnięte i ukryte pod gazą i bandażem. Przymknęła powieki i z westchnieniem

opadła na poduszki. Tam, na drugim końcu świata, jej serdeczna przyjaciółka też leży w łóżku...

Na dworze, gdzieś w pobliżu, zawył kojot. Na piętrze zaskrzypiała podłoga, po chwili ktoś spuścił wodę w toalecie. Nie tylko ona nie śpi.

Leżąc samotnie w swoim wielkim łóżu, próbowała czerpać siłę z tego, co ma. Wróciła do domu, była matką. Pierwszy raz od wielu miesięcy mogła skupić się na dzieciach, być dla nich taką matką, jaką była kiedyś, matką, jakiej potrzebowały. Tami skopałaby jej tyłek za taką słabość.

Da radę. Musi. Dzisiaj odzyska swoje dawne życie i siebie.

Oczami wyobraźni zobaczyła, jak robi śniadanie, wyprawia córki do szkoły, całuje je na do widzenia.

To była ostatnia świadoma myśl. Kiedy się obudziła, za oknem zdążył wstać szary, deszczowy dzień.

Pierwszy dzień jej nowego życia. Usiadła na łóżku i spojrzała tęsknie na kule oparte o ścianę. Żałowała, że nie może ich użyć, lecz Conny bardzo stanowczo orzekł, że jeszcze za wcześnie. Zbyt dużo w domu ukrytych zagrożeń. Przesiadła się na wózek i przejechała do łazienki. Znowu ta sama mordęga. Balansując na jednej nodze, umyła zęby oraz twarz i podskokami dotarła do toalety. Gdy się ubrała i ogarnęła, zaczęła odczuwać zmęczenie. Usiadła na wózku, przeniosła się do dziennego pokoju i poszukała pilota.

Włączyła telewizor, nastawiła na CNN i czekała na wiadomości z Iraku.

Michael zszedł z piętra z rozszczebiotaną Lulu na rękach.

- O, już wstałaś - zauważył. Był już w garniturze, gotowy do wyjścia.

- Postaw mnie! - pisnęła Lulu, wywijając się z jego

ramion. Puszczając się biegiem do matki, niechcący szturchnęła ją w nogę. Ból był tak potworny, że Jolene nie zapanowała nad językiem.

Lulu stanęła jak wryta i wpatrywała się w nią szeroko otwartymi oczami.

-Mamuś, powiedziałaś brzydkie słowo. Tato! Mamusia powiedziała brzydkie słowo!

- Przepraszam - mruknęła posępnie Jolene.

- Co chcecie na śniadanie? - zapytał Michael.

- Ja im zrobię śniadanie i wyprawię je do szkoły.

- To dla ciebie za wiele. Wyluzuj, Jo. Ja...

- Proszę - powiedziała, zła na siebie za błagalny ton w głosie. - Potrzebuję tego, Michaelu. Muszę wrócić do normalnego życia. Poradzę sobie.

Patrzył na nią jak na bombę, która w każdej chwili może eksplodować.

- Jeśli jesteś pewna...

- Czego pewna? - podchwyciła Betsy, zbiegając ze schodów.

-Mama chce wam, dziewczynki, zrobić śniadanie i wyprawić was do szkoły.

-Aha - wymamrotała Betsy, wyraźnie nie wierząc w możliwości Jolene.

- To specjalny dzień - zdecydowała Lulu, zerkając na Jolene, jakby ciekawa dalszego rozwoju sytuacji. -Będą płatki Cap'n Crunch.

Betsy jęknęła.

- Jo? Jesteś pewna? - Michael powtórzył pytanie. - Ja to mogę zrobić.

- Tak, jestem.

-Teraz dziewczynki jeżdżą autobusem. Wiedzą, o której muszą wyjść z domu.

Kolejna zmiana. Mniejsza z tym. I tak nie mogłaby ich rozwiązać.

- W porządku. Dzisiaj mam procedurę *voir dire*, więc większą część dnia spędzę w sądzie. Mama będzie tu za godzinę i zawiezie cię na rehabilitację. Ja wrócę do domu najpóźniej o szóstej.

- Nigdy nie wracasz o szóstej.

- Ludzie się zmieniają, Jo. - Rzucił jej wymowne spojrzenie.

- Pocałuj mamusię na do widzenia - podpowiedziała Lulu, kiedy sięgał po płaszcz.

Popatrzyli na siebie z Jolene. Potem on podszedł i powoli pochylił się nad nią.

Ten jego pocałunek był jak dotknięcie skrzydła motyla. Tak mężczyzna całuje kobietę starą albo taką, która stoi nad grobem.

Odprowadziła go wzrokiem do drzwi. Odgłos ruszającego samochodu wyrwał ją z zadumy.

- No dobrze, dziewczynki, idźcie się ubrać, a ja w tym czasie przygotuję śniadanie.

Przejechała do kuchni, zaskoczona, jaka ciasna się wydaje z perspektywy wózka. Z trudem się po niej poruszała, ledwo sięgając blatów szafek.

Córki zeszły na dół i siedziały już przy stole, a ona nawet nie zdążyła się jeszcze zorganizować. Zerknęła na grafik, który rozpiła dla Michaela przed wyjazdem. Na dziś przypadała owsianka i pszenne tosty z plasterkami bananów.

Podciągnęła się z wózka i jedną ręką przytrzymując się blatu, drugą przesuwiała garnki w szafce w poszukiwaniu rondelka. Szczęk metalu działał jej na nerwy, przywołując wspomnienie bombardowań i huku roztrzaskiwanego betonu...

- Pomóc ci, mamuś? - zaoferowała się Betsy.

- Nie - odwarknęła. - Sama potrafię ugotować cholerną owsiankę.

- No to przepraszam. - Betsy poczuła się dotknięta.

- Mama znowu się wyraziła - zauważyła Lulu.

Jolene znalazła rondel i spojrzała na zlew. Od kranu dzieliły ją jakieś trzy metry, lecz ta odległość wydawała się rozciągać w jej oczach. Boże, jak bardzo chciałyby po prostu tam podejść i zrobić to śniadanie, żartując i śmiejąc się z dziewczynkami.

Niestety. Zaciskając zęby, usiadła na wózku, podjechała do zlewu, ponownie się podniosła, odkręciła kran i postawiła rondel pod strumień wody.

Krew tryska z rany, zalewa twarz żołnierza. Jolene krzyczy: Smitty, sprowadź lekarza; on się wykrwawi na śmierć...

- Piętnaście po siódmej - upomniała ją Betsy ostrym tonem.

Wróciła do teraźniejszości. To nie Irak. Nie jest w zespole ewakuacji medycznej, tylko w kuchni. Spojrzała na przelany po brzegi rondel.

-Mamo, jest...

- Wiem - ucięła. Zakręciła kran i postawiła garnuszek na blacie. Odwracając się na nodze, przyciągnęła wózek.

- Tata już dawno zrobiłby tę owsiankę - dodała Betsy. Jolene, niewiele myśląc, złapała uchwyt prawą ręką.

Wszystko trwało ułamek sekundy, lecz ona to widziała jakby w zwolnionym tempie. Chwył, wywinięta dłoń, otwarte palce i spadający rondel, który z brzękiem odbija się od podłogi.

- Oblałaś mnie! Jestem cała mokra! - wrzasnęła Betsy, zrywając się z krzesła. - O Boże! Muszę się przebrać. .. - Wybiegła z kuchni.

Jolene opadła na wózek.

- Ale bałagan, mamusiu - powiedziała z przejęciem Lulu. - Podłoga wygląda jak jezioro.

Jolene milczała oniemiała.

- Mamuś? Zrobiłaś bałagan - powtórzyła Lulu drżącym głosem. - Chcę tatę.

- Guzik mnie to obchodzi. Lulu się rozplakała.

- Chcę tatę. Natychmiast!

Z góry zeszła Betsy w dżinsach i w białej bluzie z kapturem. Wzięła Lulu na ręce. Obie patrzyły na Jolene. - **1** co? - odezwała się Betsy.

- Co „i co”?

- Co z tobą?

Jolene czuła, jak wzbiera w niej rozgoryczenie. Chciała się opanować, być dobrą matką, jednak to okazało się ponad jej siły.

- Co ze mną? - Targnął ją gniew. Miała ochotę wykrzyknąć: nie widzisz?

Szkolny autobus zatrzymał się na podjeździe z sapnięciem pneumatycznych hamulców.

Betsy jęknęła i wypuściła siostrę z ramion.

- Ona zrobiła mi krzywdę! Ona zrobiła mi krzywdę! - Lulu się rozplakała, pacnąwszy na podłogę.

Betsy rzuciła się do kuchennych drzwi i otworzyła je z impetem.

- Zaczekajcie! Zaczekajcie!

Za późno. Jolene usłyszała oddalający się warkot silnika.

- Spóźnię się do szkoły - płaczliwie pisnęła Betsy i głośno tupiąc, zbliżyła do matki. - Będę musiała wejść do klasy na przerwie. Wszyscy się będą na mnie gapić.

- Jestem głodna - zawodziła Lulu. - Chcę tatę.

- **1** co? - zapytała zaczepnie Betsy. - Zamierzasz tak siedzieć?

To była ostatnia kropla, która przepełniła czarę. Jolene zacisnęła dłonie na kołach i odwróciła się z wózkiem.

-Coś ty, do diabła, powiedziała?! Uwierz mi, Betsy, spóźnienie się do szkoły to jeszcze nie tragedia. - Uniosła amputowaną nogę. Kikut podskoczył i zakołysał pustą nogawką. - To jest tragedia. A teraz zrób siostrze śniadanie. Lada chwila będzie tu Yia Yia. Zawiezie was do szkoły.

- Mówiłaś, że dasz radę! - krzyknęła Betsy, mieniąc się na twarzy. - Ale nic z tego! Nie potrafisz się nawet nami zająć! Po co w ogóle wróciłaś?!

- A ty jesteś rozwydrzoną smarkułą! - Jolene pchnęła koła i odjechała do gabinetu, z trzaskiem zamykając drzwi. Wydobyła się z wózka i padła na łóżko z głośnym jękiem.

Tak bardzo potrzebowała porozmawiać z przyjaciółką, wyznać: właśnie wydarłam się na córkę, bo ona na mnie nakrzyczała. Powiedz, że nie jestem suką... powiedz, że ona... powiedz, że się wygrzebię...

Słyszała, jak Betsy uspokaja płaczącą Lulu. Prawdopodobnie przytulone do siebie, patrzyły na zamknięte drzwi, zastanawiając się, kim, do diabła, jest ta kobieta kryjąca się za nimi. Czują, że z wojny nie wróciła ich matka, tylko ktoś dla nich wszystkich obcy. Najbardziej obcy dla niej samej.

„Chcę tatę”.

Od kiedy Lulu szukała pociechy u Michaela?

Kolejna zmiana. Pod jej nieobecność serce rodziny się przesunęło. Ona, teraz mniej ważna, znalazła się na marginesie. Michael był tym rodzicem, który je pocieszał i otaczał troską. Rodzicem darzonym zaufaniem.

Nie zareagowała na pukanie do drzwi.

Po chwili do środka weszła Mila w roboczym stroju złożonym z dżinsów, obszernej koszuli z denimu i zielonego płóciennego fartucha. Czarne włosy podtrzymywała niebiesko-biała bandana. Podeszła do łóżka, przy-

siadła na brzeżku i pochylając się nad Jolene, odgarnęła jej włosy z twarzy.

- Żołnierz nie chowa się w sypialni po przegranej bitwie.

- Milu, już nie jestem żołnierzem. Ani żoną, ani matką. Cholera wie, kim właściwie jestem.

- Zawsze byłaś dla siebie zbyt surowa, Jolene. Przechodzisz trudne chwile. Upuściłaś garnek i nakrzyczałaś na córki. Wielka mi rzecz. Ja bez przerwy wydzieriałam się na Michaela, kiedy był nastolatkiem.

- Kiedyś nie krzyczałam na nie - powiedziała cicho, czując ucisk w żołądku.

-Wiem. Szczerze mówiąc, według mnie to nienormalne.

- Boją się mnie. - Jolene westchnęła. - Ja też się siebie boję.

Mila uśmiechnęła się ze zrozumieniem.

- Wszyscy wiedzieliśmy, jak ciężko będzie bez ciebie, lecz nikt nas nie uprzedził, że po powrocie też może być trudno. Musimy oswoić się z nową sytuacją. Przywyknąć. A ty daj sobie trochę luzu.

- Nigdy nie byłam w tym dobra.

- Wiem. A teraz wstań i się ubierz. Za dwadzieścia minut jedziemy na rehabilitację.

- Dzisiaj nie pojedę. Kiepsko się czuję, -pojedziesz - stwierdziła krótko Mila.

Miała ochotę zaprotestować, zrobić scenę, lecz znużona i przygnębiona, ustąpiła dla świętego spokoju.

Michaelowi większość dnia upłynęła na rozmowach z potencjalnymi ławnikami. Każdemu z nich po kolei zadawał sondujące pytania, aby mniej więcej poznać ich

nastawienie. Potem wrócił do kancelarii i zaczął pracować nad mową wstępną.

Z góry wiedział, co powie oskarżyciel. Zacznie od opisanie brutalnych okoliczności morderstwa, powtarzając wielokrotnie, że Keith z zimną krwią strzelił w głowę swojej kochającej i bezgranicznie ufającej mu żonie Emily. Podkreśli, że oskarżony ani razu nie wyparł się swojego czynu. Przedstawi dowody, które każą ławnikom wątpić w sens ich roli na tym procesie. Wmówi im, że Keith bezczelnie kłamie, zasłaniając się utratą pamięci, i zakończy mowę słowami: „Któż nie chciałby zapomnieć, że Keith Keller zabił żonę strzałem w głowę? Otóż, panie i panowie przysięgli, powiem wam, kto nigdy tego nie zapomni”. W tym miejscu odwróci się teatralnie do płaczących rodziców Emily. „Sumienie nie pozwala mi powiedzieć tym dwojgu starszym ludziom, że morderca ich córki wyjdzie z tej sali jako wolny człowiek. A co z waszym sumieniem?”.

Zazwyczaj Michael już podczas pierwszej rozprawy odpierał wszystkie zarzuty, starając się podważyć akt oskarżenia.

Jednak tym razem zamierzał podjąć skalkulowane ryzyko. Nie podważy samego zabójstwa, skupi się natomiast na wytłumaczeniu ławie przysięgłych, dlaczego do niego doszło. W stanie Waszyngton to oskarżyciel publiczny miał obowiązek udowodnić ponad wszelką wątpliwość, że Keith nosił się z zamiarem zabójstwa żony.

Premedytacja.

Kluczowe słowo w tym procesie.

Kiedy o wpół do szóstej zjechał z promu i skierował się do domu, nadal krążył myślami wokół procesu. Dopiero na podjeździe zaczął się zastanawiać, jak ten dzień upłynął Jolene. Dzisiaj Mila nie pilnowała dziewczynek

po szkole. Po raz pierwszy po tak długim czasie czuwała nad nimi Jolene.

Już na progu odniósł wrażenie, że trafił w sam środek piekła.

We wszystkich pokojach paliły się światła. Na ekranie telewizora w rytm ryczącej na cały regulator muzyki podrygiwał jakiś girlsband, a córki zawzięcie się kłóciły. Po zaciętej minie Lulu poznał, że jeszcze chwila, a rozwrzeszczy się na cały głos, natomiast Betsy była wściekła.

Kiedy wszedł, przestały krzyczeć na siebie i zgodnie napadły na niego.

- Chwileczkę - uciszył je, unosząc ramiona. - Powoli.

- Mamusia już nas nie lubi - poskarżyła się Lulu.

- Tato, ona się zachowała jak jędra. Wiem, że brzydko tak mówić, ale to prawda - dodała Betsy. - A teraz siedzi w swoim pokoju i nie chce wyjść. Kiedy tam zajrzałam, powiedziała: „Nie teraz, Betsy”. Nawet nas nie przeprosiła za rano.

- Za rano? Co się stało rano?

- Spóźniłyśmy się do szkoły. Uciekł nam autobus - wyliczała piskliwie, ciągle pod wrażeniem koszmarne poranka.

- Mama wylała wodę na owsiankę i użyła brzydkiego wyrazu - dorzuciła z powagą Lulu. Usta jej drżały, była bliska płaczu.

- Dziewczynki, pamiętacie? Rozmawialiśmy o tym. Początki będą trudne. Mówiliśmy, że trzeba być cierpliwym, przypominacie sobie?

- No tak, ale powinieneś też o tym porozmawiać z mamą. Chciałam jej nawet pomóc przy śniadaniu i w ogóle. - Betsy coraz bardziej się nakręcała. - Coś jest z nią nie tak, tato.

Słyszał lęk w zagniewanym głosie córki i dobrze ją rozumiał. Jolene się zmieniła i każde z nich nie do końca wiedziało, jak z nią postępować.

- Wszystko będzie dobrze.

- Wiesz co, tato? Niedobrze mi się robi, kiedy tego słucham. To wierutne kłamstwo.

- Zmieniła się - wyszeptwała Lulu, pochlipując. - Nie chciała nawet z nami rozmawiać po szkole.

Michael przyklęknął i otworzył ramiona. Wbiegły w objęcia, a on mocno je przytulił.

Kiedy się od niego oderwały, zobaczył łzy w oczach starszej córki.

- Tak mi przykro, Betsy. Wiem, że mama zraniła twoje uczucia...

- Moje też - podkreśliła Lulu.

- Wasze uczucia - poprawił się - ale pomyślcie tylko, jak bardzo boli, kiedy się skaleczycie albo nabijecie sobie guza. A mama straciła nogę. Trochę potrwa, zanim dojdzie do siebie. Powinienem lepiej was przygotować. Cholera, siebie zresztą też.

- Powiedziałeś brzydkie słowo - wytknęła mu Lulu.

- Dziękuję, panno moralistko.

- A jeżeli mama już taka zostanie? - podchwyciła Betsy.

- Na pewno nie - uspokoił ją. Potem pocałował córki w policzek. - Betsy, idź, zadzwoń po pizzę.

- Może lepiej byłoby tu bez niej - mruknęła, wychodząc z pokoju.

Michael stanął przed gabinetem, zapukał delikatnie, odczekał chwilę, a ponieważ nie usłyszał odpowiedzi, uchylił drzwi.

Mrok w pokoju rozjaśniało światło sączące się z dworu. Złotawa poświata zmierzchu podkreślała ostry zarys jej kości policzkowych. Metalowe uchwyty wózka

połyskiwały jak strużki rtęci. Na nocnym stoliku stała otwarta butelka wina i pusty kieliszek.

Z zatroskaną miną stanął nad łóżkiem. Odkąd się znali, nie przypominał sobie, aby wypić kiedykolwiek więcej niż łyk wina. Podniósł butelkę - była przynajmniej do połowy opróżniona.

Chciał ją obudzić, porozmawiać o tym, co dziś zaszło, zapytać o to wino, lecz wiedział, jak ważny jest dla niej sen.

Poza tym czy w ogóle zechciałaby z nim rozmawiać? Nawet przed mobilizacją, kiedy między nimi wszystko jeszcze dobrze się układało, nie była skłonna do wynurzeń. Poza miłością, którą tak entuzjastycznie im okazywała, wszelkie inne emocje tłumiła w sobie.

Między innymi właśnie dlatego ich związek zaczął się sypać. Miał wrażenie, że ona w ogóle go nie potrzebowała.

Wyszedł z pokoju, zamykając cicho drzwi.

Resztę wieczoru spędził z córkami. Zjedli kolację, pograli w planszowe gry, obejrzel na Discovery Channel program o delfinach. Mimo jego starań dziewczynki poszły spać rozżalone i podenerwowane.

Kiedy wreszcie w domu zapanowała cisza, przebrał się w dresy i wrócił do pracy nad obroną Kellera. Niedługo rozpocznie się proces, a on nadal nie wiedział, jak wytłumaczyć ławie przysięgłych, co się dzieje z człowiekiem z zespołem stresu pourazowego, tak aby umieli postawić się w sytuacji Keitha. Pracę nad notatkami przerwał mu mrożący krew w żyłach krzyk, który odbił się echem po całym domu.

Zerwał się od biurka i wybiegł z pokoju. Kolejne ostre, niemal zwierzęce zawodzenie dobiegło z parteru.

Pospieszył na dół i pchnął drzwi do gabinetu.

Jolene krzyczała przez sen, wijąc się na łóżku, omo-

tana w pościel. Poduszki leżały porozrzucane na podłodze.

- *Mayday!* - jęczała. - Tami... nie mogę cię dźwignąć. Cholera...

- Jolene!

- Podajcie położenie! - wrzasnęła, czołgając się po łóżku w stronę nocnej szafki.

- Jo! - Przytrzymał ją za rękę i w odpowiedzi dostał łokciem w żołądek. Silny cios na moment pozbawił go oddechu. Natomiast ona znalazła się niebezpiecznie blisko krawędzi łóżka.

Objął ją i przygniótł do materaca, żeby ochronić przed upadkiem. Tym razem boleśnie trafiła go w oko. Tracąc równowagę, stoczył się razem z nią na podłogę.

Obudziła się z głośnym westchnieniem.

- Michael? - Patrzyła na niego zdezorientowana. Betsy i Lulu stały w drzwiach, obserwując całą scenę

z przerażeniem w oczach.

- Co się z nią dzieje? - pisnęła Betsy. Jolene trzęsła się na całym ciele.

- Wasza mama miała zły sen. To nic takiego.

-Zły sen? - Betsy pokręciła głową z niedowierzaniem. - Masz nas za głupie?

- Idźcie na górę - polecił, pomagając Jolene podnieść się z podłogi. Teraz chwytła powietrze jak ryba wyrzucona na brzeg. - Ja się zajmę mamą.

- Mogę z tobą spać? - Lulu zwróciła się do siostry drżącym głosem.

-Jasne. - Betsy wzięła ją za rękę i wyprowadziła z pokoju.

Jolene wdrapała się na łóżko i z takim impetem opadła na zagłówek, że drewniane wezglowie uderzyło o ścianę.

- Przepraszam za to - wyszeptała łamiącym się głosem.

Usiadł przy niej.

- Michaelu... coś... złego się ze mną dzieje - wyznała, z trudem przetykając ślinę. To było jej wołanie o ratunek; na więcej nie potrafiła się zdobyć.

- Widzę, Jo. Znajdziemy ci pomoc.

- Czy one są przy mnie bezpieczne?

Pragnął ją zapewnić, że tak, oczywiście, lecz powstrzymywał go pulsujący ból oka po ciosie, o którym zapewne nie pamiętała. Szczerze mówiąc, nie znał odpowiedzi na to pytanie.

Następnego dnia Jolene wstała przed Michael'em.

Znalazł ją w dziennym pokoju. Ćwiczyła chodzenie przed lustrem opartym o ścianę, starając się, aby jej chód był jak najbardziej zbliżony do naturalnego.

Kiedy dyskretnie obserwował ją z wejścia, potknęła się, przewróciła i zakłęła.

- Jo.. - Podszedł, chcąc jej pomóc.

- Sama - syknęła przez zaciśnięte zęby, odpychając jego rękę. - Muszę wrócić do formy.

Desperacja w jej głosie i strach w oczach kazały mu się wycofać. Przykro było patrzeć, jak podnosi się chwiejnie, podciągając się na oparciu krzesła.

Trzykrotnie przy nim upadła. Za każdym razem zaciskając zdrową dłoń w pięść i dysząc ciężko, dźwigała się z podłogi. Więcej już nie zakłęła ani nie syknęła z bólu, a na pewno musiała potwornie cierpieć. Wiedział od Conny'ego, że zawzięcie ćwicząc, dorobiła się odcisków na końcu kikuta.

-Świetnie - pochwalił, kiedy przeszła kawałek w miarę pewnie i dość swobodnie zawróciła.

Przyjęła pochwałę z uśmiechem, lecz pod tym niby- optymizmem dostrzegł smutek w oczach. Rozumiał, ile

muszą ją kosztować te wszystkie upadki i konieczność zdawania się na innych w najprostszych nawet sprawach.

- Masz podbite oko. - Patrzyła na niego zatroskana.

- Zupełnie jak kapitan Jack Sparrow, nie?

- To moja robota?

- Nieumyślna.

- Przepraszam.

- Nie ma za co, nie przejmuj się.

- No, jasne. - Westchnęła z rezygnacją.

Widział, jak przeraziła ją świadomość, że go uderzyła, w ogóle o tym nie pamiętając. Dobrze byłoby porozmawiać z nią o tych nocnych koszmarach, lecz skąd miał wiedzieć, czy to nie wzniosłoby pomiędzy nimi kolejnego muru. Nie miał pojęcia, jak było w Iraku. Nie wiedział nawet, o co pytać.

Dziewczynki z tupotem zbiegły ze schodów. Na widok Jolene stanęły jak wryte, a Betsy z rozpędu wpadła na Lulu.

- Słuchajcie - Jolene zwróciła się do nich z miną tak smutną, jakiej chyba dotąd u niej nie widział. - Przepraszam was za wczorajszą noc. To był tylko zły sen.

-Przez ten sen tata ma podbite oko - stwierdziła oschle Betsy. - Co z tobą, mamó? Jolene westchnęła.

- Pozbieram się. Obiecuję. Muszę próbować.

- Chce mi się jeść - oznajmiła Lulu. - Tatusiu, zrobisz nam śniadanie?

Michaelowi nie umknęła reakcja Jolene. Była rozczarowana. Widział, jak zwiesiła ramiona, a potem już wyprostowana, powróciła do ćwiczeń przed lustrem.

- Dobrze - zgodził się. - Bierzmy się do śniadania.

Wyprowadził córki do kuchni, podał jedzenie, a potem podążył za nimi na górę dopilnować przygotowań do szkoły.

- Pożegnajcie się z mamą - przypomniał im w drodze do wyjścia.

- Pa, mamó - posłusznie powiedziały chórem. Nie obejrzały się na nią, gdy odmierzała kroki przed lustrem. Michael odprowadził dziewczynki na podjazd, poczekał z nimi na autobus i wrócił do domu.

-Hej! - Pocieszająco dotknął ramienia Jolene, widząc jej przygnębienie.

- Nie wysilaj się - odparła. - Sama się z tym uporam.

No właśnie; kolejne przypomnienie, jak bardzo się od siebie oddalili. Nawet taka przestraszona i przybita nie życzyła sobie, żeby ją podtrzymywał na duchu.

- Chodź, Jo, czas jechać na rehabilitację - powiedział jedynie, bo nic więcej nie przychodziło mu do głowy.

Na promie nie chciała wysiąść z auta, siedzieli więc w środku w milczeniu.

- Tam musiało być okropnie - odezwał się niepewnie po jakimś czasie, odwracając się do niej i czując się przy tym jak oszust, bo oboje wiedzieli, że on nie ma pojęcia, jak wygląda życie na misji.

- Okropnie? - powtórzyła. - Taa.

- Cały czas się bałaś?

Z uporem wpatrywała się w okno.

- Nie, nie cały czas. Nie chcę o tym rozmawiać- **W** tej chwili to bez znaczenia.

- Teraz jesteś w domu, Jo.

Pokiwała głową, nie odrywając oczu od widoku za szybą. Resztę drogi do Seattle przebyli w milczeniu. Ona patrzyła w okno, a na jego pytania reagowała wyłącznie wstrząsaniem ramionami.

- Jo? - Zatrzymał ją, kiedy wysiadła przed centrum. -Wiesz, że naprawdę musimy o tym porozmawiać?

-Taak. Wiem - przyznała z rezygnacją, jakby już sama myśl o tym ją wyczerpywała.

Patrzył, jak utykając, dochodzi do drzwi, a potem odjechał. Ale zamiast skierować się do kancelarii, skręcił na Aurora Avenue i zajechał przed dom Comflowera.

- Tak, wiem - powiedział do dziewczyny w recepcji, tej z fioletowymi włosami i mnóstwem kolczyków w różnych miejscach na twarzy. - Nie jestem umówiony. Ale jeśli to możliwe, chciałbym zamienić parę słów z Chrisem. Jestem Michael Zarkades.

- Dobra - kiwnęła głową. - Jedną sekundę. - Podniosła się od biurka i zniknęła w głębi domu. - Doktor przyjmie pana w ogrodzie zimowym - oznajmiła, wracając po minucie czy dwóch. - Proszę tędy.

Michael doszedł korytarzem do niewielkiego przeszklonego pomieszczenia z ratanowymi meblami z lat pięćdziesiątych, pełnego kwitnących roślin. To miejsce przywołało wspomnienie salonu jego rodziców z podłogą z szerokich desek i meblami obitymi perkalem w kwieciste wzory. Na jedynej ścianie wisiał oprawiony, pożółkły plakat z tekstem *Dezyderaty*: „Krocz spokojnie przez hałas i pośpiech i pamiętaj, jaki spokój można znaleźć w ciszy...”. Mimo woli się uśmiechnął. W sypialni jego matki wisiał kiedyś dokładnie taki sam plakat.

- Michaelu, nie mogę poświęcić ci dużo czasu -uprzedził go Chris, zamykając drzwi. - Za dziesięć minut mam pacjenta. Coś z Keithem? Nasiliły się koszmary?

Michael usiadł na jednym z wzorzystych foteli.

- Chodzi o moją żonę, Chris. Ona... się zmieniła. Wczoraj wieczorem wypła kilka kieliszków wina... wiem, to niby nic takiego, ale jej rodzice byli alkoholika-

mi. Nigdy nie widziałem, aby Jolene wypła więcej niż parę łyków. A w nocy obudziła się z krzykiem.

- To ona podbiła ci oko?

- Zawsze miała dużo pary w rękach. Szkoda, że nie miałeś okazji widzieć jej serwisów.

Chris uśmiechnął się i usiadł.

-Zdecydowanie potrzeba nam więcej niż dziesięć minut. Z chęcią porozmawiam z Jolene, o ile się zgodzi.

- To nie ten typ, który chętnie mówi o sobie, ale przyznała, że widzi problem.

- Michaelu, ona jest żołnierzem, a żołnierz nie ma prawa okazać słabości i dlatego nie może pogodzić się z tym, że nie potrafi się przystosować. Jak ci wiadomo, koszmarne sny i trudności z zasypianiem są częstymi objawami PTSD, a czasem po prostu psychika tak właśnie odreagowuje stres po powrocie z wojny. W większości przypadków koszmary powoli ustępują. Zaczniemy się martwić, jeżeli nic się nie zmieni w najbliższych trzech miesiącach. W tej chwili ona przeżywa silne emocje - zapewne cierpi z powodu śmierci tego chłopaka z załogi, boi się o przyjaciółkę w śpiączce, ma poczucie winy, że zestrzelono jej helikopter, być może obawia się, że słabną więzi rodzinne, a ona nie ma siły, aby to naprawić. Dodaj do tego amputację, a co za tym idzie, zapewne koniec kariery wojskowej, i masz kobietę w głębokim kryzysie.

- No to jak mogę jej pomóc?

- Ona miewa takie wrażenie, że odłącza się od ciała -dodał cicho. - Niby jesteś jedną osobą, a nagle ciebie nie ma. I już nie wiesz, kim właściwie jesteś. A te koszmary ją wykańczają.

- Miałem okazję to widzieć.

- W żadnym wypadku nie trzymaj w domu broni. -Jezu...

-1 pilnuj, żeby nie piła. To może pogłębić problem. Przede wszystkim postaraj się ją skłonić do rozmów. I powstrzymuj się od wszelkich krytycznych uwag.

- Właściwie nigdy nie byliśmy z Jo tacy skorzy do rozmów.

Chris ze zrozumieniem pokiwał głową.

- Masz teraz okazję to zmienić.

W drodze do domu Jolene chciała porozmawiać z Milą, ale jakoś nie potrafiła znaleźć odpowiednich słów. Ciągle przeżywała wczorajszy wieczór, kiedy z krzykiem obudziła się z tamtego potwornego snu, wijąc się na podłodze, a córki patrzyły na nią z przerażeniem w oczach. To wspomnienie cały czas ją prześladowało. Ledwo mogła się skupić podczas rehabilitacji.

Co się z nią, do diabła, dzieje? Teraz bardziej niż kiedykolwiek potrzebowała Tami, a świadomość, że jej nie ma, jeszcze pogarszała cierpienie.

Wyobraziła sobie, jak mówi: „Milu, boję się, coś złego się ze mną dzieje”, a jednak nie potrafiła się przemóc. Przerazała ją myśl, że wtedy pięknie tama, ukazując głębię jej lęków. Po raz pierwszy w życiu była naprawdę przestraszona. Nawet w Iraku tak się nie bała.

- Dostałam w kość na rehabilitacji. Potwornie dokuczają mi bóle pęcherzy. - Uśmiechnęła się słabo, wstydząc się kłamstwa.

- Chcesz, żebym z tobą posiedziała, dopóki dzieci nie wrócą ze szkoły?

- Nie. Już jest nieco lepiej. Naprawdę. Trochę się teraz zdrzemnę, a potem przygotuję im coś do zjedzenia. Może pogramy w jakieś gry planszowe.

- No dobrze. - Mila ustąpiła z wahaniem.

Jolene zmusiła się do uśmiechu. Cmoknęła teściową

w policzek, wysiadła z samochodu i weszła do domu. Za drzwiami, oparta całym ciężarem na kulach, wypuściła z płuc długo wstrzymywane powietrze.

Kieliszek wina pomoże jej uspokoić nerwy i pozbyć się drżenia rąk. Tylko jeden kieliszek. To w końcu nic złego.

Dłonie jakby mocniej zaczęły się trząść. Podeszła do lodówki, nalała sobie wina i usiadła przy stole. Po dwóch kieliszkach poczuła się nieco lepiej. Tamto dziwne uczucie ustąpiło. Ale strach pozostał.

Potrzebowała pomocy.

Tak jest. Koniecznie. Ze względu na córki. Traciła je, odpychała, budziła w nich strach. Uderzyła męża w twarz i w ogóle tego nie pamiętała. Co może zrobić dzieciom? Podeszła do telefonu. Zajrzała do książki telefonicznej i wybrała numer Departamentu do spraw Weteranów.

- Muszę z kimś porozmawiać - rzuciła do recepcjonistki.

- O czym?

- Jestem weteranką po misji pokojowej w Iraku. Ranną. Muszę pomówić z kimś o prześladowających mnie koszmarach.

- Proszę poczekać.

Oddychaj, Jolene. Nie rozłączaj się.

- W czym mogę pomóc? - odezwał się w słuchawce oschły męski głos.

- Wróciłam z misji pokojowej w Iraku i mam problemy ze snem.

- Nachodzą panią myśli, żeby zranić siebie czy kogoś z bliskich?

- Co? Celowo? Nie, naturalnie, że nie, ale...

- Mogę panią umówić na spotkanie z terapeutą.

Odetchnęła z ulgą.

- Wspaniale. Dzięki.

- Na piętnastego grudnia. Pasuje? -Przepraszam. Powiedział pan: piętnastego grudnia? Mamy październik.

-Tak. Tyle trzeba czekać. Mamy ogromną kolejkę. Mnóstwo powracających żołnierzy potrzebuje pomocy. Jednak jeżeli ma pani te myśli o okaleczeniu...

Wiedziała, co będzie, jeśli odpowie twierdząco. Odnotują w jej papierach zaburzenia psychiczne. Zrobią z niej świra.

- Nie. W takim razie dziękuję. Proszę nie rejestrować mnie na grudzień. Jestem pewna, że do tego czasu moje problemy ustąpią.

Odłożyła słuchawkę i usiadła przy telefonie.

Powrócił ból fantomowy i wykręcał jej nogę w kostce.

Dokuśtykała do pokoju dziennego i opadła na kanapę. Zamknęła oczy i koncentrując się na oddechu, próbowała zagłuszyć cierpienie.

Ze snu wyrwało ją pukanie do drzwi. Jak długo spała? Czyżby dziewczynki wróciły? Spojrzała na zegar. Dopiero trzecia. Zwlokła się z kanapy, wzięła kule i utykając, powoli doszła do drzwi.

Na werandzie stał kapitan Lomand z bukietem kwiatów.

- Ben. - Uśmiechnęła się szczerze po raz pierwszy od wielu dni. - Jak dobrze cię widzieć. Wchodź. - Wprowadziła go do dziennego pokoju i usiadła na kanapie.

- Wpadłem zobaczyć, jak sobie radzisz - powiedział, zajmując miejsce obok niej. - Michael mówił, że o tej porze będziesz już w domu.

- Z każdym dniem czuję się lepiej.

- Cieszę się.

- Widziałeś się z rodzicami Smitty'ego? - zebrała się na odwagę.

Potakująco skinął głową.

- Na pogrzebie.

- Obwiniają mnie?

- Oczywiście, że nie. Dla nich syn jest bohaterem, który zginął, służąc ojczyźnie. Są z niego dumni.

- Próbowałam go wydostać.

Zamilkli oboje, bo co więcej zostało do powiedzenia.

- Jolene. - Lomand spojrział na nią z przygnębionym wyrazem twarzy.

- Mam dla ciebie wiadomość.

- Co takiego?

- Przyszedł raport z Landstuhl od kapitana Sandsa z oceną zdolności do służby.

- Och... - westchnęła cicho.

Przez to wszystko, co działo się w ostatnim czasie, zapomniała o pracy. O lataniu. Jak to możliwe? -I...?

- Jesteś pilotem - przypomniał Lomand, patrząc na nią ze smutkiem. - Może żołnierze innych specjalności mogą wykonywać swoje zadania, mając jedną nogę. Ale nie pilot.

Chce jej powiedzieć, że już nigdy nie będzie latać. Na moment przymknęła powieki, chcąc ukryć rozpacz równą bólowi w nieistniejącej nodze.

- Nie spełniam wymogów - podsumowała. - Oczywiście, że nie. Mam tylko jedną nogę.

- Możesz się odwołać. Poprosić o zawieszenie decyzji do czasu zakończenia rehabilitacji.

- Ale latać mi nie pozwolą, prawda? - Z napięciem patrzyła mu w oczy.

Wyczytała w nich odpowiedź.

- Nie. To niezgodne z regulaminem lotniczym. Może będziesz mogła zostać w Gwardii. A w przypadku przejścia na emeryturę należą ci się pełne świadczenia.

- Świadczenia - powtórzyła cicho, usiłując wyobra-

zić sobie życie w cywilu, bez przyjaciół, bez latania... a przecież była pilotem. Jak można być w Gwardii i nie latać? Co jej zostało?

- Przykro mi, Jo.

Kiwnęła głową i odwróciła się, żeby przypadkiem nie zobaczył smutku w jej oczach.

- Dziękuję, kapitanie - powiedziała słabym głosem. Po jego wyjściu wzięła butelkę wina i zamknęła się

z nią w sypialni.

Prom dopływał do Bainbridge Island, gdy zabręczała komórka Michaela. -Halo?

- Pan Zarkades? Moje nazwisko Warner. Jestem dyrektorką gimnazjum. Niestety, doszło do przykrego incydentu z Betsy.

Prom dobił do przystani i znieruchomiał. Michael przekreślił kluczyk w stacyjce.

- Słucham? Jaki incydent? Co takiego się stało?

- Betsy wdała się w bójkę.

- Chce pani powiedzieć, że kogoś pobiła?

- Tak.

- Zaraz będę u pani - zdecydował i *rozłączył* się. Zjechał z promu w sznurze samochodów i skręcił

w stronę szkoły. Na autostradzie przycisnął gaz.

Dwadzieścia minut później znalazł się przed budynkiem gimnazjum. W środku białe ściany ozdobione były banerami z informacjami o Święcie Nauki i Dniu Historii. W poczekalni przed gabinetem dyrektorki natknął się na Betsy. Siedziała z zaciętą miną i ramionami splecionymi na piersi. Na jego widok otworzyła szeroko oczy.

-Tato, ja...

Przerwał jej ruchem ręki, nie zatrzymując się. Przedstawił się sekretarce, a ona wprowadziła go do gabinetu.

Pani Warner, ładna, drobna kobieta o sympatycznej twarzy, ściągnęła lekko brwi na widok jego podbitego oka.

- Spadłem z roweru - wyjaśnił, nie wdając się w szczegóły.

Dyrektorka uśmiechnęła się nieznacznie.

- Proszę wybaczyć, że pana wezwałam. Jesteśmy świadomi trudności, z jakimi boryka się teraz pańska rodzina. Będzie pan łaskaw usiąść.

Spełnił prośbę.

- Pobiła się? Z kim?

- Ze Sierrą Phillips i Zoe Wimerann. Z tego, co zrozumiałam, powiedziały jej coś przykrego na temat matki. Zdaje się, że Sierra powtórzyła uwagę swojego ojca na temat lotniczych umiejętności kobiet, czym bardzo rozbawiła Zoe. I wtedy Betsy rzuciła się na nie z pięściami.

Westchnął. Nic dziwnego, że Seth nazywał te dziewczyny wydrami.

- Mamy sporo kłopotów z tymi pannicami. Poza tym Betsy chyba nie do końca uporała się z powrotem mamy do domu. Nauczyciele skarżą się, że zrobiła się arogancka i nie odrabia zadań domowych. Mamy tu doskonałą pedagog szkolną, gdyby pan uznał, że powinna z kimś porozmawiać.

-Dziękuję, pani dyrektor. Dam znać, jeśli zajdzie taka potrzeba. A teraz, jeśli pani pozwoli, chciałbym porozmawiać z córką.

Podniosła się od biurka.

- Oczywiście. A... jak się czuje Jolene?

Michael nie bardzo wiedział, co powiedzieć. Miał dość udawania, że wszystko w porządku.

- Nie za dobrze. I w tym cały problem.
- Może potrzeba więcej czasu.
- Może - zgodził się. - Często to słyszę.

Pani Warner wyszła z nim na korytarz i odprowadziła do miejsca, gdzie siedziała Betsy. Zaciętą miną maskowała i gniew, i strach.

- Betsy - zwróciła się do niej dyrektorka. - Tym razem tę sprawę załatwi z tobą twój tatuś. Ale jeżeli podobna rzecz się powtórzy, zostaniesz zawieszona w prawach ucznia. Rozumiesz?

Dziewczynka ponuro pokiwała głową. Bez słowa podążyła za ojcem do samochodu.

- I co się porobiło? - zapytał Michael, otwierając drzwi po stronie kierowcy. - Podobno Sierra jest twoją najlepszą przyjaciółką.

- Nie zgrywaj się, tato. Z tą ironią ci nie do twarzy.
- Betsy, te dziewczyny nie są warte twojej przyjaźni.
- Wiem - przyznała z westchnieniem. - Skończyłam z nimi.
- Co się właściwie stało? - zapytał, wsiadając do samochodu.

Betsy wśliznęła się na fotel pasażera i czerwona ze zdenerwowania z napięciem spojrzała na ojca.

- Tato, zwyczajnie mnie poniosło. Nawet nie wiem dokładnie, jak to było. Ale to nie moja wina. Zaczęła Zoe. Ona pierwsza mnie uderzyła.

- A dlaczego to zrobiła?
- Wyzwałam ją od suk. Bo ona jest wredna, tato. Naprawdę. Zawsze powtarzasz, że prawda jest najlepszą obroną.
- Udana próba. Posłuchaj, Bets, wiem, że denerwujesz się mamą, lecz...
- Wiesz, nie zawsze chodzi o nią.

- W tym wypadku tak. Uderzyłaś koleżankę, bo powiedziała o mamie coś przykrego. No wiesz, ty też czasem bywasz dla niej niemiła. Może masz z tego powodu wyrzuty sumienia.

- Ty byłeś dla niej niedobry, zanim wyjechała.

- Tak. Prawda. I bardzo źle się z tym czuję. Ale nie obijam ludzi z tego powodu.

- Prawie na mnie nie patrzy. Mówię o mamie. Chyba nawet już mnie nie lubi.

Michael westchnął ciężko. Właśnie. Oto cały problem.

- Wiem, skarbie. Mama się zmieliła, jej zachowanie rani nasze uczucia i dlatego się stawiasz. Rozumiem cię, Betsy, ale niczego nie załatwisz za pomocą pięści.

- Tato. - Podniosła na niego wzrok. - Boję się - wyznała cicho.

- Taak - pokiwał głową. - Wszyscy jesteśmy przerażeni.

Jolene słyszała skrzypnięcie drzwi, po krokach poznała, że to Michael zbliża się do łóżka. Udała, że śpi. Trzy kieliszki wina ją znieczuliły, uwalniając od smutku, strachu i gniewu. Nie miała siły spojrzeć w oczy rodzinie, która chciała ją widzieć taką jak dawniej. A Michael był ostatnią osobą, z którą mogłaby rozmawiać o pogrzebanych szansach na latanie, bo zawsze z niechęcią podchodził do jej służby w Gwardii. Prawdopodobnie powiedziałby: „I dobrze, nie ma co rozdzierać szat”. Na pewno nie zrozumiałby, co dla niej znaczy świadomość, że nigdy więcej nie będzie pilotować blackhawka.

Była zła na siebie za te myśli. Na rany Chrystusa, Smitty nie żyje, a Tami w szpitalu walczy o życie. Jakie

ma prawo rozczulać się nad sobą z powodu zakończonej kariery?

- Jolene, wiem, że nie śpisz.

Leżała nieruchomo, starając się regularnie oddychać. Nie miała odwagi spojrzeć na niego, nie dziś, gdy jej poczucie straty ściągało ją na samo dno piekieł.

Leżała z zamkniętymi oczami, dopóki w końcu... wreszcie... sobie nie poszedł.

Przez następny tydzień stroniła od rodziny. Właściwie okazało się to bardzo łatwe. Dni spędzała w centrum rehabilitacyjnym i zawzięcie ćwiczyła, odzyskując coraz większą samodzielność. Po powrocie do domu prosiła Milę o pomoc, a sama znikwała w sypialni. Wino i środki przeciwbólowe pozwalały jej zasnąć.

Leżała samotna w łóżku, odgradzona od wszystkich i wszystkiego. Wiedziała, że się wycofuje, poddaje, a jednocześnie nie była w stanie tego zmienić. Po co się wysilać? Kto ma ją wspierać w tej beznadziejnej sytuacji? Budziła strach we własnych dzieciach, sama siebie się bała, zawodziła ją krucha równowaga psychiczna. Tami w śpiączce nie mogła jej pomóc, a stan przyjaciółki uważała za kolejny ze swoich grzechów. Mogła sobie mówić, że do katastrofy nie doszło z powodu jakiegoś uchybienia czy błędu, lecz poczucie winy towarzyszyło jej każdej nocy, przyczajone jak wilk gotowy rzucić się do gardła. Często dzwoniła do Niemiec, rozmawiała z Carlem, lecz oboje wiedzieli, że to nie jego głos tak rozpaczliwie pragnęła usłyszeć. Ostatnio ich rozmowy wydawały się wymuszone i sztywne, bo z każdym dniem malała nadzieja.

Najbardziej jednak niepokoiło ją zachowanie Michae-

la. Mówił rzeczy, jakie pragnęła słyszeć, wypowiadał słowa, za którymi tęskniła, a przecież jej nie kochał. Jak mógłby? Zobojętniał w dobrych czasach, kiedy była w formie, dlaczego niby miałby kochać ją teraz, gdy straciła grunt pod nogami?

Bała się, że jeśli pozwoli sobie na chwilę słabości, biorąc jego zachowanie za dobrą monetę, straci resztę poczucia godności, jaka jej jeszcze pozostała.

Każdego ranka przysięgała sobie, że weźmie się w garść, lecz wieczorem znowu sama w swoim pokoju łykała środki nasenne. I nadal męczyły ją koszmary.

-Dzisiaj pojedziesz ze mną do sądu - poinformował ją Michael któregoś ranka w połowie października, wchodząc bez pukania do sypialni.

- Nie, dzięki - odparła.

Stanął przy łóżku i podniósł z nocnej szafki pustą butelkę po winie.

- Pójdziesz sama czy mam cię zanieść? Usiadła na łóżku.

- Od lat nie byłam z tobą w sądzie.

-Będziesz dzisiaj. Mama obiecała zająć się dziewczynkami. Musimy zdążyć na prom o wpół do ósmej.

- Ale, Conny... -Zgodził się.

Przez chwilę patrzyła na niego w milczeniu.

- No dobrze - ustąpiła.

Oczywiście ubieranie się zajęło jej mnóstwo czasu, a kiedy wreszcie była gotowa, wróciła do sypialni i obejrzała się w dużym lustrze.

Z daleka wszystko niby było w porządku. Dopiero gdy kontrolując chód, podeszła bliżej, jej oczy zatrzymały się na topornej stopie odlanej z plastiku.

- Ślicznie wyglądasz - odezwał się Michael, stając na Progu.

Odwróciła się niezgrabnie na zdrowej nodze.

Obrzucił ją spojrzeniem, zatrzymując wzrok na rozpuszczonych włosach, które opadały teraz poniżej ramion, na zielonym swetrze z dekoltem w łódkę i na czarnych spodniach, maskujących to, czego nie było.

- Chyba nie jestem gotowa iść między ludzi - wyznała.

- Jesteś. Tak uważa Conny.

Podał jej ramię. Mocno wsparta na mężu, pokuśtykała powoli do dziennego pokoju, gdzie siedziała już Mila z dziewczynkami. Kolejny raz serce ścisnęło jej się z bólu na widok podejrzliwych min na buziach dziewczynek.

- Zabrałaś tabletki Jolene? - Mila zwróciła się do Michaela, wstając z kanapy.

- Tak, mam wszystko - odparł.

Teściowa podeszła do niej, a Betsy z Lulu, co nie umknęło jej uwagi, trzymały się z tyłu.

- Dasz radę - powiedziała z przekonaniem Mila.

Te słowa obudziły w Jolene tęsknotę za dawnymi czasami. Matka Michaela zawsze ją wspierała i podtrzymywała na duchu. Gdy po Betsy długo nie mogła zajść w ciążę, to właśnie ona wielokrotnie powtarzała: „Próbuj, nie trać nadziei. Jeszcze urodzisz, ja to wiem”.

- Dzięki ci, Milu - powiedziała głosem zdławionym ze wzruszenia. Gdzieś w niej tliło się jeszcze dawne pragnienie, aby nie sprawić jej zawodu.

Jolene z Michaelem przeszli przez wiatrołap do garażu. Ulokowanie się w samochodzie kosztowało ją sporo wysiłku, bo tymczasowa proteza była ciężka i nieporęczna.

Najchętniej zdjęłaby ją i rozmasowała kikut, lecz w aucie nie było na to miejsca. Na promie zostali w samochodzie. Ona w milczeniu patrzyła na uciekające wybrzeże, a on studiował jakieś notatki.

Seattle wyłoniło się zza zakola; połyskliwy diadem

z metalu i szkła ponad wodami zatoki Elliott Bay. Poranne, różane niebo rozświetlała na horyzoncie akwamarynowa poświata. Góra Rainier raczyła się dzisiaj wyłonić z mgły, elegancko wznosząc się nad miastem.

Jolene zapomniała już, jaką to wszystko tworzy piękną i imponującą całość. Ze swojego miejsca widziała światła samochodów sunących po staromodnym betonowym wiadukcie Alaskan Way.

Oby mi nie zabrakło siły - pomyślała, nagle uświadamiając sobie, że niedługo znajdzie się w tłumie i ktoś może ją niechcący potrącić czy popchnąć.

Na Third Avenue Michael zatrzymał lexusa przed samym gmachem sądu. Wiedziała, że któryś ze współpracowników będzie musiał go odprowadzić na parking, i była wdzięczna, że pomyślał o tym, aby oszczędzić jej drogi.

Obszedł samochód i otworzył drzwi po jej stronie. Była bliska paniki.
- Śmiało - zachęcił ją, wyciągając dłoń.

Stała na chodniku, uczeplona jego ramienia. Akurat chmury przesłoniły rachityczne słońce i lunął deszcz.

- Poniesiesz kule? - spytała. - Mogę ich potrzebować.

- Jasne.

Zacząła mozolną wędrówkę do budynku sądu. Zadyszana i wilgotna od potu, koncentrowała się na każdym kroku, nie zważając na ból obtartego kikuta.

Przed schodami zatrzymała się zasapana i podniosła głowę. Betonowe stopnie wznosiły się w bure niebo niczym piramida.

- Spóźnisz się - powiedziała.

- Nie ma problemu, zaczekają - odparł spokojnie.

Ponownie wsparła się na jego ramieniu i asekurowana zaczęła się wspinać. Krok zdrową nogą. Uniesienie Protezy. Zarzut. Dostawienie.

Nie miała pojęcia, ile czasu zajęło jej wejście, lecz miała wrażenie, że trwało to wieki. W końcu znaleźli się w sali. Michael podprowadził ją do ławki za stołem dla obrońcy.

- Powodzenia - życzyła mu na odchodnym.

- Dzięki. - Uśmiechnął się.

Zostawił ją i dołączył do zaaferowanych młodszych partnerów zgromadzonych przy stole.

Sala sądowa powoli się wypełniała. Jolene jeszcze przed gmachem zauważyła kręcących się reporterów z mikrofonami. To musi być jakaś duża sprawa. Szkoda, że nie zapytała.

W towarzystwie woźnego lądowego do środka wmaszerowało czterech marines w wyjściowych mundurach. Z poważnymi minami, wyprostowani jak struna, usiedli rzędem obok Jolene. Zanim zdążyła się zastanowić, co ma oznaczać ich obecność, do sali wprowadzono oskarżonego.

Prawie dzieciak. Nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat. Domyśliła się, że to weteran. Wyczytała to w jego oczach.

Na koniec pojawił się sędzia. Uderzeniem młotka otworzył przewód sądowy. Pierwszy zabrał głos prokurator. Przez ponad godzinę snuł krwawą opowieść o źle ulokowanej miłości i o dziewczynie zamordowanej strzałem w głowę przez człowieka, który tę miłość jej przysięgł. Jolene zaczynała cierpnąć nogą. Fantomiczny ból pulsował w nieistniejącej stopie.

Nareszcie nadeszła kolej na Michaela. Wstając, zwrócił się do ławy przysięgłych. Przemawiał do nich swobodnym, niemal przyjaznym tonem.

- Keith Keller nie jest zwyrodnialcem. Ze zwyrodnialcem sprawa byłaby prosta. Odseparowalibyśmy go od społeczeństwa, zapewniając sobie dobre samopoczu-

cie. Keith to ktoś znacznie bardziej przerażający. Keith to jeden z nas. Jest waszym bratem, waszym synem, waszym sąsiadem. - Michael stawał przed każdym z przysięgłych, patrząc im w oczy. - Był bardzo lubianym chłopakiem w Wenatchee High, gwiazdą futbolu. Po roku nauki w college'u ożenił się ze szkolną miłością Emily Plotner i zaczął pracować w miejscowym sklepie spożywczym. Zarówno pracodawca, jak i koledzy uważali go za świetnego faceta. Życie Keitha układało się po jego myśli. Zaczęli z Emily mówić o dziecku.

I wtedy nadszedł jedenasty września. Jestem pewien, panie i panowie przysięgli, że każde z was pamięta, gdzie usłyszało o atakach. Keith był wtedy w pracy. Niemal natychmiast dotarła do niego wiadomość, że jego przyjaciel był w samolocie United Airlines, lot dziewięćdziesiąt trzy.

Jolene bezwiednie wychyliła się do przodu.

- Każde z nas chciało wtedy coś zrobić. A Keith to zrobił. Zaciągnął się do marines i pojechał do Iraku walczyć z terrorystami. Trafił do miejsca, gdzie *toczyły* się najkrwawsze boje. Codziennie patrzył na martwych i okaleczonych kolegów; każdego dnia zastanawiał się, czy jego następny krok nie będzie ostatnim. Widział dzieci i kobiety, które uśmiechały się do niego, a potem wysadzały się w powietrze. Zbierał szczątki współtowarzyszy rozerwanych przez miny pułapki. Takich samych młodych chłopaków jak on.

Keith jest żołnierzem. Wcześniej nie zastanawiałem się, co to dokładnie znaczy, a powinienem, bo moja żona też nim jest. Wyjechała na wojnę, a ja nie zdawałem sobie sprawy z konsekwencji. - Odwrócił się i zatrzymał wzrok na Jolene. - Jestem dumny z jej służby.

Wstrzymała oddech. On mówił to do niej. Dlatego chciał, żeby tu była. Żeby mogła to usłyszeć.

- Bohaterowie - powiedział cicho Michael. To słowo zawisło w powietrzu i w tej chwili w sali poza nimi, zapatrzonymi w siebie, nie było nikogo. - Nasi żołnierze, te kobiety i mężczyźni codziennie ryzykują, żeby nas chronić i bronić naszego sposobu życia, to bohaterowie. Niezależnie od waszych poglądów na tę wojnę powinniście być wdzięczni tym dzielnym ludziom, od których tak wiele się żąda. Którzy czasami tak mało od nas dostają.

Powoli odwrócił się do ławników.

Ile czasu to mogło trwać? Jak dhigo mówił wyłącznie do niej? Kilka sekund? Minutę? Miała wrażenie, że to trwało całe wieki. Jak długo czekała na te słowa: „Jestem z ciebie dumny”? Łzy zakreśliły jej się w oczach. Otarła je niecierpliwym gestem.

- Żołnierza uczy się, aby był silny i odważny - kontynuował Michael lekko schrypniętym głosem, w którym tylko ona potrafiła odczytać wzruszenie. - Aby polegał wyłącznie na sobie. Tymczasem Keith Keller potrzebował pomocy. Wrócił z Iraku z psychicznymi ranami, nękały go koszmary. - Tu Michael ponownie spojrzał na Jolene, a ona widziała w jego oczach wyłącznie zrozumienie i współczucie, które nie miało nic wspólnego z litością. - Nie pozwolił nikomu sobie pomóc, nawet żonie, chociaż próbowała. Jak można komuś pomóc uporać się z przerażającymi wizjami, skoro się o nich nie ma pojęcia? I co naprawdę czuje żołnierz powracający z wojny do domu? Te pytania powinniśmy sobie zadać jako naród. Keith Keller może fizycznie siedzi przed wami, lecz tak naprawdę on nigdy nie wrócił do domu z Iraku...

Przez następną godzinę Michael opisywał fakty z perspektywy obrońcy, tłumacząc przysięgłym, czym jest zespół stresu pourazowego, akcentując jednocześnie-

nie brak profesjonalnej pomocy dla Kellera, co niewątpliwie przyczyniło się do narastania w nim gniewu i strachu.

- Usłyszycie zeznania przyjaciół i rodziny oskarżonego. Oni potwierdzą, że Keith wrócił z wojny odmieniony, psychicznie załamany. Zwrócił się o pomoc do Departamentu do spraw Weteranów, ale podobnie jak wielu innych powracających z wojny żołnierzy nie uzyskał jej tam. Cierpiał na bezsenność, dręczyły go nocne koszmary i powracające wspomnienia. Zaczął nadużywać alkoholu, żeby złagodzić objawy, lecz niestety, alkohol tylko pogarszał jego stan. Ten stan to zaburzenia lękowe będące efektem przeżycia traumatycznych wydarzeń, które w psychiatrii noszą nazwę zespołu stresu pourazowego. Był już znany, zanim nadano mu tę mądrze brzmiącą nazwę. W czasie wojny domowej nazywano to „sercem żołnierza”, co według mnie wydaje się najbardziej adekwatnym określeniem. Podczas pierwszej wojny światowej mówiło się o „nerwicy frontowej”, a podczas drugiej o „nerwicy wojennej” lub „wyczerpaniu bojowym”. Innymi słowy, wojna zmienia każdego żołnierza, a niekiedy zmienia osobowość.

Keith, podobnie jak wielu żołnierzy przed nim, wrócił do domu niespokojny i nadmiernie czujny. Bardzo łatwo wybuchał gniewem. Wykażę, że tamtego dnia, gdy chodził z żoną po rynku Pike Place, wiele wydarzeń przypominało mu o wojnie. Zbyt wiele. W jednej tragicznej sekundzie zapomniał, gdzie jest i kim jest, a wysoki poziom adrenaliny kazał mu zareagować tak, jak go wyszkolono. W stanie ograniczonej poczytalności zastrzelił żonę. Dlaczego? Nie wiemy, bo Keith też tego nie wie, ale świadkowie, eksperci z zakresu psychiatrii, pomogą nam to zrozumieć.

W tamtej krytycznej chwili - zakończył Michael -

Keith Keller nie podjął świadomej decyzji o zabiciu żony. W swoim umyśle był wtedy w Iraku i postąpił zgodnie z odruchem, jaki w nim wytrenowano. Nigdy nie zamierzał zabić Emily. Keith nie powinien skończyć w więzieniu, jemu należy się pomoc. Ten człowiek, który pojechał na wojnę bronić nas, teraz jej potrzebuje. Czy możemy się od niego odwrócić? To, co wydarzyło się w jego domu tamtego strasznego dnia, to tragedia, nie morderstwo.

Jolene wreszcie wypuściła długo wstrzymywany oddech. Była jak zahipnotyzowana. Słowa męża wywarły na niej ogromne wrażenie. Podobnie chyba było z ławą przysięgłych, sądząc po uwadze, z jaką go słuchano.

Michael wrócił na miejsce, a ona nareszcie mogła się odprężyć i usiąść nieco wygodniej na twardej ławie. Zaskoczyły ją i głęboko poruszyły jego słowa. Całe dorosłe życie służyła w wojsku i nigdy, przenigdy nie mogła dzielić swojego świata z mężem. Stąd wzięło się jej poczucie osamotnienia, ich wzajemne oddalanie się i wreszcie rozpad małżeństwa.

Oskarżyciel wezwał pierwszego świadka i przez następną godzinę, skupiona na zeznaniach, musiała zapomnieć o sobie i o Michaelu.

W południe sędzia zamknął rozprawę. Jolene podniosła się, przypominając sobie o sekundę za późno, że ma protezę. Podtrzymał ją siedzący obok marines.

Ich spojrzenia się spotkały.

- Al-Anbar - powiedziała jedynie.

Pokiwał głową ze zrozumieniem i podał jej kule.

- Dzięki.

Podparta na kulach stała między rzędami ławek, przepuszczając ludzi. Woląca nie poruszać się w ciżbie bez asekuracji.

Sala zdążyła opustoszeć, kiedy Michael dotknął jej

ramienia. Podnosząc na niego wzrok, poczuła, jak powraca dawna miłość. Nie mogła jej stłumić, tak samo jak nie można powstrzymać przyływu.

- Kiedy się tego wszystkiego dowiedziałeś?

- Moja żona pojechała na wojnę - odparł. - A kiedy jej nie było, dużo o niej myślałem. Wybacz tamte... słowa przed twoim wyjazdem. Jest tyle rzeczy, które powinienem ci powiedzieć. Rozumiem, dlaczego nie odpowiedziałaś na mój list, lecz daj mi jeszcze szansę.

- Twój list? O czym...

- Jo, mogę liczyć na jeszcze jedną szansę? Przełknęła ślinę. Suchość w gardle nie pozwoliłaby

jej się odezwać, nawet gdyby wiedziała, co powiedzieć.

Do Michaela podszedł wspólnik i szepnął mu coś do ucha.

Michael pokiwał głową.

- Keith chciałby zamienić z tobą kilka słów - zwrócił się do Jolene.

- Ze mną? Dlaczego ze mną?

- Wspomniałem mu o tobie. Chyba chciałby ci coś powiedzieć.

Poprowadził ją korytarzem sądowym do małego pomieszczenia, gdzie chłopak siedział ze skutymi rękami i nogami przy odrapanym drewnianym biurku. Na jej widok podniósł się z krzesła z brzękiem kajdanków.

•Był tak cholernie młody, a widok smutku w jego oczach poruszył ją do głębi. Odstawiła kule pod ścianę i pokonując ostatnie trzy metry bez podpory, usiadła przy biurku naprzeciw niego. Odczuła ulgę, mogąc przenieść ciężar ciała na zdrową nogę.

- Chorąży - odezwał się Keith.

- Mów mi Jolene.

Wyciągnęła do niego rękę ponad biurkiem. Wychylił się z wahaniem i uścisnął jej dłoń.

- Ramadi - wyjaśnił. - Przeważnie.

Więcej nie musiał mówić. Wiedziała, co to dla niego znaczyło, jak służył swojemu krajowi. Patrował ulice naszpikowane improwizowanymi ładunkami wybuchowymi i dzień w dzień widział, jak ludzie, jego koledzy, wylatują w powietrze. Zbierał ich szczątki. W ilu *hero mission* brał udział?

- Mogę ci jakoś pomóc? - zapytała łagodnie, przechylając się ku niemu.

- Zadbaj o pomoc dla siebie. To chciałem ci powiedzieć. Oboje wiemy, co dzieje się w naszych głowach, jak trudno czasem pozbiierać myśli, jakie ciężkie są noce. Powinienem porozmawiać o tym z Emily z pełnym zaufaniem, ale wolałem udawać, że wszystko jest ze mną w porządku. Że sobie z tym poradzę. Jestem komandosem. No i teraz wylądowałem w tym miejscu... a ona... -Przechylił się nad biurkiem. - Masz dzieci, prawda?

Przytaknęła skinieniem głowy, prostując się na krześle.

-Nie bądź taka, jaka musiałaś być tam. Wróc do domu, do ludzi, którzy cię kochają. Żałuję, że ja nie wiedziałem, jak to zrobić. - Pochylił się jeszcze bardziej i zniżył głos: - Pogadaj z Michaelem. On jest w porządku. Stara się zrozumieć.

Tyle chciałyby powiedzieć temu młodemu człowiekowi ze złamanym życiem, lecz właściwie on wszystko ujął w tych paru smutnych słowach. Rozumiał jej ból, strach, niechęć do okazywania słabości. Był tam i dlatego znalazł się tutaj.

Serce żołnierza.

Nic dziwnego, że z czasem pojawiło się pojęcie zespołu stresu pourazowego. To prawda. Wracamy do domu z głęboką traumą - myślała. Obojętnie, jak bardzo jesteście wytrzymali... Powinni ją do tego przygotować

w wojsku. Tyle się ćwiczy przed wyjazdem na wojnę, a tak mało po powrocie z niej.

Keith wstał. Zasalutował jej, patrząc na nią z góry. Ku swemu przerażeniu poczuła łzy napływające do oczu. Powstrzymała go przeczącym ruchem głowy.

- Nie jestem już żołnierzem. Uśmiech Keitha łamał jej serce.

- Zawsze nimi będziemy, Jolene.

Wrócili do pustego domu, bo Mila zabrała dziewczynki na późny obiad, zostawiając na stole wiadomość: „Wrócimy przed ósmą”.

Jolene pokuśtykała do swojej sypialni i przysiadła na brzegu łóżka. Noga bolała, lecz nie z tego powodu czuła się spięta i podenerwowana. Mowa Michaela była romantyczna i porywająca. Bała się jak diabli, że naprawdę zaczyna wierzyć w jego przemianę.

W samochodzie rozmawiali o błahostkach. On coś mówił, ona mu odpowiadała, lecz każde z nich pozostawało wsłuchane w echo własnych niewypowiedzianych słów.

Michael zapukał i wszedł do sypialni.

Podniosła na niego oczy.

- Dzieje się ze mną coś złego - wyznała cicho. - Przynajmniej tak mi się zdaje - dodała, czując, jak niespokojnie zabiło jej serce. Na większą szczerłość nie potrafiła się zdobyć. Chyba nigdy się przed nim aż taknie otworzyła. -A jeżeli ze mną jest jak z Keithem?

- Niemożliwe.

- Skąd możesz to wiedzieć?

Stanął przy niej i biorąc za rękę, pomógł jej się podnieść. We wpatrzonych w nią ciemnych oczach widziała odbicie całego ich życia, wszystkiego, co było w nim dobre, i tego, co okazało się złe.

- Jolene, chcę cię pocałować... - Powoli, bardzo powoli przechylał się ku niej.

Wiedziała, że zostawia jej możliwość rejterady, i jakaś część jej osoby chciała go odepchnąć, uciec, chronić to, co jeszcze z niej zostało, ale tej części zabrakło zdecydowania.

Z pocałunkiem powróciło to wszystko, co pamiętała, wszystko, czego pragnęła. Jej ciało zareagowało na Michaela tak jak zawsze; w pełni i kompletnie.

Poznała po jego przyspieszonym oddechu, że ten pocałunek wstrząsnął nim tak samo jak nią.

- Obiecuj, że nie jest dla nas za późno.

W jego głosie pobrzmiwał błagalny ton, którego nigdy wcześniej nie słyszała.

- Nie jest za późno - powiedziała, z trudem chwytając powietrze. - Ale ja... nie jestem gotowa...

Nareszcie się uśmiechnął. Takim właśnie uśmiechem porwał ją przed wielu laty. Ile czasu minęło od ostatniego razu, kiedy miała okazję widzieć ten uśmiech?

Podszedł do nocnej szafki, otworzył szufladę i wyjął stamtąd plastikowy woreczek.

Usłyszała brzęknięcie metalu, kiedy go otwierał, i już wiedziała, co jest w środku. Dlaczego sama o tym nie pomyślała? Jej rzeczy. W Niemczech oddali te drobiazgi Michaelowi: nieśmiertelniki, zegarek, obrączkę. Wyjął coś ze środka, zamknął woreczek i schował go na powrót do szuflady.

Wstrzymała oddech.

Podszedł, ujął lewą dłoń Jolene i nie odrywając oczu od jej twarzy, nasunął obrączkę na palec.

- Będiesz - powiedział, a przekonanie w jego głosie poruszyło czułą strunę gdzieś głęboko w niej.

Patrzyła, jak odchodzi, jak zamyka za sobą drzwi-Dwukrotnie omal go nie zawołała, nie powiedziała:

„To nieprawda, jestem gotowa", lecz strach zacisnął jej krtań.

Pokuśtykała do łazienki i przygotowała się do snu. Wsuwając się pod miękką kołdrę, obłożyła kikut poduszkami i zamknęła oczy. Dłoń ze złotym kółkiem na palcu odzyskała dawno zapomniany ciężar. Po raz pierwszy od tygodni zasnęła bez wina i tabletek. Keith miał rację. Posłucha jego rady. Wróci do domu, do ludzi, którzy ją kochają - do męża, do rodziny. Da radę. Rany boskie, była w Iraku, pilotowała helikopter podczas działań bojowych. Przecież powrót do domu nie może być od tego trudniejszy.

Odpywając w sen, w myślach zwróciła się jeszcze do przyjaciółki. Tami, jutro nowy początek. Znowu będę mamą. W końcu wrócę do domu.

Obudziło ją blade słońce, które wpadając przez okno, wydobywało z mroku sprzęty i to, co na nich stało -łącznie z pustą butelką po winie i pomarańczowymi słoiczkami z tabletkami na nocnym stoliku. Dzisiaj to wszystko odstawi. Nie będzie więcej koić rozstrojonych nerwów winem i pastylkami. Przymknęła powieki i dokładnie wyobraziła sobie ten dzień - wstanie ufna w swoje możliwości, pójdzie do kuchni i przygotuje córkom śniadanie. A potem weźmie je na bok i otwarcie z nimi porozmawia. Wy tłumaczy, że to wojna odcisnęła ślad *na jej psychice* i pozbawiła chęci do życia, lecz teraz już potrafi się z tym uporać. Jest gotowa znowu być ich mamą i że zawsze, nawet w chwilach największego odrętwienia, bardzo jej kochała. Możliwe, że tego nie zrozumieją i nie do końca jej uwierzą, ale tyle musi wystarczyć na początek. Powoli je przekona, z każdym dniem nabierając siły i coraz swobodniej okazując im miłość, teraz już wolna od wszelkich obaw.

Wstała z łóżka i o kulach dotarła do łazienki. Po dziesięciu minutach wyszła stamtąd z zamocowaną protezą, już ubrana na rehabilitację. Utykając, przeszła do kuchni i zajęła się śniadaniem. Dzisiaj naleśniki - jak za

dawnych czasów. Wyjęła z zamrażalnika czarne jagody i zaczęła mieszać ciasto. Od czasu do czasu zerkała na połyskującą na palcu obręczkę i uśmiechała się. Budziła się w niej dawno zapomniana nadzieja.

Gdy wylewała porcje ciasta na gorącą blachę, usłyszała, jak Michael wchodzi do kuchni. Stając za nią, zajrzał jej przez ramię.

- Mniem, naleśniki.

- Gałązka oliwna. Zdążyłabym się nauczyć fizyki kwantowej, zanim się usmażą.

Uśmiechnęła się do niego i przez moment byli tamtymi Michaeliem i Jo. Uda nam się - pomyślała.

-Jo...

Przechyliła się ku niemu, chcąc usłyszeć, co ma do powiedzenia, lecz on nie dokończył, bo zadzwonił telefon.

- Halo? - odebrał.

Pewnie jakiś problem w kancelarii, bo zmarszczył brwi, usiadł i już ciszej zapytał: -Kiedy?

Dziewczynki wpadły z tupotem do kuchni.

-Mamusia robi naleśniki! - powiedziała Lulu i uśmiech zastąpił grymas, kiedy sprawdziła, że wyglądają całkiem normalnie.

Jolene obejrzała się i natrafiła na sceptyczne spojrzenie Setsy.

- Blacha jest za gorąca - pouczyła ją córka.

- Dziękuję. - Michael odłożył słuchawkę.

- Michaelu! - zawołała Jolene z pogodnym uśmiechem. - Twoja pierworodna uważa, że blacha jest za gorąca. Może jej wytłumaczysz, że robiłam naleśniki, zanim ona przyszła na świat.

Michael patrzył na nią bez śladu uśmiechu na twarzy.

- Jo, lepiej usiądź.

-Mam usiąść? Czemu? Noga mnie ani trochę nie boli.

- Betsy, dokończ smażyć te naleśniki - polecił Michael.

- Czemu ja? - jęknęła. - Dlaczego ja zawsze muszę wszystko robić?

- Nie dyskutuj! - uciął ostrym tonem, który zmroził Jolene.

- Michaelu? - wtrąciła. - Przerażasz mnie.

Wziął ją pod ramię i zaprowadził do sypialni. Usiadła na łóżku, patrząc na niego wyczekująco.

- Tami... - zaczął cicho, siadając obok niej. - Zmarła dziś w nocy.

Miała wrażenie, że się dusi. Michael objął ją i pocieszał, gładził po plecach, a ona nie czuła nic, jakby z daleka oglądając tę sytuację.

Od ponad dwudziestu lat Tami zawsze była przy niej, podtrzymywała ją na duchu w chwilach wątpienia. Masz mnie na szóstej, pilotko.

A Seth... będzie dorastał bez mamy...

Z jej gardła wydarło się spazmatyczne westchnienie i wybuchnęła rozpaczliwym płaczem.

- Już dobrze - uspokajał ją, gładząc po głowie.

- Nie! - Niespodziewanie targnął nią gniew. - Nic nie jest dobrze. Moja najbliższa przyjaciółka nie żyje. To moja wina. Moja. Ona umarła, a ja ją zostawiłam, zawiodłam... - Głos jej się załamał. - Wszystkich zawodzę.

-Jo- Nie mogę już słuchać, jak wszyscy mi mówią, że będzie dobrze. Nie będzie. Już nigdy nie będzie.

Nie była w stanie udźwignąć tego bólu. Przygniatał ją, trawił. Chwiejnie podeszła do nocnego stolika

i otworzyła słoiczek z tabletkami. Wysypała trzy na drżącą dłoń.

- Sen dobrze mi zrobi - oznajmiła piskliwie. - Poczuję się lepiej, jak się trochę prześpię.

To było kłamstwo. Wcale nie poczuje się lepiej, ale musiała zamknąć oczy, żeby się wyrwać rozpacz. To ją przerasta. Nie wystarczy jej siły. Serce może tego wszystkiego nie wytrzymać, lecz... co ją to obchodzi?

Połknęła tabletki na sucho i padła na łóżko ze zwieszoną głową, czekając, aż zaczną działać.

Michael przysunął się i tulił ją w ramionach. Wiedziała, że potępia ją za te tabletki, uważa za żalostną i słabą, lecz to, co on myślał, było jej zupełnie obojętne. Tak jest, załamała się i opuściła ją cała odwaga.

Popatrzyła na niego przez łzy.

- Miałyśmy się razem zestarzeć. Dwie staruszki, które siedząc na werandzie na bujanych fotelach, wspominają dawne lata...

W dzień pogrzebu Tami Jolene nie miała siły podnieść się z łóżka. Zaraz po przebudzeniu nalala sobie kieliszek wina. Wychyliła go duszkiem i poprawiła drugim. Ale tym razem wino nie przyniosło ukojenia.

Słyszała, jak na piętrze szumi woda. To Michael brał prysznic.

Odrzuciła kołdrę, wstała, przymocowała protezę i powoli przeszła przez dzienny pokój, uważając na każdy stawiany krok, na szpary między deskami podłogi i ewentualne nierówności. W ostatnich tygodniach zrobiła duże postępy, prawie cały czas chodziła na protezie, coraz pewniej się poruszając. Starannie stawiając sztuczną stopę na patchworkowym dywaniku, żeby przypadkiem się nie pośliznąć, dotarła do schodów. Podciągając

się na poręczy, wspinała się w górę, dostawiając nogę z protezą. Pokonanie każdego kolejnego stopnia wymagało niesamowitej koncentracji i uporu. Kiedy dotarła do ich wspólnej sypialni, była złana potem.

Nie powinna tu przychodzić. Piętro było terenem zakazanym. Nikt nie wierzył, że jest w stanie chodzić po schodach. W ogóle raczej jej nie wierzyli. I trudno mieć o to do nich pretensje.

Pokuśtykała do garderoby i rozsunęła żaluzjowe drzwi. Jej rzeczy nadal tu były; leżały starannie poskładane.

Najpierw wpadł jej w oczy mundur polowy z czarnym beretem przypiętym do bluzy. Prawie dzień w dzień w takich mundurach chodziły z Tami w Iraku...

W głębi wisiał mundur wyjściowy złożony z marynarki, spódnicy do kolan i białej koszuli. Sięgnęła po niego i popatrzyła na złote naszywki na marynarce, czując, jak wzbiera w niej dziwne wzruszenie.

- Jo? - Michael wynurzył się z łazienki z mokrą głową, przepasany ręcznikiem nisko na biodrach. - Płaczesz?

- Płaczę?

Podszedł i wyjął jej mundur z ręki.

- Pomogę ci zejść. Mama powinna już być.

- Nie dam rady. Popatrzył jej w oczy.

- Dasz - powiedział stanowczo. Podtrzymując ją za ramię, sprowadził na dół do kuchni, gdzie siedziała Mila, sącząc kawę.

- Pomogę ci przy ubieraniu - powiedziała łagodnie.

Jolene czuła się jak wydrażona tykwa, pusta i wysuszona. Drżała na całym ciele, gdy teściowa wzięła ją pod łokieć.

Pomogła jej wykąpać się pod prysznicem i owiniętą we frotowy ręcznik usadowiła na sedesie, żeby wysuszyć i uczesać włosy. Amputowana noga, nadal spuchnięta i poznaczona różowymi śladami po szwach, sterczała jak kij bejsbolowy. Mila owinęła ją fachowo elastycznym bandażem i nasunęła na koniec żelową skarpetę.

- Co powiesz na delikatny makijaż? Jesteś blada i bardzo wychudłaś...
Jolene obojętnie skinęła głową.

- Usiądź prosto i zamknij oczy.

Zgodnie z poleceniem otwierała i zamykała oczy i rozciągała wargi. Było jej zupełnie obojętne, jak wygląda, lecz nie miała siły się sprzeciwić.

- Gotowe. A teraz się ubierzemy. - Teściowa przyklękła przed nią z rozpostartą w pasie spódnicą.

Jolene uniosła lewą nogę i wsunęła ją w otwór, zaciskając zęby, gdy materiał przesunął się po kikucie. Potem posłusznie wstała, znowu usiadła i zaciągnęła zamek, zanim Mila włożyła jej bluzkę i zamocowała ciemną krawatę, której brzegi przepisowo wystawały spod kołnierzyka.

Mili nie zamykały się usta. Mówiła o pracy w ogrodzie, o nowych przepisach, które właśnie wypróbowała, i o pogodzie. O wszystkim poza uroczystością, na którą szykowała synową.

- Okey. Gotowe. Jak mi poszło?

Jolene podciągnęła spódnicę i przymocowała protezę. Przytrzymując się uchwytu, podniosła się z muszli i ostrożnie odwróciła do lustra na drzwiach.

W śnieżnobiałej koszuli z ciemną krawatką i w marynarce z baretkami oraz złotymi naszywkami znowu była żołnierzem.

„Dzisiaj uroczystość wręczenia dyplomów, świeżo upieczona pilotko. Trzymaj się prosto...”. Mila objęła ją i przytuliła.

Jolene się cofnęła. Lepiej jej teraz nie dotykać, bo czuła się krucha jak zabytkowa porcelana. Jeden niepotrzebny gest, a rozsypie się na kawałki. Utykając, przeszła do dziennego pokoju, gdzie czekali już Michael z Betsy i Lulu. Wszyscy troje ubrani na czarno.

Kiedy na nich patrzyła, membrana świadomości pomiędzy tym, co się stało, a tym, co mogło się stać, wydawała się delikatna jak pajęczyna. Miała szczęście, że tu jest. Niewiele brakowało, a te czarne stroje mieliby na sobie z powodu jej pogrzebu. Musieli myśleć o tym samym; poznała po wyrazie ich oczu.

Zmusiła się do uśmiechu i chociaż wypadł blado, odgadywała, że tego od niej oczekiwano.

Rodzina ją otoczyła, oskrzydliła. Wiedziała, że Michael włożył już kule i wózek do bagażnika SUV-a, a on z kolei wiedział, jak bardzo jej zależy, żeby dzisiaj poruszać się samodzielnie.

Pewnie uważał, że chce wyglądać jak żołnierz, a nie jak kaleka. Nie przyzna się, że noga przy każdym kroku potwornie boli. Tym razem pragnęła tego bólu, wręcz była za niego wdzięczna. Zakrawało na absurd, iż uważała to za dowód, że tamtej nocy dała z siebie wszystko, że sama ledwo uszła z życiem.

Wyszła z garażu, a raczej z niego wykuśtykała. Podczas wycieczki do sądu dorobiła się nowych pęcherzy na końcu kikuta.

Niezdarnie wspięła się na miejsce obok kierowcy i zgięła protezę w kolanie. Trzewik nałożony na sztuczną stopę utknął pomiędzy wypukłościami gumowego dywanika.

Wiedziała, że powinna się do nich odezwać. Uspokoić ich, dać do zrozumienia, że jest dobrze, że wytrzyma.

Ale tak naprawdę wcale nie było dobrze i oni o tym wiedzieli. Obawiali się, że w każdej chwili może wybuchnąć; zaczną płakać albo krzyczeć, a może nawet kogoś uderzy.

Nie obchodziło jej, co myślą. Powróciło tamto dobrze znane odrętwienie i za nie też dzisiaj była wdzięczna.

Michael uruchomił silnik i otworzył bramę garażu. Zasunęła się za nimi z metalicznym brzękiem.

Na dworze siąpiło. Gdyby nie smugi cienkiego deszczu bębniące o dach, nikt nie zauważyłby, że pada. Michael nawet nie włączył wycieraczek.

Z głośno nastawionego radia gruchnęła piosenka *Purple Rain*.

Jolene zerknęła w lewo i na ułamek sekundy stanęła jej w oczach Tami. Podrygując w rytm i bębniąc palcami o kierownicę, śpiewała na cały głos: *pur-ple rain... puur--urr-ple rain*.

Michael pochylił się i wyłączył radio. Dopiero gdy na nią spojrział i kładąc dłoń na jej nodze, uścisnął ją delikatnie, zorientowała się, że płacze.

Popatrzyła na niego. Jak ja przez to przejdę - pomyślała.

Michael ponownie ją uścisnął.

Odwróciła się i zapatrzyła w okno. Jechali drogą wzdłuż zatoki. Woda, dziś spokojna, srebrzyła się jak nowa pięciocentówka. Zanim skręcili na Front Street, deszcz przestał padać i blade słońce, przedzierając się przez warstwę wełniastych, szarych chmur, barwiło je na cytrynowe. W mgnieniu oka wszystkie kolory ożyły; drzewa po obu stronach drogi zdawały się chłonać słoneczne światło i zamykać w bezlistnych koronach.

W mieście dołączyli do jadących jeden za drugim samochodów.

- Wszyscy mają zapalone światła - zauważył Michael.

- Przecież jest jasno - zdziwiła się Lulu.

- To dla Tami - wyjaśniła cicho Mila.

Jolene, wynurzając się z otchłani żalu, rozejrzała się wokół. Od sunącej powoli lawety z trumną dzieliły ich jakieś trzy samochody. Za nimi ciągnęła kawalkada złożona przynajmniej z setki aut.

Jechali teraz przez miasto. Na chodnikach, przed sklepami, ludzie zbici w gromadki uniesieniem dłoni żegnali mijającą ich trumnę.

Na słupach, na masztach i na ulicznych latarniach wisiały flagi. Żółte wstążki przymocowane do klamek, skrzynek na kwiaty i samochodowych anten powiewały na wietrze. Nad księgarnią Liberty Bay Books wisiał transparent z napisem: „ŻEGNAJ, TAMI FLYNN. BEZPIECZNEJ PODRÓŻY DO DOMU”.

Mniej więcej cztery kwartały dalej, przy wyjeździe z miasta, kondukt witały setki ludzi.

Wtedy właśnie odezwały się klaksony. Sznur samochodów w symfonii dźwięków wspinał się na położony na wzniesieniu cmentarz. Z grzbietu wzgórza nad Liberty Bay roztaczał się widok na Sound, na miasto i na pokryte śniegiem, poszarpane szczyty Olympic Mountains.

Gdy Michael zatrzymał samochód, Jolene długo nie ruszała się z miejsca. Wreszcie na kierowane w jej stronę niespokojne pytania, rzuciła: „Nic mi nie jest”, i z westchnieniem wysiadła z auta.

Wmieszali się całą rodziną w tłum żałobników, z których wielu było w mundurach.

Gdzieś za plecami Jolene usłyszała głucho dudnienie harleyów.

Nie powinna się oglądać, a jednak się nie powstrzymała. Nadal dobijały samochody z zapalonymi reflektorami. Pomiedzy nimi jechało w szyku około trzydziestu motocykli. Przymocowane do siodełek duże amerykańskie, wojskowe i gwardyjskie flagi łopotały na wietrze, migając feerią barw. Motocykliści, jak zauważyła, byli w różnym wieku i spora ich część miała na sobie mundury.

Członkowie ruchu Patriot Guard Riders.

Potknęła się. Na szczęście Michael pochwycił ją w porę i podtrzymał. Odpowiedziała mu nikłym uśmiechem, wyprostowała ramiona i szła dalej. Zza zakrętu wyłonił się cel ich wędrówki. Na skraju wzniesienia z widokiem na Sound, pod zielonym zadaszeniem wspartym na czterech chromowanych masztach, stała trumna przykryta gwiazdzistym sztandarem. Zdażyły się tam zgromadzić setki żałobników. Za nimi stały rzędem sztandary: chorągwie Gwardii i różnych formacji wojskowych, flaga Stanów Zjednoczonych i na końcu proporzec Raptora.

Jolene najchętniej wsparłaby się na Michaelu, wtuliłaby mu się w ramiona, lecz stała wyprostowana z nieco zadartym podbródkiem. Może po raz ostatni w życiu jest tu jako chorąży Zarkades i za żadne skarby nie zhańbi munduru.

Zobaczyła przy trumnie Carla z Sethem. Obaj, ubrani na czarno, sprawiali wrażenie bezradnych i zagubionych. Stała przy nich zapłakana matka Tami.

Jolene podeszła do Seta i go objęła. Potrzebowała całej siły woli, aby się nie rozpłakać na widok jego załzawionych oczu. Skoncentrowała całą uwagę na oddechu, bo tylko tak mogła powstrzymać łzy.

Rozpoczęła się msza żałobna. Michael poprowadził ją do jednego ze składanych krzeseł zarezerwowanych dla rodziny. Cierpiała, patrząc, jak Carl i Seth zajmują miej-

sca obok niej, lecz usiadła, rozpaczliwie pragnąc powiedzieć im: wybaczcie. O dziwo, patrzyli na nią ze smutkiem, a nie z żalem, co tylko pogłębiło jej poczucie winy.

Gdzieś w oddali odezwały się dudy.

Przymknęła powieki. Wysokie, smutne tony melodii i przybliżający się odgłos rytmicznych kroków mówiły, że to żołnierze schodzą ze wzgórza, aby stanąć przy trumnie.

- Zgromadziliśmy się tutaj, aby pożegnać wyjątkową kobietę. Chorąży Tamarę Margaret Flynn...

Jolene odważyła się otworzyć oczy.

Przy trumnie stał pastor z kościoła Tami. Nie miał mikrofonu, bo przecież nikt nie spodziewał się takich tłumów, lecz ludzie natychmiast umilkli i słychać było jedynie łopotanie flag.

- Ale ona dla nas nie była Tamarą, tylko Tami, dziewczyną, która wraz z chłopcami wspinała się na drzewa i dokazywała na plaży. Pamiętam obawy jej matki, czy córka kiedyś spoważnieje i zdobędzie jakiś zawód. - Pastor przeniósł spojrzenie na wzgórze.

Jolene wiedziała, co tam widzi: setki ludzi, z których ponad połowa była w mundurach.

- Zdobyła zawód i nie pomyłę się, mówiąc, że odnalazła swoją pasję. Uwielbiała latać. Kiedyś wyznała mi, że tam, pod niebem, najlepiej czuje się obecność Boga.

Pastor na moment opuścił wzrok na dłonie i przeniósł go z powrotem na tłum.

- Straciliśmy ją i ta rana nigdy się nie zagoi. Zginęła na dalekiej ziemi, robiąc coś, czego większość nas nie potrafi sobie wyobrazić. Pytamy, jak to możliwe, że straciła życie w taki sposób. I zaraz nasuwa się odpowiedź: bo to właśnie była Tami. Jeżeli ktoś potrzebował pomocy, ona zawsze stawiała się pierwsza. Nie zważając na ryzyko. Taka właśnie była nasza Tami.

Jolene usłyszała stłumiony szloch Seta. Wzięła go za rękę, a on zacisnął palce na jej dłoni.

-Dziękujemy Tami za jej służbę jako przyjaciela i jako Amerykanie. Broniała nas z poświęceniem i jest naszą bohaterką. Zawsze nią była dla Seta i dla Carla, których kochała z mocą dorównującą jej odwadze. Taką ją pamiętam. Gdy spojrzycie w niebo, pomyślcie o niej, tam, w górze, w jej ukochanych chmurach u boku Pana. Ona nie chciałaby, abyście po niej płakali. - Po tych słowach pastor podniósł głowę i cicho powiedział: - Żegnaj, Tami. Pokój Pański niech zawsze będzie z tobą.

Potem usunął się na bok, ustępując miejsca żołnierzowi, który marszowym krokiem podszedł do trumny, zdjął z niej flagę i wraz z drugim żołnierzem z namaszczeniem poskładał ją w trójkąt. Następnie zsalutował przed stojącym w pobliżu kapitanem Lomandem i przekazał mu sztandar. Ben, wyprostowany jak struna, zrobił w tył zwrot i pomaszerował do Carla.

Jolene widziała, jak trzęsły mu się ręce, gdy odbierał flagę od kapitana.

Stojący w dwuszeregu żołnierze wycelowali karabiny w niebo i oddali salwę honorową dwudziestu jeden wystrzałów. Carl podniósł się z krzesła, podszedł do trumny i przez dłuższy czas stał nad nią ze zwieszoną głową, a potem położył czerwoną różę na lśniącym mahoniowym wieku. Seth dołączył do ojca ze swoją różą. Jego kwiat zsunął się z trumny. Pochylił się po niego i położył obok tego od ojca. Teraz krewni podchodzili kolejno, żegnali Tami i kładli różę na wieku.

Kiedy nadeszła kolej Jolene, wstała z wahaniem, bojąc się, że nie zdoła utrzymać się na nogach.

- Śmiało - szepnął Michael.

Ruszyła ostrożnie przed siebie. Stając nad zarzuconą kwiatami trumną, dotknęła dłońmi lśniącego drewna.

Żegnaj, pilotko. Będę za tobą tęsknić... Kolce ściskanej w dłoni róży raniły jej skórę.

Położyła ją na stercie kwiatów i dołączyła do pięciu żołnierzy, którzy zbliżyli się do trumny. Ponownie odezwały się dudy, a żołnierze, jej koledzy z Gwardii, wzięli trumnę na ramiona i nieśli na miejsce wiecznego spoczynku. Jolene, utykając, szła obok nich jako honorowy żałobnik.

Łzy zasnuwały jej oczy, niewiele widziała, lecz parła przed siebie, zaciskając zęby z bólu. Każdy krok groził upadkiem na nierównościach ukrytych pod trawą. Wreszcie stanęli nad grobem. Dudy zamilkły, a gdy wybrzmiały ostatnie tony melodii, w głuchoj ciszy trzy helikoptery z rykiem silników wzbiły się w niebo i z szumem rotorów zawisły nad konduktem.

Żegnaj, Tami. Bezpiecznej drogi...

Przez następny tydzień Jolene żyła na krawędzi świadomości. Przytłoczona potwornym smutkiem, znieczulała się winem i tabletkami nasennymi. Trzykrotnie pojechała na rehabilitację i chociaż usiłowała się skupić na ćwiczeniach, szczerze mówiąc, wykonywała je mechanicznie. W domu wychylała dwa lub trzy kieliszki wina, kładła się do łóżka i naciągała kołdrę pod brodę. Przy odrobinie szczęścia przesypiała noc, przeważnie jednak leżała w ciemnościach i wspominała przyjaciółkę. Domyślała się, co rodzina myśli o jej letargu; Betsy chodziła wkurzona, Michael się martwił, a Lulu była zdezorientowana.

Wiedziała, że znowu ich zawodzi, i chwilami się tym przejmowała, ale najczęściej było jej to całkowicie obojętne. Nawet w Halloween nie potrafiła wykrzesać z siebie odrobiny entuzjazmu. Pomachała na do widzenia księżniczce i cygance, patrząc, jak wychodzą z Milą i Michaelem zbierać cukierki i robić psikusy.

- No, dobra, Jolene - przywitał ją Michael któregoś listopadowego poranka, wchodząc energicznie do sypialni i odciągając zasłony.

Raziło ją światło. W skroniach pulsowało z bólu. Czyżby wczoraj wypła o jeden kieliszek za dużo?

- Zostaw mnie, Michaelu. Dzisiaj sobota. Nie jadę na rehabilitację.

- Pojedziesz gdzieś indziej. Usiadła, mrużąc oczy.

- A gdzie to niby, według ciebie, mam jechać?

Usunął się na bok. Do sypialni wszedł Seth. W żałobie. Miał na sobie czarne sztruksy i czarną przydużą koszulę z krótkimi rękawami. Z kieszeni spodni wystawała koperta. Długie włosy zwinął na czubku głowy w samurajski węzeł, jakiego nie powstydziliby się sam Johnny Depp.

I co ja poradzę, że młody ubiera się jak ostatnia sierota? Głos Tami zabrzmiał tak donośnie i wyraźnie, że Jolene wstrzymała oddech. Przez sekundę wydawało jej się, że przyjaciółka stoi w rogu pokoju z pogodnym uśmiechem na twarzy i z rękoma splecionymi na piersi.

- Pani Zar - odezwał się chłopak, podchodząc bliżej.

- Seth - szepnęła z poczuciem winy. - Powinnam zajrzeć do ciebie, ale jakoś nie miałam...

- Wiem - przerwał jej. - Ja też nie.

Chciała jakoś wypełnić przykrą ciszę, lecz nie znajdowała słów.

- Szafka mamy - wyartykułował w końcu. Wiedziała, o co ją prosi, lecz to było ponad jej siły. - Chcą, żebyśmy ją opróżnili. Tata nawet nie wie,

gdzie jej szukać. Pojedzie pani ze mną do bazy i pomoże przejrzeć te rzeczy?

Chciała odmówić. A jednak przytaknęła, czując napływające do oczu łzy.

- Oczywiście, Seth. Może w przyszłym tygodniu...

- Dzisiaj - wtrącił stanowczo Michael. - Wszyscy pojedziemy. - Podszedł do łóżka i wyciągnął do niej rękę.

Patrzyła na nią, bojąc się jej dotknąć. Czuła się taka krucha. Ale Tami powierzyła jej opiekę nad Sethem i za

żadne skarby nie zawiedzie przyjaciółki. Zbierając się w sobie, ujęła rękę Michaela i przy jego pomocy dźwignęła się z łóżka. Na moment ich oczy się spotkały. Widziała, że stara się wzrokiem dodać jej odwagi, której tak bardzo potrzebowała.

-Zaraz będę gotowa. - Uśmiechnęła się słabo do Seta.

W łazience obejrzała się w lustrze. Twarz zdążyła się wygoić, ale i tak inaczej wyglądała. Rysy się wyostrzyły, stwardniały. Kości policzkowe sterczały nad zapadniętymi policzkami; blade usta były spierzchnięte. Na podbródku biegła cienka, bladoróżowa blizna.

- Dasz radę.

Oczywiście, że dasz radę.

Znowu głos Tami, gdzieś za plecami. Obejrzała się gwałtownie za siebie. Nikogo poza nią w łazience nie było.

Pokuśtykała pod prysznic. Potem wysuszyła włosy, zwinęła je w kok i podeszła do szafy.

Na samym przodzie wisiał mundur polowy. Michael musiał znieść go z góry. Przecież nie była już żołnierzem.

Ta myśl zabolęła, zanim zdążyła się przed nią obronić.

Zacisnęła zęby i wybrała czarne spodnie i popielaty sweter z golfem. W dziennym pokoju czekali już na nią Michael z dziewczynkami i Seth, który stał w pewnej odległości od nich, ciasno obejmując się ramionami.

- Jestem gotowa - powiedziała. - Jedźmy. Kulejąc, przeszła do garażu, otworzyła drzwi swojego SUV-a po stronie pasażera i podciągnęła się na fotel.

Dzieci błyskawicznie rozsiadły się z tyłu; Betsy z Sethem obok siebie, a Lulu nieco z boku po ich lewej stronie. Jolene widziała we wstecznym lusterku, jak Betsy kuksnęła Seta w ramię. On, zaskoczony, wyjął

słuchawki z uszu, a wtedy ona przechyliła się do niego i coś z uśmiechem szepnęła. Popatrzył na nią szeroko otwartymi oczami.

Jolene odwróciła głowę do okna i zapatrzyła się na szary krajobraz przesuający się za szybą. Michael starał się nawiązać z nią rozmowę, lecz zrezygnował po paru nieudanych próbach.

Jej myśli krążyły wokół Tami. Przyjaciółka powinna teraz jechać tym samochodem. Kręcąc gałką głośnika, pytałaby: „Hej pilotko, kto dzisiaj, Madonna czy Prince?”.

Widok dyżurki przy bramie jednostki obudził w niej tęsknotę, rozczarowanie i poczucie straty.

Spędziła tu kawał życia. Zawsze z Tami u boku.

Zaparkowali samochód przed hangarem. Jolene zebrała się w sobie. Czeka ją ciężki dzień - nie tylko dlatego, że nadweręży kikut, poruszając się wiele godzin na tymczasowej protezie.

Wysiadła z SUV-a i czekała na Seta.

- Lulu chce do toalety - powiedział Michael. Jolene skinęła głową.

- Budynek na prawo, pierwsze drzwi po lewej. Spotkamy się przy samochodzie. To... nie zajmie dużo czasu.

Michael nachylił się i pocałował ją w policzek.

- Odwagi, Jo - wyszeptał.

Przebiegł ją dreszcz pod dotykiem jego warg.

- Ja pójdę z mamą i z Sethem - powiedziała cicho Betsy.

Popatrzył na nią.

- Naprawdę?

Uśmiechnęła się do niego.

- Naprawdę.

Jolene przysunęła się do Seta i położyła mu dłoń na ramieniu.

- Gotowy?

- Nie wiem.

- Hmm, to jest nas dwoje.

Poprowadziła ich do hangaru. Ostatni raz była tu na... pożegnaniu przed wyjazdem.

Kiedy przestąpili próg ogromnej hali z helikopterami i samolotami transportowymi, pośród których krzatali się ludzie w kombinezonach, Jolene stanęła jak wryta. Wbrew woli. Po prostu zobaczyła blackhawka i nogi odmówiły jej posłuszeństwa.

„Dzisiaj ja pilotuję. Siadasz po prawej stronie. I bez dyskusji”.

- Jolene?

Spojrzała na bladą, smutną twarz chłopca stojącego , obok niej i na moment zapomniała o własnej stracie. „Dopilnuj, aby poznał prawdziwą mnie”.

- Kochała latać - powiedziała cicho. - Na pewno chciałaby, żebyś to wiedział. Kochała latać, ale... to ty, Seth... ty byłeś całym jej światem. Zrobiłaby wszystko, żeby móc do ciebie wrócić. - Zmusiła się do uśmiechu. -I strasznie fałszowała. Wiedziałeś o tym? Mówię ci, psy zaczynały wyc, kiedy śpiewała.

Chłopakowi zakręciły się w oczach łzy.

Jolene, zapatrzona na helikopter z otwartą kabiną i przedziałem bagażowym wypełnionym parcianymi pasami oraz metalowymi skrzynkami, zdjęła rękę z ramienia Seta i ruszyła przed siebie. Bezwiednie. Wcale tego nie planując. Szła, nie mogąc oderwać oczu od kokpitu.

Kikut przypomniiał o sobie bólem.

- Będiesz mogła latać? - spytał Seth, zrównując się z nią.

-Nie blackhawkiem - odparła i przez ułamek sekundy przesunęły jej się przed oczami: szkoła lotnicza,

Tami, wzbijanie się w chmury, kwitnące drzewa owocowe widziane z góry. - Ale to uwielbiałam - powiedziała bardziej do siebie niż do niego.

Ile czasu tak stała, zapatrzona w przeszłość, oplakując w duchu amputację, utratę przyjaciółki i zamknięcie pewnego rozdziału w życiu?

- Nigdy już nie będziesz latać? - upewniła się Betsy, wyraźnie zaskoczona.

Nie odpowiedziała.

- Moja mama powiedziałaby, że ty wszystko możesz - odezwał się Seth.

Pokiwała głową. Tych kilka słów sprowadziło Tami do hangaru. Była tu z nimi, Jolene poczuła nawet zapach jej szamponu z gardenii.

- Tak, tak właśnie by powiedziała. I skopałaby mi tyłek, widząc, że się mazgaimy.

- No. - Seth wytarł oczy.

- Ruszamy - zdecydowała. Przeprowadziła Setha przez hangar do szatni. Betsy trzymała się krok za nimi.

Utykając, pokonała wąską przestrzeń pomiędzy rzędami metalowych szafek i zatrzymała się przed oznaczoną numerem siedemset dwa.

- To mamy?

Przytaknęła ruchem głowy, czując, że córka staje za jej plecami. Po krótkim wahaniu wstukała kombinację cyfr. Zamek puścił z cichym kliknięciem.

Na dnie znaleźli parę butów w kolorze piasku, zielony T-shirt, hełm i manierkę. Na tylnej ścianie wisiało przyklejone taśmą zdjęcie Carla z Sethem z pozaginany-mi narożnikami. Jolene zaczęła opróżniać szafkę. Zdjęcie oddała Sethowi.

I wtedy właśnie spomiędzy rzeczy wysunęła się koperta. Podłużna, biała koperta z jednym słowem biegnącym na ukos: „Jolene”.

- Wiedziałem, że do ciebie też napisze - powiedział Seth. Sięgnął do kieszeni i dotknął do wystającej stamtąd koperty. - To jej list „na wszelki wypadek”.

Jolene nie miała odwagi wziąć koperty do ręki.

- Myślisz, że wiedziała? - spytał chłopak, patrząc na nią z napięciem.

- Nie - zaprzeczyła przez zaciśnięte gardło. - Była pewna, że wróci do domu. Bardzo tego pragnęła. Ze względu na ciebie i twojego tatę. - Głęboko odetchnęła. - Seth, wiem, że jej nie zastąpię, ale pamiętaj, że zawsze możesz na mnie liczyć. W każdej sprawie. I możemy o wszystkim rozmawiać: o dziewczynach, o nauce jazdy, o czymkolwiek tylko chcesz. A kiedy będziesz gotowy, opowiem ci o twojej mamie, o tym, jak bardzo cię kochała i jakie marzenia miała w związku z tobą. Pokażę ci trochę zdjęć i opowiem parę historii.

- Kiedy będę gotowy? - podchwycił.

Wiedziała, co ma na myśli. Ona też nie była gotowa. Nie odważy się przeczytać listu Tami, dopóki nie będzie silniejsza, dopóki nie będzie miała pewności, że nie załamie się po tym pożegnaniu. Cholera, nigdy nie będzie w stanie go przeczytać.

Proces Kellera zakończył się w pochmurny dzień, kiedy Seattle tonęło w strugach lodowatego deszczu.

Michael walczył o naświetlenie norm prawnych ławnikom w interesującym go zakresie i zyskał przychylność sędziego. Oskarżenie wniosło o uzupełnienie zarzutów. Pojawiły się w nim takie sformułowania jak: zabójstwo bez premedytacji i nieumyślne spowodowanie śmierci - dobry znak dla obrony. Michael od tygodni powoływał świadków i przedstawiał materiały dotyczące podłoża, natury i symptomów PTSD. Dowodził

zarliwie, że Keith w swoim stanie nie był zdolny do zaplanowania morderstwa. Świadkowie jeden po drugim mówili o głębokiej miłości i przywiązaniu oskarżonego do żony. Nawet matka Emily zeznała przez łzy, iż czuła, że z zięciem dzieje się coś złego i że wrócił do domu „jakby chory na głowę”. Wyznała, że nie może dojść do siebie po strasznej śmierci córki, lecz nie rozumie, jak więzienie mogłoby tu pomóc.

- Po prostu musimy z tym żyć - zakończyła, osuszając oczy chusteczką.

Największym atutem obrony miały być zeznania samego oskarżonego. To posunięcie wiązało się z pewnym ryzykiem, lecz Michael wiedział, że tylko tak Keith może zyskać wiarygodność w oczach ławników.

Keller nie miał na koncie bójek w barze czy innych wykroczeń, takich jak choćby drobne kradzieże w sklepie w szczenięcych latach. W życiorysie oskarżonego nie było niczego, co mogłoby podważyć jego prawdomówność. To był dobry chłopak, a później porządny mężczyzna, któremu wojna złamała psychikę.

Keith zeznał, że szukał pomocy w Departamencie do spraw Weteranów i że odczuwał całkowitą bezradność. Ze łzami w oczach, których raczej nie był świadomy, opowiadał o żonie. Gdy powiedział: „Gdybym nie pojechał do Iraku, może nadal pracowałbym w sklepie i mielibyśmy już dziecko. Theresę. Takie imię Emily wybrała dla córki. Te myśli bez przerwy mnie prześladują”, kilku ławnikom zaszklily się oczy.

Michael, jak wszyscy adwokaci, miał nadzieję na szybki werdykt. Z drugiej strony długie dochodzenie ławy przysięgłych do jednomyślności też stanowiło dobry znak.

Życzenie się spełniło. Ławnicy nadal się naradzali. Przez sześć dni Michael jeździł do kancelarii, siadał za

biurkiem, czytał odpisy z akt, sporządzał wnioski, opracowywał wystąpienia i czekał. Najgorsze, że w tym czasie zaprzętały go problemy w domu.

Po pogrzebie Tami Jolene wpadła w głęboką rozpacz, ukryła się w ciemnym miejscu, do którego on nie miał dostępu. Mikry ślad ich pojednania - tamten jeden pocałunek - zniknął pod rumowiskiem żalu. Jolene zapijała tabletki winem i przesypiała całe doby. W nocy budziła się z krzykiem i nie pozwalała sobie pomóc. Kiedy próbował, odpychała go z dzikim wyrazem oczu. Dziewczynki omijały ją kołem. Lulu, pochlipując przed zaśnięciem, pytała, co się stało mamie.

Był już u kresu sił. Próbował zostawić Jolene przestrzeń i pozwolić przeżyć okres żałoby, ale ona niszczyła ich wszystkich, pociągała za sobą w otchłań i doprawdy nie miał pojęcia, jak dalej postępować.

Zabrzączał interkom.

- Michael? Ława przysięgłych zakończyła obrady. Podziękował asystentce i w biegu złapał płaszcz. Po

chwili szedł już Second Avenue w strugach lodowatego deszczu. Podrywane wiatrem namoknięte kawałki papieru i poczerńnięte liście toczyły się po chodniku, przylepiały do okien, do wiat na przystankach autobusowych i szyb samochodów.

W gmachu sądu otupał buty o kamienną posadzkę i strząsnął krople wody z włosów.

W korytarzu zgromadziła się grupa reporterów. Niedługo zapewne dobiją do nich kolejni. W ostatnich tygodniach w CNN i Fox News regularnie pokazywano migawki z procesu.

- Mecenasio! - wołali, machając do niego.

- Drodzy państwo, na razie bez komentarza - rzucił do nich, przystając na moment, po czym wszedł do sali i zajął miejsce przy stole dla obrony.

Kellerowie, którzy do ogłoszenia wyroku zatrzymali się w hotelu, zjawili się kilka minut po nim.

Sala wypełniła się do ostatniego miejsca, zanim wprowadzono Keitha. Po wielomiesięcznym pobycie w areszcie był blady i wymizerowany. Dano mu chwilę na uściskanie rodziców, po czym posadzono obok obrońcy.

- Jak się czujesz? - zapytał Michael.

W odpowiedzi wzruszył ramionami. Po raz pierwszy nie wyglądał na żołnierza. Był wystraszonego dzieciakiem, który zapewne spędzi życie w więzieniu, a co najgorsze - nękanym poczuciem winy za to, co zrobił.

- Proszę wstać.

Sędzia zajął miejsce za stołem.

Weszli ławnicy. Michael usiłował wyczytać odpowiedź w ich oczach, lecz nie patrzyli w jego stronę - zły znak.

- Czy przysięgli uzgodnili werdykt w sprawie Stan Waszyngton przeciwko Keithowi Kellerowi?

- Tak, Wysoki Sądzie - potwierdził przewodniczący ławy przysięgłych.

- Jak on brzmi?

Po wywodzie w żargonie prawniczym dotyczącym sprawy i samego przestępstwa padły słowa:

-My, ława przysięgłych, uznajemy, że oskarżony nie jest winny popełnienia morderstwa z premedytacją.

Michael odetchnął z ulgą. Usłyszał za plecami szmer głosów. Ludzie szeptem wymieniali między sobą uwagi.

-Uznajemy oskarżonego za winnego popełnienia morderstwa bez premedytacji.

Na sali podniósł się szum. Pani Keller rozpaczliwie krzyknęła.

- Złożymy apelację - stwierdził energicznie Michael. Keith popatrzył na niego. Nagle jakby przybyło mu lat.

- Nie - zdecydował. - Ja na to zasłużyłem, mecenasie. Pan wykonał kawał dobrej roboty. Wiedzą, że nie chciałem jej zabić. To dla mnie najważniejsze.

Odwrócił się do rodziców, a oni przyłgnęli do niego w smutnym uścisku.

Młodszy wspólnicy i aplikanci, którzy pracowali przy tej sprawie, otoczyli Michaela, gratulując mu obalenia zarzutu morderstwa z premedytacją. Wiedział, że proces miał charakter precedensowy i nie pozostanie bez wpływu na podobne postępowania w całym kraju. Najważniejsze było tu przekonanie ławy przysięgłych o spustoszeniach, jakich dokonuje w psychice PTSD. Dali wiarę, że Keith nie planował zabicia żony. Dla młodych prawników, którzy jeszcze nie byli świadomi istnienia przepaści, jaka czasami otwiera się pomiędzy prawem a sprawiedliwością, taki wyrok stanowił okazję do świętowania. Dla nich to była wygrana wbrew niekorzystnym okolicznościom. Wracając do tej sprawy, będą się skupiać wyłącznie na kwestiach technicznych. Nie pomyślą o młodym żołnierzu, który tam, za kratami, zmaga się ze swoimi koszmarami.

-- Zasłużyłem na więzienie - zwrócił się do niego Keith. - Od samego początku tak uważałem. Może pan ma rację, może rzeczywiście wojna pomieszała mi zmysły, lecz Emily nie żyje i to ja ją zabiłem.

- Nie zrobiłeś tego umyślnie.

- Liczą się czyny, nie zamiary. Działania. Instruktor, który nas szkolił, bez przerwy to powtarzał. Ważne, co mówimy i robimy, a nie, co myślimy. Tysiąc razy chciałem wyznać Emily, że mam ze sobą problem, lecz nigdy tego nie zrobiłem. Gdybym powiedział jej prawdę, może dostalibyśmy od losu drugą szansę. Dziękuję, mecenasie. Szczerze.

Woźny sądowy wyprowadził go z sali.

Michael odczekał, aż i publiczność ją opuści. Kellerowie, a potem Plotnerowie podeszli do niego z podziękowaniami, a on nie bardzo wiedział, co im odpowiedzieć. Zrobił, co w jego mocy dla ich syna, i prawie się udało. Pamiętał słowa ojca, który kiedyś powiedział, że duchy stanowią przekleństwo adwokatów karnistów. Wiedział, że sprawa Kellera nie przestanie go prześladować. Będzie się zastanawiać, czy mógł inaczej poprowadzić obronę i czy powołanie Keitha na świadka było słusznym posunięciem.

W drodze do domu odtwarzał w myślach przebieg procesu, analizował ewentualne inne posunięcia, zastanawiając się, czy miałyby wpływ na wyrok. Potem zaczął szukać argumentów do apelacji...

Te wszystkie myśli pierzchły w momencie wejścia do domu. Z miejsca poznał, że trafił w środek kłótni pomiędzy córkami. Lulu miała podpuchnięte, czerwone oczy, a Betsy wykrzykiwała coś piskliwie.

- Ona nie będzie mi rozkazywać! - Lulu rzuciła mu się z płaczem w ramiona.

Michael nie miał siły wnikać w ich problemy. Nie dziś.

- Gdzie jest mama? - zapytał ostrzej, niż zamierzał. Lulu spojrzała na niego przez łzy.

- W swoim pokoju. Ona nas nienawidzi.

- Muszę z nią porozmawiać.

Usiłował oswobodzić się z jej uścisku, lecz córka przywarła do niego i jeszcze głośniej się rozplakała.

- Cholera, Lulu...

- Ppo-wiedziaa-łeś brzydkie słowo.

- Wiem. Przepraszam. - Pocałował ją w wilgotny policzek i stanowczo postawił na podłodze. - Zostań tutaj -nakazał, wychodząc z pokoju. Stał przed sypialnią Jolene, zapukał i wszedł do środka.

Siedziała w łóżku, potargana, ze wzrokiem wbitym w nieotwarty list Tami, który trzymała w dłoniach.

- Przeczytaj go! - zażądał ostrym tonem. Nie zwróciła na niego uwagi. Zatrzymał spojrzenie na otwartej butelce wina stojącej na nocnym stoliku. Niewiele myśląc, podszedł i zabrał ją.

- Dość tego, Jo.

- Nie... - Wyciągnęła rękę.

-Co: nie?! - krzyknął. - Nie kocham cię już?! Nie chcę cię?! Nie obchodzi mnie, że zapijasz się do utraty przytomności?!

Wzdrygnęła się po tej oczywistej aluzji do Tami.

Ale zaraz jej oczy na powrót przybrały pusty wyraz. Wycofała się razem ze swoim bólem w ciemne miejsce w sobie, do którego on nie miał dostępu.

-Dość! - powtórzył, podnosząc głos. - Zachowywałem się jak ostatni kretyn przed twoim wyjazdem. Przyznaję. Byłem dupkiem, złamałem ci serce i mogłem zniszczyć to, co było między nami. A może i zniszczyłem. Ale ja się zmieniłem, Jo. Naprawdę się zmieniłem, ale ciebie to w ogóle nie obchodzi. Mam dość rozbijania głowy o mur, który wzniosłaś między nami. Nic mi nie dajesz. Nic nie dajesz naszym dzieciom. Nic! A przecież ty wiesz najlepiej, co to znaczy być odtrąconym przez rodziców, prawda, Jo? Jeżeli nasza rodzina się rozpadnie, to będzie wyłącznie twoja wina. Ja już bardziej starać się nie potrafię.

Spojrzała na niego przez łzy.

- Myślisz, że tego nie wiem?

- Wysił się na jakiś gest - powiedział łamiącym się głosem. Na widok jej łez jego gniew ostygł. Poczul się roztrzęsiony, bezradny. - Postaraj się, Jo. Otwórz się przede mną. Bądź znowu moją żoną.

-Nie mogę.

- A więc to koniec... po tym wszystkim...

Odwróciła się od niego, podciągając wysoko kołdrę.

Wahał się przez chwilę, czując się zagubiony i samotny jak nigdy dotąd. Było gorzej niż wtedy, gdy stał nad grobem ojca. Dopiero teraz sobie uświadomił, że to Jolene nadawała sens jego życiu.

Rozległo się pukanie do drzwi i na progu stanęła Lulu z buzią moką od łez.

- Tatusiu, ja się boję - zatkała.

Z ciężkim westchnieniem podszedł do niej i wziął ją na rękę.

- Skarbie, nie masz czego się bać - skłamał i wyniósł ją z pokoju, zamykając za sobą drzwi.

Następnego dnia u Carla miał się odbyć wieczór wspominkowy poświęcony Tami dla rodziny i przyjaciół.

Jolene chodziła podminowana i spięta. Powarkiwała na dzieci i popłakiwała z byle powodu. Po wczorajszej sprzeczce z Michaeliem z trudem kontrolowała emocje. Migrena wysadzała jej oczy. Dwa kieliszki wina nie uspokoiły drżenia rąk. O trzeciej powinna znaleźć się w domu Tami, rozstawić jedzenie oraz talerze, dopilnować, aby wszystko było gotowe na przyjście gości. Pomoc mężowi przyjaciółki w takich okolicznościach była jej obowiązkiem.

Jolene nie miała nic do zaferowania. Czuła się jakby wydrążona w środku. Za każdym razem, kiedy mijała lustro, dziwiło ją, jak to możliwe, że żyły nie przeświecają przez jej bladą skórę, że nie widać kości.

O siódmej Michael zapukał do drzwi i bez czekania na zaproszenie wszedł do pokoju.

Siedziała na łóżku w białej bluzce i w džinsach, z włosami wilgotnymi po kąpieli. Z wyrazu twarzy męża odgadła, że jej przekrwione oczy w czerwonych obwódkach nie uszły jego uwagi.

- Nie musisz tam iść, jeżeli nie czujesz się na siłach -

powiedział znużonym tonem, uciekając przed nią wzrokiem. Widziała, jak bardzo go wczoraj zraniła, i było jej wstyd. Pomyślała o liście, który napisała do niego przed wyjazdem do Iraku. „Kochałam cię od początku do końca.

- To mój obowiązek. - Chwiejnie dźwignęła się z łóżka.

W ułamku sekundy znalazł się przy niej i podtrzymał ją za ramię. Jego dotyk wywołał u niej świadomość porażki. Czy naprawdę minęło zaledwie parę tygodni od tamtego pocałunku, kiedy pomyślała: a może?, i na nowo zaczęła się w nim zakochiwać? To wszystko wydawało się takie odległe i nieprawdziwe.

Nadal ją asekurując, zaprowadził do pokoju dziennego, gdzie czekała już teściowa z dziewczynkami. Mila i Betsy trzymały naczynia żaroodporne owinięte aluminiową folią. To ja powinnam coś przyrządzić - pomyślała Jolene.

Siedmiowarstwową sałatkę Tami. Ona za nią przepadała...

Potknęła się. Michael pomógł jej odzyskać równowagę. Wyszli z domu na podwórze. Zmrok zdążył już zapaść w ten chłodny listopadowy dzień. Niedługo płot i trawę pokryje szron.

Michael otworzył bramę. Przeszli na skróty przez trawnik pomiędzy podjazdami. U Flynnów stało już sporo samochodów i pikapów. Okna w domu były jasno oświetlone.

Uwielbiam imprezować.

Zabrzmiał jej w uszach głos Tami i jej niski, gardłowy śmiech... a może to wiatr poruszył gałęziami cedrów?

Drzwi otworzył im Seth; wydawał się tak samo roztrzęsiony i oszołomiony jak ona. Dostrzegła kopertę wystającą z kieszeni i pomyślała o swoim liście od Tami, który nadal nieotwarty leżał w szufladzie nocne-

go stolika. Seth owinał sobie wokół szyi nieśmiertelniki matki.

- Zostań z mamą - polecił Michael Betsy, a sam z Miłą, lawirując pomiędzy gośćmi, ruszył do stołu, żeby postawić tam przyniesione dania.

- No, ale mam szczęście - mruknęła Betsy pod nosem.

Jolene puściła tę uwagę mimo uszu. Nie ruszając się od drzwi, słuchała gwaru rozmów, nawet śmiechów. To wszystko nie miało sensu. Tu powinna być Tami. To był jej dom...

Wąski budynek z prefabrykatów był pełen ludzi. Każdy kawałek wolnego miejsca zajmowały półmiski i talerze. Stawili się prawie wszyscy gwardziści. O Boże, przyszli też rodzice Smitty'ego. Posunęli się. Zmarszczki na ich twarzach wyglądały tak, jakby smutek, zaciskając skórę, zatrzymał w niej przepływ krwi. Co ma im powiedzieć? Co od nich może usłyszeć?

Na środku pokoju, oparta na sztaludze, stała fotografia wielkości plakatu. Tami w połowym mundurze. Uśmiechała się radośnie, patrząc prosto w obiektyw, i pozdrawiała rodzinę machaniem ręki. Jolene zrobiła to zdjęcie zaledwie kilka tygodni przed katastrofą... No, Tami, uśmiechnij się, ale tak wiesz, na całego...

Przymknęła powieki, starając się odpędzić to wspomnienie. Policz do dziesięciu. Oddychaj. Musi podejść do rodziców Smitty'ego, porozmawiać z nimi, powiedzieć, jak bardzo boleje nad ich stratą i jaki dzielny był ich syn. Nie cierpiał. Czy to właśnie chcieliby usłyszeć? A może raczej, że był odważny, zabawny i taki rozumny?

Za jej plecami trzasnęły zamknięte z impetem drzwi. Krzyknęła na cały głos. Znowu znalazła się w Baladzie, baza była pod ostrzałem, rakietą ze świstem przeleciała

nad jej głową. Przyciągnęła do siebie Tami i zasłaniając ją własnym ciałem, padła na ziemię.

Upadek pozbawił ją oddechu. Kiedy oszołomiona otworzyła oczy, zobaczyła połać białego linoleum i mnóstwo stóp. Nie było wojskowych butów... ani piasku. Nie czuła zapachu dymu czy ognia.

Płonąc ze wstydu, zrozumiała, że leży na podłodze w domu Tami.

Rodzina, znajomi i przyjaciele z Gwardii z puszkami piwa w dłoniach otoczyli ją kołem i patrzyli na nią z niepokojem. Coś mówili. Do niej czy między sobą? Nie rozpoznawała słów; ich głosy zlewały się i mieszały w szum. Michael stał w kuchni z Carlem. Piosenka *Crazy for You* chrypiała ze starych głośników w którymś z pokoi.

- O Boże! - krzyknęła Betsy, odsuwając się od niej. -Co ty wyrabiasz?!

Widziała zażenowanie córki.

- Przepraszam, kochanie - wyszeptała, powoli zbierając się z podłogi. Trzęsła się cała i z trudem łapała oddech. Litość w oczach tych wszystkich ludzi budziła jej gniew.

Pewnie powinna coś powiedzieć, wymyślić jakieś żałosne wytłumaczenie, lecz po co? Sposób, w jaki na nią patrzyli, wyraźnie mówił, że wiedzieli, doskonale wiedzieli, że coś poprzestawiało jej się w głowie. Że zwariowała.

Pokuśtykała do drzwi wejściowych, pchnęła je i wyszła na ciemny dwór.

- Jolene, zaczekaj! - doszło ją wołanie Michaela.

Z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi i utykając, przeszła przez szutrowy podjazd i trawnik dzielący ich posesje.

Michael dogonił ją blisko ich domu. Wziął ją pod łokieć, chciał zatrzymać.

Wyrwała rękę.

- Zostaw mnie!

- Jolene.

- Nic nie mów! - wysyczała. Traciła panowanie nad sobą, była bliska wybuchu. - Zostaw mnie!

- Jolene, pozwól sobie pomóc.

Przecisnęła się obok niego do domu i skierowała się prosto do swojego pokoju. Źle stanęła, odwracając się, aby zamknąć drzwi, i pęcherze na kikucie odpowiedziały bólem na ucisk protezy. Zatrzęsa się z wściekłości. Nagle zapragnęła czym prędzej pozbyć się tego ohydztwa, nie mogła dłużej na nie patrzeć. Oparta o komodę, odpięła protezę i z krzykiem cisnęła nią w przeciwległą ścianę. Toporna plastikowa noga trafiła w wazon, prezent od Mili na Boże Narodzenie, i niebiesko-biała porcelana rozprysła się na kawałki.

Jolene parsknęła śmiechem i chociaż to wcale nie było zabawne, a wręcz żalosne, śmiała się jak szalona.

- Zobacz, Tami, była noga, nie ma nogi!

Chciała osunąć się na kolana, niestety, nie mogła. Jedna z wielu rzeczy, których już nie mogła. Stała na jednej nodze jak bocian, kiwając się na boki.

Jak bocian. To porównanie wywołało kolejny paroksyzm śmiechu. Nagle poczuła, że musi pójść do toalety. Odrzuciła protezę, wózka nie było, a kule zostały w przedsionku.

Klnąc i przytrzymując się mebli, podskokami dotarła do łazienki. Spojrzała na siebie w lustrze i czym prędzej odwróciła głowę. Trzęsącymi się dłońmi rozpięła spodnie i opuściła je na podłogę. I wtedy, niestety za późno, stwierdziła, że jest za daleko od muszli.

Cholera.

Przesuwając się podskokami, nadepnęła na nogawkę i tracąc równowagę, niefortunnie podwinęła stopę. Pa-

dając, zdążyła się złapać uchwytu na ręczniki. Wieszak oderwał się od ściany, a ona runęła na kafelki, uderzając się barkiem o brzeg umywalki. Krzyknęła z bólu.

Oszołomiona, leżała chwilę na podłodze. Bark i stopa pulsowały. Z oczu popłynęły łzy frustracji.

- Jolene? - Drzwi łazienki otwarły się na całą szerokość.

- Odejdź.

Michael przyklęknął przy niej i dotknął jej twarzy.

- Skarbie - powiedział cicho głosem, który kiedyś... nadal... kochała, co jeszcze boleśniej uświadomiło jej, jaka jest samotna i zagubiona.

- Skarbie - powtórzył.

Rozplakała się. Rozszlochała. Starła się opanować, powstrzymać te bezsensowne łzy i pokazać, że jednak jest silna.

Michael wziął ją w ramiona i tuląc, gładził po włosach.

Płakała jak dziecko. Spazmatyczne łkanie wstrząsało nią jak szmacianą lalką, dopóki nie zabrakło jej oddechu. Płakała za Tami, a potem za wszystkim, co utraciła, za rodzicami, którzy zginęli, i za rodziną, której nigdy nie miała w dzieciństwie. Płakała nad sobą, nad Smittym, nad amputowaną nogą, nad przyjaciółką i nad swoim małżeństwem.

Kiedy wreszcie łzy wyschły, osłabiona i roztrzęsiona odsunęła się od Michaela i zobaczyła, że on też płacze.

Uśmiechnął się do niej niepewnie. Boże, jak tęskniła za takim uśmiechem, jak bardzo tęskniła za mężem. Skłamałaby, mówiąc inaczej.

- Zdaje się, że chciałaś do toalety.

To ją rozbawiło. Tylko ona mogła przejść załamanie nerwowe na podłodze w łazience, z dzinsami opuszczonymi do kostek. Do kostki.

- Tank.

Wstał z podłogi, podniósł ją jak piórko i posadził na sedesie. A potem odwinął z rolki kawałek papieru i wręczył go jej niczym idealną białą różę.

Wielokrotnie przy nim siusiała, lecz tym razem ta czynność wydała jej się żenująco intymna. Chciała poprosić, żeby wyszedł, jednak się powstrzymała. Cokolwiek między nimi się wydarzyło, nie chciała tego zepsuć.

Spuściła wodę.

Przyklęknął przed nią i pomógł podciągnąć majtki.

Widziała, jak zatrzymał wzrok na żelowej skarpecie na końcu kikutu, i żołądek podszedł jej do gardła. Zaraz się odwróci...

Tymczasem on powoli zrolował skarpetę, odsłaniając odpychającą, zaokrągloną pozostałość po jej kiedyś kształtnej nodze. Nachylił się i pocałował zaognioną bliznę.

Kiedy podniósł oczy, widziała, że wypełnia je miłość -dłużej nie mogła sobie wmawiać, że jest inaczej. I chociaż to wydawało się nieprawdopodobne, on na nowo ją pokochał. Czy nie wiedziała o tym od tamtego dnia w sądzie? Wiedziała, a jednak się bała.

- Wiesz, prawda? Skinęła głową.

- Żadnych protestów - szepnął, wziął ją na ręce i wyniósł z łazienki. Myślała, że posadzi ją na łóżku, lecz on minął jej pokój i skierował się na schody.

- Dokąd mnie niesiesz?

- Do naszej sypialni - odpowiedział, wspinając się po stopniach z nią w ramionach.

Przytuliła się do niego. Przez całą drogę szukała argumentów, dlaczego nie powinni się kochać. Lekarze powiedzieli, że może „podjąć współżycie płciowe”, kiedy poczuje się gotowa, lecz jak z tym będzie?

Chciała go powstrzymać, powiedzieć: jeszcze nie jestem gotowa, ale nawet wymawiając te słowa w myślach, wiedziała, że kłamie. Była gotowa na miłość do tego mężczyzny od pierwszej chwili, kiedy go ujrzała. Przez te wszystkie lata nic się nie zmieniło. Ranili się nawzajem, rozczarowywali, a jednak mimo wszystko byli razem. Potrzebowała go teraz, pragnęła, aby ją utwierdził, że nadal żyje, że nie jest samotna i że nie wszystko straciła.

Chciała na nowo uwierzyć w niego; to była dla nich jedyna szansa. Jej jedyna szansa. Zranić nie może jedynie ktoś, kogo się nie kocha. Ona próbowała się odkochać w Michaelu, ale bez powodzenia. Pragnęła miłości szalonej, namiętnej, zuchwałej. Nawet ze swoim pokiereszowanym ciałem i jeszcze mocniej pokiereszowanym sercem. Chciała tego. Chciała jego.

Michael pchnął kolanem drzwi sypialni i zamknął je kopnięciem. Stał nad łóżkiem lekko zasapany po wspinaniu się po schodach z nią na rękach. W oczach męża widziała taką samą namiętność, jaką w niej budził jego dotyk. Dostrzegąca też lęk i obawę. Wyciągnęli się razem na łóżku.

- Kocham cię, Jo - powiedział po prostu, chociaż oboje wiedzieli, że takie wyznanie wcale nie jest proste.

- Ja ciebie też kocham, Michaelu - wyszeptała łamiącym się głosem. - Zawsze cię kochałam.

Objął ją i pocałował. Jej ciało ożyło pod jego dotykiem, otwarło się na niego. Z cichym westchnieniem przyciągnęła go do siebie, głodna jego pieścizot bardziej niż kiedykolwiek przedtem.

Michael wsunął rękę pod bluzkę i odpiął stanik.

Wstrzymała oddech, zbierając się na odwagę. Pragnęła go, chciała, żeby to się stało, lecz nie potrafiła wyzbyć się lęku. Jak sprawdzi się jej nowe ciało? Czy on naprawdę chce się z nią kochać?

Poświata księżyc, wpadając przez okno, kładła się na jej białych nogach. Uda były jednakowe, opuchlizna już zeszła. Jedna noga zgrabna z kształtną łydką i stopą. A druga...

Tę drugą starała się jak najrzadziej oglądać. Teraz na nią patrzyła i wiedziała, że Michael też spogląda na kikut z zaokrąglonym końcem, ciągle zaogniony i pozszywany jak twarz Frankensteina. Lulu miała rację; rzeczywiście przypominał piłkę futbolową.

-Musimy być... pomysłowi - powiedziała nieśmiało.

- Uwielbiam nowe pomysły - wyszeptał, błędząc dłonią po krzywiźnie jej biodra i udzie. Ta pieszczota ją zelektryzowała. Ściągnęła bluzkę, zdjęła ubranie z Michaela i przytuliła się do niego, każdym skrawkiem ciała tęskniąc za jego dotykiem. Powiodła ręką po jego torsie, przypominając sobie zarys mięśni i gładkość skóry. Ich usta złączyły się w żarliwym pocałunku. Palce Jolene zbłądziły pod pasek jego bokserów.

Czy kiedykolwiek była aż tak podniecona? Nie wie, nie pamięta, lecz teraz pożądanie ją rozpalało, domagając się zaspokojenia.

Michael znał jej ciało równie dobrze jak własne; wiedział, jak doprowadzić ją do granicy, gdzie ból mieszał się z rozkoszą. Nie przeszkadzało im, że musieli dostosować się do nowej sytuacji, nieważne, że ona musiała podpierać się poduszkami. Leżąc na boku, przytulona do niego, czuła go w sobie, czuła, jak ją wypełnia. Ze spazmatycznym westchnieniem wygięła się i przyłgnęła wargami do jego ust, czując na jego policzku ich wymieszane łzy. Potężny orgazm wydarł z jej gardła krzyk. Ciało jakby uniosło się porwane jakimś dzikim wiatrem, a potem łagodnie spłynęło z powrotem na miękkie łóżko, które dzieliła z tym mężczyzną przez tak wiele lat.

Drżąc jeszcze w miłosnym oszołomieniu, słodko znużona i lśniąca od potu, zwinęła się przy nim z policzkiem przytulonym do jego piersi, nadal mając w pamięci dotyk jego łez na twarzy i słony smak ich pocałunku.

- Mogę cię o coś zapytać? - odezwał się Michael chwilę później, gdy nieco doszli do siebie.

- Jasne.

- Dlaczego nigdy nie odpisałaś na mój list?

- Jaki list?

- Ten, który wysłałem do Iraku kilka dni przed katastrofą.

Ściągnęła brwi.

- Nie dostałam tam od ciebie żadnego listu. Ostatni tydzień to było jedno wielkie szaleństwo. Co chwila lataliśmy na akcje, a internet bez przerwy się zawieszał. Po powrocie do domu tylko raz otworzyłam pocztę. Mnóstwo wyrazów współczucia z powodu amputacji. Nie mogłam tego znieść. Od tamtej pory nie usiadłam przy komputerze. Co napisałeś?

- Żebyś mi jeszcze dała szansę.

Usiłowała sobie wyobrazić, co takie słowa znaczyłyby dla niej tam, tak daleko od domu. Czy uwierzyłaby mu?

- Jak to możliwe, że pokochałeś mnie akurat wtedy, kiedy byłam poza domem? - spytała, leżąc z podbródkiem wspartym na jego ramieniu.

Przygarnął ją mocniej do siebie.

- Po śmierci taty wpadłem w depresję, a ty wiecznie chodziłaś taka cholernie radosna. Twoje rady w stylu: „myśl pozytywnie, zapamiętaj go uśmiechniętym” absolutnie mi nie pasowały. A nawet mnie wkurzały. - Popatrzył na nią. - Czułem się nieszczęśliwy i łatwo mi było zrzucić za to winę na ciebie.

- Myślałam, że z czasem się otrząsniesz. Tak było ze mną po śmierci rodziców. Przynajmniej tak mi się wydawało. Wiedziałam, czym jest strata. Ale nie do końca rozumiałam, co to znaczy być pogrążonym w bólu. Teraz już wiem. - Uniosła głowę i popatrzyła mu w oczy. -Zawiodłam cię.

Powoli, z czułością pocałował ją w czoło.

- Ja też ciebie zawiodłem.

- Musimy więcej ze sobą rozmawiać - powiedziała. -Tak naprawdę rozmawiać.

Pokiwał głową.

- Opowiesz, jak było w Iraku? Możesz?

Nie, nie chcesz tego wiedzieć - cisnęło jej się na usta, bo chciała go chronić.

-Wiesz co, jeżeli chcesz, możesz przeczytać mój dziennik - zaproponowała. - A ja spotkam się z tym twoim lekarzem, bo widzę, że jednak potrzebuję fachowej pomocy.

- Pozbierasz się, Jo. Nie znam drugiej tak silnej osoby jak ty.

- A co z Betsy? Jak ją przekonam, żeby mi wybaczyła?

Uśmiechnął się.

- Pilotowałaś helikopter podczas działań bojowych, a nie poradzisz sobie z rozgniewaną dwunastolatką?

- Wybieram działania bojowe.

Parsknęli śmiechem. W tej samej chwili rozległo się natarczywe pukanie do drzwi.

Michael wyskoczył z łóżka, zgarnął spodnie i nałożył je po drodze. Zapinając rozporek, otworzył drzwi.

- O, mama. - Uśmiechnął się.

-Betsy. - Mila trzymała na rękach śpiącą Lulu. -Zniknęła. Nie możemy jej znaleźć.

- Jak to? - Michael podniósł T-shirt z podłogi i naciąg-

nał go przez głowę. - Na pewno jest na podwórku albo gdzieś w pobliżu.

- Zniknęła? - Jolene usiadła na łóżku, przyciskając prześcieradło do nagich piersi. Nie rozumiała, jak to możliwe, że Michael tak spokojnie reaguje.

Mila spojrzała na nią ze współczuciem.

-Ten... incydent w domu Tami wywołał mnóstwo spekulacji. Wszyscy się o ciebie martwili. Ja musiałam zająć się Lulu, bo w kółko pytała, dlaczego rzuciłaś się na podłogę, a kiedy wreszcie ją uspokoiliam, zaczęłam rozglądać się za Betsy. Zajęło to trochę czasu, bo tam było mnóstwo ludzi. W każdym razie okazało się, że Seth i Betsy zniknęli. Wszędzie ich szukaliśmy. Carl odchodzi od zmysłów.

- Sprawdź u nas. - Michael wybiegł z sypialni, a Jolene wstała z łóżka i najszybciej jak potrafiła włożyła znalezione w komodzie dzinsy i biały sweter. Michael wrócił z protezą i razem zeszli na parter. Nigdy dotąd mozolne pokonywanie stopni na niewygodnej protezie nie budziło w niej takiego gniewu.

Carl, z twarzą ściągniętą niepokojem, czekał na nich w dziennym pokoju. Była przy nim Mila z Lulu na rękach.

- Uciekli - zwrócił się do Jolene. - Słyszałem, jak ze so-^ bą rozmawiają, pomyślałem jeszcze: „Jak dobrze, że znowu się przyjaźnią”, i poszedłem po piwo. Nie wiem, ile czasu minęło, zanim ponownie rozejrzałem się za Sethem. Dopiero jak goście zaczęli się rozchodzić, zauważyłem, że ich nie ma. Powinienem wcześniej się zainteresować.

- Drzewo Harrisonów! - wpadł na pomysł Michael. -Pamiętacie, jak Betsy wtedy uciekła z domu? Seth znalazł ją pod drzewem przy przystani Harrisonów.

- Betsy uciekła z domu? - Jolene spojrzała na niego z przerażeniem.

Nie odpowiedział. Carl skinął głową i obaj mężczyźni wybiegli z domu. Jolene wyszła za nimi na werandę.

Na dworze było ciemno i zimno. Gwiazdy nie świeciły. Oparta o barierkę wyteżwała wzrok, żeby widzieć cokolwiek w ciemnościach. Miła, nadal z Lulu na rękach, dołączyła do niej.

- Znajdziemy ją, Jo - uspokajała ją. - Nastolatki robią takie rzeczy.

Robią takie rzeczy: uciekli ciemną nocą i Bóg jeden wie, co ich może spotkać - pomyślała Jolene. Gdyby w minionych tygodniach była lepszą matką, nie stałyby teraz na zimnie, modląc się i wypatrując oczy. Ciche kwilenie Lulu kazało jej się obejrzeć.

- Znowu uciekła - wyjąkała dziewczynka przez łzy.

- Chodź tu, skarbie - szepnęła Jolene, otwierając ramiona. - Mamusia cię przytuli.

- Naprawdę? - Mała szeroko otworzyła oczy.

- Naprawdę. - Jolene załamał się głos.

Lulu rzuciła się w jej ramiona z impetem, który zarzucił Miłę na balustradę. Jolene pochwyciła córkę i przycisnęła do siebie, wdychając znajomy, dziecięcy zapach Johnson's Baby Shampoo i mydła Ivory.

Czuła na piersi jej szloch i mogła jedynie, tuląc ją do siebie, powtarzać, że wszystko będzie dobrze i że nic jej nie grozi w mamy ramionach. Wreszcie Lulu oderwała się od niej z buzią mokrą od łez.

- Bałyśmy się ciebie, mamusiu - wyznała, patrząc na nią mokrymi oczami.

Jolene odgarnęła jej z twarzy wilgotne pasemka włosów.

- Wiem, kotku. Przez tę wojnę wasza mama trochę dziwnie się zachowuje. Ale się zmienię.

- Obiecujesz?

Wiara w oczach Lulu była balsamem dla jej skołatanego umysłu. Chciała powiedzieć: obiecuję. Tak postąpiłaby jeszcze parę dni temu, oszukując ich wszystkich i zwodząc. Ale takie przyrzeczenia to krucha sprawa, tak samo niepewna jak to, co przyniesie jej przyszłość.

- Obiecuję, że zrobię wszystko, aby znów być taką mamą jak kiedyś. Ale mogę potrzebować waszej pomocy. Gdybym... hmm... no wiesz... zrobiła się dziwna, podniesiesz rączki, wzruszysz ramionami i powiesz: No tak, cała moja mama. Myślisz, że potrafisz tak zrobić?

Lulu podniosła różowe łapki i wstrząsnęła ramionami.

- Cała moja mama.

- Świetnie - pochwaliła ją Jolene, zmuszając się do uśmiechu.

Carl z Michaeliem wyłonili się z ciemności. Szli powoli podjazdem. Byli sami.

- Gdzie Betsy? - zaniepokoiła się Lulu.

Jolene poczuła wzbierającą w niej panikę. Pocałowała córkę i podała ją teściowej.

- Proszę, połóż ją spać.

Mila skinęła głową na zgodę i z dzieckiem w ramionach weszła do domu. Drzwi z siatki zamknęły się za nią z metalicznym trzaśnięciem.

Jolene wyszła mężczyznom naprzeciw, stając na brzegu werandy.

- Nie było ich tam - odezwał się Carl. - I żadnych śladów, że mogli się tam wcześniej kręcić. - Spojrzał na zegarek. - Dziesiąta. Myślicie, że powinniśmy zawiadomić policję?

Lodowaty dreszcz przeszedł Jolene po plecach. Jej córka w ciemną noc zdecydowała się na ucieczkę, bo nie potrafiła wytrzymać w domu z matką, której nie mogła

ufać. Betsy, wróć - błagała w duchu, podchodząc do barierki i wpatrując się w drogę. Ja ci to wszystko wytłumaczę...

Michael stanął przy niej i otoczył ją ramieniem. Mimowolnie naszła ją myśl, że przedtem strząsnęłaby jego rękę i nerwowo krążąc po pokoju, próbowałaby kontrolować sytuację, która była poza jej kontrolą. Teraz oparła głowę o jego pierś.

Jak długo tam stali? Michael i Carl obdzwonili wszystkich znajomych, jacy im tylko przyszli do głowy. Mila uspiła Lulu i wróciła na werandę otulona różowo--fioletowym afgańskim szalem. Rodzina i przyjaciele Carla, którzy nie zdążyli się jeszcze rozjechać, wylegli przed dom i zbili się w gromadkę przy płocie. Stali tak do chwili, gdy przez ciemności przebiły się pulsujące, czerwono-żółte światła policyjnego radiowozu.

Na ich widok Jolene mocniej przytrzymała się barierki, a po jej ciele przebiegła fala dojmującego chłodu. Powróciło wspomnienie innej nocy sprzed wielu lat. Stała wtedy sama na werandzie, patrząc, jak odjeżdżają jej rodzice. Nigdy więcej już ich nie zobaczyła.

Tami, spraw, żeby wróciła do domu.

Radiowóz skręcił na podjazd i stanął. Światła zgasły i samochód okryła gęsta czerń.

W stronę domu szło dwóch umundurowanych funkcjonariuszy.

Michael mocniej ścisnął Jolene w talii. Zapewne myślał o tamtej nocy, kiedy dowiedział się o katastrofie śmigłowca. Ben Lomand przyjechał z wiadomością o podobnej porze.

Starszy stopniem policjant otworzył notatnik z podkładką.

- Zaginęły dzieci?

Zaginione dzieci.

Jolene tak mocno zacisnęła dłonie na barierce, że pobieleły jej kostki. Skup się, kobieto. Przecież znasz Betsy. Dokąd mogłaby pójść?

Gdzieś poza nią padały pytania i odpowiedzi: wygląd, nazwiska, ulubione miejsca, powód, który mógłby je skłonić do ucieczki. Po tym ostatnim pytaniu zapadła cisza, którą przerwało wyjaśnienie Carla.

- Dzisiaj mieliśmy wieczór wspominkowy na cześć mamy Setha. Moja żona zginęła w Iraku. Do Jolene... powróciło jakieś straszne wspomnienie z tamtego miejsca i rzuciła się na podłogę. To wywołało... no, nie wiem... dzieci się chyba przestraszyły. Potem słyszałem, jak Seth mówi do Betsy, że jego mama na zdjęciu nie jest sobą. Później już ich nie widziałem. Była wtedy jakaś ósma trzydzieści, może dziewięta. Nie jestem pewien. Tyle się tutaj działo.

- Carl, powtórz jeszcze raz. - Zelektryzowana Jolene gwałtownie podniosła głowę. - Co Seth powiedział o Tami?

- Był na mnie wściekły, że wystawiłem tamto zdjęcie z Iraku. Wykrzykiwał: „Tak mama nie wyglądała! To nie jest jej uśmiech!”. Powinienem go posłuchać. A Betsy dodała, że jej mama od powrotu z misji ani razu się nie uśmiechnęła.

- Wiem, gdzie oni mogą być - stwierdziła Jolene.

- Gdzie?

- Tam gdzie jest nasze wspólne zdjęcie - powiedziała przez ściśnięte gardło. - Gdzie po raz ostatni widzieli swoje prawdziwe mamy.

- Crab Pot - wymówili chórem Michael z Carlem.

- Ty tam pojedź - Carl zwrócił się do Michaela. - Ja na wszelki wypadek zostanę tutaj.

Oboje z Jolene bezzwłocznie wrócili do domu po

kluczyki i już po chwili siedzieli w samochodzie. W milczeniu jechali drogą wzdłuż zatoki.

-Jeżeli coś im się stało... - Jolene położyła dłoń na udzie Michaela wiedziona nagłą potrzebą bliskości.

-Nawet tak nie mów - przerwał jej błagalnym tonem.

Wjechali na pusty parking przed Crab Potem. Dwie samotne latarnie rzucały kręgi światła na asfalt.

Michael wyskoczył z wozu i podbiegł do restauracji. Jolene pokuśtykała za nim. Drzwi były uchylone, a szyba w sąsiadującej z nimi witrynie rozbita. Odłamki szkła leżały na pobielającym od słońca podeście przed wejściem.

Punkcik światła żarzył się w ciemnym wnętrzu.

Michael powoli otworzył drzwi. Zawiasy zaskrzypiały w proteście.

Seth i Betsy, skuleni przed ścianą, oświetlali latarką wiszącą tam polaroidowe zdjęcie.

- Widzisz ten uśmiech, Betsy? - Jolene usłyszała głos Seta. - To jest ona.

Spłynęło na nią uczucie ulgi, niestety, krótkotrwałe, bo wyparło je poczucie winy. Powinna od samego początku szczerze rozmawiać z dziećmi. Ostrzec je, że wojna mogła odcisnąć ślad na jej psychice, zmienić ją, przy okazji wpływając na życie ich wszystkich. Chcąc chronić dzieci przed nieuniknionym, sprawiła, że dodatkowo cierpiały i zupełnie się pogubiły.

- Betsy? - odezwała się cicho. Córka odwróciła się z zaciętą miną.

- Nie przejmuj się. Zapłacimy za szybę.

- Nie przejmujemy się szybą - uspokoił ją Michael.

- Musiałem stamtąd wyjść - tłumaczył się Seth ze łzami w oczach. - Wszyscy opowiadali te historie o mamie w Gwardii. A ja nie mogłem już tego dłużej słuchać.

Chciałem zobaczyć ją taką, jak zapamiętałem. Jedna Betsy to rozumiała.

- Na tym właśnie polega prawdziwa przyjaźń - podsumowała łagodnie Jolene.

Betsy, nie odrywając od niej oczu, z trudem przełknęła ślinę. Wyciągnęła lekko drżącą rękę z ich polaroidową fotografią.

- Ona nigdy nie wróciła.

- Chodź do mnie, Betsy - poprosiła Jolene.

Ta prośba wyraźnie ją wystraszyła. Uczepiła się rękawa Setha, jakby za chwilę miała ją porwać trąba powietrzna. To zachowanie wydawało się całkiem naturalne po tym, co przeżywali w ostatnim roku. Wszyscy stali się Dorotkami z *Czarnoksiężnika z Krainy Oz* miotanymi tornadem. Kto wie, gdzie wylądują?

- Powiem ci, co zrobimy - odezwała się w końcu Jolene. - Odwieziemy Setha do domu, a potem ty i ja usiądziemy sobie i spokojnie porozmawiamy.

-Znowu będziesz mi wmawiać, że wszystko jest w porządku? - postawiła się Betsy.

- Nie - zaprzeczyła cicho. - Więcej nie będę cię okłamywać.

Załatwienie sprawy wybitej szyby i powrót do domu zajęły im mniej więcej godzinę. Jolene przez cały czas dźwięczała w uszach rada Keitha: „Wróć do ludzi, którzy cię kochają”. Tak, najwyższy czas, lecz szczerze mówiąc, bardzo się tego bała.

Kiedy odjechał radiowóz, a Carl z Sethem zniknęli w domu, Jolene odwróciła się do Betsy, która owinięta pledem, stała na końcu werandy.

- Czy teraz możemy porozmawiać?

Dziewczynka skinęła potakująco głową, ale nie wyglądała na zachwyconą.

Jolene wzięła ją za rękę i zaprowadziła do dziennego pokoju. Przed kanapą Betsy wyrwała dłoń i nie usiadła razem z matką. Michael ucałował je obie i skierował się na piętro.

Słyszały jego kroki na schodach, a potem skrzypienie desek podłogi na górze. Zostały same.

- Co chcesz powiedzieć? - odezwała się Betsy, uparcie stojąc. Policzki miała jeszcze zaczerwienione z zimna, a oczy przybrały czujny wyraz. Pierwszy raz Jolene zauważyła u niej delikatne kolczyki z różowymi perełkami.

- Przekłułaś uszy? - zdziwiła się.

- Byłam ciekawa, kiedy wreszcie zauważysz. Ale żeby dostrzec taki drobiazg, trzeba na tego kogoś patrzeć.

- Wiem, ale...

- Ciebie nie było. A ja mam trzynaście lat. - Weszła matce w słowo, przypominając o straconym czasie i o dzielących je problemach. Gdy ona była w Iraku, życie toczyło się dalej, Michael przejął jej rolę, rozwiązywał problemy i prowadził dom. Nigdy nie chciała, żeby cokolwiek rozdzieliło ją z dziećmi, a jednak tak się stało; w pewnym sensie je porzuciła i córka nie potrafiła jej tego wybaczyć.

- Nie - przyznała Jolene. - Nie było mnie. I bardzo tego żałuję, Betsy.

- Wiem, że żałujesz.

- To za mało. A co by cię zadowoliło? Betsy uciekła spojrzeniem w bok.

- Nie chcę ciągnąć tej rozmowy.

- Chodź do mnie, skarbie - zachęciła ją łagodnie Jolene.

Betsy sztywno postąpiła parę kroków.

- Bliżej - poprosiła.

Dziewczynka odmówiła potrząśnięciem głową. - Jesteś na mnie zła za wyjazd i masz... żal o to wszystko, co się działo.

- Nieważne. - Betsy wzruszyła ramionami.

Jolene patrzyła córce w oczy, chociaż malujący się w nich ból był dla niej torturą.

- Wiem, że nie jestem taką mamą, jaką zapamiętałaś i jaką chciałabyś mieć. Zasłużyłam na twój gniew. Nie za wyjazd na wojnę, lecz za to, co się ze mną działo po powrocie. - Podniosła się z kanapy i starając się nie utykać, podeszła do Betsy i zamknęła dłoń na jej ciepłej, miękkiej ręce. - Przykro mi, jeśli cię wystraszyłam czy zawstydyłam.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Przeczytałam Sethowi list od jego mamy. Ty też taki napisałaś?

Jolene chciała zaprzeczyć: nie, absolutnie nie, bo wiedziała, że wrócę, lecz postanowiła, że kończy z udawaniem i owijaniem swojego życia w ozdobny papier.

- Tak. To było bardzo trudne. Świadomość, że mogę więcej nie zobaczyć ani ciebie i Lulu, ani taty, wydawała się ponad siły.

- Co w nim było?

- Och, mnóstwo różnych historii i rad. Próbowałam ci powiedzieć o wszystkim, co powinnaś wiedzieć, gdyby mnie zabrakło. Napisałam o moim dzieciństwie, o miłości i o tym, jak zmieniło mnie macierzyństwo. A także o tym, jak trudno mi było rozstać się z wami. Napisałam to wszystko, co powinnam ci była powie-

dzieć przed wyjazdem. - Z napięciem popatrzyła córce w twarz. - A także, że kocham cię na tysiąc różnych sposobów.

-Nadal tak jest?

Jolene łzy napłynęły do oczu. Przeszło jej przez myśl, że długo nie zapomni wymowy tego pytania.

- Zawsze będę cię kochać, Elizabeth Andreo Zar-kades. Być może czasem cię skrzywdzę, wprawię w zakłopotanie, nakrzyczę na ciebie, lecz nigdy, przenigdy nie przestanę cię kochać. Jesteś moją pierworodną. Gdy po raz pierwszy wzięłam cię na ręce... - głos jej się załamał, łzy potoczyły się po policzkach - .. .byłam nieprzytomna z miłości.

Betsy rzuciła jej się na szyję. Ten spontaniczny, niespodziewany gest omal nie pozbawił jej równowagi. Mocno przytrzymała się córki, wdychając zapach poskręcanych w pierścionki, jasnych włosów i czując na piersi jej szloch.

Po chwili Betsy odsunęła się od niej, zadzierając głowę. Jej ładna twarzyczka w kształcie serca lśniła od łez.

- Kocham cię, mamó. Do księżyca i z powrotem. Żałuję, że ci tego nie powiedziałam przed twoim wyjazdem.

Dopiero teraz, w tej sekundzie, do Jolene dotarło, że właśnie na te słowa czekała.

-Ja o tym wiedziałam, skarbie - powiedziała, ponownie ją przytulając.
- Zawsze wiedziałam...

Gabinet psychiatry mieścił się w niewielkim, podobnym do klocka domu z połowy dwudziestego wieku przy hałaśliwej Aurora Avenue. Michael zaparkował wóz obok elektrycznego samochodu.

- Gotowa na to?

- Szczerze? Nie.

- Odpowiedź jak najbardziej prawidłowa. - Uśmiechnął się, chcąc dodać jej odwagi.

Jolene wysiadła. W tygodniu po wspominkowym wieczorze Tami jej stan wyraźnie się poprawił. Rozmowa z Betsy, odbudowa związku z Michaeliem i powrót uśmiechu na buzię Lulu - to wszystko razem bardzo ją wzmocniło. Wino poszło do zlewu, a nasenne tabletki w odstawkę. Niemniej czekała ją jeszcze długa droga. Nawet w ramionach Michaela zdarzało jej się budzić z krzykiem ze snu o pikującym helikopterze czy poranionej załodze. Czasem nieruchomiała nagle tam, gdzie akurat stała - w kuchni, w łazience, na werandzie - przygnieciona dojmującym poczuciem straty. Może smutek miał odtąd już zawsze jej towarzyszyć i na dobre zagościł w jej duszy, a może wcześniej też tam był, lecz ona nie pozwalała mu się ujawnić. Jednego była pewna:

musi wejrzeć głęboko we własną psychikę, aby dowiedzieć się, jak wrócić z wojny zarówno w sensie przenośnym, jak i dosłownym. Jak wyjść z zakrętu, na którym się znalazła, i ułożyć sobie życie. Odkąd porzuciła picie, wizja nowej drogi życia rysowała się bardziej wyraźnie.

W salonie czekał na nich starszy pan. Był wysoki i szczupły. Miał siwą, niesforną czuprynę i kwadratową twarz. Wyszedł im na spotkanie ubrany w czarne obszerne spodnie, pomarańczowe chodaki i T-shirt z nadrukiem twarzy rockmanów z Grateful Dead.

- Cześć, Jolene - przywitał ją. - Nareszcie mam okazję cię poznać.

To ma być jej lekarz - pomyślała.

- Och - sapnęła, zaskoczona.

Uśmiechnął się w odpowiedzi na tę niezbyt fortunną reakcję.

-Jestem Chris Cornflower. Jak widzę, Michael cię nie przygotował.

-Nie wiem, jak można kogokolwiek przygotować na pierwsze spotkanie z tobą. - Michael parsknął śmiechem. - To dość osobliwe doświadczenie.

- Podobno jesteś weteranem z Wietnamu - odezwała się Jolene.

- Tak. I jeńcem wojennym. - Wyciągnął rękę i uścisnął jej dłoń. - Cieszę się ze spotkania, pani chorąży.

- Nie jestem już tamtą osobą.

- Naszym zadaniem jest właśnie odkrycie, kim teraz jesteś. Wejdziemy do gabinetu?

Z wahaniem obejrzała się na Michaela, a on zachęcająco skinął głową z uśmiechem.

- No dobrze - zgodziła się.

Podążyła za Chrisem do małego, sympatycznie urządzonego gabinetu na tyłach domu. Ucieszyło ją, że nie widzi tam kozetki.

- Nie mam pojęcia, jak się do tego zabrać - wyznała, siadając w wygodnym fotelu niedaleko jego biurka.

- Mam w tym pewne doświadczenie. - Uśmiechnął się do niej. - Możemy zacząć od dzieciństwa, pobytu w Iraku, od twojej przyjaciółki czy przyszłości w cywilu. Od czegokolwiek, o czym chciałabyś najpierw rozmawiać.

Zaśmiała się nerwowo.

- Skoro tak to ma wyglądać, pewnie zajmie nam to trochę czasu.

- Tylko tyle, ile będziesz chciała, Jolene. Ty tutaj dowodzisz. Ja jestem szeregowcem. Ty prowadzisz, a ja idę za tobą.

Oboje byli świadomi, że ona boi się tej rozmowy. Raz już pozwoliła, aby strach był jej przewodnikiem, i nic dobrego z tego nie wynikło.

- Ludzie widzą problem w amputacji nogi. Ale ja straciłam o wiele więcej. Nie mam pojęcia, co ze sobą zrobić i jak ma dalej wyglądać moje życie. Byłam żołnierzem. Lubię konkretne odpowiedzi.

- Dlaczego wybrałaś służbę w wojsku?

- Miałam osiemnaście lat, kiedy zostałam sama, bez grosza przy duszy. Wojsko dało mi poczucie przynależności.

- Zastąpiło rodzinę.

- Tak - przyznała po chwili milczenia.

- Ale do takiej rodziny łatwo należeć, prawda? Każdym zachowaniem i każdą sytuacją rządzą reguły. W tej rodzinie nie ma miejsca na zranione uczucia i złamane serca. Wiesz, kim jesteś i co masz robić. W przypadku kłopotów możesz liczyć na swoją jednostkę. Nie zostawiają cię samej sobie.

Jolene powoli opuszczało napięcie. On rozumiał. Może wreszcie... w końcu będzie w stanie szczerze

mówić o bolesnych wydarzeniach z przeszłości, a jeżeli otworzy się przed nim, łatwiej jej będzie rozmawiać z Michaeliem i może rany zaczną się zablźniać.

- Mogę cię o coś zapytać?

- Jasne.

- Byłeś jeńcem. Musiałeś wiele wycierpieć. Skąd wiedziałeś, że już wyszedłeś na prostą?

- Trafne pytanie. Po powrocie do domu przez wiele lat czułem gniew. Wiele straconych lat. Chyba zrozumiałem, że zaczynam dochodzić do siebie, kiedy byłem w stanie pomóc komuś innemu.

Ona wiedziała, jak łatwo gniew, żal nad sobą, smutek czy poczucie winy wciągają człowieka pod powierzchnię. Przyszły jej na myśl listy, które przychodziły do niej do centrum rehabilitacyjnego, a szczególnie tamten jeden od Sarah, młodej marines, która też utraciła nogę. Pozostała obojętna na jej błaganie o pomoc.

- Kiedyś chętnie pomagałam ludziom.

- Nadal możesz to robić, Jolene.

- No dobrze - powiedziała powoli. - Zacznijmy od koszmarów...

W drugi piątek grudnia Lulu wstała wcześniej niż zwykle i prosto z łóżka podbiegła do okna.

- Nie ma śniegu - jęknęła żałośnie, przyciskając nos do szyby.

- Może Bozia czeka do Gwiazdki - pocieszała ją Jolene. - Fajne byłoby mieć białe Boże Narodzenie, prawda?

Lulu z rezygnacją zwiesiła ramiona i odwróciła się od okna.

- Liczyłam, że nie będzie dziś lekcji.

- Przecież lubisz chodzić do szkoły.

- Tak - zgodziła się smętnie. - Ale chciałam dzisiaj pojechać z tobą.

Jolene zagarnęła swoją młodszą latorośl w ramiona i pocałowała w policzek.

- Ubierz się, kotku. - Poklepała ją po pupie, uwalniając z objęć. - Musisz trochę poczekać, żeby zobaczyć moją nową nogę. Niespodzianki są miłe, no nie?

- Chyba tak - odpowiedziała Lulu bez przekonania.

- A teraz chodźmy obudzić twoją siostrę. Wiesz, jaka się robi nieznośna, jeśli rano musi się spieszyć.

Razem zajrzały do sypialni Betsy i już po chwili zeszyły we trójkę na parter.

Dzisiaj przypadła owsianka.

- Capitan Crunch - zdecydowała Lulu, wdrapując się na krzesło. - Bo to specjalny dzień.

Jolene uśmiechnęła się do córek.

- Masz rację, to szczególny dzień.

Michael lekko chwiejnym krokiem zjawił się w kuchni chwilę po nich. Włosy miał wzburzone i nieco mętny wzrok. Cień zarostu na policzkach nadawał mu wygląd rockmana, który Jolene uwielbiała.

Podawała mu filiżankę z kawą.

- Dzięki. - Przyjął ją z wdzięcznością.

- Wyglądasz na znużonego - zauważyła Jolene, lekko ocierając się o niego. Michael oparł się o szafkę, odstawił filiżankę i kładąc dłonie na jej pośladkach, przyciągnął ją do siebie.

- Jestem znużony. - Uśmiechnął się do niej. - Ostatnio mało sypiam.

- Fuj - skomentowała Betsy ze swojego miejsca przy stole.

- Co: „fuj”? - chciała wiedzieć Lulu, rozglądając się (po kuchni.

Jolene parsknęła śmiechem i wywinęła się z jego uścisku całkiem zgrabnym piruetem na topornej sztucznej stopie. Potem naląła dziewczynkom soku

pomarańczowego i zabrała się do pakowania drugich śniadań.

Michael cmoknął córki na do widzenia i wrócił na górę wziąć prysznic. Jolene, maskując podniecenie, sprawnie przechodziła przez rutynowe czynności poranne.

Cały tydzień starała się nie przesadzać z oczekiwaniami związanymi z tym dniem. Powtarzała sobie w kółko, że nie powinna się dawać ponieść nadziei ani za dużo chcieć, i - szczerze mówiąc - aż do dzisiejszego ranka całkiem nieźle sobie z tym radziła.

- Powodzenia, mamuś - życzyły córki po kolei, wychodząc z ciepłego domu i biegnąc mokrym podjazdem do podjeżdżających szkolnych autobusów. Jolene z werandy machała im na pożegnanie, dopóki żółte pojazdy nie zniknęły za zakrętem.

- I jak? - Michael, stając za nią, przytrzymał ją za ramiona i pocałował w kark. - Gotowa? Odwróciła się do niego.

- Od miesiący.

- No to się zbieramy.

Bez dalszej zwłoki wsiedli do samochodu i ruszyli do centrum. Jolene przez całą drogę siedziała wpatrzona w mokrą od deszczu szybę. W tej chwili nadzieja była jak winda, która zerwała się z lin. Jolene czuła, jakby leciała w dół wraz z nią. ^ W holu natknęli się na Conny'ego.

- Patrzcie tylko, jak sprawnie poruszasz się na tym rupieciu.

- A mówiłeś, że ta proteza wcale nie jest taka zła.

- Kłamałem. - Wyciągnął do niej rękę. - Chodźcie. We trójkę ruszyli jasnym, białym korytarzem do pracowni protetycznej.

Jolene poczuła wszechobecny zapach plastiku. Wszędzie na ścianach wisiały sztuczne stopy, ręce i nogi.

- Przyszła Jolene Zarkades! - zawołał Conny w stronę pokoju na zapleczu.

Chwilę później kobieta o azjatyckich rysach wyniosła stamtąd jej protezę.

Jolene patrzyła na nią z niemym zachwytem. Noga była zgrabna, prawie ładna, ze stopą, na którą spokojnie pasowałby pantofel na wysokim obcasie.

Conny odebrał protezę od Azjatki, uklęknął przed Jolene, zdjął ciężką, toporną protezę i odrzucił ją na bok. Ponieważ w ostatnich tygodniach z kikuta zeszła opuchlizna, Jolene musiała dokładać kolejne warstwy żelowych skarpet, aby pod protezą nie było luzu. Rehabilitant ściągał je teraz po kolei i układał na stertę. Zostawił jedynie tę ostatnią, wygładził fałdki i wsunął kikut w lej protezy.

-Ha!

Jolene pokiwała głową z niedowierzaniem. Oczywiście noga nie do końca wyglądała naturalnie, ale nie było źle. Postąpiła krok do przodu, zdumiona łatwością, z jaką się porusza, i znikomą wagą protezy.

- Prawie jakbym odzyskała nogę - zachwycała się, patrząc na Michaela błyszczącymi oczami. - Na tym nawet da się tańczyć - Odwróciła się do Conny'ego. -Mogę zacząć biegać?

- Powoli, nie wszystko naraz - łagodnie studził jej zapał.

Następną godzinę spędziła z Connym na sali rehabilitacyjnej, a w tym czasie Michael przygotowywał się do rozprawy.

Jolene odkryła, że może nawet przeskakiwać z nogi na nogę. Od dziecka tego nie robiła. Teraz skakała jak najęta, śmiejąc się przy tym tak często i głośno, że inni pacjenci zapewne musieli brać ją za niespełna rozumu, lecz jej to w ogóle nie przeszkadzało.

- No cóż, Jolene - zaczął Conny, żegnając się z nią

pod koniec dnia. - Cieszę się, że miałem okazję cię poznać.

Wzruszenie ścisnęło ją za gardło. Jak zdoła podziękować temu człowiekowi, który przez cały czas tak ją wspierał? Podeszła do niego, prawie nie utykając i w ogóle nie czując bólu.

- Conny, ty mnie uratowałeś. Bez ciebie...

-Wszystko zawdzięczasz wyłącznie sobie, żołnierko. Masz serce wojowniczkę. - Pochylił się i pocałował ją w policzek. - Też będę za tobą tęsknił. Tylko mi się tu nie rozklej.

- Nigdy nie należałam do dziewczyn, które mają łzy na końcu nosa - oznajmiła, patrząc na niego lśnącymi oczami.

- Życie nas zmienia; to jedno jest pewne. Przyglądała mu się jeszcze przez chwilę, myśląc przy

tym, jak bardzo jest podobny do kobiet i mężczyzn z jej jednostki. Liczyło się wykonanie zadania, a nie podziękowania. Pokiwała głową, wyrażając spojrzeniem to wszystko, co chciałaby mu powiedzieć, a potem wzięła Michaela za rękę i wyszła na dwór.

Strugi deszczu lały się z nieba, woda chlupała im pod stopami. Jolene zaskoczyła samą siebie; chowając głowę w ramiona, puściła się biegiem do samochodu, pociągając za sobą męża.

Puściła się biegiem.

Może nie wyszło to idealnie, bo kolano nie do końca zginało się jak należy, lecz utrzymała się na nogach. Gdy wsiadła do samochodu, z włosów kapały kropelki wody.

- No, pani Zarkades, jaka sexy przebieżka na nowej nodze.

- Zobaczysz, każdy będzie chciał taką mieć.

Nie mogła się nacieszyć nową protezą. Co chwila

podciągała nogawkę spodni i uśmiechając się, patrzyła na nią z podziwem.

Michael zatrzymał się przy skrzynce pocztowej, wyjął listy i skręcił na podjazd.

- Wrócisz do domu na kolację? - spytała, odwracając się do niego, kiedy wjechali do garażu.

Podał jej pocztę.

- Nawet wcześniej. A może się wybierzemy do tej restauracji nad mariną?

- Świetnie.

Przechyliła się, cmoknęła go w policzek, wysiadła z auta i dosłownie podskakując, weszła do domu.

W środku panowała cisza. Zrobiła sobie filiżankę gorącej herbaty i zaczęła przeglądać korespondencję. Znalazła tam kolejny list od Sarah Merrin, młodej marines, która straciła nogę w Iraku.

Usiadła przy stole i otworzyła kopertę.

Pani Chorąży,

Rozumiem, dlaczego mi Pani nie odpisała. Zapewne czuje się Pani tak samo gówniano jak ja.

Nadal tkwię w Walter Reed. Mam ochotę przemalować ściany, ho zdaje się, że długo tu jeszcze pobędę. Musieli mi amputować drugą nogę. Doszło do zakażenia.

Jak Boga kocham, nie bardzo wiem, po co to mówię. Jak Pani daje sobie z tym wszystkim radę? Chyba tylko tyle chciałabym wiedzieć. Wmawiają mi, że jeszcze będę chodzić, a nawet jeździć na łyżwach, lecz według mnie to jedna wielka bzdura. A mój mąż podczas odwiedzin siedzi jak na rozżarzonych węglach.

Być może jakaś dobra rada, mądre słowa podniosłyby mnie na duchu. Pozdrawiam, Sarah Merrin

Jolene długo siedziała, wpatrzona w list,

W połowie grudnia, w zimny, deszczowy dzień, Jolene z Michaeliem wsiedli do samolotu do Waszyngtonu i zajęli miejsca w trzecim rzędzie.

Michael usadowił się wygodnie w niebieskim skórzanym fotelu i zapiął pas.

Jolene, odwrócona do niego plecami, obserwowała przez owalne okienko ludzi z obsługi naziemnej. Poznał po sposobie, w jaki zaciska usta, że odezwała się w niej tęsknota za dawnym życiem: za wojskiem, za lataniem, za tym, kim była i co robiła.

Wyciągnął rękę i uściśnął jej dłoń. Ostatnio rzadko się smuciła, lecz zdarzało jej się czasem popadać w melancholię. Zegarek, prezent urodzinowy od niego, połyskiwał na jej nadgarstku. Fasetowane kryształowe szkiełko dziwnie kontrastowało z prostą, ślubną obrączką. Poczul się zakłopotany, kiedy pierwszy raz zobaczył go na jej ręce. Zaproponował wtedy, że go wymieni.

- Powinienem pomyśleć o takim prezencie znacznie wcześniej - wyznał. - Kiedy jeszcze się między nami układało. Powinienem wybrać się z tobą na tamtego urodzinowego grilla.

- Stara sprawa - odparła z uśmiechem. - Oboje się zmieniliśmy, i Bogu dzięki.

To prawda. Wszyscy się zmienili. A najbardziej Jolene. W ostatnich kilku tygodniach nauczyła się, podobnie jak on, nie ukrywać smutku.

Teraz odpowiedziała uściskiem na jego uścisk. Silniki samolotu zahuczały, wprawiając fotele w lekkie drżenie. Prawdopodobnie - pomyślał Michael - wspomina

teraz, jak wsiadała do helikoptera, wkładała hełm i robiła przegląd przedstartowy.

Samolot odjechał od rękawa, pokołował na pas startowy i nabierając prędkości, oderwał się od ziemi i wzbił w powietrze.

Błękit przesłonił okna.

-Opowiadałam ci kiedyś o kwitnących śliwach? -spytała cicho. - Widzieliśmy je, wylatując z bazy. Przez niebieskie chmury prześwitywało coś w rodzaju różowej mgły. Piękny widok.

Zdumiało go, jak spokojnie to zabrzmiało w jej ustach.

- Chcę zabrać dziewczynki na grób ojca - odezwał się po chwili.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Nie byłeś tam od pogrzebu.

- Zdaje się, że nie ja jeden trudno godzę się z losem.

- Taak. - Westchnęła. - Nie otworzyłam jeszcze listu Tami.

-Wiem. Przytuliła się do niego.

- A tak na marginesie, w ubiegłym tygodniu rozmawiałem z Benem Lomandem - rzucił od niechcienia.

- Tak? - Poderwała się.

- Zamierzałem z tym poczekać do świąt, lecz skoro znaleźliśmy się w powietrzu, gdzie ty... No dobra, rozmawialiśmy o twoim lataniu. On nie widzi przeszkód, możesz tam wrócić, skoro masz już tę bajerancką nogę. Wspominał coś o mniejszym helikopterze... ale zapomniałem nazwę, bo składała się z jakichś dziwacznych słów i symboli. Ben chętnie weźmie cię na pokład, gdy tylko będziesz gotowa. Może kiedyś sama będziesz mogła znowu usiąść za sterami. Kto wie?

- Rzeczywiście/kto to wie? - Uśmiechnęła się. - Panie Zarkades, kocham pana.

Jolene wiedziała, że Waszyngton jest miastem pomników. Czytała o różnych miejscach mocno związanych z historią, lecz dopiero teraz, kiedy znalazła się w ruchliwym centrum, pojęła, jak ulice, przechodząc jedna w drugą, zdają się tworzyć opowieść. Na spłachetkach ziemi przykrytej śniegiem, na ławkach, na marmurowych posągach, wszędzie widziała tabliczki upamiętniające jakieś wydarzenie. Zaskoczył ją także charakter miasta. Spodziewała się drapaczy chmur jak w Nowym Jorku, tymczasem tutaj dominowała niska zabudowa bez kanionów z betonu, w których przechodnie czuli się mali jak mrówki.

Nowy Jork epatował wielkością, zmuszając turystów do patrzenia z podziwem na ludzkie osiągnięcia. Natomiast Waszyngton rozumiał, że o potęgę człowieka nie decydują beton i stal, lecz idee i mądre decyzje.

- Gotowa? - chciał wiedzieć Michael.

Odwróciła się od hotelowego okna wychodzącego na ruchliwą ulicę.

Za Michaelem, nad komodą we francuskim stylu, wisiało lustro oprawione w złoczone ramy. Widziała się w nim do pasa.

Znowu była żołnierzem, przynajmniej na chwilę, w wyjściowym mundurze, z gładko zaczesanymi włosami pod starannie uformowanym czarnym beretem. Baretki na piersi i dystynkcje przypominały, kim kiedyś była. Prawdopodobnie ostatni raz miała na sobie ten mundur. Miała przejść do rezerwy z powodów zdrowotnych. Niedługo mundur, tak jak jej suknia ślubna, zawiśnie w plastikowym worku gdzieś w głębi szafy i stanie się jedynie pamiątką.

Ten etap życia został zamknięty. Przed nią rysowała się przyszłość pełna nowych możliwości. -Jo?

Uśmiechnęła się.

- Nie przejmuj się. Po prostu ta sytuacja jest trochę dziwna.

Michael podał jej płaszcz i wyszli na ulicę.

Na Constitution Avenue wzięła go za rękę. Całe miasto wydawało się białoszare, a pojedyncze czarne akcenty przypominały grę światłocienia. W Constitution Gardens gałęzie drzew i ławki pokrywała szklista warstewka śniegu.

Minawszy ostatnie bezlistne drzewa, wyszli prosto na Vietnam Vétérans Memorial. Nawet w ten pochmurny, śnieżny dzień czarną granitową ścianę ożywiało odbicie sylwetek ludzi, którzy zapuścili się tutaj mimo mrozu. Zdającą się nie mieć końca ścianę z połyskliwego czarnego kamienia pokrywały wyryte nazwiska żołnierzy, którzy polegli w Wietnamie. Jolene wyciągnęła rękę i dłoń w rękawiczce powiodła po kilku najbliższych. Na ziemi pod murem leżały pamiątki i kwiaty przynoszone przez bliskich.

Ponad pięćdziesiąt osiem tysięcy nazwisk...

Dopiero kiedy Michael ją przytulił, zorientowała się, że płacze. Oparła głowę na jego ramieniu, nie zważając na płatki śniegu osiadające na policzkach i rzęsach.

Mimo że trzęsła się z zimna, długo nie chciała stamtąd odejść.

- W lecie przywiozę tu dziewczynki - postanowiła.

- Dobry pomysł, ale teraz zbierajmy się stąd, bo nie czuję już palców u rąk.

Skinęła głową na zgodę i ruszyli dalej. Przed nimi majaczył w oddali pośród szarości i śniegu pomnik Abrahama Lincolna. W wiązkach złotego światła

z punktowych reflektorów marmurowa kolumnada połyskiwała perłowo. „Dom wewnątrznie podzielony ostać się nie może”.

Michael zatrzymał taksówkę.

- Walter Reed - rzucił do kierowcy, rozcierając dłonie w rękawiczkach.

Jolene zapatrzyła się na pokryte bielą miasto przesuujące się za oknem.

Zanim zajechali przed wejście ogromnego centrum medycznego, sypnął gęsty śnieg.

Niewiele widząc, weszła do holu pełnego zaaferowanych ludzi. Nagle odżyło wspomnienie: leży przymocowana pasami do wózka, patrzy na białe, rażące światła i tłumiąc płacz i krzyk, dopytuje się o załogę, dopóki nie traci przytomności. Przeszył ją tamten potworny ból. Ból gnieźdzący się wyłącznie w głowie.

Michael uściskał dłoń żony. Tym dotykiem przywołał ją do rzeczywistości; jest tutaj, stoi, najgorsze już mają za sobą.

Zsunęła z ramion ciężki wełniany płaszcz, podała go mężowi i stała przez chwilę w wyjściowym mundurze z naszytymi baretkami i dystynkcjami, świadectwem dorobku wielu lat, znowu pewna siebie i wyprostowana. Nieważne, że spódnica odsłaniała to, co straciła. Mundur mówił o tym, kim była przez ponad dwie dekady. Mundur, który z dumą nosiła.

-1 jak? - zwrócił się do niej Michael.

- W porządku. - Uśmiechnęła się do niego.

- Zaczekam tutaj na ciebie. -Dobrze.

Puściła jego rękę i podeszła do dyżurki.

- Pani należy do rodziny? - zapytała pielęgniarka.

- Nie.

- Czy pacjentka pani oczekuje?

-Nie. Moja wizyta ma być niespodzianką. Ale wszystko zostało uzgodnione z dyrekcją szpitala.

Pielęgniarka przyglądała jej się przez chwilę z namysłem, po czym skinęła głową.

- Pokój trzysta dwadzieścia sześć. W skrzydle protetycznym. Ma pani szczęście. Ta pani wychodzi za dwa dni.

Jolene podziękowała i podążyła we wskazanym kierunku.

Drzwi do pokoju były otwarte.

Jolene poruszała się pośród krzątającego się personelu z wprawą kogoś, kto dobrze poznał miejsca takie jak to.

Przed drzwiami zatrzymała się na moment, zapukała i weszła, nie doczekawszy się zaproszenia.

Na łóżku leżała skulona kobieta. W jej spojrzeniu odbijało się tak dobrze znane Jolene uczucie osamotnienia zmieszanego z gniewem i strachem. Niewiele jest na świecie miejsc, gdzie człowiek czuje się tak bardzo pozostawiony sam sobie jak w szpitalnej sali. Nawet obecność bliskich nie pomaga uwolnić się z budzącego lęk wrażenia izolacji.

- Sarah Merrin? - odezwała się, podchodząc bliżej.

- To, co z niej zostało - padła odpowiedź.

Jolene serce ścisnęło się z bólu; ta kobieta, a właściwie dziewczyna, mogła mieć najwyżej dwadzieścia lat. Widziała spłaszczony pled tam, gdzie powinien wypuklać się na nogach.

- Nadal jesteś Sarah, choć może tak się nie czujesz. Masz wrażenie, że część ciebie została gdzieś tam, prawda?

Sarah uniosła głowę znad poduszki. Boże, jaka ona młoda.

- Znam cię?

Jolene powoli przeszła przez pokój, uważając, żeby jak najmniej utykać. Na moment przeniosła się w czasie i stała się tamtą kobietą w szpitalnym łóżku, której młoda, pogodna marines Leah Sykes chciała dać nadzieję, udowadniając, że można całkiem swobodnie poruszać się na protezach. Wtedy, kompletnie załamana, nie doceniła tego gestu. Dopiero czas pokazał, jak ważne jest takie wsparcie.

Stała przy łóżku Sarah.

Dziewczyna zerknęła na protezę, a potem przeniosła wzrok na twarz.

-Jestem Jolene Zarkades. Dostałam od ciebie list. Właściwie dwa. Wybacz, że wcześniej się nie pokazałam. Jakiś czas byłam... załamana i wkurzona.

- Chorąży Zarkades?

- Obecnie tylko Jolene.

Oczy dziewczyny wypełniły się łzami.

- Wiesz, jak kiedyś biegałam? - wyznała cicho Jolene. - Może znowu będę mogła. Zamówiłam taką specjalną, bardzo nowoczesną metalową protezę. Podobno można na niej dogonić wiatr.

- Taak. Co chwila ktoś wciska mi taki kit. Ludzie mówią: „Ach, to tylko nogi. Dziękuj Bogu, bo mogło być gorzej”. Nie mówiliby takich bzdur, gdyby sami zostali z kikutem. Albo z dwoma.

- Nie będę kłamać, to rzeczywiście duża strata. Ale odnajdziesz też nowe rzeczy.

Sarah z westchnieniem opadła na poduszkę.

-Dzisiaj ma się zjawić Teddy. Wrócił z objazdu i właśnie czekam na niego. Ma facet szczęście, co? Kiedy ostatnio tu był... ledwo się przemógł, żeby na mnie spojrzeć. Rozumiesz, co mam na myśli?

Jolene nie zamierzała jej pocieszać pustymi frazesami. Wiedziała, że każdy sam musi się uporać z własnymi problemami. Nikt tej kobiety w tym nie wyręczy. Nie mogła jej powiedzieć, jak ma ułożyć sobie życie, jak radzić sobie z kalectwem czy postępować w małżeństwie. Pozostawała nadzieja, że ta dziewczyna, ta żołnierka zapamięta ją stojącą pewnie na nogach, tak jak ona zapamiętała tamtą kobietę na protezach, która wiele miesięcy temu odwiedziła ją w szpitalu w Niemczech.

- Postoję przy tobie, dobrze? - spytała. - Zostanę tu jakiś czas.

- Czuję się taka samotna - poskarżyła się Sarah głosem jak u dziecka.

- Teraz nie jesteś samotna - zauważyła Jolene, stając bliżej ściany.

Słuchała opowieści dziewczyny o dzieciństwie w Wirginii Zachodniej, o chłopaku, w którym się zakochała jeszcze w średniej szkole, i o strachu, że resztę życia spędzi na wózku.

Sama niewiele się odzywała. Słuchała, przytakiwała ruchem głowy i cały czas stała. Nie przysiadła nawet, kiedy zaczął jej dokuczać ból w stawie biodrowym.

Wieczorem do sali zajrzał Michael.

Uśmiechnął się, widząc ją stojącą przy łóżku. A jej przyszedł na myśl list, który napisała do niego wiele miesięcy temu. Tamtych kilka prostych słów: „Kochałam cię od początku do końca”. Nic dziwnego, że nie zdobyła się na nic więcej. Bo cóż więcej zostało do powiedzenia?

Musiała pojechać na wojnę i stracić prawie wszystko, żeby odnaleźć to, co się naprawdę liczyło.

- Jestem dumny z ciebie - wyszeptał bezgłośnie jej

mąż, a ona poczuła, jak w jej sercu otwiera najgłębsze, najmniej dostępne miejsce, które przez całe lata należało wyłącznie do niej.

Łzy wzruszenia zasnuły jej oczy. Poczowała, jak spływając po policzkach, zmywają wieloletnie rozgoryczenie i żal. Ocierała je wierzchem dłoni, dopóki nie stały się tylko wspomnieniem.

Epilog

Nadeszło lato, jak zawsze rozświetlając świat i budząc nowe nadzieje. Jak za przekręceniem wyłącznika rozbłyska słońce, przeganiając chłodną, deszczową wiosnę. Kamienista plaża nad Liberty Bay parzy w stopy, poczerńnięte od wilgoci deski pomostów nabierają srebrzystej patyny, znacząc szlaki pośród wysokich wydmowych traw. Ptaki, nawołując się, nurkują ponad grzbietami modrych fal. Jolene siedzi w wyplatany fotelu na ich *małym pomoście i przygląda się*, jak Michael z Carlem uczą Lulu puszczać latawca. Betsy z Sethem biegną za nim, śmiejąc się i wymachując rękami, a Mila im wszystkim sekunduje. Powietrze pachnie wodorostami i węglem drzewnym żarzącym się w grillu.

- Popatrz, mamuś! - słyszy co chwila wołanie. Podnosi wtedy głowę i macha do nich z uśmiechem. Naturalnie nie ma problemu z chodzeniem po plaży. Na nowej protezie może robić prawie wszystko - biegać, podskakiwać i uganiać się za swoją pięciolatką. Czasami nawet chodzi w szortach, prawie nie czując skrępowania.

Siedzi tutaj, oddalona od nich wszystkich, bo musi się z czymś uporać... Z czymś, co długo odwlekała. Nie

może tego zrobić z nimi, lecz bez nich... wcale nie jest łatwiej.

Chichot Lulu dźwięczy w powietrzu.

Jolene podnosi z kolan list. Trzyma go w drżącej dłoni i patrzy na swoje imię napisane ręką przyjaciółki.

W końcu. Miesiące terapii na tyle ją wzmocniły, że słowa nie powinny jej załamać. Przynajmniej ma taką nadzieję.

Rozrywa kopertę. Klej z początku stawia opór, a potem puszcza. List jest napisany na zwykłym papierze do drukarek. Oczyma duszy widzi Tami w tamten ostatni dzień przed tragicznym lotem. Jej rzeczy piętrzą się na łóżku, brezentowa torba leży na podłodze, a ona kręci się jak fryga po kontenerze. Zapewne szukała kawałka papieru, na którym dałoby się pisać, i niewątpliwie klęła przy tym, zła na siebie, że zapomniała kupić papeterię. Cała Tami; zawsze pamiętała o ważnych sprawach, a drobiazgi często jej umykały.

Jo

Jeżeli to czytasz, nie poszło mi tak, jak liczyłam. Zabawne, nigdy nie myślałam, że kiedyś umrę. Wyobrażałam sobie, że Ty i ja będziemy żyć bez końca. Widzę nas, jak wiecznie młode, siedzimy na pomoście i patrzymy na nasze dorastające dzieci. Mam nadzieję, że właśnie tam teraz jesteś. Na pomoście, w swoim ulubionym fotelu, przy grillu. A Michael i Carl bawią się na plaży z dziećmi. Czy obok Ciebie stoi moje puste krzesło?

Jolene podniosła wzrok na czyste, błękitne niebo. Znad wydm wyłonił się orzeł. Zanurkował głęboko w modrą wodę, wzbił się w powietrze ze srebrzystym łososiem w dziobie i wlatując ponad las, opryskał Jolene mgiełką wody.

Nie wyplakuj oczu z żalu za mną. Oczywiście, że będzie Ci mnie brakować. Mnie też Ciebie brakuje, gdziekolwiek teraz jestem. Zresztą, co tu dużo mówić, od chwili gdy się poznałyśmy, wiemy o sobie wszystko, co istotne i ważne. I właśnie na tym chyba polega prawdziwa przyjaźń: stajemy się częścią tej drugiej osoby. A więc masz tę część mnie w sobie.

Tylko mi się nie rozklejaj! Jestem pewna, że łzy, które wylałaś, wypełniłyby całą zatokę. Wiem, że ja bym po Tobie płakała.

Boże, Jo, udało nam się, prawda? Tak przynajmniej myślę teraz, w ten słoneczny dzień, kiedy kazano mi myśleć o śmierci.

Najważniejsza rzecz: zaopiekuj się moim maleństwem. Moim. Sethem. Trudno mi nawet przychodzi napisać jego imię. Cholerne pióro trzęsie mi się w ręce. Dopilnuj, aby poznał prawdziwą mnie. Są takie rzeczy, które Ty jedna o mnie wiesz. Opowiedz mu o moim specyficznym poczuciu humoru, o tym, jak się poryczałam, gdy po wybiciu piłki zajął pierwszą bazę w Little League, i o moich marzeniach, jakie z nim wiązałam. Niech wie, że byłam dla niego nie tylko matką, ale także przewodniczką. Powiedz mu też, że czasem za głośno się śmiałam, a Ty mówiłaś, że popiskuję wtedy jak foka. Zrób wszystko, żeby mnie pamiętał. To moja ostatnia prośba do Ciebie.

I jeszcze jedno; zadbaj o swoje sprawy. Michael Cię kocha, a Ty kochasz jego. Mam nadzieję, że tego nie spieprzyłaś. Jeżeli tak, będę Cię straszyć po nocach.

Wiem, że od najmłodszych lat towarzyszył Ci w życiu smutek. Widziałam, jak z nim walczyłaś i wygrywałaś. Zawsze byłaś twarda. Może teraz jest trudniej. Może powinnaś trochę odpuścić. Wszyscy czasami bywamy smutni. Teraz, kiedy myślę o tym, że być może będziesz czytać ten list, jest mi potwornie smutno. Jeśli do tego dojdzie, wiedz, że chcę widzieć stamtąd, z góry, jak latasz, biegasz, śmiejesz się i żyjesz pełnią życia.

Nie bój się niczego, pilotko, bo nawet z tego miejsca masz mnie na szóstej.

Twoja na zawsze,

T.

* * *

Poskładała list na trzy części i wsunęła go z powrotem do koperty. Wiedziała, że jeszcze ze sto razy go w życiu przeczyta, aby odświeżyć pamięć.

Na cudowny ułamek sekundy na pustym krześle obok usiadła Tami. Śmiała się, odrzucając głowę do tyłu i mówiąc coś, czego Jolene nie dosłyszała.

- Mamo, popatrz! - woła Betsy, podbiegając do niej. -Znaleźliśmy na plaży żółtą wstążkę!

Jolene z uśmiechem podnosi się z krzesła. Bierze od córki wstążkę i przesuwa palcami po gładkim jedwabiu. Powracają myśli o szarfach dla Tami. Dla Smitty'ego.

O żółtych wstążkach na drzewach w całym kraju. Dla niej żółty kolor zawsze będzie się kojarzyć z pożegnaniem.

- Mamo? - Betsy spogląda na nią z napięciem. - Jesteś gotowa zejść na plażę? Czekamy.

Jolene patrzy na wstążkę falującą na wietrze. Puszczą ją, pozwalając jej wzlecieć pod błękitne niebo. Słońce na chwilę ją oślepi i połyka pasek materiału. Żegnaj.

- Jestem gotowa - mówi cicho, biorąc córkę za rękę, i uśmiechnięta schodzi na plażę, żeby dołączyć do rodziny.

Podziękowania

Zbierając materiały do tej książki, czułam się trochę jak Aliqa w obcym świecie pełnym dziwnych terminów i nieznanymi mi słów. Niewiele wiedziałam o życiu żołnierzy i cierpieniach ich rodzin ponad to, co każdego wieczoru oglądałam w telewizji. Miałam szczęście spotkać na swojej drodze troje wspaniałych ludzi, którym winna jestem głęboką wdzięczność.

Dziękuję sierżantowi Andrew Wanamakerowi za zachęcanie mnie do napisania tej książki i wskazywanie właściwego kierunku.

Kapitanowi Keithowi Kosikowi chcę podziękować za to, że zechciał odpisać na lakoniczny mejl od obcej kobiety, która twierdziła, że jest pisarką, a potem cierpliwie odpowiadał na niekończące się pytania, których większość niewątpliwie musiała go niezłe bawić.

Na koniec pragnę podziękować pani chorąży Teresie Burgess. Nie potrafię wyrazić, ile znaczyły dla mnie Twoja pomoc, wsparcie i życzliwość. Zawsze potrafiłaś znaleźć czas w swoim napiętym grafiku na czytanie rękopisów* i wnoszenie poprawek. Twoje nieodmiennie przemyślane i wnikliwe uwagi pomogły mi uczynić tę historię bardziej wiarygodną. Tereso, bardzo mnie inspirowałaś. W jakiś cudowny sposób z odwagą i wdziękiem potrafisz łączyć obowiązki żołnierza, pilotki blackhawka, żony i matki. Jesteś kwintesencją tego, co najlepsze w naszym kraju.

Nie miał pojęcia, co robić czy mówić. Jeden pocałunek czy przelotny uścisk nie naprawi zepsutego małżeństwa. Było mu wstyd, że przez jego zachowanie zabrnęli w ślepy zaułek i zrobiło się za późno na szukanie wyjścia.

- Michaelu - odezwała się, a jemu łzy napłynęły do oczu. - Uważaj na siebie.

To mizerne pożegnanie; raczej dowód na istnienie mielizny, na której utknęli.

- To ty uważaj na siebie. Wróć do domu, do...

- Do nich?

- Po prostu wróć.

Wreszcie wziął ją w ramiona i mocno przytulił. Dopiero kiedy się oddaliła, tknęło go, że nie oddała uścisku.

Ostatnie rozpaczliwe spojrzenie za siebie i Jolene zniknęła w gromadzie żołnierzy wsiadających do autokaru.

fragment książki